

EPICKA OPowieść O MAGII I INNYCH ŚWIATACH



LEV GROSSMAN
CZARODZIEJE

Dla Lily

*Wtedy złamię łaskę
I w trzewiach ziemi zagrzebię, a księgę
Zatopię w morzu, głębiej niż potrafi
Sięgnąć najdłuższa sonda.*

William Szekspir, *Burza*, akt V, scena 1,
przeł. Stanisław Barańczak

KSIĘGA I

BROOKLYN

Quentin zrobił magiczną sztuczkę. Nikt tego nie zauważył.

Szli razem szarym nierównym chodnikiem: James, Julia i Quentin. James i Julia trzymali się za ręce. Tak to się teraz układało. A ponieważ chodnik nie był dość szeroki dla nich trojga, Quentin włókł się za nimi jak nadaśane dziecko. Wolałby iść sam z Julią albo po prostu sam, kropka, ale nie można mieć wszystkiego. A przynajmniej większość dowodów wskazywała na prawdziwość tej tezy.

– Dobra, Quen – powiedział przez ramię James. – Porozmawiajmy o strategii.

James miał coś jakby szósty zmysł, za pomocą którego wyczuwał, kiedy Quentin zaczyna się nad sobą użalać. Rozmowa Quentina wypadła za siedem minut. Rozmowa Jamesa miała się odbyć zaraz potem.

– Mocny uścisk dłoni. Przez cały czas kontakt wzrokowy. A kiedy poczuje się swobodnie, ty walniesz go krzesłem, a ja przechwyczę jego hasło i wyślę e-mail do Princeton.

– Bądź po prostu sobą, Quen – poradziła Julia.

Ciemne włosy ściągnięte miała do tyłu w kok. Zawsze była dla niego taka miła, co z jakichś powodów tylko pogarszało sprawę.

– A to jakaś różnica?

Quentin znów zrobił magiczną sztuczkę. Taką niewielką: klasyczna wędrówka monety po knykciach. Zrobił ją w kieszeni płaszcza, więc nikt jej nie mógł zobaczyć. Powtórzył ją, a potem wykonał w drugą stronę.

– Wiesz co, chyba wiem, jak brzmi to hasło – powiedział James. – „Hasło”.

Niesamowite, od jak dawna to trwa, pomyślał Quentin.

Mieli zaledwie po siedemnaście lat, choć miał wrażenie, że zna Jamesa i Julię od zawsze. System oświatowy Brooklynu polegał na odsiewaniu co zdolniejszych uczniów, pakowaniu ich do jednej grupy, a potem na oddzielaniu tych absurdalnie zdolnych od tych po prostu zdolnych i łączeniu ich w nową grupę. W rezultacie już od szkoły podstawowej bez przerwy wpadali na siebie a to na konkursach krasomówstwa, a to na stanowych olimpiadach łacinników, a to na kameralnych, prowadzonych specjalnie dla nich superzaawansowanych lekcjach matematyki. Największe kujony wśród wszystkich kujonów. Więc teraz, w ostatniej klasie liceum, Quentin znał Jamesa i Julię lepiej niż kogokolwiek, wliczając w to własnych rodziców, a oni znali równie dobrze jego. Wszyscy wiedzieli, co które z nich powie, nim jeszcze otworzyło usta, a ci, którzy mieli się ze sobą przespać, już to zrobili. Julia – blada, piegowata rozmarzona Julia, która grała na oboju i radziła sobie z fizyką nawet lepiej niż Quentin – nigdy nie zamierzała się przespać właśnie z nim.

Quentin był wysoki i chudy. Garbił się, wiecznie gotowy na nagły cios z niebios, który zgodnie z logiką najpierw powinien zgnieść ludzi wysokich. Jego długie do ramion włosy zamarzły w strąki. Powinien był je wysuszyć po wychowaniu fizycznym, tym bardziej że miał dziś rozmowę kwalifikacyjną, ale z jakichś powodów – może dlatego, że opanowała go potrzeba autodestrukcji – nie zrobił tego. Szare chmury wisiały nisko, grożąc opadami śniegu. Quentin miał wrażenie, że specjalnie na jego cześć świat przybrał formę małego *tableau* nieszczęścia: wrony na drutach, rozdeptana psia kupa, śmieci wywiane z kosza przez wiatr, trupy niezliczonych mokrych liści dębu zbezczeszczone na niezliczone sposoby przez niezliczone pojazdy i przechodniów.

– Boże, ależ jestem nażarty – stwierdził James. – Za

dużo zjadłem. Dlaczego ja zawsze jem za dużo?

– Ponieważ jesteś żarłoczną świnią? – zasugerowała pogodnie Julia. – Ponieważ nie masz już ochoty oglądać swoich stóp? Ponieważ chcesz dotknąć brzuchem czubka penisa?

James założył ręce za głowę, wsunął palce w falujące kasztanowe włosy. Jego płaszcz z wielbłądziej wełny rozchylił się, otwierając drogę listopadowemu chłodowi. James czknał głośno. Chłód nigdy mu nie przeszkadzał. W przeciwieństwie do Quentina, który czuł zimno praktycznie przez cały czas, jakby został uwięziony w swojej własnej prywatnej zimie.

James zaczął śpiewać na melodię przypominającą nieco *Good King Wenceslas* i *Bingo*.

*Dawno temu był sobie chłopiec
Młody, odważny i si-ilny
Miał z sobą miecz i jeździł na koniu
A nosił imię Dave-o...*

– Jezu, przestań! – krzyknęła piskliwie Julia.

James napisał tę piosenkę pięć lat temu, na konkurs młodych talentów, i nadal lubił ją śpiewać, w wyniku czego wszyscy znali ją na pamięć. Ponieważ nie zamilkł, Julia pchnęła go na śmietnik, a kiedy i to nie pomogło, zerwała mu z głowy marynarską czapkę i zaczęła go nią okładać.

– Moje włosy! Moja piękna fryzura!

Król James, pomyślał Quentin. *Le roi s'amuse*.

– Nie chciałbym wam przerywać, ale zostały nam tylko dwie minuty – powiedział.

– Och, mili moi, mili moi – zaświergotała Julia. – Księżna! Spóźnimy się!

Powinienem być szczęśliwy, pomyślał Quentin. Jestem młody, żyję, zdrowie mi dopisuje. Mam przyjaciół. Mam

dwoje w zasadzie nieużywanych rodziców – znaczy się tatę, redaktora podręczników do medycyny, i mamę, rysownika reklam z niespełnioną ambicją zostania poważną malarką. Należę do solidnej klasy średniej. I mam średnią ocen wyższą, niż większość ludzi jest sobie w stanie wyobrazić.

Niemniej, idąc w czarnym płaszczu i szarym wyjściowym garniturze Piątą Aleją Brooklynu, zdawał sobie sprawę, że wcale nie jest szczęśliwy. Dlaczego? Tak starannie kolekcjonował wszystkie elementy składające się na szczęście. Odprawił wszystkie konieczne rytuały, wypowiedział właściwe słowa, zapalił świece, złożył ofiary. Jednakże szczęście, niczym nieposłuszny duch, nie chciało się pojawić. Nie miał pojęcia, co jeszcze powinien zrobić.

Szedł za Jamesem i Julią, mijając sklepy spożywcze, pralnie, modne butik, ozdobione jaskrawymi neonami salony operatorów komórkowych, bary, gdzie już zebrali się nad kieliszkiem starcy, choć była zaledwie trzecia czterdzieści pięć po południu, oraz Dom Weteranów Wojen Zamorskich, zbudowany z brązowej cegły, z plastikowymi meblami ogrodowymi ustawionymi na chodniku przed wejściem. Miał wrażenie, że wszystko to tylko potwierdza jego przekonanie, że z powodu jakiegoś urzędniczego błędu kosmicznej biurokracji jego prawdziwe życie, to, które powinien prowadzić, dostało się komuś innemu, a on otrzymał w zamian ten gówniany substytut. Tak nie powinno być.

Może jego prawdziwe życie zacznie się w Princeton. Znów zrobił w kieszeni sztuczkę z monetą.

– Bawisz się wackiem? – spytał James.

Quentin się zaczerwienił.

– Nie.

– Nie ma się czego wstydzic. – James poklepał go po ramieniu. – To oczyszcza umysł.

Wiatr przedarł się przez cienki materiał wyjściowego

garniturę Quentina, ale chłopak nie miał ochoty zapinać płaszcza. Pozwolił, by przeniknął go chłód. To i tak bez znaczenia, bo przecież tak naprawdę przebywał zupełnie gdzie indziej.

Był w Fillory.

Fillory i dalej Christophera Plovera to cykl pięciu książek dla dzieci opublikowany w Anglii w latach trzydziestych XX wieku. Opowiada o przygodach pięciorga małych Chatwinów w czarodziejskiej krainie, którą odkrywają podczas wakacji u ekscentrycznego wujostwa. Tak naprawdę wcale nie są na wakacjach – ich ojciec tkwił po pas w krwi i błocie w Passchendaele, a matka trafiła do szpitala, zapadłszy na tajemniczą chorobę najpewniej natury psychicznej. Dlatego zostają wysłani na wieś.

Jednak wszystkie te nieprzyjemne wydarzenia rozgrywają się gdzieś w tle opowieści. Tak naprawdę książki opowiadają o tym, jak przez trzy kolejne lata w każde letnie wakacje Chatwinowie wracają ze swoich szkół z internatem do Kornwalii i odszukują drogę do tajemnej krainy Fillory, gdzie przeżywają rozmaite przygody i bronią tamtejszych mieszkańców przed różnymi zagrażającymi im niebezpieczeństwami. Najdziwniejszym i najbardziej nieustępliwym z wrogów jest zamaskowana postać znana jako Nadzorczyńi Czasu. Jej zegarmistrzowskie zaklęcia grożą zatrzymaniem czasu i uwięzieniem całego Fillory w godzinie piątej pewnego szczególnie ponurego, wilgotnego popołudnia pod koniec września.

Jak większość ludzi Quentin przeczytał książki o Fillory w szkole podstawowej. Natomiast w przeciwieństwie do większości ludzi – na przykład do Jamesa i Julii – nigdy nie wyzwolił się z ich czaru. To tam uciekał, kiedy nie mógł sobie poradzić z prawdziwym światem, czyli bardzo często. (Fillory było równocześnie pociechą za to, że Julia go nie

kocha, i zapewne główną przyczyną, dla której go nie kochała). To prawda, tkwiła w tych książkach silna atmosfera angielskiego pokoju dzieciennego. Quentin czuł się w głębi duszy zażenowany, kiedy dochodził do tych kawałków o Przytulnym Koniu, wielkim przyjacielskim zwierzęciu, który co noc krążył po Fillory na aksamitnych kopytach i miał tak szeroki grzbiet, że można by na nim spać.

Ale w Fillory tkwiła bardziej uwodzicielska i bardziej niebezpieczna prawda, taka, z której nie potrafił się wyzwolić. Zupełnie tak, jakby książki o Fillory – szczególnie pierwsza, *Świat w ścianach* – opowiadały o samym czytaniu. Kiedy najstarszy z Chatwinów, melancholijny Martin, otwiera stojący zegar w ciemnym wąskim holu w domu ciotki i przechodzi do Fillory (Quentin zawsze wyobrażał sobie, że odsuwa na bok wahadło, jak języczek w ogromnym gardle), to tak jakby otwierał okładkę książki, lecz takiej, która robi to, co książki zawsze obiecują zrobić i nigdy nie dotrzymują słowa: sprawia, że opuszczasz, naprawdę opuszczasz miejsce, gdzie się znajdujesz, i wkraczasz zupełnie gdzie indziej.

Świat, który odkrywa Martin w ścianach domu ciotki, to świat czarodziejskiego zmierzchu, krajobraz równie czarno-biały i surowy jak zadrukowana stronica, z polami pokrytymi ścierniskiem i falistymi wzgórzami poprzecinanymi masą kamiennych murków. W Fillory codziennie w południe jest zaćmienie słońca, a jedna pora roku może trwać setki lat. W niebo celują pozbawione liści drzewa. Jasnozielone morze uderza falami w wąskie białe plaże pokryte pokruszonymi muszlami. W Fillory rzeczy mają znaczenie, inaczej niż w tym świecie. Kiedy coś tam się dzieje, czujesz właściwe emocje. Szczęście to rzeczywista, osiągalna możliwość. Przychodzi, kiedy je zawołasz. A tak naprawdę nigdy cię nie opuszcza.

Zatrzymali się przed domem. Stał w tej bardziej luksusowej części Brooklynu, o szerokich chodnikach i cienistych drzewach. Zbudowano go z cegły – jedyny wolno stojący budynek wśród rzędów kamienic z piaskowca. Słyszał w okolicy, ponieważ odegrał pewną rolę w krwawej i kosztownej bitwie brooklyńskiej. Zdawał się delikatnie ganić samochody i lampy uliczne, roztaczając wokół siebie aureę wytwornej holenderskiej przeszłości.

Gdyby to była powieść o Fillory – pomyślał Quentin tak dla porządku – to właśnie w tym domu znajdowałoby się tajemne przejście do innego świata. Starzec, który tu mieszka, okazałby się uprzejmy i ekscentryczny, raz po raz rzucałby tajemnicze uwagi, a kiedy zająłby się czymś, Quentin trafiłby na pewno na tajemniczą szafę albo zaklęty wyciąg kuchenny, albo coś tam, przez co mógłby zerknąć zachłannym okiem na czyste łono innego świata.

Tyle że to nie była powieść o Fillory.

– No to zgotujcie im hades – powiedziała Julia.

Miała na sobie niebieskie palto z okrągłym kołnierzem. Wyglądała w nim jak francuska uczennica.

– Zobaczymy się może w bibliotece.

– Powodzenia.

Trącili się zółwikami. Julia spuściła wzrok zażenowana. Wiedziała, co Quentin czuje, a Quentin wiedział, że ona wie, więc nie zostało nic więcej do powiedzenia. Udając, że fascynuje go zaparkowany samochód, przeczekał jej pożegnalny całus z Jamesem – położyła mu rękę na piersi i stanęła na palcach jak gwiazdka niemego kina – po czym razem z przyjacielem ruszył powoli betonową ścieżką prowadzącą do wejścia.

James objął Quentina ramieniem.

– Wiem, co myślisz – powiedział szorstko. Quentin był wyższy, natomiast James szerszy, mocniej zbudowany, więc

udało mu się wytrącić ciało Quentina z równowagi. – Myślisz, że nikt cię nie rozumie. Ale ja cię rozumiem. – Ścisnął niemal po ojcowsku ramiona przyjaciela. – Tylko ja cię rozumiem.

Quentin nie odpowiedział. Zazdrościł Jamesowi, a równocześnie nie potrafił go nienawidzić, ponieważ oprócz urody i rozumu James miał w sobie coś jakby zwyczajną dobroć. Pod jakimś względem przypominał Quentinowi Martina Chatwina. Skoro jednak James był Chatwinem, kim w takim razie był Quentin? Prawdziwy problem z Jamesem polegał na tym, że zawsze to on grał rolę bohatera. I jaki miało się wtedy wybór? Pozostawało być albo wiernym giermkim, albo czarnym charakterem.

Quentin zadzwonił do drzwi. Gdzieś w czeluściach mrocznego domostwa rozległ się cichy metaliczny dźwięk. Staromodny dzwonek analogowy. Quentin powtarzał w myślach listę zajęć pozalekcyjnych, postawionych sobie celów i tak dalej. Przygotował się idealnie do tej rozmowy pod każdym możliwym względem, może wyjąwszy niewysuszone włosy, jednak teraz, kiedy ujrzał przed samym nosem dojrzały owoc tych wszystkich przygotowań, nagle stracił na niego ochotę. Nie zaskoczyło go to. Przywykł do tego uczucia rozczarowania – kiedy odwalił już całą pracę, żeby coś osiągnąć, nagle przestawało mu na tym zależeć. To uczucie prześladowało go bezustannie. Było jedną z niewielu rzeczy, na których mógł polegać.

Wejścia strzegły przygnębiająco zwyczajne małomiasteczkowe drzwi z siatki. Po obu stronach, wbrew ogrodniczej logice, nadal kwitły pomarańczowe i fioletowe cynie rozmieszczone w przypadkowych konfiguracjach na klombach z czarną ziemią. To dziwne, że nadal kwitną, chociaż jest listopad, pomyślał Quentin bez śladu zaciekawienia. Schował gołe ręce w rękawy płaszcza i wetknął końce rękawów pod pachy. Choć było tak zimno, że

powinien spaść śnieg, zaczął padać deszcz.

Pięć minut później nadal padało. Quentin zapukał ponownie do drzwi, po czym pchnął je lekko. Uchyliły się, poczuł powiew ciepłego powietrza. I ciepły owocowy zapach obcego domu.

– Halo? – zawołał. Wymienili z Jamesem spojrzenia. Pchnął drzwi nieco mocniej.

– Może dajmy mu jeszcze minutę.

– Kto zajmuje się czymś takim w wolnym czasie? – spytał Quentin. – Założę się, że to pedofil.

W holu panowała ciemność i cisza, wszelkie dźwięki tłumili orientalne dywany. Nadal stojąc na zewnątrz, James nacisnął dzwonek. Nikt nie zareagował.

– Chyba nikogo nie ma – powiedział Quentin. Ponieważ James nie wchodził do środka, on tym bardziej chciał tam wejść. Pomyślał, że jeśli człowiek, z którym mieli się spotkać, okaże się strażnikiem wejścia do Fillory, to wielka szkoda, że nie włożył wygodniejszych butów.

Na wprost schody na górę. Po lewej sztywna, wyglądająca na nieużywaną jadalnia, po prawej przytulna bawialnia ze skórzanymi fotelami i rzeźbioną szafą wysokości człowieka. Interesujące. Połowę ściany zajmowała stara mapa morska, sięgała powyżej głowy Quentina, z ozdobną różą wiatrów w rogu. Pomacał ścianę w poszukiwaniu włącznika światła. W rogu stało krzesło, lecz nie usiadł na nim.

Wszystkie żaluzje były opuszczone. Panowała tu ciemność, nie taka jak w domu z zaciągniętymi zasłonami, ale taka prawdziwa, nocna, jakby słońce już zaszło albo jakby w chwili, kiedy przekroczył próg, nastąpiło zaćmienie. Powoli wszedł do bawialni. Za chwilę wyjdzie na zewnątrz i znów zacznie wołać. Za małą chwilę. Teraz jednak musi spojrzeć. Ciemność napierała na niego jak naelektryzowana chmura.

Zobaczył ogromną szafę, tak wielką, że można by do niej wejść. Położył rękę na małej podrapanej mosiężnej gałce. Nie była zamknięta na klucz. Palce mu zadrżały. *Le roi samuse*. Nie mógł się powstrzymać. Miał wrażenie, że świat obraca się wokół niego, jakby całe jego życie prowadziło właśnie do tej chwili.

Okazało się, że jest to szafa na alkohol. Wielka, w zasadzie w środku mieścił się cały bar. Dla pewności Quentin włożył rękę za rzędy cicho pobrzękujących butelek i pomacał suchą nierówną płytę piłśniową z tyłu. Okazała się twarda, pozbawiona wszelkich magicznych cech. Posapując, zamknął drzwi, twarz mu pałała w ciemności. Dopiero kiedy się odwrócił, chcąc się upewnić, że nikt go nie obserwuje, zauważył na podłodze ciało.

Piętnaście minut później w holu panowało zamieszanie. Quentin siedział w kącie na krześle jak żałobnik na pogrzebie obcej osoby. Oparł tył głowy o chłodną ścianę, jakby to był jego jedyny punkt styczności z rzeczywistością. James stał obok niego. Sprawiał takie wrażenie, jakby nie wiedział, co zrobić z rękami. Nie patrzyli na siebie.

Stary mężczyzna leżał na podłodze na plecach. Miał wydatny brzuch i posiwiąłą zwariowaną fryzurę Einsteina. Wokół niego kucalo troje ratowników, dwóch mężczyzn i kobieta, rozbijając, niemal niestosownie ładna – w tej ponurej scenerii wydawała się nie na miejscu, jakby została obsadzona w niewłaściwej roli. Ratownicy robili swoje, choć nie była to błyskawiczna akcja mająca na celu ocalenie życia. To był ten inny rodzaj aktywności, obowiązkowa, choć nieskuteczna resuscytacja. Mruczeli do siebie coś cicho, pakowali sprzęt, odrywali plastry, wyrzucali zużyte igły do pojemnika na odpady medyczne.

Wyćwiczonym zdecydowanym ruchem jeden z mężczyzn ekstubował trupa. Usta starzec miał otwarte,

Quentin widział jego szare martwe gardło. Poczul coś. Nawet w duchu nie chciał przyznać, że to słaby, gorzki zapach kupy.

– Źle to wygląda – stwierdził James, zresztą nie po raz pierwszy.

– Tak – przytaknął Quentin grubym głosem. – Niezwykle źle. – Miał wrażenie, że wargi i zęby ma zupełnie zdrewniałe.

Jeśli się nie ruszy, nie zostanie w to bardziej wmieszany, więc starał się oddychać powoli i siedzieć nieruchomo. Patrzył prosto przed siebie, usiłując nie przyglądać się temu, co działo się w bawialni. Wiedział, że jeśli popatrzy na Jamesa, zobaczy wierne odbicie stanu swojego umysłu, niekończący się korytarz paniki, który prowadzi donikąd. Zastanawiał się, kiedy będzie odpowiedni moment, żeby wyszli. Prześladował go wstyd, że wszedł do tego domu niezaproszony. Zupełnie jakby czyniło go to odpowiedzialnym za śmierć mężczyzny.

– Nie powinienem mówić, że to pedofil – powiedział na głos. – To niewłaściwe.

– Bardzo niewłaściwe – zgodził się James. Mówili powoli, jakby obaj po raz pierwszy porozumiewali się w tym języku.

Jeden z ratowników podniósł się z kucek. Kobieta. Quentin patrzył, jak się prostuje, przyciskając dłonie do krzyża, po czym przekrzywia głowę raz na jedną stronę, raz na drugą. Potem ruszyła powoli w ich kierunku, zdejmując po drodze gumowe rękawiczki.

– Nie żyje – oznajmiła wesoło. Sądząc z akcentu, pochodziła z Anglii.

Quentin odchrząknął. Kobieta cisnęła rękawiczki do kosza na śmieci stojącego po drugiej stronie pokoju. Trafiła.

– Co mu się stało?

– Udar. Miły, szybki sposób odejścia, skoro trzeba

odejść. A on musiał. Nie wylewał za kołnierz.

Wykonała dłonią gest wychylania kieliszka.

Policzki jej poczerwieniały od kucania nad ciałem. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Ubrana była w granatową zapinaną koszulę z krótkim rękawem, starannie wyprasowaną i z jednym guzikiem nie od kompletu. Stewardesa na pokładzie lotu prosto do piekła. Quentinowi przeszkadzała jej atrakcyjność. Z nieładnymi kobietami wszystko jest o tyle łatwiejsze – nie trzeba cierpieć z powodu ich nieosiągalności. Ale ratowniczkę trudno by uznać za nieładną. Była blada i chuda, i irracjonalnie śliczna, z szerokimi, absurdalnie seksownymi ustami.

– Przykro mi. – Quentin nie wiedział, co powiedzieć.

– Dlaczego ci przykro? – spytała. – Zabiłeś go?

– Przyszedłem tu na rozmowę. Przesłuchiwał kandydatów do Princeton.

– Więc co cię to obchodzi?

Quentin się zawahał. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie odczytał źle założenia tej rozmowy. Wstał, co należało zrobić od razu, gdy podeszła. Był od niej dużo wyższy. Nawet w tych okolicznościach sady się za bardzo jak na ratowniczkę, pomyślał. Nie jest przecież lekarzem. Miał ochotę poszukać wzrokiem jej identyfikatora, nie chciał jednak zostać przyłapany na wpatrywaniu się w jej biust.

– Osobiście nic mnie to nie obchodzi, niemniej przywiązuję pewne znaczenie do życia ludzkiego jako abstrakcji – powiedział ostrożnie. – Dlatego choć nie znałem go osobiście, chyba mogę powiedzieć, że przykro mi, iż umarł.

– A jeśli to był potwór? Może naprawdę był pedofilem?

Słyszała ich.

– Może. A może to był miły facet. Może był święty.

– Może.

– Pewnie ma pani wiele do czynienia z trupami. –

Kątem oka zauważył, że James przysłuchuje się tej rozmowie wyraźnie zbity z tropu.

– Nie, ta praca polega na tym, żeby utrzymać ich przy życiu. Tak nam przynajmniej wmawiają.

– To musi być ciężkie zajęcie.

– Martwi sprawiają dużo mniej kłopotu.

– Są cichsi.

– Właśnie.

Wyraz jej oczu nie pasował do tego, co powiedziała. Przyglądała mu się.

– Słuchaj – wtrącił się James. – Chyba powinniśmy już iść.

– Co się wam tak spieszy? – spytała. Nie odrywała wzroku od Quentina. W przeciwieństwie do praktycznie wszystkich ludzi wykazywała większe zainteresowanie nim niż Jamesem. – Ten facet chyba coś dla was zostawił.

Ze stolika z marmurowym blatem podniosła dwie duże koperty z malinowego papieru. Quentin zmarszczył brwi.

– Nie sądzę.

– Powinniśmy chyba iść – powiedział James.

– Już to mówiłeś – stwierdziła ratowniczką.

James otworzył drzwi. Zimne powietrze okazało się miłą odmianą. Wydawało się prawdziwe. Tego właśnie potrzebował Quentin: więcej realności. Mniej tego, co się tu działo.

– Powaga – powiedziała kobieta. – Uważam, że powinniście je wziąć. To może być coś ważnego.

Nie spuszczała wzroku z twarzy Quentina. Dzień wokół nich zamarł. Na werandzie było zimno i nieco wilgotno, a on stał jakieś dziesięć metrów od prawdziwego trupa.

– Słuchaj, musimy już iść – upierał się James. – Dzięki. Na pewno zrobiliście wszystko co w waszej mocy.

Ratowniczka miała ciemne włosy zaplecione w dwa ciężkie warkocze, na palcu błyszczący pierścionek z żółtym

oczkiem, a na nadgarstku wymyślny stary srebrny zegarek. Do tego mały i spiczasty nos i podbródek. I trzymała w ręku dwie koperty z wypisanymi mazakiem ich nazwiskami. Zapewne zawierały odpisy ocen, poufne rekomendacje. Z jakichś powodów – może dlatego, że wiedział, iż James tego nie zrobi – Quentin wziął kopertę ze swoim nazwiskiem.

– No już, żegnam! – oznajmiła śpiewnie ratowniczką. Obróciła się na pięcie, weszła do domu i zamknęła drzwi. Zostali na schodach.

– I? – James odetchnął głęboko.

Quentin kiwnął głową, jakby się zgadzał z tym, co powiedział James. Powoli ruszyli ścieżką w stronę ulicy. Nadal czuł się oszołomiony. Niespecjalnie miał ochotę rozmawiać.

– Słuchaj – odezwał się James. – Chyba nie powinieneś był tego wziąć.

– Wiem – odparł Quentin.

– Jeszcze możesz ją zwrócić. No wiesz, bo co będzie, jak się dowiedzą?

– Jak niby mają się dowiedzieć?

– Nie wiem.

– Kto wie, co jest w środku? Może coś użytecznego.

– W takim razie dobrze, że ten facet umarł – parsknął z irytacją James.

Minęli następną przecznicę, nie mówiąc ani słowa, wściekli na siebie, choć nie chcieli się do tego przyznać. Chodnik był mokry, a niebo białe od deszczu. Quentin wiedział, że nie należało brać tej koperty. Złościł się w duchu na siebie, że ją wziął. I na Jamesa, że nie wziął swojej.

– Słuchaj, zobaczymy się później – oznajmił James. – Chcę złapać Julię w bibliotece.

– Jasna sprawa.

Podali sobie oficjalnie ręce. Pożegnanie sprawiło

dziwnie ostateczne wrażenie. Quentin ruszył powoli Pierwszą Ulicą. Ktoś umarł w domu, z którego właśnie wyszedł. Nadal wydawało mu się, że to tylko taki sen. Uświadomił sobie – jeszcze jeden powód do wstydu – że w gruncie rzeczy czuje ulgę, że dziś nie musiał odbyć rozmowy kwalifikacyjnej do Princeton.

Zmierzchało. Słońce zachodziło już za szarą skorupą chmur, które spowijały Brooklyn. Po raz pierwszy od godziny Quentin pomyślał o rzeczach, które musiał dziś jeszcze zrobić: zadanie z fizyki, wypracowanie z historii, e-maile, zmywanie, pranie. Ciężar tych czynności przytłoczył go beznadziejnie w studni grawitacyjnej zwyczajnego świata. Będzie musiał wyjaśnić rodzicom, co się stało, a oni – w sposób, którego nigdy nie zdołał pojąć, a zatem nie potrafił też efektywnie się bronić – sprawią, że będzie się czuł, jakby to była jego wina. Wszystko będzie jak zwykle. Pomyślał o Jamesie, który spotka się z Julią w bibliotece. Będzie pracować nad wypracowaniem o kulturze zachodniej dla pana Karrasa – projekt obliczony na sześć tygodni wykona w ciągu dwóch bezsennych nocy i dni. Choć z całych sił pragnął, żeby Julia należała do niego, a nie do Jamesa, nigdy nie potrafił sobie tak dokładnie wyobrazić, jak mógłby ją zdobyć. W tej najbardziej prawdopodobnej z jego fantazji James umierał, nagle i bezboleśnie, a Julia szłochała bezradnie na ramieniu Quentina.

Idąc, odwinał czerwony sznurek zamykający kopertę. Zobaczył od razu, że to nie jest odpis jego ocen ani żaden inny oficjalny dokument. W kopercie znajdował się notatnik. Wyglądał na stary, brzegi miał tak wytarte, że zrobiły się gładkie i zaokrąglone, okładkę odbarwioną.

Na pierwszej stronie ujrzał odręczny napis wykonany czerwonym atramentem:

CZARODZIEJE
KSIĘGA SZÓSTA FILLORY I DALEJ

Atrament z czasem zrobił się brązowy. Żadna z książek Christophera Plovera, które Quentin znał, nie nosiła tytułu *Czarodzieje*. Zresztą każdy kujon wiedział, że seria składa się z pięciu tomów.

Kiedy przewrócił kartkę, z notesu wyleciał złożony na pół kawałek białego papieru. Porwał go wiatr, przypłaszczył na chwilę do metalowego ogrodzenia, a potem zaniósł dalej.

Płot należał do ogrodu, trójkątnego skrawka ziemi, zbyt wąskiego i o zbyt dziwnym kształcie, żeby stanowił atrakcję dla developerów. Prawa własności do niego stanowiły prawdziwą czarną dziurę w systemie prawnym, więc wiele lat temu został po prostu przejęty przez wspólnotę przedsiębiorczych mieszkańców, którzy wywieźli kwaśny piach, stanowiący podłoże Brooklynu, i zastąpili żyzną ziemią z północy stanu. Przez jakiś czas hodowali tu dynie i pomidory, i wiosenne kwiaty i grabili małe japońskie ogródki zen, choć ostatecznie się zaniedbali i zieleniec porósł odporne na wszystko miejskie chwasty. Przeprowadziły bezwzględna inwazję, dusząc słabszych, bardziej egzotycznych rywali. Właśnie w ten zarośnięty trójkąt poleciała kartka papieru i zniknęła.

O tej porze roku wszystkie rośliny albo już się zeschły, albo właśnie się zsychały, nawet chwasty. Quentin brodził w nich po pas, suche łodygi czepiały się jego spodni. Deptał butami potłuczone brązowe szkło. Przyszło mu do głowy, że kartka mogła zawierać numer telefonu seksownej ratowniczkii. Ogród był wąski, ale zaskakująco długi. Rosły tu trzy czy cztery duże drzewa, a im dalej szedł, tym robiło się mroczniej i chaszczce stawały się bardziej gęste.

Zauważył kartkę, wysoko, przylepioną do treliazu z zeschniętym bluszczem. Pomyślał, że pewnie przeleci przez

plot, poza ogród, nim on się do niej dostanie. Zadzwoiła jego komórka – tata – lecz zignorował ją. Kątem oka chyba zobaczył, jak coś przefruwa za paprocią, dużą i niezdrowo bladą, jednak kiedy odwrócił głowę, zniknęło. Przedzierał się przez trupy mieczyków, petunii, sięgających mu do ramion słoneczników, krzewów róż – lamliwe sztywne łodygi i martwe kwiaty zamarznęte jak na drukowanym wzorze.

Pomyślał, że chyba się już przebił do Siódmej Alei. Brnął dalej, potykając się o jakieś egzotyczne krzaki. Trujący bluszcz, akurat tego najbardziej w tej chwili potrzebował. Wśród suchych łodyg zauważył gdzieś absurdalnie zielone rośliny, diabli wiedzą skąd czerpiące siły życiowe. Poczuł w powietrzu coś słodkiego.

Zatrzymał się. Nagle zrobiło się cicho. Nie słyszał klaksonów, muzyki, syren. Jego telefon przestał dzwonić. Zmarzł okropnie, zgrabiwały mu palce. Zawrócić czy iść dalej? Ruszył przed siebie, przedarł się przez żywopłot, zamykając oczy i osłaniając twarz przed gałązkami. Potknął się o coś. Wystający kamień. Nagle zrobiło mu się niedobrze. Pocił się.

Kiedy otworzył oczy, stał na skraju wielkiego, idealnie równego zielonego trawnika otoczonego drzewami. Odurzył go zapach świeżej trawy. W twarz świeciło mu gorące słońce.

Słońce, które wisiało pod niewłaściwym kątem. I gdzie, u licha ciężkiego, podziały się chmury? Widział przed sobą oślepiający błękit. W uchu wewnętrznym wirowało mu nieprzyjemnie, czemu towarzyszyły mdłości. Wstrzymał na kilka chwil oddech, potem wypuścił z płuc lodowate zimowe powietrze i odetchnął upałem lata. W powietrzu unosiła się masa pyłków Kichnął.

Po drugiej stronie wielkiego trawnika stał wielki dom zbudowany z kamienia miodowej barwy. Dach z szarych dachówek składał się z licznych kominów, szczytów,

wieżyczek i spadzistych płaszczyzn. Pośrodku tkwiła wysoka dostojna wieża zegarowa, która nawet w oczach Quentina sprawiała wrażenie niepasującego dodatku. Osadzono w niej zegar w stylu weneckim: jedna spiczasta wskazówka krążąca po tarczy z dwudziestoma czterema godzinami oznaczonymi za pomocą rzymskich cyfr. Nad jednym skrzydłem budynku wznosiła się zielona od śniedzi miedziana kopuła obserwatorium. Dom odgradzało od trawnika kilka tarasów, żywopłotów i fontann.

Quentin był w zasadzie pewien, że jeśli przez kilka sekund postoi nieruchomo, wszystko wróci do normy. Zastanawiał się, czy przechodzi właśnie jakiś złowieszczy atak neurologiczny. Obejrzał się ostrożnie przez ramię. Nie zobaczył ogrodu, tylko dęby o wielkich liściach, straż przednią najwyraźniej bardzo poważnej puszczy. Poczul, jak spod pachy spływa mu po żebrach strumyczek potu. Co za upał.

Rzucił torbę na trawę i strząsnął z ramion płaszcz. W ciszy zaczął leniwie jakiś ptak. Piętnaście metrów dalej o drzewo opierał się wysoki chudy nastolatek. Palił papierosa i przyglądał się Quentinowi.

Byli chyba w tym samym wieku. Nieznajomy miał na sobie zapinaną koszulę ze spiczastym kołnierzykiem w bardzo cienkie i bardzo blade różowe prążki. Nie patrzył na Quentina, po prostu zaciągał się papierosem i wydmuchiwiał dym w letnie powietrze. Upał najwyraźniej mu nie przeszkadzał.

– Hej! – zawołał Quentin.

Chłopak spojrział na niego. Uniósł lekko podbródek na powitanie, ale nie odpowiedział.

Quentin ruszył ku niemu tak nonszalancko, jak tylko się dało. Nie chciał wyglądać na kogoś, kto nie ma zielonego pojęcia, co się dzieje. Nawet bez płaszcza pocił się jak mysz. Czuł się niczym nieadekwatnie odziany angielski odkrywca

próbujący zrobić wrażenie na sceptycznie nastawionym tubylcu. Jedno musiał jednak ustalić od razu.

– Czy to... ? – Odchrząknął. – Czy to jest Fillory?

Zmrużył oślepienie słońcem oczy.

Młody człowiek popatrzył na niego bardzo poważnie. Ponownie zaciągnął się głęboko papierosem, po czym powoli pokręcił głową, wydmuchując dym.

– Nie – powiedział. – To stan Nowy Jork. Północna część.

BRAKEBILLS

Nie roześmiał się. Później Quentin to docenił.

– Północna część? – powtórzył niepewnie. – Gdzie? Vassar?

– Widziałem, jak przechodziłeś – odparł młody człowiek. – Chodź, musisz iść do Domu.

Odrzucił niedopałek papierosa i ruszył przez trawnik. Nie obejrzał się, żeby sprawdzić, czy Quentin za nim idzie. Quentin w pierwszej chwili został w miejscu, po czym nagły strach, że zostanie całkiem sam, sprawił, że pobiegł truchtem, aby go dogonić.

Trawnik był ogromny, wielkości chyba z sześciu boisk do piłki nożnej. Quentin miał wrażenie, że szli nim całą wieczność. Słońce świeciło mu w kark.

– Więc jak się nazywasz? – spytał młody człowiek tonem, który dobitnie świadczył o tym, że guzik go obchodzi odpowiedź.

– Quentin.

– Jak miło. A jesteś z?

– Brooklynu.

– Ile masz lat?

– Siedemnaście.

– Jestem Eliot. Nie mów mi nic więcej o sobie, nie chcę wiedzieć. Nie chcę się w to mieszać.

Quentin musiał chwilami przyspieszać, żeby dotrzymać Eliotowi kroku. Coś dziwnego było z twarzą tego chłopaka. Trzymał się bardzo prosto, ale usta miał z jednej strony wykrzywione w trwałym grymasie, który odsłaniał zęby sterczące pod zaskakującymi kątami, do wewnątrz i na zewnątrz. Wyglądał jak dziecko lekko uszkodzone kleszczami porodowymi.

Jednakże pomimo dziwnego wyglądu roztaczał wokół

siebie aureę tak naturalnego opanowania, że Quentin natychmiast zapragnął być z nim w przyjaźni albo może po prostu być nim, kropka. Najwyraźniej Eliot należał do ludzi, którzy czują się na świecie na swoim miejscu – emanował naturalną pogodą ducha, podczas gdy Quentin czuł się cały czas tak, jakby z wysiłkiem płynął pieskiem, próbując złapać oddech.

– Co to za miejsce? – spytał. – Mieszkasz tutaj?

– Masz na myśli Brakebills? – odparł Eliot niefrasobliwie. – Tak, chyba tak. – Przebrnęli wreszcie przez trawnik. – Jeśli można to tak określić.

Poprowadził Quentina w głąb cienistego labiryntu, który tworzyły wysokie żywopłoty. Krzaki zostały starannie przycięte w wąskie, fraktalnie rozchodzące się korytarze o skomplikowanym przebiegu, które od czasu do czasu otwierały się w małe cieniste alkowy i dziedzińce. Przez gęste listowie nie przedostawało się światło, tylko tu i ówdzie na ścieżkę padał ciężki żółty pas słońca. Minęli szemrzącą fontannę ze zniszczoną ponurą figurą z białego kamienia.

Dobre pięć minut trwało, nim przez wyjście strzeżone przez dwa krzaki, w kształcie stojących na tylnych łapach niedźwiedzi, wyszli z labiryntu prosto na kamienny taras ukryty w cieniu wielkiego domu, który Quentin widział z oddali. Powiew wiatru sprawił, że jeden z wysokich liściastych niedźwiedzi jakby zwrócił lekko głowę w jego kierunku.

– Dziekan zapewne zjawi się za chwilę – powiedział Eliot. – Chcesz mojej rady? Siedź tutaj – wskazał na zniszczoną kamienną ławkę takim gestem, jakby kazał zostać nazbyt przyjacielskiemu psu – i spróbuj wyglądać, jakbyś wiedział, gdzie jesteś. A jeśli mu powiesz, że palęm, wygnam cię do najniższego kręgu piekieł. Nigdy tam nie byłem, ale jeśli choć połowa z tego, co słyszałem, jest

prawdą, musi tam być równie okropnie jak na Brooklynie.

Eliot zniknął w labiryncie, a Quentin posłusznie usiadł na ławce. Wpatrywał się w szare kamienne płyty tarasu widoczne między jego wyjściowymi czarnymi butami. Plecak i płaszcz trzymał na kolanach. To niemożliwe, pomyślał z przerażającą klarownością. Pomyślał te słowa, lecz nie miały żadnego punktu oparcia w otoczeniu. Czuł się, jakby przeżywał właśnie całkiem miły odjazd po narkotykach. Na płytach tarasu znajdował się skomplikowany wzór pnączy, a może słowa wypisane niezwykle zawiłą kaligrafią, tak zatarte ze starości, że nie do odczytania. W powietrzu tańczyły pyłki i maleńkie nasionka. Jeśli to halucynacja, pomyślał Quentin, to o cholernie dobrej rozdzielczości.

Jej najdziwniejszą częścią była cisza. Choć nasłuchiwał uważnie, nie słyszał ani jednego samochodu. Miał wrażenie, że patrzy na film, w którym wyłączono ścieżkę dźwiękową.

Przeszklone drzwi zabrzęczały kilka razy, po czym stanęły otworem. Na taras wyszedł wysoki gruby mężczyzna w garniturze z kory.

– Dzień dobry – powiedział. – Ty zapewne jesteś Quentin Coldwater.

Mówił bardzo poprawnie, jakby żałował, że nie posiada angielskiego akcentu, choć jego pretensjonalność nie sięgała tak daleko, by go udawać. Miał łagodną otwartą twarz i rzadziejące jasne włosy.

– Tak, sir. – Quentin nigdy jeszcze nie zwrócił się do dorosłego czy w ogóle do kogokolwiek per „sir”, lecz nagle wydało mu się to bardzo stosowne.

– Witamy w college’u Brakebills – powiedział mężczyzna. – Zapewne o nas słyszałeś.

– W zasadzie nie – odparł Quentin.

– No cóż, zostałeś dopuszczony do egzaminów wstępnych. Zgadzasz się do nich przystąpić?

Quentin nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Akurat do

takiego pytania nie przygotował się dziś rano.

– Nie wiem – rzekł, mrugając w oszołomieniu. – To znaczy chyba nie jestem pewien.

– Całkowicie zrozumiała odpowiedź, obawiam się jednak, że nie do przyjęcia. Musisz powiedzieć tak lub nie. – Po czym dodał z nadzieją w głosie: – To tylko egzaminy.

Quentin poczuł silne przekonanie, że jeśli powie „nie”, ten świat zniknie, nim przebrzmi dźwięk jego głosu, a on znów będzie stał w zimnym deszczu i psim gównie na Pierwszej Ulicy, zastanawiając się, dlaczego jeszcze przed chwilą wydawało mu się, że czuje na karku gorące promienie słońca. Nie był na to gotowy. Jeszcze nie.

– Tak, jasne – powiedział. Nie chciał się wydać nadgorliwy. – Tak.

– Świetnie. – Mężczyzna ewidentnie należał do tych na pozór pogodnych ludzi, których pogoda ducha nie sięga nigdy oczu. – W takim razie zaczynamy. Nazywam się Henry Fogg... tylko bez żartów, proszę. Zapewniam, że słyszałem już wszystkie. Możesz się do mnie zwracać „panie dziekanie”. Chodź za mną. Ty jesteś ostatni, jak sędzę – dodał.

Tak się złożyło, że Quentinowi nie przyszły do głowy żadne żarty. Wewnątrz domu było cicho i chłodno. Unosił się tu mocny korzenny zapach książek i orientalnych dywanów, i starego drewna, i tytoniu. Dziekan szedł energicznie przodem, z wyraźną niecierpliwością. Z minutę potrwało, nim oczy Quentina przyzwyczyły się do zmiany oświetlenia. Przeszli przez zawieszoną olejnymi obrazami bawialnię, potem maszerowali wąskim korytarzem z boazerią, a potem kilkoma ciągami schodów. Wreszcie dotarli do ciężkich drewnianych drzwi.

W chwili gdy się otworzyły, Quentin poczuł, że wbijają się w niego setki oczu. Salę, długą i przewiewną, wypełniały pojedyncze ławki szkolne ustawione w rzędach. W każdej

ławce siedział poważny nastolatek. Klasa nie przypominała tych, do jakich przywykł na Brooklynie, gdzie na ścianach wisiały tablice ogłoszeniowe i plakaty z kociakami zwisającymi z gałęzi i napisem „NIE PUSZCZAJ, KOCHANY”. Tu nic nie przysłaniało nagich kamiennych ścian, było bardzo jasno, a sama sala ciągnęła się i ciągnęła, i ciągnęła. Zupełnie jak w sztuczce z lustrami.

Większość nastolatków była w wieku Quentina i reprezentowała podobny luz, czy może jego brak, choć nie wszystkie. Zauważył kilku punków, z czubami lub ogolonych na łyso, sporo gotów i jednego z tych superżydów, chasyda. Zbyt wysoka dziewczyna w za dużych okularach w czerwonej oprawie uśmiechała się do wszystkich głupkowato. Kilka młodszych dziewczyn wyglądało, jakby właśnie przestały płakać. Jeden chłopak nie miał koszuli, a na jego plecach pyszniły się czerwono-zielone tatuaże. Jezu, pomyślał Quentin. Co za rodzice pozwolili na coś takiego? Inny siedział na elektrycznym wózku inwalidzkim, jeszcze inny nie miał lewej ręki. Ubrany był w ciemną koszulę, a jeden rękaw miał zwinięty i spięty srebrną spinką.

Wszystkie ławki wyglądały identycznie, na każdej leżał zwykły niebieski formularz testu i bardzo cienki, bardzo ostro zatemperowany ołówek numer 3. Pierwsza znana rzecz, jaką Quentin tu zauważył. Zostało jedno wolne miejsce, daleko na tyłach klasy. Usiadł tam i przysunął krzesło z ogłuszającym skrzypieniem. Miał wrażenie, że mignęła mu w tłumie twarz Julii, ale odwróciła się niemal natychmiast, a zresztą i tak nie było już czasu na takie rzeczy, bo dziekan Fogg odchrząknął znacząco.

– No dobrze – powiedział. – Kilka słów tytułem wstępu. Podczas egzaminu obowiązuje cisza. Możecie zaglądać do testów sąsiadów, jednak szybko się przekonacie, że będą zupełnie puste. Ołówki nie wymagają dodatkowego

ostrzenia. Jeśli chcecie dostać szklanke wody, unieście w góre trzy palce, o tak. – Tu zademonstrował. – Nie martwcie się, że czujecie się nieprzygotowani. Do tego egzaminu nie można się przygotować, choć równie prawdziwe byłoby stwierdzenie, że przygotowywaliście się do niego przez całe życie. Skala ocen jest bardzo prosta: zaliczony lub nie. Jeśli zaliczycie, przejdziecie do drugiego etapu. Jeśli nie, a większość z was nie zaliczy, wróćcie do domów z wiarygodnym alibi oraz nielicznymi wspomnieniami z tego, co się tu działo. Egzamin trwać będzie dwie i pół godziny. Zaczynajcie.

Dziekan odwrócił się do tablicy i narysował na niej zegar. Quentin spojrzął na pusty formularz testu na swojej ławce. Nie był już pusty. Wypełniały go pytania: litery dosłownie pojawiały się na jego oczach, kiedy patrzył na czysty papier.

W klasie rozległ się głośny szelest przewracanych kartek, jakby do lotu poderwało się stado ptaków. Wszystkie głowy się pochylily. Quentin rozpoznał ten ruch. Gest zajadlych kujonów – pogromców egzaminów – ruszających na łowy.

I dobrze. Znalazł się wśród swoich.

Quentin nie planował spędzić tego popołudnia – czy poranka, czy co to była za pora dnia – na wypełnianiu zestandaryzowanego testu na nieznany temat dla niezidentyfikowanej instytucji edukacyjnej w jakiejś innej strefie klimatycznej, gdzie nadal panowało lato. Miał odmrażać sobie dupę na Brooklynie i odbyć rozmowę kwalifikacyjną do Princeton z pewnym starym obywatelem, obecnie już nieżyjącym. Ale logika wydarzeń przytłoczyła wszystkie inne troski bez względu na to, jak dobrze ugruntowane. On zaś nigdy nie podważał zasadności logiki.

Znaczna część testu domagała się wykonywania

obliczeń, elementarnych z punktu widzenia Quentina tak niesamowicie dobrego z matematyki, że liceum musiało powierzyć część jego edukacji Brooklyn College. Nic bardziej niebezpiecznego niż zaawansowana geometria różniczkowa i kilka dowodów algebraicznych. W teście znajdowały się też bardziej egzotyczne pytania. Niektóre wydawały się zupełnie bezsensowne. W jednym z nich zaprezentowana została zakryta karta – nie prawdziwa, tylko rysunek jej grzbietu, rozumiecie, a na nim standardowo dwa anioły na rowerach – i polecenie jej odgadnięcia. Jaki to miało sens?

Gdzieś dalej cytatorowi z *Burzy* towarzyszyło polecenie stworzenia wymyślnego języka i przełożenia na niego tekstu Szekspira. Potem następowały pytania o gramatykę i ortografię tego języka, a jeszcze potem – słowo honoru, o co tu chodziło? – o geografię, kulturę i stosunki społeczne panujące w wymyślonym kraju, gdzie posługiwano się tym językiem. Potem Quentin musiał przetłumaczyć z powrotem cytaty na angielski, zwracając szczególną uwagę na wszelkie zniekształcenia gramatyczne, jakie powstały w tym procesie, dobór słów i ich znaczenie. Poważnie. Zawsze na testach dawał z siebie wszystko, jednak w tym przypadku nie był pewien, co mianowicie powinien z siebie dać.

Test zmieniał się w miarę wypełniania. Część poświęcona czytaniu ze zrozumieniem znikła w miarę czytania, po czym następowały pytania o to, co przeczytał. Zapewne jakiś nowy rodzaj skomputeryzowanego arkusza testowego – czy nie czytał gdzieś, że ktoś nad tym pracuje? Cyfrowy atrament? Cóż, rozdzielczość była świetna. Kazano mu narysować królika, ale ten nie chciał usiedzieć w miejscu, kiedy go wykańczał – jak tylko narysował mu łapy, zaczął się obleśnie drapać, a potem skakać po całej stronie, podgryzając inne pytania. Quentin musiał go gonić ołówkiem, by skończyć cyzelowanie futra. W końcu, żeby go spacyfikować, narysował pośpiesznie kilka rzodkiewek, a

potem otoczył go płótkiem, aby siedział w miejscu.

Wkrótce zapomniał o wszystkim, skupiając się na wpisywaniu swym starannym charakterem pisma właściwych odpowiedzi przy kolejnych pytaniach i na zaspokajaniu wszelkich przewrotnych żądań stawianych przez test. Minęła godzina, nim choć podniósł wzrok znad papieru. Bolał go tyłek. Poruszył się na krześle, zauważył, że plamy słońca na podłodze zmieniły położenie.

Zmieniło się coś jeszcze. Kiedy zaczynał test, w każdej ławce siedział nastolatek, natomiast teraz niektóre stały puste. Nie zauważył, żeby ktoś wychodził. W żołądku uformował mu się zimny kryształ wątpliwości. Jezu, musieli oblać. Nie przywykł do wyrzucania z klasy. Dłonie zaczęły mu się pocić, więc wytarł je o uda. Kim są ci ludzie?

Kiedy przewrócił kolejną kartkę testu, następna strona okazała się pusta, widniało na niej tylko jedno słowo na samym środku – KONIEC – wypisane pełnym zawijasów pismem, jak w starych filmach.

Odchylił się na krześle i przycisnął bolące wnętrza dłoni do bolących oczu. No cóż, minęły dwie godziny jego życia i nigdy ich już nie odzyska. Nie zauważył, żeby ktoś wstawał i wychodził, niemniej klasa wydawała się poważnie przetrzebiona. Wyszło chyba z pięćdziesiąt osób, teraz więcej było pustych ławek niż zajętych. Zupełnie jakby ktoś po cichu wyslizgiwał się z klasy za każdym razem, kiedy odwrócił głowę. Punk z tatuażami i bez koszuli nadal siedział na swoim miejscu. Najwyraźniej skończył albo się poddał i teraz zabawiał się zamawianiem licznych szklanek wody. Na blacie jego ławki stało ich pełno. Quentin przez ostatnie dwadzieścia minut egzaminu wyglądał przez okno i ćwiczył obracanie ołówka między palcami.

Wreszcie wrócił dziekan.

– Z radością informuję, że wszyscy przechodzicie do następnego etapu – oznajmił. – Będzie to egzamin

indywidualny, przeprowadzony przez ciało pedagogiczne Brakebills. A tymczasem możecie porozmawiać i pokrzepić się.

Quentin naliczył tylko dwadzieścia dwie zajęte ławki, czyli pewnie z jedną dziesiątą początkowej grupy. Wszedł cichy, komicznie poprawny kamerdyner w białych rękawiczkach i zaczął krążyć po klasie. Podał każdemu drewnianą tacę z kanapką – pieczona papryka chili i bardzo świeża mozzarella oraz chleb na zakwasie – przysadzistą gruszką i grubym kawałkiem ciemnej gorzkiej czekolady. Nalewał każdemu szklanek czegoś mętnego i gazowanego z małych butelek bez nalepek. Okazało się, że to napój grejpfrutowy.

Quentin wziął swój lunch i przeszedł do pierwszego rzędu, gdzie zebrała się większość egzaminowanych. Czuł żalostną ulgę, że zaszedł tak daleko, choć nie miał pojęcia, dlaczego zdał, a inni oblali, ani co właściwie zdawał. Kamerdyner cierpliwie zbierał na tacę pobrzękujące, chlupoczące szklanki z ławki punka. Quentin poszukał wzrokiem Julii, ale albo nie przeszła, albo w ogóle jej tu nie było.

– Powinni narzucić limit – wyjaśniał punk, który miał na imię Penny. Jego łagodna rozmarzona twarz klóciła się z poza tym przerażającym wyglądem. – O ile szklanek wody możesz poprosić. No wiecie, na przykład nie więcej niż pięć. Lubię wynajdywać takie gówno, miejsca, gdzie system idzie się pieprzyć z własnymi zasadami. – Wzruszył ramionami. – Zresztą nudziłem się. Test mi pokazał, że skończyłem już po dwudziestu minutach.

– Po dwudziestu minutach? – Quentin poczuł równocześnie podziw i zazdrość. – Jezu Chryste, mnie zabrał dwie godziny.

Punk znowu wzruszył ramionami i wykrzywił się: co niby mam powiedzieć?

Wśród zdających poczucie koleżeństwa walczyło z nieufnością. Niektórzy wymieniali się imionami, informacjami, skąd pochodzą, i ostrożnymi uwagami na temat testu, jednak im bliżej porównywali odpowiedzi, tym bardziej stawało się jasne, że każdy zdawał co innego. Pochodzili z całych Stanów, z wyjątkiem dwóch chłopaków z rezerwatu Inuitów w Saskatchewan. Łazili po klasie, opowiadając, jak się tu dostali. Nikt nie przybył tu w dokładnie taki sam sposób, lecz dawało się zauważyć jakieś ogólne podobieństwo. Szli szukać w zaułku zgubionej piłki albo zabłąkanej kozy w kanale irygacyjnym, albo sprawdzali, dokąd prowadzi jakiś dziwny dodatkowy kabel w pracowni komputerowej, i trafiali do szafy z serwerami, której wcześniej nie było. A potem pojawiała się zielona trawa i letni upał, i ktoś, kto ich tu przyprowadził.

Po lunchu do klasy zaczęli zaglądać nauczyciele. Wywoływali nazwiska. Według alfabetu, więc minęło parę minut, nim poważna kobieta po czterdziestce z ciemnymi włosami do ramion wezwała Quentina Coldwatera. Poszedł za nią do wąskiego, wyłożonego boazerią pokoju z wielkimi oknami, jak się okazało, zaskakująco wysoko położonymi ponad trawnikiem, przez który niedawno przechodził. Odgłosy rozmowy z przyległego pokoju egzaminacyjnego umilkły nagle, kiedy zamknęła drzwi. Po dwóch stronach zniszczonego masywnego stołu stały naprzeciwko siebie dwa krzesła.

Quentin czuł się oszołomiony, jakby oglądał to wszystko w telewizji. Mimo śmieszności sytuacji, zmusił się do skupienia. Tu szło o rywalizację, a on zwykł zwyciężać w rywalizacjach. No właśnie. Wyczuł, że stawka właśnie się podniosła. Na poza tym pustym blacie stołu leżała talia kart i stos może dziesięciu monet.

– Jak rozumiem, lubisz magiczne sztuczki, Quentinie – powiedziała kobieta. Miała lekki akcent, niewątpliwie

europeski, lecz poza tym nie do okrelenia. Islandzki? – Mozesz mi jakas pokazać?

Rzeczywiscie, Quentin lubil robic magiczne sztuczki. Jego zainteresowanie magia objawilo sie trzy lata temu, czesciowo w związku z jego zwyczajami czytelnicznymi, ale glownie jako sposob na zabicie czasu miedzy zajeciami pozalekcyjnymi nie wymagajacy interakcji z innymi ludzmi. Spedzil setki wyjalowionych z emocji godzin na robieniu sztuczek z monetami, tasowaniu kart i produkowaniu sztucznych kwiatow z pustych plastikowych opakowan. W tym transie nudy towarzyszy mu tylko iPod. Ogladal raz po raz przypominajace marnej jakosci pornosy filmiki z instrukcjami, na ktorych na tle zrobionym z przescieradla mezczyzni w srednim wieku demonstrowali w zblizeniu magiczne sztuczki. Magia, jak odkryl Quentin, wcale nie jest romantyczna. Jest ponura, powtarzalna i opiera sie na oszustwie. On sie jednak przy niej uparl i teraz byl swietny.

Niedaleko domu znalazl sklep, ktory sprzedawal akcesoria dla magikow oraz zlom elektroniczny, zakurzone gry planszowe, kamienie zastepujace ukochane zwierzatka i sztuczne wymiociny. Ricky, sprzedawca, ktory niczym amisz mial brode i bokobrody, lecz bez wasow, niechetnie zgodzil sie udzielic mu kilku wskazowek. Niedlugo potrwalo, a uczen przerosl nauczyciela. Majac lat siedemnaście, Quentin znal sztuczke z zamiana miedzianej monety na srebrna, umial tasowac karty jedna reka i zonglowac trzema pileczkami, a czasami, przez krortkie acz ekstatyczne chwile, nawet czterema. Zdobyl w szkole pewna popularnosc, poniewaz z odleglosci trzech metrow potrafil z niesamowita wręcz mechaniczna precyzja trafic wezem z kart w pozbawione smaku jablka serwowane w stolowce.

Teraz siegnal najpierw po karty. Szczycil sie swymi umiejtnosciami tasowania, dlatego na poczatek wykonal tasowanie rownolegle zamiast zwyczajnego, na wypadek –

choć szansa była niewielka gdyby siedząca naprzeciwko niego kobieta знаła różnicę i zdawała sobie sprawę, jak cholernie jest ono trudne.

Następnie zaprezentował szereg zwykłych sztuczek ukazujących wachlarz jego możliwości: przekładanie kart, fałszywe tasowanie, odgadywanie wybranej karty, pasaże. Pomiedzy sztuczками podrzucał talie, przesypywał ją z ręki do ręki w stylu kaskady albo lawiny. Miał do tego opracowany podkład rytmiczny, ale w tym cichym jasnym pokoju, w obecności pełnej godności, ładnej starszej kobiety wydawał się śmiesznie pusty, więc zamilkł. Robił sztuczki w milczeniu.

Karty szeleściły i potrzaskiwały. Kobieta obserwowała go bez słowa, posłusznie wybierając kartę za każdym razem, kiedy ją o to poprosił, i nie okazywała zaskoczenia, gdy wyciągał tę kartę – wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu! – ze środka starannie potasowanej talii albo z kieszeni koszuli, albo wręcz z powietrza.

Przerzucił się na monety, same nowe pięciocentówki, starannie wybite i z ostrymi brzegami. Nie miał żadnych rekwizytów, kubków czy chusteczek, więc ograniczył się do pasaży i chwytów. Kobieta obserwowała go w milczeniu przez jakąś minutę, po czym przechyliła się przez stół i dotknęła jego ramienia.

– Zrób to jeszcze raz – poleciła.

Posłusznie powtórzył sztuczkę. Nic szczególnego, stary trick: pięciocentówka (w zasadzie trzy) przechodzi tajemniczo z ręki do ręki. Pokazywał widzom monetę i zaraz bezczelnie ją zniknął; następnie udawał, że jej szuka, by wreszcie z triumfem pokazać ją na otwartej dłoni, skąd znów w tajemniczy sposób zniknęła, choć cały czas znajdowała się na widoku. Była to w gruncie rzeczy całkiem zwyczajna, choć dobrze opracowana sekwencja ruchów, w tym jeden szczególnie bezczelny, wykorzystujący

niedoskonałości ludzkiego wzroku.

– Zrób to jeszcze raz.

Powtórzył sztuczkę. Przerwała mu w połowie.

– Tu jest błąd.

– Gdzie? – Zmarszczył brwi. – Ja ją wykonuję właśnie tak.

Wydeła usta i pokręciła głową.

Wzięła trzy pięciocentówki ze stosu i bez chwili wahania czy jakiegokolwiek wskazówki, że za chwilę zrobi coś niezwykłego, wykonała wprawnie sztuczkę. Quentin nie mógł oderwać wzroku od jej niewielkich i niewiarygodnie zręcznych śniadych rąk. Jej ruchy były bardziej płynne i precyzyjne niż u profesjonalnych magików.

Przerwała w połowie.

– Tutaj. Druga moneta przechodzi z ręki do ręki. Musisz odwrócić ten ruch, trzymać ją, o tak. Podejdź, pokażę ci jak.

Posłusznie obszedł stół i stanął za nią, próbując omijać wzrokiem jej bluzkę. Miała dłonie mniejsze niż on, niemniej moneta posłusznie zniknęła między jej palcami niczym ptak w zaroślach. Wykonała ruch powoli, żeby się dobrze przyjrzał, w jedną i w drugą stronę.

– Tak właśnie to robię – powiedział.

– Pokaż.

Uśmiechała się. Chwyciła go za nadgarstek, by zatrzymać ruch w połowie.

– Teraz. Gdzie jest druga moneta?

Wyciągnął dłoń wnętrzem do góry. Moneta była... Monety nie było. Zniknęła. Obrócił rękę, poruszył palcami, spojrział na stół, na swoje kolana, na podłogę. Ani śladu. Zniknęła. Schowała ją, kiedy nie patrzył? Miała tak szybkie ręce i tak pokerowy uśmiech Mony Lisy, że nie mógł tego wykluczyć.

– Tak właśnie myślałam – powiedziała, wstając. –

Dziękuję, Quentinie, przyśle kolejnego egzaminatora.

Quentin patrzył, jak wychodzi, nadał szukając po kieszeniach brakującej monety. Po raz pierwszy w życiu nie potrafił określić, czy zdał czy oblał.

Całe popołudnie upłynęło według tego samego schematu: profesorowie wchodzili jednymi drzwiami, wychodzili drugimi. Jak we śnie, długim, skomplikowanym śnie bez wyraźnie określonego znaczenia. Jakiś starzec z trzęsącą się głową pogrzebał w kieszeni spodni i rzucił na stół stos wystrzępionych poźółkłych sznurków, a potem stał ze stoperem i patrzył, jak Quentin je rozplątuje. Nieśmiała ładna kobieta, która sprawiała wrażenie niewiele starszej od Quentina, poprosiła, żeby narysował mapę Domu i terenu wokół niego w oparciu o to, co do tej pory zobaczył. Ulizany facet z wielką głową, który najwyraźniej nie mógł przestać gadać, rozegrał z nim błyskawiczną i dziwaczną partię szachów. Po pewnym czasie Quentin nie mógł już brać tego egzaminu poważnie – miał wrażenie, że testuje się tu jego łatwowierność. Zarozumiały rudy grubas wypuścił w pokoju maleńką jaszczurkę z opalizującymi skrzydłami kolibra i wielkimi niespokojnymi oczami. Nic nie powiedział, po prostu założył ręce na piersi i przysiadł na brzegu stołu, który zatrzeszczał pod jego ciężarem.

Z braku lepszych pomysłów Quentin spróbował zwabić jaszczurkę, żeby wylądowała na jego palcu. Podleciała i wygryzła mu kawałek ciała z przedramienia, upuszczając kroplę krwi, po czym zaczęła uderzać w szybę okna jak trzmiel. Grubas w milczeniu podał Quentinowi plaster z opatrunkiem, zabrał jaszczurkę i wyszedł.

Wreszcie drzwi nie otworzyły się ponownie po wyjściu egzaminatora. Quentin odetchnął i poruszył ramionami, by je rozluźnić. Najwyraźniej egzamin dobiegł końca, choć nikt go o tym nie poinformował. Miał zatem kilka chwil dla

siebie. Słońce już zachodziło. Nie widział go stąd wprawdzie, widział natomiast fontannę, a światło odbijające się w wodzie miało teraz chłodny, ciemnopomarańczowy kolor. Wśród drzew zaczęła się unosić mgła. Teren wokół Domu był pusty.

Potarł twarz rękami. Stopniowo rozjaśniało mu się w głowie. Pomyślał, zapewne dużo po czasie, że powinien się martwić, co powiedzą rodzice. Zwykle dość obojętnie traktowali jego wyjścia, jednak nawet ich tolerancja miała swoje granice. Lekcje skończyły się wiele godzin temu. Może uznali, że rozmowa kwalifikacyjna się przeciągnęła? Szansa, że o niej pamiętali, była niewielka. A może, skoro tutaj panuje lato, szkoła się jeszcze nie zaczęła? Oszło mi, w jakim trwał przez całe popołudnie, zaczęło mijać. Zastanawiał się, czy jest tu bezpieczny. Jeśli to sen, będzie się musiał niedługo obudzić.

Przez zamknięte drzwi usłyszał z daleka czyjś płacz: chłopaka, zdecydowanie za dużego, żeby płakać przy ludziach. Nauczyciel przemawiał do niego cicho stanowczym tonem, mimo to chłopak albo nie mógł, albo nie chciał się uspokoić. Quentin próbował to zignorować, lecz ten niebezpieczny, niemęski dźwięk zdrapał zewnętrzne warstwy jego z trudem zdobytej nastoletniej zimnej krwi. Pod spodem czaiło się coś jakby strach. Głosy umilkły, płaczącego chłopaka gdzieś odprowadzono. Quentin usłyszał teraz dziekana, mówił lodowatym opanowanym tonem. Najwyraźniej starał się nie okazywać złości.

– Naprawdę nie jestem pewien, czy jeszcze mnie to obchodzi.

Odpowiedzi nie udało się Quentinowi zrozumieć.

– Jeśli nie zbierzemy kworum, odeślemy ich po prostu do domów i zawiesimy rocznik. – Dystyngowana rezerwa Fogga wyraźnie zaczęła znikać. – Nic nie przyniesie mi większej radości. Będziemy mogli przebudować

obserwatorium. Będziemy mogli przekształcić szkołę w dom opieki dla zniedołężniałych profesorów. Bóg jeden wie, jak wielu ich tu mamy.

Znów coś niezrozumiałego w odpowiedzi.

– Jest gdzieś dwudziesty, Melanio. Przechodzimy przez to co roku. Przeszukamy każde liceum, każde gimnazjum i każdy poprawczak, żeby go znaleźć. A jeśli go nie ma, z radością zrezygnuję i wtedy to będzie twój problem, i ty go będziesz musiała rozwiązać. Sam nie wiem, co mogłoby mnie bardziej uszczęśliwić.

Drzwi uchyliły się lekko i na chwilę pojawiła się w nich zatroskana twarz pierwszej egzaminatorki Quentina, tej ciemnowłosej kobiety z europejskim akcentem i zręcznymi palcami. Właśnie otworzył lista, żeby zapytać o telefon – jego komórka pokazywała jedną bezużyteczną kreskę zasięgu – gdy drzwi znów się zamknęły. Wkurzające. (Izy już po wszystkim? Powinien może po prostu wyjść? Skrzywił się. I ubił przygody, to prawda, z niczym jednak nie należy przesadzać. I a się nadmiernie przeciąga.

W pokoju zrobiło się już niemal ciemno. Rozejrzał się za włącznikiem światła, ale go nie znalazł. Prawdę powiedziawszy, odkąd tu przybył, nie zauważył ani jednego urządzenia elektrycznego. Żadnych telefonów, żarówek, elektronicznych zegarów. Minęło dużo czasu, odkąd zjadł kanapkę i kawałek gorzkiej czekolady, toteż znów zgłodniał. Wstał i podszedł do okna, gdzie było widniej.

Szyby pofalowały się ze starości. Jest ostatni? Dlaczego tyle to trwa? Niebo wyglądało jak fosforyzująca kobaltowa kopuła z mrowiem wielkich, leniwych spiral gwiazd. Gwiazd van Gogha, których nie widać z zatopionego w zanieczyszczeniach Brooklynu. Zastanawiał się, jak daleko stąd do Nowego Jorku i co się stało z kartką, którą gonił i nie zdołał złapać. Notes zostawił wraz z plecakiem w pierwszym pokoju egzaminacyjnym: teraz pożałował, że nie

zabrał wszystkiego ze sobą. Wyobraził sobie rodziców szykujących razem kolację, piekących coś w kuchence. Tata podśpiewuje jakiś koszmarne niehiphopowy kawałek, na blacie kuchennym stoją dwa kieliszki czerwonego wina. Zażęknął za nimi.

Bez ostrzeżenia drzwi otworzyły się z rozmachem i do środka wszedł dziekan. Mówił przez ramię do kogoś, kto został na korytarzu.

– ... kandydat? Świetnie – stwierdził sarkastycznie. – Obejrzyjmy sobie kandydata. Przynieście tu te przekłete świece! – Usiadł przy stole. Koszulę miał przepoconą. Najprawdopodobniej wypił coś od czasu, kiedy Quentin widział go po raz ostatni. – Witaj, Quentinie. Siadaj, proszę.

Wskazał drugie krzesło. Quentin usiadł, a Fogg zapiał górny guzik koszuli i pospiesznie, z irytacją wyciągnął z kieszeni krawat.

Za Foggiem do pokoju weszła ciemnowłosa kobieta, a za nią starzec od węzłów, grubas z jaszczurką i reszta nauczycieli, którzy przewinęli się tu dziś po południu. Stanęli pod ścianami i w kątach, przyglądając mu się i szepcząc między sobą. Punk z tatuażami też wszedł – wślizgnął się, nim drzwi się zamknęły, nie zauważony przez pedagogów.

– No wejdźcie, wejdźcie. – Dziekan zachęcił ich gestem. – W następnym roku powinniśmy to przeprowadzić w cieplarni. Pearl, podejdź tutaj.

To było do młodej blondynki, która kazała Quentinowi narysować mapę.

– A teraz, Quentinie – zaczął dziekan, kiedy wszyscy znaleźli się już w środku – usiądź, proszę.

Quentin już siedział. Pochylił się w krześle nieco mocniej.

Dziekan Fogg wyjął z kieszeni świeżą talię kart, nadal w celofanie, a z drugiej garść pięciocentówek, może w sumie

dolara, i rzucił je na stół z nadmierną emfazą, więc po prostu rozsypały się wokoło. Obaj pochyłili się, żeby je pozbiierać.

– Dobra, zabierajmy się do pracy. – Fogg klasnął w ręce i zatarł je. – Pokaż nam magię.

Czy już przez to nie przechodzili? Quentin zachował wystudiowany lodowaty wyraz twarzy, choć czuł, że w środku się zapada. Powoli rozwinął z celofanu sztywne nowe karty. Szelest plastiku w cichym pokoju był wręcz ogłuszający. Patrzył jakby z wielkiej odległości, jak jego ręce posłusznie zaczynają tasować i przekładać karty. Szukał w myślach sztuczki, której nie pokazał za pierwszym razem. Ktoś zakaszłał.

Ledwie zdążył zacząć, Fogg mu przerwał:

– Nie. Nienienienienienie! – Dziekan zachichotał, i to niezbyt uprzejmie. – Nie tak. Chcę zobaczyć prawdziwą magię.

Zapukał dwa razy knykciami w blat stołu i znów rozparł się w krzesło. Quentin odetchnął i spróbował odszukać na twarzy Fogga dobry humor, który widział tam wcześniej, ale dziekan tylko przyglądał mu się wyczekująco. Oczy miał bladoniebieskie, jaśniejsze niż wcześniej.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział Quentin w ciszy powoli, jakby zapomniał rolę w szkolnym przedstawieniu i musiał prosić o podpowiedź. – Jaką prawdziwą magię?

– Nie wiem. – Fogg rzucił rozbawione spojrzenie na innych nauczycieli. – Nie mam pojęcia. Ty mi powiedz jaką.

Quentin przetasował karty kilka razy, grając na czas. Nie wiedział, co robić. Zrobiłby wszystko, gdyby mu tylko powiedzieli co. No i już, pomyślał, to koniec. Tak właśnie smakuje porażka. Rozejrzał się po pokoju. Wszystkie twarze były albo pozbawione wyrazu, albo unikały jego spojrzenia. Nikt nie zamierzał mu pomóc. Czyli wraca do Brooklynu. Ze złością poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Zamrugął

szybko, aby się ich pozbyć. Tak bardzo chciał, żeby mu nie zależało, lecz zapadał się w siebie i nie miał się czego złapać. No i już, pomyślał. To jest ten egzamin, którego nie zdałem. Cóż, nic w tym dziwnego. Zastanawiał się tylko, ile czasu będą to ciągnąć.

– Przestań z nami pogrywać, Quentinie! – warknął Fogg. Pstryknął palcami. – No już, obudź się!

Przechylił się przez stół i złapał Quentina brutalnie za rękę. Ten kontakt fizyczny był prawdziwym szokiem. Fogg miał silne dłonie, dziwnie suche i gorące. Zaczął wyginać palce Quentina, zmuszał je do ułożenia, które powodowało ból.

– O tak – powtarzał. – W ten sposób, w ten sposób.

– Dobra, niech pan przestanie – zażądał Quentin. Spróbował się wyrwać. – Proszę przestać!

Fogg bynajmniej go nie puścił. Widzowie poruszyli się niepewnie, ktoś coś powiedział. Fogg dalej ścisnął dłonie Quentina, teraz oburącz. Odginał mu palce, rozsuwał tak mocno, że aż piekło. Między ich rękami jakby zaczęło migotać światło.

– Powiedziałem, żeby pan przestał! – Quentin wyrwał rękę.

Zaskakujące, jakim miłym uczuciem jest wściekłość. Wreszcie mógł się czegoś przytrzymać. W zaszokowanej ciszy, jaka zapadła w pokoju, odetchnął głęboko i wypuścił powietrze przez nos. Kiedy skończył wydech, poczuł się tak, jakby pozbył się całej rozpacz. Miał dość tego osądzania. Znosił je przez całe życie, ale są jakieś granice, no nie?

Fogg znów mówił, lecz Quentin go nie słuchał. Zaczął coś recytować pod nosem, coś znajomego. Chwilę mu zabrało uświadomienie sobie, że nie mówi po angielsku, tylko w języku, który wymyślił dziś po południu. Postanowił, że to mało znany dialekt, którym mówi się na jednym tylko tropikalnym archipelagu, w leniwym gorącym

raju z obrazów Gauguina, gdzie pełno czarnych plaż, drzew owocowych i strumieni słodkiej wody. Wyposażył ten raj w połyskującego na czerwono złego boga wulkanów i kulturę mówioną pełną obscenicznych przekleństw. Nie modlił się, to co szeptał, przypominało raczej zaklęcie.

Przestał tasować karty. Nie było odwrotu. Wszystko działa się teraz bardzo, bardzo powoli, jakby pokój wypełnił się lepkiem, zupełnie przezroczystym płynem, w którym wszystko poruszało się leniwie. Wszystko i wszyscy prócz Quentina, który jako jedyny działa! szybko. Złożył ręce, jakby chciał wypuścić gołębia, i cisnął lekko karty w sufit. Talia się rozsypała, karty zaczęły spadać niczym ułamki meteorytu w atmosferze, a spadając, układały się na stole w domek, tworząc dość podobny, choć zdecydowanie impresjonistyczny w wyrazie model budynku, w którym się znajdowali. Karty spadały na pozór przypadkowo, lecz każda odnajdowała precyzyjnie swoje miejsce, jedna po drugiej. Dwie ostatnie, as pikowy i kierowy, oparły się o siebie, tworząc dach nad wieżą zegarową.

W pokoju panowała absolutna cisza. Dziekan Fogg siedział jak przymurowany. Quentinowi stanęły dęba wszystkie włoski na rękach, ale wiedział, co robi. Jego palce pozostawiały w powietrzu ledwie widoczne fluorescencyjne ślady. Czuł się jak na hajcu. Pochylił się do przodu i dmuchnął lekko na domek z kart, a ten rozsypał się w idealnie ułożoną talię. Wziął ją i rozsunał w wachlarz jak krupier Blackjacka. Wszystkie karty to były damy – w podstawowych kolorach oraz w innych, takich, które nie istnieją, zielonym, żółtym i niebieskim. Dama rogów, dama zegarów, dama pszczoł, dama ksiąg. Niektóre miały na sobie suknie, inne były bezwstydnie nagie. Niektóre miały twarz Julii. Niektóre twarz uroczej ratowniczkii. Dziekan Fogg przyglądał się Quentinowi uważnie. Wszyscy mu się przyglądali. No to popatrzcie na to: złożył znów karty i bez

wysiłku przedał je na pół, a potem połówki jeszcze raz na pół i powstałym w ten sposób konfetti rzucił w widzów, którzy się uchyliłi. Wszyscy prócz Fogga.

Wstał. Krzesło upadło za nim na podłogę.

– Powiedz mi, gdzie jestem – zażądał cicho. – Powiedz mi, co tu robie.

Złapał garść monet, tylko że to już nie były monety, ale rękojeść jasnego płonącego miecza, który bez trudu wyciągnął z blatu stołu.

– Powiedzcie mi, co się tu dzieje – rzekł głośniej, zwracając się do widzów. – A jeśli to nie jest Fillory, niech mi ktoś, do cholery, powie, gdzie ja jestem.

Podsunał czubek miecza pod nos Fogga i przytrzymał przez czas potrzebny na powolne policzenie do dziesięciu, po czym obrócił ostrze i wbił w drewno stołu. Klinga zagłębiła się w miękkim drewnie i utknęła.

Fogg ani drgnął. Miecz kołysał się na miejscu. Quentin bezwiednie pociągnął nosem. Resztką światła za oknem znikła. Zapadła noc.

– No cóż... – powiedział wreszcie dziekan. Wyciągnął z kieszeni starannie złożoną chusteczkę i poklepał się nią po czole. – Myślę, że wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że mamy tu przykład zdanego egzaminu.

Ktoś – chyba starzec od węzłów – położył rękę na plecach Quentina, po czym delikatnie, acz z zaskakującą siłą wyciągnął miecz ze stołu i odłożył na bok. Zebrani nauczyciele zaczęli niepewnie klaskać. Wkrótce ich oklaski zmieniły się w owację.

ELIOT

Później Quentin nie mógł sobie przypomnieć, jak skończył się ten wieczór, pamiętał tylko, że spędził noc w szkole. Czuł się wyczerpany i słaby jak po narkotykach. Miał wrażenie, że pierś ma zupełnie pustą. Nie był nawet głodny, po prostu straszliwie śpiący. Czuł się tym zażenowany, ale nikt się jakoś nie przejmował. Profesor Van der Weghe – tak się nazywała ciemnowłosa kobieta – zapewniła go, że to zupełnie naturalne zmęczenie, ponieważ właśnie wykonał swoje pierwsze Mniejsze Zaklęcie, cokolwiek to znaczyło, i miał prawo tak się czuć. Powiedziała, że wszystko załatwiono z jego rodzicami i nie będą się niepokoić. W tym momencie Quentina w ogóle to nie obchodziło, chciał tylko spać.

Pozwolił, by na wpół poprowadziła, a na wpół zaniosiła go na górę. Weszli chyba na tysiąc ciągów schodów, aż wreszcie znaleźli się w czystym pokoiku, w którym stało bardzo, bardzo miękkie łóżko z bardzo, bardzo chłodnymi białymi prześcieradłami. Zwalił się na nie, nie zdejmując nawet butów. Zdjęła mu je profesor Van der Weghe. Przykryła go i zasnął, nim zamknęła za sobą drzwi.

Następnego ranka potrzebował długiej, pełnej zdumienia minuty, żeby się zorientować, gdzie jest. Leżał w łóżku, powoli składając w całość wspomnienia z poprzedniego dnia. Był piątek i wedle wszelkich reguł powinien być teraz w szkole, a tymczasem obudził się w nieznannej sypialni we wczorajszych ciuchach. Czuł się nieco zagubiony i rozżalony, jakby wypił za dużo na przyjęciu u ludzi, których nie znał zbyt dobrze, i zasnął w ich gościnnym pokoju. Miał nawet coś w rodzaju kaca.

Co właściwie wydarzyło się wczoraj? Co on takiego zrobił? Wspomnienia miał jakieś dziwne. Wczorajszy dzień

wydawał mu się snem – musiał nim być – chociaż równocześnie Quentin odnosił wrażenie, że wszystko zdarzyło się jednak na jawie. Ten pokój też mu się nie śnił. Na zewnątrz zakrakała głośno wrona i natychmiast zamilkła, jakby skonfundowana. Znikąd nie dobiegały żadne inne dźwięki.

Nie podnosząc się, rozejrzał się wokoło. Ściany były półokrągłe – pokój miał kształt wycinka kuli – szczytowa z kamienia, wewnętrzne zasłonięte drewnianymi szafkami i półeczkami. Stało tu wiktoriańskie na oko biurko i toaletka z lustrem. Łóżko ustawiono w obitej boazerią alkowie. W kamiennej ścianie znajdowało się niewielkie wąskie okno. Musiał przyznać, że pokój jest bardzo w porządku. Żadnych oznak czyhającego niebezpieczeństwa. Może nie była to jednak taka zupełna katastrofa? W każdym razie czas wstawać. Czas to zakończyć, odkryć, co się dzieje.

Wstał i podszedł do okna, stąpając po kamiennej zimnej podłodze. Na zewnątrz przywitał go wczesny mglisty poranek. Okno znajdowało się bardzo wysoko, wyżej niż korony najwyższych drzew. Spał dziesięć godzin. Spojrzał na trawnik, cichy i całkiem pusty. Zobaczył też wronę – szybowała poniżej niego na błyszczących niebieskawo-czarnych skrzydłach.

Na biurku leżała wiadomość, że w najbliższym stosownym czasie czeka go śniadanie z dziekanem Foggiem. Potem piętro niżej odkrył wspólną łazienkę z prysznicami i rzędami białych porcelanowych umywalek oraz stosami starannie złożonych szorstkich białych ręczników. Umył się – gorąca woda leciała pod dużym ciśnieniem. Stał pod jej strumieniem, póki nie poczuł się czysty i spokojny. Wysikał się pod prysznicem, powoli i z rozmysłem, patrząc, jak ciemnożółty mocz spływa do ścieku. Dziwacznie się czuł na myśl, że nie jest w szkole, tylko przeżywa przygodę w jakimś

nieznanym i problematycznym miejscu. To było miłe uczucie. Umysł mimowolnie obliczał szkody, jakie jego nieobecność spowoduje w domu na Brooklynie; na razie wydawały się ograniczone. Postarał się wyglądać jak najlepiej we wczorajszym wyjściowym garniturze, w którym przespał całą noc, po czym zszedł na dół.

Dom sprawiał wrażenie kompletnie wymarłego. Nie spodziewał się oficjalnego przyjęcia, ale musiał krążyć dobre dwadzieścia minut po pustych korytarzach, klasach, bawialniach i tarasach, nim kamerdyner w białych rękawiczkach, ten sam, który wczoraj podawał kanapki, w końcu go odszukał i zaprowadził do gabinetu dziekana, zaskakująco małego i w większości zajętego przez ogromne biurko, wielkie jak czołg. Na ścianach wisiały półki z książkami i dziwacznymi mosiężnymi przyrządami.

Dziekan, ubrany w jasnozielony płócienny garnitur z żółtym krawatem, przybył chwilę później. Zachowywał się szorstko, z werwą i nie okazał ani cienia zażenowania czy innych emocji w związku z wczorajszą sceną. Oświadczył, że już jadł, lecz Quentin może się posilać podczas rozmowy.

– A teraz – uderzył dłońmi o kolana i zmarszczył brwi – najpierw rzeczy najważniejsze. Magia istnieje naprawdę. Choć to zapewne już pojąłeś.

Quentin nic nie powiedział. Zachował kamienny wyraz twarzy i siedział nieruchomo, wpatrując się w punkt ponad ramieniem Fogga. Niczego nie zamierzał okazać, choć zapewne słowa Fogga stanowiły najprostsze wytłumaczenie tego, co stało się wczoraj. Jakaś część umysłu Quentina, ta, której najmniej ufał, zapragnęła rzucić się na tę ideę jak szczeniak na piłkę. Powstrzymał się jednak z powodu tego wszystkiego, co mu się w życiu przydarzyło. Zbyt długo czuł się rozczarowany światem – tak wiele lat szukał właśnie czegoś takiego, jakiegoś dowodu, że świat realny nie jest jedynym, jaki istnieje, i walczył rozpaczliwie z

przeważającymi dowodami na to, że jednak jest. Więc teraz nie zamierzał dać się zrobić tak po prostu. Czuł się, jakby właśnie odkrył, że ktoś, kogo pochował i opłakał, tak naprawdę żyje.

Pozwolił Foggowi mówić.

– Żeby odpowiedzieć na twoje wczorajsze pytania: znajdujesz się w College’u Nauk Magicznych Brakebills. – Kamerdyner przyniósł tacę pełną zakrytych półmisek. Zaczął je odkrywać niczym kelner w hotelu. – Biorąc za podstawę pokaz, jaki dałeś podczas wczorajszych egzaminów, postanowiliśmy zaproponować ci tu naukę. Spróbuj bekonu, jest świetny. Z miejscowej farmy, karmią tam świnię śmietanką i orzechami.

– Chce pan, żebym tu chodził do szkoły. Do college’u.

– Tak. Tu zamiast na zwykły uniwersytet. Jeśli chcesz, możesz nawet zachować pokój, w którym spałeś.

– Ale nie mogę tak po prostu... – Quentin nie wiedział, jak wyrazić w jednym zdaniu wszystko, co było śmieszne w tym pomysśle. – Przepraszam, to trochę zagmatwane. Chce pan, żebym odłożył na później pójście do college’u?

– Nie, Quentinie. Nie odłożył. Żebyś zrezygnował z pójścia do college’u. Brakebills będzie twoim college’em. – Dziekan miał najwyraźniej dużą praktykę w takich rozmowach. – Nie dla ciebie Ivy League. Nie pójdziesz na uczelnię razem z resztą klasy. Nigdy nie będziesz członkiem bractwa Phi Beta Kappa, nie zrekrutuje cię do pracy żaden fundusz hedgingowy ani łowca głów. To nie jest szkoła na lato, Quentinie. Tu zdobywa się wszystko, całe wykształcenie. – Wymówił to zdanie bardzo wyraźnie, szeroko otwierając oczy.

– Czyli cztery lata...

– Pięć.

– ... po których dostanę co? Tytuł magistra magii? – Zabrzmiało to śmiesznie. – Nie wierzę, że odbywam tę

rozmowę – powiedział gdzieś w przestrzeń.

– Po których będziesz czarodziejem, Quentinie. Wiem, że ten rodzaj kariery jest dla ciebie czymś oczywistym. Twój doradca szkolny na pewno by jej nie zaaprobował. Nikt nie będzie wiedział, co tutaj robisz. Zrezygnujesz ze wszystkiego. Z dawnych przyjaciół, planów na przyszłość, ze wszystkiego. Stracisz jeden świat, ale zyskasz inny. Brakebills stanie się twoim światem. Wiem, że niełatwo podjąć taką decyzję.

Rzeczywiście. Quentin odsunął talerz i skrzyżował ręce na piersi. Grał na zwłokę.

– Więc jak mnie znaleźliście?

– Och, mamy specjalne urządzenie do tego celu. Globus – Fogg wskazał na półkę, gdzie stało ich całe mnóstwo: globusy nowoczesne, globusy oceanów, białe globusy księżycowe, granatowe połyskliwe globusy sfer niebieskich, ciemne, przydymione i niewyraźne globusy pokryte groteskowo zniekształconymi kontynentami... – Wyszukuje młodych ludzi, którzy mają zdolności magiczne. Nie wdając się w szczegóły, powiem, że wyczuwa magię praktykowaną często mimowolnie przez niezarejestrowanych czarodziejów, takich jak ty. Jak przypuszczam, wyczuł twoją sztuczkę z wędrującą monetą. Mamy też zwiadowców – ciągnął. – Twój stary przyjaciel Ricky jest jednym z nich. – Dotknął swej szczęki w miejscu, gdzie Ricky nosił brodę *a la* amisz.

– A ta kobieta z warkoczami? Ta ratowniczką? Ona też była zwiadowcą?

Fogg zmarszczył brwi.

– Z warkoczami? Widziałeś ją?

– No tak. Tuż przed przybyciem tutaj. Nie wysłał jej pan?

Na twarzy Fogga pojawił się wystudiowany nieodgadniony wyraz.

– W pewnym sensie tak. To szczególny przypadek. Pracuje niezależnie. Można powiedzieć, że to wolny strzelec.

Quentinowi zawirowało w głowie. Może powinien poprosić o ich prospekt informacyjny? Nie padło ani słowo na temat samej nauki. A pomimo tych darowanych koni i tak dalej, co właściwie wiedział o tym miejscu? Przypuśćmy, że to naprawdę szkoła magii. Ale czy dobra? A jeśli przypadkiem trafił do trzeciorzędnego magicznego college'u? Musi myśleć praktycznie. Nie zamierzał się skazywać na lokalny college czarnoksięstwa, jeśli mógł wybrać jakiś Harvard Magii czy coś w tym rodzaju.

– Nie chce pan obejrzeć moich dotychczasowych wyników w nauce?

– Oczywiście, że je obejrzę – zapewnił Fogg cierpliwie. – Choć dla nas liczy się tylko wczorajszy egzamin. Jest bardzo wszechstronny. Trudno się tu dostać, rozumiesz. Wątpię, czy w tym kraju jest inna równie elitarna szkoła. Tego lata zorganizowaliśmy sześć sesji egzaminacyjnych, żeby znaleźć kandydatów na dwadzieścia miejsc. Wczoraj zdały tylko dwie osoby, ty i ten chłopiec z tatuażami. Ten, który mówi, że nazywa się Penny, choć to nie może być jego prawdziwe imię.

– To jedyna szkoła magii w całej Ameryce Północnej – ciągnął Fogg, odchylając się na krześle. Wyglądał tak, jakby go cieszyło skrepowanie Quentina. – Jest jeszcze jedna w Wielkiej Brytanii, dwie na kontynencie, cztery w Azji i tak dalej. Z jakichś powodów jedna w Nowej Zelandii. Ludzie wygadują bzdury o amerykańskiej magii, mogę cię jednak zapewnić, że utrzymujemy międzynarodowe standardy. W Zurychu nadal uczą frenologii, możesz w to uwierzyć?

Coś małego, lecz ciężkiego spadło z brzękiem na biurko Fogga. Pochylił się, żeby to złapać: srebrna figurka ptaka, która najwyraźniej próbowała się wyrwać.

– Biedaczek – powiedział, gładząc ją dużą dłonią. – Ktoś

próbował go zmienić w prawdziwego ptaka, utknął jednak w połowie. Nieszczęśnik myśli, że jest żywy, ale jest za ciężki, żeby latać. – Metalowy ptak zaćwierkał słabo; suchy, klekoczący dźwięk jakby spustu nienabitego pistoletu. Fogg westchnął i wsadził go do szuflady. – Zawsze wyskakuje przez okno i ląduje w żywopłocie. A więc... – Tu dziekan pochylił się do przodu i złożył palce. – Jeśli zdecydujesz się immatrykulować tutaj, poddamy twoich rodziców pewnemu zakłębciu iluzji. Oczywiście nie mogą się dowiedzieć o Brakebills, niemniej będą przekonani, że zostałeś przyjęty na wyjątkowo prestiżową prywatną uczelnię, co nie odbiega w końcu od prawdy, i będą z ciebie bardzo dumni. To bezbolesne i bardzo efektywne zakłębcie, o ile nie powiesz im czegoś zbyt oczywistego... Aha, i zaczniesz naukę praktycznie od razu. Semestr zaczyna się za dwa tygodnie, więc będziesz musiał opuścić resztę ostatniej klasy liceum. Pewnie nie powinienem ci mówić tego wszystkiego, nim uporamy się z papierkową robotą.

Fogg wyjął pióro i gruby plik gęsto ręcznie zapisanych kartek. Wyglądały jak układ przymierza między dwoma osiemnastowiecznymi państwami.

– Penny podpisał już wczoraj – powiedział. – Przeszedł przez egzaminy jak burza. A ty co powiesz?

Czyli to już, oferta końcowa. Fogg położył przed nim papiery i wyciągnął pióro. Quentin je wziął. To było luksusowe wieczne pióro, grube jak cygaro. Zawiesił dłoń nad papierem. Przecież to śmieszne. Czy naprawdę zamierza wyrzec się wszystkiego? Wszystkiego i wszystkich? Jamesa i Julii, college'u, do którego mógł pójść, kariery, którą mógł zbudować, wszystkiego, do czego się szykował? Dla czegoś takiego? Dla tej dziwacznej farsy, dzieciennego marzenia, przebieranki?

Wyjrzał przez okno. Fogg obserwował go beznamiętnie, czekał, aż się skusi. Jeśli mu zależało, nie dał po sobie nic

poznać. Mały ptak z metalu uciekł z szuflady i teraz pracowicie walił łebkiem w boazerię.

I wtedy nagle Quentinowi spadł z serca wielki kamień. Miał wrażenie, że tkwił tam przez całe jego życie, niewidzialny albatros, granitowe koło młyńskie przygniatające go do ziemi. Niespodziewanie spadł i zniknął. Quentin poczuł się tak, jakby wreszcie mógł oddychać, jakby zaraz miał ulecieć pod sufit, taki zrobił się lekki. Chciał go wyksztalcić na czarodzieja. Wystarczy, że podpisze. Jezu, nad czym on się zastanawia? Oczywiście, że podpisze. Przecież tego zawsze chciał, to był ten przełom, w który zwątpił tyle lat temu. Leżał tu, pod jego nosem. Wreszcie się znalazł po drugiej stronie, wszedł przez lustro do nory białego królika. Podpisze te papiery i zostanie pierdolonym czarodziejem. Bo co innego miałby zrobić ze swoim życiem?

– Dobra – powiedział równym głosem. – W porządku. Pod jednym warunkiem: chcę zacząć od razu. Chcę zostać w tym pokoju. Nie chcę wracać do domu.

Nie kazali mu wracać do domu. Dostał natomiast swoje rzeczy dostarczone na miejsce w marynarskich workach i walizkach na kółkach. Zapakowali je rodzice, którzy tak jak obiecywał Fogg, jakimś cudem pogodzili się z faktem, że ich jedyne dziecko nagle, w środku semestru, przenosi się do tajemniczej placówki edukacyjnej, o której nigdy nawet nie słyszeli, o zwiedzaniu jej nie wspominając. Quentin niespiesznie rozpakował ubrania i książki, ułożył je w szafkach i na półkach w swoim kopulastym pokoiku. Stanowiły część jego dawnego ja, jego dawnego życia, tego, które zrzucił z siebie jak wylinkę. Brakowało w nich jedynie książki, a właściwie notesu, który dała mu ratowniczką. Nigdzie nie mógł go znaleźć. Zostawił go w sali egzaminacyjnej, założywszy, że tam wróci, ale kiedy faktycznie wrócił, okazało się, że notes zniknął. Dziekan

Fogg i kamerdyner przysięgali, że nic nie wiedzą na ten temat.

Siedząc samotnie w swoim pokoju i układając na łóżku ubrania, Quentin rozmyślał o Jamesie i Julii. Bóg jeden wie, co sobie myślą. Tęsknią za nim? Czy teraz, kiedy zniknął, Julia wreszcie zrozumie, że związała się z niewłaściwym facetem? Zapewne powinien się z nimi jakoś skontaktować. Choć co tak naprawdę miałby im powiedzieć? Ciekawe, co by się stało, gdyby James wziął od ratowniczkę swoją kopertę. Może też by przystąpił do egzaminów? Może takie było założenie?

Pozwolił sobie na lekkie rozluźnienie. Niewielkie. Przestał przez cały czas spodziewać się ciosu z nieba i po raz pierwszy w życiu serio zaczął podejrzewać, że być może nigdy na niego nie spadnie.

Nie mając nic innego do roboty, włóczył się po wielkim domu, przez nikogo nie pilnowany. Kiedy natykał się na dziekana i nauczycieli, zachowywali się miło, ale wyraźnie zajęci byli własną robotą i własnymi problemami. Zupełnie jakby zamieszkał poza sezonem w luksusowym kurorcie, w wielkim hotelu pozbawionym gości, nic tylko puste pokoje i puste ogrody, i puste, pełne echa korytarze. Jadał posiłki sam w swoim pokoju, snuł się po bibliotece – oczywiście mieli dzieła zebrane Christophera Plovera – i powoli po kolei rozpatrywał wszystkie zadania, projekty i testy, których nigdy nie będzie musiał skończyć. Raz udało mu się znaleźć drogę na wieżę zegarową i spędził całe popołudnie – póki przez ogromną tarczę zegara nie wpadły jaskrawe promienie zachodzącego słońca – na wpatrywaniu się w rozkołysane zardzewiałe wahadło, które wprawiało w ruch ogromne koła i dźwignie podążające leniwie za swą mechaniczną logiką.

Czasami znienacka wybuchał śmiechem, całkiem bez powodu. Eksperymentował ostrożnie z myślą, że jest szczęśliwy, niepewnie zanurzając stopy w tych upajająco

musujących wodach. W tym akurat nie miał wielkiej praktyki. Był albo największym geniuszem, albo największym idiotą wszech czasów, ale przynajmniej przepelniała go ciekawość, co się z nim stanie. Po raz pierwszy nie miał pojęcia, jak długo śledzić będzie z zainteresowaniem akcję. Na Brooklynie rzeczywistość sprawiała wrażenie pustej i pozbawionej znaczenia – do materii, z jakiej została utkana, znaczenie po prostu nie chciało przylegać. W Brakebills odwrotnie, tu wszystko się liczyło. Znaczenie – czy o to chodzi w magii? – gdzieś tu się skrywało. Całe Brakebills było nim przesiąknięte. Dotąd balansował na skraju poważnej depresji, a nawet gorzej, niemal się nauczył, jak na serio się znieubić. Omal nie wyrządził sobie takiej wewnętrznej szkody, z jakiej nie sposób się uleczyć. Teraz natomiast czuł się jak Pinokio, drewniany chłopiec, który zmienił się w prawdziwego. Czy może na odwrót? Zmienił się z prawdziwego chłopaka w coś zupełnie innego? W każdym razie była to zmiana na lepsze. Wprawdzie to nie Fillory, ale tyle mu wystarczy.

Od czasu do czasu widywał z daleka Eliota, spieszącego przez pusty trawnik albo rozwalonego na parapecie okna i kartkującego w roztargnieniu książkę lub wyglądającego na zewnątrz. Otaczała go aura cudownie melancholijnego wyrafinowania, jakby powinien przebywać zupełnie gdzie indziej, gdzieś, gdzie jest nieskończenie bardziej interesująco niż w Brakebills, i jedynie jakieś groteskowe boskie przeoczenie skazało go na pobyt tutaj. Przeoczenie, które znosił tak pogodnie, jak tylko potrafił.

Pewnego dnia, idąc skrajem wielkiego trawnika, Quentin napotkał Eliota opartego o dąb, palącego papierosa i czytającego książkę w miękkiej okładce. Znajdowali się w mniej więcej tym samym miejscu, gdzie spotkali się po raz pierwszy. Z uwagi na niezwykłą budowę szczęki papieros sterczał z ust Eliota pod dziwacznym kątem.

– Poczęstujesz się? – spytał uprzejmie Eliot. Przestał czytać i wyciągnął do Quentina niebiesko-białą paczkę meritów ultra light. Nie rozmawiali ze sobą od pierwszego dnia Quentina w Brakebills.

– To kontrabanda – ciągnął, nie okazując rozczarowania, kiedy Quentin nie wziął papierosa. – Chambers mi je kupuje. Raz go przyłapałem w piwnicy na wino, jak spijał bardzo dobry syrah z prywatnych zapasów dziekana. Jeleni Skok, rocznik dziewięćdziesiąt sześć. Doszliśmy do porozumienia. To w sumie miły facet, nie powinienem go szantażować. Całkiem niezły malarz amator, choć w przygnębiająco niemodnym realistycznym stylu. Raz pozwoliłem mu się namalować, wyobraź sobie, w draperii. W rękę trzymałem frisbee. Chyba miałem być Hiacyntem. Chambers jest w głębi duszy *pompiste*. Mam wrażenie, że nie wierzy w takie rzeczy jak impresjonizm.

Quentin nigdy w życiu nie spotkał nikogo tak niewiarygodnie i nieugięcie afektowanego. Trudno było wyczuć, jak należy odpowiadać. Zebrał do kupy całą wiedzę o życiu, jaką udało mu się zgromadzić w Brooklynie.

– Merity są dla ciebie – poinformował Eliota.

Ten zmierzył go wzrokiem.

– Prawda. Ale to jedyne papierosy, jakie jestem w stanie znieść. Paskudny nałóg. No już, zapal ze mną.

Quentin przyjął papierosa. Wkraczał teraz na nieznany grunt. Oczywiście trzymał już kiedyś w rękę papierosa – w końcu to pospolity rekwizyt w magicznych sztuczkach – lecz nigdy nie włożył żadnego do ust. Teraz zniknął go – klasyczny trick – po czym pstryknął palcami, żeby przywołać z powrotem.

– Powiedziałem zapal, a nie zabawiaj się nim – uciał Eliot. Zamruczał coś pod nosem, po czym też pstryknął palcami. Na czubku jego kciuka pojawił się płomyk, jak w zapalniczce. Quentin pochylił się, przypalił i zaciągnął się.

Wrażenie było takie, jakby mu płuca coś ścisnęło, a potem spaliło. Kaszlał przez dobrych pięć minut non stop. Eliot śmiał się tak bardzo, że aż musiał usiąść. Quentin miał twarz zalaną łzami. Zmusił się do następnego sztachnięcia, po czym zwymiotował w żywopłot.

Resztę popołudnia spędzili razem. Być może Eliot czuł się winny za tego papierosa albo może uznał, że nuda w towarzystwie Quentina jest nieco mniejsza niż nuda w samotności. Albo po prostu potrzebował obecności kogoś nieskomplikowanego. Oprowadził Quentina po kampusie i objaśnił mu tajniki życia w Brakebills.

– Nowicjusze często uważają, że pogoda jest tu niezwykle łagodna jak na listopad. Nic podobnego, to dlatego, że jeszcze trwa lato. Teren Brakebills otoczony jest starymi zaklęciami, żeby ludzie postronni nie zauważali go z rzeki albo podczas spaceru, no wiesz, takie tam. Stare dobre zaklęcia. Można by powiedzieć: klasyka. Tyle że na starość robią się ekscentryczne. Gdzieś w latach pięćdziesiątych zaczęły się obracać wokół własnej osi i odtąd z każdym rokiem jest gorzej. Generalnie nie ma się czym przejmować, choć jesteśmy nieco opóźnieni w stosunku do głównego nurtu. O jakieś dwa miesiące i dwadzieścia osiem dni, plus minus kilka godzin.

Quentin nie wiedział, czy powinien okazać respekt, jaki czuł w głębi duszy, czy raczej udawać zimne światowe znużenie. Zmienił temat i zapytał o plan zajęć.

– W pierwszym roku niczego się nie wybiera. Henry – Eliot nazywał dziekana po imieniu – każe wszystkim robić to samo. Jesteś bystry?

Na tak postawione pytanie trudno było znaleźć mało krępującą odpowiedź.

– Tak sędzę.

– Nie przejmuj się, wszyscy tu są bystrzy. Skoro

sprowadzili cię na egzamin, musiałeś być najlepszy w szkole, lepszy nawet od belfrów. Wszyscy tutaj to najsprytniejsze małpy na swoim drzewie. Tyle że teraz wszystkie siedzą na jednym. To prawdziwy szok. Nagle się okazuje, że nie ma dość kokosów. Po raz pierwszy w życiu będziesz miał do czynienia z ludźmi równymi ci albo lepszymi od ciebie. Nie spodoba ci się to. A nauka tutaj też jest inna. Nie taka jak myślisz. Nie macha się różdżką, wykrzykując łacińskie łamańce. Właśnie z tych powodów większość ludzi tego nie potrafi.

– Tych, czyli jakich? – spytał Quentin.

– Z jakich powodów większość ludzi nie potrafi uprawiać magii? No cóż... – Eliot wystawił długi chudy palec. – Po pierwsze, to bardzo trudne, a oni nie są dość bystrzy. Po drugie, to bardzo trudne, a oni nie cierpią na obsesje i nie są na tyle nieszczęśliwi, żeby włożyć w to dość wysiłku. Po trzecie, brakuje im nauk i wskazówek dostarczanych przez oddane i niezwykle charyzmatyczne grono pedagogiczne College’u Nauk Magicznych Brakebills. Po czwarte, nie mają mocnego i sztywnego kręgosłupa moralnego, który jest niezbędny do spokojnego i odpowiedzialnego kierowania energią magiczną. I wreszcie po piąte – wyciągnął kciuk – niektórzy ludzie mają to wszystko, a mimo to im się nie udaje. Nie wiadomo dlaczego. Wypowiadają właściwe słowa, robią właściwe gesty i nic. Biedacy. My do nich nie należymy. My mamy szczęście. My mamy to coś, cokolwiek to jest.

– Nie sądzę, żebym miał kręgosłup moralny.

– Ja też nie mam. Odnoszę wrażenie, że to rzecz opcjonalna.

Milczeli przez chwilę, idąc bujnie zieloną, prostą jak strzała wysadzaną drzewami aleją, która prowadziła z powrotem do trawnika. Eliot zapalił kolejnego papierosa.

– Słuchaj, nie chcę się wtrącać, ale zakładam, że

opracowałeś jakiś sekretny magiczny sposób na radzenie sobie z negatywnymi skutkami, jakie papierosy wywierają na zdrowie – powiedział Quentin.

– Miło, że pytasz. Co dwa tygodnie przy księżycu składałam w ofierze dziewiczą studentkę za pomocą skalpela wykutego przez szwajcarskich albinosów. Którzy też są dziewicami. Tb bardzo oczyszcza płuca.

Potem Quentin widywał Eliota prawie codziennie. Całe jedno popołudnie Eliot poświęcił na uczenie go drogi przez labirynt, który oddzielał Dom – „wszyscy go tak nazywają” – i wielki trawnik noszący oficjalną nazwę Trawnik Seagrave’a od nazwiska osiemnastowiecznego dziekana, który oczyścił i wyrównał ten teren, powszechnie nazywany Morzem, a czasami Mogiłą. W labiryncie (Labiryncie) znajdowało się sześć fontann. Każda miała oficjalną nazwę, zwykle od nazwiska zmarłego dziekana, oraz przezwisko wygenerowane przez zbiorową podświadomość pokoleń studentów Brakebills. Żywopłoty tworzące Labirynt przycięto w kształty ciężkich, powolnych zwierząt – niedźwiedzi i słoni i innych, trudniejszych do zidentyfikowania stworzeń. W przeciwieństwie do zwykłych strzyżonych w figury krzaków te się poruszały. Bardzo powoli, niemal niezauważalnie, na wpół zanurzone w ciemnym listowiu, przesuwwały się niczym hipopotamy w afrykańskiej rzece.

Ostatniego dnia przed rozpoczęciem zajęć Eliot zaprowadził Quentina na front Domu, który wychodził prosto na rzekę Hudson. Pomiedzy rzeką a tarasem rósł zagajnik platanów. Dalej szerokie kamienne schody prowadziły do ładnego wiktoriańskiego w stylu hangaru na łodzie. W jednej chwili uznali, że muszą zaraz, ale to zaraz popływać po rzece, choć żaden nie miał pojęcia o wiosłowaniu. Tyle że, jak zauważył Eliot, obaj byli certyfikowanymi czarodziejami geniuszami, a poza tym

wiosłowanie nie może być przecież trudne.

Postępując i pokrzykując na siebie, zdjęli ze stojaka długą dwuosobową łódź wyścigową, śliczną i dziwnie lekką, jak wylinka ogromnego owada, pokrytą pajęczynami i pachnącą upojnie politurą. Głównie dzięki szczęściu udało im się obrócić ją dnem w dół i spuścić na wodę, nie czyniąc sobie żadnej krzywdy ani nie wkurzając się na siebie do tego stopnia, żeby porzucić rozrywkę. Po kilku próbach zdołali wycelować dziobem łódki we właściwym kierunku i zaczęli wiosłować, powoli i nierówno, w czym przeszkadzał im – chociaż ich nie powstrzymywał – totalny brak umiejętności oraz to, że Quentin nie miał zupełnie formy, a Eliot nie tylko nie miał formy, ale i palił nałogowo.

Kiedy przepłynęli jakieś pół mili w górę rzeki, letni dzień nagle zniknął i zrobiło się zimno i szaro. Quentin sądził, że to letnia burza, Eliot jednak wyjaśnił, że właśnie minęli zewnętrzną granicę zaklęć obejmujących teren Brakebills i wpłynęli w listopad. Przez dwadzieścia minut wiosłowali w górę rzeki i dryfowali z powrotem, wiosłowali i dryfowali, przyglądając się, jak niebo zmienia kolor, czując, jak temperatura spada i rośnie, spada i rośnie.

W drodze powrotnej czuli się zbyt zmęczeni, by wiosłować, więc dryfowali z prądem. Eliot leżał na dnie łódki, palił i gadał. Z powodu aury nieomyślności i pewności siebie, jaką roztaczał, Quentin założył, że wychował się wśród bogaczy Manhattanu, tymczasem okazało się, że dorastał na farmie w Oregonie.

– Moi rodzice dostają kasę za to, żeby nie siać soi – stwierdził. – Mam trzech starszych braci. Wspaniałe okazy mięśniaków, serdeczni atleci o grubych karkach, którzy pija schlitza i litują się nade mną. Tata nie ma pojęcia, jak to się stało. Sądzi, że żuł za dużo tytoniu, kiedy mnie począł, i dlatego „nie wyszłem w porzo”. – Eliot zgasił merita w szklanej popielniczce ustawionej chwiejnie na błyszczącej

drewnianej burcie i od razu zapalił kolejnego. – Uważają, że jestem w szkole specjalnej dla komputerowców i pedziów. Właśnie dlatego nie jeżdżę do domu na lato. Henry’emu to nie przeszkadza. Nie byłem w domu, odkąd tu trafiłem. Zapewne mi współczujesz – dodał lekko. Na ubranie miał narzucony szlafrok, co nadawało mu wygląd rozmemłanego księcia. – Zapewniam cię, że nie masz powodu. Jestem tu szczęśliwy. Niektórzy ludzie potrzebują rodziny, żeby się stać tym, kim powinni być. Nie ma w tym niczego złego, jednak można to osiągnąć również w inny sposób.

Quentin nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak trudno musiało być Eliotowi wyrobić w sobie tę niedorzecznie przesadną beztroskę i jakie problemy musiały się kryć za fasadą wyniosłej obojętności. Lubił myśleć, że sam jest mistrzem nieszczęść, lecz teraz nie mógł się nie zastanawiać, czy przypadkiem Eliot go nie przewyższa. Kiedy dryfowali z powrotem, minęli kilka innych łodzi, żaglówek i jachtów motorowych oraz gnający kajak z obsadą żeńską z West Point, które znajdowało się kilka mil w górę rzeki. Dziewczyny ponuro kulily się z zimna w szarych dresach. Nie odczuwały skwaru albo może nie przynależały do sierpniowego upału, którym cieszyli się Quentin i Eliot. Było im ciepło i sucho i nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Zapewniały im to reguły starych zaklęć.

MAGIA

Magia nie jest nauką ani sztuką, nie jest też religią. Magia jest rzemiosłem. Kiedy uprawiamy magię, nie modlimy się i nie wyrażamy życzeń. Polegając na naszej woli i umiejętnościach, dokonujemy w świecie określonej zmiany. Nie chcę przez to powiedzieć, że rozumiemy magię w takim sensie, jak na przykład fizycy rozumieją, dlaczego molekuly robią to, co robią. Czy może jeszcze tego nie rozumieją, nie pamiętam dokładnie. Chodzi o to, że nie rozumiemy i nie potrafimy zrozumieć ani czym jest magia, ani skąd się bierze, tak samo jak stolarz nie rozumie, dlaczego drzewo rośnie. On nie musi rozumieć. Pracuje z tym, co ma. Oczywiście trzeba tu zaznaczyć, że zawód czarodzieja jest dużo trudniejszy i dużo bardziej niebezpieczny niż zawód stolarza.

To budujące przemówienie wygłaszał profesor March, którego Quentin widział po raz ostatni podczas egzaminów – to ten gruby rudowłosy facet z gryzącą jaszczurką. Ze względu na tuszę i czerwoną twarz sprawiał wrażenie wesołego i wyrozumiałego, ale w praktyce okazał się niewiarygodnym rygorystą.

Kiedy Quentin obudził się tego ranka, wielki pusty Dom roił się od ludzi – nawołujących się, biegających po korytarzach, hałaśliwych ludzi, którzy z hurgotem wlekli po schodach kufry i od czasu do czasu otwierali gwałtownie drzwi do jego pokoju, przyglądali mu się uważnie i zatrząskiwali je z powrotem. To było nieprzyjemne przebudzenie: przywykł do samotnego krążenia po Domu jak jego bezdyskusyjny pan i władca. No, może jak drugi po Eliocie, jego podsekretarz. Tymczasem okazało się, że do Brakebills uczęszcza dziewięćdziesięciu dziewięciu innych studentów podzielonych na pięć roczników. Przybyli tego

ranka, w pierwszy dzień semestru, wszyscy naraz i wszyscy potwierdzali na gwałt swoje prawa.

Pojawiali się w grupach, materializowali się po dziesięciu na tarasie na tyłach Domu. Wszyscy prócz Quentina mieli na sobie mundurki: chłopcy marynarki w paski i krawaty, a dziewczęta białe bluzki i ciemne spódnice w kratę. Jak na college dziwnie to trąciło szkołą średnią.

– Marynarka i krawat obowiązują wszędzie poza własną sypialnią – wyjaśnił Fogg. – Jest więcej podobnych zasad; nauczysz się ich od innych. Większość chłopców woli samodzielnie wybierać krawaty. Wykazuję w tej sprawie pewną pobłażliwość, niemniej nie przeciągaj struny. Zbyt ekstrawaganckie podlegają konfiskacie i będziesz musiał potem nosić krawat szkolny, który jak słyszałem, ponieważ sam jestem w tych sprawach dyletantem, jest okrutnie niemodny.

Kiedy Quentin wrócił do swego pokoju, zastał szafę pełną identycznych granatowo-brązowych marynarek w szerokie na dwa centymetry paski oraz białych koszul. Większość wyglądała na zupełnie nowe; kilka miało lekkie przetarcia na łokciach albo wystrzępione mankiety. Pachniały lekko i wcale nie nieprzyjemnie naftaliną i tytoniem, i byłymi właścicielami. Quentin przebrał się niechętnie i obejrzał w lustrze. Wiedział, że powinien nie znosić tego mundurka, ale tak naprawdę napawał się nim. Bo choć nie czuł się jeszcze czarodziejem, przynajmniej na niego wyglądał.

Każda marynarka miała wyhaftowaną tarczę, złotą pszczołę i złoty klucz na czarnym, upstrzonym srebrnymi gwiazdami polu. Potem dowiedział się, że studenci nazywają ją „klucz i pszczoła”, a jeszcze później, kiedy zaczął na to zwracać uwagę, przekonał się, że ten emblemat jest wszędzie, na dywanach i zasłonach, na listwach przypodłogowych i panelach boazerii.

Quentin siedział w dużej kwadratowej sali wykładowej, narożnym pokoju, który na dwóch ścianach miał wielkie wysokie okna. Znajdowały się tu cztery rzędy eleganckich drewnianych ławek i duży kamienny stół, poprzypalany, podrapany, pełen blizn i tak obity, że wyglądał, jakby dogorywał. W powietrzu unosiły się drobinki kredy. Rocznik liczył dwudziestu studentów, wszyscy byli w mundurkach. Wyglądali jak bardzo zwyczajne nastolatki, które za wszelką cenę pozują na większych luzaków i bystrzaków niż reszta. Quentin zdawał sobie sprawę, że w tej sali siedzi zapewne połowa zwycięzców Konkursu Młodych Talentów Intela i Dyktanda Harwardzkiego. Słyszał, że jest tu chłopak, który w drugiej klasie liceum zajął drugie miejsce na Olimpiadzie Matematycznej Putmana. Wiedział na pewno, że jedna z dziewcząt zdołała się dostać na sesję plenarną harwardzkiego młodego ONZ-u i zapoczątkować ruch sankcjonujący użycie broni atomowej w obronie zagrożonych wyginięciem gatunków żółwi morskich. Jako reprezentantka Lesotho.

Choć tutaj żadna z tych rzeczy nie miała znaczenia, atmosfera była napięta. Siedząc w pachnącej nowością koszuli i marynarce, Quentin już zaczynał żałować, że nie jest na rzece z Eliotem.

Profesor March urwał i skupił na nim spojrzenie.

– Quentin Coldwater! Czy mógłby pan wyjść na środek klasy? Może zaprezentuje nam pan magię?

March patrzył prosto na niego.

– Właśnie pan. – Zachowywał się uprzejmie i wesoło, jakby zamierzał wręczyć Quentinowi jakąś nagrodę. – Tutaj, proszę. – Wskazał miejsce koło siebie. – Tutaj. Dam panu rekwizyty.

Przeszukał kieszenie i wyjął przezroczystą szklaną kulkę sprawiającą wrażenie dziwnie puchatej. Kiedy położył

ją na stole, toczyła się po blacie, póki nie znalazła sobie wygodnego wgłębienia.

Wszyscy uczniowie siedzieli zupełnie nieruchomo. Quentin wiedział, że to nie jest test. Że to ma być tylko jakaś ilustracja tematu lekcji. Zapewne to samo odbywało się co roku, więc nie ma się czym przejmować, to po prostu jedna z cudownych starych tradycji Brakebills. Niemniej kiedy schodził po szerokich stopniach na środek klasy, odnosił wrażenie, że zamiast nóg ma dwa drewniane kołki. Inni studenci patrzyli na niego z zimną obojętnością łaskawie ocalonych.

Zajął miejsce koło Marcha. Kulka wyglądała zwyczajnie, po prostu szkło z kilkoma uwiecznionymi w środku bańkami powietrza. Mniej więcej ta sama średnica co pięciocentówka i zapewne równie poręczna jako rekwizyt. Prawdopodobnie bez problemu uda się ją ukryć w rękawie nowej marynarki. No dobra, pomyślał, skoro chcą magii, dostaną magię. Krew szumiała mu w uszach, kiedy wyciągał kulkę z ust, z nosa, z pustej dłoni. Nagrodziły go nieliczne chichoty publiczności.

Napięcie zelzało. Zaczął szarżować. Rzucił kulkę w powietrze, pozwalając jej niemal musnąć sufit, wysoki jak w katedrze, i złapał ją w zagłębienie karku. Ktoś zabębnił rękami w ławkę. Klasa pękała ze śmiechu.

Na wielki finał Quentin udał, że rozbija kulkę ciężkim stalowym przyciskiem do papieru, w ostatnim momencie podmieniając ją na miętową landrynkę, którą miał w kieszeni – wydała głośny trzask i rozpadła się w chmurze białego proszku, dość sugestywnie, choć zapewne nie oszukałby w ten sposób laboratorium kryminalistycznego. Przeprosił kwieciście profesora Marcha, mrugając konfidencjonalnie do widowni, po czym poprosił, by nauczyciel pożyczył mu chusteczkę. Kiedy profesor March po nią sięgnął, odkrył kulkę w kieszeni marynarki.

Quentin wykonał udawany zamach golfowy Johna Carsona. Pierwszorocznik klaskali z zapalem. Ukłonił się. Nieźle, pomyślał. Minęło pół godziny pierwszego semestru, a już jest miejscowym bohaterem.

– Dziękujemy, Quentinie – powiedział obłudnie profesor March, klaszcząc samymi czubkami palców. – Dziękujemy, to było bardzo pouczające. Możesz wrócić na miejsce. Alice, teraz ty. Może ty zaprezentujesz nam magię?

Skierował tę uwagę do małej posępnej dziewczyny o prostych blond włosach, która kulila się w tylnym rzędzie. Nie wyglądała na zaskoczoną, że wybrał właśnie ją: wyglądała na osobę, która zawsze spodziewa się najgorszego, więc niby dlaczego dziś miałoby być inaczej? Zeszła na dół po szerokich stopniach – oczy wbijała prosto przed siebie, jakby z zimną krwią wstępowała na szafot. Sprawiała takie wrażenie, jakby czuła się okropnie skrępowana w świeżo odprasowanym mundurku. W milczeniu przyjęła kulkę od profesora Marcha, zajęła miejsce za stołem, który sięgał jej do piersi, i położyła ją na blacie.

Potem wykonała nad kulką serię szybkich precyzyjnych gestów. Wyglądało to tak, jakby mówiła w języku migowym albo z niewidzialnych sznurków wyplatała kocia kołyskę, jeden z układów zabawy w przeplatanie. Jej bezpretensjonalne zachowanie było zupełną odwrotnością pompatycznego, widowiskowego stylu Quentina. Poruszała wargami, ale ze swego miejsca Quentin nie słyszał ani słowa.

Kulka zaczęła się żarzyć na czerwono, potem na białą, aż wreszcie stała się matowa jak oko zamglone kataraktą. Z punktu, w którym dotykała stołu, uniosła się cienka falująca smużka szarego dymu. Quentin poczuł, jak tężeje w nim jego zadowolenie z siebie i poczucie triumfu. Ona już zna prawdziwą magię, pomyślał. Mój Boże, jestem taki

opóźniony!

Alice zatarła dłonie.

– Palce znieczulają mi się dopiero po kilku minutach. Ostrożnie, jakby wyjmowała gorący garnek z pieca, chwyciła czubkami palców kulkę. Szkło zrobiło się już plastyczne, ciągnęło się jak toffi. Pięcioma szybkimi, pewnymi ruchami ulepiła kulce cztery nogi i głowę. Potem zaczęła potrząsać rękami i dmuchać na poparzone palce, a kulka przewróciła się na bok, otrząsnęła i wstała. Zmieniła się w pulchne szklane zwierzątko, które zaczęło wędrować po blacie stołu.

Tym razem nikt nie zaklaskał. Doskonale można było wyczuć chłód, jaki zapanował w sali. Quentinowi stanęły na baczność wszystkie włoski na ramionach. Słysząc było tylko ciche tik-tik-katikkatik spiczastych szklanych nóżek na kamiennym blacie stołu.

– Dziękujemy, Alice – powiedział profesor March, przejmując dowodzenie. – Tym, którzy jeszcze nie są wprowadzeni, wyjaśniam, że Alice wykonała właśnie trzy podstawowe zaklęcia. – Wyliczał je na palcach. – Cichą Termogenezę Dempseya, Mniejsze Poruszenie Cavaliera i jakiegoś rodzaju osłonę, która sprawia wrażenie domowego wynalazku, więc może powinniśmy nazwać ją twoim nazwiskiem, Alice.

Alice popatrzyła na Marcha bez wyrazu, czekając, aż pozwoli jej wrócić na miejsce. Nie sprawiała nawet wrażenia zadowolonej z siebie, po prostu chciała już zostać zwolniona. Zapomniane szklane stworzonko dotarło do brzegu stołu. Alice wyciągnęła po nie rękę, ale spadło i rozbiło się na podłodze. Przykucnęła nad nim wyraźnie przerażona, lecz profesor March ciągnął swój wykład.

Quentin obserwował ten mały dramat z mieszanką współczucia i zazdrości. Taka czuła dusza, pomyślał. I właśnie ją będę musiał pokonać.

– Dziś przeczytacie pierwszy rozdział *Historii magii* Le

Goffa w przekładzie Lloyda – powiedział March – oraz pierwsze dwa rozdziały *Praktycznych ćwiczeń dla młodych czarodziejów* Amelii Popper, książki, którą wkrótce zmienawidzicie z całej duszy. Zachęcam do wypróbowania pierwszych czterech ćwiczeń. Każde z was wykona jedno z nich na jutrzejszych zajęciach. A jeśli uznacie oryginalną osiemnastowieczną angielszczyznę lady Popper za trudną, pamiętajcie, że w przyszłym miesiącu zaczniemy studiować staroangielski, łacinę i starowysokoholenderski, a wówczas będziecie wspominać jej przestarzały język z prawdziwą nostalgią.

Studenci zaczęli się wiercić i zbierać książki. Quentin spojrzął na swój notatnik. Był pusty, wyjąwszy jedną niespokojną zygzakowatą linię.

– Ostatnia uwaga, nim pójdziecie. – March podniósł głos ponad szuranie podręczników. – Nalegam, byście uznali ten kurs za czysto praktyczny, z minimum teorii. Jeśli zainteresuje was natura i pochodzenie sił magicznych, które będziecie tu powoli i z wielkim trudem oswajać, przypomnijcie sobie sławną anegdotę o angielskim filozofie Bertrandzie Russellu. Russell wygłosił kiedyś wykład o strukturze wszechświata. Po wykładzie podeszła do niego jakaś kobieta i powiedziała, że jest bardzo bystrym młodzieńcem, lecz myli się w swoich rozważaniach, ponieważ wszyscy wiedzą, że Ziemia jest płaska i spoczywa na skorupie żółwia. Kiedy Russell zapytał ją, na czym stoi ten żółw, odparła: „Jesteś bardzo bystrym, naprawdę bardzo bystrym młodzieńcem, niemniej to jest żółw i już!”. Oczywiście ta pani myliła się co do natury świata, miałyby jednak całkowitą rację, jeśli chodzi o magię. Wielcy magowie poświęcali całe życie na próby dotarcia do jej korzeni. Są to daremne rozważania, niezbyt zabawne, a czasami dość niebezpieczne. Ponieważ im niżej się schodzi, tym większe stają się żółwie, tym grubsze mają łuski i tym ostrzejsze

dzioby. Aż wreszcie nie przypominają już żółwi, tylko smoki... Niech każdy weźmie sobie kulkę i możecie iść.

Zaraz następnego dnia March nauczył ich prostego zaklęcia w dziwnym, przypominającym cygański języku, którego Quentin nie rozpoznał (później Alice wyjaśniła mu, że to estoński). Należało wypowiedzieć je nad kulką, równocześnie wykonując trudny gest małym i wskazującym palcem obu rąk, przy czym trzeba było poruszać nimi niezależnie, co jest dużo trudniejsze, niż się wydaje. Ci, którym zaklęcie się udało, mogli wyjść wcześniej, reszta musiała zostać, póki im się nie uda. Skąd będą wiedzieli, że im się udało? No cóż, będą wiedzieli.

Quentin intonował zaklęcie, póki nie zachrypl. Palce go piekły, światło za oknami zmieniło kolor, potem znikło zupełnie, rozboleł go pusty żołądek, a w odległej jadalni podano kolację i sprzątnięto po niej. Tkwił w sali, póki twarz nie zaczęła go palić ze wstydu, póki oprócz niego nie zostały tylko cztery osoby – niektórzy wychodzili, zaciskając pięść i wołając triumfalnie „yesssss!”. Alice wyszła pierwsza, w milczeniu, po jakichś dwudziestu minutach. Za którymś wreszcie razem, kiedy Quentin wypowiedział zaklęcie i wykonał gest – nie potrafił nawet stwierdzić, co teraz zrobił inaczej – kulka się zakołysała, bardzo lekko, ale wyraźnie.

Nic nie powiedział, po prostu opuścił głowę na ławkę, chowając ją za zagiętymi łokciami, i pozwolił, by w ciemności krew waliła mu w uszach. Czuł pod policzkiem zimne drewno ławki. To nie był żaden fuks, żaden kawał ani żart. Zrobił to. Naprawdę zrobił. Magia jest prawdziwa, a on potrafi ją uprawiać.

A skoro potrafi, to mój Boże, tyle jeszcze zostało do zrobienia! Ta szklana kulka miała być jego towarzyszem przez resztę semestru. Stanowiła zimną, bezlitosną kwintesencję podejścia profesora Marcha do nauczania

magii. Każdy wykład, każde ćwiczenie, każda demonstracja skupiały się na tym, jak nią poruszać i jak ją zmieniać. Przez następne cztery miesiące Quentin nosił ją ze sobą wszędzie. Bawił się nią pod stołem przy kolacji. Chował ją w wewnętrznej kieszeni marynarki. Kiedy brał prysznic, kładł ją w mydelniczce. Zabierał ją do łóżka, a gdy wreszcie udawało mu się zasnąć, śnił o niej.

Nauczył się ją schładzać, aż pokrywała się szronem. Zmuszał ją, by toczyła się po stole. Umiał zawieszać ją w powietrzu i rozpalać od środka. Ponieważ była przezroczysta, łatwo mógł uczynić ją niewidzialną, tyle że natychmiast ją zgubił i profesor March musiał ją dla niego zmaterializować. Nauczył się sprawiać, by unosiła się na wodzie, przechodziła przez drewno, latała slalomem między przeszkodami i ściągała opiłki metalu jak magnes. Prawdziwie mrówcza praca, same podstawy. Dramatyczny pokaz magii, jaki Quentin zaprezentował na egzaminie, choć w opinii nauczycieli całkiem zadowolający i widowiskowy, pozostawał anomalią, upuszczeniem skumulowanej mocy. Coś takiego często się dzieje podczas pierwszego wykorzystania mocy przez czarodzieja. Miną lata, nim zdoła to powtórzyć.

Studiował również historię magii. Okazało się, że nawet czarodzieje wiedzą o niej mniej, niż sądził. Magowie żyli w społeczeństwie zawsze, choć jako jednostki wyobcowane i w zasadzie nieznane. Wielkie postaci historii magii wcale nie były sławne w normalnym świecie, a te, które same narzucały się na myśl, Leonardo, Roger Bacon, Nostradamus, John Dee, Newton, okazywały się przeciętniakami. Jasne, wszyscy oni w jakimś stopniu opanowali magię, lecz zdolności mieli skromne. Sam fakt, że stali się sławni, przemawiał przeciwko nim. Wedle standardów społeczeństwa magicznego nie sprostali nawet pierwszej przeszkodzie – nie starczyło im rozsądku, by

trzymać własne brudy przy sobie.

Drugi podręcznik Quentina, *Praktyczne ćwiczenia dla młodych czarodziejów* lady Popper, okazał się cienką książką w dużym formacie zawierającą liczne niezwykle złożone układy palców i zaklęć ułożone w porządku od najłatwiejszego do najtrudniejszego. Większość sztuczek, jakie Quentin opanował, polegała na bardzo precyzyjnych ruchach rąk, którym towarzyszyło zaklęcie – należało je wymówić lub wyszeptać, lub wykrzyczeć, lub wyśpiewać. Każdy najdrobniejszy nawet błąd w układzie palców czy intonacji osłabiał albo niwelował, albo wypaczał efekt końcowy.

To nie było Fillory. W powieściach o Fillory Chatwinowie zawsze dostawali się pod opiekuńcze skrzydła uprzejmego filloriańskiego mentora, który uczył ich czegoś pożytecznego. W tomie *Świat w ścianach* Martin zostaje masztalerzem, a Helen uczy się fachu leśnego zwiadowcy; w *Latającej puszczy* Rupert staje się doskonałym łucznikiem; w *Sekretnym morzu* Fiona ćwiczy z mistrzem szermierki. I tak dalej. Proces nauki jest tam nieprzerwaną orgią zaskoczeń.

Studiowanie magii zupełnie tego nie przypominało. Okazało się tak nużące, jak tylko może być nużące opanowywanie silnych i tajemniczych nadnaturalnych mocy. Podobnie jak orzeczenie musi się zawsze zgadzać z podmiotem, tak nawet najprostsze zaklęcie należało modyfikować i modelować w taki sposób, by zgadzało się z porą dnia, fazą księżyca, zamiarem i celem, dokładnymi okolicznościami jego rzucania i setką innych czynników, które zestawiono w tabelach w grubych tomach dodatków, pełnych ponadto wykresów i diagramów wydrukowanych drobnym maczkiem na wielkich pożółkłych stronicach. Połowę każdej strony zajmowały przypisy wyszczególniające wszelkie wyjątki i nieregularności i specjalne przypadki,

które również należało zapamiętać. Magia okazała się bardziej podatna na nieściskości, niż Quentin przypuszczał.

Tkwilo w niej coś jeszcze, coś, co wykraczało poza praktykę i kucie na pamięć, coś więcej niż kropka nad „i” i kreska w „t”, coś, co nigdy nie pojawialo się w wykładach Marcha. Quentin tylko to wyczuwał, nie potrafił ubrać tego w słowa, był jednak pewien, że trzeba czegoś jeszcze, jeśli zaklęcie ma mieć jakiś cel w otaczającym świecie. Ilekroć próbował to przemyśleć, gubił się w abstrakcjach. To coś przypominało nieco siłę woli, pewien rodzaj koncentracji, jasną wizję, może odrobinę artystycznej weny. Jeśli zaklęcie miało zadziałać, musiałeś tego chcieć na jakimś całkiem prymitywnym poziomie.

Nie potrafił tego wyrazić słowami, jednak wiedział, kiedy to coś zachodzi. Czuł, kiedy jego słowa i gesty ząębują się z magicznym podłożem wszechświata. Czuł to fizycznie. Rozgrzewały mu się czubki palców i miał wrażenie, że zostawiają w powietrzu ślady. Pojawiał się lekki opór, jakby powietrze wokół niego zrobiło się lepkie i napierało na jego dłonie, a nawet na usta i język. Miał wrażenie, że umysł mu się gotuje, jak po kofeinie czy kokainie. Znajdował się w sercu wielkiego przepełnionego mocą systemu, był jego sercem. Wiedział, kiedy to się dzieje. I to mu się podobało.

Kiedy przyjaciele Eliota wrócili z wakacji, zaczął jadać posiłki z nimi. Stanowili bardzo widoczną grupę, wiecznie zajęta poważnymi dyskusjami we własnym gronie, podatna na ataki hałaśliwego publicznego śmiechu, wyraźnie darząca się sympatią i niezainteresowaną resztą populacji Brakebills. Byli w jakiś sposób odmienni, choć trudno powiedzieć, na czym dokładnie polegała ta odmienność. Nie wyglądali lepiej niż inni, nie sprawiali też wrażenia bystrzejszych. Po prostu wiedzieli, kim są, i nie rozglądali

się bez przerwy za kimś, kto pomógłby im to ustalić.

Quentina zabolalo, że Eliot tak go porzucił, kiedy przestał mu być potrzebny, miał jednak na pociechę dziesiętnastu pierwszorocznych, o których mógł myśleć. Choć trzeba stwierdzić, że nie stanowili szczególnie towarzyskiej grupy. Poważni i milczący, ciągle przypatrywali się innym badawczo, jakby usiłowali ustalić – na wszelki wypadek, gdyby przyszło co do czego – kto zetrze się z kim w śmiertelnym intelektualnym starciu. Nie mieli tendencji do gromadzenia się – okazywali uprzejmość, lecz rzadko kiedy serdeczność. Przywykli do rywalizacji i do wygrywania. Innymi słowy, kropka w kropkę przypominali Quentina, a Quentin nie przywykł do towarzystwa ludzi takich jak on.

Jedyną studentką, na której punkcie i on, i wszyscy inni pierwszoroczni z miejsca dostali obsesji, była mała Alice od szklanego stworzonka, ale szybko stało się oczywiste, że choć wyprzedza o wiele długości resztę roku, jest tak niewiarygodnie nieśmiała, że w zasadzie nie ma sensu z nią rozmawiać. Kiedy ktoś dosiadł się do niej w jadalni, odpowiadała na pytania szeptem, monosylabami i wbijała wzrok w obrus, jakby przytłaczał ją jakiś niezmierny wewnętrzny wstyd. Okazała się wręcz żałośnie niezdolna do utrzymania kontaktu wzrokowego i zwykle chowała twarz za włosami. Jednym słowem, widać było wyraźnie, jakie to dla niej straszne być obiektem zainteresowania.

Quentin się zastanawiał, kim są ludzie, którzy poczęli osobę z tak wielkim talentem i tak przerażoną innymi ludźmi. Chciał z nią rywalizować, tymczasem dominowało w nim uczucie niemal opiekuńczości. Jeden jedyny raz widział Alice naprawdę szczęśliwą. Stała sama koło fontanny, na chwilę zapomniała o skrepowaniu i puszczała kaczki po wodzie w taki sposób, że kamyk przelatował między nogami

kamiennej nimfy.

Życie w Brakebills charakteryzował przytłumiony, oficjalny, niemal teatralny ton. W porach posiłków oficjalność urastała wręcz do poziomu fetysza. Kolacje serwowano punktualnie o szóstej trzydzieści. Spóźnialskim odmawiano krzesel i musieli jeść na stojąco. Nauczyciele i studenci siedzieli razem przy jednym, ciągnącym się niemal bez końca stole nakrytym obrusem o wręcz mitycznej bieli i zastawionym ciężkimi srebrami nie od kompletu. Światło zapewniały bataliony paskudnych kandelabrow. Karmiono ich, wbrew tradycjom szkół prywatnych, doskonale, choć nieco staroświecko. Po francusku. Jadłospis ucieszyłby pewnie weteranów z połowy wieku, obejmował takie dania, jak *boeufen daube* czy *lobster thermidor*. Pierwszorocznici mieli wątpliwy przywilej obsługiwania wszystkich innych studentów pod surowym nadzorem Chambersa. Jadali kolację samotnie, kiedy wszyscy inni skończyli. Trzecio- i czwartorocznici mogli pić do kolacji kieliszek wina. Piątorocznici (czyli „końcówki”, jak ich nazywano) dostawali dwa kieliszki. Dziwne, ale czwartorocznych było tylko dziesięcioro, co stanowiło połowę normalnej liczby studentów, i nikt nie chciał wyjaśnić dlaczego. Pytanie na ten temat automatycznie kończyło każdą rozmowę.

Do tego wszystkiego Quentin przywykał tak szybko jak żeglarz wyrzucony na dziki kontynent, który nie ma innego wyjścia, jak nauczyć się błyskawicznie lokalnego języka, jeśli nie chce zostać pożarty przez tubylców. Pierwsze dwa miesiące w Brakebills minęły mu błyskawicznie. Już wkrótce na Morzu pojawiły się czerwone i złote liście, jakby zgarnięte tam przez niewidzialne miotły – może naprawdę? – a na bokach majestatycznie sunących po Labiryncie wyciętych z krzaków zwierząt widniały zacieki różnych kolorów.

Codziennie po zajęciach Quentin poświęcał pół godziny na zwiedzanie kampusu. Pewnego wietrznego poranka natknął się na maleńką winnicę, w zasadzie wielkości znaczka pocztowego, podzieloną starannie liniami prostymi i obsadzoną rzędami winorośli rozpostartej w dziwacznych, przypominających kandelabry kształtach na zardzewiałych drutach. Winogrona zostały już zebrane, a te, które pozostały na gałęziach, skurczyły się do rozmiarów małych, pachnących intensywnie rodzynek.

Dalej, jakieś czterysta metrów od skraju lasu, na końcu wąskiej ścieżki odkrył niewielkie poletko starannie podzielone na kwadraty. Niektóre obsiane były trawą, inne wysypane kamykami, jeszcze inne piaskiem, niektóre tworzyły kwadratowe stawy, a dwa zrobiono z pocerniałego srebrzystego metalu pokrytego kunsztownymi inskrypcjami.

Granicy kampusu nie wyznaczał żaden płotek ani murek, a nawet jeśli, to Quentin nigdy na niego nie natrafił. Po jednej stronie stanowiła ją rzeka, a po pozostałych las. Nauczyciele spędzali nieproporcjonalnie wiele czasu na konserwacji zaklęć, dzięki którym szkoła pozostawała niewidzialna i nie mogli do niej przeniknąć ludzie z zewnątrz. Ciągłe obchodzili granice i przyglądali się rzeczom, których Quentin nie widział, a czasami wywoływali się nawzajem z zajęć, żeby się skonsultować w tej sprawie.

ŚNIEG

W pewne popołudnie pod koniec października profesor March kazał Quentinowi zostać po praktycznych zastosowaniach. Na pezetach, jak je wszyscy nazywali, studenci zajmowali się faktycznym rzucaniem zaklęć. Na tym etapie mogli używać tylko najbardziej podstawowej magii, i to pod dusząco ścisłym nadzorem, no ale zawsze. Taka mała praktyczna nagroda za wszystkie oceany teorii, po których musieli nawigować.

Tych konkretnych zajęć Quentin nie zaliczał do najbardziej udanych. Pezety odbywały się w sali, która przypominała laboratorium chemiczne: niezniszczalne szare kamienne stoły, blaty w niewiarygodnie stare plamy, głębokie przepastne zlewy. Powietrze było tak naładowane zaklęciami ochronnymi, rzucanymi przez pokolenia profesorów, by ochronić studentów przed zrobieniem krzywdy sobie lub innym, że pachniało ozonem.

Quentin przyglądał się, jak jego partner, Surendra, posypuje ręce białym proszkiem (w równych częściach składał się on z mąki i popiołu z jasnego bukowego drewna), rysuje w powietrzu niewidoczne znaki za pomocą świeżo wyciętej wierzbowej różdżki, po czym opuszcza powoli różdżkę i swoją kulkę (którą ochrzcił Rakszasa!) przecina równo na połowę, jednym płynnym ruchem i za pierwszą próbą. Natomiast kiedy Quentin opuścił różdżkę na swoją kulkę (ochrzczonej Martin), ta wybuchła z cichym „pum” jak przepalona żarówka, rozpryskując wokoło pył i kawałki szkła. Upuścił różdżkę i obrócił się, by ochronić oczy. Wszyscy studenci wlepili w niego wzrok. Atmosfera panująca na pezetach nie była szczególnie koleżeńska.

Dlatego Quentin miał już fatalny humor, kiedy March kazał mu zostać po zajęciach. Teraz siedział, kołysząc

nogami, na jednym z niezniszczalnych stołów, snując czarne myśli, i czekał, aż profesor skończy rozmawiać na korytarzu z maruderami. Z jakichś powodów pociechę przyniosło mu to, że Alice też kazano zostać. Siedziała pod oknem, patrząc w rozmarzeniu na wolno płynącą rzekę Hudson. Jej kulka latała powoli wokół jej głowy niczym leniwy miniaturowy satelita, od czasu do czasu wpadając na szybę, kiedy Alice pochylała się za bardzo. Dlaczego tej dziewczynie magia przychodziła bez wysiłku? I czy rzeczywiście tak bez wysiłku, jak mu się zdawało? Nie potrafił uwierzyć, że Alice musi się męczyć tak jak on. Penny też został. Jego okrągła twarz była blada i skupiona. Miał na sobie mundurek Brakebills, ale pozwolono mu nosić do niego tomahawk.

Profesor March wrócił do sali, za nim weszła profesor Van der Weghe. Nie traciła czasu na wstępy.

– Poprosiliśmy waszą trójkę o pozostanie, ponieważ rozważamy przeniesienie was w semestrze letnim na drugi rok – powiedziała. – Oczywiście będziecie musieli pracować samodzielnie, żeby w grudniu zaliczyć egzaminy z pierwszego roku, a potem dogonić drugi rok, myślę jednak, że sobie poradzicie. Mam rację?

Spojrzała na nich zachęcająco. Nie tyle ich pytała, ile wydawała polecenie. Quentin, Penny i Alice popatrzyli na siebie niepewnie i odwrócili wzrok. Długie doświadczenie nauczyło Quentina nie dziwić się niczemu tam, gdzie w grę wchodziła ocena jego możliwości intelektualnych przez innych ludzi, a ten objaw uznania z pewnością zadośćuczynił mu za koszmar publicznego rozpuknięcia kulki. Wszyscy zachowali powagę. Wyglądało na to, że przywilej przeskoczenia roku w Brakebills będzie go kosztował masę pracy. Wcale nie był pewien, czy tego chce.

– Dlaczego? – spytał Penny. – Dlaczego przenosicie nas wyżej? Przeniesiecie kogoś klasę niżej, żeby zrobić dla nas

miejsce?

Miał rację. W Brakebills każdy rocznik liczył dokładnie dwudziestu studentów, nie więcej, nie mniej. Tak było zawsze.

– Różni studenci uczą się w różnym tempie, Penny – odparła wymijająco profesor Van der Weghe. – Chcemy, żeby wszyscy znajdowali się na najwłaściwszych dla siebie miejscach.

Nie mieli dalszych pytań. Po odpowiednio długiej pauzie profesor Van der Weghe uznała ich milczenie za zgodę.

– Świetnie – powiedziała. – Powodzenia.

Te słowa wtrąciły Quentina w nową, mroczniejszą fazę życia w Brakebills akurat w chwili, gdy zdołał zadowolająco opanować poprzednią. Już wcześniej pracował ciężko, ale czasami symulował, tak jak wszyscy. Włóczył się po kampusie, zabijał czas, przesiadując z kolegami z roku w bawialni pierwszorocznych, która była nędzna, lecz przytulna, z kominkiem, stadem śmiertelnie rannych kanap i foteli oraz żenująco okulawionych gier „edukacyjnych” – głównie magicznych wersji *Trivial Pursuit* – wystrzępionych, poplamionych i pozbawionych najważniejszych elementów kart i kostek. Mieli nawet nielegalną konsolę wideo ukrytą w szafie, wersję sprzed trzech lat podłączoną do jeszcze starszego telewizora. Śnieżyła i resetowała się, jeśli w promieniu dwustu metrów ktoś wykonał zaklęcie, czyli w zasadzie bez przerwy.

To wszystko należało już do przeszłości. Teraz nie było takich chwil, kiedy Quentin się nie uczył. Mimo ostrzeżeń Eliota i tego, co zobaczył do tej pory, nadal wyobrażał sobie, że studiowanie magii będzie cudowną podróżą przez tajemniczy ogród, gdzie ciężkie owoce wiedzy zrywa się radośnie z nisko rosnących gałęzi. Zamiast tego co dzień po południu, po pezetach, szedł prosto do biblioteki, żeby

odrobić normalną pracę domową, a potem wracał tam po kolacji, aby się spotkać z przydzielonym mu nauczycielem.

Trafił do profesor Sunderland, ślicznej młodej kobiety, która podczas egzaminów wstępnych kazała mu rysować mapy. Wcale nie wyglądała tak, jak powinien wyglądać czarodziej: miała blond włosy, dołeczki i rozpraszająco ponętą figurę. Uczyła wyższe roczniki, czwarto- i piątorocznych, stąd nie miała wiele cierpliwości dla amatorów. Musztrowała go bez przerwy w zakresie właściwych gestów, zaklęć, wykresów i tabel, a kiedy opanował je bez zarzutu, okazywało się, że to świetnie na początek, teraz jednak chce jeszcze raz zobaczyć siódmą i trzynastą etiudę Popper, powoli, w normalnym tempie, potem od tyłu, tak na wszelki wypadek. Jej ręce robiły rzeczy, jakich Quentin nie potrafił sobie nawet wyobrazić, o wykonaniu nie wspominając. To byłby koszmar, gdyby się w niej dziko nie zadurzył.

Czuł się niemal tak, jakby zdradzał Julię. No ale czy naprawdę był jej coś winien? Przecież nigdy jej nie obchodził. A profesor Sunderland miał na miejscu. Chciał mieć kogoś, kto by należał do jego nowego świata. Julia straciła swoją szansę.

Spędzał teraz o wiele więcej czasu z Alice i Penny'm. W Brakebills pierwszorocznych obowiązywało gaszenie światel o dwudziestej trzeciej, lecz oni, zważywszy na nawał pracy, musieli jakoś obejść tę zasadę. Na szczęście w jednym ze skrzydeł dla studentów znajdowała się mała salka wyłączona spod zaklęć nadzoru, których używali nauczyciele, by wymusić posłuszeństwo. Zapewne wyłączyli ją spod nich celowo, właśnie na takie okazje. Pokój był zapuszczony – wilgotny, pozbawiony okien, w kształcie trapezu – stała tu kanapa, stół i krzesła, a nauczyciele nigdy do niego nie zaglądali. Quentin, Alice i Penny przychodzili tu, kiedy reszta pierwszorocznych leżała już w

łózkach.

Stanowili dziwną grupę: Alice zwykle siedziała zgarbiona przy stole, Quentin rozwalał się na kanapie, a Penny chodził w kółko albo siadał po turecku na podłodze. Znienawidzone podręczniki lady Popper zostały zakłete w taki sposób, że gdy ćwiczyło się przed nimi, sygnalizowały poprawność wykonania etudy zmianą koloru na zielony (dobrze) lub czerwony (źle). Natomiast wkurzająco milczały na temat tego, co schrzańeś.

Alice jednak zawsze to wiedziała. Z nich trojga to ona była geniuszem. Miała nadnaturalnie giętkie ręce i nadgarstki i niezwykłą pamięć. Wręcz pochłaniała języki obce. Kiedy koledzy z roku nadal mozolnie wkuwali środkowoangielski, ona zgłębiała już arabski, aramejski, starowysokoholenderski i starocerkiewny. Pozostała przeraźliwie nieśmiała, choć późne wieczory spędzane w towarzystwie Quentina i Penny'ego zmniejszyły jej rezerwę do tego stopnia, że czasami wymieniała się z nimi notatkami i uwagami. Od czasu do czasu ujawniała nawet poczucie humoru, choć najczęściej opowiadała dowcipy w starocerkiewnym.

Zresztą i tak przy Penny'm nie miało to sensu, ponieważ był całkowicie wyprany z poczucia humoru. Ćwiczył sam, mamrocząc pod nosem i obserwując w opartym o ścianę wielkim barokowym lustrze w połączanej ramie, jak jego blade ręce kreślą w powietrzu znaki. Lustro miało na sobie stare, wyblakłe i zapomniane zakłęcie, więc odbicie Penny'ego czasami zastępował widok pozbawionego drzew wzgórze i bezmiar gładkiej trawy pod bezkresnym niebem. Zachowywało się jak telewizor z marnie zainstalowaną kablówką, odbierający błędne obrazy z jakiegoś innego świata.

Zamiast robić sobie przerwę, Penny czekał w beznamyślnym milczeniu, aż obraz z powrotem się zmieni.

Quentina wkurzało to lustro, miał wrażenie, że zza wzgórza wylezie zaraz coś strasznego albo że to coś tkwi pod ziemią pochowane żywcem.

– Zastanawiam się, gdzie to jest – powiedziała pewnego razu Alice. – W prawdziwym życiu.

– Nie mam pojęcia – odparł Quentin. – Może to Fillory.

– Może powinieneś spróbować tam wejść. W książkach zawsze tak to działa.

– Fajnie by było, nie? Pomyśl tylko, moglibyśmy tam wejść i uczyć się przez miesiąc, a potem wrócić tutaj i być mistrzami.

– Proszę, tylko mi nie mów, że chcesz się udać do Fillory, żeby odwalić więcej nauki – powiedziała Alice. – To najsmutniejsza rzecz na świecie.

– Trochę ciszej, ludzie – zażądał Penny.

Jak na punka potrafił być niewiarygodnie nudny.

Nadeszła zima, głęboka lodowata zima doliny rzeki Hudson. Fontanny zamarły, Labirynt pokrywała masa białego śniegu, wyjąwszy te miejsca, gdzie otrząsnęły się z niego wycięte z krzewów zwierzęta. Quentin i Alice, i Penny coraz bardziej oddalali się od kolegów z roku, którzy spoglądali na nich z zazdrością i niechęcią. Quentin nie miał czasu ani energii, żeby sobie z tym radzić. Chwilowo zmienili się w mały ekskluzywny klub w samym środku zamkniętego ekskluzywnego klubu Brakebills.

Quentin na nowo odkrywał swą miłość do nauki. Tak naprawdę nie głód wiedzy kazał mu się uczyć czy chęć potwierdzenia zaufania, jakie pokładała w nim profesor Van der Weghe. Chodziło głównie o znajomą perwersyjną satysfakcję, jaką czerpał z powtarzalnej ciężkiej pracy, o tę samą masochistyczną przyjemność, która umożliwiała mu opanowanie zonglowania trzema piłkami, tasowania równoległego albo jedną ręką oraz całek i różniczek, kiedy był jeszcze w ósmej klasie.

Kilku starszych studentów zlitowało się nad maratończykami nauki. Zrobili z nich swoje maskotki, tak jak grupa przedszkolaków adoptuje rodzinę gryzoni. Wspierali ich, przynosili im przekąski i napoje po godzinach. Nawet Eliot zniżył się do wizyty. Podarował im kilka nielegalnych zaklęć i talizmanów, które podobno uniemożliwiały zaśnięcie i przyspieszały czytanie, choć trudno było stwierdzić, czy rzeczywiście działają. Wyjaśnił, że nabył je od obdartego wędrownego sprzedawcy, który pojawiał się w Brakebills raz czy dwa razy w roku w starym, załadowanym śmieciem drewnianym wozie.

Grudzień minął na nieustającej nauce, na bezsennym transie ciągłego znoju. Praca utraciła wszelkie związki z celem, któremu miała służyć. Nawet sesjom Quentina z profesor Sunderland zabrakło iskry. Przyłapywał się na tym, że gapi się bezmyślnie na jej sterczące pełne piersi, które same zachęcały do obmacywania, choć wiedział, że powinien się skupić na dużo ważniejszych sprawach, takich jak właściwa pozycja kciuka. Jego zadurzenie przeszło z fazy podniecenia w fazę depresyjną, jakby od pierwszego zauroczenia przeskoczył bezpośrednio do tęsknoty za utraconą kochanką, bez pociechy niesionej przez choćby cień rzeczywistego związku pomiędzy tymi punktami.

Na wykładach profesora Marcha siadał w ostatnim rzędzie, czując wyższość wobec reszty roku, który zgłębiał dopiero etiudę dwudziestą siódmą z podręcznika lady Popper, podczas gdy on wspiał się już na wyżyny etiudy pięćdziesiątej pierwszej i patrzył z góry, jak roją się pod jego nogami. Ogarnęła go nienawiść do zapyziałego trapezoidalnego pokoju, gdzie wraz z Penny'm i Alice przesiadywał wieczorami. Do tego stopnia znienawidził gorzki smród kawy, że niemal czuł pokusę spróbowania lekkiego napoju energetyzującego, który pijał Penny. Rozpoznawał tę zirytowaną, nieprzyjemną i nieszczęśliwą

osobę, w którą się zmieniał; dziwnie przypominała ona tego Quentina, którego zostawił w Brooklynie.

Quentin uczył się nie tylko w trapezoidalnym pokoju. W weekendy mógł pracować, gdzie chciał, przynajmniej za dnia. Zwykle siedział u siebie, ale czasami wspinał się po niekończących się kręconych schodach do wzbudającego szacunek, choć staroświeckiego obserwatorium na szczycie jednej z wież Brakebills. Stał tam teleskop wielkości słupa telegraficznego, pochodzący z końca dziewiętnastego wieku; sterczał pod kątem z zaśniedziałej miedzianej kopuły. Któryś z nauczycieli musiał kochać głęboko ten instrument, ponieważ obracał się on dzięki niezwykle skomplikowanej maszynerii złożonej z mosiężnych kółek i przegubów, zawsze naoliwionych i starannie wypolerowanych.

Quentin lubił czytać w obserwatorium, gdyż znajdowało się wysoko, było dobrze ogrzane i w zasadzie nieuczęszczane: nikomu nie chciało się tu wchodzić, a zresztą po co komu teleskop w dzień? Zwykle to wystarczało, żeby zapewnić mu popołudnie wyniosłej zimowej samotności, lecz pewnej soboty pod koniec listopada odkrył, że nie tylko on wpadł na ten pomysł. Kiedy stanął na górze spiralnych schodów, okazało się, że drzwi w suficie są już otwarte. Wsadził głowę do okrągłego, oświetlonego pomarańczowym światłem pomieszczenia.

Zupełnie jakby wsadził głowę do innego świata, na inną planetę, która wyglądała podobnie upiornie do naszej, a jednak została zupełnie inaczej urządzone. Intruzem okazał się Eliot. Klęczał jak błagalnik przed starym pomarańczowym fotelem z podartą tapicerką ustawionym na środku pomieszczenia, w centrum okręgu, po którym poruszał się teleskop. Quentin zawsze się zastanawiał, kto wniósł tu ten fotel i dlaczego zawracał sobie tym głowę – wyraźnie uczynił to za pomocą magii, ponieważ mebel nie

przeszedłby przez drzwi w podłodze ani przez maleńkie okna.

Eliot miał towarzystwo. Ktoś siedział w fotelu. Pod tym kątem Quentin nie widział kto, doszedł jednak do wniosku, że to jeden z drugorocznych, przeciętny chłopak o gładkich policzkach i włosach w kolorze rdzy. Ledwie go znał. Chyba miał na imię Eric.

– Nie – powiedział Eric, a potem dodał ostro: – Nie! Absolutnie nie. – Uśmiechał się. Eliot zaczął się podnosić, lecz chłopak przytrzymał go figlarnie za ramiona. Nie należał do wysokich. Autorytet, jakim się cieszył u Eliota, nie był natury fizycznej.

– Znasz reguły – powiedział takim tonem, jakby się zwracał do dziecka.

– Pliz? Ten jeden raz? – Quentin nigdy nie słyszał, żeby Eliot przemawiał takim infantylnym, błagalnym tonem. – Pliz? – Nie spodziewał się, że Eliot w ogóle potrafi tak mówić.

– Absolutnie nie! – Eric dotknął palcem czubka długiego bladego nosa Eliota. – Dopiero kiedy wykonasz swoje obowiązki. Wszystkie. I zdejmij tę głupią koszulę, jest żalosna.

Quentin zorientował się, że to gra i że grali w nią już wcześniej. Mimo woli stał się świadkiem odprawiania bardzo prywatnego rytuału.

– No dobra – powiedział Eliot kapryśnie. – A koszula jest w porządku – dodał pod nosem.

Eric uciszył go spojrzeniem, po czym splunął obficie na jego starannie wyprasowany gors. Quentin dostrzegł w jego oczach cień przerażenia, Eric wyraźnie nie wiedział, czy nie posunął się za daleko. Fotel zasłaniał większość sceny, ale nie aż tyle, żeby Quentin nie zobaczył, jak Eliot z brzękiem kłamry rozpina pasek Erica, potem rozporek, a wreszcie ściąga mu spodnie i odsłania chude białe uda.

– Ostrożnie – ostrzegł Eric. Nie wkładał w grę wiele uczucia, o ile to była gra. – Mała kurew. Znasz zasady.

Quentin nie potrafił powiedzieć, dlaczego odczekał jeszcze minutę, nim zszedł z drabiny z powrotem w swój stateczny, przewidywalny wszechświat, lecz nie mógł przestać patrzeć. Widział oto całkowicie odsłoniętą maszynerię psychiki Eliota. Jak mógł się nie domyślić? Zastanawiał się, czy widzi coroczny rytuał. Może Eliot robił to z jednym czy dwoma chłopcami z każdego rocznika, namaszczając ich, a potem porzucając, kiedy przestawali mu wystarczać. Czy naprawdę musiał się tak ukrywać? Nawet w Brakebills? Na jakimś innym poziomie Quentin czuł się dotknięty: skoro właśnie tego chciał Eliot, dlaczego nie zwrócił się do niego? Jednak mimo że bardzo tęsknił za jego uwagą, nie miał pewności, czy zdołałby przejść przez coś takiego. Tak było lepiej. Eliot nie darowałby mu odmowy.

Rozpaczliwy głód, z jakim Eliot wpatrzył się w obiekt, na którym miał wykonać swe obowiązki, nie przypominał niczego, co Quentin dotąd u niego widział. Znajdował się dokładnie na linii wzroku Eliota, ale ten ani razu na niego nie spojrział.

Więc postanowił, że dziś poczyta gdzie indziej.

Skończył tom pierwszy *Praktycznych ćwiczeń dla młodych czarodziejów* lady Amelii Popper o północy na dzień przed egzaminami, w niedzielę. Starannie zamknął książkę i siedział przez minutę, wpatrując się w okładkę. Ręce mu się trzęsły, głowę miał dziwnie lekką. Kręciło mu się w niej, natomiast ciało wydawało się nienaturalnie ciężkie. Nie mógł usiedzieć na miejscu, a równocześnie czuł się zbyt zmęczony, żeby pójść do łóżka. Podniósł się z trudem z kanapy z połamanym oparciem i oznajmił, że idzie na spacer.

Ku jego zaskoczeniu Alice powiedziała, że ona też pójdzie. Penny wpatrywał się w zielony zachmurzony krajobraz w lustrze, czekając, aż ponownie pojawi się w nim jego blada stoicka twarz i będzie mógł wrócić do ćwiczeń. Nawet nie spojrzął na nich, gdy wychodzili.

Quentin zamierzał przejść przez Labirynt, a potem przez pokryte śniegiem Morze aż na najdalszy skraj puszczy, tam gdzie się pojawił, gdy tu przybył. Chciał spojrzeć na ciemną bryłę Domu i zastanowić się, dlaczego to wszystko nie okazało się tak zabawne jak powinno. I spróbować się uspokoić przed snem. W zasadzie równie dobrze mógł to zrobić w towarzystwie Alice. Ruszył ku wysokim przeszklonym drzwiom, które prowadziły na taras z tyłu Domu.

– Nie tędy – powiedziała Alice.

Gdyby otworzył o tej porze drzwi na taras, uruchomiłby się alarm w sypialni nauczyciela, który miał dziś dyżur, wyjaśniła Nieomylna Alice. W ten sposób zniechęca się studentów do łamania ciszy nocnej. Zaprowadziła go do bocznych drzwi, których nigdy wcześniej nie zauważył. System alarmowy ich nie obejmował. Drzwi ukryto za gobelinem, wychodziły na pokryty śniegiem żywopłot. Precisnęli się przez nie w lodowatą ciemność.

Quentin był jakieś dwadzieścia centymetrów wyższy od Alice, co przypadało głównie na długość nóg, dziewczyna jednak uparcie dotrzymywała mu kroku. Razem w blasku księżycy przeszli przez Labirynt i ruszyli przez zamarznięte Morze. Napadało jakieś piętnaście centymetrów śniegu. Kiedy szli, wyrzucali przed siebie jego niewielkie grudki.

– Przychodzę tu co noc – powiedziała Alice, przerywając ciszę.

Quentin, pogrążony w sennym otępieniu, prawie zapomniał o jej obecności.

– Co noc? – spytał głupio. – Naprawdę? Dlaczego?

– No wiesz... – Westchnęła, a przed jej twarzą pojawiła się biała chmurka pary. – Żeby oczyścić głowę. W wieży dziewcząt jest głośno. Nie można myśleć. A tu jest cicho.

Aż dziw, że tak normalnie rozmawiał ze zwykle nietowarzystką Alice.

– I zimno. Myślisz, że wiedzą, że łamiesz ciszę nocną?

– Oczywiście. W każdym razie Fogg wie.

– Więc skoro wie, dlaczego...

– Dlaczego używam bocznych drzwi? – Morze wyglądało jak rozłożone na ziemi i podwinięte pod materac gładkie czyste prześcieradło. Prócz kilku jeleni i dzikich indyków nikt wtedy nie przechodził od ostatnich opadów śniegu. – Nie sądzę, żeby go obchodziło, że się wymykamy, niemniej docenia nasz wysiłek, żeby go nie zaalarmować.

Dotarli na skraj wielkiego trawnika i odwrócili się w stronę Domu. Palilo się w nim tylko jedno światło, w sypialni nauczyciela na niższym piętrze. Odezwała się sowa. Zamglony księżyc rzucał biały blask na chmury nad masywnym dachem. Wyglądał jak kula ze śniegu w stanie spoczynku.

Quentinowi przypomniała się scena z książki o Fillory: ta część *Świata w ścianach*, w której Martin i Fiona wędrują przez zamarznęty las, szukając drzew zaklętych przez Nadzorczynię Czasu – każde miało zatopiony w pniu okrągły tykający zegar. Jak na czarny charakter Nadzorczydni Czasu była dziwnym przypadkiem; rzadko robiła coś rzeczywiście złego, a już na pewno nie wtedy, kiedy ktoś mógł ją zobaczyć. Zresztą zwykle widywano ją tylko z daleka, jak szła pospiesznie z książką w jednej ręce i misternym zegarkiem w drugiej. Czasami jeździła przerażająco kunsztownym złotym powozem-zegarem, który tykał głośno. Zawsze nosiła woalkę zasłaniającą twarz. Gdziekolwiek się zjawiała, pozostawiała swój podpis – zegarowe drzewa.

Quentin przyłapał się na tym, że nasłuchuje tykania,

jednak panowała cisza, wyjąwszy dobiegające ich od czasu do czasu skrzypienie śniegu gdzieś w głębi lasu. Przyczyny nieznanej.

– Tu się pojawiłem, kiedy przybyłem do Brakebills – powiedział. – Latem. Nie miałem pojęcia, co to za miejsce. Myślałem, że jestem w Fillory.

Alice się roześmiała; zaskakująco głośno. Quentin wcale nie zamierzał aż tak jej rozbawić.

– Przepraszam – powiedziała. – Boże, jako dziecko uwielbiałam te książki.

– A ty gdzie się pojawiłaś?

– Tam. – Wskazała inną, identyczną kępę drzew. – Tylko że ja nie przybyłam tu tak jak ty. To znaczy przez portal.

No cóż, zapewne mieli jakąś inną, specjalną, ekstramagiczną formę transportu dla Nieomyślnej Alice, pomyślał. Z trudem powstrzymywał zazdrość. Pewnie była to bramka-zjawa albo rydwan ognia. Ciągnięty przez testrale.

– Kiedy tu przyszedłam, podeszłam tutaj? Nie dostałam zaproszenia? – Brzmiało to jak pytania wypowiedziane z przesadną obojętnością, lecz jej głos nagle zaczął się łamać. – Mój brat uczył się do Brakebills i ja też zawsze chciałam tu pójść, ale mnie nie zaprosili. Kiedy zrobiłam się za stara, uciekłam. Czekałam i czekałam na zaproszenie, nigdy go jednak nie dostałam. Wiedziałam, że już straciłam pierwszy rok. Jestem od ciebie o rok starsza, wiesz?

Nie wiedział. Wyglądała na młodszą.

– Więc pojechałam autobusem z Urbany do Poughkeepsie, a potem taksówkami, jak daleko się dało. Zauważyłeś, że nie ma tu żadnej drogi? Ani podjazdu? Najbliższa jest autostrada stanowa. – To było najdłuższe przemówienie Alice, jakie dotąd usłyszał. – Zmusiłam ich, żeby mnie tu zostawili, w samym środku niczego. Przeszłam

na piechotę ostatnie pięć mil. Zgubiłam się. Spałam w lesie.

– Spałaś w lesie? Na ziemi?

– Pewnie powinnam zabrać namiot albo coś w tym rodzaju. Nie wiem, co sobie myślałam, wpadłam w histerię.

– Po co tyle zachodu? Brat nie mógł cię wpuścić?

– Umarł.

Powiedziała to obojętnie, czysto informacyjnym tonem, niemniej Quentin był wstrząśnięty. Nigdy nie myślał, że Alice ma rodzeństwo, w dodatku takie, które nie żyje. Czy że wiodła jakieś inne, nie związane z magią życie.

– Alice, to bez sensu – stwierdził. – Chyba wiesz, że jesteś najlepsza na roku?

Wzruszyła obojętnie ramionami, patrząc na Dom dzikim wzrokiem.

– Więc po prostu tu przysłaś? A oni co zrobili?

– Nie mogli w to uwierzyć. Nikt nie przypuszczał, że można samodzielnie odszukać Dom. Myśleli, że to przypadek, choć powszechnie wiadomo, że tu jest masa starej magii, po prostu tony. Całe to miejsce aż od niej wibruje. Jeśli spojrzysz na nie z pomocą właściwego zaklęcia, świeci jak pożar lasu... Pewnie sobie pomyśleli, że jestem bezdomna. Miałam gałęzie we włosach. Całą noc płakałam. Profesor Van der Weghe zlitowała się nade mną. Dała mi kawy i pozwoliła przystąpić do egzaminów wstępnych. Samej. Fogg nie chciał się zgodzić, ale go zmusiła.

– I zdałaś.

Znów wzruszyła ramionami.

– Nadal nie rozumiem – powiedział Quentin. – Dlaczego nie dostałaś zaproszenia jak my wszyscy?

Nie odpowiedziała, po prostu patrzyła ze złością na zamglony księżyc. Po policzkach płynęły jej łzy. Uświadomił sobie, że właśnie bezmyślnie wypowiedział na głos to, co zapewne stanowiło dla Alice podstawowe pytanie jej życia.

Przyszło mu do głowy, dużo później niż powinno, że nie jest tu jedyną osobą, która ma problemy i czuje się outsiderem. Alice nie była po prostu rywalką, kimś, kto za jedyny cel w życiu stawia sobie sukces i tym samym może odebrać Quentinowi szczęście. Była osobą mającą własne nadzieje i uczucia, i historię, i koszmary. Na swój sposób równie zagubioną jak on.

Stali w cieniu ogromnej jodły, potarganego niebieskoszarego monstrum jęczącego pod ciężarem śniegu. Quentin pomyślał o Bożym Narodzeniu i nagle uświadomił sobie, że je przeoczyli. Zapomniał, że żyją według czasu Brakebills. Prawdziwe Boże Narodzenie, to obowiązujące w prawdziwym świecie, minęło dwa miesiące temu, a on nawet tego nie zarejestrował. Rodzice mówili coś na ten temat przez telefon, ale nie załapał. Zabawne, jak niektóre rzeczy przestały mieć znaczenie. Zastanawiał się, co James i Julia robią w ferie. Planowali, że pojedą razem nad jezioro Placid. Jej rodzice mają tam domek.

A zresztą po co to wszystko? Znow zaczął padać śnieg, małe płatki osiadały mu na rzesach. Co w tym jest takiego, że warto aż tak się wysilać? Dlaczego to robią? Przypuszczał, że dla mocy. Albo dla wiedzy. Wszystko to było tak spieszenie abstrakcyjne. Odpowiedź powinna być przecież oczywista. Po prostu nie potrafił jej sformułować.

Alice zadrżała z zimna. Objęła się ramionami.

– Cieszę się, że tu jesteś, bez względu na to, jak tu dotarłaś – powiedział Quentin niezręcznie. – Wszyscy się cieszymy. – Objął ramieniem jej zgarbione plecy. Nie oparła się o niego ani w żaden inny sposób nie okazała wdzięczności za ten fizyczny kontakt, nie dostała jednak ataku drgawek, czego się w duchu obawiał. – Chodź, wracajmy, nim Fogg naprawdę się wkurzy. Jutro mamy egzamin. Musisz odpocząć, żeby się dobrze bawić.

Przystąpili do egzaminu następnego dnia rano, w poniedziałek trzeciego tygodnia grudnia. Dwie godziny egzaminu pisemnego i dwie godziny praktyki. Niewiele było w tym prawdziwych czarów. Głównie polegało to na siedzeniu w pustej klasie i recytowaniu zaklęć w środkowoangielskim, i identyfikowaniu różnych form magii przed trzema egzaminatorami, dwoma z Brakebills i jednym (właściwie jedną) z zewnątrz (miała akcent niemiecki czy może szwajcarski), którzy się przyglądali, jak Quentin próbuje kreślić w powietrzu idealne kółka różnych rozmiarów, w różnych kierunkach, różnymi palcami, gdy tymczasem z nieba przez cały czas padał bezdźwięcznie drobny śnieg. Stanowił niemal przykry kontrast.

Wyniki wsunięto pod drzwi pokojów następnego dnia wcześniej rano. Wypisane były na kawałku grubego kremowego papieru i wyglądały jak zaproszenie na ślub. Quentin zdał. Alice również. A Penny oblał.

ZAGINIONY CHŁOPIEC

W dwa ostatnie tygodnie grudnia w Brakebills wypadały ferie.

Początkowo Quentin nie rozumiał, dlaczego tak go przeraża perspektywa powrotu do domu, aż wreszcie uświadomił sobie, że wcale nie domem się martwi. Martwił się, że jeśli opuści Brakebills, nie pozwolą mu tu wrócić. Nigdy nie odszuka drogi powrotnej – zamkną sekretne przejście w ogrodzie i już na zawsze pozostanie uwięziony w prawdziwym świecie.

W końcu jednak pojechał do domu na pięć dni. I kiedy szedł po schodach wejściowych i ogarnęły go znajome zapachy, zabójcza mieszanka złożona z woni kuchennych, farby, wełny orientalnych dywanów i kurzu, kiedy zobaczył zirytowany uśmiech matki i krzepiący, dobry nastrój ojca, w tej chwili stał się na powrót ich synem i poczuł się związany emocjonalnie z tym małym chłopcem, którym był kiedyś i którym na zawsze pozostanie w jakimś zapadłym kącie duszy. Poddał się staremu złudzeniu, że mylił się, odchodząc stąd, że to jest życie, jakie powinien prowadzić.

Jednak ten czar nie utrzymał się długo. Nie mógł tu zostać. Coś w domu rodziców sprawiało, że nie mógł tam wytrzymać. Jakże, mając kopulasty pokój w wieży, mógł wrócić do obskurnej starej sypialni w Brooklynie z łuszczącą się białą farbą i stalowymi kratami w oknie, i widokiem na brudny skrawek ziemi otoczony murami domów? Nie miał nic do powiedzenia swoim życzliwym i wykazującym uprzejmą ciekawość rodzicom. Uznawał za równie nieznośną ich uwagę i ich odrzucenie. Jego życie zrobiło się skomplikowane i interesujące, i magiczne, gdy tymczasem ich było zwyczajne, domowe. Nie rozumieli, że ten świat, który znają, nie jest tym, który ma znaczenie. I

nigdy tego nie zrozumieją.

Przyjechał do domu w czwartek. W piątek wysłał SMS-a do Jamesa i w sobotę rano spotkał się z nim i Julią na opuszczonej przystani nad kanałem Gowanus. Trudno powiedzieć, dlaczego lubili to miejsce, chyba dlatego, że leżało w mniej więcej tej samej odległości od ich domów i nikt tam nie przychodził – znajdowało się na końcu ślepej ulicy, która celowała w kanał, a żeby się tam dostać, należało sforsować zardzewiałe ogrodzenie. Panował tu milczący bezruch miejsca położonego nad wodą, niezależnie od tego jak bardzo stojącą i zatrutą. Mogli usiąść na czymś w rodzaju betonowej barykady i rzucać garście żwiru w lepka powierzchnię Gowanusa. Na przeciwległym brzegu kanału stał wypalony magazyn z łukowatymi oknami. Czyjeś przyszłe luksusowe mieszkanie.

Pomyślał, że dobrze znów zobaczy Jamesa i Julię, a jeszcze lepiej znów ujrzeć siebie w ich towarzystwie. Czuł, że Brakebills go ocaliło, że nie jest już popieprzonym, wbijającym wzrok we własne buty dupkiem jak tego dnia, kiedy ich opuścił, beznadziejnym pomagierem Jamesa i niewygodnym zalotnikiem Julii. Kiedy wymienili z Jamesem burkliwe powitania i zwyczajowy uścisk dłoni, nie poczuł instynktownej uległości, która zawsze go prześladowała w obecności kumpla, jakby to James był bohaterem tej sztuki, a nie on, Quentin. Na widok Julii zaczął szukać w sobie dawnej miłości, którą do niej czuł. Nie zniknęła, lecz zmieniła się w tępy odległy ból, obecny jak odłamek szrapnela, którego nie udało się usunąć.

Nie wpadło mu do głowy, że mogą się nie ucieszyć na jego widok. Zdawał sobie sprawę, że wyjechał nagle, bez uprzedzenia, nie miał jednak pojęcia, jak dotknięci i zdradzeni czują się z tego powodu. Usiedli rządem obok siebie, patrząc na wodę, a Quentin zaimprovizował lekką opowieść o nieokreślonej, ale niezwykle elitarnej instytucji

edukacyjnej, do której z jakichś powodów uczęszczał. O zajęciach opowiadał tak niejasno, jak się tylko dało. Skupił się raczej na szczegółach architektonicznych. James i Julia tulili się do siebie sztywno w marcowym chłdzie (w Brooklynie był teraz marzec) jak starsze małżeństwo na parkowej ławce. Kiedy nadeszła jego kolej, James zaczął opowiadać o projektach, jakie przygotowywał w szkole, o balu maturalnym, nauczycielach, o których Quentin nie pomyślał ani razu przez te sześć miesięcy – niesamowite, że takie rzeczy nadal się działy i że Jamesa nadal to obchodziło, i że Quentin nie zdawał sobie sprawy, jakiej wszystko uległo zmianie. Kiedy magia stała się rzeczywistością, wszystko inne przestało się nią wydawać.

A Julia... pod jego nieobecność coś się stało z delikatną piegowatą Julią. Czy rzecz polegała na tym, że już jej nie kochał? Czyżby teraz widział ją wyraźnie po raz pierwszy w życiu? Chociaż nie, miała dłuższe włosy, proste i przylizane – zrobiła coś, żeby pozbyć się fal – a pod oczami czarne kręgi, których wcześniej nie było. Przedtem paliła tylko na imprezach, a teraz odpalała papierosa od papierosa, gasząc je na starym metalowym słupie ogrodzenia. Nawet spięty i opiekuńczy James wydawał się tym zdenerwowany. Przyglądała się im obu chłodno, jej czarna spódnica falowała na wietrze wokół odsłoniętych kolan. Później nie potrafił sobie przypomnieć, czy w ogóle się odezwała.

Tego wieczoru, już tęskniąc za magicznym światem, Quentin poszukał wśród swoich starych książek powieści o Fillory, a potem do trzeciej nad ranem czytał *Latającą puszcze*, nie najlepszą i najmniej uroczą część cyklu opowiadającą o Rupercie, beznadziejnie głupkowskim i ofermowskim Chatwinie. On i piękna, królewska Fiona znajdują wejście do Fillory na górnych gałęziach ulubionego drzewa Ruperta. Cała książka poświęcona jest próbom ustalenia źródła tykania, które nie pozwala spać ich

przyjacielowi, sir Goręcoplamkowi, lampartowi o niezwykle czułym słuchu.

Winowajcą okazuje się plemię krasnoludów, które całkowicie wydrążyło wnętrze miedzionośnej góry i zmieniło ją w ogromny mechanizm zegarowy (Quentin nigdy wcześniej nie zauważył obsesji zegarów, na jaką najwyraźniej cierpiał Plover). W końcu Rupert i Fiona proszą o pomoc przyjacielskiego olbrzyma, który po prostu za pomocą motyki zagrzebuje głębiej zegar krasnoludów, tym samym tłumiąc monstrualne tykanie. W ten sposób wszyscy są zadowoleni, i sir Goręcoplamek, i krasnoludy, które jako mieszkańcy jaskiń, lubią przebywać pod ziemią. Później Chatwinowie udają się do królewskiej rezydencji, Zamku Białoszczytego. To elegancka forteca zmyślnie zbudowana na wzór gigantycznego zegara. Wielka mosiężna sprężyna, umieszczona pod zamkiem i nakręcana przez wiatraki, wprawia wieże w powolny majestatyczny taniec.

Teraz, kiedy uczył się w Brakebills i wiedział już coś niecoś o prawdziwej magii, czytał Plovera bardziej krytycznie. Chciał poznać szczegóły techniczne zaklęć i dowiedzieć się, dlaczego krasnoludy w ogóle budowały ten gigantyczny zegar. Zakończenie też mu się nie podobało – za bardzo przypominało *Serce oskarżycielem* Poego. Nic nie zostaje pogrzebane na zawsze. I gdzie w *Latającej puszczy* jest latająca puszcza? Gdzie się podziały Ember i Umber, dwa majestatyczne bliźniacze barany, które utrzymywały w Fillory porządek? Zwykle pokazywały się dopiero wtedy, gdy Chatwinowie już załatwili sprawę. Ich prawdziwa funkcja zdawała się polegać na pilnowaniu, by rodzeństwo nie zasiedziało się zanadto w Fillory – na końcu każdej książki to one regularnie odsyłały Chatwinów z powrotem do Anglii. Tego właśnie Quentin w tych książkach nie lubił. Dlaczego Chatwinowie nie mogli zostać w Fillory na zawsze? Dlaczego to miałyby być takie złe?

Oczywiście Christopher Plover nie miał pojęcia o prawdziwej magii. Nie był nawet prawdziwym Anglikiem: według informacji podanych na skrzydełku okładki urodził się w Ameryce, dorobił się w latach dwudziestych na towarach sypkich i tuż przed załamaniem na giełdzie przeniósł się do Kornwalii. Pozostał zaprzysięgłym kawalerem i anglofilem, zaczął nawet wymawiać swoje nazwisko na sposób angielski („Pluwer”) i pozował na wiejskiego szlachcica mieszkającego w wielkim domu pełnym służby. (Tylko amerykański anglofil mógł stworzyć Fillory, świat tak niewiarygodnie angielski, że Anglia się do niego nie umywała). Według legendy w sąsiedztwie mieszkała prawdziwa rodzina Chatwinów. Plover zawsze twierdził, że to dzieci Chatwinów opowiedziały mu o Fillory, a on tylko spisał ich opowieści.

Jednak prawdziwą zagadką *Latającej puszczy*, bez końca analizowaną przez gorliwych fanów i krytyków literatury, było kilka ostatnich stron. Kiedy problem tykania został pomyślnie rozwiązany, Rupert i Fiona zasiadają do uroczystej biesiady z sir Gorącoplamkiem i jego rodziną składającą się z pięknej uwodzicielskiej lamparcicy i kilkorga uroczych kędzierzawych lamparciątek. Wtedy zjawia się Martin, najstarszy z rodzeństwa, który pierwszy odkrył Fillory dwie książki wcześniej, w tomie *Świat w ścianach*.

Martin ma teraz trzynaście lat i stał się niemal za stary na przygody w Fillory. We wcześniejszych książkach jest postacią nierówną, jego nastroje zmieniają się bez ostrzeżenia, od radości do rozpacz. W *Latającej puszczy* znajduje się akurat w fazie depresji. Błyskawicznie wdaje się w bójkę z młodszym, bardziej pogodnym Rupertem. Obrzucają się bardzo angielskimi okrzykami i zaczynają się mocować na oczach klanu Gorącoplamków, który obserwuje ich zmagania z pełnym rozbawieniem lamparcim

chłodem. W końcu z koszulą wywleczoną ze spodni i straciwszy guzik, Martin przerywa bójkę i krzyczy do rodzeństwa, że to on odkrył Fillory i że to on, a nie oni, powinien przeżyć tę przygodę. I że to niesprawiedliwe – dlaczego zawsze muszą potem wracać do domu? W Fillory jest bohaterem, a w domu nikim. Fiona odpowiada zimno, żeby się nie zachowywał jak dziecko. Wówczas Martin odchodzi w gęsty Mroczniejący Las, zalewając się łzami angielskiego mieczaka.

I... nigdy nie wraca. Fillory go pożera. W ostatnich dwóch książkach – *Sekretnym morzu* i finałowej *Wędrującej wydmy* – Martin nie występuje, a choć rodzeństwo próbuje go odszukać, nie udaje mu się tego dokonać. (To przywiodło Quentinowi na myśl biednego brata Alice). Jak większość fanów Quentin uważał, że Plover planował sprowadzić z powrotem skruszonego Martina w ostatniej części sagi, ale umarł niespodziewanie po przekroczeniu pięćdziesiątki, kiedy *Wędrująca wydma* była jeszcze w brudnopisie, i nie zostawił żadnych zapisków sugerujących rozwiązanie zagadki równie wielkiej jak niedokończona powieść Dickensa *Tajemnica Edwina Drooda*. Martin na zawsze pozostanie więc chłopcem, który zniknął w Fillory i nigdy nie wrócił.

Quentin pomyślał, że odpowiedź pewnie znalazłby w książce, która wpadła mu w ręce na tak krótką chwilę. Nosiła tytuł *Czarodzieje*. I zniknęła. Szukał jej, przewrócił Dom do góry nogami i przesłuchał wszystkich jego mieszkańców, aż wreszcie się poddał. Ktoś z Brakebills musiał ją sobie przywłaszczyć albo sprzątnąć, albo zgubić. Tylko kto i dlaczego? Może nawet tak naprawdę nie istniała?

Obudził się w niedzielny poranek, już czując gorączkę podróży. Marnował tu czas. Miał nowe życie i to nim powinien żyć. Czując jedynie minimum obowiązkowego

poczucia winy, wymyślił dla rodziców misterną historyjkę – bogaty współlokator, chatka narciarska w New Hampshire, wiem, że to w ostatniej chwili, ale czy mogę jednak pojechać? Kolejne kłamstwa, co jednak miał zrobić? To konieczność, jeśli chce się utrzymać w tajemnicy fakt, że się jest nastoletnim czarodziejem. Spakował się pospiesznie – i tak zostawił w szkole większość ubrań – i pół godziny później już szedł ulicami Brooklynu prosto do zarośniętego ogródka. Wszedł w największy gąszcz.

Dotarł do płotu na tyłach i zobaczył po drugiej stronie zardzewiałą huśtawkę stojącą na sąsiednim podwórzu. Czy naprawdę ten ogród był taki mały? W jego wspomnieniach przypominał dżunglę, a tymczasem teraz wydawał się wręcz pozbawiony roślinności. Przez kilka minut przedzierał się wśród śmieci i połamanych chwastów, i dyń, których rozkład powstrzymał mróz, coraz bardziej zdenerwowany i zażenowany. Co takiego zrobił zeszłym razem? Może potrzebował tej książki? Coś musiał przeoczyć, nie wiedział jednak co. Magia nie działała. Próbował odtworzyć w pamięci swoją drogę. Może to niewłaściwa pora dnia?

Poszedł kupić sobie kawałek pizzy i przemyśleć sprawę, modląc się w duchu, by nie zauważył go nikt znajomy, skoro miał być właśnie w drodze na górę Alibi w New Hampshire. Nie wiedział, co robić. Czary nie działały. Magia go opuściła. Siedział przy stoliku z bagażem pod łokciem, patrząc na swoje odbicie w lustrach sięgających od podłogi do sufitu – dlaczego we wszystkich pizzeriach są lustra? Zaczął czytać kronikę policyjną w darmowym tygodniku *Park Slope*. Ściany odbijały się nawzajem, lustra w lustrach, niekończąca się galeria odbić. Po chwili długa, wąska i pełna ludzi sala znieruchomiała wokół niego, choć ledwie to zarejestrował. Lustra pociemniały, światło się zmieniło, nagie płytki podłogowe zaczęły przypominać wyfroterowany parkiet, a kiedy podniósł wzrok znad gazety, jadł pizzę sam

w bawialni pierwszorocznych w Brakebills.

Nagle, bez zbędnego zamieszania czy ceregieli, Alice i Quentin stali się drugorocznymi. Rocznik spotykał się w półokrągłej sali w narożniku Domu. Było tu słonecznie, lecz okropnie zimno, a wewnętrzną stronę wysokich okien pokrywał szron. Rankami mieli zajęcia z profesor Petitpoids, starą i nieco stukniętą Haitanką, która nosiła spiczasty czarny kapelusz i kazała się do siebie zwracać per „czarownico” zamiast „pani profesor”. Na połowę pytań odpowiadała: „Nikommu nie robisz krzywdy, więc rób, jak chcesz”. Ale jeśli chodziło o wymogi praktyczne magii, to jej guzowate brązowe palce okazały się jeszcze sprawniejsze niż palce profesor Sunderland. Po południu, na pezetach, nadzorował ich profesor Heckler, długowłosy Niemiec z błękitnawym śladem po goleniu na policzkach, mający ponad dwa metry wzrostu.

Nie dokonał się jakiś wyraźny proces akceptacji nowych nabytków. Przejście na wyższy rok zmieniło Quentina i Alice w dwuosobową klasę w klasie: pierwszorocznicy czuli do nich urazę, a drugorocznicy ich ignorowali. Alice nie była już gwiazdą, drugorocznicy mieli własne gwiazdy, przede wszystkim przesadnie głośną barczystą dziewczynę o prostych włosach w kolorze pomyj, która nazywała się Amanda Orloff. Regularnie wywoływano ją do katedry, by zaprezentowała kolegom technikę wykonywania zaklęć. Była córką generała, a magię uprawiała w burkliwy, nieostentacyjny, koszmarne kompetentny sposób za pomocą masywnych muskularnych rąk, jakby układała niewidzialną kostkę Rubika. Jej grube palce siłą wywlekały magię z powietrza.

Inni studenci założyli, że Quentin i Alice są już ze sobą zaprzyjaźnieni, może nawet są parą, co miało ten zabawny efekt, że wykreowało między nimi więź, której tak naprawdę

nie mieli dotąd czasu stworzyć. Czuli się lepiej w swoim towarzystwie, odkąd Alice zwierzyła mu się z bolesnego sekretu swojego przybycia do Brakebills. Najwyraźniej to wyznanie ją wyzwoliło: nie wydawała się już taka krucha, nie zawsze mówiła cichutkim szeptem i mógł sobie z niej czasem żartować, a nawet, przy pewnej zachęcie, potrafił ją skłonić, żeby żartowała z niego. Nie miał pewności, czy są przyjaciółmi, choć niewątpliwie Alice nieco się otworzyła. Czuł się jak kasiarz, który dzięki szczęśliwemu przypadkowi ustalił pierwszą cyfrę z długiej i trudnej kombinacji.

Pewnego niedzielnego popołudnia, zmęczony ignorowaniem przez drugorocznych, Quentin udał się na poszukiwania Surendry, swego dawnego partnera z pezetów, i wyciągnął go z Domu na spacer. Ubrani w palta ruszyli przez Labirynt, nie kierując się nigdzie konkretnie. Żaden z nich nie wykazywał też szczególnego entuzjazmu. Słońce wyszło zza chmur, choć nadal panował nieprzyjemny ziąb. Żywopłoty uginały się pod topniejącym śniegiem, śnieg wciąż zalegał w cienistych zakątkach. Surendra był synem niezwykle bogatego specjalisty od komputerów pochodzenia bengalskiego i mieszkał w San Diego. Jego okrągła, błogo radosna twarz maskowała fakt, że jest najbardziej brutalnie sarkastyczną osobą, jaką zdarzyło się Quentinowi spotkać.

Gdzieś po drodze przez Labirynt przyłączyła się do nich dziewczyna z drugiego roku, Gretchen, smukła, długonoga blondynka zbudowana jak primabalerina, wyjąwszy fakt, że mocno utykała – od urodzenia miała coś ze ścięgnem kolanowym – i chodziła o lasce.

– Hej, chłopaki.

– To ta łamaga – mruknął Quentin.

Gretchen nie wstydziała się swojej nogi. Mówiła każdemu, kto chciał słuchać, że stąd właśnie pochodzi jej moc i że gdyby zgodziła się na operację, nie mogłaby już

uprawiać magii. Nikt nie wiedział, czy to prawda.

Wyszli z Labiryntu na skraj trawnika. Zatrzymali się. Źle zrobiłem, pomyślał Quentin. Żadne z nich nie wiedziało, dokąd iść ani po co. Gretchen i Surendra ledwie się znali. Przez kilka minut rozmawiali o niczym – plotki, egzaminy, nauczyciele – ale Surendra nie chwycił drugorocznych aluzji, a ilekroć się zorientował, że tak się stało, jeszcze bardziej pochmurniał. Popołudnie zakołysało się na swej osi. Quentin podniósł mokry kamień i rzucił go, jak najdalej potrafił. Kamień potoczył się bezgłośnie po trawie. Wilgoć sprawiła, że marzły mu strasznie dłonie bez rękawiczek.

– Chodźmy tędy! – powiedziała wreszcie Gretchen i ruszyła przez Morze rozkołysanym krokiem, który mimo swej dziwaczności okazał się całkiem efektywny. Quentin nie wiedział, czy powinien się roześmiać czy nie. Szli potem wąską żwirowaną ścieżką przez rzadką kurtynę pozbawionych liści drzew, aż znaleźli się na małej polance przy zewnętrznej granicy terenu szkoły.

Quentin zawędrował tu kiedyś. Widział już wcześniej tę dziwną szachownicę rodem z *Alicji w Krainie Czarów*, otoczoną szerokim marginesem trawnika. Kwadraty miały boki o długości mniej więcej metra – szachownica była dłuższa niż szersza – a zrobiono je z różnych materiałów: z wody, kamienia, piasku, trawy, dwa zaś ze srebrzystego metalu.

Trawiaste kwadraty starannie skoszono, zaczynały się zielenić. Wodne wyglądały jak ciemne połyskliwe stawy, odbijające smagane wiatrem niebieskie niebo.

– Co to za miejsce? – spytał.

– Jak to: co to za miejsce? – zdziwił się Surendra.

– Chcesz zagrać? – Gretchen obeszła szachownicę. W jej połowie stało wysokie, pomalowane na biało drewniane krzesło, przypominające siedzisko ratownika albo sędziego na meczach tenisa.

– Więc to jest gra?

Surendra popatrzył na niego zmrużonymi oczami.

– Czasami cię, kurna, nie kumam – powiedział. Wreszcie zaczynało mu świtać, że wie coś, o czym Quentin nie ma pojęcia. Gretchen rzuciła mu znaczące porozumiewawcze spojrzenie. Należała do ludzi natychmiast spoufalających się z osobami, które ledwie znają.

– To szachownica do weltersów – oznajmiła łaskawie.

Quentin wiedział, że zostanie dobity pogardą.

– Czyli to gra.

– Och, to o wiele więcej niż gra – zapewniła Gretchen.

– To namiętność – uściślił Surendra.

– Styl życia.

– Stan umysłu.

– Objaśnię ci reguły, jeśli masz jakieś dziesięć lat czasu. – Gretchen pochuchała w dłoń. – Generalnie chodzi o to, że jeden zespół staje po jednej stronie, a drugi po drugiej i próbują zajmować kwadraty.

– W jaki sposób?

Gretchen poruszyła palcami w powietrzu.

– Za pomocą maaaagii!

– A gdzie miotły? – Quentin nie do końca żartował.

– Nie ma mioteł. Weltersy przypominają raczej szachy. Wymyślono je jakieś pięćdziesiąt milionów lat temu. Zapewne początkowo służyły jako pomoc naukowa, ale niektórzy mówią, że to alternatywa dla pojedynków. Studenci zabijali się nawzajem, więc żeby tego nie robić, musieli grać w weltersy.

– To były czasy!...

Surendra spróbował z miejsca przeskoczyć kwadrat wody, lecz poślizgnął się i wpadł w niego jednym obcasem.

– Kurwa! – Spojrzał w lodowatoniebieskie niebo. – Nienawidzę weltersów!

Z zimowego wiązu poderwała się wrona. Słońce

zachodziło za drzewami w zamarznętym wirze różowych chmur..

Surendra zszedł z szachownicy, machając rękami.

– Nie czuję palców. Wracajmy.

Ruszyli ścieżką w kierunku Morza, nie rozmawiając, tylko chuchając w dłonie i rozcierając je. Kiedy słońce całkiem zaszło, zrobiło się jeszcze zimniej. Drzewa wznosiły się czernią na tle nieba. Musieli się pospieszyć, żeby zdążyć się przebrać do kolacji. Quentina ogarnęło silne uczucie późnopołudniowego bezsensu. Skraj lasu patrolowało stado dzikich indyków, wyprostowanych i czujnych. Wyglądały dziwnie jaszczurko wato i złośliwie, jak stado welociraptorów.

Kiedy szli przez trawnik, Quentin nagle się zorientował, że jest przepytywany na temat Eliota.

– Naprawdę przyjaźnisz się z tym facetem? – spytał Surendra.

– Właśnie, jak go poznałeś?

– Nie znam go. Trzyma ze swoją paczką. – W głębi duszy Quentin był dumny, że łączono go z Eliotem, choć tak naprawdę ledwie ze sobą rozmawiali.

– Tak, wiem – mruknął Surendra. – Fizyczni Goście. Co za banda nieudaczników.

– Co za Fizyczni Goście?

– No wiesz, ta ich klika. Janet Way i ten gruby, Josh Hoberman. Wszyscy specjalizują się w magii fizycznej.

W Labiryncie ich białe oddechy odcinały się ostro od ciemnych żywoplotów. Surendra wyjaśnił, że na trzecim roku studenci wybierają określony rodzaj magii, w którym będą się specjalizować, czy raczej wybierają go dla nich nauczyciele. Wszyscy dzieleni są na grupy w zależności od specjalizacji.

– Nie ma to większego znaczenia, tyle że specjalizacja wpływa na życie towarzyskie. No wiesz, ludzie trzymają się

własnej grupy. Fizyczni zdarzają się podobno najrzadziej. Są pod tym względem trochę snobistyczni. Zresztą wiesz o Eliocie.

Gretchen uniosła brwi i łypnęła pożądliwie. Miała nos czerwony od mrozu. Dotarli do tarasu, a różowy zachód słońca rozsmarował się anamorficznie na wypaczonych szybach przeszklonych drzwi.

– Nie, chyba nie wiem – powiedział Quentin sztywno. – Może mi powiecie?

– O Boże! – Gretchen w ekstazie położyła rękę na ramieniu Surendry. – Założę się, jest jednym z Eliotowych...

W tym momencie przeszklone drzwi stanęły otworem i wyszedł z nich Penny Szedł szybko w ich stronę na sztywnych nogach, z koszulą wywleczoną ze spodni, bez marynarki. Z mroku wyłoniła się jego blada okrągła twarz. Była pusta i nieruchoma w przeciwieństwie do jego kroków, hiperożywionych szaloną energią. Kiedy znalazł się przy nich, zrobił jeden dodatkowy krok, wziął zamach i walnął Quentina pięścią w twarz.

O bójkach w zasadzie się nie słyszało w Brakebills. Studenci plotkowali i sabotowali cudze eksperymenty na pezetach, natomiast przemoc fizyczna zdarzała się niezwykle rzadko. W Brooklynie Quentin widywał bójki, nie należał jednak do gości, którzy się w nie mieszają. Nie miał rodzeństwa. Nikt mu solidnie nie przyłożył, odkąd skończył podstawówkę.

Przez moment widział pięść Penny'ego w zbliżeniu, ogromną niczym kometa mijająca zbyt blisko Ziemię, a potem w prawym oku błysnął mu flesz. To był cios kontaktowy, zmusił go do odwrócenia się i nakrycia dłonią trafionego miejsca w uniwersalnym geście „właśnie dostałem w mordę”. Nadal próbował zrozumieć, co się stało, kiedy Penny znów go walnął. Tym razem Quentin uchylił się

na tyle skutecznie, że oberwał tylko w ucho.

– Au! – wrzasnął, cofając się. – Co jest, facet?

Na taras wychodziło z dziesięć okien. Quentin miał niejasne wrażenie, że widzi w nich tłumy zaciekawionych twarzy.

Surendra i Gretchen patrzyli na niego bladzi z przerażenia. Mieli otwarte usta, jakby uważali, że to jego wina. Penny najwyraźniej miał teatralne upodobania, jeśli chodzi o przebieg bójki, ponieważ podskakiwał i markował ciosy, i kręcił głową jak bokserzy na filmach.

– Co ty, kurwa, robisz? – wrzasnął na niego Quentin bardziej zaszokowany niż obolały.

Penny zaciskał zęby i oddychał przez nie z sykiem. Na brodzie miał ślinę, a jego oczy wyglądały dziwnie – Quentinowi przemknęło przez myśl wyrażenie „nieruchome rozszerzone źrenice”. Wypuścił sierpowy w głowę Quentina, który zrobił gwałtowny unik, pochylił się i nakrył głowę ramionami.

Quentin doszedł do siebie na tyle, żeby złapać Penny'ego w pasie, nim ten zdążył odzyskać równowagę po ciosie. Przez chwilę kiwali się w przód i w tył jak para pijanych tancerzy, wieszając się na sobie dla zachowania równowagi, po czym polecili na krzak rosnący na skraju tarasu. Obsypał ich śniegiem. Quentin miał parę centymetrów wzrostu więcej i dłuższe ręce, natomiast Penny był solidniej zbudowany i dość silny, żeby go z siebie zrzucić. Niska kamienna ławka podcięła im kolana i upadli, Penny znalazł się na górze.

Quentin walnął tyłem głowy w kamienne płyty tarasu. Przed oczami zobaczył rozbłysk. Bolało, a równocześnie strach nagle zniknął wraz z większością świadomych myśli, jakby ktoś zgarnął oburącz naczynia ze stołu. W ich miejsce pojawiła się ślepa furia.

Zaczęli się przewracać, zadawać ciosy i łapać za

ramiona, żeby drugi nie mógł uderzyć. Pojawiła się krew: Penny jakimś cudem rozciął sobie czoło. Quentin chciał wstać, żeby mogli się boksować. Chciał znokautować Penny'ego, rozłożyć go na łopatki. Ledwie zarejestrował, że rozłuszczona Gretchen próbowała walnąć Penny'ego laską i trafiła w niego.

Był właśnie na górze i zamierzał uwolnić pięść, żeby zadać silny cios, kiedy czyjeś ramiona niemal czule otoczyły jego klatkę piersiową i zdjęły go z Penny'ego. Uwolniony spod ciężaru Quentina Penny podniósł się jak wańka-wstańka, dysząc ciężko, z twarzą zalaną krwią, ale teraz byli między nimi ludzie, osaczał ich tłum i ktoś odciągnął Quentina. Czar prysł. Bójka dobiegła końca. Następną godzinę spędził w nieznanym pokoju z ludźmi pochylającymi się, by z nim poważnie porozmawiać i ocierać mu twarz szorstkim ręcznikiem. Starsza kobieta z ogromnym biustem, której nigdy wcześniej nie widział na oczy, wykonała zaklęcie z cedrem i tymiankiem, po którym twarz przestała go boleć. Później położyła mu coś zimnego na tył głowy, w miejscu, którym walnął w płyty tarasu, szepcząc w nieznanym azjatyckim języku. Bolesne pulsowanie stało się przytłumione.

Quentin nadal czuł się jak w kinie – nie cierpiał, choć miał wrażenie, że ma na sobie ołowiany kombinezon nurka, że porusza się po korytarzach w zwolnionym tempie, równocześnie straszliwie ciężki i pozbawiony wagi, mijając zaciekawione ryby, które obrzucają go spłoszonymi spojrzeniami, po czym szybko uciekają. Studenci w jego wieku i młodszy przyglądali się jego obitej twarzy z szacunkiem – miał spuchnięte ucho i ogromną śliwę pod okiem. Inni uznali całą sprawę za zabawną. Quentin doszedł do wniosku, że rozbawienie to lepsze wyjście. Dokładał starań, by prezentować stoicki dobry nastrój. Na moment pojawiła się przed nim twarz Eliota; rzucił mu

współczujące spojrzenie, pod którego wpływem Quentinowi napłynęły do oczu gorące łzy. Powstrzymał je ze złością. Okazało się, że to Eliot i jego Fizyczni Goście rozdzielili go z Penny'm. Te silne delikatne ramiona, które zdjęły go z przeciwnika, należały do przyjaciela Eliota, Josha Hobermana – tego grubego.

Stracił większość kolacji, zasiadł do niej, kiedy podawano deser, co wydawało się w pełni zgodne z dziwaczną atmosferą całego tego dnia – zrobiono dla niego wyjątek od zasad dotyczących spóźniałskich. Nie mógł się otrząsnąć z otumanienia, miał wrażenie, że ogląda świat przez lornetkę, słyszy wszystko przez szklanekę przytkniętą do ściany. Nadal nie rozumiał, o co poszło. Dlaczego Penny się na niego rzucił? Dlaczego zrobił coś takiego? Po co wstąpił do Brakebills, skoro zamierzał wszystko spieprzyć, ponieważ jest beznadziejnym dupkiem?

Quentin uznał, że powinien coś zjeść, ale już pierwszy kęs czekoladowego ciasta zmienił się w jego ustach w lepki klej, tak że musiał pobiec do łazienki, by z wymiotować. Wówczas dorwało go nadzwyczaj silne pole grawitacyjne i przycisnęło brutalnie do podłogi w łazience. Zupełnie jakby walnął go olbrzym, a potem, kiedy już upadł, położył się na nim całym ciężarem, wgniatając w zimne brudne płytki.

Quentin ocknął się w ciemności. Leżał w łóżku, nie swoim. Głowa go bolała.

Może „ocknął się” to przesada. Nie potrafił skupić wzroku, a jego umysł wyraźnie wątpił we własną integralność. Wiedział, że w Brakebills jest ambulatorium, lecz nigdy tam nie był. Nie miał nawet pojęcia, gdzie się ono znajduje. Przeszedł przez kolejny ukryty portal, tym razem do świata ran i choroby.

Zajmowała się nim kobieta, ładna kobieta. Nie widział, co robi, ale czuł na głowie jej chłodne miękkie palce.

Odchrząknął, miał gorzko w ustach.

– Jesteś ratowniczką. Byłaś ratowniczką.

– A-ha – odparła. – Czas przeszły pasuje lepiej, to była jednorazowa akcja. Choć nie powiem, dobrze się bawiłam.

– Spotkaliśmy się. Tego dnia, gdy tu przybyłem.

– Istotnie – przytaknęła. – Chciałam dopilnować, żebyś dotarł na egzamin.

– Co tu robisz?

– Czasami wpadam.

– Nigdy cię tu nie widziałem.

– Postarałam się o to.

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której być może się zdrzemnął. Kiedy znów otworzył oczy, nadal przy nim siedziała.

– Podoba mi się twoja fryzura – powiedział.

Nie miała na sobie stroju ratownika, a ciemne włosy upięła za pomocą pałeczek, odsłaniając małą, przypominającą klejnot twarz. Wtedy w Brooklynie wydała mu się bardzo młoda i dzisiaj również, coś mu jednak nie pasowało. Miała w sobie powagę dużo starszej kobiety.

– Przesadziłam z tymi warkoczami – zgodziła się.

– Ten mężczyzna, który umarł... co mu się stało tak naprawdę? Dlaczego umarł?

– Bez szczególnej przyczyny. – Między jej brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka. – Nie miał umrzeć, ale umarł. Ludzie czasami tak robią.

– Myślałem, że miało to coś wspólnego z moją obecnością.

– Cóż, najwyraźniej twojemu egocentryzmowi nic się nie stało. Połóż się na brzuchu.

Quentin przekręcił się posłusznie, a ona przemyślała mu tył głowy płynem, który wydzielał ostry zapach i szczypał.

– Czyli to nic nie znaczyło?

– Śmierć zawsze coś znaczy. W tym przypadku nic poza

tym co zwykle. No już, skończyłam. Musisz na siebie uważać, Quentinie. Potrzebujemy cię w dobrej formie.

Znów przekreślił się na plecy. Poduszka zdążyła tymczasem ostygnąć. Zamknął oczy. Wiedział, że gdyby zdołał opanować oszołomienie, postarałby się trochę bardziej niż ogólnie dowiedzieć, kim ta kobieta jest i jaką rolę odgrywa w jego życiu, jakoś jednak nie mógł.

– Ta książka, którą mi dałaś... – powiedział. – Chyba ją zgubiłem. Nie miałem okazji jej przeczytać.

W obecnym stanie wyczerpania i częściowej demencji fakt utraty książki o Fillory nagle wydał mu się bardzo smutny, prawdziwa tragedia nie do naprawienia. Ciepła łza spłynęła mu po policzku w stronę ucha.

– Ciii – rzekła kobieta. – To nie był właściwy moment. Znajdziesz ją ponownie, jeśli będziesz szukał uważnie. Tyle mogę ci obiecać.

Ludzie zawsze mówili takie rzeczy o Fillory. Położyła coś chłodnego na jego piekącym czole i stracił świadomość.

Kiedy się znów obudził, kobieta zniknęła. Ale nie był sam.

– Miałeś wstrząśnienie mózgu – powiedział ktoś.

Być może właśnie ten głos go obudził. Wołał go po imieniu. Quentin go rozpoznawał, lecz nie mógł umiejscowić. Spokojny i znajomy i w jakiś sposób niosący pociechę.

– Hej, Quen? Obudziłeś się? Profesor Moretti mówi, że miałeś wstrząśnienie mózgu.

Penny. To jego głos. Widział nawet blady owal jego twarzy na poduszce po drugiej stronie przejścia między łózkami.

– Dlatego wymiotowałeś. Pewnie to się stało wtedy, kiedyśmy się przewrócili o tę ławkę. Walnąłeś głową o ziemię. – Szalony gniew zniknął z twarzy Penny’ego, który

zrobił się całkiem rozmowny.

– Tak. Wiem, że uderzyłem się w głowę – powiedział Quentin powoli, z trudem. – To była moja głowa.

– Nie wpłynie to na twoje zdolności umysłowe, jeśli to cię trapi. Profesor Moretti tak powiedziała. Zapytałem.

– Co za ulga.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Gdzieś tykał zegar. W ostatniej książce o Fillory, *Wędrującej wydmie*, Plover opisał piękną scenę, w której mała Jane, najmłodsza z Chatwinów, zaziębia się paskudnie i spędza tydzień w łóżku, rozmawiając z Mistrzem Rysunku na pokładzie pocziwego okrętu „Chłostany Wiatrem”, sterowanego przez mięciutki, pełne współczucia króliczki. Quentin zawsze lubił Jane. Była inna niż pozostali Chatwinowie: bardziej zamyślona, miała nieprzewidywalne poczucie humoru i nieco ostrzejszy charakter niż jej przesłodzone rodzeństwo.

Zastanawiał się, która może być godzina.

– A ty? – spytał obojętnie. Nie wiedział na sto procent, czy już chce się pogodzić. – Zrobiłeś sobie coś?

– Rozciąłem czoło o twoje zęby. I złamałem mi nos, kiedy strzeliłem mnie z główki. Naprawili go zaklęciem leczącym Pułaskiego. Nigdy wcześniej takiego nie widziałem, przynajmniej nie na ludziach. Używa się do niego koziego mleka.

– Nie miałem pojęcia, że strzeliłem cię z główki.

Penny znów zamilkł. Quentin naliczył trzydzieści tyknięć zegara.

– Masz podbite oko? – spytał Penny. – Bo nie widzę.

– Koszmarnie.

– Tak mi się właśnie wydawało.

Na stoliku koło łóżka stała szklanka z wodą. Quentin wypił ją zachłannie i opadł z powrotem na poduszkę. Przez głowę przepływały mu gorące strumienie bólu. Bez względu na wysiłki tej ratowniczkii, czy kim tam była, nadal czekała

go masa roboty z odzyskiwaniem sił.

– Penny, dlaczego, do cholery, się na mnie rzuciłeś?

– Chyba musiałem – odparł Penny. Wydawał się zdumiony, że Quentin o to pyta.

– Musiałeś. – Chrzanić zmęczenie. – Przecież ja nic nie zrobiłem.

– Nic nie zrobiłeś. Och, jasne. Nic nie zrobiłeś. – Penny zaśmiał się drewnianym głosem. Dziwnie chłodno, jakby wiele razy przećwiczył tę rozmowę, swoje argumenty. Pod jego rzeczowym tonem Quentin wyczuwał dziwny szalony gniew. – Mogłeś ze mną porozmawiać. Mogłeś mi okazać trochę szacunku. Ty i ta twoja mała przyjaciółeczka.

O Boże. Czy to naprawdę tak miało być?

– Penny, o kim ty gadasz? O Alice?

– Och, daj spokój. Siedzisz z nią, rzućcie na siebie te spojrzenia i śmiejecie się ze mnie. Prosto w oczy. Uwierzysz, że sądziłem, że będzie fajnie? Że będziemy razem pracować? Uwierzysz, że naprawdę tak myślałem?

Quentin rozpoznał ten agresywny ton. Kiedyś jego rodzice wynajęli parter domu całkiem zwyczajnemu facetowi, aktuariuszowi, a ten zaczął im zostawiać kartki z coraz bardziej wyniosłymi żądaniami, by przestali go filmować za każdym razem, kiedy wali kloca.

– Nie bądź dupkiem – rzekł Quentin. Nie miał wrażenia, że powinien się wznieść ponad sytuację. Bo co, Penny wstanie i znowu go trzaśnie? – Masz chociaż pojęcie, jak wyglądasz w oczach innych ludzi? Łazisz sobie z tym kurewskim punkowskim czubem i oczekujesz, że inni będą się dobijać o twoje względy?

Penny usiadł na łóżku.

– Tej nocy, kiedy wyszliście razem z Alice... – powiedział. – Nie przeprosiliście, nie spytaliście, czy chcę iść z wami, nie pożegnaliście się, po prostu wyszliście. A potem... a potem – oznajmił triumfalnie – zdaliście! A ja nie

zdałem! To ma być sprawiedliwe? To ma być sprawiedliwe?
Co miałem zrobić?

A więc o to chodziło.

– Jasne, Penny – mruknął Quentin. – Zdecydowanie musiałeś mnie strzelić w twarz, ponieważ przewaliłeś egzamin. Może walniesz też profesor Van der Weghe?

– Nie potrafię łatwo się pogodzić. – Głos Penny’ego brzmiał bardzo głośno w pustej sali. – Nie chcę kłopotów. Ale jeśli się na mnie uweźmiesz, przysięgam, że znowu dobiore ci się do pyska. Tak to działa. Uważasz, że to twój prywatny fantastyczny świat? Myślisz, że możesz robić, co zechcesz? Zaczynij mną pomiatać, a przekonasz się!

Obaj mówili tak głośno, że Quentin nawet nie zauważył, kiedy drzwi sali się otworzyły i do środka wszedł dziekan Fogg ubrany w niezwykle haftowane kimono i dickensowską szlafmycę. Przez chwilę Quentin miał wrażenie, że trzyma w ręku świecę, i dopiero po chwili uświadomił sobie, że to świeci kciuk Fogg.

– Wystarczy – powiedział dziekan cicho.

– Dziekanie... – zaczął Penny, jakby wreszcie pojawił się głos rozsądku, do którego mógł zaapelować.

– Powiedziałem: wystarczy. – Quentin nigdy nie słyszał, żeby dziekan podnosił głos, nie zrobił tego i teraz. Za dnia Fogg sprawiał zawsze zabawne wrażenie, natomiast w nocy, owinięty w kimono, w obcym świetle ambulatorium, wydawał się władczy i nie z tego świata. Magiczny. – Macie się nie odzywać, wyjąwszy odpowiedzi na moje pytania. Czy to jasne?

Czy to się liczyło jako pytanie? Na wszelki wypadek Quentin tylko pokiwał głową. Bolała go coraz mocniej.

– Tak, sir – powiedział natychmiast Penny.

– Usłyszałem już absolutnie dość o tej sprawie. Kto sprowokował ten obrzydliwy incydent?

– Ja, sir – przyznał się bez wahania Penny. – Quentin

nic nie zrobił, nie miał z tym nic wspólnego.

Quentin milczał. To właśnie było w Penny'm zabawne. Pomimo ewidentnego szaleństwa trzymał się własnych, pokreconych zasad.

– A jednak twój nos w jakiś sposób wszedł w drogę czołu Quentina – stwierdził Fogg. – Czy to się powtórzy?

– Nie, sir.

– Nie.

– W porządku. – Quentin usłyszał jęczenie sprężyn materaca, kiedy dziekan usiadł na pustym łóżku. – W tej popołudniowej sprzeczce cieszy mnie tylko jedna rzecz, a mianowicie to, że żaden z was nie uciekł się do magii, żeby zrobić krzywdę drugiemu. Nie jesteście dość zaawansowani w studiach, by zrozumieć to dokładnie, ale w swoim czasie pojmiecie, że uprawianie magii to praca z niezwykle potężną energią. Której kontrolowanie wymaga spokojnego i obiektywnego umysłu. Jeśli użyjecie magii w złości, prędzej skrzywdzicie siebie niż przeciwnika. Istnieją pewne zaklęcia... jeśli stracie nad nimi kontrolę, przemienią was. Zniszczą. Zmieniają was w coś nieludzkiego, w niffina, ducha surowej, niekontrolowanej energii magicznej.

Fogg popatrzył na nich z kamiennym spokojem. Bardzo dramatycznie. Quentin wpatrywał się z uporem w blaszany sufit ambulatorium. Jego przytomność dopalała się, znikwała. W pamięci pojawiły się luki. Gdzie się podziała ta część, kiedy powiedział Penny'emu, żeby przestał być takim fiutem?

– Posłuchajcie mnie uważnie – ciągnął Fogg. – Większość ludzi nie widzi magii. Poruszają się w pustym świecie. Są znudzeni życiem i nic nie mogą na to poradzić. Tęsknota pożera ich żywcem, są już martwi, zanim umrą. Wy natomiast żyjecie w świecie magii, a to wielki dar. Jeśli chcecie tu zginąć, znajdziecie wiele okazji, nie musząc zabijać się nawzajem.

Wstał.

– Czy zostaniemy ukarani? – spytał Penny.

Ukarani? Czy on naprawdę uważa, że są jeszcze w szkole średniej? Dziekan zatrzymał się w progach. Światło emanowane przez jego kciuk niemal znikło.

– Tak, Penny, jak najbardziej. Sześć tygodni zmywania naczyń. Po obiedzie i kolacji. A jeśli coś takiego się powtórzy, zostaniecie wydalen. Quentinie... – urwał, zastanawiał się chwilę. – Musisz się nauczyć lepiej nad sobą panować. Nie chcę dalszych kłopotów.

Drzwi zamknęły się za nim. Quentin wypuścił powietrze z płuc. Przymknął oczy. Pokój zerwał się z cum i zaczął dryfować prosto na morze. Zastanawiał się, choć bez specjalnego zainteresowania, czy Penny kocha się w Alice.

– Wow – powiedział Penny najwyraźniej niezrażony tym, że następne półtora miesiąca spędzi w pomywalni. Mówił jak dzieciak. – No naprawdę wow. Słyszałeś, co powiedział? O magii, która cię pożera? Nie wiedziałem o tym. A ty wiedziałeś?

– Penny – odezwał się Quentin. – Po pierwsze, masz idiotyczną fryzurę. A po drugie, nie wiem, jak jest tam, skąd pochodzisz, ale jeśli jeszcze raz zrobisz coś, przez co mogę stąd wylecieć, nie tylko złamię ci nos. Ja cię, kurwa, zabiję.

FIZYCZNI GOŚCIE

Sześć miesięcy później, we wrześniu, Quentin i Alice spędzili pierwszy dzień trzeciego roku, siedząc przed małym kwadratowym wiktoriańskim domkiem mniej więcej kilometr od głównego budynku Brakebills. Był to przykład prawdziwego szaleństwa architektonicznego, miniatura Domu, biała z szarym dachem i licznymi szczytami. Swego czasu mogły się tu znajdować pokoje służby albo może służył jako domek dla gości. Albo duża szopa ogrodowa.

Na dachu umieszczono metalowy wiatrowskaz w kształcie świni; zawsze wskazywał inny kierunek niż ten, z którego wiał wiatr. Quentin niczego nie widział przez okna, choć miał wrażenie, że słyszy dobiegające ze środka urywki rozmów. Domek stał na skraju wielkiej łąki.

Minęło południe. Niebo było błękitne, a wczesnojesienne słońce stało jeszcze wysoko. Powietrze trwało zupełnie nieruchome, panowała cisza. W wysokiej trawie Quentin widział zardzewiałą kosiarkę.

– To bzdura. Zapukaj jeszcze raz.

– Sam zapukaj – powiedziała Alice. Kichnęła gwałtownie. – Pukałam przez dwadzieścia... przez dwadzieścia...

Znów kichnęła. Miała alergię na pyłki.

– Na zdrowie.

– Przez dwadzieścia minut. Dziękuję. – Wysiąkała nos.

– Są w środku, po prostu nie chcą otworzyć. Jak sądzisz, co powinniśmy zrobić.

Quentin zastanawiał się przez chwilę.

– Nie wiem – powiedział. – Może to próba.

W czerwcu, tuż po egzaminach końcowych, cała dwudziestka drugorocznych wezwana została pojedynczo do

sali praktycznych zastosowań, żeby otrzymać przydział specjalizacji. Sesje wyznaczono w odstępach dwugodzinnych, choć czasami zabierało to więcej czasu: cały proces trwał trzy dni. Panowała atmosfera jak w cyrku. Większość studentów, podobnie jak zapewne nauczyciele, miała ambiwalentny stosunek do całej idei specjalizacji, tworzyła bowiem niepotrzebne podziały towarzyskie, teoria, na jakiej się opierała, była słaba, a wszyscy i tak uczyli się mniej więcej tego samego, więc jaki to miało sens? Ale tradycja wymagała, by każdy student się specjalizował, więc każdy student otrzymywał specjalizację. Alice nazwała to magiczną bar micwą.

Sala do pezetów została z tej okazji przemeblowana. Wszystkie szafki stały otworem, a na wszystkich blatach rozłożono stare instrumenty z drewna i srebra, i trawionego mosiądzu, i dmuchanego szkła: zaciskacze i kolby, i zlewki, i tajemnicze mechanizmy, i wagi, i szkła powiększające, i zakurzone szklane kule pełne rozchybotanej rtęci oraz innych, trudniejszych do zidentyfikowania substancji. Brakebills było mocno uzależnione od technologii ery wiktoriańskiej. Nie chodziło tu o przywiązanie, a przynajmniej nie do końca; elektronika, jak wyjaśniono Quentinowi, zachowuje się nieprzewidywalnie w obliczu magii.

Całym cyrkiem kierowała profesor Sunderland. Quentin unikał jej z całych sił od czasu tego koszmarnego okresu, kiedy udzielała mu korepetycji w pierwszym semestrze. Na szczęście zadurzenie zmieniło się w swoje słabe, choć nadal żałosne echo. Już niemal mógł na nią patrzeć i nie marzyć o zanurzeniu rąk w jej włosach.

– Za moment do ciebie przyjdę! – oznajmiła wesoło, zajęta przepakowywaniem zestawu kunsztownych srebrnych narzędzi w wyściełanej aksamitem walizeczce. – Zaczynamy? – Zatrzasnęła walizeczkę i zamknęła na zamek.

– Wszyscy w Brakebills mają magiczne uzdolnienia, objawiają się jednak indywidualne różnice, bo niektórzy wolą określone odmiany magii. – Wygłaszała tę przemowę do każdego, jak stewardesa tłumacząca pasażerom procedury bezpieczeństwa. – To bardzo osobista sprawa. Ma związek z tym, gdzie się urodziłeś i jaka była wtedy kwadra księżycy i pogoda, i jaką osobą jesteś oraz z pewnymi czynnikami technicznymi, w które nie warto wnikać. Istnieje ponad dwieście takich czynników, a profesor March z radością przedstawi ci je wszystkie. To jego specjalność. Mam wrażenie, że specjalizacje to jego specjalizacja.

– A jaka jest pani specjalizacja?

– Jest związana z metalurgią. Masz inne osobiste pytania?

– Tak. Dlaczego musimy przechodzić przez te testy? Nie możecie określić mojej specjalizacji na podstawie daty mojego urodzenia i tego wszystkiego, o czym pani mówiła?

– Moglibyśmy. W teorii. W praktyce takie postępowanie to bzdura niewarta zachodu. – Uśmiechnęła się, zgarnęła włosy, zwinęła je i upięła za pomocą spinki. Ostry odprysk dawnego pragnienia dziabnął Quentina w serce. – Dużo łatwiej podejść do tego indukcyjnie, z zewnątrz.

Umieściła w jego dłoniach po jednym skarabeuszu z brązu i poprosiła, żeby wyrecytował alfabet, najpierw grecki, potem hebrajski. Sama w tym czasie przyglądała mu się przez instrument, który wyglądał jak składany teleskop. Quentin czuł, że metalowe chrząszcze skrzą się i wibrują pod wpływem starych zaklęć. Okropnie się bał, że ich małe nóżki nagle zaczną się ruszać. Od czasu do czasu profesor Sunderland przerywała obserwację i kazała mu powtórzyć literę, a sama regulowała instrument za pomocą sterczących na wszystkie strony pokręteł.

– Mmm – mówiła. – Uhmhm.

Przyniosła małe bonsai z jodły i kazała mu na niego

patrzeć pod różnymi kątami i obserwować, jak porusza igłami pod wpływem wiatru, którego nie było. Potem zabrała drzewko i odbyła z nim poufną rozmowę.

– No cóż, nie jesteś Zielaarzem – stwierdziła.

Przez następną godzinę zbadala go na dwadzieścia różnych sposobów, a on zrozumiał cel zaledwie kilku. Przepowiedział podstawowe zaklęcia z pierwszego roku, podczas gdy profesor Sunderland obserwowała go i mierzyła efektywność jego magii za pomocą różnych instrumentów. Kazała mu czytać zaklęcia przy dużym mosiężnym zegarze o siedmiu wskazówkach, z których jedna z niepokojącą szybkością okrążała tarczę do tyłu. Wzdychała ciężko. Kilka razy ściągała z najwyższych półek zniszczone, okropnie ciężkie tomy i sprawdzała w nich coś przez długie, wprawiające go w zakłopotanie chwile.

– Jesteś interesującym przypadkiem – powiedziała.

Naprawdę nie ma końca upokorzeniom, jakie niesie ze sobą życie, pomyślał Quentin.

Sortował perłowe guziki różnych rozmiarów i kolorów na osobne kupki, a profesor Sunderland obserwowała jego odbicie w srebrnym lustrze. Poprosiła go, żeby się zdrzemnął, chciała bowiem obejrzeć jego sny, ale nie mógł zasnąć, więc uśpiła go jednym łykiem miętowego musującego naparu.

Najwyraźniej jego sny też nie powiedziały jej niczego nowego. Przyglądała mu się przez długą chwilę z rękami na biodrach.

– Zrobimy eksperyment – oświadczyła wreszcie z wymuszonym ożywieniem. Uśmiechnęła się lekko i założyła pasmo włosów za ucho.

Przeszła przez salę, zamknęła ze szcęką zakurzone drewniane okiennice i zrobiło się ciemno. Potem sprzątnęła rupiecie z szarego kamiennego blatu i usiadła na nim. Naciągnęła spódnicę na kolana, po czym gestem kazała

Quentinowi usiąść naprzeciwko na drugim stole.

– Zrób tak – powiedziała, wyciągając ręce, jakby zamierzała dyrygować niewidzialną orkiestrą. Pod pachami miała nieeleganckie półksiężyce potu. Quentin zrobił, co mu kazała.

Wykonała serię gestów znanych mu z podręcznika Popper, choć nigdy nie widział, żeby łączono je akurat w takiej kolejności. Wyszepiała coś, czego nie dosłyszał.

– A teraz zrób tak. – Uniosła ręce nad głowę.

Kiedy wykonała ten gest, nic się nie stało. Natomiast kiedy wykonał go Quentin, z czubków jego palców trysnęły grube strumienie białych iskier. Zaskakujące uczucie – jakby tkwiły w nim przez całe życie, tylko czekając, aż pomacha rękami we właściwy sposób. W panującej ciemności odbijały się wesoło od sufitu i opadały powoli wokół niego, podskakując kilka razy, kiedy uderzały w podłogę, i wreszcie gasnąc. Dłonie miał ciepłe, mrowiły mu palce.

Ulga była wręcz niewiarygodna. Zrobił to jeszcze raz i z palców wytrysnęło kilka iskier, tym razem słabszych. Patrzył, jak opadają wokół niego. Za trzecim razem pojawiła się tylko jedna iskra.

– Co to znaczy? – spytał.

– Nie mam pojęcia – odparła profesor Sunderland. – Zarejestruję cię jako Niezdecydowanego. Spróbujemy w przyszłym roku.

– W przyszłym roku? – Quentin patrzył z rosnącym rozczarowaniem, jak profesor Sunderland zeskakuje ze stołu i otwiera okiennice, okno za oknem. Zmrużył oczy, kiedy do pokoju wpadło światło. – Jak to? A co mam robić do tego czasu?

– Czekać – odparła. – To się zdarza. Ludzie przywiązują zbyt wielkie znaczenie do tych rzeczy. Bądź tak dobry i przyślij następną osobę, dobrze? Już mamy opóźnienie, a

jest dopiero południe.

* * *

Lato ciągnęło się w nieskończoność. Oczywiście na świecie wokół Brakebills panowała już jesień. Brooklyn, gdzie Quentin wrócił na wakacje, był zimny i szary, na ulicach leżało pełno mokrych brązowych liści i nasion miłorzębu, które pachniały jak wymiociny.

Krażył po domu jak duch – musiał czynić specjalne wysiłki, żeby rodzice go zauważali. Zawsze wydawali się lekko zaskoczeni, kiedy ich syn-zjawa domagał się uwagi. James i Julia poszli do college’u, więc chodził na samotne długie spacery. Przesiadywał nad rozgałęzionym kanciastym kanałem Gowanus, o wodzie zielonej od zanieczyszczeń. Grał w kosza na opuszczonych boiskach, gdzie w koszach brakowało siatki, a w rogach stały kałuże. Jesienny chłód nadawał im martwy, nieruchomy wygląd. Jego świat nie znajdował się tutaj, znajdował się gdzie indziej. Wymieniał pozbawione entuzjazmu e-maile z przyjaciółmi z Brakebills – Alice, Eliotem, Surendrą, Gretchen – i przeglądał obojętnie lekturę wakacyjną, osiemnastowieczną *Historię magii*, która z zewnątrz wydawała się całkiem cienka, ale okazało się, że dzięki jakiemuś subtelnemu bibliograficznemu zaklęciu liczy aż 1832 strony.

W listopadzie otrzymał kremową kopertę; pojawiła się znieściana w *Historii magii*, umieszczona tam przez niewidzialne dłonie. Zawierała sztywną drukowaną kartkę z eleganckim drzeworytem herbu Brakebills i zapraszała go do powrotu do szkoły o szóstej wieczorem wąską nieużywaną alejką koło Pierwszego Kościoła Lutherańskiego, dziesięć przecznic od domu.

Posłusznie zjawił się we wskazanym miejscu o wyznaczonej porze. Pod koniec jesieni słońce zachodziło już

o wpół do piątej, tego dnia było jednak niemal ciepło. Stojąc w wejściu do zaułka i rozglądając się na wszelki wypadek za kościelnym, który mógłby uznać, że Quentin chce coś zwędzić – albo jeszcze gorzej, zaproponować mu przewodnictwo duchowe – słyszał samochody przejeżdżające ulicą za jego plecami. Nigdy jeszcze nie czuł się tak zupełnie pewien, że ma przywidzenia, że Brooklyn to jedyna rzeczywistość, jaka istnieje, i że wszystko, co przydarzyło mu się w tym roku, to jedynie halucynacja, dowód na to, że nuda realnego świata wreszcie i nieodwołalnie doprowadziła go do utraty zmysłów. Zaułek okazał się tak wąski, że w zasadzie musiał iść bokiem, a dwa wypchane worki otrzymane w Brakebills – ciemnognatowe z ciemnobrązowym brzegiem, czyli w barwach szkoły – szorowały o wilgotne ściany domów po obu stronach. Quentin miał całkowitą pewność, że za trzydzieści sekund stanie przed murem zamykającym zaułek.

Ale wtedy poczuł, jak ogarnia go ciepłe, słodkie letnie powietrze, któremu towarzyszy granie świerszczy, i zobaczył przed sobą zieloną przestrzeń Morza. Choć worki mu ciążyły, puścił się biegiem.

A dziś był pierwszy dzień nowego semestru. Quentin i Alice piekli się na niewiarygodnie gorącej łące przed białym wiktoriańskim bungalowem, gdzie studenci specjalizujący się w magii fizycznej spotykali się we wtorki po południu na cotygodniowe seminaria.

Podczas testu okazało się, że specjalizacja Alice jest niezwykle techniczna i wiąże się z manipulowaniem światłem – nazwała ją fosforamancją – co umieszczało ją w kręgu magii fizycznej. Quentin przyszedł z nią, ponieważ Fizyczni liczyli najmniej członków i najmniej nowicjuszy,

więc wydawali się najlepszym miejscem na przeczekanie, póki nie będzie miał własnej specjalizacji. Pierwszy semestr zaczynał się o 12.30. Quentin i Alice przyszli wcześniej, teraz natomiast dochodziła piąta. Tkwili tu całe pieprzone popołudnie. Byli zgrzani i zmęczeni, i spragnieni, i źli, lecz żadne nie chciało się poddać i wrócić do Domu. Jeśli mieli być Fizycznymi Gośćmi, najwyraźniej musieli tego dowieść tutaj, przed tymi drzwiami.

Usiedli pod wielkim rozłożystym bukiem, chłodno obojętnym na ich niedole. Oparli się o pień. Między nimi tkwił gruby szary korzeń.

– Co chcesz zrobić? – spytał Quentin bez entuzjazmu. W powietrzu unosiły się maleńkie drobinki pyłku.

– Nie wiem. – Alice znowu kichnęła. – A ty co chcesz zrobić?

Quentin wyrywał źdźbła trawy. Z wnętrza domku dobiegł ich cichy wybuch śmiechu. Jeśli istniało jakieś hasło, nie znaleźli go. Poświęcili godzinę na szukanie ukrytych wskazówek – obejrzelili drzwi w każdym widmie optycznym, jakie im przyszło do głowy, widzialnym i niewidzialnym, od podczerwieni po gamkę. Próbowali zdrapywać farbę, żeby zobaczyć, co jest pod spodem, ale nie chciała schodzić. Alice spróbowała na wielkim sęku zaawansowanych zaklęć grafologicznych, lecz sęk patrzył na nich bez wyrazu. Wysyłali do zamka prądy wirującej energii, dźwięcząc zapadką, nie zdołali go jednak otworzyć. Wspólnie zebrali się na odwagę i stworzyli rodzaj iluzorycznej siekiery – było to otwarte naruszenie wszelkich znanych im zasad – nawet ona jednak nie zdołała choćby zadrapać drzwi. Przez chwilę Alice nawet sądziła, że same drzwi są iluzją, że wcale nie istnieją, tyle że sprawiały wrażenie prawdziwych nawet gdy je pomacać, a żadne z nich nie znało zaklęcia, którym można by je usunąć.

– Słuchaj – powiedział Quentin. – To jakaś pieprzona

chatka Jasia i Małgosi. Sądziłem, że Fizyczni Goście są spoko.

– Kolacja jest za godzinę – stwierdziła Alice.

– Odpuszczę sobie.

– Dziś jest jagnięcina w rozmarynie. I ziemniaki *au dauphin*. – Doskonała pamięć Alice przywoływała czasami dziwaczne szczegóły.

– Może powinniśmy zorganizować własne seminarium.

Tutaj.

Parsknęła.

– Jasne, pokażemy im.

Buk stał na skraju świeżo skoszonej łąki. Leżały na niej wielkie cynamonowe bele siana. Rzuciły długie cienie.

– To kim ty jesteś? Fotomantem?

– Fosforamantem.

– Co potrafisz robić?

– Jeszcze nie jestem pewna. Ćwiczyłam latem parę rzeczy. Skupiałam światło, odbijałam je, zaginałam. Jeśli zagniesz wokół czegoś światło, to coś robi się niewidzialne. Najpierw chcę zrozumieć teorię.

– Pokaż mi coś.

Alice znów zawładnęła nieśmiałość. Niewiele było do tego trzeba.

– Niedużo potrafię.

– Słuchaj, ja nawet nie mam specjalizacji. Jestem nicmantem. Jestem spieprzmantem.

– Oni po prostu nie wiedzą, co to za specjalizacja. Pamiętasz iskry?

– Bez różnicy. I nie wyśmiewaj się z moich iskier, tylko zagnij jakieś cholerne światło.

Skrzywiła się, ale posłusznie uklękła na trawie i wyciągnęła dłonie z szeroko rozstawionymi palcami. Quentin ukląkł naprzeciwko niej. Nagle uświadomił sobie obecność jej pełnych piersi pod cienką bluzką ze stójką.

– Obserwuj cień – mruknęła.

Zrobiła coś palcami i cień jej ręki zniknął. Po prostu zniknął, pozostawiając po sobie kilka tęczyowych pasemek.

– Ładne.

– Żałosne, wiem. – Pomachała ręką, usuwając z niej magię. – Cała moja ręka powinna stać się niewidzialna, a ja potrafię tylko zniknąć cień.

Coś w tym było. Quentin poczuł, że jego zły humor zaczyna mijać. Mieli do czynienia z testem. Magia fizyczna. Tu nie chodziło o ludowe tańce dla duchów drzew. To kwestia brutalnej siły.

– A odwrotnie? – spytał powoli. – Czy potrafisz skupiać światło jak soczewka?

Nie odpowiedziała od razu, widział jednak, jak stara się zrozumieć, o co mu chodzi, i przetrwać to.

– Może gdybym... hm. Chyba za pomocą zaklęcia Culhwcha i Owena... Choć trzeba stabilizować wyniki. I zlokalizować.

Zrobiła kółko z kciuka i palca wskazującego i wypowiedziała przez nie pięć długich słów. Quentin widział, jak światło zagina się w środku kółka, jak wypacza i zniekształca widoczne przez nie liście i trawę. Potem nagle skupiło się w biały punkt, który wypalił powidok na jego siatkówce, więc Quentin odwrócił wzrok. Alice poruszyła ręką i ziemia przed nią zaczęła dymić.

– Zabiję cię, jeśli przez ciebie wylecę z Brakebills. Rozumiesz? Nie żartuję. Wiem, jak to zrobię. Po prostu sprawię, że umrzesz.

– Zabawne. Dokładnie to samo powiedziałem Penny'emu po bójce – stwierdził Quentin.

– Tyle że ja to zrobię naprawdę.

Postanowili wypalić sobie drogę przez drzwi. Jeśli to rzeczywiście test, przekonywał Quentin, nie ma znaczenia,

jak go rozwiążą, byle rozwiązali. Nie przekazano im żadnych zasad, więc nie mogli żadnych złamać. A jeśli spalą cały ten cholerny dom, z Eliotem i jego zadowolonymi z siebie przyjaciółmi w środku, to cóż, zasłużyli sobie na to.

Musieli działać szybko, ponieważ zaczęło się zmierzchać. Słońce nabrało już miedzianego koloru i za kilka minut jego dolny brzeg dotknie czubków drzew po drugiej stronie łąki. W powietrzu można było wyczuć zapowiedź jesiennego chłodu. W domu już zapalono żółte światła. Quentin usłyszał – czy może wyobraził sobie, że usłyszał – puknięcie, z jakim odkorkowano butelkę.

Alice uniosła obie ręce nad głowę i zagięła je nieco, jakby trzymała w nich wielki niewidzialny kosz. Stworzyła w ten sposób magiczny odpowiednik soczewki o przekroju dwunastu metrów – jej ramiona definiowały zaledwie ułamek jego obwodu – której górny brzeg znajdował się na wysokości czubka buka, wyżej niż komin wiktoriańskiej chatki. Quentin postrzegał brzegi soczewki jako zniekształcenie w powietrzu. Punkt skupienia światła świecił zbyt jasno, by na niego patrzeć.

Alice stała jakieś półtora metra od drzwi. Quentin zajął pozycję bliżej, z boku. Osłaniał oczy ręką i podawał kierunek.

– W górę! Dobra, powoli! Jeszcze trochę! Jeszcze! Dobra, teraz jest dobrze!

Czuł na twarzy żar rozgrzewającego się światła i apetyczny zapach drewnianego dymu mieszający się z kwaśnym odorem palonej farby. Drzwi ewidentnie nie były odporne na żar. Martwili się, że nie zostało dość światła. Zakłęcie Alice wycinało w drewnie elegancki zwęglony rowek, postanowili bowiem przeciąć drzwi w poprzek na pół. Jeśli nawet żar nie przecinał ich na wylot, niewiele do tego brakowało. Większym problemem okazała się marna celność Alice. W jednym miejscu ześlizgnęła się z drzwi i

spaliła pnącze na ścianie.

– Głupio się czuję! – zawołała. – Jak nam idzie?

– Dobrze!

– Bola mnie plecy! Długo jeszcze?

– Już prawie! – skłamał.

Zostało jakieś trzydzieści centymetrów. Alice rozszerzyła promień soczewki, kompensując zapadający zmierzch. Szeptala do siebie, a Quentin nie miał pewności, czy to zaklęcie czy przekleństwo. Uświadomił sobie, że są obserwowani: jeden ze starszych profesorów, bardzo wyprostowany siwy mężczyzna o nazwisku Brzeziński, który specjalizował się w eliksirach i który chodził w spodniach zawsze obrzydliwie poplamionych, przerwał swój wieczorny spacer, żeby im się przyjrzeć. Kiedyś, dawno temu, w innym życiu, kazał Quentinowi rozplątywać węzły na egzaminie. Miał na sobie włóczkową kamizelkę i palił fajkę. Wyglądał jak inżynier z IBM. Z lat pięćdziesiątych.

Kurwa, pomyślał Quentin. Wywałą nas.

Ale profesor Brzeziński tylko wyjął fajkę z ust.

– Nie przeszkadzajcie sobie – powiedział szorstko. Odwrócił się i ruszył w stronę Domu.

Przecięcie drzwi w poprzek w jedną stronę zajęło Alice tylko dziesięć minut. Potem zaczęła ciąć w drugą stronę. Rowek rozżarzył się na czerwono.

Kiedy skończyła, Quentin podszedł do niej.

– Masz popiół na twarzy – powiedziała. Przetarła mu czoło palcami.

– Może powinniśmy przejechać po tym cięciu jeszcze raz. No wiesz, dla pewności. – Jeśli to nie zadziała, nie miał więcej pomysłów, a raczej nie chciał tu spędzić nocy. Nie sądził również, żeby mógł znieść powrót do Domu po tak upokarzającej porażce.

– Nie ma dość światła. – Alice wyglądała na wyczerpaną. – Jeśli ogniskowa przekracza czterysta

metrów, traci spójność. Rozłazi się na brzegach.

Czterysta metrów? pomyślał Quentin. To jaką ona ma moc?

Zaburczało mu w brzuchu. Teraz zmierzchało się na dobre, a niebo przybrało kolor fosforyzującego błękitu. Patrzyli na przecięte poczerniałe drzwi. Wyglądało to gorzej, niż sądził – Alice nie zawsze trafiała w rowek przy drugim przejściu, więc w niektórych miejscach rowki były dwa. Jeśli nie o to chodziło, Eliot go zabije.

– Mam spróbować otworzyć je z kopa?

Alice skrzywiła się.

– A jeśli ktoś za nimi stoi?

– Więc co proponujesz?

– Nie wiem. – Dotknęła spalonej części, która już wystygła. – Myślę, że prawie przeszliśmy...

Na drzwiach znajdowała się stara żelazna kołatka w kształcie bezcielesnej ręki, zablokowana na żelaznej kulce.

– Dobra – powiedział Quentin. – Cofnij się.

Proszę, niech to zadziała. Złapał za kołatkę, zaparł się nogą o drzwi, wydał przeciągły, cienki okrzyk jak w karate i gwałtownie przeniósł cały swój ciężar w tył. Górna połowa drzwi otworzyła się bez protestów – musiała się trzymać ledwie na kilku pasmach popiołu. Quentin upadł na plecy.

W drzwiach stała dziewczyna, w której rozpoznał czwartoroczną, a wokół niej w zmierzch przesączało się ciepłe światło. W rękę trzymała kieliszek z czerwonym winem. Patrzyła na niego chłodno. Alice opierała się o ścianę domu i śmiała tak bardzo, że aż zupełnie bezgłośnie.

– Kolacja już prawie gotowa – oznajmiła dziewczyna. – Eliot przyrządził sos amatricana. Nie mamy *guanciale*, myślę jednak, że bekon się nada. Nie sądzicie?

Mimo upału na kominku palił się ogień.

– Sześć godzin dwanaście minut – powiedział gruby

młody człowiek o falujących włosach siedzący w skórzanym fotelu. – To w zasadzie norma.

– Powiedz im, ile czasu tobie to zabrało, Josh – odparła dziewczyna, która przywitała ich w drzwiach. Quentinowi się zdawało, że ma na imię Janet.

– Dwadzieścia godzin trzydzieści jeden minut. Najdłuższa noc w moim życiu. Nie był to rekord, choć niewiele brakowało.

– Myśleliśmy, że zamierza wziąć nas głodem. – Janet naląła resztę wina do dwóch kieliszków stojących na kredensie i podała je Quentinowi i Alice. Na podłodze stały już dwie puste butelki, choć zebrani nie wydawali się pijani.

Znajdowali się w zaniedbanej, lecz przytulnej bibliotece o poprzecieranych dywanach, oświetlonej świecami i ogniem na kominku. Quentin uświadomił sobie, że chatka musi być dużo większa w środku, niż wydaje się z zewnątrz. Było tu również o wiele chłodniej – jak w miły jesienny wieczór. Na półkach stała masa książek, książki leżały też w stosach w kątach pokoju i nawet na kominku. Meble sprawiały dystygowane wrażenie, choć były nie od kompletu i w większości porządnie zniszczone. Między półkami na ścianach wisiały niezwykle tajemnicze artefakty, jakie zwykle gromadzą się same w prywatnych klubach: afrykańskie maski, ponure pejzaże, stare ceremonialne sztylety, szklane gabloty pełne map i medali oraz rozkładających się ciał egzotycznych ciem, które złowiono zapewne wielkim kosztem i wysiłkiem. Quentin czuł się zgrzany i zbyt swobodnie ubrany, głównie jednak przepelniała go ulga, że wreszcie dostali się do środka.

Było ich tylko pięcioro, wliczając w to jego i Alice. Eliot udawał, że ich jeszcze nie zauważył, penetrował półki z książkami i usiłował wszcząć poważną dyskusję na temat teorii magii, lecz nikt go nie słuchał.

– Dzwoneczek, mamy gości – oznajmiła Janet, smukła i

pełna życia, z poważną, nieco anachroniczną fryzurą na pazia. To ona była tą wygadaną. Quentin widywał ją wcześniej, jak rozwodziła się nad czymś podczas spacerów przez Labirynt albo wygłaszała mowy przy kolacji. – Odwróć się, proszę, przodem do pokoju.

Eliot przerwał swój monolog i odwrócił się. Miał na sobie fartuszek.

– Cześć – powiedział, nie tracąc rezonu. – Cieszę się, że się wam udało. Alice, jak rozumiem przepaliłaś drzwi na pół?

– Quentin mi pomógł.

– Obserwowaliśmy was przez okno – oznajmił Josh. – Mieliście dużo szczęścia, że Brzeziński nie przyłapał was z tą siekierą.

– Czy znaleźliśmy właściwe rozwiązanie? – spytała Alice. – To znaczy wiem, że zadziałało, jestem jednak pewna, że istnieje jakiś lepszy sposób.

Nieśmiało upiła trochę wina, po czym natychmiast napiła się go ponownie, mniej nieśmiało.

– Nie ma czegoś takiego jak lepsze rozwiązanie – odparła Janet. – O to właśnie chodzi. Na tym polega magia fizyczna. Jest niechlujna, prymitywna. Jeśli nie zburzysz całego budynku, każdy sposób jest dobry. Zresztą byłby dobry, nawet gdybyś zburzyła.

– A ty jak to zrobiłaś? – spytała Alice ostrożnie. – Wtedy, kiedy musiałaś znaleźć sposób, jak tu wejść?

– Zamroziłam je i rozbiłam. Uprawiam szczególny rodzaj zimnej magii, to moja specjalizacja. Sześćdziesiąt trzy minuty. I to jest rekord.

– Kiedyś wystarczyło powiedzieć „przyjaciół” po elficku, a drzwi same się otwierały – stwierdził Josh. – Ale teraz za dużo ludzi czyta Tolkiena.

– Eliot, kochanie, myślę, że kolacja już gotowa – powiedziała Janet. Jej stosunek do Eliota nie dawał się

jednoznacznie określić, stanowił dziwaczne połączenie czułości i pogardy. Zaklaskała w ręce. – Josh, może byłbyś tak dobry... ? – Wskazała zdemolowane drzwi. – Komary dostają się do środka.

Quentin, nadal ogłuszony, ruszył za Eliotem do kuchni, ładnego pomieszczenia z białymi szafkami sięgającymi wysokiego sufitu i blatami z kamienia mydlanego, i z aerodynamiczną lodówką z lat pięćdziesiątych. Ona również sprawiała wrażenie większej, niż się wydawało z zewnątrz. Eliot wlał trochę wina ze swego kieliszka do garnka z czerwonym sosem stojącego na kuchni.

– Nigdy nie dodawaj do potraw wina, którego dobrowolnie byś nie wypił – powiedział. – Choć takie stwierdzenie implikuje istnienie wina, które uznałbym za niezdatne do picia.

Zupełnie nie krępował go fakt, że ignorował Quentina przez cały poprzedni rok. Jakby to nigdy nie miało miejsca.

– Więc macie ten dom tylko dla siebie? – Quentin nie chciał okazać, jak bardzo pragnie tu przynależeć nawet teraz, kiedy dokonano się to już oficjalnie.

– Mniej więcej. Teraz ty też.

– Czy wszystkie specjalizacje mają własne kluby?

– To nie jest klub – powiedział Eliot ostro. Wrzucił duży kłęb świeżego makaronu do wysokiego garnka z gotującą się wodą i zaczął mieszać, żeby go rozplątać. – Będzie gotowy za mniej więcej minutę.

– Więc co to jest?

– No dobra, to jest klub, tylko my go tak nie nazywamy. Nazywamy go Chatką. Odbywamy tu seminaria i mamy całkiem niezłą bibliotekę. Czasami Janet maluje w sypialni na górze. Rozumiesz, tylko my możemy tu wejść.

– A Fogg?

– Och, i Fogg, choć nigdy się do tego nie zniża. I Bigby.

Znasz Bigby'ego, prawda?

Quentin pokręcił głową.

– Nie wierzę! – zachichotał Eliot. – Boże, będziesz go uwielbiał.

Spróbował sosu, potem wlał do niego porcję gęstej śmietany i zaczął mieszać po rozszerzających się okręgach. Sos zbladł i zgęstniał. Eliot prezentował w kuchni dziarską, bezceremonialną pewność siebie.

– Wszystkie specjalizacje mają takie miejsca. Naturalni przesiadują w tej kulawej herbaciarni w lesie. Iluzjoniści mają podobny dom, choć tylko oni wiedzą, gdzie się znajduje. Musisz go znaleźć, żeby się do nich przyłączyć. U Mędrców to jest po prostu biblioteka. Biedne skurczybyki. A Uzdrowiacze prowadzą lecznicę...

– Eliot! – Głos Janet dobiegał z drugiego pokoju. – Umieramy z głodu.

Quentin zastanawiał się, jak Alice radzi tam sobie sama.

– Dobra, już dobra! Mam nadzieję, że lubisz makaron – dodał, zwracając się do Quentina. – Tylko to gotuję. Tam jest bruschetta. Albo i nie. Na szczęście mamy masę wina. – Odcedził makaron w zlewie, wzbijając wielką chmurę pary, i wrzucił do garnka z sosem. – Boże, uwielbiam gotować. Myślę, że gdybym nie był czarodziejem, zostałbym kucharzem. To taka ulga po tym całym niewidzialnym gównie nie do rozwikłania, nie sądzisz? Richard był kucharzem z prawdziwego zdarzenia. Nie wiem, czy go znałeś, skończył szkołę w zeszłym roku. Taki wysoki. Koszmarny kujon, przy nim wszyscy wypadali blado w oczach Bigby'ego, natomiast zdecydowanie umiał gotować. Weź te dwie butelki, dobrze? I korkociąg.

Z białym obrusem, dwoma ciężkimi srebrnymi kandelabrami i dziko eklektycznym zbiorem sztucców, z których część przypominała lekką broń ręczną, stół w

bibliotece wyglądał niemal jak miejsce odpowiednie do jedzenia. Proste potrawy okazały się niezłe. Quentin zdążył zapomnieć, że umiera z głodu. Janet zrobiła coś – nie był pewien, czy to magia czy rzecz czysto mechaniczna – i zmieniła długi stół do nauki w krótszy stół jadalny.

Janet, Josh i Eliot plotkowali o zajęciach i nauczycielach, i o tym, kto z kim sypia i kto chce sypiać z kim. Spekulowali bez końca o mocy innych studentów. Manewrowali wokół siebie z wprawą ludzi, którzy spędzili razem masę czasu, ufają sobie i lubią się, i wiedzą, jak się pokazać z najlepszej strony oraz jak ujmować w karby nudne denerwujące nawyki innych. Quentin pozwolił, by rozmowa przepływała wokół niego swobodnie. Wydawało mu się to takie dorosłe: jeść wyrefinowaną kolację w prywatnej jadalni. O to chodzi, pomyślał. Przedtem tkwił na zewnątrz, ale teraz naprawdę brał udział w wewnętrznym życiu szkoły. Wreszcie miał do czynienia z prawdziwym Brakebills. Znajdował się w ciepłym, niezwykłym sercu tajemnego świata.

Spierali się o to, co będą robić po skończeniu szkoły.

– Ja się chyba wycofam na jakąś samotną górę – oświadczył Eliot niefrasobliwie. – Przez jakiś czas pobędę pustelnikiem. Zapuszczę długą brodę, a ludzie będą do mnie przychodzili po radę, jak w kreskówkach.

– Po jaką radę? – parsknął Josh. – W sprawie tego, czy do ciemnej marynarki należy wkładać ciemny krawat?

– A ja bym chciała zobaczyć, jak zapuszczasz brodę – dodała Janet. – Boże, jesteś taki egocentryczny. Nie chcesz pomagać ludziom?

Eliot wydawał się zdumiony.

– Ludziom? Jakim ludziom?

– Biednym ludziom! Głodnym ludziom! Chorym ludziom! Ludziom, którzy nie potrafią uprawiać magii!

– A co ci ludzie zrobili dla mnie? Ludzie nie chcą mojej

pomocy. Nazywali mnie pedałem i wrzucali na przerwach do śmietnika, kiedy byłem w piątej klasie, bo nosiłem odprasowane spodnie.

– Cóż, mam nadzieję, że na tej górze będzie piwnica z winem – mruknęła Janet wyraźnie rozzłoszczona. – Albo bar. Nie przetrwasz bez drinka nawet ośmiu godzin.

– Będę warzył niewyszukany, choć mocny trunek z miejscowych ziół i jagód.

– I pralnia chemiczna.

– No tak, to jest problem. Magia nigdy nie dopiera jak należy. Może po prostu zamieszkać w Plaża, jak Eloise.

– Nudzę się! – ryknął Josh. – Poróbmy Kształtowanie Ognia Harpera.

Podszedł do okazałej komody pełnej małych szufladek, wąskich, lecz głębokich. Okazało się, że to miniaturowy magazyn różdżek. Na każdej szufladce znajdowała się etykieta, od akacji srebrzystej w górnym lewym rogu po wierzbę japońską w dolnym prawym. Kształtowanie Ognia Harpera w zasadzie nie służyło do niczego, jedynie w niezwykle widowiskowy sposób pozwalało rozciągać i kształtować ogień w wyszukane kaligraficzne kształty, które płonęły przez chwilę w powietrzu, po czym znikwały. Wykonywało się je za pomocą osikowej różdżki. Wieczór szybko wypełniły próby ukształtowania płomienia świec w coraz bardziej wyszukane lub obsceniczne słowa i formy, co z kolei nieuchronnie doprowadziło do podpalenia firanek (najwyraźniej nie po raz pierwszy) i konieczności ich ugaszenia.

Ogłoszono przerwę. Eliot przyniósł smukłą, wyglądającą groźnie butelkę grappy. Tylko dwie świece przetrwały Kształtowanie Ognia, nikt jednak nie pofatygował się wymienić pozostałe. Zrobiło się późno, minęła pierwsza w nocy. Siedzieli w mroku w pełnej koncentracji ciszy. Janet leżała na plecach na dywanie,

patrząc w sufit. Stopy miała oparte na kolanach Eliota. Panowała między nimi zabawna fizyczna bliskość, tym szczególniejsza, że Quentin znał preferencje seksualne Eliota.

– Więc to już? Jesteśmy Fizycznymi Gośćmi? – zagadnął Quentin. Grappa spłynęła do jego piersi niczym ogniste nasiono i zapuściła tam korzenie. Z nasiona wyrosła gorąca, żarząca się roślina, rozrastała się coraz bardziej, aż zmieniła się w wielkie ciepłe drzewo dobrego humoru. – Nie musimy przejść jakiejś inicjacji? Nie wiem, zostać ogoleni czy coś?

– Nie, chyba że bardzo chcesz – odparł Josh.

– Jakoś mi się wydawało, że będzie was więcej – stwierdził Quentin. – Nas.

– Jest nas tylko troje, odkąd Richard i Isabel skończyli szkołę – powiedział Eliot. – Nie mamy nikogo z piątego roku. Nikt się nie kwalifikował. Gdybyśmy nie dostali nikogo i w tym roku, Fogg planował nas połączyć z Naturalnymi.

Josh wzdrygnął się teatralnie.

– Jacy oni byli? – spytała Alice. – Richard i Isabel?

– Jak ogień i lód – odparł Josh. – Jak czekolada i marcepan.

– Bez nich jest inaczej – stwierdził Eliot.

– Krzyżyk im na drogę – mruknęła Janet.

– Och, nie byli aż tacy źli – zaprotestował Josh. – Pamiętajcie, jak Richard sądził, że zdoła ożywić wiatrowskaz? Chciał sprawić, żeby się poruszał na własną rękę. Chyba przez trzy dni nacierał go oliwą i nawet nie chcę myśleć czym jeszcze.

– On to traktował śmiertelnie serio – stwierdziła Janet.
– Więc to się nie liczy.

– Nigdy nie rozumiałaś Richarda.

Parsknęła.

– Właśnie że tak – powiedziała z zaskakującą goryczą.

Zapadła chwila ciszy. Była to pierwsza fałszywa nuta tego wieczoru.

– Na szczęście znów mamy kworum – powiedział Eliot szybko. – Wybitnie szanowne forum. Magia fizyczna zawsze dostaje najlepszych.

– Za najlepszych – wzniósł toast Josh.

Quentin uniósł kieliszek. Siedział na najwyższych gałęziach swego ognistego drzewa, kołysząc się w ciepłym alkoholowym wietrze.

– Za najlepszych.

Wypili.

POTWÓR

Przez cały okres, jaki spędził w Brakebills, przez pierwszy rok, egzaminy, katastrofę z Penny'm aż do wieczoru, kiedy wstąpił do Fizycznych Gości, Quentin bezwiednie wstrzymywał oddech. Dopiero teraz uświadomił sobie, że cały czas spodziewał się, że Brakebills rozwieje się wokół niego jak dym. Pomijając już liczne prawa termodynamiki, które gwałcono tu w zasadzie codziennie, to miejsce było po prostu za dobre, żeby istnieć naprawdę. W pewnym sensie przypominało Fillory. Do Fillory nie udawałeś się na zawsze. Na końcu każdej książki Ember i Umber po prostu wykopywali z niego Chatwinów. W głębi duszy Quentin czuł się jak turysta, miał wrażenie, że pod koniec dnia zostanie zagnany do jakiegoś brudnego kopiącego autokaru – z porozcinanymi siedzeniami z winylu i telewizorem nad głową, i śmierdzącym ustępem – i odwieziony do domu z tandetną widokówką w rękę, a żywopłoty, dachy i wieże Brakebills znikną we wstecznym lusterku jak sen.

Wszystko jednak działo się naprawdę. I teraz zrozumiał wreszcie, że się nie rozwieje. Stracił tyle czasu, myśląc: „To sen” i: „To powinno się zdarzyć komuś innemu” i: „Nic nie trwa wiecznie”. Najwyższa pora, żeby zaczął się zachowywać jak ktoś, kim teraz był: jak dziewiętnastoletni student sekretnego college'u uczącego prawdziwej, rzeczywistej magii.

Odkąd sam należał do Fizycznych Gości, miał możliwość obserwować ich z bliska. Gdy poznał Eliota, założył, że wszyscy w Brakebills będą tacy jak on, mylił się jednak pod tym względem. Po pierwsze, nawet w tym wyrafinowanym otoczeniu dziwaczne maniery Eliota sprawiały, że się wyróżniał. Po drugie, na zajęciach był

błyskotliwy – może nie aż tak bystry jak Alice, lecz Alice zaharowywała się na śmierć, gdy tymczasem Eliot nawet nie próbował wziąć się do pracy, a jeśli to robił, ukrywał się z tym naprawdę dobrze. Na ile Quentin mógł stwierdzić, nigdy się nie uczył. Jedyna rzecz na świecie, która naprawdę go obchodziła, to wygląd, szczególnie kosztowne koszule, do których nosił spinki do mankietów, choć kosztowało go to ciągle kary za pogwałcanie regulaminowego stroju.

Josh nosił obowiązkowy szkolny mundurek, ale potrafił sprawić, że wcale się tak nie wydawało – marynarka nigdy do końca nie obejmowała jego szerokiej okrągłej sylwetki, zawsze była przekręcona albo pognieciona, albo za wąska w ramionach. Cała jego osobowość sprawiała wrażenie wyrafinowanego dowcipu, którego nigdy nie przestawał opowiadać. Dłuższą chwilę zabrało Quentinowi zrozumienie, że Josh się spodziewa, że ludzie nie będą go brali poważnie, i bawi się – czasami w niezbyt sympatyczny sposób – tą chwilą, kiedy uświadamiają sobie, że go nie doceniali. Ponieważ nie skupiał się tak na sobie jak Eliot czy Janet, był najbystrzejszym obserwatorem w grupie i niewiele z tego, co się działo, uchodziło jego uwagi. Powiedział Quentinowi, że od dawna się spodziewał załamania Penny’ego.

– Żartujesz? Ten gość to tajemnica owinięta w enigmę i chałupniczą metodą przerobiona na pieprzoną tykającą bombę zegarową. Musiał albo kogoś obić, albo zacząć pisać blog. Prawdę powiedziawszy, nawet się cieszę, że walnął ciebie.

W przeciwieństwie do innych Fizycznych Gości Josh nie wyróżniał się jako student, natomiast kiedy już opanował jakąś umiejętność, jego zaklęcia miały niebывałą moc. Na pierwszym roku minęło aż sześć tygodni, nim poruszył kulka, lecz kiedy mu się to wreszcie udało –

opowiadał Eliot – wystrzeliła przez okno klasy i wbiła się w pień drzewa na piętnaście centymetrów. I zapewne dalej tam tkwi.

Rodzice Janet, koszmarne bogaci prawnicy w ambitnym hollywoodzkim stylu, mieszkali w Los Angeles. Janet wyrosła tam pod opieką różnych znakomitości, których nazwiska zdradzała pod niewielkim przymusem. Quentin przypuszczał, że w tym tkwi przyczyna jej głośnego, teatralnego zachowania. Była najbardziej widoczną członkinią Fizycznych Gości, hałaśliwą i obcesową, i zawsze przy kolacji wznosiła toasty. Miała okropny gust, jeśli chodzi o facetów – najlepsze, co dawało się powiedzieć o niekończącej się parady jej chłopaków, to że żaden nie przetrwał długo. Należała do dziewczyn raczej ładnych niż pięknych i w dodatku zdecydowanie za płaskich, natomiast wszystko co miała do pokazania, potrafiła wykorzystać do maksimum. Posuwała się nawet do tego, że mundurki wysyłała do domu do przerobienia. Coś niezwykle seksownego kryło się w jej wygłodniałych, zbyt szeroko otwartych oczach. Chciałeś spotkać ich spojrzenie i zostać przez nie pożartym.

Jednym słowem była dokładnie tak irytująca, jak tylko irytujący może być przyjaciel i nadal pozostać przyjacielem, ale Quentin nigdy się z nią nie nudził. Okazała się niezwykle lojalna, a jeśli bywała wstrętna, to tylko dlatego, że miała takie czułe serce – łamało jej się łatwo, kiedy zaś czuła się zraniona, odpowiadała atakiem. Dręczyła wszystkich wokoło, lecz tylko dlatego, że sama była udęczona najbardziej.

Choć teraz Quentin należał do Fizycznych Gości, większość czasu spędzał z innymi trzeciorocznymi: z nimi chodził na zajęcia, pracował na pezetach, uczył się do egzaminów i siedział przy kolacji. Latem Labirynt został

wycięty i przearanżowany – jak się okazało, robiono to w każde wakacje – i cały tydzień zajęło im nauczenie się go na nowo. Krzyczeli do siebie nad wysokimi krzewami, kiedy się zgubili albo znaleźli szczególnie uroczy skrót.

Wydali przyjęcie na cześć jesiennej równonocy – w Brakebills wyczuwało się silne wpływy wiccanizmu, choć nikt nie brał go poważnie z wyjątkiem Naturalnych. Rozpalili ognisko, zorganizowali muzykę i Wiklinowego Pana, i pokaz sztucznych ogni przeprowadzony przez Iluzjonistów, i wszyscy zostali na nogach zbyt długo, zakatarzeni z powodu chłodu nocy, z twarzami czerwonymi i pałającymi od ognia. Alice i Quentin nauczyli innych zaklęcia kształtującego ogień, które stało się wielkim przebojem, a Amanda Orloff wyjawiała, że po kryjomu warzyła przez ostatnie dwa miesiące miód. Był słodki, pieniący się i obrzydliwy, a oni wypili go dużo za dużo i następnego dnia czuli się gorzej niż po własnej śmierci.

Tej jesieni charakter zajęć znów się zmienił. Mniej mieli zapamiętywania gestów i zaklęć w obcych językach – choć i tak cholernie dużo – a więcej samego rzucania zaklęć. Poświęcili cały miesiąc na magię architektoniczną niższego rzędu: zaklęcia wzmacniające fundamenty i uszczelniające dachy, i oczyszczające studzienki ściekowe z liści. Ćwiczyli je na żalośnie małej szopie, niewiele większej od psiej budy. Nauka tylko jednego zaklęcia chroniącego dach przed piorunami zajęła Quentinowi całe trzy dni. Musiał wyginać palce przed lustrem, żeby wykonywać gesty poprawnie i z właściwą szybkością, i pod właściwymi kątami, i z właściwą emfazą, a na domiar złego opanować bardzo mylące zaklęcie w łamanym starobeduńskim arabskim. Kiedy sądził, że się go nauczył, profesor March wywołał małą burzę, burza wyprodukowała jedną jedyną błyskawicę, błyskawica przebiła dach w jednej oślepiającej i ogłuszającej chwili, a Quentin stojący tuż obok przemókł do suchej nitki.

W co drugi wtorek Quentin pracował z Bigbym, nieoficjalnym konsultantem specjalizacji Fizycznych Gości, który okazał się niewysokim mężczyzną o dużych wilgotnych oczach i krótko przyciętych posiwiałych włosach. Ubierał się starannie, choć niezwykle afektownie, w długi wiktoriański kitel. Chodził nieco przygarbiony, lecz poza tym nie sprawiał wrażenia specjalnie delikatnego czy okaleczonego. Quentin miał wrażenie, że Bigby to uchodźca polityczny, ale skąd, nie miał pojęcia. Zawsze gadał coś niejasno o spisku, z powodu którego musiał wyemigrować, i o tym, co zrobi po nieuniknionym powrocie do władzy. Miał w sobie sztywną urażoną godność odsuniętego inteligenta.

Pewnego dnia po południu podczas seminarium Bigby – specjalizował się w absurdalnie trudnych zaklęciach, które zmieniały przedmioty, manipulując ich strukturą na poziomie molekularnym – nagle porzucił wykład i wykonał dziwny gest: sięgnął najpierw za jedno ramię, potem za drugie, jakby coś odpinał. (Ten ruch przypominał Quentinowi jako żywo kobietę zdejmującą stanik). Gdy opuścił ręce, z jego pleców sterczały cztery wspaniałe owadzie skrzydła, jakby ważki, po dwa z każdej strony. Rozprostował je z głębokim, pełnym satysfakcji westchnieniem.

Skrzydła były przezroczyste i opalizujące. Zniknęły na chwilę, kiedy zaczął nimi trzepotać z niewiarygodną szybkością, po czym znów się pojawiły, gdy przestał.

– Przepraszam – powiedział. – Nie mogłem wytrzymać ani chwili dłużej.

Dziwaczność Brakebills nigdy nie mijała. Po prostu działała się i działała, i działała.

– Profesorze Bigby, czy pan jest... – Quentin urwał. Czym? Elfem? Aniołem? Wiedział, że jest niegrzeczny, ale nie mógł się powstrzymać. – Jest pan wróżką?

Bigby uśmiechnął się boleśnie. Jego skrzydła wydały

suchy chitynowy grzechot.

– Technicznie rzecz ujmując, jestem chochlikiem – wyjaśnił.

Wydawał się drażliwy na tym punkcie.

Pewnego ranka, bardzo wcześnie, profesor March wygłosił wykład na temat magii pogodowej i tworzenia cyklonów. Jak na tak zażywnego człowieka zachowywał się zaskakująco dziarsko, a samo patrzenie, jak kołysze się na piętach z tym swoim rudym kucykiem i czerwoną twarzą, sprawiało, że Quentin marzył o powrocie do łóżka. Rankami Chambers podawał czarne jak smoła espresso, które parzył w delikatnym pozłacano-szklanym egzotycznym tureckim naczyniu. Ale już się skończyło, gdy Quentin zszedł na zajęcia.

Zamknął oczy. Kiedy znów je otworzył, profesor March zwracał się bezpośrednio do niego.

– ... pomiędzy cyklonem subtropikalnym a ekstratropikalnym? Quentin? Po francusku, poproszę.

Quentin zamrugał. Musiał przysnąć.

– Różnica? – zaryzykował. – Jest między nimi różnica?

Zapadła długa niezręczna cisza, w którą Quentin postarał się wcisnąć więcej słów, usiłując ustalić, jak dokładnie brzmiało pytanie, i użyć wyrażenia „strefy baryczne” tyle razy, ile się tylko dało, na wypadek gdyby miały jakieś znaczenie. Studenci wiercili się na krzesłach. March wyczuł zapach krwi, toteż był gotów zaczekać. Quentin również postanowił czekać. Pamiętał, że widział coś na ten temat w pracy domowej. Którą odrobił. I na tym polegała niesprawiedliwość.

Cisza trwała i trwała. Quentina paliła twarz. To nie była nawet magia, tylko zwykła meteorologia.

– Nie rozumiem... – dobiegł go głos z końca sali.

– Pytam Quentina, Amando.

– Może mógłby pan mi to jednak wyjaśnić? – Mówiła Amanda Orloff. Nalegała z tą gównianą beztroską kogoś, kto właśnie zamierza spalić bilet. – I pozostałym? Czy te cyklony są barotropowe czy nie? Bo mnie się to trochę myli.

– Wszystkie cyklony są barotropowe, Amando – powiedział March z irytacją. – To bez znaczenia. Wszystkie cyklony tropikalne są barotropowe.

– A ja sądziłam, że jeden jest barotropowy a drugi baroklinowy – rzekła Alice.

Wywiązała się tak czcza i czasochłonna dyskusja, że March musiał dać spokój Quentinowi i poprowadzić wykład dalej, by nie stracić wątku. Quentin miał ochotę podbiec do Amandy i ucałować ją w to szerokie suche czoło, ograniczył się jednak do przesłania jej całusa w powietrzu, kiedy nauczyciel nie patrzył.

March przeszedł do długiego zaklęcia, które wymagało wyrysowania na tablicy kunsztownego, przypominającego mandalę symbolu. Przerywał co trzydzieści sekund i cofał się na skraj podwyższenia z rękami na biodrach, szepcząc coś do siebie, po czym wracał do rysowania. Cel zaklęcia był dość trywialny – albo gwarantowało gradobicie, albo mu zapobiegało, jedno z dwojga. Quentin nie słuchał zbyt uważnie, a zresztą zasada obowiązywała taka sama.

March najwyraźniej miał kłopoty z tym zaklęciem. Sformułowano je w bardzo sztywnym i precyzyjnym średniowiecznym holenderskim, który widać nie należał do jego mocnych stron. Quentin pomyślał, że byłoby fajnie, gdyby March spieprzył sprawę. Niezbyt lubił odpytywanie z technicznych szczegółów tak wcześnie rano, więc nie miał nic przeciwko małej psocie.

Sale w Brakebills uodporniono na większość studenckich dowcipów, choć tajemnicą poliszynela pozostawał fakt, że podwyższenie katedry to pięta achillesowa wszystkich nauczycieli. Wprawdzie niewiele

złego można mu było zrobić, niemniej nie zabezpieczono go dokładnie i przy odrobinie wysiłku dawało się je trochę rozkołysać. Może to wystarczy, żeby zdekoncentrować profesora Marcha? (Studenci przezywali go „Śmierć” March). Quentin wykonał pod ławką, między kolanami, kilka drobnych gestów. Katedra wzdrygnęła się, jakby chciała się przeciągnąć, po czym znieruchomiała. Udało się.

March walczył akurat ze starowysokoholenderskim. Kiedy katedra poruszyła się pod jego nogami, na moment się rozproszył, ale natychmiast na powrót skupił się na zaklęciu. Gdyby tego nie zrobił, musiałby zaczynać wszystko od początku.

Quentin poczuł rozczarowanie, lecz Nieomylna Alice pochyliła się do niego.

– Idiota – szepnęła. – Opuścił drugą sylabę. Powinien był powiedzieć...

W tej samej chwili na moment taśma filmowa rzeczywistości spadła z rolki projektora. Na ułamek sekundy wszystko zrobiło się ukośne, a potem znów proste, jakby nic się nie stało. Tyle że za profesorem Marchem stał teraz jakiś człowiek.

Był niewielki i ubrany konserwatywnie, miał na sobie schludny szary garnitur i brązowy krawat klubowy, przytrzymywany na miejscu srebrną szpilką w kształcie półksiężyca. Profesor March, który nadal wygłaszał zaklęcie, nie zdawał sobie chyba sprawy z jego obecności. Mężczyzna popatrzył na studentów trzeciego roku filuternie, porozumiewawczo, jakby wspólnie robili kawał nauczycielowi. W jego wyglądzie było coś dziwnego – Quentin nie widział dokładnie jego twarzy. Przez chwilę nie rozumiał dlaczego, po czym pojął, że to z powodu obficie ulistnionej gałązki, która częściowo ją zasłaniała. Gałąź sterczała znikąd. Nie była do niczego przyczepiona, po prostu wisiała przed twarzą mężczyzny.

Nagle profesor March przestał mówić i zamarł w miejscu.

Alice również urwała. W sali zapadła głucha cisza. Skrzypnęło jakieś krzesło. Quentin też nie mógł się ruszyć. Nic go nie przytrzymało, ale łączność pomiędzy jego ciałem a mózgiem została przecięta. Czy dokonał tego ten człowiek? Kto to jest? Alice nadal nachylała się lekko w jego kierunku, w polu widzenia miał pasmo jej włosów. Nie widział jej oczu, nie pod tym kątem. Wszystko i wszyscy zamarli w bezruchu. Jediną rzeczą na świecie, która się poruszała, był mężczyzna na katedrze.

Serce Quentinowi zaczęło mocno walić. Mężczyzna przechylił głowę i zmarszczył brwi, jakby mógł je usłyszeć. Quentin nie rozumiał, co się stało, czuł jednak, że coś zdecydowanie złego. Adrenalina wlewała mu się w żyły, lecz nie miał jak jej zużyć. Jego umysł gotował się w sosie własnym. Mężczyzna zaczął się przechadzać po katedrze, badając nowe otoczenie. Zachowywał się jak baloniarz dżentelmen, który przypadkowo wylądował w egzotycznym miejscu: zaciekawiony i trochę rozbawiony. Z powodu gałęzi wiszącej przed jego twarzą nie dawało się odczytać jego zamiarów.

Okrażył profesora Marcha. Poruszał się jakoś dziwnie, jego krok sprawiał wrażenie zbyt płynnego. Kiedy wszedł w plamę słońca, Quentin stwierdził, że nie jest tak do końca człowiekiem, albo jeśli nim kiedyś był, teraz już nie jest. Dłonie wystające z mankietów białej koszuli miały o trzy lub cztery palce za dużo.

Minęło piętnaście minut, pół godziny. Quentin nie mógł obrócić głowy, a mężczyzna to wchodził w pole jego widzenia, to z niego znikał. Bawił się sprzętem profesora Marcha. Zwiedzał salę wykładową. Wyjął nóż i wyczyścił paznokcie. Przedmioty drżały i przesuwwały się niespokojnie, kiedy się do nich zbliżał. Wziął stalowy pręt ze stołu

pokazowego profesora Marcha i zgiął go jak laskę lukrecji. Raz rzucił zaklęcie – mówił za szybko, by Quentin mógł uchwycić szczegóły – pod którego wpływem cały kurz zebrany w sali wzbił się w górę, wirując szaleńczo w powietrzu, po czym opadł. Podczas czarów dodatkowe palce jego rąk odchylały się do tyłu i na boki.

Minęła godzina, potem następna. Strach pojawiał się i znikał wielkimi spoconymi falami. Quentin miał pewność, że dzieje się coś okropnie złego, choć nie bardzo wiedział co. Miało to coś wspólnego z jego figlem. Jak mógł być taki głupi? Czuł tchórzliwe zadowolenie, że nie może się ruszyć – oszczędzało mu to konieczności zrobienia czegoś odważnego.

Mężczyzna zdawał się ledwie świadomy tego, że znajduje się w sali pełnej ludzi. Było w nim coś groteskowo komicznego – jego milczenie przypominało milczenie mima. Podszedł do zegara okrętowego wiszącego na katedrze i powoli włożył w niego pięść – nie uderzył, po prostu włożył pięść w jego tarczę, tłukąc szkło, urywając wskazówki, niszcząc mechanizm. Zupełnie jakby sądził, że w ten sposób zada więcej bólu.

Zajęcia powinny się były skończyć wieki temu. Ktoś z zewnątrz musiał to już zauważyć. Dlaczego nikt nie przychodzi? Gdzie jest Fogg? Gdzie, do diabła, podziewa się ta ratownicza pielęgniarka, kiedy jest naprawdę potrzebna? Quentin żałował, że nie wie, co myśli Alice. Żałował, że nim zamarł, nie obrócił głowy nieco bardziej, by widzieć teraz jej twarz.

Ciszę przerwał głos Amandy Orloff. Musiała się jakoś uwolnić. Wypowiadała zaklęcie, rytmicznie i szybko, ale spokojnie. Takiego Quentin nigdy nie słyszał, była to pełna mocy wściekła magia z mnóstwem paskudnych głosek szczelinowych – zaczepna magia, wojenna magia stworzona po to, by rozerwać przeciwnika na kawałki. Quentin

zastanowił się, gdzie się tego nauczyła. W Brakebills niedopuszczalna była nawet znajomość takiego zaklęcia, o jego rzuceniu nie wspominając. Jednak nim Amanda skończyła, jej głos zaczął dziwnie przygasać, stawał się coraz cieńszy, słowa następowały po sobie coraz szybciej, jak z odtwarzanej na za wysokich obrotach taśmy magnetofonowej. Zamilkła zupełnie, nie ukończywszy zaklęcia. Znow zapadła cisza.

Poranek zmienił się w popołudnie, pełne gorączki, paniki i znużenia. Quentin czuł się odrętwiały. Słyszał z zewnątrz odgłosy normalnego życia. Widział tylko jedno okno, a i to kątem oka, lecz coś tam się działo, blokując światło. Słyszał walenie młotkiem i bardzo słabo sześć czy siedem głosów wypowiadających chórem zaklęcie. Straszliwa bezgłośna błyskawica wybuchła na korytarzu za drzwiami z taką siłą, że grube drewno na moment stało się zupełnie przezroczyste. Rozległo się dudnienie, jakby ktoś usiłował wejść przez drzwi od spodu. Nic z tego nie zrobiło wrażenia na mężczyźnie w szarym garniturze.

W oknie jak szalony trzepotał się na wietrze jeden czerwony liść przyczepiony do nagiej poza tym gałęzi, ostaniec, który utrzymał się na miejscu dłużej niż inne. Quentin obserwował, jak wiatr kołysze nim w tył i w przód. Miał wrażenie, że to najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widział. Niczego bardziej nie pragnął, jak patrzeć na ten liść choć chwilę dłużej. Oddałby za to wszystko, za jeszcze jedną chwilę z czerwonym listkiem.

Musiał wpaść w trans albo zasnąć – nie pamiętał. Obudził go dźwięk piosenki, którą przybysz śpiewał cicho, zaskakująco cienkim głosem.

*Na Wojtusia z popielnika iskiereczka mruga.
Chodź, opowiem ci bajeczkę,
Bajka będzie długa.*

Śpiew przeszedł w nucenie. Potem bez ostrzeżenia przybysz zniknął.

Stało się to tak cicho i tak nagle, że początkowo Quentin tego nie zauważył. Akt zniknięcia przyćmił profesor March, który stał przez cały czas na katedrze z otwartymi ustami. W chwili gdy przybysz zniknął, zwałił się bezwładnie z katedry i stracił przytomność.

Quentin spróbował wstać, ale tylko spadł z krzesła na podłogę między dwoma rzędami ławek. Miał okropnie zdrętwiałe ręce, nogi i plecy, nie było w nich w ogóle siły. Leżąc na podłodze przepęnlony cierpieniem i ulgą, powoli wyciągnął nogi. W jego kolanach uwolniły się cudowne bańki bólu, jakby wreszcie mógł je wyprostować po międzykontynentalnym locie tanimi liniami lotniczymi. W oczach wezbrały mu łzy ulgi. Już po wszystkim. Mężczyzna wreszcie zniknął i nie stało się nic złego. Alice też jęczała. Tuż przed twarzą miał buty, zapewne jej. Cała sala pulsowała od jęków i szlochów.

Później Quentin się dowiedział, że Fogg zareagował niemal natychmiast, gdy tylko przybysz się zjawiał, i wezwał wszystkich nauczycieli. Ochronne zaklęcia wokół szkoły wykryły intruza, choć nie zdołały go powstrzymać. Według relacji Fogg okazał się zaskakująco kompetentnym dowódcą polowym: spokojnym, zorganizowanym, szybkim i dokładnym w ocenie sytuacji, z talentem wykorzystującym zasoby będące w jego dyspozycji.

Przez cały ranek wokół wieży budowano prowizoryczne rusztowanie. Profesor Heckler w masce spawacza, by chronić oczy, niemal ją podpalił pirotechnicznymi atakami. Profesor Sunderland heroicznie, acz bezskutecznie próbowała przejść przez ścianę, choć nie wiadomo, co zamierzała zrobić, gdyby jej się udało. Nawet Bigby się zjawiał, rozwijając egzotyczną nieludzką magię, która –

przynajmniej Quentin odniósł takie wrażenie – nieco zdenerwowała pozostałych nauczycieli.

Tego wieczoru po kolacji, po zwykłych ogłoszeniach klubów, imprez i zajęć, dziekan Fogg przemówił do studentów, próbując im wyjaśnić, co się stało.

Stał u szczytu długiego stołu jadalnego. Wydawał się starszy niż zwykle. Świece się dopalały, a pierwszorocznicy z ponurymi minami sprząтали resztę naczyń. Fogg poprawił mankiety i dotknął skroni porośniętych rzadziejącymi blond włosami.

– Dla wielu z was nie będzie zaskoczeniem informacja, że prócz naszego istnieją inne światy – zaczął. – Nie jest to przypuszczenie, tylko fakt. Nigdy nie byłem w tych światach i wy też nigdy się tam nie udacie. Sztuka przechodzenia między nimi to obszar magii, o którym wiemy bardzo mało. Wiemy natomiast na pewno, że niektóre z tych światów są zamieszkane. Zapewne Potwór, którego napotkaliśmy dzisiaj, był fizycznie dość pokaźny. – („Potwór”, tak określił Fogg to coś w szarym garniturze i potem nikt nie mówił o tym inaczej). – Widzieliśmy jedynie jego niewielką część, skraj, który wcisnął w naszą sferę istnienia, jak dziecko wciska w mrowisko kij. Takie zjawiska zaobserwowano już wcześniej. Noszą nazwę Narośli. Motywy tych istot są trudne do odgadnięcia. – Fogg westchnął ciężko. – Dla nich wyglądamy jak pływacy prześlizgujący się nieśmiało po powierzchni ich świata, sylwetki na tle padającego z góry światła, czasami nurkujące nieco pod powierzchnię, ale nigdy zbyt głęboko. Zwykle traktują nas obojętnie. Niestety, coś w zakłęciu profesora Marcha przyciągnęło uwagę Potwora. Zapewne popełnił w nim jakiś błąd albo przerwał jego ciągłość. Ten błąd dał Potworowi możliwość wejścia do naszego świata.

Słyszając to, Quentin aż podskoczył wewnątrz, lecz zachował nieruchomą twarz. To przez niego. On to

zrobił. Fogg mówił dalej:

– Potwór wydostał się z głębin jak rekin zamierzający porwać pływaka. Nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie jego motywów, choć wyglądało to tak, jakby czegoś lub kogoś szukał. Nie wiem, czy znalazł. Może nigdy się tego nie dowiemy.

Zwykle Fogg emanował pewnością siebie, choć nieco ją ograniczała naturalna śmieszność jego postaci, tego wieczoru jednak wydawał się zdezorientowany. Stracił wątek. Poprawił krawat.

– Incydent dobiegł końca. Studenci, którzy byli jego świadkami, zostaną zbadani medycznie i magicznie, a potem oczyszczeni, na wypadek gdyby Potwór naznaczył ich w jakiś sposób albo skaził. Jutrzejsze zajęcia zostają odwołane.

Tu urwał i gwałtownie opuścił jadalnię. Wszyscy uważali, że chciał powiedzieć więcej. To wszystko przyszło jednak później. Zaraz po ataku, kiedy Quentin leżał na podłodze i czekał, aż zniknie ból, przepelniały go wyłącznie dobre uczucia. Czuł ulgę, że żyje. Nieszczęście zostało zażegnane. Popelnił straszliwy błąd, lecz wszystko jest już dobrze. Czuł ogromną wdzięczność za stare, nierówne drewno spodu krzesła, na które patrzył. Takie fascynujące i przepiękne. Mógłby na nie patrzeć wiecznie. To było nawet podniecające, przejść przez coś takiego i przeżyć, by móc o tym opowiadać. W pewnym sensie stał się bohaterem. Odetchnął głęboko i poczuł pod plecami dobrą, solidną podłogę. Uświadomił sobie, że przede wszystkim ma ochotę położyć rękę na ciepłej kostce Alice, która leżała obok jego głowy. Tak się cieszył, że znów może na nią patrzeć.

Nie wiedział jeszcze wtedy, że Amanda Orloff nie żyje. Potwór pożarł ją żywcem.

LOVELADY

Reszta trzeciego roku w Brakebills upłynęła Quentinowi wśród szarej, rozmytej jak akwarele, na wpół wojskowej czujności. Po ataku szkołę na kilka tygodni zamknięto fizycznie i magicznie. Nauczyciele patrolowali jej teren, cofając linie starych zaklęć ochronnych, odnawiając je, wzmacniając i rzucając nowe. Profesor Sunderland przez cały dzień obchodziła tyłem granice szkoły, kolorowymi proszkami wysypując na śniegu starannie utkane wzory. Jej pulchne policzki zaróżowiły się z zimna. Za nią posuwała się profesor Van der Weghe, sprawdzając jej pracę, a przed nią szła grupa skupionych studentów, którzy usuwali jej z drogi gałęzie i uzupełniali zapasy proszków. Zaklęcie należało wykonać jednym ciągiem, nie przerywając z żadnego powodu.

Uporządkowanie sali wykładowej wymagało jedynie zadzwonienia kilkoma dzwonekami i spalania w kątach szafwii, natomiast doprowadzenie do porządku głównych sekcji szkoły zabrało cały tydzień. Wedle pogłosek krążących wśród studentów, wszystkie podczepione były do wielkiego totemu z kutego żelaza, trzymanego w tajnym pomieszczeniu położonym dokładnie w środku geograficznym kampusu – gdziekolwiek się on znajdował – lecz nikt go nigdy nie widział. Profesor March, który po tym wydarzeniu miał cały czas niespokojny, udreńczony wyraz twarzy, krążył bez końca po wielu suterynach i piwnicach, i katakumbach szkoły, gdzie obsesyjnie sprawdzał i wzmacniał zaklęcia na fundamentach chroniące Brakebills przed atakiem od dołu. Podobnie jak trzecioroczni na swoich obchodach równonocy, nauczyciele też rozpalili ognisko, tyle że ze specjalnie przygotowanych cedrowych kłód, wysuszonych, okorowanych i prostych jak podkłady

kolejowe, ułożonych w ezoteryczną, przykuwającą wzrok konfigurację niczym gigantyczna chińska układanka. Jej przygotowanie zajęło profesorowi Hecklerowi cały dzień. Kiedy w końcu ją podpalił – za pomocą kawałka papieru z zaklęciem wypisanym po rosyjsku – zapłonęła jak pochodnia. Studentów proszono, by nie patrzyli prosto w ogień.

W pewnym sensie nadarzyła się im edukacyjna okazja, możliwość zobaczenia, jak wygląda magia stosowana w prawdziwych sprawach. Nie było w tym nic zabawnego. Przy kolacji panowała cisza i bezużyteczny gniew, i nowy rodzaj przerażenia. Pewnego ranka jeden z chłopaków z pierwszego roku opróżnił swój pokój. Zrezygnował z nauki i pojechał do domu. W Labiryncie dość często zbierały się grupki po trzy lub cztery dziewczyny Jeszcze tydzień wcześniej aktywnie bojkotowały Amandę Orloff przy kolacji, a teraz szłochały rozdygotane, siedząc na obrzeżu fontanny. Wybuchły dwie kolejne bójk. Kiedy tylko profesor March zyskał pewność, że fundamenty zostały właściwie wzmocnione, udał się na sabat, a ci, którzy twierdzili, że są dobrze poinformowani – czyli Eliot – uważali, że szanse na jego powrót są praktycznie żadne.

Czasami Quentin żałował, że też nie uciekł. Sądził, że zostanie wydalony za psikus, jakiego spletał Marchowi, ale co dziwne, nikt nie powiedział na ten temat ani jednego słowa. Niemal żałował, że nie jest inaczej. Nie wiedział, czy popełnił zbrodnię doskonałą czy tak publiczną i niewyobrażalną, że nikt nie mógł się zmusić, by o niej mówić. Czuł się uwięziony: nie potrafił oplakiwać Amandy, ponieważ miał wrażenie, że sam ją zabił, a z kolei nie mógł odpokutować tej zbrodni, ponieważ nie był w stanie jej wyznać nikomu, nawet Alice. Nie wiedział jak. Toteż zatrzymał w głębi duszy małą drobinę wstydu i brudu, żeby mogła spokojnie ropieć i zmienić się w infekcję.

Sądził, że katastrofy takiego kalibru zostawił za sobą w dniu, kiedy wszedł do tego ogrodu w Brooklynie. W Fillory takie rzeczy się nie zdarzały: pojawiały się tam konflikty i nawet przemoc, jednak zawsze wszystko odbywało się heroicznie i szlachetnie i wszyscy, którzy byli naprawdę dobrzy, a polegali w trakcie akcji, na końcu książki ożywali. Tymczasem teraz w kącie idealnego świata Quentina pojawiło się rozdarcie, przez które wdzierały się strach i smutek jak lodowata brudna woda przez przerwana tamę. Brakebills przestało sprawiać wrażenie zaklętego ogrodu. Przypominało bardziej umocnioną twierdzę. Quentin nie przeżywał bezpiecznej historyjki, w której zło jest automatycznie naprawiane; nadal znajdował się w prawdziwym świecie, gdzie rzeczy złe i gorzkie zdarzają się bez przyczyny, a ludzie płacą za coś, czemu nie są winni.

Tydzień po incydencie przyjechali rodzice Amandy Orloff, by zabrać jej rzeczy. Na ich prośbę nie robiono wokół tego jakichś szczególnych ceregieli, niemniej Quentin widział, jak żegnali się z dziekanem. Wszystkie rzeczy osobiste Amandy zmieściły się w jednym kufrze i jednej żaloznie małej płóciennej torbie.

Na widok tych ludzi Quentinowi zamarło serce. Był pewien, że dostrzegają jego winę. Miał wrażenie, jakby go ubrudziła, jakby się od niej lepił. Ale oni go zignorowali. Państwo Orloff wyglądali raczej jak rodzeństwo niż małżeństwo: oboje mieli metr osiemdziesiąt wzrostu i szerokie ramiona, i jakby sprane włosy – on ścięte na jeża, ona upięte w oficjalny kok. Sprawiali wrażenie ogłuszonych; dziekan Fogg trzymał ich za łokcie i oprowadzał wokół czegoś, czego Quentin nie widział. Zajęło mu dobrą minutę, nim zrozumiał, że są pod wpływem ciężkich zaklęć, dzięki czemu nawet teraz nie pojmowali natury szkoły, do której uczęszczała ich córka.

* * *

W sierpniu Fizyczni Goście wrócili z letnich wakacji wcześniej, tydzień przed rozpoczęciem zajęć. Zamknęli się w Chatce, grając w bilard, nie ucząc się i starając się sprostać ambitnemu zadaniu wypicia kieliszek po kieliszku starego lepkiego i wyjątkowo obrzydliwego porto, które Eliot znalazł w szafce w kuchni. Mimo to panowała trzeźwa i poważna atmosfera. Niewiarygodne, ale Quentin był teraz w Brakebills czwarto rocznym.

– Musimy mieć zespół do gry w weltersy – oznajmiła pewnego dnia Janet.

– Nie – odparł Eliot. – Wcale nie musimy.

Leżał na starej skórzanej kanapie, zakrywając twarz ramieniem. Siedzieli w bibliotece Chatki wyczerpani całodziennym nieróbstwem.

– Tak się składa, że musimy, Eliot. – Traćciła go mocno stopą w zębra. – Bigby mi powiedział. Będą zawody, wszyscy muszą grać. Jeszcze ich tylko nie ogłosili.

– Kurwa – powiedzieli chórem Eliot, Alice, Josh i Quentin.

– Zadzwońię do kierownictwa – dodała Alice.

– Dlaczego? – jęknął Josh. – Dlaczego nam to robią? Boże, dlaczego?

– Ze względu na morale – wyjaśniła Janet. – Fogg twierdzi, że trzeba je podnieść po zeszłym roku. Zorganizowane weltersy to część „powrotu do normalności”.

– Moje morale miało się dobrze jeszcze chwilę temu. Kurwa, nie znoszę tej gry! To perwersja dobrej magii. Perwersja, wiem, co mówię! – Josh pogroził palcem nikomu konkretnemu.

– Szkoda, bo to obowiązkowe. I w podziale na specjalizacje, więc jesteśmy zespołem. Nawet Quentin – poklepała go po głowie – który nadal jej nie ma.

– Wielkie dzięki.
– Głosuję, żeby Janet została kapitanem – powiedział Eliot.

– Oczywiście, że jestem kapitanem. I jako kapitan mam radosny obowiązek poinformować was, że pierwszy trening zaczyna się za piętnaście minut.

Wszyscy jęknęli i wzdrygnęli się, a potem rozsiedli się wygodniej tam, gdzie akurat byli.

– Janet, przestań – poprosił Josh.

– Nigdy w to nie grałam – oświadczyła Alice. – Nie znam zasad.

Leżała na dywanie, przeglądając niemrawo wielki atlas ze starymi mapami, na których morza zaludniały prześlicznie narysowane potwory. Proporcje zostały odwrócone i potwory były dużo większe i liczniejsze niż kontynenty. W wakacje Alice sprawiła sobie parę dziwnie modnych prostokątnych okularów.

– Och, ja je od razu złapałem – powiedział Eliot. – Weltersy są zabawne... i takie kształcące!

– Nie martw się. – Janet pochyliła się i po matczynemu cmoknęła Alice w czoło. – Nikt tak naprawdę nie zna zasad.

– Oprócz Janet – zaznaczył Josh.

– Oprócz mnie. Widzimy się na miejscu o trzeciej.

Radośnie wymaszerowała z pokoju.

Ostatecznie okazało się, że nikt nie ma nic lepszego do roboty, na co Janet najwyraźniej liczyła. Zebrali się przy szachownicy do weltersów rozmemłani i oporni w letnim upale. Było tak jasno, że ledwie mogli patrzeć na trawę. Eliot ścisnął w rękach lepki dzban z porto, rękawy koszuli miał podwinięte. Na sam ten widok Quentin czuł początki kaca. Błękitne niebo odbijało się w wodnych kwadratach. Pasikonik wpadł Quentinowi na spodnie i przytrzymał się materiału.

– A więc... – zagaiła Janet, wspinając się po drabinie na

zniszczone przez deszcze krzesło sędziego. Miała na sobie niepokojąco krótką spódniczkę. – Kto wie, jak się zaczyna?

Okazało się, że otwarcie gry polega na rzuceniu kamieniem nazywanym globusem w wybrany kwadrat. Tak naprawdę zamiast kamienia używało się szorstkiej niebieskawej kuli – istotnie przypominała nieco globus – wielkości mniej więcej piłeczki do ping-ponga, choć dziwnie ciężkiej. Quentin okazał się nadspodziewanie utalentowany w rzutach, które wykonywało się co jakiś czas podczas gry. Prawdziwa sztuka polegała na tym, żeby nie wrzucić globusa do kwadratu z wodą, gdyż w takim wypadku traciło się go na rzecz przeciwnika, a poza tym trudno było go wyłowić.

Alice i Eliot grali przeciwko Joshowi i Quentinowi, a Janet sędziowała. Nie można jej było nazwać najbardziej gorliwą studentką spośród Fizycznych Gości – ten tytuł należał się Alice – ani nawet najbardziej utalentowaną – tę pozycję zajmował Eliot – jednak uwielbiała rywalizację i postawiła sobie za cel opanowanie wszystkich technicznych aspektów weltersów, które okazały się naprawdę zaskakująco skomplikowaną grą.

– Beze mnie byście się pogubili! – twierdziła, zresztą zgodnie z prawdą.

Gra w połowie polegała na strategii, w połowie na rzucaniu zaklęć. Za pomocą magii zajmowało się kwadraty albo chroniło je, albo odbierało, wypierając wcześniejsze zaklęcia. Wodne kwadraty były najłatwiejsze, metalowe najtrudniejsze – zarezerwowane dla zaklęć przyzywania i innych egzotycznych czarów. W końcu gracz musiał fizycznie wejść na szachownicę, stając się w rezultacie pionkiem we własnej grze wystawionym na bezpośrednie ataki. Kiedy Quentin zbliżał się do skraju łąki, gdzie znajdowała się szachownica, miał wrażenie, że się skurczył, a ona rozszerzyła, jakby tkwili w centrum rybiego

obiektywu. Drzewa straciły nieco koloru, stały się ciemne, srebrzyste.

Na początku szło szybko, gdyż obie strony po prostu zajmowały wolne kwadraty. Jak w szachach istniało wiele konwencjonalnych otwarć, które opracowano i udoskonalono już dawno temu. Jednak kiedy wszystkie kwadraty zostały zajęte, gra zaczęła się ślimaczyć. Oba zespoły szły łeb w łeb. Popołudnie minęło przerywane długimi skomplikowanymi instrukcjami Janet. Eliot zniknął na dwadzieścia minut i wrócił z dwoma cynowymi wiaderkami z lodem, w których tkwiło sześć smukłych butelek bardzo wytrawnego rieslingu Finger Lakes, które najwyraźniej oszczędzał na wszelki wypadek. Nie pomyślał o przyniesieniu kieliszków, więc pili z gwinta.

Quentin nadal słabo tolerował alkohol. Im więcej wina wypił, z tym większym trudem przychodziło mu skoncentrowanie się na grze, która zrobiła się piekielnie skomplikowana. Okazało się, że można przemieniać kwadraty z jednego rodzaju w inny, a nawet przesuwac je i zamieniać miejscami. Kiedy wreszcie sami gracze weszli na szachownicę, wszyscy zdążyli się już tak upić, że Janet musiała im mówić, gdzie mają stanąć. Robiła to niezwykle protekcjonalnie.

Choć nikogo to oczywiście nie obchodziło. Słońce schowało się za drzewami, na trawie zaległy długie cienie, a błękit nieba zmienił się w świecąca akwamarynę. Powietrze było ciepłe jak woda do kąpieli. Josh zasnął na kwadracie, którego miał bronić, rozciągnięty wzdłuż całego boku. Eliot starał się zrobić wrażenie na Janet, a Janet udawała, że jest wściekła. Alice zdjęła buty i zanurzyła stopy w chwilowo niezajętym kwadracie z wodą. Ich głosy wznosiły się w górę i ginęły w letnich liściach. Wino prawie się skończyło, puste butelki pływały w cynowych wiaderkach obecnie pełnych letniej wody. Utopiła się w niej osa.

Wszyscy udawali, że straszliwie się nudzą, a może naprawdę się nudzili, ale nie Quentin. Zrobił się nieoczekiwanie szczęśliwy, choć instynktownie to ukrywał. Prawdę powiedziawszy, czuł taką radość i ulgę, że ledwie mógł oddychać. Niczym ustępujący lodowiec historia z Potworem zostawiła za sobą świat zmieniony, zniszczony, podrapany i surowy, lecz wreszcie znów zaczęły się w nim pojawiać młode pędy. Idiotyczny pomysł Fogga z weltersami faktycznie zadziałał. Szary smutek, jaki przybycie Potwora sprowadziło na szkołę, zaczął znikać. Dobrze było znowu być nastolatkiem, choć chwilę dłużej. Quentin miał takie uczucie, jakby mu przebaczone, choć nie bardzo wiedział, kto mu przebaczył.

Wyobraził sobie, jak muszą wyglądać z góry. Gdyby ktoś popatrzył na nich z nisko przelatującego samolotu lub sterowca, zobaczyłby pięć osób na małej schludnej szachownicy ukrytej w sekretnej magicznej enklawie zamkniętej dla postronnych. Ich głosy dobiegałyby z oddali ciche i niewyraźne. Wydaliby mu się tak spełnieni i zadowoleni, jak to tylko możliwe. Naprawdę. Obserwator miałby całkowitą rację. Rzeczywiście tak było.

– Beze mnie byście się pogubili – powtórzyła Janet radośnie, ocierając łzy śmiechu wierzchem dłoni.

O ile Quentinowi weltersy przywróciły nieco utraconej równowagi, o tyle dla Josha stały się nowym problemem. Ćwiczyli przez cały pierwszy miesiąc semestru i Quentin stopniowo wciągał się w grę. Nie chodziło tak naprawdę o znajomość zaklęć czy o strategię, choć oczywiście należało je znać. Chodziło o perfekcyjne uruchamianie zaklęć we właściwych momentach – o wycucie mocy, która żyła gdzieś w ich piersiach i sprawiała, że zaklęcia stawały się silne i żywe. Musieli po prostu odnaleźć w sobie to coś.

Tymczasem Josh nigdy nie wiedział, co odnajdzie.

Podczas jednego z treningów wdał się z Eliotem w walkę o jeden z dwóch metalowych kwadratów. Kwadraty miały kolor zmatowionego srebra (jeden faktycznie był srebrny, a drugi wykonano z palladu, cokolwiek to jest), wytrawiono na nich kręte linie i ozdobne litery.

Eliot wybrał dość podstawowe zakłęcie, które tworzyło lekko połyskliwą kulkę. Josh spróbował przeciwzakłęcia, mamrocząc je bez przekonania i wykonując kilka nieskładnych gestów swymi dużymi palcami. Zawsze sprawiał wrażenie skrepowanego, kiedy czarował, jakby nie wierzył, że mu się uda.

Kiedy jednak skończył, dzień pomroczniał i nabrał odcieni sepia. Zupełnie jakby chmura zakryła słońce albo jakby zaczynało się zaćmienie.

– Co u diabła.. – powiedziała Janet, patrząc w niebo.

Josh skutecznie obronił kwadrat – usunął błędny ognek Eliota – ale posunął się za daleko. Jakimś cudem stworzył przeciwieństwo ognika, czarną dziurę. Po prostu wybił w popołudniu otwór odpływowy, w którym zaczęło znikać światło. Cała piątka Fizycznych Gości zebrała się w bursztynowym blasku, przyglądając się dziurze, jakby to był niezwykle i zapewne jadowity chrząszcz. Quentin nigdy nie widział czegoś podobnego. Zupełnie jakby włączono jakieś potężne urządzenie, które wysysało energię potrzebną do oświetlenia świata i powodowało lokalne zaciemnienie.

Jeden Josh wcale się tym nie przejął.

– No i jak wam się teraz podobam? – Wykonał taniec zwycięskiego kurczaka. – No? Jak wam się podoba Josh?

– Wow – powiedział Quentin. Cofnął się trochę. – Josh, co to jest?

– Nie wiem, po prostu machnąłem tymi paluszkami. – Poruszył nimi przed twarzą Eliota. Zerwał się powiew wiatru.

– No dobra, Josh, powaliłeś mnie – przyznał Eliot. – A

teraz to zamknij.

– Masz dość? Za prawdziwe dla ciebie, magiczny człowieku?

– Poważnie, Josh – włączyła się Alice. – Proszę, zlikwiduj tę rzecz. Zaczyna nas straszyć.

Teraz już całe pole pograżyło się w głębokim zmierzchu, choć ledwie minęła druga po południu. Quentin nie mógł spojrzeć bezpośrednio w dziurę nad metalowym kwadratem. Powietrze wokół niej dziwnie falowało, a trawa za nią wydawała się odległa i zamazana. Pod spodem znajdował się idealny okrąg, jakby wyrysowany cyrklem, krąg, w którym źdźbła trawy stały idealnie pionowo jak drzazgi zielonego szkła. Dziura dryfowała powoli w kierunku brzegu szachownicy. Pobliski dąb ze straszliwym skrzypieniem pochylał się coraz bardziej w jej stronę.

– Josh, nie bądź idiotą – warknął Eliot. Josh przestał triumfować. Patrzył nerwowo na swój twór.

Drzewo zajęczało i przechyliło się złowieszczo. Korzenie zaczęły wyskakiwać z ziemi z dźwiękiem przypominającym stłumione wystrzały.

– Josh! Josh!... – wrzasnęła Janet.

– Dobra, już, dobra! – Josh zwolnił zaklęcie i dziura w przestrzeni zniknęła.

Był blady, rozżalony i pełen urazy: olali jego triumf. Stali w milczeniu w półkolu wokół na wpół obalonego dębu. Najdłuższa gałąź niemal sięgała ziemi.

Dziekan Fogg przygotował cały plan rozgrywek weekendowych, których kulminacją miały być mistrzostwa zaplanowane na koniec semestru. Ku swemu zaskoczeniu Fizyczni Goście zwykle wygrywali. Pokonali nawet snobistycznych, sztywnych Psychiczych, którzy maskowali wszelkie niedociągnięcia w rzucaniu zaklęć swą niesamowicie przezorną strategią. Pasma sukcesów trwało

przez cały październik. Ich jedynym prawdziwym rywalem okazała się grupa magii naturalnej, która pomimo swego pacyfistycznego leśnego etosu okazała się denerwująco zażarta w weltersach.

Stopniowo, w miarę skracania się chłodnych popołudni, wyparowała błoga letnia atmosfera. Rozgrywki w weltersy zaczęły kolidować z napiętym grafikiem zajęć. Po pewnym czasie stały się obowiązkiem jak wszystko inne, tyle że jeszcze bardziej wypranym ze znaczenia. W miarę jak Quentin i reszta Fizycznych Gości tracili entuzjazm, Janet coraz bardziej podniecała się grą, a jej podniecenie stawało się coraz mniej urocze. Nic nie mogła na to poradzić, miała w sobie neurotyczną potrzebę kontrolowania wszystkiego, co tylko się dało kontrolować, jednak wcale przez to nie zrobiła się mniej dokuczliwa. Teoretycznie mogli się wykręcić z rozgrywek, poddając mecz – wystarczyłby jeden – lecz nie zrobili tego. Nikt nie miał serca. Albo śmiałości.

Nierówność gry Josha dalej stanowiła problem. A pewnego dnia w finałowej rozgrywce sezonu w ogóle się nie pokazał.

W sobotę rano, na początku listopada, gra toczyła się o wejście do finału – który Fogg szumnie nazwał Pucharem Brakebills, choć jak dotąd nie zaprezentował naczynia godnego tej nazwy. Trawę wokół szachownicy obstawiono dwoma rzędami ponuro uroczystych drewnianych ławek, które wyglądały jak żywcem wyjęte ze starych telewizyjnych programów sportowych poświęconych rozgrywkom uniwersyteckim, a naprawdę zapewne tkwiły przez lata w jakimś niewiarygodnie zakurzonej magazynie. Przygotowano nawet łożę honorową, zajmowaną przez dziekana Fogga i profesor Van der Weghe, która ścisła filiżankę kawy w rękach obleczonych w różowe mitenki.

Niebo było szare, gwałtowny wicher obrywał liście z drzew. Sztandary szkoły (niebiesko-brązowe) trzepotały się

gniewnie z tyłu trybun. Trawa chrzęściła pod nogami od zamarzniętej rosy.

– Gdzie on do diabła jest? – Quentin biegał w miejscu dla rozgrzewki.

– Nie wiem! – Janet objęła Eliota za szyję, żeby się ogrzać, co Eliot znosił z wyraźną irytacją.

– Pieprzyć go, zaczynajmy – powiedział. – Chcę to mieć już z głowy.

– Nie możemy bez Josha – rzekła Alice stanowczo.

– Kto powiedział, że nie możemy? – Eliot spróbował oderwać od siebie Janet, która przyłgnęła do niego na mur. – I tak nam lepiej pójdzie bez niego.

– Wolę raczej przegrać z nim, niż wygrać bez niego – oświadczyła Alice. – Przecież nie umarł. Widziałam go tuż po śniadaniu.

– Jeśli się wkrótce nie pokaże, umrzemy wszyscy z wychłodzenia. Zostanie sam do toczenia tej szlachetnej walki.

Nieobecność Josha zmartwiła Quentina, choć nie wiedział dlaczego.

– Pójdę go poszukać – zaproponował.

– Nie bądź śmieszny. Pewnie jest...

W tym momencie podszedł do nich nauczyciel pełniący obowiązki gospodarza, krzepki mężczyzna w kolorze cegły, profesor Lisie Drzewo, owinięty długą do kolan kurtką typu parka. Studenci instynktownie okazywali mu szacunek ze względu na jego pogodną naturę i fakt, że był prawdziwym Indianinem.

– Co nas wstrzymuje?

– Brakuje nam jednego zawodnika, sir – wyjaśniła Janet. – Zaginął nam Josh Hoberman.

– I? – Profesor Lisie Drzewo wzdrygnął się gwałtownie. Na końcu jego długiego haczykowatego nosa zebrała się kropelka śluzu. – Ruszajmy z tym gównianym cyrkiem.

Chcę wrócić na lunch do pokoju nauczycielskiego. Ilu zawodników macie?

– Czterech, sir.

– Będzie musiało wystarczyć.

– W zasadzie trzech – powiedział Quentin. – Przepraszam, muszę znaleźć Josha. Powinien tu być.

Nie czekając na odpowiedź, z rękami w kieszeniach i postawionym wysoko kołnierzem rzucił się biegiem w stronę Domu.

– Wracaj tu, Quen! – usłyszał za sobą wołanie Janet. A potem dobiegło go zdegustowane: – Kurwa! – kiedy stało się jasne, że nie zawróci.

Quentin nie wiedział, czy powinien być wkurzony na Josha, czy martwić się o niego, czy jedno i drugie. Lisie Drzewo miał rację: gra w zasadzie nie miała znaczenia. Może drań zasnął, myślał, biegnąc truchtem po twardej, zamarzniętej trawie Morza. Przynajmniej ma dość sadła, by zachować ciepło. Gruby drań.

Ale nie znalazł Josha w sypialni. Jego pokój jak zwykle stanowił wir książek i papierów, i prania – część unosiła się swobodnie w powietrzu. Quentin poszedł na werandę, lecz siedział tam tylko stary profesor Brzeziński od eliksirów, grzejąc się z zamkniętymi oczami w słońcu. Jego biała broda spływała na poplamiony stary fartuch. W szyby uderzała ogromna mucha. Profesor zdawał się drzemać. Kiedy Quentin był już prawie przy drzwiach, nagle przemówił.

– Szukasz kogoś? – spytał.

Quentin się zatrzymał.

– Tak, sir. Josha Hobermana. Spóźnił się na weltersy.

– Hoberman. Ten gruby.

Starzec pożyłkowaną dłonią przywołał Quentina do siebie i wyciągnął z kieszeni fartucha kredkę i kawałek papieru w linie. Pewnymi, zamaszystymi ruchami

narysował plan kampusu. Wymamrotał kilka słów po francusku i zrobił nad nim znak przypominający różę kompasową.

Pokazał kartkę Quentinowi.

– Co ci to mówi?

Quentin spodziewał się jakichś efektów magicznych, nic tam jednak nie było. Na róg mapy rozchlapała się kawa.

– Niewiele, sir.

– Naprawdę? – Starzec sam popatrzył na papier zaskoczony. Pachniał ozonem, rozbitym powietrzem, jakby niedawno trafił go piorun. – To naprawdę bardzo dobre zaklęcie lokacyjne. Popatrz jeszcze raz.

– Nic nie widzę.

– Właśnie. A gdzie w kampusie nie działa nawet bardzo dobre zaklęcie lokacyjne?

– Nie mam pojęcia. – Przyznanie się do niewiedzy od razu było najszybszym sposobem wyciągnięcia informacji z nauczyciela.

– Spróbuj w bibliotece – Profesor Brzeziński zamknął znów oczy jak stary mors na nagrzanym słońcem skale. – Tyle tam starych zaklęć ukrycia, że niczego nie da się znaleźć.

Quentin bardzo niewiele czasu spędzał w bibliotece Brakebills. Mało kto tam chodził, jeśli tylko mógł tego uniknąć. Odwiedzający Brakebills naukowcy rzucali tak agresywne zaklęcia lokacyjne, by odszukać książki, i zaklęcia ukrycia, by ukryć te książki przed rywalami, że atmosfera biblioteki zmetniała od magii jak zapisany wielokrotnie palimpsest, który wreszcie przestaje być czytelny.

Na domiar złego niektóre książki wykazywały naturę migracyjną. W dziewiętnastym wieku Brakebills zatrudniło bibliotekarza o niezwykle romantycznej naturze. Miał on

wizję wspaniałej ruchomej biblioteki, w której książki przelatowałyby z półki na półkę jak ptaki i objawiały się spontanicznie poszukującym. Przez kilka pierwszych miesięcy efekt był podobno całkiem dramatyczny. Przetrwało malowidło przedstawiające tę scenę – fresk za stanowiskiem bibliotekarza, na którym olbrzymie atlasy latały po bibliotece jak kondory.

Ostatecznie system okazał się zupełnie niepraktyczny. Samo zniszczenie grzbietów zatruwając podbiło koszty, na domiar złego książki bywały straszliwie nieposłuszne. Bibliotekarz wyobrażał sobie, że same przylecą do jego ręki, jeśli wywoła ich numer, ale niektóre tomy okazały się na to zbyt samowolne, a inne wręcz drapieżne. Romantyka szybko zwolniono, jego następcą zaś otrzymał zadanie ponownego udomowienia książek. Jednak nawet dziś zdarzali się maruderzy, szczególnie *Historia Szwajcarii* i *Architektura 300 – 1399*, uparcie krążący pod sufitem. Od czasu do czasu cała podkategoria, która od dawna zdawała się bezpiecznie drzemać na półce, podrywała się do lotu z nieopisanym szelestem papieru.

Tak więc biblioteka była jak zwykle niemal pusta, stąd bez trudu dało się zauważyć Josha w alkwie na piętrze. Siedział przy kwadratowym stoliku naprzeciwko wysokiego, trupio wychudzonego mężczyzny z wydatnymi kośćmi policzkowymi i cieniutkim wąsikiem. Mężczyzna wyglądał jak przedsiębiorca pogrzebowy.

Quentin rozpoznał handlarza magii, który pojawiał się w Brakebills raz czy dwa razy do roku w drewnianym wozie załadowanym dziwacznym zbiorem zaklęć, fetyszy i staroci. Nikt za nim szczególnie nie przepadał, studenci tolerowali go jednak, ponieważ dostarczał im rozrywki i denerwował nauczycieli, którzy zawsze walczyli z pokusą definitywnego wygnania go z kampusu. Nie był czarodziejem i nie potrafił określić, co z jego towarów przedstawia wartość, a co jest

zwykłym śmieciem, lecz traktował siebie i swoją profesję niezwykle serio. Nazywał się Lovelady.

Pojawił się w Brakebills niedługo po incydencie z Potworem, a studenci z młodszych roczników nakupili u niego zakłęk ochronnych na wypadek kolejnego ataku. Josh jednak miał więcej oleju w głowie. A przynajmniej Quentin tak dotąd sądził.

– Hej! – zawołał, lecz kiedy ruszył ku nim, uderzył z całych sił czołem w niewidoczną barierę.

Była chłodna i skrzypiała jak czyste szkło, a poza tym pochłaniała wszelkie dźwięki: Quentin widział, jak usta Josha i Lovelady'ego się poruszają, nie dobiegał go jednak z alkowy żaden dźwięk.

Uchwycił spojrzenie Josha, który powiedział coś do Lovelady'ego. Ten obrócił się przez ramię i popatrzył na Quentina. Nie wyglądał na zachwyconego, lecz podniósł ze stołu coś, co wyglądało jak zwyczajna, postawiona do góry nogami szklanka, i odwrócił. Bariera zniknęła.

– Hej – powiedział Josh posepnie. – Co jest? – Oczy miał czerwone, a pod nimi worki ciemne jak siniaki. Też nie wyglądał na uszczęśliwionego widokiem Quentina.

– Co się dzieje? – Quentin zignorował Lovelady'ego. – Wiesz, że gramy teraz mecz?

– O rany. Racja. Mecz. – Josh potarł prawe oko wierzchem dłoni. Lovelady obserwował ich obu, starannie dozując swą godność. – Ile się spóźniłem?

– Jakieś pół godziny.

– O rany – powtórzył Josh. Oparł czoło o blat stołu, po czym spojrzał nagle na Lovelady'ego. – Dałbym wszystko za podróżę w czasie. Masz jakiś odwracacz czasu czy coś w tym guście?

– Nie tym razem – oznajmił Lovelady ponuro. – Spróbuję popytać.

– Świetnie. – Josh wstał. Zasalutował handlarzowi. –

Przyślij mi sowę.

– Chodź, czekają na nas. Foggowi dupa odpadnie z zimna.

– I dobrze. Ma za wielką.

Quentin wywlókł Josha z biblioteki i poprowadził na tyły Domu. Josh poruszał się powoli i miał niepokojącą tendencję do wpadania na framugi drzwi, a czasami na Quentina.

Nagle zrobił w tył zwrot.

– Zaczekaj – powiedział. – Muszę włożyć kostium do quidditcha. To znaczy do weltersów.

– Nie mamy kostiumów.

– Wiem – warknął Josh. – Jestem pijany, a nie głupi. Potrzebny mi płaszcz.

– Jezu, facet. Jeszcze nawet nie ma dziesiątej. – Quentin nie mógł uwierzyć, że się o niego martwił. Na tym miała polegać ta wielka tajemnica?

– Eksperyment. Myślałem, że się odpręzę przed wielką rozgrywką.

– Tak? – warknął Quentin. – Naprawdę? I jak ci poszło?

– Jezu, wypilem tylko trochę szkockiej. Rodzice przysłali mi na urodziny butelkę lagavulina. To Eliot chla, nie ja, pamiętasz? – Josh popatrzył na niego jak przebiegły zarośnięty mnich. – Daj na wstrzymanie, poradzę sobie.

– Jasne, poradzisz sobie jak cholera.

– Och, kogo to, kurwa, obchodzi? – Josh zrobił się zły. Jeśli Quentin zamierzał być wściekły, on będzie wściekły jeszcze bardziej. – Pewnie mieliście nadzieję, że się nie pokażę i nie rozwalę wam tej cennej rozgrywki. Szkoda, że nie macie jaj, żeby to przyznać. Kurde, powinieneś słyszeć, co Eliot wygaduje za twoimi plecami. Zachowujesz się jak cheerleaderka. Jak Janet, tyle że ona ma cycki.

– Gdybym chciał wygrać, zostawiłbym cię w bibliotece – stwierdził Quentin zimno. – Wszyscy inni chcieli cię

zostawić.

Czekał w progu wściekły, z rękami założonymi na piersiach, kiedy Josh przetrząsał swoje ubrania. Porwał płaszcz z oparcia krzesła tak gwałtownie, że się przewróciło. Nie podniósł go. Quentin się zastanawiał, czy z Eliotem to prawda. Jeśli Josh próbował go zranić, z pewnością wiedział, gdzie wbić nóż.

W milczeniu zeszli razem do holu.

– No dobra – powiedział wreszcie Josh. Westchnął. – Słuchaj, wiesz, że zawsze chrzanię, no nie?

Quentin nic nie powiedział, zachował kamienny wyraz twarzy. Nie miał ochoty akurat w tej chwili grać w osobistym dramacie Josha.

– No wiem, że tak. I daruj sobie wykład o poczuciu własnej wartości, to sięga głębiej, niż możesz sobie wyobrazić. Zawsze byłem bystry, ale teraz jestem tylko bystrym gościem od testów z młodszych klas. Gdyby nie Fogg, wykopaliby mnie w zeszłym semestrze.

– Wiem.

– Słuchaj, reszta z was może się bawić w Piotrusia Idealnego, i dobrze, natomiast ja muszę zasuwać jak głupi, żeby tu zostać. Widziałeś moje oceny. Nie mieliście nawet pojęcia, że w alfabecie jest tyle liter!

– Wszyscy musimy pracować – zauważył Quentin nieco obronnie. – Może z wyjątkiem Eliota.

– Tak jest, jasna sprawa. Tylko że was to bawi. Lubicie to. Jesteście do tego stworzeni. – Josh wyszedł przez szklane drzwi prosto w późnojesienny poranek, wkładając po drodze płaszcz. – Kurwa, jak zimno. Słuchaj, uwielbiam to miejsce, tyle że nie dam rady utrzymać się tu samodzielnie. Nie mam pojęcia, skąd to się bierze.

Bez uprzedzenia złapał Quentina za płaszcz na piersiach i pchnął go na ścianę Domu.

– Nie łapiesz? Nie mam pojęcia, skąd to się bierze!

Rzucam zaklęcie i nie wiem, czy zadziała! – Jego zwykle łagodna, spokojna twarz zmieniła się w maskę wściekłości. – Wy szukacie mocy i ona jest! Ja nigdy nie mam pewności! Nigdy nie wiem, czy się zjawi, kiedy będę jej potrzebował. Przychodzi i odchodzi, a ja nie wiem nawet dlaczego!

– Dobra, już dobra. – Quentin położył dłonie na ramionach Josha, próbując go uspokoić. – Jezu, rozczochrałeś mnie.

Josh puścił go i ruszył w stronę Labiryntu. Quentin go dogonił.

– Więc pomyślałeś, że Lovelady ci pomoże.

– Pomyślałem, że mógłby... Nie wiem. – Josh bezradnie wzruszył ramionami. – Może wzmocni mnie trochę. Tak, żebym miał na co liczyć.

– Sprzedając ci śmiecie, które kupił na eBayu?

– Wiesz, że ma ciekawe kontakty. – Znienacka Josh znów się rozpogodził. Zawsze taki był. – Nauczyciele udają, że są ponad to, choć jak przyjdzie co do czego, też kupują u Lovelady'ego. Słyszałem, że kilka lat temu Van der Weghe kupiła od niego starą mosiężną kołatkę, która okazała się Ręką Oberona. Chambers używa jej do wycinania drzew wokół Morza. Pomyślałem, że sprzeda mi zaklęcie. Coś, co polepszy moje oceny. Widzisz, ja tylko udaję, że mnie to gównie obchodzi. Naprawdę chcę tu zostać. Nie chcę wracać tam!

Wskazał ogólnie w kierunku rzeczywistego świata. Trawa była mokra i na wpół zamarznęta, a Morze zasnuła mgła.

– Ja też chcę, żebyś został – odparł Quentin. Jego złość minęła. – Ale Lovelady... Jezu, chyba zupełnie zidiociałeś! Dlaczego nie poprosisz o pomoc Eliota?

– Eliot to ostatnia osoba, do której bym się zwrócił. Nie widzisz, jak on na mnie patrzy na zajęciach. Ten facet... zgoda, przeszedł swoje, jednak czegoś takiego nie rozumie.

– Co ci próbował sprzedać Lovelady?

– Garść starych popiołów. Drań powiedział, że to popioły Aleistera Crowleya.

– I co miałeś z nimi zrobić? Wciągać je?

Przeszli przez grupę drzew rosnących wokół szachownicy. Przed nimi pojawiła się ponura scena. Eliot i Janet tkwili w kącie szachownicy, przemoczeni i przemarznięci. Nieszczęsna Alice kuciała na kamiennym kwadracie, obejmując się z rozpaczą ramionami. Grupa magii naturalnej tkwiła na drugim końcu szachownicy. Mimo niekompletnej drużyny przeciwnika Naturalni postanowili zagrać wszystkimi pięcioma graczami. Niezbyt sportowo. Trudno było dostrzec ich twarze – chcąc onieśmielić rywali, włożyli kapturzaste szaty druidów, które ktoś im uszył ze starych zielonych aksamitnych zasłon. Okazały się nieprzemakalne.

Na widok Josha i Quentina Fizyczni Goście wydali radosne okrzyki.

– Moi wspaniali – powiedziała Janet sarkastycznie. – Gdzie go znalazłeś?

– W ciepłym i suchym miejscu – odparł Josh.

Przegrywali sromotnie, jednak niespodziane pojawienie się Josha pobudziło w nich ducha walki. W pierwszej kolejce Josh zgłosił roszczenie do srebrnego kwadratu i po pełnych pięciu minutach gregoriańskich zaklęć stworzył dzikie zwierzę – powolną salamandrę wielkości świerszcza, która wyglądała jak zrobiona z żarzących się węgielków i nie certoląc się, zajęła dwa sąsiednie kwadraty. Następnie przysiadła na sześciu łapach, dymiąc i obserwując grę, a krople deszczu syczały i zmieniały się w parę na jej osmalonych łuskach.

Wzmocnienie drużyny Fizycznych Gości dało ten nieszczęsny efekt, że wydłużyło grę, która wykroczyła poza wszelkie ramy rozrywki. Był to najdłuższy mecz rozegrany w

tym sezonie, a potem okazało się nawet, że w ogóle najdłuższy za ludzkiej pamięci. Wreszcie po kolejnej godzinie przystojny kapitan zespołu Naturalnych, wyglądający na Skandynawa – z którym Janet kiedyś chodziła, Quentin był tego niemal pewien – podszedł do skraju piaszczystego kwadratu, na którym właśnie stał, po królewsku zebrał mokry zielony płaszcz i stworzył na trawiastym kwadracie Fizycznych elegancko powykęcane drzewo oliwne.

– Udławcie się! – zawołał.

– To daje zwycięstwo, chyba że Fizyczni pokonają zaklęcie – zawołał profesor Lisie Drzewo z miejsca sędziego. Sprawiał wrażenie ośpiałego ze znudzenia. – Jeśli nie, ta cholerna rozgrywka wreszcie się skończy. Niech ktoś rzuci globusem.

– No dalej, Quen – rzekł Eliot. – Mnie zsiniały palce. I wargi.

– I jaja, założę się – powiedział Quentin. Wziął ciężką kulkę z kamiennej miski na brzegu szachownicy.

Rozejrzał się, obejmując spojrzeniem dziwną scenę, w której centrum się znajdował. Nadal mogli wygrać – choć sporo stracili na początku, odrobili niemal wszystko, a on prawie nigdy nie pudłował w rzutach globusem. Na szczęście nie było wiatru, mgła jednak gęstniała, ukrywając przeciwnym kraniec szachownicy. Panowała całkowita cisza, wyjąwszy szelest kropeł wody spadających z drzew.

– Quentin! – rozległ się schrypnięty chłopięcy głos z trybun. – Quen-tin!

Dziekan nadal siedział w łożu honorowej, dzielnie udając entuzjazm. Wysiąkał głośno nos w jedwabną chustkę. Słońce wydawało się tylko odległym wspomnieniem.

Nagle Quentina ogarnęło przyjemne uczucie lekkości i ciepła – tak żywe i tak odmienne od lodowatego zimna

otaczającej go rzeczywistości, że zastanawiał się, czy ktoś nie rzucił na niego potajemnie jakiegoś zaklęcia. Popatrzył podejrzliwie na dymiącą salamandrę, która zignorowała go wyniośle. Świat skurczył się do granic szachownicy, ludzie i drzewa wypadli z jego pola widzenia srebrzyści, zsolaryzowani. Oczy Quentina spoczęły na nieszczęsnym Joshu chodzącym po brzegu szachownicy i robiącym głębokie wdechy, a potem na Janet, która zaciskała zęby i wysuwała szczękę w jego stronę, równocześnie gwałtownie, dziko obejmując Eliota. Eliot miał oczy wbite w jakąś niewidzialną scenę gdzieś w oddali.

Wszystko to sprawiało dziwne odległe wrażenie. Nie liczyło się. Zabawne uczucie – niesamowite, że wcześniej tego nie dostrzegł. Będzie musiał spróbować wyjaśnić to Joshowi. Zrobił na wykładzie coś okropnego i głupiego tego dnia, kiedy Amanda Orloff umarła, i nigdy się z tego nie otrząśnie, lecz nauczył się z tym żyć. Trzeba mieć tylko jakieś pojęcie, co się liczy a co nie i jak bardzo, i nie dać się zastraszyć temu, co się nie liczy. Patrzeć na to z perspektywy. Coś w tym stylu. Bo inaczej jaki by to miało sens? Nie, nie wiedział, czy zdoła to wyjaśnić Joshowi. Ale może zdoła mu pokazać.

Zdjął płaszcz, jakby zrywał z siebie szorstką, za małą skórę. Poruszył ramionami w chłodnym powietrzu. Wiedział, że za chwilę będzie mu cholernie zimno, w tej chwili jednak miał tylko wrażenie rzeźkości. Popatrzył na blondyna w idiotycznej szacie, przeniósł ciężar ciała na jedną nogę i cisnął globus w jego kolano. Trafił prosto w ciężki aksamit. Rozległ się głośny huk.

– Au! – Naturalny chwycił się za kolano i spojrzał z wściekłością na Quentina. Będzie miał siniaka. – Faul!

– Udław się – powiedział Quentin.

Zerwał przez głowę koszulę. Ignorując pełne trwogi okrzyki – łatwo ignorować ludzi, kiedy się rozumie, jak

niewiele mają władzy nad tobą – podszedł do Alice, która stała oszołomiona na swoim kwadracie. Zapewne będzie tego potem żałował. O Boże, czasami tak dobrze jest być czarodziejem. Po strażacku zarzucił ją sobie na ramię i skoczył z nią w lodowatą oczyszczającą wodę.

ZIEMIA MARIE BYRD

Quentin zastanawiał się nad tajemnicą czwartorocznych, odkąd się dostał do Brakebills. W zasadzie wszyscy się zastanawiali. Wszyscy znali podstawowe fakty: co roku we wrześniu połowa czwartego roku nagle i po cichu zniknęła z Domu. W nocy. Ich nieobecności nie komentowano. Ci, którzy zniknęli, pojawiali się ponownie w połowie grudnia, chudzi i zmęczeni, i dziwnie zamyśleni. I znów nikt nie komentował ich pojawienia się – uważano wręcz za fatalne *faux-pas* powiedzenie czegoś na ten temat. Spokojnie na powrót wtapiali się w społeczność Brakebills i już, na tym się kończyło. Reszta czwartorocznych zniknęła w styczniu i wracała pod koniec kwietnia.

Pierwszy semestr czwartego roku niemal minął, a Quentin nadal nie otrzymał ani jednej nowej informacji na temat tego, co czeka go podczas zniknięcia. Tajemnica, dokąd udaje się połowa czwartego roku i co tam robi albo co pozwalała sobie zrobić, była nieprawdopodobnie dobrze strzeżona. Nawet studenci, którzy niczego w Brakebills nie brali serio, tę jedną sprawę traktowali z żarliwą powagą. „Facet, ja wcale nie żartuję, więc nawet nie pytaj”...

Katastrofa z Potworem zniweczyła zeszłoroczne plany. Jak zwykle pierwsza partia czwartorocznych zniknęła w semestrze zimowym – cała sprawa wydarzyła się pod ich nieobecność – natomiast grupa z drugiego semestru, do której należeli Eliot, Janet i Josh, skończyła rok jak zwykle. Oczywiście snuli na ten temat rozmaite spekulacje i kazali się nazywać „Oszczędzonymi”. Najwyraźniej czwartorocznych czekało coś wystarczająco paskudnego i bez dodatkowych atrakcji w postaci międzywymiarowego drapieźnika.

Teraz jednak wszystko wróciło do normy. W tym roku połowa czwartorocznych zniknęła zgodnie z planem wraz z garścią piątorocznych – dziesięcioro Oszczędzonych zostało podzielonych między dwa semestry, po pięć osób. Czy to przez przypadek, czy specjalnie, wszyscy Fizyczni Goście mieli wyruszyć razem w styczniu.

Był to stały temat rozmów wokół podniszczonego stołu bilardowego w Chatce.

– Wiecie, o co się założyć? – spytał Josh pewnej grudniowej niedzieli po południu. Leczyli kaca szklankami coca-coli i wielkimi ilościami bekonu. – Założę się, że wyślą nas do zwykłego college’u. Jakaś przypadkowa uczelnia stanowa, gdzie będziemy musieli czytać *Ulicę Nadbrzeżną* i analizować ustawy skarbowe sprzed rewolucji. Przewiduję, że już drugiego dnia Eliot będzie łkał w łazience i zebrał o *foie gras* i malbec, a jakiś dupek będzie go rznął kijem do hokeja.

– Hm, czy to może wgląd w twoje gejowskie fantazje? – spytała Janet.

– Wiem z dobrego źródła... – Eliot spróbował przerzucić białą bilę nad ósemką i poniósł sromotną klęskę, gdyż wbił obie do luzu. W ogóle się tym nie przejął. – Wiem z najlepszego źródła, że cała tajemnica czwartego roku to przykrywka. Oszustwo, żeby wystraszyć tchórzliwych. Spędzasz cały semestr na prywatnej wyspie Fogga na Malediwach, kontemplując bezmiar ziaren piasku na białych plażach, a kulisi raz po raz donoszą ci rum z tonikiem.

– Mam wrażenie, że na Malediwach nie ma kulisów – powiedziała Alice cicho. – To niepodległa republika od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku.

– A dlaczego wszyscy wracają tacy wychudzeni? – spytał Quentin. Janet i Eliot grali, reszta leżała na sfatygowanych wiktoriańskich kanapach. Pokój był na tyle

mały, że czasami musieli się odsuwać, by uniknąć szturchnięcia kijem bilardowym.

- Od pływania na golasa.
- Totalna bzdura – parsknęła Janet.
- Quentin powinien być w tym dobry – dodał Josh.
- Twojej grubej dupie przyda się trochę pływania.
- Nie chcę zniknąć – powiedziała Alice. – Nie mogę sobie załatwić zwolnienia lekarskiego czy coś? Tak jak zwalnia się dzieci chrześcijan z wychowania seksualnego. Czy nikt się nie boi?

- Och, jestem przerażony. – Jeśli Eliot żartował, nijak tego nie okazał. Podał Janet białą bilę pomalowaną w kratery w stylu *trompe l'oeil*. Wyglądała jak księżyc. – Nie jestem taki silny jak wy. Jestem słaby. Jestem delikatnym pakiem.

- Nie martw się, pączusiu – rzekła Janet. Uderzyła w bilę, zamykając oczy. – Cierpienie uczyni cię silnym.

Przyszli po Quentina w styczniową noc.

Wiedział, że to będzie w nocy – zawsze przy śniadaniu zauważano nieobecność czwartorocznych. Musiała być druga czy trzecia nad ranem, ale obudził się natychmiast, kiedy profesor Van der Weghe zapukała do jego drzwi. Nie miał wątpliwości, co się dzieje. Jej dobiegający z ciemności przyciszony głos z europejskim akcentem przypomniał mu jego pierwszą noc w Brakebills, kiedy kładła go do łóżka po egzaminach.

- Już czas, Quentinie – zawołała. – Idziemy na dach. Nic ze sobą nie zabieraj.

Włożył kapcie. Na zewnątrz na schodach stał szereg milczących rozczochranych studentów.

Nikt nic nie mówił, kiedy profesor Van der Weghe przeprowadziła ich przez drzwi w ścianie, znajdujące się akurat między dwoma wysokimi na trzy metry olejnymi

obrazami przedstawiającymi żaglowce na wzburzonym morzu. Quentin mógłby przysiąc, że jeszcze wczoraj ich tu nie było. Wchodzili, szurając kapciami, po ciemnych drewnianych schodach. Nikt się nie odzywał. Cała piętnastka – dziesięcioro z czwartego roku i pięcioro ostatnich Oszczędzonych z piątego – miała na sobie identyczne granatowe piżamy dostarczane studentom przez Brakebills. Pomimo zakazu Gretchen ponuro ścisnęła w objęciach zniszczonego czarnego misia i laskę. Idąca przodem profesor Van der Weghe otworzyła drewniane drzwi w dachu i wyszli na zewnątrz.

Znaleźli się jakby na grzędzie. Bo obu stronach tego długiego, wąskiego, omiatanego wiatrem pasa dachu gont opadał stromo w dół. Skrajem grzędy biegł niski żelazny płotek, nie zapewniający nawet minimum ochrony czy zabezpieczenia. Prawdę powiedziawszy, miał idealną wysokość, żeby podciąć kolana, jeśli się na niego wpadło przypadkiem. Noc była straszliwie zimna, wiał wiatr. Niebo wydawało się pokryte szronem, gdzieś wysoko dryfowały na wietrze chmury oświetlane ponuro przez księżyc w trzeciej kwadrze.

Quentin objął się ramionami. Nadal nikt nie powiedział ani słowa. Nikt nawet nie patrzył na innych. Zupełnie jakby wszyscy nadal na wpół spali, a jedno słowo mogło zniszczyć ten delikatny stan równowagi. Nawet pozostali Fizyczni Goście wydawali mu się obcy.

– Zdejmijcie piżamy – zawołała profesor Van der Weghe.

Co dziwne, usłuchali. Surrealizm całej sytuacji sprawił, że polecenie, by wszyscy razem, chłopcy i dziewczęta, stanęli nadzy w lodowatym zimnie, wydawało się niemal sensowne. Później Quentin pamiętał nawet, że Alice położyła ciepłą dłoń na jego nagim ramieniu, żeby zachować równowagę, kiedy zdejmowała spodnie od piżamy. Wkrótce

stali na dachu goli i drżący, a ich nagie plecy i pośladki wydawały się trupio blade w świetle księżyca. Daleko pod nimi rozciągał się oświetlony światłem gwiazd kampus, dalej widzieli ciemne drzewa lasu.

Niektórzy studenci ściskali oburącz piżamy, lecz profesor Van der Weghe kazała im je rzucić na ziemię. Piżama Quentina odleciała i zniknęła za gzymsem, lecz nie próbował jej łapać. To nie miało znaczenia. Profesorka przeszła wzdłuż szeregu, smarując im czoła i ramiona białą, przypominającą krede substancją. Kiedy skończyła, wróciła na początek, wyrównując szereg, sprawdzając swoją pracę, upewniając się, że wszyscy stoją prosto. Wreszcie wypowiedziała chrypliwą sylabę.

Natychmiast na Quentina spadł wielki miękki ciężar, przygniatając mu ramiona, zmuszając go, aby się pochylił. Przykucnął, walcząc, żeby się uwolnić. Czuł, że zaraz zostanie zmiażdżony. Starał się opanować panikę. Przemknęło mu przez myśl, że Potwór wrócił, jednak to było coś innego. Dlaczego profesor Van der Weghe im nie pomaga? Szyja wyciągała mu się coraz bardziej, stracił nad nią kontrolę. Miał wrażenie, że to groteskowy, koszmary sen. Chciał wymiotować, lecz nie mógł. Palce u nóg stopiły mu się i zlały razem, paznokcie wydłużyły się niesamowicie i rozpostarły, a na rękach i piersi zaczęło wyrastać coś miękkiego i ciepłego. Usta, wydęte w groteskowy dzióbek, dziwnie stwardniały. Wąski pas dachu uniósł się na jego spotkanie.

Nagle ciężar zniknął. Quentin kucał na szarym dachu, dysząc ciężko. Przynajmniej nie czuł już zimna. Spojrzał na Alice, a Alice popatrzyła na niego. Tyle że to już nie była Alice. Podobnie jak on zmieniła się w dużą szarą gęś.

Profesor Van der Weghe znów ruszyła wzdłuż szeregu. Oburącz po kolei podnosiła studentów i zrzucała ich z dachu. Wszyscy pomimo szoku – a może właśnie dzięki

niemu – odruchowo rozpościerali skrzydła i łapali wiatr, nim zdążyli się rozbić o nagie czubki drzew. Jedno po drugim odlatywali w noc.

Kiedy nadeszła jego kolej, Quentin zagegał w proteście. Ludzkie ręce profesor Van der Weghe, takie twarde i przerażające, paliły go przez pióra. W panice nafałdał jej na buty. Chwilę potem znalazł się w powietrzu i spadał. Rozłożył skrzydła i zaczął nimi machać, próbując wzbić się wyżej. Walił nimi jak opętany, aż powietrze zaczęło go unosić. Po prostu nie mógł tego nie zrobić.

Nowy gęsi mózg Quentina nie był skłonny do refleksji. Jego zmysły odbierały obecnie tylko garść kluczowych bodźców, lecz śledziły je bardzo, bardzo uważnie. Ciało służyło albo do siedzenia, albo do latania i koniec, a Quentin miał wielką ochotę latać. Prawdę powiedziawszy, miał na to większą ochotę niż na cokolwiek innego w całym swoim życiu.

Bez świadomej myśli czy wysiłku on i jego koledzy z klasy uformowali klasyczny klucz w kształcie litery V z czwartoroczną o imieniu Georgia na czele. Georgia, córka recepcjonistki w salonie sprzedaży używanych samochodów w Michigan, przybyła tu wbrew woli rodziców – w przeciwieństwie do Quentina wyjaśniła im wprost naturę Brakebills, oni zaś w nagrodę za tę szczerą usiłowali ją zamknąć w zakładzie psychiatrycznym. Dzięki subtelnemu zakłębieniu Fogga uwierzyli w końcu, że córka uczęszcza do szkoły zawodowej dla dorosłych z problemami. Obecnie Georgia, która miała kręcone czarne włosy spięte na karku szylkretową klamrą i specjalizowała się w niejasnym dziale uzdrawiania nieco podobnym do endokrynologii, prowadziła ich na południe, zwawo młóćąc powietrze nowymi skrzydłami.

Czysty przypadek sprawił, że leciała na czele, równie dobrze stado mogło poprowadzić każde z nich. Quentin miał

mglistą świadomość tego, że choć podczas przemiany stracił większość zdolności poznawczych, zyskał również nowe zmysły. Jeden miał coś wspólnego z powietrzem: widział szybkość i kierunek wiatru oraz temperaturę powietrza równie wyraźnie jak kółka dymu w tunelu aerodynamicznym. Niebo wydawało mu się obecnie trójwymiarową mapą prądów i wirów, dostrzegał przyjazne wznoszące się poduszki ciepła i gęste niebezpieczne spadki w zimnym powietrzu. Czuł szczypanie odległych cumulusów, w których cały czas dochodziło do wyładowań elektrycznych. Wycucie kierunku również mu się wyostrzyło, jakby w samym środku mózgu miał idealnie wyważony kompas pływający w oliwie.

Czuł, że we wszystkich kierunkach rozchodzą się w powietrzu niewidzialne ścieżki, linie ziemskiego przyciągania, i właśnie jedną z nich poprowadziła ich Georgia. Zabierała ich na południe. O świcie znajdowali się dobre dwa i pół kilometra nad ziemią i lecieli z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę, wyprzedzając samochody jadące Hudson Parkway.

Minęli miasto Nowy Jork, kamienną skorupę popękaną od obcego gorąca i iskier elektrycznych i emitującą toksyczne pierdnięcia. Lecieli cały dzień wzdłuż wybrzeża, mijając Tren ton i Filadelfię, czasami nad morzem, czasami nad zamarzniętymi polami, unosili się na prądach powietrza popychani przez wstępujące, przenosząc się z jednego na drugi, w miarę jak się pojawiały. Było to fantastyczne uczucie. Quentin nie potrafił sobie wyobrazić, że się kiedyś zatrzyma. Nie mógł uwierzyć, że jest taki silny, że tyle uderzeń skrzydłami kryje się w twardych mięśniach jego piersi. Nie potrafił się powstrzymać, musiał powiedzieć to na głos.

– Ge! – wrzasnął. – Ge, ge, ge, ge, ge, ge, ge!
Jego towarzysze całkowicie się z nim zgodzili.

Quentin przesuwał się w górę i w dół klucza w sposób uporządkowany, mniej więcej tak samo jak serwujący na zmianę gracze w siatkówce. Czasami zniżali lot, odpoczywali i jedli nad wodą albo na środkowym pasie autostrady, albo w jakimś źle zdrenowanym miejscu na trawniku podmiejskiego parku (błędy architektury krajobrazu to prawdziwa uczta dla gęsi). Dość często dzielili te bezcenne kawałki terenu z kluczami prawdziwych gęsi, które wyczuwając ich przemienioną naturę, przyglądały im się z uprzejmym rozbawieniem.

Jak długo lecieli, Quentin nie potrafił powiedzieć. Od czasu do czasu widział na ziemi coś, co rozpoznawał, i próbował na tej podstawie określić czas i odległość – jeśli lecieli z taką a taką prędkością, a zatoka Chesapeake leży tyle a tyle kilometrów od Nowego Jorku, to n dni musiało upłynąć, odkąd... odkąd co właściwie? „N” i puste miejsca, i inne elementy równania uparcie odmawiały posłuszeństwa. Nie chciały tańczyć jak zwykle. Gęsi umysł Quentina nie miał oprzyrządowania koniecznego do pojmowania liczb, nie był też zainteresowany tym, czego miały dowieść.

Zalecieli już tak daleko na południe, że zrobiło się wyraźnie cieplej. Wkrótce zostawili za sobą wysepki Florida Keys, suche, kruche jak kukurydza, ledwie wynurzające się z nieskończonego turkusu morza, a potem Karaiby. Rozpoznał Kubę. Żadna rozsądna gęś nie poleciałaby tak daleko na południe. Przelecieli nad Kanałem Panamskim, bez wątpienia wprawiając w zdumienie obserwatorów ptaków, którzy starannie odnotowali w swoich raportach pojawienie się zagubionego klucza gęsi.

Minęły dni, tygodnie, a może nawet miesiące i lata, kto to mógł wiedzieć? Kogo to obchodziło? Quentin nigdy nie doświadczył takiego spokoju i satysfakcji. Zapomniał o swej ludzkiej przeszłości, o Brakebills i Brooklynie, o Jamesie i Julii, i Penny'm, i dziekanie Foggu. Po co ich pamiętać? Nie

miał już imienia. Ledwie miał wartą wzmianki indywidualną tożsamość, a w dodatku wcale jej nie pragnął. Co dobrego przynoszą ludzkie artefakty? Był zwierzęciem. Jego życie polegało na zamienianiu robaków i roślin w mięśnie i tłuszcz, I w pióra, i w lot, i w przelatywane kilometry. Służył jedynie swemu stadu, wiatrowi i prawom Darwina. Oraz sile, która kazała mu szybować po niewidocznych magnetycznych ścieżkach, zawsze na południe, wzdłuż nieprzyjemnego skalistego wybrzeża Peru, sterczących Andów na bakburcie i ogromu błękitnego Pacyfiku na sterburcie. Nigdy w życiu nie czuł się szczęśliwszy.

Leciało im się coraz trudniej. Lądowali rzadziej i w coraz bardziej egzotycznych miejscach, w rozrzuconych w dużej odległości od siebie stacjach, które musiały zostać dla nich wybrane z wyprzedzeniem. Szybował ponad trzy kilometry nad ziemią, spod oka przyglądając się skalistym krezom Andów, czując pustkę w żołądku i ból mięśni na piersiach. Kiedy coś zamigotało w lesie setki kilometrów dalej, trafiali na świeżo zalane boisko do piłki nożnej albo zrujnowaną twierdzę narkotykowego bossa, a w niej na basen, z którego deszczówka całkowicie niemal usunęła chemiczny smak chloru.

Znów robiło się zimno po długim tropikalnym interludium. Peru ustąpiło miejsca Chile i trawiastym, chłostanym wiatrem pampom Patagonii. Zrobili się wychudzeni, zapasy tłuszczu mieli na wyczerpaniu, ale nikt się nie odwracał ani nie wahał, kiedy nurkowali samobójczo ze skraju przylądka Horn nad straszliwy niebieski chaos Cieśniny Drake'a, zdążając wciąż na południe. Niewidoczna autostrada, którą lecieli, nie dawała możliwości zawrócenia.

Skończyły się czasy wesołego gęgania. Quentin obejrzał się raz na drugie ramie klucza i zobaczył czarne jak guzik oko Janet płonące żarliwą determinacją. Nocowali na barce cudem jakimś dryfującej na wodzie, pełnej prawdziwych

przysmaków: rukwi wodnej i lucerny, i koniczyny. Kiedy na horyzoncie pojawiło się nagie szare wybrzeże Antarktydy, poczuli nie ulgę, lecz zbiorową rezygnację. Nie dane im było wytchnienie. Nie widzieli innych gęsi, ponieważ gęsi nie przylatują na Antarktydę, a jeśli przylatują, to nigdy stąd nie wracają. Quentin widział magnetyczne szlaki i ścieżki zbiegające się w powietrzu, schodzące się z różnych stron jak południki na spodzie globusa. Klucz z Brakebills leciał wysoko nad nimi, oddzielony trzema kilometrami suchego słonego powietrza od widocznych niezwykle wyraźnie szarych pomarszczonych fal.

Zamiast plaży powitał ich brzeg pełen przewróconych bloków skalnych, zasiedlonych przez dziwaczne niekomunikatywne pingwiny, a dalej jaskrawobiały lód. Mieli przed sobą zamrożoną czaszkę Ziemi. Quentina ogarnęło zmęczenie. Mróz kąsał jego małe ciało przez cienką kurtkę z piór. Nie wiedział już, co ich trzyma w powietrzu, wiedział natomiast, że jeśli jedno z nich odpadnie, wszyscy się poddadzą, po prostu złożą skrzydła i zanurkują w stronę białego jak porcelana śniegu, który z radością ich pochłonie.

A potem szlak, którym lecieli, opadł nagle jak różdżka radiestety. Sprowadzał ich w dół, a oni ześlizgiwali się nim z wdzięcznością, czując cudowną ulgę od wysiłku, jakiego wymagało utrzymanie wysokości za pomocą obolałych skrzydeł. Quentin widział teraz wśród śniegu kamienny dom, anomalie na poza tym całkowicie pozbawionej wszystkiego równinie. Była to ludzka sadyba i w normalnych warunkach bałby się jej, nafiałby na nią, po czym poleciałby dalej i zapomniał o niej.

Jednak nie, ich szlak niewątpliwie tam właśnie się kończył, na jednym z wielu pokrytych śniegiem dachów domu. Znajdowali się już tak blisko, że widział mężczyznę stojącego na dachu, czekającego na nich z długą prostą

laską w rękę. Zawładnęło nim pragnienie ucieczki, lecz wyczerpanie, a przede wszystkim magnetyczna logika szlaku okazały się silniejsze.

W ostatniej sekundzie zakrzywił zeszywniałe skrzydła, które złapały wiatr niczym żagiel, wychwytyjąc resztę jego energii kinetycznej i wyhamowując upadek. Spadł na zaśnieżony dach i leżał tam, dysząc w rozrzedzonym powietrzu. Jego oczy miały tępy wyraz. Człowiek się nie ruszył. Cóż, pieprzyć go. Niech robi z nimi, co chce, może ich oskubać i wypatroszyć, i nadzieć, i upiec. Quentina już to nie obchodziło, póki mógł dać odpoczynek obolałym skrzydłom.

Mężczyzna ułożył pozbawione dzioba mięsiste usta w dziwną sylabę i postukał laską w dach. Piętnaścioro bladych nagich młodzieńców leżało w śniegu pod białym polarnym słońcem.

* * *

Quentin obudził się w pustej białej sypialni. Nie potrafił określić z dokładnością do dwudziestu czterech godzin, jak długo spał. Pierś i ramiona bolały go jak posiniaczone. Popatrzył na swe prymitywne różowe ludzkie ręce zakończone kikutami palców pozbawionych piór. Uniósł je, by dotknąć twarzy. Westchnął i z rezygnacją poddał się powrotowi do człowieczeństwa.

Sypialnia była niemal pusta, urządzona wyłącznie na białą. Wszystko było białe: pościel, ściany, szorstka piżama, którą miał na sobie, metalowe łóżko, kapcie czekające na niego na zimnej kamiennej podłodze. Kwadratowe okienko pozwoliło mu stwierdzić, że jest na piętrze. Widział popękane pole śnieżne ciągnące się aż po horyzont pod białym niebem, pozbawione znaczenia, abstrakcyjne białe linie w niemożliwej do oceny odległości. Mój Boże, w co

on się wpakował?

Wyszedł na korytarz nadal ubrany w piżamę i cienki szlafrok, który wisiał na haczyku na drzwiach. Odszukał drogę na dół, do cichej przewiewnej sali z drewnianym sufitem, identycznej jak jadalnia w Brakebills, choć panował tu inny klimat, bardziej jak w alpejskim schronisku. Długi stół z ławkami po bokach biegł przez niemal całą długość sali.

Quentin usiadł. Na drugim końcu stołu siedział samotnie jakiś człowiek, obejmując dłońmi kubek z kawą i wpatrując się posępnie w przebrane resztki obfitego śniadania. Był wysoki, lecz zgarbiony, miał jasne włosy, słabo zarysowany podbródek i początki brzuszka. Jego biała szata sprawiała wrażenie bardziej puszystej niż strój Quentina. Oczy miał jasne, wodnistozielone.

– Pozwoliłem ci spać – powiedział. – Większość już wstała.

– Dzięki. – Quentin przesunął się po ławce, żeby się znaleźć naprzeciwko niego. Przetrzęsnał resztki na talerzach i półmiskach, szukając czystego widelca.

– Jesteście w Brakebills Południowym. – Mężczyzna mówił dziwnie obojętnym tonem, z lekkim rosyjskim akcentem. Nie patrzył na Quentina, kiedy mówił. – Znajdujemy się jakieś osiemset mil od bieguna południowego. Przelecieliście nad Morzem Bellingshausena i nad regionem o nazwie Ziemia Ellswortha. Ta część Antarktydy to Ziemia Marie Byrd. Admirał Byrd nazwał ją tak na cześć swojej żony.

Bez skrepowania podrapał się po potarganej głowie.

– Gdzie są wszyscy? – spytał Quentin. Nie wyglądało na to, by istniał jakiś powód zachowywania się oficjalnie, skoro obaj siedzieli tu w szlafrokach. A zimne placki ziemniaczane okazały się niewiarygodnie smaczne. Nie miał pojęcia, jaki jest głodny.

– Dałem im wolny ranek. – Machnął ręką w nieokreślonym kierunku. – Zajęcia zaczynają się po południu.

Quentin kiwnął głową.

– Jakie zajęcia? – zapytał z pełnymi ustami.

– Jakie zajęcia – powtórzył mężczyzna. – Tu, w Brakebills Południowym, zaczniesz się uczyć magii. Choć zapewne sądziłeś, że robisz to u profesora Fogga?

Takie pytania zawsze wprawiały Quentina w zakłopotanie, więc postanowił być szczery.

– Tak. Tak sądziłem.

– Jesteś tu, by przyswoić sobie mechanizm magii. Myślisz – akcent sprawiał, że zabrzmiało to jak „misłisz” – że studiujesz magię. Uczyłeś się z podręcznika Popper i kułeś na pamięć koniugacje, deklinacje i modyfikacje. Jak brzmi pięć Okoliczności Trzeciorzędnych? – „Okolicznosti”.

Odpowiedź padła automatycznie:

– Wysokość, Wiek, Pozycja Plejad, Faza Księżyca, Najbliższy Zbiornik Wodny.

– Bardzo dobrze – powiedział sarkastycznie. – Cudownie. Jesteś geniuszem.

Z wysiłkiem Quentin spróbował nie poczuć się dotknięty. Nadal odczuwał uludę zen po epizodzie w gęsim ciele. I po zjedzeniu placków ziemniaczanych.

– Dziękuję.

– Zgłębiałeś magię, tak jak papuga zgłębia Szekspira. Recytujesz ją jak przysięgę wierności. Wcale jej nie rozumiesz.

– Nie?

– Żeby zostać czarodziejem, musisz zrobić coś zupełnie innego. – Najwyraźniej to było clou programu. – Nie można studiować magii. Nie można się jej nauczyć. Trzeba ją spożywać. Trawić. Trzeba się z nią połączyć. I sprawić, by ona połączyła się z tobą. Kiedy czarodziej rzuca zaklęcie, nie

przebiega w pamięci Okoliczności Większych, Mniejszych, Trzeciorzędnych i Czwartorzędnych. Nie stara się określić fazy księżyca ani położenia najbliższego zbiornika wodnego, ani tego, kiedy ostatnio podtarł sobie tyłek. Kiedy czarodziej chce rzucić zaklęcie, po prostu je rzuca. Kiedy chce latać, po prostu lata. Kiedy chce pozmywać naczynia, po prostu się zmywają.

Wymruczał coś, postukał rozgłośnie w stół, a naczynia zaczęły hałaśliwie ustawiać się w stosy jak przyciągane magnesem.

– Musisz zrobić coś więcej, niż uczyć się na pamięć, Quentinie. Musisz się nauczyć podstaw magii czymś więcej niż głową. Musisz nauczyć się ich kośćmi, krwią, wątrobą, sercem, kutasem. – Złapał się przez szlafrok za krocze i potrząsnął ręką. – Sprawimy, że język zaklęć zanurzy się w tobie tak głęboko, że będziesz go miał w sobie zawsze, gdziekolwiek będziesz i czegokolwiek będzie ci trzeba. Nie tylko wtedy, gdy uczysz się do egzaminu. Nie przyjechałeś tu na mistyczne doznania, Quentinie. Ten proces będzie długi i bolesny, i upokarzający, i bardzo, bardzo – praktycznie wykrzyczał to słowo – nudny. To zadanie, które najlepiej wykonywać w ciszy i izolacji. Z tego powodu tu jesteś. Nie będziesz się dobrze bawił w Brakebills Południowym. Nie zachęcam cię do tego.

Quentin wysłuchał tej przemowy w milczeniu. Niespecjalnie spodobał mu się ten człowiek, który właśnie napomknął o swoim członku i którego nazwiska nadal nie znał. Odsunął to jednak od siebie i skupił się na absorbowaniu energii przez swoje wyczerpane ciało.

– Więc jak tego dokonam? – zapytał. – Jak nauczę tego swoje kości czy co tam?

– To bardzo trudne. Nie każdemu się udaje. Nie każdy to potrafi.

– Aha. A co się dzieje, jeśli się nie potrafi?

– Nic. Wracasz do Brakebills. Kończysz szkołę. Przez całe życie jesteś drugorzędnym czarodziejem. Wielu tak żyje. Zapewne nigdy sobie tego nie uświadomisz. Nawet fakt, że poniesiesz porażkę, przekroczy twoje zdolności pojmowania.

Quentin nie zamierzał dopuścić, by to spotkało właśnie jego, choć przemknęła mu przez głowę trzeźwa myśl, że zapewne nikt się nie spodziewa, że przydarzy się to akurat jemu, jakkolwiek ze statystycznego punktu widzenia komuś musiało się przytrafić. Placki ziemniaczane nie smakowały już tak wyśmienicie. Odłożył widelec.

– Fogg mówił mi, że masz zręczne ręce – powiedział jasnowłosy mężczyzna, łagodniejąc nieco. – Pokaż mi, co potrafisz.

Dłonie Quentin miał sztywne i obolałe po przemianie w skrzydła, niemniej wziął ze stołu ostry nóż, który wydawał się dobrze wyważony, starannie wytarł go w serwetkę i ujął między dwa ostatnie palce lewej ręki. Przesunął go, obracając, palec po palcu aż do kciuka, a potem rzucił niemal pod sufit – wprawiając go w ruch obrotowy i celując między dwie krokwie. Założenie było takie, że nóż spadnie i wbije się w stół między trzecim a czwartym palcem jego rozcapierzonej lewej dłoni. Tę sztuczkę najlepiej wykonywać na ślepo, dla większego efektu zachowując cały czas kontakt wzrokowy z publicznością.

Towarzysz Quentina wziął ze stołu bochenek chleba i nadstawił tak, że wbił się w niego spadający nóż. Potem rzucił pogardliwie chleb i nóż na stół.

– Podejmujesz głupie ryzyko – stwierdził z nagana. – Idź do kolegów. Myślę – „mislię” – że znajdziesz ich na dachu Zachodniej Wieży. – Wskazał drzwi. – Zaczynamy po południu.

Dobra, panie Zabawny, pomyślał Quentin. Ty tu rządzisz.

Wstał. Nieznajomy wstał również i szurając nogami, udał się w inną stronę. Sprawiał wrażenie rozczarowanego.

Kamień w kamień, deska w deskę Brakebills Południowy odtwarzał Dom w Brakebills. W pewien sposób przynosiło to pocieszenie, choć z drugiej strony wydawało się dziwnie niestosowne: osiemnastowieczna angielska rezydencja na środku antarktycznego lodowca. Dach Zachodniej Wieży okazał się szeroki, płaski, okrągły i wyłożony kamiennymi płytami, a otaczał go kamienny murek. Choć na pozór żywioły miały do niego swobodny dostęp, jakiś rodzaj magii sprawiał, że powietrze było tu ciepłe i wilgotne i w zasadzie pozbawione wiatru. Quentin miał wrażenie, że głęboki chłód czai się gdzieś tuż obok. Wprawdzie czuł ciepło, ale podłoga, meble, wszystko czego dotknął – okazywało się zimne i lepkie. Zupełnie jak w cieplarni w środku zimy.

Tak jak mu powiedziano, reszta studentów z Brakebills zebrała się właśnie tam. Stali w oszołomionych grupkach po trzy, cztery osoby, patrząc na śnieg i rozmawiając przyciszonymi głosami, skąpani w niesamowitym płaskim świetle Antarktydy. Wyglądali inaczej. Schudli, ich ramiona i piersi sprawiały wrażenie mocniejszych, bardziej rozrośniętych. Podczas lotu na południe stracili cały tłuszcz i nabrali mięśni. Mieli wyraźniej zarysowane szczęki i kości policzkowe. Alice wyglądała ślicznie, taka chuda i zagubiona.

– Gę, gę, gę, gę, gę, gę, gę! – zawołała Janet na widok Quentina. Wszyscy się zaśmiali, choć Quentin podejrzewał, że zdążyła już zaprezentować ten żart kilka razy wcześniej.

– Hej, stary – powiedział Josh, siłąc się na nonszalancję. – Co za popieprzone miejsce, no nie?

– Nie wydaje się takie złe – odparł Quentin. – O której

plywamy na golasa?

– Może trochę przesadziłem – stwierdził Eliot ponuro, zapewne też nie po raz pierwszy. – Ale przynajmniej byliśmy nadzy.

Wszyscy mieli na sobie identyczne białe piżamy. Quentin czuł się jak pacjent psychiatryka. Zastanawiał się, czy Eliot tęskni za swym sekretnym kochankiem, ktokolwiek nim jest.

– Wpadłem na dole na tutejszy odpowiednik siostry Ratched, wiecie, tej z *Lotu nad kukułczym gniazdem* – powiedział. Piżama nie miała kieszeni i nie bardzo wiedział, co zrobić z rękami. – Wygłosił mowę na temat tego, jaki jestem głupi i że zmieni moje życie w piekło.

– Przespałeś zebranie informacyjne. To profesor Majakowski.

– Majakowski. Jak dziekan Majakowski?

– To jego syn – wyjaśnił Eliot. – Zawsze się zastanawiałem, co się z nim stało. Teraz już wiemy.

Pierwszy Majakowski był najsilniejszym czarodziejem wśród zagranicznych nauczycieli, którzy przewinęli się przez Brakebills w latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku. Wcześniej w Brakebills nauczano niemal wyłącznie magii angielskiej i amerykańskiej, potem jednak nastąpiła moda na „wielokulturowe” zaklęcia i wielkim kosztem sprowadzano profesorów z całego świata, im bardziej odległy kraj, tym lepiej. Przybywali więc ubrani w spódniczki szamani z Mikronezji, zgarbieni, palący nargile czarownicy z Kairu, Tuaregowie o sinych twarzach z południowego Maroka. Według krążącej wśród studentów legendy, Majakowski senior został zwerbowany gdzieś na Syberii, gdzie doszło do fuzji lokalnych tradycji szamańskich z wyrafinowanymi praktykami moskwian przywiezionymi przez więźniów gułagu.

– Zastanawiam się, jak bardzo trzeba napięprzyć, żeby

dostać takie stanowisko – powiedział Josh.

– Może sam o nie prosił? – wyraził przypuszczenie Quentin. – Może mu się tu podoba? Musi tu być dość samotnie.

– Pewnie masz rację. Myślę, że ja pęknię pierwszy – oświadczył Eliot, jakby rozmawiali o czym innym. Potarł miękki zarost na policzku. – Nie podoba mi się tutaj. Dostanę od tego wysypki. – Pomacał materiał pizamy. – Chyba tu mam już plamę.

Janet pogłaskała go pocieszająco po ramieniu.

– Nic ci nie będzie. Przeżyłeś w Oregonie. Co może być gorsze od Oregonu?

– Jeśli ładnie poproszę, może zmieni mnie z powrotem w gęś?

– O mój Boże! – wykrzyknęła Alice. – Nigdy więcej. Pamiętajcie, że jedliśmy robaki? Robaki!...

– Jak to: nigdy więcej? A jak niby mamy wrócić?

– Wiecie, co mi się podobało w byciu gęsią? – spytał Josh. – Że mogłem fajdać, gdzie chciałem.

– Nie wracam. – Eliot cisnął biały kamień prosto w białą ponurość. Kamień zlał się z otoczeniem i zniknął, gdy tylko uderzył w ziemię. – Mogę stąd polecieć do Australii. Albo na Nową Zelandię, tamtejsze winnice są całkiem niezłe. Zaadoptuje mnie jakiś miły hodowca owiec, który będzie mnie karmił sauvignon blanc i zmieni moją wątrobę w cudowne *foie gras*.

– Może profesor Majakowski zmieni cię w ptaka kiwi – wyraził nadzieję Josh.

– Ptaki kiwi nie latają.

– Na mnie nie sprawiał wrażenia faceta, który wyświadczy nam wiele przysług – ostrzegła Alice.

– Musi spędzać masę czasu w samotności – powiedział Quentin. – Zastanawiam się, czy powinniśmy go żałować.

Janet parsknęła.

– Gę, gę, gę, gę, gę!

Nie istniał pewny sposób mierzenia czasu w Brakebills Południowym. Nie było tam zegarów, a słońce przez cały czas wisiało centymetr nad horyzontem, emanując przyćmioną, fluorescencyjną bielą. Przypomniało to Quentinowi Nadzorczynię Czasu i jej próby zatrzymania czasu. Pokochałaby to miejsce.

Tego pierwszego ranka rozmawiali na dachu Zachodniej Wieży godzinami, jak im się zdawało, tuląc się do siebie, żeby dojść jakoś do ładu z tym obcym miejscem. Nikt nie miał ochoty schodzić na dół, nawet kiedy zmęczyli się staniem i skończyły im się tematy rozmowy. W końcu usiedli pod murkiem biegnącym wokół dachu, opierając się o niego plecami, i po prostu patrzyli w bladą, zamgloną przestrzeń skąpaną w dziwnym, pozbawionym kierunku białym świetle odbijanym przez śnieg.

Quentin oparł plecy o chłodne kamienie i zamknął oczy. Poczuł, że Alice położyła mu głowę na ramieniu. W razie czego zawsze będzie mógł się oprzeć na niej. Choć wszystko się zmieniło, ona pozostała taka jak zawsze. Odpoczywali.

Później, kiedy minęły minuty albo godziny, albo dni, otworzył oczy. Spróbował coś powiedzieć i nagle stwierdził, że nie może.

Niektórzy już się podnieśli. Na szczycie schodów pojawił się profesor Majakowski w białym szlafroku przewiązanym na brzuchu. Odchrząknął.

– Pozwoliłem sobie pozbawić was głosu – powiedział. Poklepał się po grdyce. – W Brakebills Południowym nie będzie gadania. Do tego najtrudniej się przyzwyczać, odkryłem jednak, że przemiana przychodzi dużo łatwiej, jeśli uniemożliwię wam rozmowy przez pierwszych kilka tygodni. Będziecie mogli wypowiadać zaklęcia i nic poza

tym.

Studenci patrzyli na niego w milczeniu. Majakowski zdawał się bardziej zrelaksowany, mając świadomość, że nikt nie może mu odpowiedzieć.

– Jeśli zejdziecie na dół, rozpoczniemy pierwsze zajęcia.

Kiedy Quentin czytał w książkach o czarach, zawsze dezorientowała go jedna rzecz: magia nigdy nie wydawała się trudna. Oczywiście wymagała ciągłego marszczenia czoła i grubych ksiąg, i długich białych bród, i czego tam jeszcze, lecz kiedy przychodziło co do czego, uczyłeś się zaklęcia – albo je czytałeś z książki, jeśli uważałeś naukę na pamięć za zbyt wielką fatygę – zbierałeś zioła, machałeś różdżką, pocierałeś lampę, mieszałeś eliksir i już, moc cię słuchała. Zupełnie jakbyś robił sos do sałatki albo składał meble z Ikei – kolejna umiejętność, której z powodzeniem można się nauczyć. Zabierało to nieco czasu i wysiłku, ale w porównaniu z odciskami na palcach przy, powiedzmy, nauce gry na oboju... cóż, w zasadzie nie było porównania. Każdy idiota mógł czarować.

Quentin poczuł perwersyjną ulgę, kiedy stwierdził, że magia to jednak coś więcej. Ze częściowo wymaga talentu – tego milczącego, niewidzialnego wysiłku, który czuł w piersi, ilekroć zaklęcie się dokonywało – lecz głównie jest to praca, ciężka praca, całe góry pracy. Każde zaklęcie należało modyfikować na sto różnych sposobów zależnie od Okoliczności – w Brakebills podkreślano to słowo wielką literą – w jakich je rzucano. Okoliczności mogły być różne: magia stawała się skomplikowanym, wymagającym zręczności narzędziem, które wymagało precyzyjnej kalibracji do warunków, w jakich miało działać. Quentin opanował dziesiątki stronic drobno zadrukowanych tabelami i wykresami, które podawały Główne Okoliczności i ich wpływ na poszczególne zaklęcia. A potem, kiedy już się wszystko spaamiętało, pozostawała kwestia opanowania

setek Konsekwencji i Wyjątków.

W tym sensie magia przypominała język obcy. I podobnie jak język, na potrzeby nauczania podręczniki i nauczyciele traktowali ją jak uporządkowany system, choć w rzeczywistości była złożona, chaotyczna i organiczna. Podlegała zasadom tylko na tyle, na ile miała ochotę, a liczba specjalnych przypadków i jednorazowych wariacji niemal przekraczała liczbę samych reguł. Te Wyjątki opisywano pod odnośnikami zaznaczonymi w tekście gwiazdkami, wydłużonymi krzyżykami wyglądającymi jak sztylety i innymi symbolami typograficznymi, które zapraszały czytelnika do studiowania licznych przypisów wypełniających marginesy takich encyklopedii, jak komentarze talmudyczne.

Majakowski zamierzał sprawić, by opanowali wszystkie te szczegóły, i to nie do końca pamięciowo. Chciał, żeby je zaabsorbowali i uczynili częścią siebie. Powiedział swoim milczącym słuchaczom, że prócz talentu najlepsi czarodzieje dysponują również niezwykle ukrytą maszyną umysłową, delikatnym, lecz mocnym silnikiem koniecznym, by uzyskać dostęp do tego ogromu informacji, manipulować nimi i zarządzać.

W to pierwsze popołudnie Quentin spodziewał się wykładu, tymczasem rzuciwszy zaklęcie na ich krtanie, Majakowski wskazał każdemu studentowi coś jakby mniszą celę, kamienny pokoik z pojedynczym wysokim zakratowanym oknem, krzesłem i kwadratowym stołem. Na ścianie wisiała półka z magicznymi encyklopediami. Panowała tu czysta, sprzyjająca pracy atmosfera pomieszczenia, które właśnie zostało energicznie zamiecione miotłą z brzozowych gałązek.

– Siadaj – powiedział Majakowski.

Quentin usiadł. Profesor jak człowiek rozstawiający pionki na szachownicy położył przed nim po kolei młotek,

kawałek drewna, pudełko gwoździ, kartkę papieru i małą książkę oprawioną w wyblakły papier welinowy.

Postukał w kartkę.

– Młotkowe Zaklęcie Legranda – powiedział. – Znasz je?

Wszyscy je znali, należało do kanonu. Proste w teorii – sprawiało, że gwóźdź dawał się wbić prosto jednym uderzeniem młotka – w praktyce wymagało niezwyklej precyzji. Istniało dosłownie w tysiącach kombinacji zależnych od Okoliczności. Rzucanie Legranda było zapewne trudniejsze niż wbicie tego cholernego gwoźdźdza w tradycyjny sposób, ale z dydaktycznego punktu widzenia – nieocenione.

Majakowski poklepał książkę palcem o grubym paznokciu.

– Tu na każdej stronie opisano inną kombinację Okoliczności. Każda jest inna, rozumiesz? Miejsce, pogoda, gwiazdy, pora roku... sam zobaczysz. Odwracasz kartkę i rzucasz zaklęcie odpowiednio do podanych Okoliczności. Dobre ćwiczenie. Wróć, jak skończysz książkę. Choroszo?

Z upływem dnia rosyjski akcent Majakowskiego robił się coraz wyraźniejszy. Porzucił angielskie ściągnięcia i długie samogłoski. Kiedy zamknął za sobą drzwi, Quentin otworzył książkę. Ktoś niezbyt pomysłowy napisał na pierwszej stronie: porzućcie nadzieję wszyscy, którzy tu wchodzicie. Coś podpowiadało Quentinowi, że Majakowski zauważył ten napis, ale postanowił go zostawić.

Wkrótce Quentin znał Młotkowe Zaklęcie Legranda lepiej, niż kiedykolwiek miał ochotę poznać jakiegokolwiek zaklęcie świata. Ze strony na stronę Okoliczności podawane w książce stawały się coraz bardziej ezoteryczne i bezprzedmiotowe. Rzucał Młotkowe Zaklęcie Legranda w południe i o północy, w lecie i w zimie, na szczytach gór i tysiące metrów pod powierzchnią ziemi. Rzucał je pod wodą i na Księżycu. Rzucał je wczesnym wieczorem podczas

zamieci śnieżnej na plaży wyspy Mangareva, choć prawdopodobieństwo wystąpienia zamieci na tej wyspie było bliskie zeru, ponieważ leżała w Polinezji Francuskiej. Rzucał je jako mężczyzna, jako kobieta, a raz – czy to naprawdę miało sens? – jako hermafrodyta. Rzucał je w gniewie, w niezdecydowaniu i w pełnym goryczy rozżaleniu.

W tym momencie miał już strasznie sucho w ustach. Palce mu zdrętwiały. Cztery razy walnął się młotkiem w palec. W kawałku drewna tkwiły rozpląszczone główki gwoździ. Jęknął bezdźwięcznie i odchylił głowę na twarde oparcie krzesła. Drzwi otworzyły się nagle i wszedł profesor Majakowski z pobrękującą tacą.

Postawił tacę na stoliku. Znajdowała się na niej filiżanka gorącej herbaty, szklanka wody, talerz z bryłką europejskiego masła drożdżowego i gruba pajda chleba na zakwasie, jak również szklaneczka zawierająca, jak się okazało, dwa palce wódki pieprzowej, z czego jeden palec Majakowski wypił sam, nim postawił ją na stole.

Kiedy skończył, uderzył Quentina mocno w twarz.

– To za wątpienie w siebie – powiedział.

Quentin tylko popatrzył na niego. Uniósł rękę do policzka, myśląc: ten facet jest walnięty jak Marcowy Zając. Może nam tu zrobić wszystko.

Majakowski otworzył książkę z powrotem na pierwszej stronie. Odwrócił kartkę z zaklęciem i poklepał ją. Na odwrocie wypisane było inne zaklęcie. Czarodziejskie Usuwanie Gwoździ Bujolda.

– Zaczynij od początku – polecił.

No cóż. Nałóż wosk, usuń wosk.

Kiedy Majakowski sobie poszedł, Quentin wstał i przeciągnął się. Strzeliło mu w obu kolanach. Zamiast zacząć zaklęcia, podszedł do małego okienka wychodzącego na księżycowe pola śnieżne. Sama monochromatyczność tego krajobrazu sprawiła, że zaczął cierpieć na halucynacje

kolorów. Słońce w ogóle nie zmieniło położenia.

I tak właśnie minął Quentinowi pierwszy miesiąc w Brakebills Południowym. Zakłęcia i Okoliczności się zmieniały, ale pokój był ten sam, a dni zawsze, zawsze, zawsze niezmiennie: puste, bezlitosne, niekończące się nieużytki powtórzeń. Złowieszcze ostrzeżenia Majakowskiego okazały się całkowicie uzasadnione, a nawet nieco zbyt oględne. Nawet w najgorszych chwilach w Brakebills Quentin miał wrażenie, że coś mu uchodzi na sucho, że poświęcenia, jakich wymagali od niego nauczyciele, są niewielkie w porównaniu z nagrodą, jaką będzie życie czarodzieja. W Brakebills Południowym po raz pierwszy czuł, że płaci prawdziwą cenę.

Rozumiał, dlaczego zostali tu przysłani. Majakowski żądał niemożliwego. Ludzki umysł nie jest przystosowany do przyswajania sobie takiego ogromu informacji. Gdyby Fogg próbował wymusić na nich taki tryb życia w Brakebills, wybuchłyby zamieszki.

Nie potrafił stwierdzić, jak radzą sobie inni. Spotykali się w porze posiłków i mijali w korytarzach, lecz z powodu zakazu rozmów zamiast użalać się wspólnie, ograniczali się do spojrzeń i wzruszania ramionami, a i to coraz rzadziej. Eliot miał pustkę w oczach; Quentin podejrzewał, że sam wygląda podobnie. Nawet ożywiona zwykle twarz Janet zamarzła w nieruchomą maskę. Zakłęcie powstrzymujące ich od rozmowy działało całościowo, nawet pióra nie chciały pisać.

Quentin i tak stracił zainteresowanie komunikacją. Powinien pragnąć kontaktów z ludźmi, tymczasem odsuwał się od innych, zatapiał w sobie. Powłócząc nogami jak więzień, chodził z sypialni do jadalni, a potem do pustej klasy korytarzami z kamienia pod nużąco nieruchomym białym okiem słońca. Kiedyś zawędrował na szczyt

Zachodniej Wieży i zastał tam część grupy, w tym patykowatego ekstrawertyka o imieniu Dale, który przed apatyczną publicznością udawał mima, doszedł jednak do wniosku, że sprawdzenie, co się dzieje, nie jest warte wysiłku obrócenia głowy. Poczucie humoru Quentina przypadło gdzieś w tej pustce.

Profesor Majakowski najwyraźniej się tego spodziewał, wiedział, że tak się stanie. Po pierwszych trzech tygodniach oznajmił, że zniósł zakłęcie zabraniające im rozmów. Wieść przyjęto w milczeniu. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Majakowski zaczął wprowadzać odmiany w rutynie. Większość dni nadal poświęcali przegryzaniu się przez Okoliczności i ich niekończące się Wyjątki, lecz od czasu do czasu pojawiały się inne ćwiczenia. W pustej sali nauczyciel wzniósł trójwymiarowy labirynt składający się z metalowych obręczy, przez które studenci mogli z dużą szybkością przesuwając w powietrzu przedmioty, by nauczyć się koncentracji i kontroli nad swą mocą. Początkowo używali kulek do gry, później stalowych kul o średnicy niewiele mniejszej niż średnica obręczy. Kiedy kula ocierała się o obręcz, pojawiały się iskry, a rzucający zakłęcie odczuwał wstrząs elektryczny.

Jeszcze później przeprowadzali przez ten labirynt świetliki, kierując małymi umysłami robaczków siłą woli. Przyglądali się w milczeniu, jak robią to koledzy, czując zazdrość wobec tych, którym się udało, i pogardę dla cudzych błędów. Reżim nastawił ich przeciwko sobie, a Janet znosiła to szczególnie fatalnie – opanowywała umysły swoich świetlików do tego stopnia, że wybuchały w powietrzu i zmieniały się w obłoczki popiołu. Majakowski z kamienną twarzą kazał jej zaczynać od początku, chociaż po policzkach płynęły jej łzy milczącej frustracji. Trwało to czasem godzinami. Nikt nie mógł wyjść z sali, póki nie skończył ćwiczenia. Niejeden raz zdarzyło im się tam

nocować.

Mijały tygodnie i nadal nikt nie przemówił. Zagłębiali się coraz bardziej w magię. Quentin nie przypuszczał, że będzie go stać na coś takiego. Ćwiczyli przemienianie. Nauczył się rozkładać na czynniki pierwsze zakłęcie, które uczyniło z nich gęsi (okazało się, że sztuka polega na pozbyciu się, przechowaniu, a potem zwróceniu różnicy w masie ciała). Spędzili przekomiczne popołudnie, przybrawszy postać niedźwiedzi polarnych – wędrowali niezgrabnie całym stadem po śniegu, walczyli na niby wielkimi żółtymi łapami ukryci w masach futra i sadła. Ciała niedźwiedzi okazały się niezgrabne i upiornie ciężkie, przewracali się co chwila na bok. Co było jeszcze zabawniejsze.

Majakowskiego nikt nie lubił, choć stało się jasne, że nie jest oszustem. Potrafił robić rzeczy, jakich Quentin nigdy nie widział w Brakebills, rzeczy, których zapewne nikt nie robił od wieków. Pewnego dnia po południu zaprezentował zakłęcie (lecz nie pozwolił im go wypróbować), które zmieniał kierunek przepływu entropii. Rozbił szklaną kulę, a potem zgrabnie odtworzył ją, jakby puszczał film do tyłu. Przekłuł balon z helem, po czym odtworzył go i napełnił tymi samymi atomami gazu, w niektórych przypadkach wyławiając je z płuc widzów. Za pomocą kamfory udusił pająka – nie okazał przy tym cienia żalu – następnie marszcząc się z wysiłku, znów go ożywił. Quentin patrzył, jak beznadziejnie oszołomione nieszczęsne stworzenie biega w kółko po stole, czyniąc chaotyczne wypadki w pustkę, a potem, kiedy Majakowski zdażył już przejść do następnego tematu, chowa się do kąta skulone i drżące.

Pewnego dnia, mniej więcej w trzecim miesiącu semestru, Majakowski oznajmił, że spędzą to popołudnie przemienieni w śnieżne lisy. Wybór wywołał zdumienie –

zmieniali się już kilka razy w różne ssaki, co nie okazało się trudniejsze niż przemiana w gęś – nikomu nie chciało się jednak protestować. Bycie lisem śnieżnym okazało się bardzo zabawne. Kiedy tylko przemiana się dokonała, Quentin rzucił się biegiem po śniegu na swych czterech szybkich łapkach. Jego lisie ciało było takie szybkie i lekkie, a oczy znajdowały się tak blisko ziemi, że czuł się, jakby pilotował wojskowy myśliwiec na niewielkiej wysokości. Małe wyrzuszenia i pęknięcia w śniegu wyglądały jak góry i rozpadliny. Przeskakiwał przez nie, obiegał je i walił się prosto w nie. Kiedy spróbował zawrócić, z powodu prędkości wpadł w poślizg i wzbił wielką chmurę śniegu. Reszta grupy radośnie zwała się na niego, popiskując i podgryzając go.

To był zaskakujący wybuch wspólnej wesołości. Quentin zapomniał, że potrafi doświadczać tego uczucia, tak jak zagubiony grotolaz ma wrażenie, że nigdy nie istniało coś takiego jak dzień, że to tylko okrutna fikcja. Ścigali się w kółko, dyszeli, tarzali się w śniegu i generalnie zachowywali jak idioci. Zabawne, pomyślał Quentin niewielkim lisim mózdzkiem, że bez problemu potrafi rozpoznać wszystkich w tej postaci. Wiedział, że Eliot to ten z wystającymi zębami, a ten gruby niebieskobiały to Josh. A mały jedwabisty z wielkimi oczami to Alice.

Gdzieś wśród tych wygłupów powstała gra. Miała coś wspólnego z przepychaniem jak najszybciej kawałka lodu łapami i nosem. Poza tym nie miała jasnych zasad, niemniej zażarcie popychali kawałek lodu albo rzucali się na tego, kto to robił, odbierali mu go i popychali sami, póki ktoś nie rzucił się z kolei na nich.

Lisy śnieżne nie mają rewelacyjnego wzroku, natomiast ich węch jest niesamowity. Quentin miał wrażenie, że to arcydzieło zmysłów. Nawet w środku awantury rozpoznawał kolegów po zapachu futra. I coraz bardziej narzucał mu się

jeden zapach. Ostry, kwaśny i nieprzyjemny, ludzie zapewne uznaliby go za smród kocich sików, lecz dla lisa był jak narkotyk. Co kilka chwil dolatywał go podczas zabawy, zmuszał, by się obracał jak ryba na haczyku.

Coś się działo z samą grą. Traciła spójność. Quentin nadal brał w niej udział, choć coraz mniej lisów grało razem z nim. Eliot zniknął wśród śnieżnych wydm. Stado zmniejszyło się do dziesięciu, potem do ośmiu lisów. Dokąd oni poszli? zastanawiał się lisi mózg Quentina. I co to za, kurwa, niewiarygodny zapach, na który co chwila natrafiał? O proszę, znowu! Tym razem wyśledził jego źródło, wsunął nos w jej futro, ponieważ oczywiście wiedział od początku, dzięki resztkom świadomości, że wyczuwa Alice.

Postępował zdecydowanie wbrew zasadom, lecz łamanie zasad okazało się równie zabawne jak ich przestrzeganie. Jak mógł tego nie zauważyć nigdy wcześniej? Inni grali coraz bardziej dziko – nie próbowali już nawet gonić za kawałkiem lodu. Gra rozpadła się na małe kłębki przepychających się lisów, a on przepychał się z Alice. Do głosu doszły lisie instynkty i hormony, przejęły pałeczkę, kierując resztką tego, co zostało z jego racjonalnego ludzkiego rozumu.

Chwycił ją zębami za grubą skórę na karku. Nie sprawił jej chyba tym bólu, a przynajmniej niełatwo go było odróżnić od rozkoszy. Działo się coś szalonego, czego nie dało się powstrzymać, choć może i by się dało, tylko skąd miał wiedzieć jak? Powstrzymywanie się należało do tych bezsensownych, niszczących życie ludzkich impulsów, dla których jego wesoly lisi rozumek żywił tylko pogardę.

Zobaczył dzikie, ciemne lisie oko Alice wybałuszone w przerażeniu, a potem przymykające się z rozkoszy. Ich szybkie płytkie oddechy materializowały się w powietrzu, mieszały ze sobą i znikwały. Jej białe futerko było równocześnie szorstkie i gładkie, Alice wydawała ciche

powarkiwania za każdym razem, kiedy wchodził w nią głębiej. Nie chciał przerywać.

Śnieg płonął pod nimi. Błyszczął żarem jak węgle. Oni także płonęli, pozwolili, by pochłonał ich ogień.

Obserwatorowi z zewnątrz śniadanie następnego dnia wydawałoby się takie samo jak zwykle. Powłócząc nogami, wszyscy przyszedli na nie w bezkształtnych białych mundurkach Brakebills Południowego, usiedli bez słowa, nie patrząc na towarzyszy, i zjedli to, co przed nimi postawiono, Quentin jednak miał wrażenie, że chodzi po Księżycu, że robi wielkie, powolne kroki w dzwoniącej ciszy próżni na oczach milionów widzów zebranych przed telewizorami. Nie śmiał spojrzeć na nikogo. Przede wszystkim na Alice.

Siedziała po drugiej stronie stołu, o trzy miejsca dalej, obojętna i nieporuszona, spokojnie skupiona na owsiance. Za żadne skarby świata nie potrafił odgadnąć, o czym teraz myśli, choć wiedział, co się dzieje w umysłach innych. Podejrzewał, że wszyscy wiedzą, co zaszło. W końcu działo się to na otwartej przestrzeni. A może wszyscy robili to samo? Czy wszyscy się parzyli? Twarz mu pałała. Nie miał pojęcia, czy Alice była dziewczyną. A jeśli tak, to czy nadal nią jest.

Czułby się znacznie lepiej, gdyby rozumiał, co to znaczy, ale nie rozumiał. Czyżby się kochał w Alice? Próbował porównać to, co do niej czuje, z zapamiętaną miłością do Julii, lecz te dwa uczucia okazały się zupełnie odmienne. Sprawy wymknęły się spod kontroli, to wszystko. Nie byli sobą, ciała należały do lisów. Nikt nie musi brać tego poważnie.

Majakowski siedział u szczytu stołu i wydawał się zadowolony z siebie. On wiedział, że to się stanie, pomyślał Quentin z furją, dziabiąc widelcem ser. Grupa młodzieńców

zamknięta na dwa miesiące w Twierdzy Samotności, po czym wtłoczona w ciała głupich jurnych zwierzaków. To oczywiste, że oszaleli.

Bez względu na to, jaką osobistą perwersyjną satysfakcję Majakowski czerpał z tego, co zaszło, w następnym tygodniu stało się jasne, że zastosował wobec nich kolejny element swojej sztuki kierowania ludźmi, ponieważ Quentin rzucił się na swe magiczne studia z niesamowitym skupieniem osoby, która za wszelką cenę chce uniknąć wzroku innych i myślenia o rzeczach faktycznie ważnych. Takich jak to, co naprawdę czuje do Alice i kto właściwie kochał się z nią na lodzie, on czy lis. Znów znalazł się w kieracie, przebijając się przez Okoliczności i Wyjątki, i tysiące mnemotechnicznych sztuczek, które miały sprawić, by jego mózg, już przesycony trywialnymi danymi, wchłonął ich jeszcze miliony w swą miękką tkanę.

Wpadli w rodzaj plemiennego transu. Zahipnotyzował ich pozbawiony barw świat Antarktydy. Ruchome śniegi na chwilę odsłoniły niski grzbiet ciemnej skały, jedyny szczegół świata wyabstrahowanego ze szczegółów. Przyglądali mu się z dachu, jakby oglądali telewizję. Quentinowi przypomniało to *Wędrującą wydmę* – Boże, nie myślał o Fillory od wieków. Zastanawiał się, czy reszta świata, jego życie przedtem było tylko jaskrawym snem. Kiedy wyobrażał sobie teraz globus, składał się on wyłącznie z Antarktydy, jakby ten monochromatyczny kontynent rozrastał się po świecie jak rak.

Robił się trochę szalony. Wszyscy robili się trochę szaleni, choć pod różnymi względami. Niektórzy zaczęli mieć obsesję na punkcie seksu. Wyższe funkcje mieli tak wyczerpane i odrętwiałe, że stali się zwierzętami desperacko pragnącymi jakiejś formy kontaktu, która nie wymagałaby słów. Improwizowane orgie były na porządku dziennym.

Quentin natrafił na nie raz czy dwa razy wieczorem – zbierali się w wyraźnie przypadkowych kombinacjach, w pustych klasach albo w jednej z sypialni, niemal anonimowi, częściowo lub całkiem rozebrani z białych piżam. Oczy mieli szkliste i znudzone, kiedy szarpali, gładzili i pompowali, zawsze w milczeniu. Raz zobaczył wśród uczestników Janet. Zdawał sobie sprawę, że robią to i dla siebie, i dla innych, ale nigdy się nie przyłączył ani nawet nie patrzył, po prostu odchodził, czując wyższość i dziwną złość. Może czuł złość po prostu dlatego, że coś go powstrzymywało od wzięcia w tym udziału. Uczuł nieproporcjonalnie wielką ulgę, że nigdy nie zobaczył w takiej sytuacji Alice.

Czas mijał, a przynajmniej Quentin wiedział teoretycznie, że musi mijać, choć osobiście nie widział na to żadnych dowodów, chyba że liczyła się dziwaczna galeria bród i wąsów, jakie zapuszczali mężczyźni, w tym także on sam. Mógł jeść nie wiadomo ile, a ciągle chudł. Stan jego umysłu zmienił się z zahipnotyzowanego w halucynacyjny. Przypadkowe drobiazgi nabierały nagle ogromnego znaczenia – okrągły kamyk, witka odłamana z miotły, ciemna plama na ścianie – które znikają kilka minut później. W klasie czasami widział fantastyczne stworzenia siedzące wśród kolegów: wielkiego, elegancko brązowego chudego owada, który przyczepił się do oparcia krzesła; ogromną jaszczurkę z rogami na skórze i niemieckim akcentem, której głowa płonęła białym płomieniem – choć później nigdy nie był pewien, czy tylko sobie tego nie wyobraził. Kiedyś myślał, że widzi człowieka z twarzą ukrytą za gałęzią. Nie potrafił znieść tego dłużej.

Po czym niespodziewanie, pewnego ranka przy śniadaniu, Majakowski oznajmił, że do końca semestru zostały tylko dwa tygodnie i czas, żeby zaczęli myśleć poważnie o egzaminie. Test będzie prosty: mają przejść z

Brakebills Południowego na biegun. Odległość wynosiła pięćset mil. Nie dostaną jedzenia ani map, ani ubrania. Będą musieli się utrzymać przy życiu dzięki magii. Nie wolno im latać – albo pójda pieszo, albo w ogóle, i to w formie ludzkiej, a nie jako niedźwiedzie czy pingwiny, czy jakieś inne zwierzę naturalnie odporne na zimno. Współpraca też jest zabroniona – mogą to uznać za wyścig, jeśli chcą. Nie ma limitu czasu. Egzamin nie jest obowiązkowy.

Dwa tygodnie to niedużo na porządne przygotowania, natomiast wystarczająco dużo na podjęcie wiszącej nad nimi decyzji. Zdawać czy nie, iść czy nie? Majakowski podkreślił, że zabezpieczenia będą minimalne. Zrobi co w jego mocy, by wiedzieć, gdzie się znajdują, lecz nie daje gwarancji, że jeśli coś spieprzą, będzie w stanie uratować ich żalodne odmrożone dupy.

Mieli masę nauki. Czy poparzenia słoneczne to będzie problem? Ślepotą śnieżną? Powinni wzmocnić podeszwy stóp czy stworzyć jakieś magiczne buty? Czy jest jakaś szansa na zdobycie baraniego sadła potrzebnego, by rzucić Owijające Ciepło Czartiszwilego? A skoro egzamin nie jest obowiązkowy, to co ma na celu? Co się stanie, jeśli nie zdadzą? Bardziej to wyglądało na rytuał czy otrzęsiny niż na egzamin.

Ostatniego ranka Quentin wstał wcześniej, wpadł bowiem na pomysł, że wykradnie składniki zaklęć z kuchni. Postanowił wziąć udział w wyścigu. Musiał się przekonać, czy potrafi to zrobić. Po prostu.

Większość kredensów okazała się zamknięta – zapewne nie on pierwszy wpadł na ten pomysł – ale udało mu się napakować kieszenie mąką i zapomnianym srebrnym widelcem oraz starymi, kielkującymi główkami czosnku, które mogły się do czegoś przydać, choć nie miał pojęcia do

czego. Ruszył na górę.

Na półpiętrze czekała na niego Alice.

– Muszę cię o coś zapytać – powiedziała, a w jej głosie pobrzmiwała determinacja. – Czy ty mnie kochasz? Jeśli nie, to nic nie szkodzi, ja po prostu chcę wiedzieć.

Prawie jej się udało, dopiero w ostatnim zdaniu głos się jej załamał i dokończyła szeptem.

Nie spojrzał jej nawet w oczy od tego popołudnia, kiedy byli lisami. Minęły co najmniej trzy tygodnie. Jak osoba, która nie strzygła się i nie myła włosów przez pięć miesięcy, może być taka piękna?

– Nie wiem – odparł. Głos miał ochryply z braku praktyki. Te słowa wydawały się straszliwsze niż zaklęcia, które rzucał. – To znaczy pewnie uważasz, że powinienem wiedzieć, tylko że ja nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Próbował mówić lekkim tonem, lecz ciało zrobiło się ciężkie. Podłoga nagle wystrzeliła w górę, choć stali na niej oboje. W owej chwili, kiedy powinien być najbardziej przytomny, nie miał pojęcia, czy kłamie, czy mówi prawdę. Spędził tu tyle czasu, tyle się nauczył, więc dlaczego nie dowiedział się tej jednej rzeczy? Zawodził ich oboje, siebie i Alice.

– W porządku – powiedziała, uśmiechając się leciutko, co naciągnęło więzadła, na których trzymało się serce Quentina. – Wcale tak nie myślałam. Bardziej ciekawiło mnie, czy skłamiesz.

Pogubił się.

– Miałem skłamać?

– W porządku, Quentin. To było miłe. To znaczy seks. Czy wiesz, że można od czasu do czasu robić miłe rzeczy?

Oszczędziła mu odpowiedzi, stając na palcach i całując go lekko w usta. Wargi miała suche i popękane, natomiast czubek języka miękki i ciepły. Sprawiał wrażenie ostatniej ciepłej rzeczy na świecie.

– Spróbuj nie zginać – powiedziała.

Poklepała go po szorstkim policzku i zniknęła na dole w porannym mroku.

Po tym przejściu egzamin wydawał się niemal przyjemnością. Wypuszczono ich osobno na lód w takiej odległości od siebie, żeby nie mogli współpracować. Najpierw Majakowski kazał się Quentinowi rozebrać – żegnaj, mąko i czosnku, i pogięty widelcu – i wyjść nago poza granicę ochronnych zaklęć, które utrzymywały w Brakebills Południowym znośną temperaturę. Kiedy Quentin przeszedł przez niewidzialną granicę, chłód uderzył go najpierw w twarz i okazał się po prostu niewiarygodny. Całe jego ciało spięło się gwałtownie. Miał wrażenie, że wpadł w płonącą naftę. Powietrze uszło mu z płuc. Skulił się, schował dłonie pod pachy.

– Szerokiej drogi! – zawołał Majakowski. Rzucił mu plastikową torebkę pełną czegoś szarego i tłustego. Barani tłuszcz. – *Bog s wami.*

Niech będzie. Quentin wiedział, że ma tylko kilka sekund, nim jego palce zrobią się zbyt zgrabiałe, by czarować. Rozerwał torebkę, wsadził do niej ręce i wyjąkał zaklęcie Owijającego Ciepła Czartiszwilego. Potem zrobiło się łatwiej. Nakładał kolejne warstwy czarów: ochrona przed wiatrem i słońcem, szybkość, mocne nogi, stwardniałe stopy. Rzucił zaklęcie nawigacyjne i na białym niebie pojawił się wielki złocisty, świecący kompas, który tylko on mógł widzieć.

Znał teorię stojącą za tymi zaklęciami, nigdy natomiast nie miał okazji wypróbować ich razem, w pełnej mocy. Czuł się jak superbohater. Jak twór bioniczny. Wchodził do gry.

Zwrócił się w kierunku oznaczonym S na kompasie i ruszył truchtem w stronę horyzontu, okrążając budynek, który właśnie opuścił. Nagie stopy wzbijały śniegowy pył.

Dzięki zaklęciom mocy jego uda pracowały jak pneumatyczne tłoki. Łydki miał niczym stalowe sprężyny, a stopy równie twarde i niewrażliwe jak podkowy z kevlaru.

Później nie pamiętał prawie nic z następnego tygodnia. Emocje znikły, wszystko zostało zredukowane do kwestii technicznych: do problemu zarządzania zasobami, odżywiania się i podtrzymywania słabego płomyka świadomości tłącego się w jego ciele, choć cała Antarktyda próbowała odebrać mu ciepło i cukier, i wodę, które utrzymywały go przy życiu.

Sypiał płytko i bardzo niewiele. Jego mocz nabrał bursztynowego koloru, a potem w ogóle przestał sikać. Wokół panowała nieprzejeżdżana monotonia. Z każdego niewielkiego wzniesienia rozciągał się widok złożony z identycznych elementów niekończącego się regresu. Myśli Quentina krążyły w kółko. Stracił rachubę czasu. Śpiewał dżingiel z reklamówki parówek Oscar Mayer i piosenkę z *Simpsonów*. Rozmawiał z Jamesem i Julią. Czasami mylił Jamesa z Martinem Chatwinem, a Julię z Jane. Tłuszcz wytapiał się z jego ciała. Żebra zaczęły mu sterczeć, próbowały się przebić przez skórę. Musiał być uważniejszy. Nie miał wielkiego marginesu na błędy. Zastosował zaklęcia tak silne i wytrzymałe, że żyły własnym życiem. Gdyby zginął, jego ciało zapewne biegłoby dalej w stronę bieguna.

Raz czy dwa razy dziennie, czasami częściej, pod jego stopami otwierała się niebieska rozpadlina i musiał ją albo obchodzić, albo przesadzać susem wspomaganym magią. Kiedyś wpadł do jednej z nich, poleciał dwanaście metrów w dół w błękitny mrok. Zaklęcia ochronne spowijały jego blade nagie ciało tak grubą warstwą, że ledwie to zauważył. Powoli się zatrzymał zaklinowany między dwiema szorstkimi ścianami lodu, a potem wyszedł stamtąd niczym robot polarny Lorax i biegł dalej.

Choć jego siły fizyczne się wyczerpywały, polegał na

niespożytej energii magicznej, jaką dał mu pobyt u profesora Majakowskiego. Kiedy udało mu się rzucić zaklęcie, nie miał już wrażenia, że to fuks. Światy rzeczywistości magicznej i fizycznej stały się teraz dla niego równie realne i równie obecne. Rzucał proste zaklęcia, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Sięgał do tkwiącej w nim magicznej mocy tak naturalnie, jakby sięgał po sól na stole. Posiadł nawet zdolność do lekkiego improwizowania, odgadywania magicznych Okoliczności, choć nie opanował ich pamięciowo. Skutki tego były prawdziwie zaskakujące: magia przestała być czymś przypadkowym, miała kształt – fraktalny chaotyczny kształt, który jego umysłowe palce, poruszając się po omacku, zaczęły odnajdować.

Wspominał wykład, który Majakowski wygłosił kilka tygodni wcześniej, a na który nie zwrócił wówczas większej uwagi. Teraz jednak, kiedy biegł bez końca na południe przez zamarzniete popękane równiny, wykład odtworzył mu się w pamięci niemal słowo w słowo.

– Nie lubicie mnie – zaczął Majakowski. – Macie dość mojego widoku, skraelingowie. – Tak ich właśnie nazywał, skraelingowie. Podobno w języku wikingów to słowo oznaczało „hultajów”. – Jeśli macie mnie wysłuchać tylko raz w życiu, niech to będzie teraz. Kiedy osiągniecie pewien poziom umiejętności w rzucaniu zaklęć, zaczniecie swobodnie manipulować rzeczywistością. Nie wszyscy. Myślę, że na przykład Dale nie przekroczy tego Rubikonu. Jednak dla niektórych z was pewnego dnia zaklęcia staną się czymś bardzo łatwym, niemal automatycznym, wymagającym bardzo niewielkiego świadomego wysiłku.

– Kiedy nadejdzie ta zmiana, proszę was tylko o jedno: żebyście zdawali sobie z tego sprawę i zachowali ostrożność. Gdyż u prawdziwych czarodziejów nie istnieje jasno wytyczona granica między tym, co znajduje się w ich umyśle, a tym, co jest na zewnątrz. Jeśli czegoś

zapragniecie, to się stanie. Jeśli będziecie czymś pogardzać, zniszczycie to. Mistrz magii nie różni się pod tym względem jakoś zasadniczo od dziecka czy szaleńca. Trzeba mieć bardzo poukładane w głowie i dysponować bardzo silną wolą, żeby umieć egzystować, kiedy już osiągniecie ten stan. Bardzo szybko się przekonacie, czy posiadacie tę jasność umysłu i tę siłę.

Przez chwilę Majakowski patrzył na ich milczące twarze z nieukrywanym obrzydzeniem, a potem zszedł z katedry.

– Starość – wymamrotał do siebie. – Marnuje się u młodych. Tak jak młodość.

Kiedy wreszcie zapadła noc, gwiazdy płonęły jasno nad głową Quentina. Biegł z podniesioną głową, unosząc wysoko kolana, nie czując nic od pasa w dół, cudownie odizolowany, zatracony w tym przepięknym spektaklu. Stał się niczym, biegnącą zjawą, drobiną ciepłego ciała w milczącym wszechświecie nocnego mrozu.

Raz na kilka minut mrok zakłócało migotanie na horyzoncie. Quentin uświadomił sobie, że to musi być inny student, inny skraeling poruszający się równoległym torem, lecz dużo bardziej na wschód, przynajmniej trzydzieści, czterdzieści kilometrów od niego. Pomyślał o zmianie kursu, nawiązaniu kontaktu. Tylko szczerze powiedziawszy, po co? Czy miał zaryzykować oblanie egzaminu wyłącznie po to, żeby powiedzieć „cześć”? Co on, zjawą, drobiną ciepłego ciała, ma wspólnego z innymi?

Ktokolwiek to jest, pomyślał obojętnie, używa innych zaklęć niż ja. Z tej odległości nie potrafił rozpoznać magii, lecz rzucała bardzo wiele różowo-białego światła.

Nieefektywne, pomyślał. Nieceleganckie.

Kiedy słońce wstało, znów stracił z oczu drugiego studenta.

Po jakimś niemierzalnym czasie Quentin mrugnął.

Utracił nawyk zamykania chronionych magią oczu, ale teraz coś go martwiło. Kwestia robiła się niepokojąca, ledwie jednak potrafił świadomie i spójnie sformułować powód. W jego polu widzenia pojawiła się ciemna plama.

Krajobraz, jeśli to możliwe, zrobił się jeszcze bardziej monotony. Daleko za nim pozostały miejsca, gdzie śnieg kalaly fragmenty ciemnych zamarzniętych skał. Raz minął coś, co musiało być meteorytem – wbity w śnieg kawałek czegoś czarnego, jak zagubiony kawałek węgla. Tylko że to było dawno temu.

Czuł się wyczerpany. Od wielu dni nie spał, jego mózg stał się maszyną do nadzorowania zakłęb i poruszania stopami, niczym więcej. Kiedy jednak sprawdzał, czy nie powstała jakaś anomalia, coś niedobrego zaczęło się dzieć z kompasem. Wskazówka poruszała się bezładnie, wydawała się zniekształcona. Na tarczy N zaczęło rosnać, puchnąć. Zajmowało pięć szóstych koła, a inne kierunki niemal zniknęły. Za to S, za którym miał podążać, skurczyło się, wyglądało jak maleńki robaczek w mikroskopijnym bursztynie.

Czarna plama, wyższa niż szersza, podskakiwała w rytm jego kroków. Tak mogło się dzieć tylko z obiektem zewnętrznym, czyli mógł wykluczyć uszkodzenie siatkówki. A poza tym stawała się coraz większa. W końcu Quentin zrozumiał – to profesor Majakowski stojący samotnie w pudrowej białej nicości z kocem w ręku. Czyli to biegun. Quentin kompletnie zapomniał, dokąd biegnie i dlaczego.

Kiedy zbliżył się dostatecznie, Majakowski go złapał. Sapnął, owijając go ciężkim drapiącym kocem, i pchnął na ziemię. Quentin poruszał nogami jeszcze przez kilka sekund, potem znieruchomiał na boku, dysząc i podrygując jak wyciągnięta z wody ryba. Po raz pierwszy od dziewięciu dni przestał biec. Niebo kręciło się w kółko. Zwymiotował.

Majakowski stał nad nim.

– *Mołodiec*, Quentin. Dobry człowiek. Dobry człowiek. Udało ci się. Wracasz do domu.

Coś dziwnego stało się z głosem Majakowskiego. Zniknęło z niego szyderstwo, przenikała go emocja. Uśmiech odkrył na chwilę poźółkłe zęby. Na policzkach miał ostry zarost. Jedną ręką poderwał Quentina na nogi, drugą wykreślił w powietrzu zawijasy i nagle pojawił się portal. Bezceremonialnie wepchnął w niego Quentina.

Quentin zachwiał się, a potem wpadł w psychodeliczny natłok zieleni, która zaatakowała go tak gwałtownie, że początkowo nie rozpoznał, że znajduje się na tylnym tarasie Brakebills w gorący letni dzień. Po pustce antarktycznego lodu kampus wydał mu się halucynogennym wirem dźwięków, kolorów i ciepła. Zacisnął z całych sił powieki. Wrócił do domu.

Przewrócił się na plecy na gorących gładkich kamieniach. Ptaki śpiewały ogłuszająco głośno. Otworzył oczy. Ujrzał widok jeszcze dziwniejszy niż drzewa i trawa. Przez portal widział nadal wysokiego zgarbionego czarodzieja stojącego na Antarktydzie. Wokół niego unosił się śnieg. Kilka zabłąkanych drobinek przeleciało przez portal i wyparowało w słońcu. Wyglądało to jak obraz namalowany w owalnym panelu i zawieszony w powietrzu. Magiczne okno już się zamykało. Pewnie profesor się szykuje do powrotu do swej pustej polarnej bazy, pomyślał Quentin. Pomachał ręką, ale Majakowski na niego nie patrzył. Patrzył na Labirynt i resztę kampusu Brakebills. Wyraz nagiej tęsknoty na jego twarzy był tak bolesny, że Quentin odwrócił wzrok.

Portal się zamknął. Już po wszystkim. W Brakebills mieli właśnie koniec maja, a pełne pyłków powietrze było gorące w smaku i gęste jak zupa po rozrzedzonej atmosferze Antarktydy. Sytuacja bardzo przypominała jego pierwszy dzień w Brakebills, kiedy zjawił się tu wprost z zimnego

popołudnia w Brooklynie. Słońce paliło. Kichnął.

Czekali na niego wszyscy czy może prawie wszyscy. Przynajmniej Eliot, Josh i Janet w starych szkolnych mundurkach, grubi i szczęśliwi, i odprężeni, i wypoczęci, jakby przez ostatnie sześć miesięcy nie robili nic, tylko siedzieli na tyłkach i zajadali się zapiekankami z serem.

– Witaj z powrotem – powiedział Eliot. Jadł żółtą gruszkę. – Uprzedzili nas dziesięć minut temu, że możesz się zaraz zjawić.

– Rany. – Oczy Josha zrobiły się zupełnie okrągłe. – Facet, ależ schudłeś. Czarodziej potrzebuje masę żarcia. I może prysznic.

Quentin wiedział, że ledwie minuta czy dwie dziela go od chwili, kiedy wybuchnie płaczem i zemdleje. Nadał miał na ramionach szorstki wełniany koc Majakowskiego. Spojrzał na swoje blade zmarznięte stopy. Nie wyglądały na odmrożone, choć jeden palec sterczał pod dziwnym kątem. Jeszcze nie bolał.

Było mu niewiarygodnie, szalenie dobrze leżeć tak na plecach na gorących kamieniach tarasu, kiedy inni patrzyli na niego z góry. Wiedział, że zapewne powinien wstać, choćby ze względu na maniery, jeśli już nie z innych powodów, ale nie miał ochoty się ruszyć. Pomyślał, że może zostanie tu jeszcze chwilę. Zasłużył sobie na odpoczynek.

– Wszystko w porządku? – spytał Josh. – Jak było?

– Alice ci przykopała – poinformowała go Janet. – Wróciła dwa dni temu. Już pojechała do domu.

– Szedłeś półtora tygodnia – wyjaśnił Eliot. – Martwiliśmy się o ciebie.

Dlaczego ciągle gadają? Dlaczego nie może patrzeć na nich w ciszy? Tylko patrzeć i słuchać śpiewu ptaków, i czuć ciepłe kamienie pod plecami. I może ktoś mógłby mu podać szklankę wody, bo straszliwie chciało mu się pić. Spróbował wyrazić tę ostatnią myśl, jednak gardło miał tak

wyschnięte, że wydał jedynie ciche skrzypienie.

– Och, on chyba pyta o nas – powiedziała Janet. Ugryzła gruszkę Eliota. – No wiesz, nikt się na to nie zdecydował prócz was dwojga. Uważasz nas za idiotów?

ALICE

Quentin nie spędził tego lata w Brooklynie, ponieważ jego rodzice już tam nie mieszkali. Nagle i nie konsultując się z nim, sprzedali za olbrzymią sumę swój dom na Park Slope i postanowili zostać rentierami w pseudokolonialnej McMansion w Chesterton, spokojnym przedmieściu Bostonu. Tu matka Quentina mogła malować na cały etat, a jego ojciec robić Bóg wie co.

Szok spowodowany wyrwaniem z miejsca, gdzie dorastał, był tym większy, że nie nadszedł. Quentin szukał w sobie tego czegoś, co powinno tęsknić za dawnym otoczeniem, ale nic nie znalazł. Przypuszczał, że wraz z dawnym życiem musiał zarzucić i dawną tożsamość, nawet o tym nie wiedząc. To sprawiło, że cięcie okazało się czyste, dużo bardziej ostateczne. Łatwiejsze do zniesienia. Choć jego rodzice nie zdecydowali się na ten krok z uprzejmości czy z powodów innych niż finansowe.

Dom w Chesterton był żółty z zielonymi okiennicami i stał na akrze tak agresywnie rozplanowanego ogrodu, że wyglądał jak wirtualna prezentacja samego siebie. Budynek wzniesiono i wykończono mniej więcej w stylu kolonialnym. Rozrastał się we wszystkich kierunkach mackami dodatkowych skrzydeł i dachów tak bardzo, że sprawiał wrażenie nadmuchanego, a nie zbudowanego. Ogromne betonowe wyloty klimatyzacji szumiały na zewnątrz dzień i noc. Quentin miał wrażenie, że jest tu jeszcze bardziej nierealnie niż zwykle w realnym świecie.

Kiedy wrócił do domu na letnie wakacje – w Brakebills panowało lato, w reszcie świata nastał wrzesień – rodziców przeraziła jego chudość, puste zaszokowane oczy, zachowanie świadczące o udęce. Na szczęście ich ciekawość w odniesieniu do niego jak zwykle przybrała tak

łagodną formę, że łatwo dało się nią manipulować. Poza tym zaczął szybko przybierać na wadze dzięki ich ogromnej, zawsze pełnej podmiejskiej lodówce.

Początkowo czuł ulgę choćby z tego powodu, że cały czas jest mu ciepło i może codziennie spać, że Majakowski nie dręczy go Okolicznościami i że nie ma tego bezlitosnego białego zimowego światła. Jednakże po siedemdziesięciu dwóch godzinach zaczął się nudzić. Na Antarktydzie fantazjował o tym, że podczas wakacji nie będzie miał nic do roboty oprócz leżenia w łóżku i spania, i patrzenia w przestrzeń, natomiast teraz, kiedy nadeszły te puste godziny, znudziły mu się zaskakująco szybko. Długotrwała cisza w Brakebills Południowym sprawiła, że denerwowały go bezprzedmiotowe rozmowy. Nie interesowała go telewizja – miał wrażenie, że to elektroniczne przedstawienie kukielkowe, sztuczna wersja świata, która nie ma nic wspólnego z oryginałem. Liczyło się tylko prawdziwe życie – czy też życie fantastyczne, cokolwiek tak naprawdę odbywało się w Brakebills – a ono toczyło się gdzie indziej.

Jak zwykle kiedy utykał w domu, wrócił do Fillory. Obwoluty książek z lat siedemdziesiątych wydawały mu się starsze za każdym razem, gdy je widział: psychodeliczne kolory rodem z *Yellow Submarine*. Od dwóch tomów zupełnie odpadły okładki, wetknięte obecnie między kartki. Natomiast świat w książkach pozostał równie świeży i żywy jak zawsze, nie wyblakł z czasem i nie zrobił się śmieszny. Quentin nigdy wcześniej tak naprawdę nie doceniał maestrii drugiego tomu cyklu, *Dziewczynki*, która przepowiadała czas, w którym Rupert i Helen zostają nagle porwani do Fillory prosto z szanowanych szkół z internatem. Tylko w tej części Chatwinowie przybywają tam w zimie, nie w lecie. Ładują we wcześniejszym czasie, który nakłada się na akcję pierwszej książki. Rupert podąża śladami Martina i Helen – tej wcześniejszej wersji Helen –

którzy ponownie, słowo w słowo, przeżywają akcję *Świata w ścianach*. Trzyma się tuż poza zasięgiem ich wzroku, podrzucając im wskazówki i pomagając im bez ich wiedzy (tajemnicza postać znana jako Leśny okazała się Rupertem w przebraniu). Quentin zastanawiał się czasami, czy przypadkiem Plover nie napisał *Dziewczynki, która przepowiadała czas* tylko po to, żeby naprawić wszystkie dziury w akcji *Świata w ścianach*.

Tymczasem Helen wyrusza na polowanie na tajemniczą Ujadającą Bestię. Według legendy nie można jej było złapać, ale gdybyś – wbrew logice – jednak ją złapał, ofiaruje ci wszystko, czego pragnie twoje serce. Pogoń odbywa się w trudnym terenie, który w jakiś sposób przeplata się z zaklętym arrasem w bibliotece Zamku Białoszczytego. Tylko czasami Helen udaje się dostrzec Bestię wyglądającą wstydliwie zza haftowanego krzaka, a potem niknącą w oddali ze stukotem kopytek.

Na końcu, jak zwykle, zjawiają się bliźniacze barany Ember i Umer, niczym para złowieszczych trawożernych konstabli. Oczywiście należą do tych dobrych, lecz ich zwierzchność nad Fillory ma w sobie coś orwellowskiego: wiedzą o wszystkim, co się dzieje, a ich moc nie ma wyraźnych granic, rzadko się jednak zniżają do interwencji po stronie stworzeń, którymi się opiekują. Głównie tylko napominają tych, którzy narobili kłopotów – przy czym jeden kończy zdanie drugiego – każą wszystkim odnawiać przysięgę wierności, po czym odchodzą paść się na polu jakiegoś nieszczęsnego farmera. Tym razem też stanowczo odstawiają Ruperta i Helen do prawdziwego świata: z powrotem do wilgotnych, zimnych, wykładanych ciemną boazerią korytarzy szkół z internatem. Zupełnie jakby nigdy ich nie opuścili.

Quentin przedarł się nawet przez *Wędrującą wydmy*, piątą i ostatnią książkę cyklu (przynajmniej dla wszystkich

prócz niego), która nie należała do jego ulubionych. Była o połowę dłuższa od innych tomów, a główne role odgrywały w niej Helen i najmłodsza z Chatwinów, bystra, zamknięta w sobie Jane. Ton *Wędrującej wydmy* nie przypominał poprzednich części: po dwóch tomach bezskutecznych poszukiwań zaginionego brata, Martina, wesoła angielska niezłomność Chatwinów ustępuje miejsca smętnemu nastrojowi. Znalazłszy się w Fillory, dziewczęta napotykają tajemniczą wydmy z piasku, która wędruje sama przez królestwo. Wspinają się na nią i zostają zaniezione przez zielone Fillory na senną pustynię na dalekim południu, gdzie zostają do końca książki.

Prawie nic się nie dzieje. Jane i Helen wypełniają stronice niekończącymi się rozmowami o dobru i złu, i o chrześcijańskiej metafizyce w wydaniu nastolatek, i o tym, czy ich prawdziwym przeznaczeniem jest ziemski świat czy Fillory. Jane bardzo się martwi o Martina, choć zarazem, podobnie jak Quentin, jest nieco zazdrosna: Martin najwyraźniej odszukał lukę w żelaznym prawie zakazującym Chatwinom pozostania w Fillory na zawsze. Albo może to luka odszukała jego. Udało mu się, żywemu czy martwemu, nie wrócić po wygaśnięciu turystycznej wizy.

Helen, która ma skłonność do połajanek, jest zła na brata – uważa, że ukrywa się on w Fillory, żeby nie wracać do domu. Jest jak dziecko, które nie chce opuścić placu zabaw albo iść spać. Dlaczego nie może dorosnąć i stawić czoła prawdziwemu światu? Helen uważa, że jest samolubny, że sobie pobłaża, że jest „największym dzieciakiem z nas wszystkich”.

W końcu siostry dostają się na majestatyczny zagłowiec, który przewozi je przez piaski, jak przez morze. Załoga składa się z króliczków, które byłyby słodziutki (ci, którzy nie znoszą *Wędrującej wydmy*, zawsze je porównują do Ewoków z *Powrotu Jedi*), gdyby nie ich uparte

przywiązanie do technicznych aspektów sterowania skomplikowanym statkiem.

Króliczki na odchodnym obdarowują Jane i Helen kompletem magicznych guzików, za pomocą których mogą się przenosić między ziemskim światem a Fillory, kiedy tylko zechcą. Wróciwszy do Anglii, Helen w przyływie nadmiernej wiary we własną nieomyślność chowa guziki i nie chce powiedzieć Jane, gdzie one są. Jane przeklina ją we własnym języku i przewraca cały dom do góry nogami, ale nie znajduje guzików i w ten niesatysfakcjonujący sposób kończy się ostania z pięciu książek cyklu.

Nawet gdyby to nie był ostatni tom, Quentin nie bardzo potrafił sobie wyobrazić, co Plover mógłby opisać w *Czarodziejach*. Przede wszystkim skończyli mu się Chatwinowie. W książkach zawsze występowali parami: jedno starsze, które pojawiało się w poprzedniej części, i jedno nowe, młodsze. Ale śliczna ciemnowłosa Jane była najmłodsza. Czy miała wrócić do Fillory sama? To by stanowiło złamanie wzorca.

Po drugie, w każdym tomie większość zabawy polegała na poszukiwaniu przez Chatwinów wejścia do Fillory, tych magicznych drzwi, które otwierały się dla nich i tylko dla nich. Wiedziałaś, że się otworzą, a i tak zawsze czułeś zaskoczenie, kiedy to się wreszcie działo. Tymczasem mając magiczne guziki, mogli się tam zjawiać, kiedy tylko chcieli. Gdzie w tym cud? Może właśnie dlatego Helen je ukryła. Równie dobrze mogliby sobie zbudować autostradę do Fillory.

Rozmowy Quentina z rodzicami były tak powtarzalne i tak pozbawione znaczenia, że brzmiały jak rodem z teatru eksperymentalnego. Rankami leżał w łóżku, póki mógł wytrzymać, nie chcąc jeść z nimi śniadania, ale zawsze go przeczekali. Nie mógł wygrać: mieli do roboty jeszcze mniej

niż on. Czasami się zastanawiał, czy to jakaś perwersyjna gra, której on nie rozumie.

Schodził na dół i zastawał ich siedzących za stołem zaśmieconym okruchami chleba i skórkami mandarynek, zastawionym miseczkami na płatki. Udając zainteresowanie „Chesterton Chestnut”, gwałtownie szukał w myślach jakiegoś choćby trochę wiarygodnego tematu do rozmowy.

– No więc nadal macie zamiar pojechać do Ameryki Południowej?

– Do Ameryki Południowej? – Ojciec podniósł wzrok zaskoczony, jakby zapomniał, że Quentin tu jest.

– Nie mieliście jechać do Ameryki Południowej?

Rodzice wymienili spojrzenia.

– Do Hiszpanii. Jedziemy do Hiszpanii i Portugalii.

– Och, do Portugalii, racja. Nie wiem, dlaczego myślałem, że do Peru.

– Do Hiszpanii i Portugalii. To dla twojej matki. Wymiana artystów z uniwersytetem w Lizbonie. Potem udamy się w rejs po Tygrysie.

– Po Tagu, kochanie – skorygowała matka Quentina, zanosząc się przenikliwym śmiechem typu „wyszłam za mąż za idiotę”. – Po Tagu. Tygrys jest w Iraku.

Dużymi prostymi zębami ugryzła słodkiego tosta.

– Nie sędzę, żeby w najbliższym czasie organizowali wycieczki statkiem po Tygrysie. – Ojciec Quentina też roześmiał się głośno, jakby to było zabawne, po czym zamyślił się. – Kochanie, czy pamiętasz ten tydzień, który spędziliśmy na statku na Wołdze... ?

Tu nastąpiły długie wspomnienia z wycieczki do Rosji, dialog przerywany wymownymi pauzami – Quentin zinterpretował je jako aluzje do zachowań seksualnych, o których nie chciał nic wiedzieć. Ta jedna rozmowa wystarczyła, żeby zazdrościć Chatwinom, którzy mieli ojca w wojsku, a matkę w zakładzie dla obłąkanych. Majakowski

wiedziałyby, co zrobić w takiej sytuacji. On by ich uciszył. Quentin zastanawiał się, czy to trudne zakłęcie.

Co rano mniej więcej o jedenastej osiągał granicę własnej wytrzymałości i uciekał z domu do relatywnie bezpiecznego, zielonego i zadowolonego z siebie Chesterton, który uparcie odmawiał roztoczenia przed nim chociaż cienia tajemniczości czy intrygi. Nie nauczył się dotąd prowadzić samochodu, więc jeździł do centrum na białym rowerze ojca. Rower pochodził z lat siedemdziesiątych i ważył chyba z tonę. Z powodu szacunku dla wspaniałej kolonialnej przeszłości w miasteczku obowiązywały drakońskie prawa utrzymujące wszystko w stanie permanentnej nienaturalnej staroświeckości.

Nie znając nikogo i nie interesując się niczym, Quentin zwiedził drewnianą rezydencję o niskich sufitach należąca do jakiegoś luminarza rewolucji. Obejrzał pudełkowaty, pomalowany na białło kościół unitarian pochodzący z 1766 roku. Obejrzał bujne płaskie trawniki, gdzie nieregularna armia kolonistów stanęła naprzeciwko doskonale wyszkolonej i świetnie uzbrojonej armii brytyjskiej z łatwym do przewidzenia wynikiem. Za kościołem odkrył przyjemną niespodziankę: śliczny, niemal niewidoczny siedemnastowieczny cmentarz, kwadratowy kawałek ziemi porośniętej ultrazieloną trawą poplamioną wilgotnymi liśćmi wiązu w kolorze szafranu, otoczony pochylonym metalowym ogrodzeniem. W środku było chłodno i cicho.

Nagrobki zdobiły czaszki i fatalnie świątobliwe czterowersze, opiewające całe rodziny skoszone przez zarazę, miejscami tak zniszczone, że zupełnie nieczytelne. Quentin przykucnął na mokrej trawie, żeby rozszyfrować jeden bardzo stary prostokąt z niebieskiego łupku, który pękł na pół i zatonął w zieleni wznoszącej się nad nim jak fala.

– Quentin.

Wyprostował się. Przez bramę cmentarza weszła dziewczyna mniej więcej w jego wieku.

– Cześć... – powiedział ostrożnie. Skąd znała jego imię?

– Pewnie nie sądziłeś, że cię odszukam – powiedziała niepewnie. – Chyba o tym nie pomyślałeś.

Podeszła do niego. W ostatnim momencie, za późno, żeby jakoś zareagować, uświadomił sobie, że wcale nie zamierza się zatrzymać. Nie zwalniając kroku, złapała go za kurtkę na piersi i przepchnęła tyłem, potykającego się o niskie nagrobki, prosto pod pachnące gałęzie cyprysu. Jej twarz, która znalazła się niebezpiecznie blisko, była prawdziwą maską wściekłości. Przez całe popołudnie co chwila padało, z igieł cyprysu kapiała woda.

Chciał się wyrwać, lecz zapanował nad sobą. Przecież nie będzie się bił z dziewczyną na cmentarzu.

– No już – powiedział. – Przestań. No już.

– Przyszłam – powiedziała, z trudem nad sobą panując.

– Przyszłam i teraz porozmawiamy. Załatwisz to ze mną.

Teraz, kiedy miał czas się jej przyjrzeć, stwierdził, że jest praktycznie pokryta wszelkimi możliwymi znakami ostrzegawczymi. Całe jej ciało krzyczało o niezrównoważeniu. Była zbyt blada i zbyt chuda, miała dziki wzrok i przyklepane do czaszki długie brudne włosy. Nosila nieporządny strój gotki – ramiona owinęła czymś, co wyglądało jak czarna taśma izolacyjna. Na jej dłoniach widniały zaschnięte zadrapania.

Ledwie ją rozpoznał.

– Ja tam byłam i ty też – powiedziała Julia, świdrując go wzrokiem. – Prawda? W tamtym miejscu. W tej szkole. Dostałeś się do niej, tak?

Wtedy zrozumiał. Czyli jednak widział ją na egzaminach, nie pomylił się. Tyle że nie zdała. Odrzucili ją na pierwszym etapie, podczas pisemnego testu.

Coś tu jednak nie grało. Nie powinna niczego pamiętać,

istniały przecież zabezpieczenia. Nauczyciele modyfikowali pamięć wszystkich, którzy przewalili egzamin, i wyposażali ich w wiarygodne alibi. Klóciło się to nieco z etyką, ale cel był słuszny, a zakłęcia humanitarne. Tyle że w jej przypadku nie zadziałały albo zadziałały nie do końca.

– Julio... – powiedział. Ich twarze znajdowały się bardzo blisko siebie. Czuł w jej oddechu nikotynę. – Julio, co ty tu robisz?

– Nie udawaj przede mną, nie waż się udawać! Dostałeś się do tej szkoły, prawda? Do szkoły magii?

Quentin zachował pokerową twarz. To podstawowa zasada obowiązująca w Brakebills: nie rozmawiać o szkole z ludźmi z zewnątrz. Mógł za to wylecieć. No ale skoro Fogg schrzanił zakłęcia, nie jego wina. Chodziło przecież o Julię. Jej śliczna piegowata twarz, przysunięta tak blisko jego twarzy, wydawała się dużo starsza. Cerę Julia miała w plamy. Cierpiała.

– No tak – powiedział. – Jasne, dostałem się.

– Wiedziałam! – krzyknęła piskliwie. Tupnęła nogą w trawę cmentarza. Z tej reakcji wyczytał, że przynajmniej częściowo blefowała. – Wiedziałam, że to było naprawdę, wiedziałam – powtarzała bardziej do siebie niż do niego. – Wiedziałam, że to mi się nie śniło! – Pochyliła się, ukryła twarz w dłoniach i z jej piersi wydarł się jeden konwulsyjny szloch.

Quentin odetchnął głęboko. Poprawił kurtkę.

– Posłuchaj – rzekł łagodnie. Nadal trwała pochylona, więc również się pochylił i położył jej rękę na plecach. – Julio, nie powinnaś tego pamiętać. Mieli sprawić, że o wszystkim zapomnisz, jeśli się nie dostaniesz.

– Powinna się dostać! – Wyprostowała się. Jej zaczerwienione oczy błyszczały niczym zimny kryształ prawdziwego szaleństwa. – Miałam się dostać. Wiem, że miałam. To pomyłka. Uwierz mi, pomyłka. – Jej wielkie oczy

dosłownie wwiercały się w niego. – Jestem taka jak ty, potrafię naprawdę czarować. Jestem taka jak ty. Widzisz? To dlatego nie udało im się sprawić, żebym zapomniała!

Quentin widział. Widział wszystko. Nic dziwnego, że zachowywała się tak dziwnie, kiedy się spotkali zeszłym razem. To jedno spojrzenie na świat ukryty poza realnym światem całkowicie wybiło ją z rytmu. Nie mogła odpuścić. Brakebills ją zniszczyło.

Był taki czas, kiedy zrobiłby dla niej wszystko. Nadal by zrobił, tylko po prostu nie wiedział co. Dlaczego czuł się taki winny? Odetchnął głęboko.

– To tak nie działa. Nawet jeśli naprawdę potrafisz czarować, nie czyni cię to bardziej odporną na zaklęcia niż inni.

Patrzyła na niego łapczywie. Wszystko co mówił, potwierdzało to, w co chciała wierzyć: że magia jest prawdziwa. Cofnął się, żeby powstała między nimi luka w przestrzeni, lecz chwyciła go za rękaw.

– Och, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie – powiedziała z kruchym uśmiechem. – Quen, proszę. Poczekaj. Nie. Musisz mi pomóc. Dlatego przyjechałam.

Ufarbowała włosy na czarno. Wyglądały na suche, spalone.

– Julio, bardzo chcę ci pomóc. Po prostu nie wiem jak.

– Popatrz. Tylko popatrz.

Puściła niechętnie jego rękaw, jakby się spodziewała, że Quentin zniknie albo ucieknie, jeśli to zrobi. Niesamowite, ale wykonała w zasadzie poprawną wersję prostego baskijskiego zaklęcia optycznego nazywanego Pryzmatycznym Rozbiciem Ugarte'a.

Musiała je znaleźć w sieci. W Internecie krążyło trochę prawdziwych informacji o magii, choć tonęły w takim morzu bzdur, że nikt nie potrafił ich wyekstrahować, a co dopiero użyć. Quentin znalazł nawet na eBayu marynarkę z

Brakebills. Zdarzało się – bardzo rzadko, niemniej się zdarzało – że cywil opanował samodzielnie jedno czy dwa zaklęcia, lecz według rozeznania Quentina nigdy nie chodziło o nic poważnego. Prawdziwi magowie przezywali takich ludzi niedzielnymi czarodziejami. Kilku z nich zrobiło karierę na scenie jako iluzjoniści albo zbudowało wokół siebie kult, wabiąc wyznawców: wiccan, satanistów czy zdziwaczałych chrześcijan.

Julia z teatralnym patosem wypowiedziała słowa zaklęcia, jakby występowała w amatorskim przedstawieniu Szekspira. Nie miała pojęcia, co robi. Quentin spojrział nerwowo na drzwi kościoła.

– Patrz! – Uniosła buntowniczo rękę. Zaklęcie zadziało, przynajmniej w pewnym sensie. Jej ogryzione paznokcie pozostawiły w powietrzu słabe tęczowe ślady. Pomachała nimi, czyniąc mistyczne gesty, jak w nowoczesnym balecie. Pryzmatyczne Rozbicie Ugarte’a było całkowicie bezużytecznym zaklęciem. Quentin poczuł, że ściska mu się serce, kiedy pomyślał, ile miesięcy, jeśli nie lat musiało jej zająć jego opanowanie.

– Widzisz? – spytała bliska łez. – Też to widzisz, prawda? Nie jest dla mnie za późno. Nie wrócę do college’u. Powiedz im. Powiedz im, że nadal mogę się tam uczyć.

– Czy James wie?

Potrząsnęła gwałtownie głową.

– Nie rozumiałby. Już się z nim nie spotykam.

Chciał jej pomóc, nie wiedział jednak jak. Dla niej było już o wiele za późno. Lepiej powiedzieć to wprost. To mogłem być ja, pomyślał. To omal nie byłem ja.

– Nic nie mogę zrobić – stwierdził. – To nie zależy ode mnie. Nigdy jeszcze nie zmienili zdania. Nikt nie zostaje dopuszczony do egzaminów po raz drugi.

Alice przystąpiła do nich, choć nie została zaproszona, pomyślał.

– Możesz im przecież powiedzieć! Nie możesz decydować, ale możesz im powiedzieć, że tu jestem, no nie? Że nadal tu jestem. Możesz przynajmniej zrobić tyle!

Znów chwyciła go za ramię, tak że musiał szybko wypowiedzieć przeciwzakłęcie, by znieść efekty Pryzmatycznego Rozbicia. Cholerstwo potrafiło przepalić materiał.

– Powiedz im tylko, że mnie spotkałeś – nalegała, w jej oczach widział umierającą nadzieję. – Proszę. Ćwiczyłam. Możesz mnie uczyć. Mogę być twoją uczennicą. Zrobię wszystko. Mam ciotkę w Winchester, mogę zamieszkać u niej... Powiedz, czego potrzebujesz, Quentinie? – Przysunęła się do niego jeszcze troszeczkę, aż jej kolano dotknęło jego kolana. Mimo wszystko poczuł dawne iskrzenie. Zaryzykowała sardoniczny uśmiech, pozwalając, by ta chwila zawisała w powietrzu. – Możemy sobie pomóc nawzajem. Kiedyś chciałeś mojej pomocy.

Był wściekły na siebie, że ulegał pokusie, i na świat, że jest właśnie taki. Chciał kłać na cały głos. Nie chciał nikogo widzieć na dnie, szczególnie jej... wszystkich, byle nie ją. Już teraz przeżyła więcej nieszczęść, niż ja przeżyję w całym swoim życiu, pomyślał.

– Posłuchaj – powiedział. – Jeśli im powiem, odszukają cię i wyczyszczą ci pamięć. Tym razem naprawdę.

– Niech spróbują – zawarczała agresywnie. – Już raz próbowali.

Oddychała ciężko przez biały spiczasty nosek.

– Po prostu powiedz mi, gdzie to jest. Gdzie byliśmy. Szukałam tego miejsca. Powiedz mi, gdzie jest ta szkoła, a zostawię cię w spokoju.

Quentin mógł sobie bez trudu wyobrazić gówno, w jakie wpadnie, jeśli Julia pokaże się w Brakebills, domagając się przyjęcia i powołując na niego.

– W północnej części stanu Nowy Jork. Gdzieś nad

Hudsonem. Nie wiem dokładnie gdzie. Naprawdę nie wiem. Niedaleko West Point. Szkoła jest niewidzialna. Nawet ja nie wiem, jak ją odszukać. Powiem im o tobie, jeśli naprawdę tego chcesz.

Tylko pogorszył sprawę. Może powinien jednak blefować? Lepiej kłamać? Za późno.

Objęła go ramieniem, jakby poczuła się zbyt wyczerpana, by dłużej znosić ulgę i rozpacz, a on ją podtrzymał. Kiedyś nie pragnął niczego więcej.

– Nie mogli sprawić, żebym zapomniała – wyszeptała w koszulę na jego piersi. – Rozumiesz? Nie mogli sprawić, żebym zapomniała.

Czuł bicie jej serca, które formowało się w jedno słowo: wstyd, wstyd, wstyd. Zastanawiał się, dlaczego jej nie przyjęli. Jeśli ktoś zasługiwał na Brakebills, to właśnie ona, nie on. Naprawdę wymażą jej pamięć, pomyślał. Fogg tym razem tego dopilnuje. Będzie wtedy szczęśliwsza. Wróci na właściwą drogę, do college’u, zejdzie się z Jamesem, będzie żyła. Tak będzie najlepiej.

Następnego ranka wrócił do Brakebills. Inni już tam byli; okazali zaskoczenie, że wytrwał aż tyle czasu. Większość potrafiła wytrzymać w domu czterdzieści osiem godzin. Eliot w ogóle nie wyjechał.

W Chatce panował chłód i cisza. Quentin znów poczuł się bezpieczny. Wrócił tam, gdzie przynależy. Eliot zabarykadował się w kuchni z tuzinem jaj i butelką brandy, próbując przyrządzić flipy, na które nikt nie miał ochoty. Josh i Janet grali w idiotyczną grę karcianą o nazwie pchnięcie – czyli magiczny odpowiednik wojny – niezwykle popularną w Brakebills. Quentin wykorzystał ją jako okazję do pochwalenia się swoimi umiejętnościami w zakresie tasowania kart i w rezultacie nikt z nim nie chciał grać.

Podczas gry Janet opowiadała historię wyprawy

antarktycznej Alice, choć wszyscy z wyjątkiem Quentina już ją słyszeli, i choć sama Alice siedziała z nimi w pokoju i w milczeniu przeglądała pod oknem stary zielnik. Quentin nie miał pojęcia, jak się poczuje, kiedy znów ją zobaczy, po tym jak zawalił ich ostatnią rozmowę, ale ku swej pełnej zdumienia uldze i wbrew wszelkim przewidywaniom, że powinno być odwrotnie, wcale nie czuł się skrępowany. Było idealnie. Na jej widok serce mu ścisnęła milcząca radość.

– A kiedy Majakowski chciał jej dać torebkę z baranim sadłem, rzuciła mu nią w twarz!

– Chciałam mu ją oddać – sprostowała cicho Alice. – Tylko że tak bardzo trzęsłam się z zimna, że rzuciłam nią w niego. A on na to: *dziort wozmi!*

– Dlaczego jej nie wzięłaś?

– Nie wiem. – Odłożyła zielnik. – Zaplanowałam dokładnie, jak sobie bez niego poradzić, a Majakowski wytrącił mnie z równowagi. Poza tym chciałam, żeby przestał się gapić na moje ciało. Nie wiedziałam, że da nam baranie sadło. Nawet się nie przygotowałam do Czartiszwilego.

To było jawne kłamstwo. Jakby Alice nie potrafiła rzucać Czartiszwilego z zamkniętymi oczami. Tak bardzo za nią tęsknił.

– Więc jak się ogrzewałaś? – spytał.

– Próbowalam użyć tych niemieckich zaklęć termogenetycznych, ale zniknęły, kiedy zasypiałam. Drugiej nocy budziłam się co piętnaście minut, żeby sprawdzić, czy jeszcze działają. Trzeciego dnia zaczęłam tracić rozum, więc w końcu użyłam podrasowanej Flary Millera.

– Nie łapię – Josh zmarszczył brwi. – Jak ci niby miała pomóc?

– Jeśli ją trochę zniekształcisz, staje się nieefektywna. Część energii uwalnia się jako ciepło, nie światło.

– Wiesz, że mogłaś się przypadkiem ugotować? –

spytała Janet.

– Wiem. Nic innego nie przyszło mi do głowy, kiedy stwierdziłam, że niemieckie zaklęcia nie działają.

– Chyba cię raz widziałem – powiedział Quentin cicho.
– W nocy.

– Nie mogłeś mnie przegapić. Wyglądałam jak flara.

– Naga flara – uściślił Josh.

Zjawił się Eliot z wazą pełną lepkiego nieapetycznego flipu i zaczął rozlewać go do filiżanek. Alice wzięła książkę i ruszyła w stronę schodów.

– Zaczekajcie, zaraz będą gotowe – zawołał Eliot, starannie siekając gałkę muszkatołową.

Quentin nie czekał. Poszedł za Alice.

Początkowo sądził, że odtąd wszystko będzie między nimi inaczej, potem myślał, że wszystko wróci do normy, teraz jednak zrozumiał, że wcale tego nie chce. Nie wystarczy mu samo patrzenie na nią, nawet jeśli ona też patrzyła na niego, widziała, że na nią patrzy, i odwracała wzrok zażenowana. Zupełnie jakby została naładowana energią, która przyciągała go do niej w niekontrolowany sposób. Wyczuwał pod ubraniem jej nagie ciało, wyczuwał jego zapach, tak jak wampir czuje krew. Może Majakowski nie zdołał tak do końca usunąć z niego lisa.

Odszukał ją w sypialni na górze. Leżała na jednym z dwóch stojących tam łóżek, na kapie, czytając. Było ciemno i gorąco. Dach pochylał się pod szalonym kątem. W pokoju stały stare, dziwaczne meble – wiklinowe krzesło z wgniecionym siedzeniem, toaletka z zablokowaną szufladą – a ściany oblepiono czerwoną tapetą, która nie pasowała do wystroju reszty domu. Quentin szarpnięciem uchylił okno – zazgrzytało ze złością – i rzucił się na drugie łóżko.

– Uwierzysz, że mają je tutaj? Wszystkie. Stały w szafce w łazience. – Uniosła książkę, którą czytała. Niesamowite, stary egzemplarz *Świata w ścianach*.

– Mam to samo wydanie. – Na okładce Martin Chatwin wchodził do stojącego zegara, jedną nogę miał nadal w tym świecie, a głowę już w Fillory, które zostało przedstawione jako małomiasteczkowa ślizgawka z lat siedemdziesiątych.

– Nie przeglądałam ich od lat. Boże, pamiętasz Przytulnego Konia? Tego wielkiego konia z aksamitu, na którym można było jeździć? Tak bardzo chciałam takiego mieć! Czytałeś je?

Quentin nie bardzo wiedział, czy powinien ujawnić swą obsesję na punkcie Fillory.

– Pewnie tak.

Alice rzuciła mu szybki uśmiech i wróciła do książki.

– Dlaczego nadal uważasz, że potrafisz coś przede mną ukryć?

Quentin założył ręce za głowę i położył się na wznak, patrząc na niski skośny sufit. To nie fair. W jej słowach brzmiało coś siostrzanego.

– No już, rusz się tutaj.

Wstał z łóżka i położył się koło Alice, dotykając jej biodrem, żeby się zmieścić na wąskim materacu. Uniosła wyżej książkę i w milczeniu przeczytali razem kilka stron. Ich barki i ręce też się stykały. Quentin miał wrażenie, że łóżko znajduje się w pociągu, który pędzi bardzo szybko, a jeśli wyjrzy przez okno, zobaczy mijany krajobraz. Oboje oddychali niezwykle miarowo.

– Nigdy nie rozumiałem koncepcji tego Przytulnego Konia – powiedział po chwili. – Po pierwsze, jest tylko jeden. Czy gdzieś jest całe stado? A poza tym jest zbyt użyteczny. Ktoś by go do tej pory udomowił.

Walnęła go książką w głowę, nie tak znowu lekko.

– Chyba ktoś zły. Nie można okiełznać Przytulnego Konia, Przytulny Koń to wolny duch. Poza tym jest za duży. Zawsze sobie wyobrażałam, że jest mechaniczny... że ktoś go zrobił.

– Kto?

– Nie wiem. Czarodziej. Ktoś w przeszłości. W każdym razie Przytulny Koń to rzecz dla dziewczyn.

Janet wetknęła głowę do sypialni. Najwyraźniej wszyscy opuścili bawialnię.

– Ha! – powiedziała. – Nie wierzę, że to czytacie.

Alice instynktownie odsunęła się ciut od Quentina, ale on się nie ruszył.

– Tak jakbyś ty nie czytała – parsknął.

– Oczywiście, że czytałam! Kiedy miałam dziewięć lat, przez dwa tygodnie kazałam rodzicom nazywać się Fiona.

Zniknęła, pozostawiając po sobie miłą, pozbawioną echa ciszę. Pokój wychładzał się stopniowo, gorące powietrze uchodziło przez uchylone okno. Quentin wyobrażał sobie, że wznosi się jak niewidzialne pióro w błękit letniego dnia.

– Wiesz, że naprawdę istniała rodzina Chatwinów? – spytał. – W prawdziwym życiu. Podobno byli sąsiadami Plovera.

Alice kiwnęła głową. Przysunęła się znowu, kiedy Janet wyszła.

– To smutne.

– Dlaczego?

– Wiesz, co się z nimi stało?

Quentin pokręcił głową.

– Jest o tym książka. Większość wyrosła na nudziarzy. Na żony i magnatów ubezpieczeniowych, takie tam. Jeden z chłopców poślubił chyba dziedziczkę. Wiem, że jeden zginął podczas drugiej wojny światowej. Wiesz o Martinie?

Quentin znów pokręcił głową.

– Ale wiesz, że w książce zniknął? Więc naprawdę też zniknął. Uciekł albo miał wypadek, albo coś takiego. Pewnego dnia po śniadaniu po prostu wyszedł i nigdy więcej go nie zobaczyli.

- Prawdziwy Martin?
- Prawdziwy Martin.
- Rany. To smutne.

Spróbował sobie wyobrazić tę dużą pogodną angielską rodzinę na zdjęciu rodzinnym w kolorze sepii w białych strojach do tenisa – i nagle w środku fotografii pojawia się dziura. Ponure przesłanie. Powolna stosowna akceptacja. Skutki uboczne.

– To mnie skłania do myślenia o bracie – powiedziała Alice.

– Wiem.

Spojrzała na niego ostro. Wytrzymał jej spojrzenie. Naprawdę wiedział.

Oparł się na łokciu, żeby móc na nią patrzeć, a w powietrzu wokół niego wirowały podekscytowane drobinki kurzu.

– Kiedy byłem mały – powiedział powoli – i nawet kiedy już nie byłem taki mały, zawsze zazdrościłem Martinowi.

Uśmiechnęła się do niego.

– Wiem.

– Ponieważ sądziłem, że wreszcie mu się udało. Wiem, że to miała być tragedia, ale w moich oczach to było jak włamanie do skarbcza. Martin pokonał system. Udało mu się zostać w Fillory na zawsze.

– Wiem. Rozumiem. – Położyła mu ostrożnie rękę na piersi. – To cię właśnie od nas odróżnia, Quentinie. Ty naprawdę nadal wierzysz w magię. Czy zauważyłeś, że nikt inny nie wierzy? To znaczy wszyscy wiemy, że magia jest prawdziwa. Tyle że ty w nią naprawdę wierzysz. Prawda?

Poczuł zdenerwowanie.

– Czy to źle?

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

– Tak, Quentinie, to źle.

Pocałował ją, najpierw lekko. Potem wstał i zamknął

drzwi na klucz.

I tak to się zaczęło, choć oczywiście zaczynało się już od dawna. Początkowo zachowywali się tak, jakby się spodziewali, że ktoś lub coś ich powstrzyma. Kiedy nic się nie stało, kiedy nie pojawiły się żadne konsekwencje, stracili kontrolę – zachłannie, chciwie ściągali z siebie ubrania, nie tylko z pożądania, ale i z czystego pragnienia, żeby się zatracić. Coś fantastycznego. Szmer oddechów i szelest ubrań brzmiały ogłuszająco w skromnej sypialence. Bóg jeden wie, co słyszeli inni na dole. Chciał ją sprowokować, sprawdzić, czy trafiło ją równie mocno jak jego, zobaczyć, jak daleko się posunie i jak daleko pozwoli posunąć się jemu. Nie powstrzymywała go. Popychała go jeszcze dalej. Nie kochał się po raz pierwszy, ani nawet nie po raz pierwszy z nią, przynajmniej technicznie, choć odbierał to jakoś inaczej. Jako coś prawdziwego, ludzki seks, tym lepszy, że nie byli zwierzętami, tylko cywilizowanymi i pruderyjnymi, i skrępowanymi ludźmi, którzy zmienili się w spocone, pożądliwe nagie bestie nie za pomocą magii, lecz dlatego, że zeszli na pewien poziom.

Próbowali być dyskretni – ledwie o tym rozmawiali nawet ze sobą – jednak inni wiedzieli i zaczęli wynajdywać preteksty, żeby zostawiać ich samych. Quentin i Alice to wykorzystywali. Zapewne pozostali poczuli ulgę, że napięcie między nimi wreszcie znalazło ujście. Pod pewnym względem fakt, że Alice pożądała go równie mocno jak on jej, był swego rodzaju cudem, jak wszystko inne, co zobaczył, odkąd przybył do Brakebills. Wcale nie przyszło mu łatwiej w to uwierzyć, choć nie miał innego wyboru, jak uwierzyć. Jego miłość do Julii przypominała obowiązek, stanowiła niebezpieczną siłę, która atakowała go w zimnym pustym Brooklynie. Miłość do Alice okazała się znacznie prawdziwsza. Związała go ostatecznie i na dobre z jego nowym życiem, z prawdziwym życiem w Brakebills.

Zakotwiczyła go tutaj i nigdzie indziej. To nie była fantazja, lecz rzeczywistość z krwi i kości.

A ona to rozumiała. Sprawiała wrażenie, jakby wiedziała o nim wszystko, jakby znała jego myśli i uczucia, czasami jeszcze zanim sam coś poczuł lub pomyślał, i pragnęła go mimo to – albo właśnie z tego powodu. Nie oglądając się na innych, zajęli całe piętro Chatki, wracając do sypialni w Domu tylko po niezbędne przedmioty osobiste. I dali wszystkim do zrozumienia, że każdy intruz musi być przygotowany na widok porzucanej bielizny i aktów spełnienia odwzajemnianych uczuć.

* * *

Nie było to jedyne cudowne wydarzenie tego lata. Niewiarygodne, ale troje starszych Fizycznych Gości ukończyło już Brakebills. Nawet Josh, mimo fatalnych stopni. Oficjalna uroczystość miała się odbyć w przyszłym tygodniu; prywatne spotkanie, na które reszta szkoły nie została zaproszona. Zgodnie z tradycją mogli zostać w Brakebills do końca wakacji, później jednak musieli wrócić do świata.

Quentin poczuł się zaskoczony takim obrotem spraw. Wszyscy tak się czuli. Z trudem potrafili sobie wyobrazić życie w Brakebills bez nich. Prawie nie rozmawiali o tym, co będą robić dalej, a przynajmniej nie przy Quentinie.

Oczywiście nie mieli powodu się martwić. Szlak z Brakebills do rzeczywistego świata przetarto starannie. Istniała wielka sieć czarodziejów, a ponieważ do niej przynależeli, raczej nie groził im głód. W większym lub mniejszym stopniu mogli robić, co im się podoba, jeżeli nie będzie to przeszkadzało innym. Prawdziwy problem stanowiło ustalenie, czym ma być to coś. Niektórzy studenci wstępowali do służby publicznej – po cichu wspierając akcje

humanitarne albo subtelnie utrzymując równowagę w różnych upadających ekosystemach, albo uczestnicząc w rządach nad magiczną społecznością jako taką. Wiele osób po prostu podróżowało lub tworzyło magiczne dzieła sztuki, lub brało udział w kunsztownych grach wojennych czarodziejów. Inni zajmowali się badaniami: wiele szkół magicznych (choć nie Brakebills) oferowało programy badawcze dla absolwentów, po których otrzymywało się różne szumne tytuły. Pojedyncze osoby wstępowały nawet na zwykłe niemagiczne uniwersytety. Zastosowanie konwencjonalnej nauki, szczególnie chemii, do technik magicznych stanowiło prawdziwe pole do popisu. Kto mógł przewidzieć, jakie egzotyczne zaklęcia da się stworzyć z pomocą transuranów?

– Planowałem porozmawiać o tym ze smokiem Tamizy – powiedział Eliot lekko pewnego dnia po południu. Siedzieli na podłodze w bibliotece. Było za gorąco na krzesła.

– Z kim? – zdziwił się Quentin.

– Myślisz, że cię przyjmie? – spytał Josh.

– Nigdy nie wiadomo, póki nie zapytasz.

– Chwileczkę – przerwał im Quentin. – Kim lub czym jest smok Tamizy?

– Smok Tamizy – powtórzył Eliot. – No wiesz. To jest smok, który mieszka pod Tamizą. Na pewno ma inne imię, smocze, ale wątpię, by nam się udało je wymówić.

– Co ty gadasz? – Quentin rozejrzał się, szukając pomocy. – Prawdziwy smok? Chcesz powiedzieć, że istnieją prawdziwe smoki? – Jeszcze nie osiągnął tego punktu, w którym miał pewność, że się z niego nabijają.

– Daj spokój, Quentin – zganiała go Janet. Rozgrywka w pchnięcie dotarła właśnie do etapu, kiedy rzucało się karty przez pokój do kapelusza. Używali do tego celu miski zabranej z kuchni.

– Nie żartuję.

– Naprawdę nie wiesz? Nie czytałeś McCabe’a? – Alice popatrzyła na niego z niedowierzaniem. – Był obowiązkowy na zajęciach Meercka.

– Nie, nie czytałem McCabe’a – oświadczył Quentin. Nie wiedział, czy powinien być zły czy podekscytowany. – Mogliście mi powiedzieć, że istnieją prawdziwe smoki.

Pociągnęła nosem.

– Jakoś się nigdy nie złożyło.

Okazało się, że naprawdę istnieje coś takiego jak smoki, choć są rzadkie, a w dodatku większość to smoki wodne, samotnicze z natury i rzadko wynurzające się na powierzchnię, poświęcają bowiem większość życia na sen, któremu oddają się zakopane w mule na dnie rzeki. W każdej z większych rzek świata żyje taki smok – tylko jeden, nigdy więcej – a ponieważ są mądre i praktycznie nieśmiertelne, mają skłonność do ukrywania wszelkich niezwykłych elementów wiedzy. Smok Tamizy nie jest taki towarzyski jak smok Gangesu, Missisipi czy Newy, ale podobno jest od nich dużo mądrzejszy i bardziej interesujący. W rzece Hudson też żyje smok – spędza większość czasu zwinięty w kłębek w głębokim cienistym wirze, niecałe dwa kilometry od przystani w Brakebills. Nie widziano go od niemal wieku. Największy i najstarszy ze znanych smoków to olbrzym biały, który śpi zwinięty w wielkim zbiorniku słodkiej wody pod lodem Antarktydy i który ani razu w zarejestrowanej historii nie porozmawiał z nikim, nawet z innymi smokami.

– Naprawdę sądzisz, że smok Tamizy udzieli ci bezpłatnej porady na temat kariery zawodowej? – spytał Josh.

– Och, nie wiem – odparł Eliot. – Smoki są czasami takie dziwne. Chcesz im zadać prawdziwie głębokie pytania, na przykład skąd się bierze magia albo czy Ziemię odwiedzają Obcy, albo o następane dziesięć liczb Mersenne’a,

a one wolą zagrać w trylmę.

– Ja uwielbiam grać w trylmę! – poinformowała wszystkich Janet.

– Świetnie, w takim razie może to ty powinnaś porozmawiać ze smokiem Tamizy – parsknął z irytacją Eliot.

– Może i porozmawiam – odparła wesoło. – Założę się, że będziemy mieli masę tematów do rozmowy.

Quentin miał wrażenie, że nie tylko on i Alice, ale wszyscy Fizyczni Goście zakochują się w sobie, a przynajmniej w tym członku grupy, z którym akurat przebywają. Rano spali do późna, popołudniami grali w bilard i pływali łódką po Hudsonie, i zajmowali się interpretacją tego, co się komu przyśniło, i dyskutowali nad pozbawionymi znaczenia elementami techniki magicznej, i rozważali rozmaite aspekty swego kaca. Trwał nieustający konkurs – a rywalizacja okazała się zajadła – o to, kto uczyni najnudniejszą uwagę na ten temat.

Josh uczył się grać na marnej jakości pianinie stojącym w holu na górze, a oni leżeli na trawie i słuchali jego kulawego, zaczynanego wciąż od początku wykonania *Heart and Soul*. Powinno ich to denerwować, ale jakoś nie denerwowało.

Udało im się całkowicie przekabacić i nakłonić do współpracy kamerdynera Chambersa, toteż regularnie dostarczał im ekstraszpecjalne butelki z piwnic Brakebills, których i tak było tam za dużo i należało je jak najszybciej wypić. Eliot jako jedyny wykazywał prawdziwą znajomość zagadnień enologicznych i próbował im je przekazać, lecz Quentin nie miał najmocniejszej głowy, a ponieważ z zasady odmawiał wypluwania tego, co trzymał w ustach, każdy wieczór kończył kompletnie pijany i zapominał wszystko, czego się miał nauczyć, i następnego wieczoru musiał zaczynać od początku. Co rano, kiedy się budził, mówił

sobie, że już nigdy w życiu nie wypije ani kropli alkoholu, jednak to przekonanie jakoś zawsze wyparowywało koło piątej po południu.

EMILY GREENSTREET

Pewnego dnia po południu całą piątką siedzieli po turecku w kręgu, w samym środku ogromnej nicości Morza. Dzień był niezwykle upalny, a oni wyszli z Chatki z zamiarem wypróbowania niezwykle skomplikowanego zaklęcia, które wymagało pięciu osób. Gdyby zadziałało, miało wzmocnić ich wzrok i słuch oraz siłę fizyczną na jakieś dwie godziny. Zaklęcie należało do magii wikingów, magii pola walki opracowanej dla grup wypadowych, a z tego co wiedzieli, nikt nie próbował go rzucić od mniej więcej tysiąclecia. Josh, który kierował zbiorowym wysiłkiem, wyznał, że nie jest całkiem pewien, czy w ogóle kiedyś działało. Czarownicy wikingów bardzo lubili się sadzić.

Zacząli pić wcześniej, przy lunchu. Choć Josh już w południe zapewniał, że wszystko jest gotowe – no już, czas iść, no chodźcie wreszcie – nim rozdał im staronordyckie zaklęcia, które osobiście wypisał w spiralach długopisem schludnym, drobnym pismem runicznym, i nim przygotował miejsce, wysypując w trawie czarnym piaskiem skomplikowany przeplatany węzeł, zrobiła się prawie czwarta. Trzeba było zanosić śpiewy, a ani Janet, ani Quentin nie potrafili utrzymać się w tonacji, więc załamywali się na zmianę i musieli zaczynać od początku.

Wreszcie przebrnęli przez śpiewy i siedzieli, przypatrując się trawie i niebu, i własnym dłoniom, i wieży zegarowej w oddali i próbując stwierdzić, czy coś się zmieniło. Quentin pobiegł na skraj lasu wysikać się, a kiedy wrócił, Janet mówiła o kimś, kto się nazywał Emily Greenstreet.

- Nie mów mi, że ją znałaś – powiedział Eliot.
- Nie znałam. Ale pamiętacie? Na pierwszym roku

dzieliłam pokój z tą krową Emmą Curtis. W zeszłym tygodniu, kiedy byłam w domu, rozmawiałam z jej kuzynką. Mieszka w Los Angeles niedaleko moich rodziców. Wszystko mi opowiedziała.

– Czyżby.

– A teraz ty opowiesz nam – odgadł Josh.

– Chociaż to wielka tajemnica. Nikomu nie wolno powtarzać.

– Emma nie była krową – zaprotestował Josh. – A jeśli nawet, to gorącą krową. No wiecie, rasy waguay. Czy zwróciła ci forse za tę sukienkę, na którą ci zwymiotowała?

– Leżał na plecach, patrząc w bezchmurne niebo. Najwyraźniej nie obchodziło go, czy zaklęcie zadziałało czy nie.

– Nie, nigdy. A teraz pojechała do Tadżykistanu czy gdzieś tam, żeby ratować wymierającego azjatyckiego pasikonika. Albo coś w tym guście. Krowa.

– Kto to jest Emily Greenstreet? – spytała Alice.

– Emily Greenstreet – powiedziała Janet z emfazą, smakując wspaniałą plotkę, którą za chwilę miała puścić w obieg – była pierwszą od stu pięćdziesięciu lat osobą, która z własnej woli opuściła Brakebills.

Jej słowa odpłynęły w ciepłym letnim powietrzu jak dym z papierosa. Na środku Morza panowała niewiarygodna spiekota, siedzieli tam jak na patelni, ale nie mieli dość energii, żeby się ruszyć.

– Zaczęła się uczyć w Brakebills osiem lat temu. Chyba pochodziła z Connecticut, tylko nie z tego lepszego Connecticut, no wiecie, tego z pieniędzmi, kuzynami Kennedy’ego i boreliozą. Chyba z New Haven albo z Bridgeport. Taka cicha, myszata...

– Skąd wiesz, że myszata? – zdziwił się Josh.

– Ciii! – Alice walnęła go w ramię. – Nie drażnij jej. Chcę posłuchać tej historii.

Leżeli na pasiastym kocu rozłożonym na ruinach wysypanego przez Josha wzoru z piasku.

– Wiem, ponieważ powiedziała mi kuzynka Emmy. Poza tym to moja historia i jeśli powiem, że była myszata, to znaczy, że miała ogon i żywiła się pieprzonym szwajcarskim serem, rozumiano?... Emily Greenstreet należała do tych dziewczyn, których nikt nigdy nie zauważa i które przyjaźnią się tylko z innymi dziewczynami, których nikt nie zauważa. Nikt ich ani nie lubi, ani nie nie lubi. Mają cofnięte podbródki albo dzioby po ospie, albo za duże okulary. Wiem, że jestem podła. No wiecie, to takie dziewczyny, które zawsze trzymają się z boku.

Była dobrą studentką. Pracowała ciężko i radziła sobie na ten swój nudny sposób aż do trzeciego roku, kiedy wreszcie wyróżniła się tym, że zakochała się w jednym z profesorów. Oczywiście wszystkim to się zdarza. A przynajmniej dziewczynom, ponieważ wszystkie cierpimy na kompleks ojca. Zwykle to przelotna sprawa i szybko pocieszamy się jakimś idiotą w naszym wieku. Z naszą Emily było inaczej. Ona zakochała się głęboko, namiętnie, szaleńczo. Miłością z *Wichrowych Wzgórz*. Stała nocami pod jego oknem. Rysowała na zajęciach jego portrety. Patrzyła na księżyc i płakała. Rysowała na zajęciach portrety księżycy i płakała nad nimi. Zrobiła się ponura i przygnębiona. Zaczęła ubierać się na czarno i słuchać Smithsów, i czytać Camusa w oryginalne czy coś w tym stylu. Czy miała teraz interesująco podpuchnięte, zapadnięte. Zaczęła przesiadywać przy Hau-Hau.

Wszyscy jęknęli. Hau-Hau to była jedna z fontann w Labiryncie. Oficjalnie nazywała się fontanną Van Pelta od nazwiska osiemnastowiecznego dziekana Brakebills, ponieważ jednak przedstawiała Romulusa i Remusa ssących wilczycę wraz z licznym wilczym rodzeństwem, została ochrzczona Hau-Hau. Stanowiła ulubione miejsce

gotów i innych pretensjonalnych studentów.

– No i teraz miała sekret, taki przez duże S, i jak na ironię dzięki temu stała się bardziej atrakcyjna, ponieważ ludzie chcieli poznać ten jej sekret przez duże S. I oczywiście niedługo potem zakochał się w niej jakiś nieszczęśnik. Nie odwzajemniła jego miłości, ponieważ całą miłość zarezerwowała dla profesora Seksownego, choć poczuła się dzięki niemu cholernie dobrze, bo nikt wcześniej nigdy się w niej nie zakochał. Zwodziła go i flirtowała z nim publicznie w nadziei, że dzięki temu jej prawdziwy ukochany zrobi się zazdrosny.

A teraz dochodzimy do trzeciego wierzchołka w naszym małym trójkącie miłosnym. Nasz profesor powinien pozostać całkowicie obojętny na wdzięki małej Emily. Powinien dobrodusznie podśmiewać się z całej sprawy w pokoju nauczycielskim, a potem o niej zapomnieć. Dziewczyna nie była nawet ładna. Być może przeżywał właśnie kryzys wieku średniego albo sądził, że związek z panną Greenstreet przywróci mu utraconą młodość. Kto go tam wie. Poza tym ten idiota miał żonę.

Nigdy się nie dowiemy, co dokładnie się stało ani jak daleko zaszło, wiemy natomiast, że stanowczo za daleko, a potem profesor Seksowny odzyskał rozsądek albo dostał, czego chciał, i zakończył sprawę. Nie trzeba dodawać, że Emily zrobiła się jeszcze bardziej gotycka i zapłakana i jeszcze bardziej niż dotąd wyglądała jak postać z rysunku Goreya, a jej chłopak zrobił się jeszcze bardziej zakochany, przynosił jej kwiaty i prezenty i wspierał ją.

Może to wicie, nie wiem, ja w każdym razie nie wiedziałam, ale Hau-Hau różni się od innych fontann. Dlatego ci ponuracy zaczęli się przy niej zbierać. Początkowo nie zwracasz uwagi na to, co jest z nią nie tak, dopiero po pewnym czasie uświadamiasz sobie, że kiedy do niej zagładasz, nie widzisz swojego odbicia, tylko niebo. Przy

czym jeśli niebo jest zachmurzone, w fontannie widzisz bezchmurne i na odwrót. Zdecydowanie nie jest to normalne odbicie. A od czasu do czasu możesz w niej zobaczyć twarze innych, którzy patrzą na ciebie z zaskoczeniem, jakby zaglądali do tej samej fontanny w jakimś innym miejscu i ze zdumieniem patrzyli na twoją twarz, a nie swoją. Ktoś widać wymyślił sposób na zamienianie odbić między dwiema fontannami. Kto to zrobił i dlaczego, i dlaczego dziekan tego nie cofnął, nie mam pojęcia. Warto się też zastanowić, czy nie jest to coś więcej niż tylko odbicie: może wskakujesz do jednej fontanny, a wychodzisz w innej w tym świecie albo w innym? Zawsze coś było nie tak z tymi cholernymi fontannami. Czy wiecie, że stały tu jeszcze przed powstaniem Brakebills? Zbudowali szkołę w ich pobliżu, a nie odwrotnie. Przynajmniej ludzie tak mówią.

Eliot parsknął.

– Kochany, ludzie tak mówią. W każdym razie – ciągnęła Janet – rzecz w tym, że Emily zaczęła spędzać masę czasu przy Hau-Hau, paląc i nic nie robiąc, tylko zapewne wspominając swój romansik. Tkwiała tam tak często, że zaczęła rozpoznawać jedną z twarzy w wodzie. To był ktoś taki jak ona, ktoś, kto przesiadywał przy tej drugiej fontannie. Powiedzmy, że nazywała się Doris. Po jakimś czasie Emily i Doris zaczęły na siebie zwracać uwagę. Kłaniały się sobie, machały do siebie, no wiecie, zachowywały się uprzejmie. Zapewne Doris też cierpiała na depresję. Zaczęły się uważać za pokrewne dusze.

Emily i Doris wymyśliły sposób komunikowania się. I znów szczegóły umknęły uwadze naszej nieustraszonej korespondentki. Może pokazywały sobie tabliczki czy coś w tym guście. Musiały je pisać pismem lustrzanym, żeby miały sens jako odbicia, czy może ja się mylę? Nie mam pojęcia, jak to działało w krainie Hau-Hau, gdzie mieszkała

Doris, może magia jest tam inna? Albo może Doris robiła Emily w pióro, może miała dość słuchania jej narzekań na temat utraconej miłości? A może miała nie po kolei w głowie, może była czymś prawdziwie złym. W każdym razie pewnego dnia zasugerowała, że być może problemem Emily jest jej wygląd zewnętrzny i że powinna spróbować go zmienić, jeśli chce powrotu kochanka.

Leżącą na rozgrzanej słońcem trawie grupę przeszedł zimny dreszcz. Nawet Quentin wiedział, że używanie magii do zmiany swojego wyglądu fizycznego nigdy nie kończy się dobrze. W teorii magicznej ta dziedzina stanowiła martwą strefę: jakiś element nierozzerwalnego związku pomiędzy twoją twarzą a tym, kim jesteś – twoją duszą, z braku lepszego określenia – sprawiał, że wszelka ingerencja była piekielnie trudna i absolutnie nieprzewidywalna. Kiedy Quentin zjawiał się w Brakebills, zastanawiał się, dlaczego wszyscy nie zmienili się w skończone piękności. Patrzył na kolegów z widocznymi ułomnościami – jak Gretchen z tą swoją nogą czy Eliot z wykręconą szczęką – i dziwił się, dlaczego nie poprosili kogoś, żeby to załatwił, jak to zrobiła Hermiona ze swoimi zębami w *Harrym Potterze*. Ale w rzeczywistości zawsze się to kończyło nieszczęściem.

– Biedna Emily – powiedziała Janet. – Kiedy notowała zaklęcie, które Doris przekazała jej przez fontannę, sądziła, że odkryła tajemną technikę, którą wszyscy inni przeoczyli. Wprawdzie zaklęcie wyglądało na trudne i kosztowne, niemniej mogło zadziałać. Po kilku tygodniach przygotowań Emily zamknęła się wieczorem w swoim pokoju. Jak sądzicie, jak się poczuła, kiedy spojrzała w lustro i zobaczyła, co sobie zrobiła? – W głosie Janet niemal dało się usłyszeć nutę prawdziwego współczucia. – Ja sobie nie mogę wyobrazić. Naprawdę.

Było już późne popołudnie, cienie lasu na zachodnim skraju Morza stawały się coraz dłuższe, niemal docierając

do ich koca.

– Chyba mogła nadal mówić, ponieważ posłała swojemu chłopakowi wiadomość, że ma kłopoty, a on zaraz przyszedł do jej pokoju. Po długich szeptanych pertraktacjach przez dziurkę od klucza wpuściła go do środka. Trzeba przyznać naszemu chłopcu jedno: nie zostawił jej, chociaż musiało być źle, bardzo źle. Nie pozwoliła mu iść do nauczycieli. Dziekanem był wtedy Dunleavy, a on bez zastanowienia wywali naszą Emily na zbity pysk.

No więc chłopak kazał jej zostać w pokoju i nigdzie nie chodzić, i nic nie robić, żeby nie pogarszać sprawy, a on tymczasem pójdzie do biblioteki i zobaczy, co uda mu się znaleźć. Wrócił tuż przed świtem, sądząc, że w zasadzie rozwiązał problem. Spróbujcie sobie wyobrazić tę scenę. Oboje nie spali przez całą noc. Siedzą po turecku na jej łóżku, ona ze zniekształconą głową, on z ośmioma czy ilomaś tam księgami rozłożonymi wokół. Ona opiera o ścianę to, co zostało z jej czoła, próbując zachować spokój. Błękit w oknie staje się coraz jaśniejszy, muszą się zająć sprawą jak najszybciej. Zapewne w tym punkcie nasza Emily opanowała już panikę i żal. Nie opanowała natomiast nadziei. Pomyślcie również o stanie umysłu chłopaka. W pewnym sensie dla niego było to najlepsze, co mogło się zdarzyć. Trafiała mu się okazja, szansa, żeby zostać bohaterem, uratować ją i zdobyć jej miłość, a przynajmniej jakąś żalosną namiastkę seksu. Szansa na to, żeby okazać siłę, a tylko tego przecież chciał.

Sama nie wiem... Uważam, że miał dość czasu, żeby się domyślić, co się dzieje naprawdę. Mam wrażenie, że kości zostały rzucone. Ona zaryzykowała straszliwie, a on wiedział, że nie zrobiła tego dla niego. W każdym razie nie powinien wykonać większych zaklęć – był zmęczony i przestraszony, i skołowany i jak sądzę, musiał mieć trochę

złamane serce. Może za bardzo się starał. Rozpoczął zaklęcie naprawiające, tak się składa, że wiem, które, z Większych Arkanów, no wiecie, z tych renesansowych kawałków. Masa energii. Wyrwało mu się spod kontroli w najgorszy możliwy sposób. Opanowało go, pochłonęło jego ciało. Na jej oczach zaczął wrzeszczeć i palić się. Niebieskim ogniem. Stał się niffinem.

O tym mówił Fogg tamtej nocy w ambulatorium, pomyślał Quentin. O utracie kontroli. Najwyraźniej wszyscy inni wiedzieli, co to jest niffin. Zapatrzyli się na Janet, jakby ich ktoś obrócił w kamień.

– I wiecie, Emily dostała świra, literalnie. Zabarykadowała drzwi, nie wpuszczała nikogo, póki nie zjawiał się osobiście jej ukochany profesor. W tym czasie cała szkoła już nie spała. Mogę sobie wyobrazić, jak się czuł ten biedak, skoro w pewnym sensie wszystko wydarzyło się z jego winy. Na pewno nie miał powodów do dumy. Myślę, że gdyby niffin nie zechciał odejść, próbowałyby go przegnać, choć nie sądzę, żeby nawet jemu się to udało. Nie wydaje mi się, żeby niffiny miały jakąś górną granicę mocy.

W każdym razie nasz profesor zachował rozsądek i nie wpuścił do pokoju nikogo innego. Przywrócił jej twarz, z marszu, co nie mogło być łatwe. Niezależnie od wszystkiego był z niego kawał czarodzieja, ponieważ za pośrednictwem fontanny przyszło prawdziwe paskudztwo, a Emily zapewne jeszcze przekręciła zaklęcie przy rzucaniu. Niemniej profesor z miejsca je odwrócił i sprawił, że Emily znów się nadawała do pokazania, choć słyszałam, że nigdy nie wyglądała dokładnie tak jak przedtem. Nie żeby została zdeformowana czy coś, po prostu stała się inna. Pewnie gdybyście jej wcześniej nie znali, nic byście nie zauważyli.

W zasadzie to tyle. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, co powiedzieli rodzicom chłopaka. Słyszałam, że pochodził z rodziny czarodziejów, więc zapewne podali im jakąś wersję

prawdy. Wiecie, taką ugłaskaną.

Zapadła długa cisza. W oddali rozległ się dźwięk dzwonu, na rzece pojawiła się łódka. Ogarnął ich wreszcie cień drzew, cudownie chłodny późnopołudniowy cień.

Alice odchrząknęła.

– Co się stało z profesorem?

– Nie domyśliłaś się? – Janet nie próbowała nawet ukryć swego zachwytu. – Dali mu wybór: zrezygnować w niesławie... albo przenieść się na Antarktydę. Do Brakebills Południowego. Zgadnijcie, co wybrał.

– O mój Boże – powiedział Josh. – Mówisz o Majakowskim?

– Co wiele wyjaśnia – stwierdził Quentin.

– Czy to nie sprawiedliwość?

– A co się stało z Emily Greenstreet? – spytała Alice. – Po prostu opuściła szkołę? – W jej głosie pobrzękiwała stal. Quentin nie bardzo wiedział, skąd się wzięła. – Co się z nią stało? Czy posłali ją do normalnej szkoły?

– Słyszałam, że pracuje w biznesie gdzieś na Manhattanie – odparła Janet. – Załatwili jej posadę w jakiejś korporacji. Nie wiem, doradztwo czy coś takiego. Należy do nas część dużej firmy. Potrzeba masy magii, żeby ukryć fakt, że nic tam nie robi, tylko siedzi w biurze i serfuje po sieci przez cały dzień. Wiecie co? Mam wrażenie, że jakaś jej część nie przeżyła tego doświadczenia.

Potem Janet przestała gadać. Quentin pozwolił swoim myślom dryfować wśród chmur. Rzucalo nim trochę po winie, jakby Ziemia obruszyła się na osi i kołysała na boki. Najwyraźniej nie tylko on tak się czuł, ponieważ kiedy po kilku minutach Josh wstał, natychmiast stracił równowagę i upadł na trawę. Rozległy się pojedyncze oklaski.

Pozbierał się szybko, wstał znowu, złapał równowagę, wykonał głęboki ukłon, taki z ugięciem kolana, po czym zrobił idealny przewrót w tył z pozycji stojącej. Wylądował z

gracją, wyprostował się i uśmiechnął szeroko.

– Udało się! – zawołał. – No nie wierzę. Cofam wszystko złe, co kiedykolwiek powiedziałem o czarownikach wikingów! Kurwa, udało się!

Zakęcie zadziało, choć z tajemniczych przyczyn jedynie Josh potrafił z niego korzystać. Kiedy zbierali swój piknik i wytrząsali piasek z koca, Josh biegał po polu, pokrzykując w zapadającym zmierzchu i sadząc ogromnymi susami superbohatera.

– Jestem wojownikiem wikingów! Drżycie przed moją siłą! Drżycie! Napęlnia mnie moc Thora i jego potężnych zastępów! I pieprzę waszą matkę! Pieprzę... waszą... matkę!

– Jest taki szczęśliwy, jakby ugotował coś, co po wyjęciu z pieca wygląda dokładnie tak jak na zdjęciu – stwierdził Eliot sucho.

Wreszcie Josh zniknął, chcąc się pokazać innym studentom. Na cały głos wyśpiewywał *Glory, glory alleluja*. Janet i Eliot powlekli się w stronę Chatki, natomiast Alice i Quentin w stronę Domu, opaleni na czerwono, śpiący i nadal trochę pijani. Quentin już postanowił, że zamiast na kolację pójdzie spać.

– Zrobi komuś krzywdę – powiedział. – Zapewne sobie.

– W zakęcie wbudowane jest zabezpieczenie przed uszkodzeniami. Wzmacnia szkielet i skórę. Zapewne mógłby przebić ścianę pięścią i nic by sobie nie złamał.

– Zapewne. Jeśli może, pewnie to robi.

Alice była jeszcze bardziej milcząca niż zwykle. Dopiero kiedy zagłębili się w cieniste alejki Labiryntu, Quentin zauważył, że policzki ma mokre od łez. Serce mu zamarło.

– Alice. Alice, kochana... – Zatrzymał się i obrócił ją ku sobie. – Co się stało?

Oparła mu bezradnie czoło o ramię.

– Dlaczego musiała opowiedzieć tę historię? – spytała. – Dlaczego? Dlaczego ona taka jest?

Quentin natychmiast poczuł się winny, że tak dobrze się bawił. Historia była okropna, lecz miała w sobie również coś nieodparcie gotyckiego.

– Tylko plotkowała – powiedział. – Nie miała nic złego na myśli.

– Doprawdy? – Alice podniosła głowę, gwałtownie ocierając łzy wierzchem dłoni. – Doprawdy? Zawsze myślałam, że mój brat zginął w wypadku samochodowym.

– Twój brat? – Quentin zamarł. – Nie rozumiem.

– Był ode mnie o osiem lat starszy. Rodzice mi powiedzieli, że zginął w wypadku samochodowym. To o niego chodziło, jestem tego pewna.

– Nie rozumiem. Uważasz, że on kochał się w Emily?

Kiwnęła głową.

– Tak myślę. Wiem, że tak. – Oczy miała czerwone, pełne złości i bólu.

– Jezu. Słuchaj, to tylko historia. Przecież Janet nie może wiedzieć na pewno.

– Wie. – Alice ruszyła dalej. – Wszystko pasuje, czas, kiedy to się zdarzyło... I on właśnie taki był. Charlie... zawsze się zakochał. Próbowałby ją ocalić. Zrobiłby to. – Pokręciła z goryczą głową. – Potrafił być głupi w taki właśnie sposób.

– Może Janet nie wiedziała. Może się nie domyśliła, że to chodzi właśnie o niego.

– Ona chce, żeby wszyscy tak myśleli! Żebyś się nie domyślił, jaka z niej straszliwa cipa!

Słowo „straszliwy” robiło w tym roku karierę w Brakebills. Quentin zamierzał bronić Janet, kiedy nagle dotarło do niego coś jeszcze.

– Dlatego nie zostałam tu zaproszona – powiedział cicho. – Na pewno dlatego. Ze względu na to, co się stało z twoim bratem.

Kiwnęła głową, jej oczy miały nieobecny wyraz,

niespokojny umysł przetrawiał informacje, dopasowując je do tego ponurego obrazu.

– Nie chcieli, żeby coś mi się stało. Jakby to miało znaczenie. Boże, dlaczego wszyscy prócz nas są tak kurewsko głupi?

Zatrzymali się kilka metrów od wyjścia z Labiryntu, w głębokim cieniu, który zebrał się w miejscu, gdzie krzewy rosły blisko siebie. Zupełnie jakby nie mogli ponownie stawić czoła słońcu. Jeszcze nie w tej chwili.

– Przynajmniej teraz wiem – powiedziała Alice. – Tylko dlaczego Janet opowiedziała tę historię, Quen? Wiedziała, że mnie tym zrani. Dlaczego to zrobiła?

Pokręcił głową. Myśl o konflikcie w ich małej grupie sprawiła, że poczuł się niepewnie. Chciał to wszystko jakoś wyjaśnić. Chciał, żeby znów było idealnie.

– Jest rozgoryczona, bo to ty jesteś ta ładna – rzekł wreszcie.

Alice parsknęła.

– Jest rozgoryczona, ponieważ jesteśmy szczęśliwi – stwierdziła. – I ponieważ kocha się w Eliocie. Zawsze się kochała. A on jej nie kocha.

Znów ruszyła z miejsca.

– Co? Zaczekaj! – Quentin potrząsnął głową, jakby mógł w ten sposób sprawić, że wszystkie elementy układanki będą do siebie pasowały. – Dlaczego miałyby chcieć Eliota?

– Ponieważ nie może go mieć? – podsunęła Alice z goryczą, nie oglądając się na niego. – A musi mieć wszystko. Dziwię się, że ty nie wpadłeś jej w oko. A co, myślisz, że nie spała z Joshem?

Wyszli z Labiryntu i weszli po schodach na tylny taras, oświetlony żółtym światłem padającym przez przeszkłone drzwi i zaśmiecony przedwcześnie opadłymi liśćmi. Alice wierzchem dłoni doprowadziła się do porządku, na ile się

dało. I tak ledwie się malowała. Quentin stał obok i zatopiony we własnych myślach, w milczeniu podawał jej chusteczki, żeby mogła wysiąkać nos. Nigdy nie przestało go zaskakiwać, ani wtedy, ani przedtem, jak bardzo świat, który go otacza, jest tajemniczy i ukryty przed jego wzrokiem.

PIĄTY ROK

Potem nadszedł wrzesień i Quentin i Alice zostali sami. Reszta Fizycznych Gości wyjechała w wirze opadłych liści i trzeszczeniu pierwszych przymrozków.

Ich wyjazd okazał się szokiem, lecz wraz z szokiem, zmieszana z nim jak wódka w koktajlu, przysłała i wielka ulga. Quentin chciał, żeby było między nimi dobrze, żeby było lepiej niż dobrze, żeby było doskonale. Jednakże doskonałość to krucha sprawa, bo w chwili gdy dojrzysz na niej jakąkolwiek skazę, znika. Doskonałość stanowiła część mitologii, jaką Quentin otaczał Brakebills, historii, jaką opowiadał sam sobie o życiu tutaj, opowieści równie starannie skonstruowanej i z czcią podtrzymywanej jak *Fillory i dalej*. Chciał nie tylko ją sobie opowiadać, ale i w nią wierzyć, a to stopniowo stawało się coraz trudniejsze. Gdzieś pod spodem zbierało się napięcie i w końcu wszystko zaczęło się rozłazić w szwach. Nawet on, z jego imponującą umiejętnością niedostrzegania rzeczy oczywistych, zaczął to w końcu widzieć. Może Alice miała rację. Może Janet naprawdę jej nie znosiła, a kochała Eliota. A może chodziło o coś innego, coś tak jaskrawo oczywistego, że nie potrafił spojrzeć na to wprost. W każdym razie łączące ich więzi zaczęły się przecierać, pomału tracili tę czarodziejską zdolność do automatycznego kochania się nawzajem. A teraz, choć nic już nie będzie takie jak kiedyś, choć już nigdy nie będą tak samo razem, przynajmniej zawsze będzie mógł wspominać ten okres tak, jak zechce. Wspomnienia, na zawsze zatopione w bursztynie, zapewniały bezpieczeństwo.

Kiedy tylko semestr się zaczął, Quentin zrobił coś, co od zbyt dawna odkładał na później. Poszedł do dziekana Fogga i powiedział mu, co się stało z Julią. Fogg tylko

zmarszczył brwi i obiecał, że się tym zajmie. Quentin miał ochotę wskoczyć na biurko, złapać go za te szykowne klapy i potrząsnąć nim, żeby dostrzegł, jaką krzywdę jej zrobił, partacząc zaklęcie zmieniające pamięć. Próbował mu wyjaśnić, że zadał Julii cierpienie, jakiego nikt nie powinien doświadczyć, tymczasem dziekan tylko na niego patrzył, ani poruszony, ani nieporuszony. I w końcu Quentinowi nie pozostało nic innego, jak wymusić na nim obietnicę, że nagnie wszelkie przepisy do granic możliwości, żeby jej to ułatwić. Tylko tyle zdołał wymyślić. Wyszedł z gabinetu Fogga, czując się dokładnie tak samo źle, jak kiedy tam wchodził.

Siedząc przy kolacji albo wędrując między salami wykładowymi po zakurzonych korytarzach pełnych popołudniowego słońca, Quentin zaczął sobie po raz pierwszy uświadamiać, jak bardzo on i Alice odcięli się w ciągu ostatnich dwóch lat od reszty szkoły i jak niewielu studentów tak naprawdę znają. Wszystkie grupy były do pewnego stopnia hermetyczne, lecz Fizyczni Goście wyjątkowo, a teraz zostali z nich tylko oni dwoje. Chodził na zajęcia z resztą piątego roku i rozmawiał przyjacielsko z kolegami, zdawał sobie jednak sprawę, że ich lojalność i uwaga skierowane są gdzie indziej.

– Założę się, że uważają nas za straszliwych snobów – powiedziała pewnego dnia Alice. – Przez to, że trzymamy się z boku.

Siedzieli na chłodnym kamiennym obramowaniu fontanny przezywanej Sammy, nielegalnej kopii rzymskiej fontanny z grupą Laokoona, na środku której węże oplatają świętokradczego kapłana i jego synów. Z ust wszystkich posągów leciała woda. Wyszli z Domu, żeby wypróbować jakieś zawile domowe zaklęcie, które miało usunąć plamy ze spódnicy Alice. Najlepiej wykonywało się je na zewnątrz, zapomnieli jednak podstawowego składnika, kurkumy, a

równocześnie nie mieli jeszcze ochoty wrócić do Domu. Był piękny sobotni jesienny poranek, czy może bardziej południe niż poranek, temperatura wahała się ryzykownie pomiędzy ciepłem a chłodem.

– Tak sądzisz?

– A ty nie?

– Nie no, pewnie masz rację. – Westchnął. – Zapewne tak myślą. Niewdzięczne dranie. To oni są snobami.

Alice wrzuciła przez ramię żołądź do fontanny. Odbiła się od grubej łydki umierającego kapłana i wpadła do wody.

– Uważasz, że my?... Że jesteśmy snobami?

– Nie wiem. Niekoniecznie. Nie, nie sądzę. Przy nich jesteśmy niczym.

– Właśnie. Niektórzy są całkiem fajni.

– Niektórych bardzo poważamy.

– Właśnie.

Quentin zanurzył w wodzie czubki palców.

– Więc co sugerujesz? Że powinniśmy się zaprzyjaźnić?

Wzruszyła ramionami.

– To jedyni czarodzieje w naszym wieku w całej Ameryce. Jedyni równi nam ludzie, z jakimi będziemy mieć do czynienia.

Niebo płonęło błękitem, a gałęzie drzew odcinały się od niego wyraźnie w czystych migotliwych odbiciach w fontannie.

– Dobra – powiedział Quentin. – Tylko nie ze wszystkimi.

– Boże, jasne, że nie! Zastosujemy segregację. Zresztą kto wie, czy oni chcą się z nami zaprzyjaźnić.

– Jasne. Więc z kim?

– To ma znaczenie?

– Oczywiście, że tak, Liś – zapewnił Quentin. – Przecież nie są tacy sami. – „Liś” to było ich własne czułe słówko, zdrobnienie od „lisica”, co stanowiło z kolei aluzję do ich

antarktycznej przygody.

– Czyli z kim?

– Surendra.

– OK. Jasne. Albo nie, on chodzi z tą straszną z drugiego roku. No wiesz, z tą z zębami. Zawsze po kolacji usiłuje namówić ludzi na madrygały. Może Georgia?

– Może za dużo planujemy. Tego się nie da zrobić na siłę. Niech to się stanie naturalnie.

– Dobra. – Quentin patrzył, jak Alice ogląda paznokcie z dziwnie nateżoną ptasią uwagą. Czasami wyglądała tak pięknie, że nie mógł uwierzyć, że się zdecydowała właśnie na niego. Ledwie mógł uwierzyć w jej istnienie.

– Ty musisz to zrobić – zaznaczyła. – Jeśli ja zacznę, nic z tego nie wyjdzie. Wiesz, że jestem żalosna w takich sprawach.

– Wiem.

Rzuciła w niego żołądkiem.

– Wcale nie miałeś się zgodzić.

I tak wspólnym wysiłkiem wyrwali się z odrętwienia i rozpoczęli spóźnioną kampanię stowarzyszenia się z resztą roku. Z większością ludzi prawie zupełnie stracili kontakt. W końcu nie Surendra czy Georgia, ale Gretchen – blondynka, która chodziła o lasce – okazała się kluczem. Pomogło to, że obie z Alice zostały prefektami, co stanowiło dla nich równocześnie źródło dumy i zażenowania. Funkcja nie niosła ze sobą prawie żadnych oficjalnych obowiązków; głównie chodziło po prostu o kolejny absurd, infantylny pomysł zapożyczony z angielskich szkół prywatnych, objaw anglofilii zakodowanej głęboko w instytucjonalnym DNA Brakebills. Prefektami ustanowiono czterech studentów z czwartego i piątego roku, tych z najlepszymi ocenami, którzy mogli (albo musieli) nosić w klapach srebrną szpilkę w kształcie pszczoły. Ich obowiązki sprowadzały się do rzeczy nieistotnych, takich jak regulowanie dostępu do

jedynego telefonu w kampusie, przestarzałego potwora z tarczą ukrytego w pełnej blizn drewnianej budce, ukrytej z kolei pod tylnymi schodami. Zawsze stała do niego kolejka długa na co najmniej dziesięć osób. W zamian mieli wstęp do Pokoju Prefektów, specjalnej zamkniętej bawialni po wschodniej stronie domu, o wysokich, zwieńczonych łukami oknach i barku zaopatrzonym w lepkosłodkie sherry, do którego picia Quentin i Alice zawsze się zmuszali.

Pokój Prefektów stanowił również wspaniałe miejsce do uprawiania seksu, pod warunkiem że ustaliło się to wcześniej z pozostałymi prefektami, ale to zwykle nie stanowiło problemu. Gretchen okazywała wyrozumiałość, ponieważ sama miała chłopaka, a trzecim prefektem została popularna dziewczyna o wystrzępionej blond fryzurze, niejaka Beatrice, której nikt nie uważał za szczególnie bystrą, póki nie została prefektem. Nigdy i tak nie korzystała z tego pokoju. Jedyne problemy polegały więc na unikaniu czwartego prefekta, ponieważ czwartym prefektem był niestety Penny.

Informacja, że Penny został prefektem, okazała się tak wszechstronnie i szokująco zaskakująca, że nikt nie mówił o niczym innym do końca dnia. Quentin ledwie z nim rozmawiał od czasu ich niesławnej bójki i wcale za nim nie tęsknił. Po tamtym dniu Penny stał się samotnikiem, niemal duchem, co nie było łatwe w tak niewielkiej uczelni jak Brakebills. Najwyraźniej miał do tego talent. Przechodził szybko z sali do sali z pustym, nieruchomym wyrazem okrągłej jak patelnia twarzy, wrzucał w siebie jedzenie przy posiłkach, chodził na długie samotne spacerunki, wieczorami po zajęciach przesiadywał w swoim pokoju, kładł się spać wcześniej i wstawał o świcie.

Co jeszcze robił, nikt nie miał pojęcia. Kiedy pod koniec drugiego roku studenci Brakebills podzielili się na specjalizacje, Penny nie został zaliczony do żadnej grupy.

Chodziła plotka, że testowano go pod kątem specjalizacji tak ezoterycznej i dziwacznej, że nie dało się jej sklasyfikować wedle tradycyjnych systemów. Nikt nie wiedział, czy to prawda, a koło jego nazwiska na oficjalnej liście studentów Fogg napisał po prostu niezależny. Potem Penny rzadko zjawiał się na zajęciach, a kiedy już się zjawiał, siedział w milczeniu z tyłu sali, z rękami w kieszeniach wystrzępionej obowiązkowej marynarki. Nigdy nie stawiał pytań ani nie robił notatek. Roztaczał wokół siebie aurę kogoś, kto wie rzeczy, których inni nie wiedzą. Czasami widywano go w towarzystwie profesor Van der Weghe, która podobno nadzorowała jego indywidualny tok nauki.

Pokój Prefektów stawał się coraz ważniejszym miejscem schronienia dla Quentina i Alice, ponieważ ich dawne sanktuarium, Chatka, przestało się do tego nadawać. Quentin nigdy się nad tym tak naprawdę nie zastanawiał, choć w gruncie rzeczy tylko przypadek sprawił, że w zeszłym roku nikt nie został przydzielony do Fizycznych Gości. Natomiast pod koniec poprzedniego semestru zakwalifikowało się aż czterech przyszłych trzeciorocznych i teraz, choć wydawało się to niesprawiedliwe pod każdym możliwym względem, mieli dokładnie takie same prawa do budynku Fizycznych jak on i Alice.

Robili co mogli, by pokazać, że są równi. Pierwszego dnia zajęć siedzieli cierpliwie w bibliotece, kiedy nowi Fizyczni Goście przechodzili przez rytuał wlamywania się do Chatki. Dyskutowali długo i poważnie, co podać przybyszom, kiedy wreszcie wejda, w końcu zdecydowali się na dobrego szampana i – nie chcąc być samolubni, choć dokładnie tak się czuli – nieprzyzwoicie drogi talerz ostryg i kawioru z małenkimi grzankami i *creme fraiche*.

– Bomba! – powiedzieli nowi Fizyczni Goście, kiedy jeden po drugim wchodzili do środka. Obejrzeliby wielkie

wnętrze. Obejrzeliby bibeloty i pianino, i szafkę z ułożonymi w porządku alfabetycznym różdżkami. Wydawali się niemożliwie młodzi. Quentin i Alice pogadali z nimi, starając się wykazać dowcipem i doświadczeniem, bo tak zapamiętali innych, kiedy sami tu weszli po raz pierwszy.

Trzecioroczni zasiedli rzędem na kanapie, wierceili się i za szybko popijali szampana, jak dzieci, które tylko czekają, kiedy się je zwolni. Zadawali uprzejme pytania o obrazy i bibliotekę. Czy książki można wynosić poza budynek? Czy naprawdę jest tu pierwsze wydanie *Abecadariańskich arkanów* pióra samego pseudo-Dionizego? Naprawdę. A kiedy zbudowano Chatkę? Naprawdę! Wow. Kawał czasu. No niemal prawieki.

Potem, po odpowiedniej przerwie, zniknęli wszyscy w pokoju bilardowym. Nie wykazywali ochoty na towarzystwo Quentina i Alice, a ci z kolei nie mieli większej ochoty oglądać ich więcej na oczy, więc zostali sami. Przez cały wieczór słyszeli odgłosy towarzyszące zaprzyjaźnianiu się nastolatków. Stało się dla nich jasne, że są reliktem poprzedniej epoki, który stracił cały urok. Zatoczyli pełne koło. Znow stali się outsiderami.

– Czuję się jak podeszły wiekiem docent – powiedział Quentin.

– Już zdążyłam zapomnieć, jak się nazywają – stwierdziła Alice. – Jakby istnieli tylko jako grupa.

– Powinniśmy ich ponumerować. Możemy im powiedzieć, że to taka tradycja.

– A potem zawsze będziemy ich nazywać niewłaściwym numerem. Wkurwiać ich. Albo nazywać ich wszystkich tym samym imieniem. Na przykład Alfred.

– Nawet dziewczyny?

– Szczególnie dziewczyny.

Popijali ciepłe resztki szampana. Zaczynali być pijani, ale Quentin miał to w nosie. Z pokoju bilardowego dobiegł

ich brzęk rozbijanego szkła – zapewne kieliszka od szampana – i chwilę później szcęk otwieranego okna i czyichś torsji. Należało mieć nadzieję, że zwymiotował za okno.

– Problem z dorastaniem polega na tym, że kiedy dorośniesz, ludzie, którzy jeszcze nie dorośli, przestają być zabawni – powiedział Quentin.

– Powinniśmy byli spalić to miejsce – oświadczyła Alice ponuro. Teraz zdecydowanie zdążyli się już upić. – Wyjść stąd i podpalić.

– A potem odejść w siną dal na tle płomieni, jak w filmie.

– Koniec ery. Koniec epoki. Czego? Ery czy epoki? Jaka jest różnica?

Quentin nie wiedział. Będą musieli znaleźć coś innego, pomyślał niejasno. Coś nowego. Nie mogą tu zostać. Nie mogą wrócić. Mogą iść tylko do przodu.

– Myślisz, że my też tacy byliśmy? – spytał. – Jak te dzieciaki?

– Zapewne. Założę się, że nawet gorsi. Nie mam pojęcia, jak inni z nami wytrzymywali.

– Masz rację – odparł. – Masz rację. Boże, są od nas o wiele milsi.

Tej zimy Quentin nie pojechał do domu na ferie. Koło Bożego Narodzenia – tego z prawdziwego świata – wciśnięty do starej budki telefonicznej pod tylnymi schodami, z jedną stopą opartą o drewniane drzwi harmonijkowe, odbył zwyczajową rozmowę z rodzicami na temat niezwyklego rozkładu zajęć w Brakebills, o którym musiał im przypominać co rok. A potem, kiedy nadeszło Boże Narodzenie według kalendarza Brakebills, w prawdziwym świecie był prawie marzec i rezygnacja z wyjazdu do domu przestała się wydawać jakąś wielką sprawą. Gdyby rodzice

go poprosili – gdyby choć przelotnie okazali, że chcą go zobaczyć albo że są rozczarowani, że nie przyjedzie – pewnie by pojechał. Na pewno by pojechał. Tylko że oni pozostali równie beztroscy, obojętni i bezbarwni jak dawniej. A poza tym poczuł się bardzo niezależny, chłodno informując ich, że ma inne plany i dziękuje bardzo.

Zamiast tego pojechał do Alice. Ona to zaproponowała, choć w miarę zbliżania się ferii Quentin zaczął się zastanawiać, dlaczego go zaprosiła, ponieważ ta perspektywa wyraźnie wprawiała ją w samobójcze niemal zażenowanie.

– Nie wiem! Nie wiem! – powiedziała, kiedy ją zapytał. – Wydawało mi się, że jak się z kimś chodzi, robi się takie rzeczy.

– Wszystko jedno, nie muszę jechać. Mogę tu zostać. Powiedz swoim, że musiałem skończyć pisać pracę czy coś. Zobaczymy się w styczniu.

– Nie chcesz pojechać?

– Oczywiście, że chcę. Chcę zobaczyć, skąd pochodzisz. Chcę, żeby twoi rodzice wiedzieli, jaki jestem. A Bóg mi świadkiem, nie zabiorę cię do domu moich rodziców.

– No dobrze. – Wcale nie wydawała się spokojniejsza. – Obiecujesz ich nienawidzić równie mocno jak ja?

– Och, jasne – odparł. – Może nawet bardziej.

Towarzyszące początkowi ferii otwieranie portali do domów było skomplikowaną i nużącą procedurą. Nieodmiennie tworzyła się wtedy wielka kolejka objuczonych bagażem studentów, która wiała się wąskim korytarzem prowadzącym do głównej bawialni, gdzie profesor Van der Weghe nadzorowała wysyłanie ludzi tam, gdzie chcieli się udać. Wszyscy czuli wielką ulgę, że egzaminy dobiegły końca, przepychali się i tręcali, i piszczeli, i rzucali pomniejszych zaklęcia pirotechniczne. Quentin i Alice czekali razem w milczeniu, poważnie, ramie

w ramię, przy swoim bagażu. Quentin starał się wyglądać tak szacownie, jak tylko potrafił. W zasadzie nie miał już ubrań, które nie byłyby obowiązkowym strojem Brakebills.

Wiedział, że Alice pochodzi z Illinois i że Illinois leży na Środkowym Zachodzie, choć nie potrafiłby podać położenia tego stanu z dokładnością do tysiąca kilometrów. Wyjawszy wakacje w Europie jeszcze za czasów szkoły średniej, w zasadzie nie opuszczał Wschodniego Wybrzeża, a edukacja w Brakebills niespecjalnie poprawiła jego znajomość geografii. Okazało się, że i tak nie miał okazji zobaczyć Illinois, a przynajmniej jakiegoś większego kawałka stanu.

Profesor Van der Weghe otworzyła portal prowadzący prosto do przedpokoju w domu rodziców Alice. Kamienne ściany, mozaiki na podłodze, drzwi z ciężkim nadprożem. W zasadzie dokładna replika tradycyjnej rzymskiej rezydencji. Rozlegało się tu echo jak w kościele. Zupełnie jakby się znalazł w muzeum i wszedł za czerwony sznur oddzielający eksponaty od zwiedzających. Magię się dziedziczyło – pod tym względem Quentin należał do wyjątków – i rodzice Alice oboje byli czarodziejami. Ona nigdy nie musiała się wykręcać od odpowiedzi na pytanie, gdzie się uczy, tak jak on przy swoich rodzicach.

– Witaj w domu, o którym czas zapomniał zapomnieć – powiedziała ponuro, wkopując torbę do kąta. Wzięła go za rękę i poprowadziła niepokojąco długim ciemnym korytarzem do położonej kilka stopni niżej bawialni, pełnej poduszek i twardych rzymskich kanap ustawionych pod niefrasobliwymi kątami. Na środku stała skromna, chlapiąca wodą fontanna.

– Tata przemeblowuje wszystko co kilka lat – wyjaśniła.
– Zajmuje się głównie magią architektoniczną. Kiedy byłam mała, mieszkaliśmy w stylu barokowym, no wiesz, złote klamki u drzwi i tak dalej. Nawet miło. Potem nastał okres japońskich parawanów z papieru, przez które wszystko było

słyszeć. Następnie okres Fallingwater, no wiesz, Franka Lloyda Wrighta, póki mama z jakichś powodów nie zaprotestowała przeciwko mieszkaniu na zapleśniałej farmie. A potem przez krótki czas mieliśmy tu wielki stary irokeski długi dom z klepiskiem zamiast podłogi. Żadnych ścian. Przekomiczne. Musieliśmy tatę błagać o prawdziwą łazienkę. Chyba na serio oczekiwał, że będziemy patrzeć, jak sra do dziury w podłodze. Wątpię, żeby nawet Indianie tak robili.

To powiedziawszy, usiadła ciężko na rzymskiej kanapie obitej twardą skórą, otworzyła książkę i w skupieniu pograżyła się w wakacyjnej lekturze.

Quentin wiedział, że czasami lepiej przeczekać chandrę Alice, niż próbować ją z niej wyrwać. Każdy ma własne idiosyncrasy reakcje na dom rodzinny, spędził więc następną godzinę na wałęsaniu się po domostwie, które naśladowało dokładnie bogaty dom z Pompejów, łącznie z pornograficznymi freskami. Wszystko było obsesyjnie autentyczne z wyjątkiem łazienek – tu ewidentnie zgodzono się na pewne ustępstwa. Nawet kolacja, podana przez grupę metrowej wysokości ożywionych drewnianych marionetek, które chodząc, postukiwały cicho, okazała się odrażająco historyczna: mózg cielęcy, języki papug, pieczony węgorz, wszystko tak pieprzne, że prawie niejadalne, jakby i bez tego nie było nie do zjedzenia. Na szczęście podano też masę wina.

Przeszli właśnie do trzeciego dania, nadziewanej pieczonej świńskiej macicy, kiedy w drzwiach pojawił się niski korpulentny mężczyzna o okrągłej twarzy. Miał na sobie znoszoną togę zszarzałą jak nieprana pościel. Nie golił się od kilku dni, więc jego szyję pokrywał ciemny zarost, a resztki włosów na głowie gwałtownie domagały się strzyżenia.

– *Ave atque vales!* – wykrzyknął. Wykonał kunsztowny,

wyglądający na zmyślony rzymski salut, który niepokojąco przypominał pozdrowienie nazistowskie. – *Domus Danielus* was wita.

Po czym skrzywił się, dając do zrozumienia, że z winy słuchaczy ten żart nie jest śmieszny.

– Cześć, tato – powiedziała Alice. – Poznaj mojego przyjaciela Quentina.

– Cześć. – Quentin wstał. Próbował jeść na leżąco, na modłę rzymską, ale okazało się to trudniejsze, niżby się wydawało, i ciągle łapał go skurcz w boku. Ojciec Alice potrząsnął jego wyciągniętą ręką. Najwyraźniej w połowie uścisku zapomniał, co robi, bo popatrzył ze zdumieniem na cudzą kończynę w swojej dłoni.

– Naprawdę to jecie? Godzinę temu zamówiłem pizzę z Domino.

– Nie wiedzieliśmy, że jest coś innego. Gdzie mama?

– Kto to może wiedzieć? – Ojciec Alice wytrzeszczył oczy, jakby mowa była o jakiejś okropnej tajemnicy. – Kiedy ją ostatni raz widziałem, pracowała na dole nad jakąś swoją kompozycją.

Zbiegł po schodkach do bawialni, klapiąc sandałami po płytkach, i nalał sobie wina z karafki.

– A kiedy to było? W listopadzie?

– Nie pytaj mnie. Tracę poczucie czasu w tym pieprzonym domu.

– Dlaczego nie zrobisz okien? Cholernie tu ciemno.

– Okien? – Ponownie wytrzeszczył oczy. Najwyraźniej ograniczał się do tego jednego środka ekspresji. – Mówisz o jakiejś barbarzyńskiej magii, o której my, szlachetni Rzymianie, nie mamy pojęcia!

– Dokonał pan tutaj wspaniałego dzieła – wpadł mu w słowo Quentin, kwintesencja lizusa. – Wszystko wygląda bardzo autentycznie.

– Dziękuję. – Ojciec Alice opróżnił kieliszek, po czym

usiadł ciężko na kanapie, przy okazji oblewając sobie przód togi ostatnimi kroplami wina. Miał grube i blade łydki, czarna szczecina stała na nich na baczność jak naładowana prądem. Quentin się zastanawiał, jakim cudem prześliczna Alice mogła mieć choć jeden wspólny gen z tą osobą.

– Stworzenie tego wszystkiego zajęło mi trzy lata – wyjaśnił ojciec Alice. – Trzy lata. I wiesz co? Mam tego dość już po dwóch miesiącach. Nie mogę jeść tego żarcia, toga nie chce się doprać, a od chodzenia po kamiennych podłogach dostałem zapalenia powięzi. Jaki cel ma moje życie? – Spojrzał naraz na Quentina, jakby naprawdę oczekiwał odpowiedzi, jakby Quentin ukrywał ją przed nim. – Czy ktoś mi to może powiedzieć? Ponieważ ja nie mam pojęcia! Najmniejszego!

Alice zmierzyła go takim wzrokiem, jakby właśnie zamordował jej ukochanego kotka. Quentin trwał zupełnie nieruchomo, na wypadek gdyby ojciec Alice miał wzrok jak dinozaur i potrafił dostrzec tylko poruszające się obiekty. Wszyscy troje siedzieli przez długą chwilę w pełnej skrępowania ciszy. Potem ojciec Alice wstał.

– *Gracias*. I dobranoc.

Zarzucił sobie na ramię połę togi, po czym wyszedł z pokoju. Marionetki, stukając po kamiennej podłodze, wytarły po nim rozlane wino.

– To właśnie cały mój tata! – powiedziała Alice głośno i przewróciła oczami, jakby oczekiwała, że z playbacku rozlegnie się nagrany śmiech. Nie rozległ się.

Tkwiąc w samym środku tego domowego pustkowiec, Alice i Quentin wypracowali sobie szybko rozsądną, a nawet wygodną rutynę, choć czuli się jak najeźdźcy, którzy zapuścili się głęboko na terytorium wroga. Quentin miał poczucie dziwnego wyzwolenia otoczony cudzą tragedią rodzinną – widział złą energię emanującą ze wszystkich kątów, pokrywającą swoimi trującymi cząsteczkami każdą

powierzchnię, ale jemu nie czyniła żadnej krzywdy, była jak strumień neuronów. Czuł się tu wręcz Supermanem, człowiekiem z obcej planety, a to czyniło go odpornym na miejscowe okrucieństwo. Widział jednak, jak ta energia niszczy Alice, więc próbował ją ochronić najlepiej jak umiał. Instynktownie wyczuwał panujące tu zasady, ponieważ wiedział, co znaczy mieć rodziców, którzy cię ignorują. Jedyna różnica polegała na tym, że jego rodzice ignorowali go, ponieważ się kochali, natomiast rodzice Alice ignorowali ją, ponieważ się nienawidzili.

Na szczęście dom był cichy i dobrze zaopatrzony w rzymskie wino, słodkie, niemniej nadające się do picia. Zapewniał również prywatność: mogli z Alice mieszkać w jednym pokoju, a jej rodziców to nie obchodziło, może nawet nic nie zauważyli. No i były łaźnie: ojciec Alice wykopał wielkie podziemne łaźnie rzymskie i wyekstrahował do nich wody gruntowe z lasów Środkowego Zachodu, a oni mieli je tylko dla siebie. Co rano spędzali dobrą godzinę, próbując się nawzajem wrzucić do wrzącego *caldrium* i lodowatego *frigidarium* – oba równie nie do zniesienia – a potem skakali nadzy do *tepidarium*.

W ciągu tych dwóch tygodni Quentin widział matkę Alice dokładnie raz. Jeszcze mniej przypominała Alice niż jej ojciec: chuda i wysoka, wyższa od męża, miała długą, wąską ruchliwą twarz i suchy pęk ciemnoblonde włosów związany z tyłu głowy. Opowiadała mu z powagą o swoich studiach nad muzyką wrózek, która jak wyjaśniła, rozpisana jest na maleńkie dzwonki i niesłyszalna dla ludzi. Wygłaszała mu wykład przez niemal godzinę, bez żadnej zachęty z jego strony, i ani razu nie spytała go, kim jest i co właściwie robi w jej domu. W pewnym momencie jedna z jej małych piersi wywędrowała z dekoltu swetra z brakującymi guzikami, pod którym nie nosiła zupełnie nic. Schowała ją bez cienia skrępowania. Quentin odniósł wrażenie, że

minęło sporo czasu, odkąd z kimś rozmawiała.

– Trochę się martwię o twoich rodziców – powiedział do Alice tego popołudnia. – Mam wrażenie, że mogą być zupełnie szaleni.

Wycofali się do sypialni Alice i w szlafrokach leżeli obok siebie na jej ogromnym łóżku, patrząc na mozaikę na suficie: Orfeusz śpiewający baranowi, antylopie i stadku uważnie słuchających ptaków.

– Czyżby?

– Alice, chyba zdajesz sobie sprawę, że są dość dziwni.

– Tak sędzę. To znaczy, nienawidzę ich, jednak to moi rodzice. Nie postrzegam ich jako szalonych. Postrzegam ich jako normalnych ludzi, którzy zachowują się w ten sposób celowo, żeby mnie dręczyć. Kiedy mówisz, że są umysłowo chorzy, pozwalasz im się wykpić. Pomagasz im uniknąć kary... Poza tym myślałam, że uznasz ich za interesujących – dodała. – Wiem, jak się intelektualnie podniecasz magicznymi sprawami. Więc *voilà*, dla twojej rozrywki dwoje zawodowych czarodziejów.

Zastanawiał się, tylko teoretycznie, które z nich dwojga ma gorzej. Rodzice Alice zaliczali się do toksycznych monstrów, ale przynajmniej to się rzucało w oczy. Jego rodzice bardziej przypominali wampiry albo wilkołaki – udawało im się uchodzić za ludzi. Mógł sobie bredzić o ich okrucieństwie do woli, lecz wiedział, że mieszkańcy wioski i tak mu nie uwierzą, póki nie będzie za późno.

– W każdym razie już wiem, skąd masz takie talenty towarzyskie – powiedział.

– Zrozum, ty nie wiesz, jak to jest dorastać w rodzinie czarodziejów.

– No fakt, nie wiedziałem, że musiałaś nosić toge.

– Nie musiałam nosić togi. I na tym właśnie polega problem, Quen. Nic nie musisz. Właśnie tego nie rozumiesz! Nie znasz żadnych dorosłych czarodziejów prócz

nauczycieli. A tutaj jest pustynia. Możesz nic nie robić albo robić wszystko, albo cokolwiek i to nie ma żadnego znaczenia. Musisz znaleźć sobie coś, na czym naprawdę ci zależy, żeby nie zwariować. Wielu czarodziejom to się nie udaje.

Jej ton był dziwnie nagły, niemal pełen złości. Quentin próbował za nią nadażyć.

– Chcesz powiedzieć, że twoim rodzicom się nie udało?

– Nie, nie udało im się, mimo że mieli dwoje dzieci, co powinno im dać przynajmniej dwie dobre opcje. Mam wrażenie, że zależało im na Charliem, a kiedy go stracili, całkiem się pogubili. I tacy teraz są.

– A twoja matka i te orkiestry wrózek? Mam wrażenie, że traktuje to bardzo poważnie.

– Tylko po to, żeby denerwować ojca. Nie jestem nawet pewna, czy one istnieją.

Nagle Alice przekręciła się i usiadła na nim. Oparła mu ręce na ramionach, przyciskając go do materaca. Jej włosy niczym połyskliwa zasłona opadły mu na twarz, łaskotały. Nabrała nagle bardzo autorytatywnego wyglądu bogini wychylającej się z nieba.

– Quentinie, musisz mi obiecać, że nigdy nie będziemy tacy jak oni. – Ich nosy niemal się stykały. Jej ciężar działał na niego podniecająco, lecz twarz Alice pozostała poważna i pełna złości. – Wiem, że nastawiasz się na wyzwania, smoki i walkę ze złem, i co tam jeszcze, jak w Fillory. Wiem, że tak myślisz. Wcale tak nie będzie, tylko ty jeszcze tego nie rozumiesz. Potem nic nie ma. Dlatego musisz mi obiecać, Quentinie, że nigdy nie staniemy się tacy, że nie będziemy mieć głupich hobby, które wszystkich guzik obchodzą. Ze nie będziemy robić bezużytecznych rzeczy przez cały dzień i nie znienawidzimy się, i nie będziemy marzyć o śmierci.

– Wiele żadasz – stwierdził. – Niech będzie. Obiecuję.

– Mówię poważnie. To nie będzie łatwe. Będzie dużo

trudniejsze, niż sądzisz. Oni nawet o tym nie wiedzą. Myśla, że są szczęśliwi. I to jest najgorsze.

Nie patrząc, rozwiązała troczki jego spodni od pizamy. Rozebrała go, ani na moment nie spuszczać oczu z jego twarzy. Jej szlafrok rozchyłał się na piersiach, a pod spodem nie miała absolutnie nic. Quentin wiedział, że mówi coś ważnego, lecz nie chytał tego. Włożył ręce pod jej szlafrok, poczuł jej gładkie plecy, wcięcie w tali. Jej ciężkie piersi otarły się o jego klatkę piersiową. Zawsze będą mieli magię. Będą ją mieli na zawsze. Więc o co chodzi?

– Może są szczęśliwi – powiedział. – Może właśnie tacy są.

– Nie, Quentinie. Nie są. – Wsunęła rękę w jego włosy i pociągnęła mocno, aż zabolęło. – Boże, czasami jesteś taki dziecinny.

Poruszali się teraz razem, oddychali ciężko. Quentin był w niej i nie mogli już rozmawiać, tyle że Alice cały czas powtarzała:

– Obiecuj mi, Quentinie. Obiecuj mi. Po prostu mi obiecuj.

Mówiła to ze złością, z naciskiem, raz po raz, jakby się z nią spierał, jakby nie chciał się zgodzić w tej chwili na wszystko.

ROZDANIE DYPLOMÓW

W pewnym sensie te ferie okazały się katastrofą. Prawie nie wychodzili na dwór, wyjąwszy kilka spacerów (przedsięwziętych żwawym truchtem) po lodowatych przedmieściach Urbany, tak płaskich i pustych, że mieli wrażenie, iż lada chwila spadną w olbrzymie niebo. Jednak pod innymi względami było idealnie. Stali się sobie bliżsi. Pobyt w domu Alice pomógł Quentinowi zrozumieć, dlaczego jest właśnie taka. Nie pokłócili się ani razu – przerażający przykład jej rodziców sprawił, że czuli się młodzi i romantyczni. W pierwszym tygodniu ferii skończyli całą pracę domową i mogli nie robić absolutnie nic. Kiedy drugi tydzień dobiegał końca, miotali się jak lwy w klatce i marzyli o powrocie do nauki.

Od lata prawie nie mieli wieści od pozostałych. W gruncie rzeczy Quentin się ich nie spodziewał. Oczywiście ciekawiło go, jak to jest w prawdziwym świecie, ale uznał, że Eliot i Josh, i Janet są zajęci wspinaniem się na jakiś niepojęty nowy szczybel luzactwa, leżący znacznie powyżej Brakebills, tak jak Brakebills leżało znacznie powyżej Brooklynu czy Chesterton, i czułby się zawiedziony, gdyby nadal mieli czas i chęć zawracać sobie głowę kontaktem z nimi.

Na ile mógł wydedukować z fragmentarycznych doniesień, mieszkali wszyscy razem w mieszanin w centrum Manhattanu. Jedyłą przyzwoitą korespondentką okazała się Janet, która co dwa tygodnie przysyłała im najweselszą kartkę *I Love New York*, jaką zdołała znaleźć. Pisała drukowanymi literami, ograniczając interpunkcję do minimum.

KOCHANI Q & A

POSZLIŚMY W ZESZŁYM TYGODNIU W TRÓJKĘ DO CHINATOWN PO ZIOŁA. ELIOT KUPIŁ MONGOLSKĄ KSIĘGĘ ZAKLEĆ. JEST PO MONGOLSKU I TWIERDZI ŻE POTRAFI JĄ PRZECZYTAĆ A JA UWAŻAM ŻE TO MONGOLSKIE PORNO.

JOSH KUPIŁ MAŁEGO ZIELONEGO ŻÓŁWIA I NAZWAŁ GO GEMARA OD TEGO POTWORA. ZAPUSZCZA BRODĘ JOSH NIE GEMARA. MUSICIE [reszta była napisana maleńkim, ledwie czytelnym pismem zachodzącym na miejsce na adres] TU PRZYJECHAĆ BRAKEBILLS TO PRYSZCZ PRZY NYC A ELIOT PIJE JAK SMOK PRZESTAŃ ELIOT PRZESTAŃ ZABIJĘ CIĘ ZA TO ZABIJĘ CIĘ 1000 RAZY... [nieczytelne]

*CAŁUSY
J**

Pomimo powszechnego oporu, a może z jego powodu, dziekan Fogg zgłosił Brakebills do międzynarodowych zawodów w weltersach i Quentin po raz pierwszy odwiedził zagraniczne szkoły magii, choć niewiele tam zobaczył, wyjąwszy szachownicę do weltersów i od czasu do czasu jadalnię. Grali na zielonym jak szmaragd dziedzińcu średniowiecznej twierdzy w mglistych Karpatach i na terenie wydzielonym z niekończącej się argentyńskiej pampy. Na wyspie Rishiri leżącej opodal północnego wybrzeża Hokkaido grali na najpiękniejszej szachownicy, jaką Quentin kiedykolwiek widział. Piaszczyste kwadraty były olśniewająco białe i idealnie zagrabione, na kwadratach trawiastych trawę przycięto do przepisowych 12 milimetrów wysokości, a kwadraty wodne parowały w zimnym powietrzu. Niesamowicie przypominające ludzi mały obserwowały grę ze zmarszczonymi brwiami, siedząc na pogiętych sosnach. Ich łyse różowe twarze wynurzały się ze śnieżnobiałego futra.

Podróże Quentina skończyły się raptownie, kiedy ku wielkiemu zażenowaniu dziekana Fogga zespół Brakebills przegrał wszystkie sześć meczów pierwszej kolejki i wypadł z turnieju. Ich wynik przeszedł do historii, kiedy już w pierwszej rundzie meczów pocieszenia, na własnej szachownicy, zostali pokonani przez paneuropejski zespół, na którego czele stała małeńka zażarta Luksemburgka o kręconych włosach. Quentin, podobnie jak wszyscy koledzy z zespołu Brakebills i nawet niektóre dziewczyny, natychmiast poczuł do niej pociąg.

Sezon weltersów skończył się ostatniego dnia marca i nagle Quentin stanął twarzą w twarz z końcem swej kariery w Brakebills, od którego dzieliła go niewielka przepaść dwóch miesięcy. Czuł się tak, jakby wędrował po ogromnym pozłacanym mieście, zachodził w boczne uliczki, zwiedzał budynki, krążył pod arkadami projektu de Chirico i po małych ukrytych piazzach, cały czas mając wrażenie, że ślizga się po powierzchni, że zwiedził jedynie małeńki fragment. A potem nagle skręcił za róg i okazało się, że obejrzał całe miasto, że pozostawił je za sobą i została mu już tylko jedna prosta ulica prowadząca poza jego teren.

Teraz nawet najmniej znaczące rzeczy zaczęły się wydawać doniosłe, nabrzmiałe pełną antycypacji nostalgia. Kiedy przechodząc z sali do sali, mijał czasami okno na tyłach Domu, jego wzrok rejestrował cień ruchu, odległą postać studenta idącego przez Morze albo wystrzyżonego z żywopłotu niezdarnego flaminga, który strząsnął czapkę śniegu ze swego zielonego łebka. Uświadamiał sobie wtedy nagle, że nigdy więcej nie zobaczy tego konkretnego ruchu, a jeśli nawet, to będzie go widział w przyszłości jako jakąś niewyobrażalnie odmienna osoba.

Były też inne chwile, kiedy miał totalnie dość Brakebills, wszystkiego i wszystkich, kiedy odnosił wrażenie, że to skrzywione ciasne i klaustrofobiczne

miejsce, z którego powinien się wydostać za wszelką cenę. Przez cztery lata ledwie postawił stopę poza kampusem. Mój Boże, nosił nawet szkolny mundurek! To tak jakby odbębnił cztery dodatkowe lata szkoły średniej! Studenci Brakebills mieli szczególny sposób wyrażania się, afektowaną, hiperwyraźną i quasi-brytyjską dykcję, jakby właśnie wykorzystali zdobyte z trudem stypendium Rhodesa i chcieli, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Ta dykcja, skutek uboczny skomplikowanych ćwiczeń językowych, sprawiała, że Quentinowi nóż się otwierał w kieszeni. No i była jeszcze obsesja nazywania wszystkiego, co popadnie. W każdym pokoju studenckim w Brakebills stało dokładnie takie samo biurko, szerokie monstrum z drzewa wiśniowego, które zamówiono hurtowo w drugiej połowie XIX wieku. Biurka miały masę małych szufladek i przegródek, a każda nosiła własną nazwę. Za każdym razem kiedy Quentin słyszał, jak ktoś mówi o „atramentówce” albo „uchu dziekana”, szukał wzroku Alice i przewracał oczami. Słodki Jezu, czy oni mówią serio? Musimy się stąd wydostać.

Dokąd jednak konkretnie miałyby się udać? Ten problem najwyraźniej nie spędzał nikomu snu z oczu. Nikt się specjalnie nie przejmował skończeniem szkoły, natomiast Quentinowi wszystko, co dotyczyło świata poza Brakebills, wydawało się niebezpiecznie niejasne i nieprzemyślane. Prześladowały go znudzone, rozmemłane widma rodziców Alice. Co będzie robił? Co dokładnie? Wszelkie ambicje, jakie dotąd żywił, zostały zrealizowane w dniu, kiedy został przyjęty do Brakebills. Próbował sobie wymyślić jakieś nowe, coś, co miałoby w miarę praktyczny charakter. To nie było Fillory, gdzie trwała magiczna wojna. Nie mieli Nadzorczyńni Czasu, którą należało usunąć, ani zła, które należało pokonać, a wszystko inne wydawało się prozaiczne i niewarte zachodu. Nikt nie mówił tego na głos, lecz magiczna ekologia świata cierpiała z powodu

poważnego braku równowagi: zbyt wielu czarodziejów, za mało potworów.

A jeszcze gorsze okazało się to, że tylko on zdawał się tym przejmować. Masa studentów już teraz aktywnie włączała się w prace uznanych magicznych organizacji. Surendra opowiadał każdemu, kto chciał słuchać, o konsorcjum czarodziejów – nie otrzymał jeszcze odpowiedzi, jednak trwał w niezachwianym przekonaniu, że go przyjmą w swoje szeregi – którzy spędzali czas na suborbitalnych wysokościach, wypatrując zabłąkanych asteroid i zbyt wielkich wybuchów słonecznych, i innych potencjalnie zabójczych dla Ziemi niebezpieczeństw. Wielu studentów zamierzało się zająć badaniami. Alice przeglądała program studiów podyplomowych w Glasgow, choć żadnemu z nich nie przypadł do gustu pomysł rozstania się. Ani taka możliwość, że Quentin pojedzie z nią do Szkocji i będzie się tam kręcił bez przydziału.

Za bardzo szpanerskie uważano zejście do podziemia, infiltrowanie rządów i grup ekspertów, i organizacji pozarządowych, nawet wojska, żeby zza magicznych kulis wywierać wpływ na sprawy prawdziwego świata. Ludzie poświęcali na to lata życia. Istniały też bardziej egzotyczne możliwości. Kilku czarodziejów – szczególnie Iluzjoniści – przedsięwzięło wielkie projekty artystyczne: manipulowali zorzą polarną i tym podobnymi rzeczami, rzucając wieloletnie zaklęcia, które w zasadzie miały jednoosobową publiczność. Istniała potężna sieć uczestników gier wojennych, którzy co roku dla zabawy rozgrywali światowy konflikt zgodnie z arbitralnie narzuconymi celami taktycznymi, czarodzieje przeciwko czarodziejom. Nie tajono, że kiedyś ktoś przy okazji zginął. No ale na tym polega przecież cała zabawa.

I tak dalej, i tak dalej. Wszystko to brzmiało całkowicie i straszliwie prawdopodobnie. Każda z tysięcy możliwości

obiecowała – w zasadzie gwarantowała – bogatą, spełnioną, pełną wyzwań przyszłość, więc dlaczego Quentin tak rozpaczliwie szukał innej drogi wyjścia? Dlaczego nadal czekał na nadejście jakiejś wielkiej przygody? I choć tonął, dlaczego się odsuwał, ilekroć ktoś wyciągał do niego pomocną dłoń? Profesorowie, z którymi rozmawiał na ten temat, nie wydawali się przejęci. Nie rozumieli, na czym polega jego problem. Co powinien robić? Ależ przecież co zechce.

Równocześnie Quentin i Alice pracowali w pocie czoła nad obowiązkową pracą dyplomową, choć ich entuzjazm stopniowo zniknął. Alice próbowała wyizolować pojedynczy foton i unieruchomić go, przerwać jego lot z prędkością światła. W tym celu z drewna i szkła, i piekielnie skomplikowanej sferycznej płataniny gorejącej kolorem indygo czarnej magii, zbudowała kunsztowną pułapkę na fotony, ostatecznie jednak nikt nie wiedział na pewno, czy foton się tam złapał czy nie. Jakoś nie potrafili wymyślić sposobu, by dowieść którejś z tych opcji. Alice zwierzyła się Quentinowi w zaufaniu, że sama też nie jest do końca pewna i ma szczerą nadzieję, że nauczyciele sami to rozstrzygną, ponieważ czuje, że od tego wariuje. Po tygodniu coraz bardziej marudnych dyskusji komisja egzaminacyjna postanowiła dać Alice najniższą ocenę zaliczającą i zostawić sprawę tak, jak jest.

Z kolei Quentin planował polecieć na Księżyc i z powrotem. Zważywszy na odległość, uznał, że na drogę w jedną stronę wystarczą mu dwa dni, jeśli będzie się poruszał po prostej. Po swoich doświadczeniach na Antarktydzie po mistrzowsku umiał rzucać zaklęcia rozgrzewające (choć nie była to jego specjalizacja. W zasadzie dał już sobie spokój z poszukiwaniem specjalizacji). Pomysł miał w sobie pewien romantyczny, nawet liryczny smaczek. Wyruszył z Morza pewnego

jasnego, gorącego i wilgotnego wiosennego poranka, odprowadzany przez Alice, Gretchen i dwoje największych lizusów z nowych Fizycznych Gości. Zakłęcia ochronne stworzyły wokół niego wyraźną bańkę. Dźwięki dobiegały przez nią zniekształcone, a zielony trawnik i uśmiechnięte twarze widzów były dziwacznie rozdęte, jakby oglądane przez rybie oko. Kiedy zaczął się wzbijać, Ziemia stopniowo zmieniała się z nieskończonej matowej równiny w promienistą niebieską kulę. Nad jego głową pojawiły się gwiazdy, robiły się coraz wyraźniejsze, jaśniejsze i nie tak migotliwe.

Po sześciu godzinach podróży poczuł, że gardło mu się zaciska, a w bębunki uszne wbijają się stalowe szpony. Oczy wyraźnie usiłowały wyskoczyć mu z orbit. Zszedł z kursu, a jego zaimprovizowana kapsuła-bańka zaczęła się rozpadać. Zamachał rękami niczym szalony dyrygent, *prestissimo*, proszę, i powietrze na powrót zgęstniało i rozgrzało się, jednak cały projekt jakoś przestał mu się wydawać zabawny. Dostawał ataków dreszczy, rżenia i nerwowego śmiechu, których nie potrafił opanować. Jezu, pomyślał. Czy kiedykolwiek robił coś mniej wartego ryzykowania życia? Bóg raczy wiedzieć, ile promieniowania kosmicznego już zaabsorbował. Przestrzeń była pełna małych podstępnych cząstek.

Zawrócił. Rozważał możliwość ukrycia się na kilka dni i udawania, że dotarł na Księżyc. Może udałoby mu się kupić trochę księżycowego pyłu od Lovelady'ego i przedstawić go jako dowód. Powietrze zrobiło się cieplejsze, niebo jaśniejsze. Odprężył się, ogarnęła go mieszanka ulgi i wstydu, w wyrównanych proporcjach. Świat pod nim znów przyspieszył: pełne szczegółów wybrzeże, niebieska woda strukturą przypominająca kutą blachę, przyzywający palec Cape Cod.

Najgorszą częścią projektu okazało się wkroczenie do

jadalni wieczorem, dwa dni za wcześnie, z głupawym uśmiechem „tak, owszem, schrzałem” przyklepionym do poparzonej na czerwono twarzy. Po kolacji pożyczył klucz od Alice i zaszył się w Pokoju Prefektów, gdzie wypił za dużo sherry. Pił ją samotnie, stojąc przed oknem, za którym rozciągała się ciemność. Choć widział jedynie własne odbicie, wyobrażał sobie rzekę Hudson płynącą powoli w ciemności, spuchniętą od wiosennych deszczy. Alice uczyła się w swoim pokoju. Wszyscy inni spali, tylko w jednym ze skrzydeł odbywała się impreza, która regularnie wypluwała pijanych studentów w parach i grupkach. Kiedy już całkowicie pograżył się w alkoholu i użalaniu się nad sobą, a lada chwila mógł go zaatakować świt, poszedł ostrożnie do swojej sypialni. Wchodząc po spiralnych schodach, minął pokój, który kiedyś należał do Eliota. Trochę się zataczał, pociągał sherry prosto z butelki, po czym wyrzucił ją gdzieś po drodze.

Czuł, jak jego upojenie zaczyna się zmieniać w kaca, w mdlącą neurologiczną przemianę, która zwykle zachodzi we śnie. Miał pełny brzuch, wzdęty od śmierdzących wnętrzności. Z każdego kąta umysłu zaczęli wylazić ludzie, których zdradził, choć zwykle siedzieli spokojnie na tyłkach. Rodzice, James, Julia. Profesor March. Amanda Orloff. Nawet martwy stary pan Jak-Mu-Tam, który miał z nim przeprowadzić rozmowę kwalifikacyjną do Princeton. Wszyscy oni przyglądali mu się beznamiętnie. Nie zasługiwał nawet na ich pogardę.

Położył się do łóżka, nie gasząc światła. Czy jest jakieś zaklęcie, które czyni człowieka szczęśliwym? Ktoś musiał takie wymyślić. Jak mógł je przeoczyć? Dlaczego nie został go nauczony? Czy znajdzie je w bibliotece w latającej książce, trzepoczącej się tuż poza zasięgiem rąk, walącej okładką w szybę okna? Miał wrażenie, że łóżko spod niego ucieka, w dół i w dół, jak nurkujący bombowiec w ataku.

Był taki młody, kiedy tu przybył. Myślał o tym zimnym listopadowym dniu, kiedy wziął kopertę od ślicznej ratowniczkii, i o kartce, którą mu związało do tego wyschniętego, zarośniętego zamarznętego ogrodu i za którą beztriosko pobiegł. Teraz już nigdy się nie dowie, co na niej napisano. Czy zawierała wszystkie bogactwa, wszystkie dobre uczucia, których nadal mu brakowało, choć przydarzyło mu się tyle dobrego? Czy było to sekretne wyznanie Martina Chatwina, chłopca, który uciekł do Fillory i nigdy nie wrócił, by stawić czoło nieszczęściom tego świata? Ponieważ Quentin upił się, pomyślał o swojej matce i o tym, jak go kiedyś bardzo dawno temu trzymała na rękach, kiedy do ścieku wpadła mu figurka superbohatera, po czym ukrył czerwoną piekącą twarz w zimnej poduszce, płacząc tak, jakby mu miało pęknąć serce.

I nagle zostały już tylko dwa tygodnie do dyplomu. Zajęcia dobiegły końca. Labirynt zmienił się w gorejącą jaskrawą płataninę zieleni, w powietrzu unosiła się masa pyłków, a koło hangaru na łodzie przepłynął statek wycieczkowy pełen niczego nieświadomych opalających się pasażerów. Wszyscy mówili tylko o tym, jakie to cudowne, że wkrótce będą mogli imprezować i odsypiać, i eksperymentować z zakazanymi zaklęciami. Patrzyli na siebie i śmiali się, klepali się po plecach i kręcili głowami. Karuzela zwalniała. Muzyka niemal ucichła.

Przygotowywano dowcipy na rozdanie dyplomów. Sypialnie ogarnął dekadenski nastrój typu „ostatnie dni Pompejów”. Ktoś wymyślił nową grę, wymagającą kostki do gry i lekko zaklętego lustra, która była w zasadzie magiczną wersją rozbieranego pokera. Podejmowano rozpaczliwe, skazane na niepowodzenie próby przespania się z tą osobą, z którą zawsze potajemnie chciano się przespać.

Uroczystość rozdania dyplomów rozpoczęła się o szóstej

po południu, kiedy niebo rozświeślały jeszcze złociste promienie słońca. W jadalni przygotowano jedenastodaniowy bankiet. Dziewiętnaścioro piętorocznych patrzyło po sobie w zadziwieniu, czuli się zagubieni i samotni przy tym długim pustym stole. Podano czerwone wino w butelkach bez nalepek; jak wyjaśnił Fogg, przygotowano je z winogron z własnej maleńkiej winnicy Brakebills, na którą Quentin natknął się jesienią na pierwszym roku. Tradycyjnie całe wino uzyskane z tej winnicy wypijali absolwenci na bankiecie dyplomowym – musi zostać wypite, podkreślił Fogg z naciskiem, dając do zrozumienia, że gdyby ocalała choć jedna butelka, zdarzyłoby się coś mrocznego. To był cabernet sauvignon, cienki i kwaśny, ale i tak pili go łapczywie. Quentin wygłosił długą mowę na temat subtelnej ekspresji unikatowego *terroir* Brakebills. Wznoszono toasty ku pamięci Amandy Orloff i ciskano kieliszki do kominka, żeby nigdy nie wzniesiono nimi mniej podniosłego toastu. Kiedy zawiął wiatr, świece zamigotały i ułały krople wosku na świeży biały obrus.

Przy serach każde z nich otrzymało srebrną szpilkę z główką w kształcie pszczoły, identyczną jak te, które nosili prefekci – Quentin nie potrafił sobie wyobrazić, przy jakiej okazji można by nosić taką ozdobę – oraz ciężki czarny stalowy klucz o dwóch zębach, za pomocą którego mogli wrócić do Brakebills, gdyby zaszła taka potrzeba. Odśpiewano pieśni szkolne, a Chambers podał szkocką whisky, jakiej Quentin nigdy dotąd nie pił. Przechylał szklaneczkę na boki, patrząc, jak światło przenika przez tajemniczy bursztynowy płyn. Zaskakujące, że coś ciekłego mogło smakować tak bardzo jak dym i ogień.

Pochylił się ku Georgii i zaczął jej wyjaśniać tę fascynującą zagadkę, kiedy u szczytu stołu wstał dziwnie poważny Fogg. Odprawił Chambersa i poprosił

piątorocznych, by zeszli z nim na dół.

Nie spodziewali się czegoś takiego. „Na dół” oznaczało do podziemi, gdzie przez wszystkie lata nauki w Brakebills Quentin prawie nigdy nie zachodził – tylko raz czy dwa, żeby zwinąć szczególnie pożądaną butelkę z piwnicy na wino, albo kiedy oboje z Alice desperacko szukali prywatności. Teraz dziekan Fogg poprowadził ich w luźnej, rozgadanej i od czasu do czasu wybuchającej śpiewem grupie przez kuchnię i małe, nie rzucające się w oczy drzwi do spiżarni, a potem w dół, po zniszczonych zakurzonych drewnianych schodach, które w połowie biegu zmieniły się w kamienne. Znaleźli się w mrocznej ziemnej piwnicy.

Nie takiego miejsca Quentin się spodziewał. Zniknęła atmosfera imprezy Zrobiło się zimno i bardzo cicho. Zamiast podłogi pod nogami mieli klepisko, sufit był niski, a ściany nierówne i niewykończone. Pochłaniały dźwięki. Głos po głosie umilkł chór śpiewający tradycyjną pieśń Brakebills, kunsztownie eufemistyczny numer zatytułowany *Doskonałość ma wady*. W pomieszczeniu unosił się ponury, ale nie nieprzyjemny zapach mokrej ziemi.

Fogg zatrzymał się przy pokrywie wjazdu tkwiącej w klepisku, mosiężnej i gęsto pokrytej kaligraficznym pismem. Co dziwne, sprawiała wrażenie błyszczącej i nowej, jak moneta prosto z mennicy. Dziekan wziął ciężki łom i z wysiłkiem uniósł mosiężną tarczę. Miała pięć centymetrów grubości i aż trzech piętorocznych musiało napiąć mięśnie, żeby ją odtoczyć.

– Państwo przodem – powiedział dziekan nieco zdyszany. Zaprosił ich gestem do czarnej jak atrament dziury.

Quentin poszedł pierwszy. Macał na oślep stopą znieczuloną szkocką, póki nie znalazł metalowego szczebla. Zupełnie jakby zanurzał się w ciepły czarny olej. Drabina sprowadziła jego i innych absolwentów do okrągłej sali,

dość dużej, by cała dziewiętnastka mogła stanąć wyprostowana w kręgu. Fogg zszedł ostatni. Słyszeli, jak opuszcza za sobą pokrywę wjazdu. Wreszcie on też dołączył do nich i ze szczękiem posłał drabinę na górę. Wtedy zapadła całkowita cisza.

– Nie ma sensu tracić rozpedu – oświadczył. Zapalił świecę i odważnie wyciągnął znikąd dwie flaszki bourbona. Puścił je w obieg w dwóch różnych kierunkach.

Coś w tym geście zdenerwowało Quentina. W Brakebills tolerowano umiarkowane spożycie alkoholu – w zasadzie dość duże – ale to była już lekka przesada. Wyczuwał w tym coś wymuszonego.

No cóż, w końcu to rozdanie dyplomów. Przestali być studentami. Stali się dorosłymi. Rówieśnikami pijącymi razem drinka. W sekretnym podziemnym lochu, w środku nocy. Quentin pociągnął łyk i podał butelkę dalej.

Dziekan Fogg zapalił świece tkwiące w mosiężnych świecznikach o różnych kształtach, tworząc krąg w kręgu. Nie mogli być głębiej niż pięćdziesiąt metrów pod ziemią, lecz mieli wrażenie, że od powierzchni dzieli ich ze dwa kilometry, jakby zostali pochowani żywcem, zapomniani przez resztę świata.

– Gdybyście się zastanawiali, po co tu przyszliśmy – powiedział dziekan – wyjaśniam, że chciałem nas wyprowadzić poza Ochronny Kordon Brakebills. To magiczna bariera, która rozciąga się wokół Domu we wszystkich kierunkach. Ten mosiężny wjazd z inskrypcjami to przejście przez nią.

Ciemność połknęła jego słowa, gdy tylko je wypowiedział.

– To trochę niepokojące, nie sądzicie? Niemniej stosowne, ponieważ w przeciwieństwie do mnie spędzicie większość życia poza tą barierą. W przypadku większości roczników schodzę tu po to, żeby przestraszyć absolwentów

historiami o zewnętrznym świecie. W waszym przypadku nie jest to chyba konieczne. Widzieliście na własne oczy destruktywną moc, jaką mają niektóre magiczne byty. Mało prawdopodobne, żebyście jeszcze kiedyś byli świadkami czegoś równie koszmarnego jak to, co się stało w Dniu Potwora. Pamiętajcie jednak, że to się może powtórzyć. Ci z was, którzy to widzieli, do końca życia nosić będą w sobie ślad po tym wydarzeniu. Nigdy nie zapomnicie Potwora i możecie być pewni, że on też was nigdy nie zapomni. Wybaczcie, że prawie wam kazanie, ale to moja ostatnia szansa.

Quentin siedział naprzeciwko Fogga – wszyscy usiedli w kręgu na gładkiej kamiennej podłodze – którego łagodna, starannie ogolona twarz unosiła się w ciemności jak widziadło. Obie butelki whiskey dotarły do Quentina równocześnie, a on śmiało pociągnął z obu, trzymając po jednej w każdej ręce, po czym przekazał je dalej.

– Czasami się zastanawiam, czy człowiek naprawdę miał odkryć magię – ciągnął Fogg wylewnie. – Tak naprawdę magia nie ma sensu. Jest nieco zbyt doskonała, nie uważacie? Jeśli życie uczy nas czegoś, to chyba tylko tego, że nie wystarczy chcieć. Słowa i myśli niczego nie zmieniają. Język i rzeczywistość są od siebie starannie oddzielone. Rzeczywistość jest twarda, nieustępliwa i nie obchodzi jej, co myślicie czy czujecie ani co mówicie o niej. A przynajmniej nie powinno jej obchodzić. Radzicie sobie z nią i żyjecie dalej.

– Małe dzieci tego nie wiedzą. Magiczne myślenie: tak to nazwał Freud. Kiedy przestajemy tak myśleć, przestajemy być dziećmi. Oddzielenie słowa i rzeczy to podstawowy fakt, na którym oparte jest nasze dorosłe życie. Ale gdzieś w gorączce magii ta granica pomiędzy słowem a rzeczą przerywa się. Pęka i jedno miesza się z drugim, stapia się razem. Język zaczyna się przenikać ze światem,

który opisuje... Czasami mam uczucie, jakbyśmy mieli do czynienia z wadą systemu, nie sądzicie? Jakbyśmy trafili na skrót albo na błąd systemowy, albo na dziwną pętlę. Czy to możliwe, że magia jest wiedzą, której lepiej się wyrzec? Powiedzcie mi, proszę: czy człowiek, który potrafi rzucić zaklęcie, tak naprawdę kiedykolwiek dorasta?

Urwał. Nikt nie odpowiedział. Bo i co mieli u licha powiedzieć? Było już trochę za późno ganić ich za to, że ukończyli magiczną uczelnię.

– Mam teoryjkę, którą chciałbym się z wami podzielić, jeśli pozwolicie. Jak sądzicie, co czyni z was czarodziejów? – Nadal cisza. Fogg zapuścił się daleko na terytorium retoryki. Mówił teraz ciszej. – To, że jesteście inteligentni? A może to, że jesteście odważni i dobrzy? To, że jesteście wyjątkowi? Niewykluczone. Kto to może wiedzieć? Powiem wam coś jednak. Myślę, że jesteście czarodziejami, ponieważ jesteście nieszczęśliwi. Czarodziej jest silny dlatego, że czuje ból. Czuje różnicę między tym, czym jest świat, i tym, co może z nim zrobić. Bo jak sądzicie, czym jest to coś w waszych piersiach? Czarodziej jest silny, ponieważ cierpi bardziej niż inni. Jego rana jest jego siłą. Większość ludzi nosi w sobie ten ból przez całe życie, póki nie zdołają go jakoś zabić albo póki on ich nie zabije. Wy natomiast, moi przyjaciele, wy znaleźliście inne wyjście, sposób na wykorzystanie bólu. Spalacie go jak paliwo, dla światła i ciepła, które daje. Nauczyliście się łamać świat, który próbował złamać was.

Uwaga Quentina zaczęła odpływać ku maleńkim połyskliwym punktom światła widocznym tu i tam na półokrągłym suficie. Przybierały kształt konstelacji, których nie rozpoznawał, jakby byli na innej planecie i oglądali gwiazdy pod innym kątem. Ktoś odchrząknął.

Fogg mówił dalej.

– Na wypadek gdyby to nie wystarczyło, każde z was

wyjdzie stąd dziś w nocy z dodatkową polisą ubezpieczeniową: pentagramem wytatuowanym na plecach. Pięcioramienną gwiazdą, bardzo ozdobną, która zamyka w sobie demona, małego, choć dosyć paskudnego gościa. Mówiąc dokładniej, złego demona. Te demony są twarde, mają skórę jak stal. Prawdę powiedziawszy, uważam, że to faktycznie może być stal. Dam każdemu hasło, które pozwoli wam go uwolnić. Jeśli je wypowiecie, demon wyskoczy i będzie dla was walczył, póki nie umrze on albo to, co sprawia wam kłopot.

Fogg plasnął rękami w kolana i spojrzał na nich, jakby właśnie im powiedział, że wszyscy dostaną zapas atrakcyjnego praktycznego papieru firmowego Brakebills. Georgia niepewnie wyciągnęła rękę.

– Czy... czy to obowiązkowe? To znaczy, czy kogoś prócz mnie niepokoi pomysł posiadania uwięzionego pod skórą złego demona?

– Jeśli to ci przeszkadza, Georgio, powinnaś była iść do szkoły dla kosmetyczek – powiedział Fogg krótko. – Nie martw się, będzie ci piekielnie wdzięczny, jeśli mogę się tak wyrazić, kiedy go uwolnisz. Choć może stoczyć dla ciebie tylko jedną walkę, więc pamiętaj, wybierz starannie moment. To druga przyczyna, dla której tu jesteśmy. Nie mogę przywołać demona w granicach Kordonu. A dlaczego potrzebny nam bourbon? Bo to będzie bolało jak cholera. No dobra, kto pierwszy? Czy może wolicie, żebym to załatwił alfabetycznie?

Następnego ranka o dziesiątej w największej i najwspanialszej sali wykładowej odbyła się bardziej konwencjonalna uroczystość rozdania dyplomów. Trudno sobie wyobrazić bardziej żalowaną i skacowaną grupę absolwentów. Ponieważ przy tej okazji rodzice wyjątkowo mogli odwiedzić kampus, nie wolno było ani wspominać o

magii, ani jej używać. Niemal równie okropny jak kac okazał się ból powodowany przez tatuaż. Quentinowi wydawało się, że po plecach łożą mu wygłodniałe gryzące owady, które trafiły na coś wyjątkowo smacznego. Czuł się dotkliwie świadomy obecności rodziców siedzących kilka rzędów za nim.

Wspomnienia z ostatniej nocy miał mocno splecione. Dziekan osobiście przywołał demony, rysując ułamkami białej kredy koncentryczne kręgi magicznych znaków na starej kamiennej podłodze. Pracował szybko i pewnie, oburącz. Do tatuażu wszyscy rozebrali się do pasa i ustawili w kolejce, nawet dziewczyny prezentujące różny stopień zawstydzenia. Niektóre przyciskały do piersi zdjęte ubrania. Inne, poniekąd ekshibicjonistki, stały dumnie wyprostowane.

W półmroku Quentin nie potrafił stwierdzić, czym Fogg rysuje na ich skórze. W każdym razie czymś cienkim i połyskliwym. Rysunek był kunsztowny i miał dziwne właściwości optyczne, sprawiał wrażenie ruchomego. Proces okazał się zaskakująco bolesny, jakby Fogg zdierał im skórę z pleców, a rany przemywał solą, niemniej ból równoważył strach przed tym, co miało dopiero nadejść, przed chwilą, gdy zagnieździ się w nich demon. Kiedy wszyscy zostali wytatuowani, Fogg na środku swoich magicznych znaków zbudował niską kopułę z żarzących się węgielków. Zrobiło się gorąco i wilgotno, w powietrzu unosił się zapach krwi, dymu i potu, i orgiastycznej gorączki. Kiedy nadeszła kolej pierwszej dziewczyny – alfabetycznie: Alsop, Gretchen – dziekan nałożył stalową rękawicę i zaczął nią grzebać wśród węgielków, aż coś złapał.

Czerwony blask oświetlał od dołu jego twarz. Być może wskutek wpływu alkoholu i niedoskonałości pamięci Quentin miał wrażenie, że zobaczył coś w jego twarzy, coś, czego nie widział od pierwszego dnia swego pobytu w

Brakebills – coś pijanego i okrutnego, i bynajmniej nie ojcowskiego. Fogg wyciągnął spomiędzy węgielków wijącą się istotę – demona sypiącego iskrami, ciężkiego, wielkości psa i wkurzonego – i wcisnął ją w smukłe plecy Gretchen. Musiał dopchnąć dodatkowo jedną wystającą kończynę. Gretchen sapnęła, całe jej ciało spięło się na moment, jakby wpadła w lodowatą wodę. A potem zrobiła okropnie zdumioną minę i obejrzała się przez ramię, zapominając, że wszyscy zobaczą jej niewielkie piersi o jasnych sutkach. Ponieważ – co Quentin odkrył, kiedy nadeszła jego kolej – w ogóle nic się przy tym nie czuło.

Dziś miał wrażenie, że to tylko sen, choć oczywiście rano w pierwszej kolejności obejrzał sobie plecy w lustrze. Tak, zobaczył ją, wielką pięcioramienną gwiazdę wykonaną czarnym tuszem, zaczerwienioną i zaognioną, i nieco przesuniętą w lewo; przypuszczał, że jej środek miał się znajdować dokładnie nad jego sercem. Ramiona miała pokryte gęstym, drobnym, pełnym zawijasów pismem oraz mniejszymi gwiazdami i półksiężycami, i innymi trudniejszymi do rozpoznania symbolami – wyglądał, jakby nie tyle został wytatuowany, ile uwierzytelniony albo podstemplowany, jak paszport. Choć czuł się zmęczony, obolały i skacowany, uśmiechnął się do lustra. Efekt był koszmarny.

Po uroczystości wyszli z audytorium do starego holu. Gdyby mieli birety, mogliby je rzucić w powietrze, nie mieli ich jednak. Podniósł się szmer rozmów, kilka wiwatów, ale tak naprawdę wszystko się skończyło. Totalny koniec. Jeśli nie ukończyli szkoły wczoraj wieczorem, na pewno stało się to dzisiaj. Mogli iść, gdzie chcieli, robić, co chcieli. To już: wielkie odprawianie.

Alice i Quentin wymknęli się bocznym wyjściem i poszli pod wielki rozłożysty dąb, trzymając się za ręce i machając nimi. Nie było wiatru, a słońce świeciło zbyt jaskrawo.

Quentina bolała głowa. Jego rodzice kręcili się gdzieś tutaj i za chwilę będzie musiał ich poszukać. Albo może choć raz w życiu to oni poszukają jego. Przypuszczał, że wieczorem odbędą się imprezy, lecz doszedł do wniosku, że ma już dość. Nie miał ochoty się pakować, nie miał ochoty wracać do Chesterton czy Brooklynu, czy gdziekolwiek indziej. Nie miał ochoty tu zostać i nie miał ochoty wyjeżdżać. Rzucił okiem na Alice. Wyglądała marnie. Poszukał w myślach miłości, którą przywykł czuć do niej, okazała się jednak dziwnie nieobecna. Jeśli czegoś w tej chwili naprawdę chciał, to zostać sam. Niestety, nie było mu to pisane.

Takie myśli były złe, ale nie mógł albo nie chciał ich powstrzymać, zatamować tego mózgowego krwotoku. Oto on, świeżo po dyplomie zawodowy, oficjalnie uznany czarodziej. Nauczył się rzucać zaklęcia, widział Potwora i przeżył, poleciał na Antarktydę na własnych skrzydłach i wrócił nagi samą siłą swej magicznej woli. Miał na plecach stalowego demona. Kto by pomyślał, że kiedy to osiągnie, kiedy przejdzie przez to wszystko, nadal nie będzie nic czuł? Czego mu brakuje? A może to przez niego? Skoro nie jest szczęśliwy nawet tutaj, nawet teraz, czy aby nie ma w tym jego winy? Kiedy tylko chwycił szczęście, rozplątywało się w powietrzu i pojawiała gdzie indziej. Jak Fillory, jak wszystko co dobre szczęście nie chciało trwać. Co za okropna świadomość.

Mam to, czego pragnę, i na tym polega kłopot, pomyślał.

– Przede mną całe życie, a ja myślę tylko o tym, żeby się zdrzemnąć – powiedziała Alice.

Za nimi rozległ się cichy dźwięk. Coś jak pęknięcie bańki mydlanej, jak wciągnięcie powietrza, jak uderzenie skrzydła.

Quentin się odwrócił i zobaczył ich wszystkich. Josh miał nieporządną blond brodę, która sprawiała, że wyglądał

jak uśmiechnięty opat. Janet przekłuła sobie nos i zapewne również inne części ciała. Eliot nosił ciemne okulary, czego nigdy nie robił w Brakebills, i koszulę niezwyklej, wprost niedającej się opisać doskonałości. Był z nimi ktoś jeszcze, ktoś obcy: poważny, nieco starszy od nich facet, wysoki i ciemnowłosy, książkowo przystojny.

– Zbierajcie się – powiedział Josh. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i rozłożył ręce jak prorok. – Zabieramy was stąd.

KSIĘGA II

MANHATTAN

Dwa miesiące później nadszedł listopad. Nie listopad Brakebills, tylko prawdziwy – Quentin musiał sobie raz po raz przypominać, że żyją teraz według czasu normalnego świata. Oparł skroń o zimną szybę. Na dole widział mały prostokątny park z brązowo-czerwonymi drzewami. Na trawnikach prześwitywały wytarte plamy nagiej ziemi. Wyglądały jak stary dywan, w którym spomiędzy wzoru wygląda osnowa.

Oboje z Alice leżeli na plecach na szerokiej pasiastej leżance pod oknem. Mieli bezwładnie splecione ręce, wyglądali przez okno i czuli się tak, jakby dosłownie przed chwilą fale wyrzuciły ich tratwę na plażę cichej bezludnej wyspy. Nie paliły się lampy, przez przymknięte żaluzje przedzierało się do pokoju mlecznobiałe popołudniowe słońce. Niedobitki partii szachów, byle jaki morderczy remis, stały na pobliskim stoliku do kawy.

Mieszkanie było nieodnowione i ledwie urządzone, wyjąwszy eklektyczny zbiór mebli, które sprowadzali tu w miarę potrzeb. W zasadzie zajmowali ten lokal na dziko: irytująco skomplikowane magiczne zasady pozwalały im mieszkać w nieużywanym domu na Lower East Side, póki jego prawowici właściciele zajęci są gdzie indziej.

Głęboka, gęsta cisza wisiała w nieruchomym powietrzu niczym sztywne białe prześcieradło na sznurze. Milczeli, i to już od blisko godziny. Co więcej, nie odczuwali potrzeby mówienia. Przebywali w świecie zen.

– Która godzina? – spytała wreszcie Alice.

– Druga. Po drugiej. – Quentin odwrócił głowę, żeby spojrzeć na zegarek. – Druga.

Rozległ się dzwonek. Żadne z nich się nie ruszyło.

– To zapewne Eliot – powiedział Quentin.

- Wychodzisz wcześniej?
- Tak. Zapewne.
- Nie powiedziałaś mi, że wychodzisz wcześniej.

Quentin usiadł powoli, podnosząc się tylko za pomocą mięśni brzucha. Równocześnie wyciągnął rękę spod głowy Alice.

- Zapewne wychodzę wcześniej.

Wstał, żeby wpuścić Eliota. Szli na przyjęcie.

Minęły zaledwie dwa miesiące od rozdania dyplomów, tymczasem mieli wrażenie, jakby od Brakebills dzieliły ich wieki – jakby to było w innym życiu. Ze znużeniem światowca pomyślał, że mając dwadzieścia jeden lat, czuje się tak, jakby żył po raz trzeci czy może czwarty.

Kiedy opuścił Brakebills i udał się do Nowego Jorku, spodziewał się, że przytłoczy go i porwie sama rzeczywistość: wyjście z wysadzanej klejnotami poczwarki Brakebills wprost w wielkie nieporządne, brudne miasto, gdzie prawdziwi ludzie wiodą prawdziwe życie w prawdziwym świecie i pracują naprawdę za prawdziwe pieniądze. Przez dwa tygodnie istotnie tak było. Zdecydowanie realnie, jeśli przez realność rozumie się rzeczy niemagiczne, obsesję pieniędzy i tony śmieci. Zupełnie zapomniał, jak to jest żyć w zwykłym świecie. Nic tu nie było zaczarowane: było tylko tym, czym było, i niczym więcej. Dosłownie każdą powierzchnię pokrywały słowa – plakaty koncertowe, tablice reklamowe, graffiti, mapy, znaki, ostrzeżenia, zasady parkowania dotyczące tej strony ulicy, a drugiej nie... W Brakebills każdy centymetr kwadratowy Domu, każda cegła, każdy krzak, każde drzewo marynowały się w magii przez wieki. Tu, w prawdziwym świecie, rządziła surowa, niezmodyfikowana fizyka, a prozaiczność szerzyła się jak epidemia. Przypominała rafę koralową, z której wyblakło i wymyło się jaskrawe żywe znaczenie i nie zostało nic prócz pustej kolorowej skały. W

magicznych oczach Manhattan wyglądał jak pustynia.

I podobnie jak na pustyni, napotykało się tu zaskakująco pokrętnie ślady życia. Istniała magiczna kultura Nowego Jorku wykraczająca poza wąską, wykształconą w Brakebills elitę, która tu mieszkała. Koncentrowała się na marginesie miasta, gdzie żyli imigranci. Starsi Fizyczni Goście – tę nazwę pozostawili w Brakebills i nigdy więcej jej nie używali – zabrali Quentina i Alice na przejażdżkę metrem po przedmieściach. W pozbawionej okien kawiarni na piętrze na Queens Boulevard patrzyli, jak Kazachowie i chasydzy konstruuja teorię liczb. Jedli pierożki z koreańskimi mistykami we Flushing i przyglądali się, jak dzisiejsi wyznawcy Izydy ćwiczą egipskie uliczne zaklęcia na tyłach winiarni na Atlantic Avenue. Kiedyś popłynęli promem na Staten Island, po czym stali wokół olśniewająco błękitnego basenu, popijając dżin z tonikiem na zebraniu filipińskich szamanów.

Po kilku tygodniach energia niezbędna do przedsięwzięcia tych wycieczek edukacyjnych całkiem wyparowała. Za dużo rzeczy odciągało ich uwagę, a nie robili nic aż tak szczególnie zajmującego, żeby nie dać się odciągnąć. Magia nie ucieknie, poza tym jest ciężką pracą, którą wykonują od tak dawna. Quentin czuł, że musi podciągnąć się z życia, nie z magii. Podziemie magiczne Nowego Jorku może i było ograniczone, natomiast liczba i różnorodność miejsc, gdzie serwowano alkohol, okazała się wręcz nieskończona. No i miał dostęp do narkotyków – prawdziwych narkotyków! Mieli do dyspozycji całą moc świata i żadnego zajęcia, i nikt ich nie mógł powstrzymać. Latali po mieście jak szaleni.

Alice nie uważała tego wszystkiego za tak podniecające jak Quentin. Odrzuciła posadę państwową i stypendia naukowe, w których pułapkę wpadali zwykle poważni

studenci z Brakebills, i zamieszkała w Nowym Jorku z Quentinem i innymi, a mimo to wykazywała oznaki rzeczywistej, nie udawanej akademickiej ciekawości, która skłaniała ją do poświęcania większości czasu na studiowanie magii zamiast, powiedzmy, na dochodzenie do siebie po wczorajszej nocy. Quentin czuł się winny, że nie idzie za jej przykładem, aż zaczął nawet przebąkiwać o powrocie do swej nieudanej wyprawy na Księżyc, jednak nic w tym kierunku nie zrobił. (Alice nadawała mu przezwiska – zmieniała je cyklicznie – związane z podróżami kosmicznymi: Scotty, major Tom, Łajka, póki jego ewidentny brak postępów nie sprawił, że zaczęły brzmieć raczej upokarzająco niż zabawnie). Quentin uważał, że ma prawo upuścić nieco pary, strząsnąć z butów proch Brakebills i generalnie zacząć „żyć”. Eliot też tak uważał („Czy nie po to mamy żyładki?” – spytał z przesadnym oregońskim akcentem). To nie stanowiło problemu. Po prostu różnili się od siebie, on i Alice. Czy to nie dlatego było tak interesująco?

W każdym razie Quentin czuł się interesujący. A nawet fascynujący. Przez pierwszy rok po dyplomie jego potrzeby finansowe zaspokajać miał niezwykle tajemniczy fundusz, gromadzony potajemnie przez wieki we wspomaganych magią inwestycjach – zapewniał on regularne dochody wszystkim świeżo upieczonym czarodziejom, którzy tego potrzebowali. Po pięciu latach klasztorного życia w Brakebills forsa wydawała się swego rodzaju magią: sposobem na zmienianie jednej rzeczy w inną, tworzeni czegoś z niczego. I Quentin praktykował to w całym mieście. Bogacze uważali, że jest znawcą sztuki, znawcy sztuki uważali go za bogacza, a wszyscy myśleli, że jest bystry i przystojny, więc otrzymywał masę zaproszeń: na imprezy charytatywne, do podziemnych klubów pokerowych, na imprezy na dachach, na objazdowe „cała noc w

samochodzie” narkotykowe orgie. Z Eliotem uchodzili za braci, a ich podwójny występ stał się przebojem sezonu. Prawdziwa zemsta kujonów.

Codziennie wracał nad ranem, sam, odstawiany pod dom przez samotną taksówkę poważną niczym pomalowany na żółto karawan. Ulica skąpana była w niebieskim świetle – delikatnym ultradźwiękowym promieniowaniu rodzącego się dnia. Trzeźwiejące po kokainie albo ecstasy ciało robiło się ciężkie i dziwne, czuł się jak golem wykonany z jakiegoś ultragęstego pozaziemskiego metalu, który spadł z nieba i zastygł w formie ludzkiej. Zdawało mu się, że jest tak ciężki, że w każdej chwili może się przebić przez trotuar i spaść do kanałów, jeśli nie będzie stawiał stóp dokładnie na środku każdej płyty chodnikowej.

Kiedy potem stał samotnie wśród nieruchomego majestatycznego bałaganu ich mieszkania, serce przepęśniał mu żal. Miał wrażenie, że jego życie ułożyło się straszliwie nie tak. Powinien zostać w domu z Alice, tylko że tak okropnie by się nudził, gdyby został! A ona nudziłaby się tak okropnie, gdyby z nim poszła! Co mają zrobić? Nie mogą tak żyć. Czuł dla niej wielką wdzięczność za to, że nie dostrzega ekscesów, którym on się oddaje z taką gorliwością, narkotyków, które zażywa, maniackiego flirtowania, w jakie się pakuje.

Potem, jak ropucha zrzucająca wylinkę, zdejmował ubranie, które śmierdziało dymem papierosowym, a Alice poruszała się sennie i siadała, prześcieradło opadało z jej ciężkich piersi. Opierała się o niego, pod plecami czuli zimne białe drewno wezglowia łóżka w kształcie sań. Nic nie mówili, tylko patrzyli, jak wstaje świt. Słyszeli śmieciarkę, która zatrzymywała się przy każdej kamienicy; jej pneumatyczne bicepsy połyskiwały, kiedy żarłocznie połykała wszystko, co wrzucali do niej jej słudzy w kombinezonach, przeżuwała to, co wydalilo z siebie miasto.

Quentin czuł wówczas wyniosłą litość dla śmieciarzy i normalnych ludzi. Zastanawiał się, co takiego mają w swoim pozbawionym magii życiu, że skłonni są przypuszczać, iż są tego życia warci.

Usłyszał, jak Eliot próbuje otworzyć drzwi, stwierdza, że są zamknięte, i pobrzękuje kluczami. Eliot dzielił z Janet mieszkanie w Soho, ale tyle czasu spędzał u nich, że najłatwiejszym wyjściem okazało się sprezentowanie mu własnego klucza. Quentin przeszedł przez otwartą przestrzeń mieszkania, niechętnie ustawiając krzesła, zbierając opakowania po prezerwatywach i bieliznę, i popsute resztki jedzenia i wrzucając to wszystko do kosza na odpadki. Mieszkanie było piękne, znajdowało się w dawnej fabryce, miało podłogi z szerokich lakierowanych desek i wysokie okna, lecz na pewno widywało już porządniejszych lokatorów. Kiedy zamieszkali razem, z zaskoczeniem odkrył, że o ile on niewielką wagę przywiązuje do porządku, o tyle Alice jest prawdziwą fleją.

Usunęła się do sypialni, żeby się ubrać. Od rana nie zdjęła koszuli nocnej.

– Czeeee... – powiedział Eliot. Tkwił za przesuwanymi stalowymi drzwiami wejściowymi. Miał na sobie długi płaszcz i sweter, który był drogi, nim dorwały się do niego mole.

– Hej – odparł Quentin. – Wezmę płaszcz.

– Jest kurewsko zimno. Alice idzie?

– Nie odniosłem takiego wrażenia. Alice? – Podniósł głos. – Alice?

Bez odpowiedzi. Eliot już ruszył korytarzem. Ostatnio wyraźnie nie miał cierpliwości do Alice, gdyż nie podzielała jego rygorystycznego oddania szukaniu przyjemności. Quentin przypuszczał, że jej cicha pracowitość przypomina mu nieprzyjemnie o przyszłości, którą Eliot ignorował.

Przynajmniej na niego wywierało to taki wpływ.

Zawahał się w progu rozdarty pomiędzy lojalnością wobec każdego z nich. Zapewne Alice będzie wdzięczna za trochę spokoju do nauki.

– Myślę, że przyjdzie później – powiedział. Zawołał w kierunku sypialni: – Dobra! Na razie! Spotkamy się na miejscu!

Bez odpowiedzi.

– Pa, mamó! – wrzasnął Eliot.

Zamknęli drzwi.

Eliot, tak jak wszystko, zmienił się w Nowym Jorku. W Brakebills zawsze sprawiał wrażenie niezwykle powściągliwego i samowystarczalnego. Jego urok osobisty i dziwaczny wygląd, i talent magiczny dawały mu pozycję, a równocześnie odsuwały od innych. Natomiast odkąd Quentin zamieszkał na Manhattanie, równowaga mocy między nimi uległa pewnemu przesunięciu. Eliot nie wyszedł z przeprowadzki bez szwanku i nie unosił się już bez wysiłku na fali. Jego humory były teraz bardziej filuterne, gorzkie i dziecinne, niż Quentin zapamiętał. Zdawał się robić coraz młodszy, w miarę jak Quentin doroślał. Bardziej potrzebował Quentina i miał o to do niego pretensje. Nie znosił, kiedy się go z czegoś wykluczało, i nienawidził, kiedy się go w coś włączało. Spędzał więcej czasu niż powinien na dachu swej kamienicy, paląc merity i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze – niewiele rzeczy pozostawało niedostępnych, kiedy się miało pieniądze, a oni je mieli. Schudł za bardzo. Cierpiał na depresję i robił się paskudny, kiedy Quentin próbował polepszyć mu nastrój. Rozdrażniony lubił powtarzać: „Boże, to zaskakujące, że nie jestem alkoholikiem”, a potem dodawał: „Och, czekajcie, przecież jestem”... Za pierwszym razem było to zabawne. W zasadzie zabawne.

W Brakebills Eliot zaczynał pić w porze kolacji, w weekendy nieco wcześniej, choć nie wyróżniał się pod tym względem, bo wszystkie starsze roczniki piły przy kolacji. Tyle że nie wszyscy zamieniali deser na dodatkowy kieliszek wina tak jak on. Na Manhattanie, bez pilnujących go nauczycieli i zajęć, na których należało być trzeźwym, Eliota rzadko się widywało bez kieliszka po pierwszej po południu. Zwykle miał w nim coś niezbyt groźnego, jak białe wino albo campari, albo rozcieńczony wodą bourbon z dużą ilością lodu. Co nie zmienia faktu. Kiedyś gdy leczył uporczywe przeziębienie, Quentin wspomniał lekko, że może powinien zjeść coś bardziej odżywczego niż wódka z tonikiem, którą popijał aspirynę.

– Jestem chory, a nie martwy – warknął Eliot. I to wszystko.

Przynajmniej jeden z jego talentów przetrwał dyplom: nadal z zapalem poszukiwał mało znanych i cudownych butelek wina. Nie popadł jeszcze w nałóg tak głęboko, żeby porzucić swoje snobistyczne upodobania. Chodził na degustacje i rozmawiał z importerami i właścicielami sklepów z winem z zapalem, jakiego nie wykazywał wobec niczego innego. Co kilka tygodni, kiedy zgromadził tuzin butelek, z których był szczególnie dumny, ogłaszał, że wydają kolację. Właśnie na jedną z takich kolacji szykowali się dziś z Quentinem.

Poświęcali śmiesznie dużo wysiłku na przygotowanie tych imprez, zupełnie nieproporcjonalnie wiele do rozrywki, jaką z nich czerpali. Odbywały się zawsze w mieszkaniu Eliota i Janet w Soho, wielkim przedwojennym labiryncie z niewiarygodną mnogością sypialni, idealnym miejscu akcji francuskiej farsy. Josh pełnił funkcję kucharza, Quentin mu asystował. Eliot oczywiście serwował wina. Wkład Alice polegał na tym, że przestawała czytać przynajmniej na tak długo, by coś zjeść.

Janet przygotowywała aranżację: określała temat przyjęcia i rodzaj strojów, wybierała muzykę, a także przygotowywała kartę menu, wypisaną ręcznie i niezwykle pięknie ilustrowaną. Tworzyła również surrealistyczne, często kontrowersyjne ozdoby na stół. Tematem dzisiejszej kolacji miało być „Mieszanie się gatunków”, a Janet zapowiedziała – pomimo obiekcji estetycznych, moralnych i ornitologicznych – że przygotowuje Ledę i łabędzia w formie magicznie ożywionych rzeźb z lodu. Będą kopulować, póki nie stopnieją.

Jak przy każdej takiej okazji cały pomysł zrobił się irytujący gdzieś w połowie przygotowań. Quentin znalazł w sklepie ze starociami spódniczkę z trawy, do której zamierzał włożyć koszulę i marynarkę, ale drapała tak okropnie, że zrezygnował. Nie mógł wymyślić nic innego, więc spędził resztę popołudnia, włączając pod nogi Joshowi, który cały poprzedni tydzień spędził na wyszukiwaniu przepisów złożonych z krańcowo odmiennych składników – słodkie z pikantnym, czarne z białym, zamrożone i stopione, wschodnie i zachodnie – a teraz gwałtownie trząskając drzwiczkami szafek i piekarnika i kazał mu wszystkiego próbować, i wściekał się na niego znad wyspy kuchennej. Alice przyszła o wpół do szóstej, po czym Quentin i Josh zaczęli wpadać również na nią. Kiedy kolacja się zaczęła, wszyscy byli już pijani, głodni i wściekli.

Wówczas, jak to się czasami dzieje na uroczystych kolacjach, nagle wszystko w sposób tajemniczy i spontaniczny znów zrobiło się idealne, wróciło do porządku. Dzień wcześniej Josh, który zdażył już zgolić brodę („Zupełnie jakbym się musiał opiekować jakimś cholernym kotem”), oznajmił, że przyprowadzi kogoś, co wywarło na pozostałych dodatkową presję, żeby się pokazać. Kiedy słońce zaczęło zachodzić nad Hudsonem, a jego wpadające do salonu promienie zaróżowiły się, przechodząc przez

atmosferę nad New Jersey, kiedy Eliot rozdał drinki (lillet i szampan z wódką) w schłodzonych kieliszkach do martini, a Quentin podał miniaturowe słodko-kwaśne roladki z homara, wszyscy nagle wydali się – a może faktycznie byli – mądrzy i zabawni, i przystojni.

Josh odmówił ujawnienia tożsamości swojego gościa, więc kiedy otworzyły się drzwi windy – mieli dla siebie całe piętro – Quentin poczuł zdumienie. To była ta dziewczyna z Luksemburga, ta z loczkami, kapitan europejskiego zespołu, który zadał śmiertelny cios jego karierze gracza w weltersy. Okazało się (opowiedzieli tę historię wspólnie, ewidentnie pracowali nad nią wcześniej), że Josh wpadł na nią na stacji metra, gdzie próbowała zaczarować automat do biletów, by uzupełnił zapas gotówki na jej karcie miejskiej. Nazywała się Anais, ubrana była w obcisłe spodnie ze skóry węża, tak piękne, że nikt jej nawet nie spytał, co mają wspólnego z tematem przyjęcia, jeśli w ogóle o jakiejś wspólnocie można tu mówić, miała złociste loczki i spiczasty noseć, a Josh sprawiał wrażenie kompletnie nią zauroczzonego. Podobnie jak Quentin. Czuł gwałtowne fale zazdrości.

I tak ledwie odzywał się do Alice. Przez cały wieczór biegał do kuchni i z powrotem, podgrzewał potrawy, układał je na talerzach i podawał zebranym. Kiedy pojawił się z przystawką – kotlety wieprzowe z gorzką czekoladą – na dworze zrobiło się już ciemno, a Richard wygłaszał mowę na temat teorii magii. Wino i jedzenie, i muzyka, i świece niemal wystarczyły, by uczynić jego wypowiedź interesującą.

Tym tajemniczym nieznajomym, który zjawił się wraz z pozostałymi Fizycznymi Gośćmi w dniu rozdania dyplomów, był właśnie Richard. Kiedyś sam należał do grupy, z rocznika przed Eliotem, Janet i Joshem, i z nich wszystkich jako jedyny rzeczywiście wkroczył w świat szanowanej

profesjonalnej magii. Urodę miał Frankensteina: wysoki, z wielką głową, ciemnymi włosami, szerokimi ramionami i mocnym kwadratowym podbródkiem. Wobec Quentina zachowywał się dość przyjaźnie – mocny uścisk dłoni, masa kontaktu wzrokowego ze strony dużych ciemnych oczu. Podczas rozmowy często zwracał się do niego po imieniu, co sprawiało, że Quentin czuł się jak na rozmowie o pracę. Richarda zatrudniał trust, który zarządzał wspólnymi zasobami finansowymi społeczności magicznej. Ogromnymi zasobami. Na domiar złego był, w taki dziwnie spokojny sposób, praktykującym chrześcijaninem. Tacy zdarzali się rzadko wśród czarodziejów.

Quentin próbował polubić Richarda, ponieważ wszyscy go lubili i tak byłoby prościej, jednak ten okazał się niemożliwie poważny. Nie głupi, tylko zupełnie wyprany z poczucia humoru – żarty zbijały go z tropu, więc cała rozmowa musiała zastygnąć w miejscu, żeby ktoś, zwykle Janet, mógł mu wyjaśnić, dlaczego wszyscy się śmieją. Richard marszczył wówczas swe ciężkie brwi Wulkanity, skonsternowany niczym pan Spock słabością okazywaną przez swych ludzkich towarzyszy. A Janet, która zwykle bezwzględnie obdzierała ze skóry każdego, kto popełnił ten błąd i wziął coś na poważnie, ta właśnie Janet była na każde jego skinienie! Quentina złościło, że patrzy na Richarda tak samo, jak on patrzył kiedyś na starszych Fizycznych Gości. Czuł niemal pewność, że co najmniej raz musiała się przespać z Richardem w Brakebills. Niewykluczone, że teraz również sypiali ze sobą.

– Magia – oznajmił powoli zaczerwieniony Richard – to narzędzie Stwórcy. – Prawie nigdy nie pił, już dwa kieliszki viogniera przekraczały jego możliwości. Spojrzał najpierw w lewo, a potem w prawo, aby się upewnić, że wszyscy słuchają. Co za głupi dupek. – Nie można patrzeć na nią inaczej. Mamy do czynienia ze scenariuszem, w którym

Osoba zbudowała dom, po czym odeszła. – Postukał ręką w stół, by podkreślić swoje słowa. – Odeszła, ale pozostawiła w garażu swoje narzędzia. Potem my je znaleźliśmy i zaczęliśmy zgadywać, jak działają. Teraz uczymy się ich używać. I to jest właśnie magia.

– W tym rozumowaniu jest tyle błędów, że po prostu nie wiem, od czego zacząć. – Quentin usłyszał nagle własny głos.

– Tak? Więc zaczynaj.

Odstawił talerze, które przyniósł z kuchni. Nie miał pojęcia, co powie, choć czuł zadowolenie, że publicznie sprzeciwił się Richardowi.

– Dobra, po pierwsze mamy tu problem skali. Nikt z nas nie tworzy wszechświatów. Nie tworzymy nawet galaktyk czy układów słonecznych, czy planet. Żeby zbudować dom, potrzebujesz dźwigów i buldożerów. Jeśli istnieje „Stwórca”, na co, szczerze powiedziawszy, nie widzę wielu dowodów, właśnie czymś takim musiał się posługiwać. Natomiast my mamy do czynienia z narzędziami ręcznymi. Black and Decker. Nie rozumiem, jak doszedłeś do takiej konkluzji.

– Kwestia skali nie wydaje mi się nie do przezwyciężenia – powiedział Richard. – Może nie jesteśmy... – przez chwilę szukał w kieliszku odpowiedniej metafory – ... może nie podłączamy narzędzi do właściwych gniazdek. Może powinniśmy poszukać dużo większych gniazdek i...

– Moim zdaniem jeśli przyrównujesz tę energię do elektryczności, musisz zadeklarować, skąd pochodzi – włączyła się Alice.

Ja powinienem to powiedzieć, pomyślał Quentin. Alice lubiła dyskusje teoretyczne równie mocno jak Richard i była w nich dużo lepsza.

– Każde zakłęcie rozgrzewające drenuje energię z jednego miejsca i kieruje do innego. Jeśli ktoś stworzył

wszechświat, musiał skądś czerpać energię. Przecież nie popychał wszystkiego ręcznie.

– Dobra, ale jeśli...

– Poza tym magia nie przypomina narzędzia – ciągnęła Alice. – Możesz sobie wyobrazić, jakie by to było nudne, gdyby rzucanie zaklęcia przypominało włączanie wiertarki? A wcale takie nie jest. Magia jest nieregularna i piękna. To nie jest artefakt, to coś więcej, coś organicznego. Sprawia wrażenie rzeczy, która się rozwija, a nie została zrobiona.

Wyglądała przepięknie w czarnej obcisłej sukience z jedwabiu, która podobała się Quentinowi, o czym doskonale wiedziała. Gdzie się podziewała przez cały wieczór? Chyba zapomniał, jakim jest skarbem.

– Założę się, że to technologia Obcych – powiedział Josh. – Albo z czwartego wymiaru, jak pogoda czy coś takiego. Z kierunku, którego nawet nie widzimy. Albo tkwimy w jakiejś naprawdę skomplikowanej, wielowarstwowej grze komputerowej. – Pstryknął palcami. – Dlatego Eliot ciągle pieprzy moje zwłoki.

– Niekoniecznie – włączył się wreszcie Richard. Nadal rozważał argumenty Alice. – Wcale nie musi być nieregularna. A przynajmniej polemizowałbym, że to wyklucza jakąś wyższą regularność, wyższy porządek, którego nie wolno nam dostrzec.

– Tak, to jest odpowiedź. – Eliot był wyraźnie pijany. – To jest odpowiedź na wszystko. Niech Bóg nas strzeże przed chrześcijańskimi czarodziejami. Mówisz tak, jakbyś lubił moich rodziców. Bo dokładnie coś takiego powiedzieliby moi ograniczeni chrześcijańscy starzy. Jeśli coś nie pasuje do twojej teorii, no cóż, to dlatego, że och, właściwie pasuje, bo Bóg jest tak tajemniczy, że tego nie dostrzegamy. Ponieważ jesteśmy grzeszni. To takie, kurwa, łatwe.

Długim widelcem pogrzebał w resztkach przygotowanej przez Janet ozdoby na stół. Leda i łabędź wyglądały teraz

identycznie, dwa obłe kształty Brancusiego nadal dzielnie kopulujące w kałuży wody.

– A co tam, może powinniśmy się nazywać Meta-Fizyczni Goście – powiedział Josh.

– I kim, kurwa, jest „Stwórca”, o którym gadasz? – warknął Eliot. Zrobił się agresywny, nie słuchał. – Mówisz o Bogu? Jeśli mówisz o Bogu, to powiedz po prostu „Bóg”!

– Dobrze – zgodził się Richard spokojnie. – Powiedzmy: Bóg.

– Czy to moralny Bóg? Czy nas ukarze za używanie Jego świętej magii? Za to, że jesteśmy złymi małymi czarodziejami? Czy On...

– Ona! – krzyknęła tu Janet.

– ... zamierza powrócić i dać nam lanie za to, że weszliśmy do Jego garażu i bawiliśmy się narzędziami tatusia? Przecież to po prostu głupie. Głupie i świadczące o ignorancji. Nikt nigdy nie zostaje za nic karany. Robimy, co chcemy, i już, i nikt nas nie próbuje powstrzymać, bo wszystkim to wisi.

– Jeśli zostawił nam swoje narzędzia, zrobił to z jakiegoś powodu – powiedział Richard.

– I zapewne ty wiesz z jakiego.

– Jakie wino wybrałaś jako następne, Eliot? – spytała Janet wesoło. Zawsze zachowywała spokój w trudnych chwilach, może dlatego, że w normalnych sytuacjach tak kompletnie nie panowała nad sobą. Ona też wyglądała dziś olśniewająco w zmysłowej czerwonej tunice, która sięgała jej ledwie do połowy uda. Alice nigdy w życiu nie włożyłaby czegoś takiego. Nie mogłaby. Nie przy swojej figurze.

Obaj, i Richard, i Eliot, wydawali się gotowi do stoczenia następnej rundy, jednak Eliot z wyraźnym wysiłkiem pozwolił, by odwrócono jego uwagę.

– Wspaniałe pytanie. – Przyłożył ręce do skroni. – Mam zesłaną przez Wszechmogącego Stwórcę wizję... niezwykle

kosztownego bourbona... który Bóg... och, przepraszam, Stwórczym rozkazała mi niezwłocznie podać.

Wstał chwiejnie i ruszył do kuchni.

Quentin zastał go siedzącego przy otwartym oknie, twarz miał czerwoną i spoconą. Do środka wpadało lodowate powietrze, lecz Eliot na to nie zważał. Patrzył nieruchomym wzrokiem na miasto, które oddalało się świetlistymi liniami perspektywy w ciemność. Nic nie powiedział. Nie ruszył się, kiedy Quentin pomagał Richardowi przygotować *glaces au four*. Sztuczka polega na tym, wyjaśnił Richard wyćwiczonym tonem instruktora, żeby beza, doskonały izolator ciepła, całkowicie zamknęła w sobie lody. Quentin się zastanawiał, czy tego wieczoru będą mieli jeszcze jakiś pożytek z Eliota. Nie po raz pierwszy ostentacyjnie uchlałby się, żeby wybrnąć ze sporu. Tymczasem kilka minut później zebrał się w sobie i poszedł za nimi do jadalni, niosąc smukłą butelkę o dziwnym kształcie pełną whiskey w kolorze bursztynu.

Wszyscy zaczęli się odprężyć, choć zachowywali się ostrożnie, żeby nie sprowokować kolejnego wybuchu Eliota czy kazania Richarda. Niedługo potem Josh wyszedł, by odprowadzić Anais do domu, a Richard w ogóle się wyniósł do siebie, pozostawiając Quentina, Janet i Eliota nad pustymi butelkami i pogniecionymi serwetkami. Jedna ze świec wypaliła dziurę w obrusie. Gdzie się podziała Alice? Czy poszła do domu? Czy może padła w jednej z sypialni? Quentin zadzwonił na jej komórkę. Nikt nie odebrał.

Eliot przyciągnął do stołu otomanę. Położył się na niej w stylu rzymskim, choć była za niska i musiał się podnosić, by sięgnąć po drinka. Quentin głównie widział jego szukającą po omacku dłoń. Janet też się położyła, przytulając się do pleców Eliota.

– Kawy? – spytała.

– Sery – odparł Eliot. – Czy mamy sery? Potrzebuje

sera.

Z kolumn sączył się głos Peggy Lee śpiewającej *Is That All There Is?* – Co byłoby gorsze? zastanawiał się Quentin. Czy gdyby rację miał Richard i gdzieś istnieje zły moralny Bóg, czy gdyby rację miał Eliot i nie ma w tym w ogóle żadnego sensu? Gdyby magia została stworzona w jakimś określonym celu czy gdybyśmy mogli robić z nią, co chcemy? Ogarnęło go coś na kształt ataku paniki. Naprawdę wpadli w gówna. Nie mają się czego trzymać. Nie mogą tak wiecznie żyć.

– W kuchni jest ser morbiere – powiedział. – Miał pasować do tematu kolacji... no wiesz, dwie warstwy, poranny udój, wieczorny udój...

– Tak, tak, łapiemy – zapewniła Janet. – Przynieś go, Quen. No już.

– Ja pójdę – rzekł Eliot, lecz zamiast wstać z otomany, po prostu stoczył się z niej bezwładnie na ziemię. Jego głowa zderzyła się z podłogą ze złowróżbnym łup!

Śmiał się, kiedy go podnosili, Quentin za ramiona, a Janet za nogi. Porzucili wszelkie myśli o serze i wynieśli Eliota z jadalni, kierując się do jego sypialni. Po drodze rąbnął głową we framugę z kolejnym głośnym łup!, a potem zrobiło się po prostu zbyt zabawnie, więc wszyscy zaczęli się zanosić śmiechem i śmiali się, i śmiali, aż zupełnie opadli z sił. Janet puściła stopy Eliota, Quentin jego ramiona i głowa Eliota grzmotnęła w parkiet z kolejnym łup!, i tym razem było to tysiąc razy śmieszniejsze niż za dwoma poprzednimi razami.

Dwadzieścia minut zajęło Quentinowi i Janet przeniesienie Eliota do jego sypialni. Opierali się o ściany i obejmowali mocno, jakby brnęli po pokładzie tonącego „Titanica”. Świat zrobił się mniejszy i jakiś jaśniejszy – nic nie miało znaczenia, czymże jednak jest znaczenie jak nie ciężarem, który ich ogranicza? Eliot powtarzał, że nic mu

nie jest, a Quentin i Janet upierali się, że muszą go podnieść. Janet oznajmiła, że się posikała, literalnie, tak strasznie się śmiała. Kiedy mijali drzwi Richarda, Eliot rozpoczął głośną przemowę zaczynającą się od słów: „Jestem wielkim Stwórcą i przekazuję wam Moje Święte Narzędzia, ponieważ jestem za bardzo, kurwa, pijany, żeby Ich używać, więc powodzenia, bo jak jutro wstanę, lepiej, żeby leżały dokładnie tam, gdzie je zostawiłem, dokładnie, nawet Moja... nie, szczególnie Moja Szlifierka, ponieważ będę miał takiego kaca, że każdy, kto będzie się pieprzyć z Moją Szlifierką, zakosztuje Mego Pasa. A on nie jest smaczny. Co to, to nie”.

Wreszcie położyli go do łóżka i spróbowali napić wodą, i przykryli prześcieradłem. Być może wynikało to ze zwyczajności tej sytuacji – zupełnie jakby Eliot był ich ukochanym synem, którego z miłością kładli do łóżka – albo może z nudy, tego silnego afrodyzjaku, który nigdy tak do końca nie zniknął, nawet podczas ich przyjęć, ale gdyby Quentin miał być ze sobą szczery, musiałyby przyznać, że wiedział od przynajmniej dwudziestu minut, nim jeszcze zaciągnęli Eliota do holu, że zdejmie z Janet tę sukienkę, jak tylko będzie miał okazję.

Następnego ranka budził się powoli. Tak powoli i przez tak długi czas, że w zasadzie nie miał pojęcia, czy w ogóle spał. Łóżko zdawało się dziwacznie falować, a obok niego leżało dwoje nagich ludzi. Wpadali na siebie i niechcący się dotykali, i odsuwali się od siebie, a potem czuli się skrępowani, że to zrobili.

Początkowo, w pierwszym odruchu, nie czuł żalu z powodu tego, co zaszło. Robi się przecież takie rzeczy Żył pełnią życia. Upijał się i oddawał zakazanym namiętnościom. To jest istota życia. Czy nie takiej lekcji udzieliły im lisy? Gdyby Alice miała w żyłach krew, powinna

się do nich przyłączyć! Ale nie. Ona musiała przecież iść wcześniej spać. Jest taka jak Richard. No tak, witaj w świecie dorosłej magii, Alice. Magia niczego nie rozwiąże. Czy ona tego nie widzi? Nie widzi, że wszyscy umierają, że to wszystko na próżno, że jedyne, co można zrobić, to żyć i pić, i pieprzyć się z kimkolwiek i kiedykolwiek, póki jeszcze można? Sama go przed tym ostrzegła w domu swoich rodziców w Illinois. I miała rację!

A potem, po chwili, wszystko to zaczęło mu się wydawać wątpliwe – można patrzeć na sprawę również z innej strony, to loteria. A jeszcze później uznał, że doszło tylko do niefortunnego zapomnienia się, niedyskrecji, nadal całkowicie wybaczalnej, choć definitywnie złej. Zdecydowanie. Następnie zrobiła się z tego poważna niedyskrecja, paskudny błąd, aż wreszcie, w ostatnim akcie umysłowego striptizu, miał do czynienia z tym, co zdarzyło się naprawdę: z okropną, naprawdę okropną i bolesną zdradą. W pewnym momencie tego powolnego wypadania z łask uświadomił sobie, że Alice siedzi w nogach łóżka odwrócona tyłem do Janet i Eliota, opierając podbródek na rękach. Chwilami wyobrażał sobie, że to tylko sen, że wcale jej tu nie ma. Ale szczerze mówiąc, był w zasadzie pewien, że jest. Nie wyglądała jak wytwór wyobraźni. Była całkowicie ubrana. Musiała tu siedzieć od dłuższego czasu.

Około dziewiątej w pokoju zrobiło się jasno, a Quentin nie mógł już udawać, że śpi. Usiadł. Nie miał na sobie koszuli i nie miał pojęcia, co z nią zrobił. W gruncie rzeczy nie miał na sobie zupełnie nic. Dałby w tej chwili wszystko za koszulę i slipy. Kiedy postawił nagie stopy na drewnianej podłodze, poczuł się dziwnie niematerialny. Nie mógł zrozumieć, nie mógł do końca uwierzyć w to, co zrobił. To zupełnie nie w jego stylu. Może Fogg miał rację, może magia uniemożliwiła jego moralny rozwój. Coś musiało to sprawić. Może dlatego okazał się takim gównem. Niemniej musi być

jakiś sposób, żeby przekonać Alice, jak mu przykro. Ściągnął koc z łóżka – Janet się poruszyła i zaprotestowała sennie, po czym znów zapadła w pozbawiony marzeń i winy sen – i owinąwszy się nim, wyszedł bosy z pokoju. Stół w jadalni wyglądał jak wrak statku, a kuchnia jak miejsce zbrodni. Ich mała planeta leżała w ruinie i dla niego nie było już na niej miejsca. Pomyślał o profesorze Majakowskim, o tym, jak odwrócił czas, naprawił szklaną kulę, przywrócił życie pajakowi. Przydałaby mu się w tej chwili taka magia.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, Quentin oczekiwał, że zobaczy Josha wracającego po udanej nocy z Anais. Tymczasem ujrzał Penny'ego, bladego i bez tchu, i tak podnieconego, że ledwie nad sobą panował.

OPOWIEŚĆ PENNY'EGO

Miał nowy czub na głowie, dumny, opalizujący i zielony, szeroki na dwa centymetry, wysoki na siedem, jak pióropusz na hełmie centuriona. Przybrał na wadze – wyglądał, co dziwne, młodziej i łagodniej niż w Brakebills: mniej jak samotny wojownik Irokezów, a bardziej jak przekarmiony biały członek gangu z przedmieścia. Mimo wszystko był to Penny we własnej osobie. Stał na orientalnym dywanie i próbował złapać oddech, rozglądając się jak zaciekawiony krytykancki królik. Miał na sobie czarną skórzaną kurtę nabijaną ćwiekami, sprane czarne dżinsy i brudną białą koszulkę. Jezu, pomyślał Quentin. Czy jeszcze w ogóle są punki? Ten chyba jest ostatni w Nowym Jorku.

Penny pociągnął nosem i wytarł go rękawem. Żaden z nich się nie odezwał. Quentin znał Penny'ego wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nigdy się nie zniża do próżnych towarzyskich uprzejmości, takich jak witanie się czy pytanie o zdrowie, czy wyjaśnianie, co tu u diabła robi. Tym razem był mu za to wdzięczny. Nie wiedział, czy zdołałby to znieść.

– Jak się tu dostałeś? – wychrypiał. W ustach miał przeraźliwie sucho.

– Twój portier śpi. Powinieneś go wywalić.

– To nie mój portier. – Odchrząknął z trudem. – Musiałeś coś rzucić.

– Tylko Niewidzialne Zakłęcie Cholmondeleya. – Penny wypowiedział nazwisko zgodnie z prawidłową angielską wymową, „Czumleja”.

– Eliot otoczył to piętro barierą. Sam mu ją pomagałem podnieść. Poza tym musiałeś mieć klucz do windy.

– Będziemy potrzebowali nowej bariery. Tę zniosłem.

– Do kurwy nę... Dobra, po pierwsze, my, czyli kto?

Kim są ci my? – dopytywał się Quentin. W tej chwili najbardziej marzył o ulotnej chwili łaski, jaką byłoby zanurzenie twarzy w zlewie pełnym wody. I może jeszcze żeby mu ktoś tę głowę przytrzymał pod wodą, póki nie utonie. – A po drugie, Jezu, zabrało nam cały weekend stawianie tej bariery!

Sprawdził szybko. Penny miał rację, ochronne zaklęcia otaczające mieszkanie zniknęły tak nagle, że nawet go nie powiadomiły o tym fakcie. Quentin nie mógł w to uwierzyć. Penny musiał znieść ich barierę z zewnątrz, w pośpiechu, w czasie nie dłuższym niż potrzebny windzie na wjazd na dziesiąte piętro. Niemniej Quentin zachował obojętny wyraz twarzy – nie chciał dać Penny’emu satysfakcji i okazać, jak wielkie zrobiło to na nim wrażenie.

– A klucz?

Penny poszperał w kieszeni kurtki i podał go Quentinowi.

– Zabrałem go portierowi. – Wzruszył ramionami. – Takich rzeczy uczysz się na ulicy.

Quentin zamierzał powiedzieć coś na temat tego, że ta rzekoma „ulica” nie jest wcale ulicą, tylko drogą wewnętrzną albo podjazdem w zamkniętym osiedlu, i że nietrudno ukraść klucz śpiącemu portierowi, kiedy się rzuciło Niewidzialne Zaklęcie Cholmondeleya, ale wydało mu się to totalnie nieważne. Zresztą słowa zrobiły się po prostu za ciężkie, żeby padać z ust, zdawało mu się, że są jak kamienie zalegające w żołądku, które musiałyby fizycznie z siebie wykaszleć. Pieprzony Penny, nie będzie tracił na niego czasu. Musi porozmawiać z Alice.

Tyle że inni już usłyszeli głos Penny’ego. Richard przyczłapał z kuchni, gdzie sprzątał, całkowicie rozbudzony i irytująco wykąpany, i uczesany, i ogolony, i odprasowany. Wkrótce z pokoju Eliota wyszła Janet, po królewsku owinięta w kapę na łóżko, jakby w nocy nie zdarzyło się nic

niezwykłego. Zapiszczała, kiedy zobaczyła Penny'ego, i zniknęła w łazience.

Quentin uświadomił sobie, że musi się ubrać i stawić czoło sytuacji. Wstał dzień, a wraz z nim nadszedł czas udawania i kłamstw, i zachowywania się tak, jakby wszystko było w porządku. Zamierzali zrobić jajecznicę i rozmawiać o tym, jak wielkiego mają kaca, i pić mimozy i krwawe mary z dodatkowym tabasco i czarnym pieprzem, i zachowywać się tak, jakby nic złego się nie stało, jakby Quentin nie złamał właśnie serca Alice tylko dlatego, że upił się i miał ochotę. A choć wydawało się to niewiarygodne i nie do pomyślenia, zamierzali również wysłuchać tego, co miał im do powiedzenia Penny.

Był o rok niżej niż Quentin i Alice. Pod koniec czwartego roku – jak wyjaśnił, kiedy jego słuchacze zebrali się już ubrani w bawialni z drinkami i talerzami, stojąc albo leżąc wyciągnięci na kanapach, albo siedząc na podłodze po turecku, zależnie od tego, na co pozwalała ich kondycja fizyczna – uznał, że Brakebills nauczyło go już wszystkiego, czego mogło nauczyć, więc rzucił szkołę i przeniósł się do małego miasteczka w Maine, kilka mil na północ od Bar Harbor. Miasteczko nazywało się Oslo. Zapuszczona niewielka miejscowość turystyczna, gdzie poza sezonem liczba mieszkańców kurczyła się o osiemdziesiąt procent.

Penny wybrał Oslo – nawet nie New Oslo, tylko po prostu Oslo, jakby ci ludzie uważali, że byli pierwsi – z powodu całkowitego braku wszystkiego, co by go rozpraszało. Przyjechał tam w połowie września i bez problemów wynajął wiejski domek na przedmieściu, przy wąskiej wiejskiej drodze. Domek należał do emerytowanego nauczyciela, który dał mu klucze, po czym uciekł na zimę do swego drugiego domu w Karolinie Południowej. W najbliższym sąsiedztwie Penny'ego stał pozbawiony

wiernych kościółek zielonoświątkowców z jednej strony i zamknięty po sezonie obóz dla trudnej młodzieży z drugiej. Czyli prawdziwy ideał. Znalazł swoje pustkowie, swoje Walden.

Miał tu wszystko, czego potrzebował: ciszę, samotność, dwukołową przyczepkę z godnym pozazdroszczenia wyborem magicznych kodeksów, monografii, broszur, słowników i innych papierów. Miał solidne biurko, dobrze oświetlony pokój i okno z niemalowniczym widokiem na nieskoszony trawnik, który nie zachęcał, żeby na niego patrzeć. Miał wykonalny, intrygująco niebezpieczny projekt badawczy, który wykazywał niewątpliwe oznaki przekształcania się w prawdziwie interesujące badania. Czuł się jak w niebie.

Jednakże pewnego dnia po południu, kilka tygodni po przyjeździe, kiedy siedział przy biurku, czytając załzawionymi błękitnymi oczami słowa wykwintnej mocy zapisane wieki temu piórem hipogryfa, nagle stwierdził, że myśli mu uciekają. Jego duże, zwykle nieskazitelnie gładkie czoło pokryło się zmarszczkami. Coś odciągało jego uwagę. Czy ktoś go atakował? Może jakiś badacz rywal? Jak śmie! Potarł oczy i pokręcił głową, i skupił się bardziej. Niestety, jego uwaga nadal odpływała.

W ten sposób Penny odkrył w sobie słabość, wadę, o którą nigdy w życiu by się nie podejrzewał, nawet za tysiąc lat, czyli w wieku, którego (dokonawszy kilku koniecznych modyfikacji, kiedy już będzie miał na to czas) zamierzał dożyć. Tą wadą okazało się poczucie samotności.

Już sama ta myśl napawała go oburzeniem. Upokarzała. On, Penny, zimny jak gład samotnik, prawdziwy *desperado*, Han Solo Oslo. Przecież to właśnie w sobie kochał! Spędził cztery niekończące się lata w Brakebills otoczony idiotami – z wyjątkiem Melanie, jak nazywał profesor Van Der Weghe – i wreszcie się uwolnił od

gówna, jakim próbowali go bezustannie karmić.

Tymczasem teraz odkrył, że robi różne rzeczy bez powodu. Nieproduktywne rzeczy. Stawał na betonowej tamie niedaleko swego domku i rzucał kamienie, żeby przebić cienką warstwę lodu, który się formował na zbiorniku retencyjnym. Chodził dwa i pół kilometra do centrum miasteczka i grał w gry wideo w pozbawionym okien pasażu handlowym na tyłach apteki, wypychając usta starą gumą do żucia z automatu, u boku pozbawionych nadziei nastolatków o pustych oczach, którzy siedzieli i robili dokładnie to samo co on. Niezdarnie i nieudolnie przystawiał się do młodocianej sprzedawczynie w Book Bin, gdzie sprzedawano głównie artykuły papiernicze i kartki okolicznościowe, nie książki. Zwierzał się ze swoich kłopotów czterem żalonym bizonom, które mieszkały na farmie bizonów za miastem, przy drodze do Bar Harbor. Myślał o tym, żeby przejść przez płot i pogłaskać je po wielkich trójkątnych łbach, ale nie bardzo miał odwagę, bo nie bardzo wiadomo, co sobie myślą takie bizony, za to są naprawdę wielkie.

To było we wrześniu. W październiku kupił trawiastozielone subaru imprezę i jeździł regularnie do dyskoteki w Bangor, popijając ćwiartkę wódki postawioną na siedzeniu pasażera (dyskoteka nie miała ograniczeń wiekowych, toteż nie podawano w niej alkoholu) podczas czterdziestopięciominutowej podróży przez pozbawioną ścieżek sosnową puszcę. Jego projekt badawczy przystopował prawie zupełnie, Penny ograniczył pracę do dwóch godzin dziennie apatycznego przeglądania starych zapisków przerywanego na dłuższe chwile oglądaniem porno w sieci. Uczucie upokorzenia narastało.

Dyskoteka w Bangor otwarta była tylko w piątek i sobotę wieczorem, a on jedynie grał tam w bilard w ciemnym holu, z dala od sali tanecznej, z innymi okropnie

samotnymi mężczyznami, takimi jak on. To tu, w tym ciemnym holu jednego z sobotnich wieczorów zauważył, ku swej konsternacji i jeszcze większej uldze, znajomą twarz. Twarz, która raczej nie wzbudzała sympatii, twarz wychudzonego trupa, z pewnością równie nieatrakcyjnego za życia jak po śmierci, z okropnym cienkim wąsikiem na górnej wardze. Należała do wędrownego handlarza Lovelady'ego.

Lovelady zaszedł do dyskoteki w Bangor zapewne z tych samych powodów co Penny: uciekł jak najdalej od świata Brakebills i magii, po czym poczuł się samotny. Nad kwartą coors light i przy kilku partiach bilarda, które Lovelady po kolei wygrał bez trudu – musisz się nauczyć pewnych rzeczy, kiedy poświęcasz życie sprzedawaniu fałszywych magicznych przedmiotów – wymienili się swymi historiami.

Lovelady polegał w życiu głównie na swoim szczęściu i na łatwowierności ludzi. Większość czasu spędzał na łowieniu okazji na wyprzedażach rzeczy osób zmarłych i w sklepach ze starociami na całym świecie, mniej więcej tak jak rybak łowi w morzu. Zaczepiał podatne emocjonalnie wdowy niedawno zmarłych czarodziejów i snuł się na obrzeżach konwersacji mądrzejszych i lepszych od siebie, cały czas wypatrując rzeczy, które miały wartość, albo takich, które bez trudu mogły uchodzić za coś mającego wartość. Ostatnie kilka miesięcy spędził w północnej Anglii, w kawalerce nad warsztatem samochodowym na koszmarnym przedmieściu Hull, próbując szczęścia w sklepach ze starociami i antykwariatami. Podróżował autobusami, a kiedy naprawdę zabrakło mu szczęścia, na starym rowerze bez przerzutki wypożyczonym bez pozwolenia z warsztatu, do którego jakoby nie miał dostępu.

Nieoczekiwanie w pewnym momencie stwierdził, że nie

wiedzieć czemu zaczął na siebie zwracać uwagę. Zwykle musiał się starać, żeby ktokolwiek choć na niego spojrział, ale tym razem było zupełnie inaczej. W autobusach obcy ludzie wpatrywali się w niego bez powodu. Automaty telefoniczne na ulicy dzwoniły, gdy je mijał. Kiedy przeliczał drobne, okazywało się, że ma wyłącznie monety wybite w roku swych narodzin. Oglądając telewizję, widział tylko swoją twarz z tajemniczym pustym miastem w tle. Lovelady nie posiadał ani wykształcenia, ani wybitnej inteligencji, lecz przetrwał aż do tej pory, polegając na instynkcie, a instynkt ów podpowiadał mu, że coś się dzieje.

Siedząc sam w mieszkaniu na kanapie z gąbki obitej tkaniną w kolorze zupy fasolowej, Lovelady zaczął się zastanawiać. Najlepsza konkluzja, do jakiej doszedł, brzmiała: nieumyślnie nabył rzecz posiadającą prawdziwą moc, którą coś uruchomiło. I to coś go teraz prześladowało.

Tego samego wieczoru zwinął manatki. Opuścił swą kryjówkę obwieszony pobrzękującymi amuletami i fetyszami, pojechał autokarem do Londynu, stamtąd pociągiem przez tunel pod Kanalem do Paryża, a stamtąd na drugą stronę Atlantyku, żeby zdać się na doprawdy przecenianą łaskę Brakebills. Spędził wyczerpujące popołudnie na przeczesywaniu lasów na północ od Nowego Jorku, szukając znajomego przytulnego kampusu.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić za drzewami, a jemu uszy poczerwieniały od pierwszego w tym roku przymrozku, uświadomił sobie straszliwą prawdę: znalazł właściwe miejsce, nie widział jednak Brakebills. Coś, albo on sam, albo jego rzeczy na sprzedaż, spowodowało, że został odrzucony przez zaklęcia zabezpieczające szkoły. Coś, co przy sobie miał, sprawiło, że stał się intruzem.

Właśnie wtedy uciekł do Maine. Cóż za ironia: po raz pierwszy w życiu Lovelady miał szczęście wpaść na coś, co posiadało prawdziwą moc, na coś wielkiego, tymczasem

okazało się, że to za dużo szczęścia naraz. To nie była jego liga. Mógł porzucić swoje towary, wszystkie, tutaj, na środku zamarzonej puszczy, lecz spędziwszy życie na zachłannym oszczędzaniu, nie potrafił tego zrobić. To by złamało jego chciwe serce. Wynajął więc Pszytulną Hatkę w lesie po cenie pozasezonowej i przeprowadził solidną inwentaryzację.

Od razu wśród płataniny tandetnej sztucznej biżuterii rozpoznał to coś zamknięte w plastikowej torebce zawiązanej drucikiem. Nie miał pojęcia, co to jest, ale moc miało oczywistą nawet dla nieuczonych oczu.

Zaciągnął Penny'ego do kąta, sięgnął do kieszeni zniszczonego płaszcza, którego nie zdjął przez cały wieczór, i na okrągłym stoliku przy barze położył torebkę. Uśmiechnął się do Penny'ego ożywionym bezbarwnym uśmiechem. Guziki. Torebka zawierała zwyczajne stare zapasowe guziki: dwie dziurki, cztery dziurki, sztuczna skóra, sztuczny szylkret, duże prostokątne kwadratowe kołeczki i małe bakelitowe drobiażdżki, a nawet zwykłe koraliki. Wzrok Penny'ego natychmiast przyciągnął płaski, niczym się nie wyróżniający, opalizujący na biało guzik od płaszcza o średnicy mniej więcej dwóch centymetrów. Wydawał się cięższy niż powinien. Praktycznie wibrował ledwie powstrzymany energią magiczną.

Penny wiedział, co to jest. Wiedział, że nie należy tego dotykać.

– Zaczarowany guzik? – spytała Janet. – Dziwne. Co to było?

Mimo okropnej fryzury sprawiała wrażenie nieprzyzwoicie wprost odprężonej, popijała kawę w fotelu odziana w krótki jedwabny szlafroczek odsłaniający nogi. Najwyraźniej triumfowała, cieszyła się nowym podbojem i zwycięstwem nad Alice. Quentin jej nienawidził.

– Naprawdę nie wiesz? – zdziwił się Penny.

Quentin pomyślał, że chyba wie, lecz nie zamierzał powiedzieć tego na głos.

– I co zrobiłeś? – spytał zamiast tego.

– Namówiłem go, żeby wrócił ze mną do domu. Tego wieczoru. U siebie nie był bezpieczny, a ja przynajmniej miałem podstawowe zabezpieczenia. Zadzwoniliśmy do kobiety, która sprzedawała mu te guziki, ale twierdziła, że nie ma takiej sprzedaży w księgach. Następnego dnia zabraliśmy jego rzeczy i pojechaliśmy do Bostonu, a ja zapłaciłem mu za guzik osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Nie chciał gotówki, tylko złoto i diamenty. Praktycznie wykupiłem jeden sklep Harry’ego Winstona. Potem mu powiedziałem, żeby spływał. I spłynął.

– Osiemdziesiąt tysięcy dolarów nie opróżniłoby jednej gabloty w Zaleś, o Harrym Winstonie nie wspominając – stwierdził Eliot.

Penny go zignorował.

– To było dwa dni temu. Guzik przyciąga uwagę. Mieszkałem w hotelu w Bostonie. Wczoraj wieczorem dwa piętra nade mną wybuchł pożar i zabił sprzątaczkę. Nie wróciłem do tego pokoju. Wsiadłem do autokaru Fung Wah na Stacji Południowej. Musiałem tu przyjść na piechotę z Chinatown. Kiedy wsiadałem do taksówki, silnik natychmiast wysiadał. Bez znaczenia. Liczy się tylko to, że jest prawdziwy i że jest nasz.

– Nasz? – zdziwił się Richard. – A kim są ci my?

– Jesteś prawdziwym kurewskim pojebem – powiedział Quentin zimno.

– Quentin już wie – stwierdził Penny. – Ktoś jeszcze?

– Quen, o czym on mówi?

Bezgłośna włócznia z czystego połyskliwego lodu przebiła serce Quentina. Nie słyszał, jak Alice tu weszła. Stała na skraju kręgu, włosy miała tłuste i potargane niczym dziecko, które budzi się w środku nocy i krąży jak

niepewny duch na skraju dorosłego przyjęcia.

– On nie ma pojęcia, o czym mówi – wymamrotał Quentin. Nie mógł na nią spojrzeć. Pograżał się w wyrzutach sumienia i czuł złość na Alice, że spojrzenie na nią tak boli.

– Chcesz sam wyjaśnić czy ja mam to zrobić? – spytał Penny.

– Ty wyjaśnij. Ja nie zdołam tego opowiedzieć, nie umierając ze śmiechu.

– No dobra, niech ktoś coś wreszcie powie, bo wracam do łóżka – zażądał Eliot.

– Panie i panowie – powiedział Penny poważnie i z namaszczeniem. – Wszyscy udajemy się do Fillory.

– Pod koniec *Wędrującej wydmy* – zaczął Penny, który najwyraźniej przećwiczył sobie wcześniej ten wykład – Helen i Jane Chatwin dostają prezent od Wysokorakiego, kapitana żaglowca kierowanego przez króliczki, którego dziewczyny napotkały na pustyni. Tym prezentem jest dębowa skrzyneczka z mosiężnymi okuciami zawierająca pięć magicznych guzików, każdy w innym kształcie i kolorze, po jednym dla każdego z Chatwinów. Każdy guzik wyposażony jest w moc przeniesienia noszącej go osoby z Ziemi do Fillory i z powrotem zgodnie z wolą właściciela.

Wszyscy zebrani czytali książki o Fillory, w przypadku Quentina wielokrotnie, niemniej Penny i tak przypomniał im podstawy. Guziki nie przenoszą cię do Fillory bezpośrednio. Najpierw trafiasz do swego rodzaju przejściowego podziemnego świata, na międzywymiarowy postój, a stamtąd można już skoczyć do Fillory.

Nikt nie wie, gdzie się znajduje ten przejściowy świat. Być może to alternatywny poziom egzystencji albo miejsce między poziomami oddzielone nimi jak kwiat zasuszany między kartkami książki, a może jest to główny poziom,

który zawiera wszystkie inne – jak grzbiet wiążący te kartki. Dla nieuzbrojonego oka wygląda jak opuszczone miasto, niekończąca się seria pustych kamiennych placów, tymczasem tak naprawdę to rodzaj wielowymiarowej tablicy rozdzielczej. W centrum każdego placu jest fontanna. Podobno jeśli staniesz na którymś z nich, zostaniesz przeniesiony do innego wszechświata. W mieście są setki różnych placów, zapewne nieskończenie wiele, jak nieskończenie wiele jest innych wszechświatów. Króliczki nazywały to miejsce Światem Ni Tu Ni Tam, a czasami Miastem.

– Najważniejsze jest to – ciągnął Penny – że na końcu *Wędrującej wydmy* Helen ukrywa guziki gdzieś w domu ciotki w Kornwalii. Uważa, że są zbyt mechaniczne, że dzięki nim podróż staje się zbyt łatwa. Ze ich moc jest zła. Ze nie powinienesć móc tak po prostu udać się do Fillory, kiedy ci się zachce, jakbyś łapał autobus. Na podróż do Fillory trzeba zasłużyć, zawsze tak było. To nagroda dla wybranych podarowana im przez baranich bogów, Embera i Umbera. Guziki są wypaczeniem boskiej łaski, jej uzurpacją. Łamaniem zasad. Ember i Umber nie mogli ich kontrolować. Generalnie Fillory to fantazja religijna, a te guziki wcale nie były religijne, tylko magiczne: po prostu narzędzia bez żadnej wartości dodanej. Mogłeś ich użyć, do czego chciałeś, do dobrego czy do złego. Były tak magiczne, że w zasadzie techniczne.

Więc Helen je ukryła. Co zrozumiało, niepokieszona Jane zrujnowała pół domu, żeby je znaleźć, lecz według *Wędrującej wydmy* nie udało jej się to, a Plover nie napisał kolejnych książek.

Wędrująca wydma kończy się latem 1917 albo 1918 roku. Ze względu na brak szczegółów dotyczących prawdziwego świata trudno ją datować dokładnie. Późniejszy los guzików pozostawał nieznanym.

– Spróbujcie umysłowego eksperymentu – zaproponował Penny. – Jak długo może pozostać w ukryciu pudełko z guzikami schowane przez dwunastolatkę? Dziesięć lat? Pięćdziesiąt? Niczego nie można ukryć na zawsze. Czy nie jest możliwe, a wręcz nieuniknione, że w następnych dziesięcioleciach trafiła na nie pokojówka albo agent nieruchomości, albo inna mała dziewczynka? I że zawartość pudełka znalazła drogę na magiczny szary rynek?

– Zawsze sądziłem, że to były guziki od marynarki – stwierdził Richard. – Coś jak szpilka do krawata.

– OK, cofnijmy się na chwilę, dobra? – powiedział Quentin wesoło. Miał akurat odpowiedni nastrój na to, żeby ktoś, ktokolwiek, byle nie on, zrobił z siebie dupka, a jeśli tą osobą chce być Penny, Quentin zaś może mu w tym pomóc, tym lepiej. – Książki o Fillory to fikcja, no nie? I nic z tego, o czym mówisz, nigdy się naprawdę nie przydarzyło?

– I tak, i nie – odparł Penny zaskakująco rozsądnie. – Dopuszczam możliwość, że większość opowieści Plovera to fikcja. Albo fabularyzacja. Ale podstawowy mechanizm podróży międzywymiarowych opisany przez Plovera wygląda całkiem realnie.

– Doprawdy. – Quentin znał Penny’ego na tyle dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie blefuje, lecz nie odpuścił ze zwykłego uporu wspieranego przez jego własną wewnętrzną podłość. – A co cię skłania do takiego wniosku?

– Mogę wam zaręczyć, że Ni Tu Ni Tam istnieje. Spędziłem tam większość ostatnich trzech lat.

Na takie *dictum* nikt nie miał odpowiedzi. Zapadła cisza. Quentin w końcu odważył się rzucić okiem na Alice. Jej twarz wyglądała jak maska. Wolałby już chyba, żeby była wściekła.

– Nie wiem, czy wiecie – zaczął Penny – a właściwie w zasadzie jestem pewien, że nie wiecie, że większość nauki w

Brakebills spędziłem na podróżach pomiędzy alternatywnymi światami. Czy poziomami, jak je nazywamy. Razem z Melanie. O ile mi wiadomo, ustanowiliśmy całkiem nową specjalizację. Oczywiście nie ja pierwszy badałem ten temat, natomiast jestem pierwszą osobą, która posiada ku temu specjalne zdolności. Mój talent jest tak niezwykły, że Melanie... profesor Van der Weghe postanowiła, że nie będę się uczył według programu i przygotowała dla mnie indywidualny tok nauki.

Taka podróż wiąże się z rzucaniem licznych zaklęć, a większość z nich musiałem improwizować. Mogę was zapewnić, że masa tego, co należy do kanonu, jest zupełnie pozbawiona podstaw. Kompletnie. Nie ogarnia całego obrazu, a ta część, którą ogarnia, jest akurat najmniej ważna. Myślicie może, że wasz przyjaciel Bigby miał pewne pojęcie o tej dziedzinie? No to się mylicie, otóż nie miał żadnego pojęcia. Byłem zaskoczony. Naprawdę. Zresztą nadal są zagadnienia, których nie rozwiązałem.

– Takie, jak? – zagadnął Eliot.

– Na przykład to, że do tej pory mogłem podróżować tylko sam. Mogę przenosić swoje ciało i ubrania, i niewielki bagaż, ale nic innego i nikogo innego. Po drugie, mogę przejść do Ni Tu Ni Tam i nigdzie dalej. Tam utykam. Szerszy wieloświat jest przede mną zamknięty.

– To znaczy? – spytała Janet. – Zaczekaj, czyli byłeś w tym magicznym Interwale i nigdzie indziej? – Naprawdę wyglądała na zdumioną. – Myślałam, że przychodzisz tu jako wielowymiarowy *desperado* czy coś w tym stylu.

– Nie. – Penny zwykle zachowywał się obronnie, kiedy wydawało mu się, że ktoś go atakuje, w tej chwili jednak skoncentrował się tak totalnie, że nawet równie bezpośrednia kpina odbiła się od niego jak piłka. – Moje badania ograniczały się do Miasta. To interesujące miejsce samo w sobie, dla wykształconego magicznego oka pełne

zaskakująco złożonych artefaktów. Te książki dostarczają tak mało informacji. Przecież *Wędrująca wydma* jest opowiedziana z punktu widzenia dziecka. Nie jest dla mnie jasne, czy Plover albo Chatwinowie mieli jakąś znajomość technik, które opisują. Myślałem początkowo, że całe to miejsce to prowizorka, wirtualny świat, który funkcjonuje jako rodzaj trójwymiarowego interfejsu podłączonego do międzywymiarowej tablicy rozdzielczej. Tylko że wcale nie przypomina interfejsu. Labirynt identycznych nieopisanych placów? Co to daje? Nic więcej nie wymyśliłem. Rzecz w tym, że im bliżej badałem tę sprawę, tym większego nabierałem przekonania, że mam do czynienia z czymś dokładnie odwrotnym: że nasz świat jest mniej realny niż Miasto, a to, czego doświadczamy w rzeczywistości, jest tylko przypisem do tego, co dzieje się tam. Epifenomenem. Teraz, kiedy mamy guzik – poklepał się po kieszeni džinsów – dowiemy się dużo więcej. Dużo dalej zajdziemy.

– Próbowałeś już? – spytał Richard.

Penny się zawahał. Jak na kogoś, kto tak bardzo chciał być twardy, był boleśnie łatwy do przejrzania.

– Oczywiście, że nie – stwierdził Quentin, wyczuwając krew. – Sra po nogach ze strachu. Nie ma pojęcia, co to jest, wie tylko, że jest kurewsko niebezpieczne, i chce, żeby jedno z nas odegrało rolę królika doświadczalnego.

– To w żadnym razie nie jest prawda! – powiedział Penny. Uszy zrobiły mu się czerwone. – Artefaktem takiego poziomu należy się zajmować w obecności sprzymierzeńców i obserwatorów! Z odpowiednimi zabezpieczeniami! Żaden rozsądny czarodziej...

– Słuchaj, Penny. – Teraz Quentin mógł zagrać rolę tego rozsądnego i uczynił to, wykorzystując do maksimum tkwiącą w nim podłość. – Zwolnij trochę. Tak wyskoczyłeś naprzód, że nawet nie wiesz, jak się tam znalazłeś. Widziałeś stare miasto, kilka fontann i masz guzik z jakimś

mocnym zaklęciem, więc szukasz jakiegoś wzorca, za pomocą którego mógłbyś połączyć te dwie sprawy, dlatego przypiąłeś się do Fillory. Tymczasem tak naprawdę budujesz zamki na piasku. To szaleństwo. Tkaż nowe, przypadkowe dane w historię, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Musisz się cofnąć, i to porządnie. Odetchnij głęboko. Wszedłeś daleko poza krąg prawdopodobieństwa.

Nikt się nie odezwał. Sceptycyzm panujący w bawialni stał się wręcz namacalny. Quentin wygrywał, czuł to. Penny rozejrzał się błagalnie po twarzach słuchaczy, nie mogąc uwierzyć we własną klęskę.

Alice nagle znalazła się w pustym kręgu u boku Penny'ego.

– Quentin, zawsze byłeś niewiarygodną cipą – oświadczyła.

Jej głos załamał się tylko troszeczkę, kiedy to mówiła. Chwyliła Quentina za ramię jedną ręką, a drugą włożyła do lewej kieszeni luźnych dżinsów Penny'ego. Grzebała w niej przez chwilę.

Znikli wszyscy razem.

NI TU NI TAM

Quentin pływał. Czy raczej mógłby pływać, ale prawdę powiedziawszy, po prostu się unosił. Było ciemno, jego ciało nie miało zawieszono w zimnej wodzie. Jądra skurczyły mu się gwałtownie, cofając się przed chłodem. Drżące, pozbawione ciepła promienie słońca przebijały ciemność.

Po pierwszym szoku chłód wody i wrażenie niewiarygodnej lekkości przyniosły niesamowitą ulgę odwodnionemu, rozgorączkowanemu, nieumytemu i skacowanemu ciału. Powinien rzucać się i panikować, tymczasem unosił się z rozpostartymi ramionami jak trup na wodzie. Cokolwiek ma nadejść, nadejdzie. Otworzył oczy, a woda skąpała je wilgotnym uzdrowicielskim chłodem. Zamknął je ponownie. Nie było czego oglądać.

Czuł wręcz niewiarygodną ulgę. Cudowne odurzenie. Świat, choć zwykle okazywał w tych sprawach wyjątkową nieczułość, tym razem w chwili, kiedy stał się niemal nie do zniesienia bolesny, zrobił mu przysługę i zniknął zupełnie.

Oczywiście w którymś momencie zacznie potrzebować powietrza. Zajmie się tym w odpowiednim czasie. Choć sytuacja była paskudna, utonięcie nadal mogłoby się okazać nieco przedwcześnie akcją. Niczego nie pragnął bardziej, niż pozostać na zawsze zawieszony w tej wodzie niczym w płynie owodniowym, ani na świecie, ani poza nim, ani *żywy*, ani *umarły*.

Wtem na jego nadgarstku zamknęły się żelazne kajdany. Ręka Alice. Wyciągała go bezwzględnie na powierzchnię. Nie chciała go zostawić w spokoju. Niechętnie zaczął jej pomagać, kopniakami kierując się na powierzchnię. Ich głowy wynurzyły się z wody w tej samej chwili.

Znajdowali się na środku nieruchomego, cichego,

pustego miejskiego placu, młóćąc wodę w okrągłym zbiorniku fontanny. Panowała niesamowita cisza: żadnego wiatru, żadnych ptaków, żadnych owadów. We wszystkich kierunkach ciągnęły się szerokie płyty chodnikowe, czyste i nagie, jakby przed chwilą zostały zamiecione. Po bokach placu widzieli rzędy kamiennych budynków. Nie dało się określić ich wieku – nie wyglądały na zrujnowane, raczej na zamieszkane. Przypominały nieco architekturę włoską; mogłyby stać w Rzymie albo w Wenecji. Tylko że tam nie stały.

Zachmurzone niebo wisiało nisko, padała drobna mżawka, która sprawiała wrażenie wilgotnej mgły. Kropelki tworzyły zmarszczki na nieruchomej powierzchni wody, która spływała do zbiornika z przepelnionego kielicha ogromnego lotosu z brązu. Plac sprawiał wrażenie pospiesznie opuszczonego, pięć minut albo pięć wieków temu, nie sposób było określić kiedy.

Quentin chlapał się w wodzie przez dłuższą chwilę, a potem jednym pływackim ruchem rąk skierował się ku kamiennemu obramowaniu. Zbiornik miał nie więcej niż pięć metrów średnicy, a obramowanie było popękane i nierówne: stary wapień. Chwycił się go oburącz i dźwignął się w górę. Wypełził z wody na suchą ziemię.

– Jezu – szepnął. – Pieprzony Penny. To wszystko prawda.

Nie chodziło tylko o to, że nienawidził Penny'ego. Po prostu naprawdę nie sądził, że to prawda. A tymczasem znaleźli się w Mieście, w prawdziwym Ni Tu Ni Tam czy w czymś, co je niesamowicie przypominało. Niewiarygodne. Najbardziej naiwny, najbardziej błogi, najbardziej wytęskniony sen jego dzieciństwa właśnie się ziszczał. Boże, tak bardzo się we wszystkim mylił.

Odetchnął głęboko, potem jeszcze raz. Jakby przenikało go białe światło. Nie wiedział, że może być taki

szczęśliwy. Wszystko, co go przytłaczało – Janet, Alice, Penny, wszystko – nagle w porównaniu z tym straciło znaczenie. Jeśli Miasto było prawdziwe, znaczyło to, że prawdziwe mogło być i Fillory. Wczorajszy wieczór okazał się katastrofą, apokalipsą, ale to miało o wiele większe znaczenie. Wszystko wydawało się niemal zabawne. Czekało ich tyle radości.

Odwrócił się do Alice.

– To dokładnie jak...

Jej pięść trafiła go w lewy oczodół. Uderzyła jak dziewczyna, nie wspierając ciosu masą ciała, lecz nie spodziewał się uderzenia, toteż nijak go nie zamortyzował. Lewa część świata wybuchła bielą.

Zgiął się w pół częściowo oślepiony, zasłaniając oko ręką. Kopnęła go w łydkę, najpierw w jedną, potem w drugą, z zaskakującą precyzją.

– Dupek! Jesteś pieprzonym dupkiem!

Twarz miała bladą. Zęby jej szczękały.

– Ty gnoju. Ty pierdolony tchórze.

– Alice – zdołał wykrztusić. – Alice, przepraszam. Ale posłuchaj ... popatrz. – Próbował wskazać otaczający ich świat, równocześnie upewniając się, czy ma całą rogówkę.

– Nie waż się, kurwa, odzywać! – Okładała go obiema pięściami po głowie i barkach, więc skulił się i osłonił rękami. – Nie waż się nigdy więcej do mnie odzywać, ty padalcu! Pierdolony padalcu!

Odszedł chwiejnie kilka kroków, usiłując uciec przed jej gniewem, jego mokre ubranie łopotąło przy każdym kroku, a Alice ruszyła za nim jak rój pszczół. Ich głosy brzmiały dziwnie cicho i pusto na pozbawionym echa placu.

– Alice! Alice! – Miał wrażenie, że łuk brwiowy mu płonie. – Zapomnij o tym na chwilę! Na jedną chwilę! – Nadal ścisnęła w pięści guzik, kiedy go tłukła. Musiał być dużo cięższy, niż wyglądał. – Nie rozumiesz. To było...

wszystko. – Istniał jakiś właściwy sposób na wyjaśnienie całej sprawy. – Pogubiłem się. Życie zrobiło się takie puste... to znaczy tam... dokładnie tak jak mówiłaś, musimy żyć, póki możemy. Przynajmniej tak myślałem. Ale to się wymknęło spod kontroli. Po prostu się wymknęło. – Dlaczego mówi takie frazesy? Czas przejść do sedna. Jakieś przecież jest. – Po prostu wszyscy się strasznie upiliśmy...

– Doprawdy? Za bardzo, żeby się pieprzyć? – Miała rację. – Mogłabym cię zabić. Rozumiesz to? – Jej twarz zrobiła się straszna, na czerwonych policzkach pojawiły się dwie białe plamy. – Mogłabym cię spalić na proch tam, gdzie stoisz. Jestem od ciebie silniejsza. Nie zdołałbyś mnie powstrzymać.

– Posłuchaj, Alice. – Musiał zatrzymać jej słowa. – Wiem, że źle to wygląda. Naprawdę bardzo, bardzo źle. I przepraszam. Nie masz pojęcia, jak bardzo mi przykro. Musisz mi uwierzyć. To takie ważne, żebyś zrozumiała!

– Co ty jesteś, dziecko? Pogubiłeś się? Dlaczego tego nie zakończyłeś, Quentin? To oczywiste, że już dawno straciłeś zainteresowanie. Naprawdę dzieciak z ciebie! Najwyraźniej nie jesteś mężczyzną gotowym na prawdziwy związek. Nie jesteś nawet na tyle mężczyzną, żeby zakończyć prawdziwy związek. Czy ja muszę robić za ciebie absolutnie wszystko?... Albo wiesz co? Nienawidzisz siebie tak bardzo, że ranisz wszystkich, którym na tobie zależy. O to chodzi, prawda? Żeby im dowalić za to, że cię kochają. Nigdy wcześniej tego nie dostrzegałam...

Tu urwała, kręcąc głową, zatracona w niedowierzaniu. Własne słowa kazały jej się powstrzymać. W ciszy, jaka zapadła, fakt, że ją zdradził, i to właśnie z Janet, znów spadł na nią niczym cios, równie mocny jak za pierwszym razem, dwie godziny temu. Quentin to widział: zupełnie jakby dostała kulę w brzuch.

Uniosła rękę wnętrzem dłoni do niego, jakby chciała

zakryć oczy przed widokiem jego potwornej twarzy. Pukiel mokrych włosów przylepił jej się do policzka. Dyszała ciężko. Jej wargi zrobiły się białe. Ale nie przestały się poruszać.

– Warto było? – spytała. – Zawsze jej pragnąłeś, myślisz, że nie zauważyłam? Myślisz, że jestem głupia? Odpowiedz mi: myślisz, że jestem głupia? Powiedz! Naprawdę chcę wiedzieć, czy myślisz, że jestem głupia!

Podbiegła do niego i wymierzyła mu policzek. Przyjął całą siłę tego uderzenia.

– Nie, wcale nie myślę, że jesteś głupia, Alice. – Czuł się jak bokser, który został znokautowany prawym prostym, lecz stoi dalej i modli się o to, by móc upaść. Miała rację, po tysiackroć rację, gdyby jednak zdołał sprawić, by ujrzała to co on... gdyby tylko potrafiła spojrzeć na sprawy z właściwej perspektywy. Pieprzone baby! Odchodziła teraz od niego w kierunku ulicy prowadzącej na kolejny plac, zostawiając za sobą ślad mokrych odcisków stóp. – Czy możesz się rozejrzeć? – błagał. Szedł za nią. Głos drżał mu z wyczerpania. – Czy możesz na moment przyznać, że wokół ciebie dzieje się coś ważniejszego niż to, kto gdzie włożył którą część ciała?

Nie słuchała albo może postanowiła, że i tak powie to, co jej leży na sercu.

– Wiesz co? – spytała niemal tonem towarzyskiej rozmowy, przechodząc na następny plac. – Założę się, że myślałeś, że pieprzenie się z nią uszczęśliwi cię. Przeskakujesz od jednego do drugiego, bo myślisz, że to cię uszczęśliwi. Brakebills cię nie uszczęśliwiło. Ja cię nie uszczęśliwiłam. Sądziłeś, że robi to Janet? To kolejna fantazja, Quentinie.

Zatrzymała się, przyciskając ręce do brzucha, jakby bolał ją żołądek, i załkała gorzko. Mokre ubranie przylepiało się jej do ciała. Mała kałuża zaczęła się formować wokół jej

stóp. Chciał ją pocieszyć, lecz nie śmiał jej dotknąć. Czuł niemal namacalną ciszę, jaka tu panowała. W książkach o Fillory place były identyczne, tymczasem naprawdę wyraźnie różniły się od siebie. Wszystkie zbudowano w tym samym pseudowłoskim stylu, ale ten miał kolumnadę po jednej stronie, a fontanna na środku była prostokątna, nie okrągła jak ta, z której wyszli. Z boku rzygała do niej wodą twarz z marmuru.

Kroki na kamieniach. Quentin pomyślał, że przyda mu się każdy intruz, jakikolwiek, szczególnie mięsożerny, taki, który pożre go żywcem.

– Prawdziwe spotkanie po latach, no nie?

Penny szedł energicznie w ich stronę. Górowała nad nimi szara fasada kamiennego palazzo ozdobiona herbem: kotwica i trzy płomienie. Quentin nigdy nie widział Penny'ego równie szczęśliwego i odprężonego. Był w swoim żywiole i po prostu puchł z dumy. Ubranie miał suche.

– Przepraszam. Spędziłem tu tyle czasu, a nigdy nie mogłem tego nikomu pokazać. Nie przypuszczasz, że to ma znaczenie, jednak ma. Kiedy trafiłem tutaj po raz pierwszy, leżał tu trup. W tym miejscu.

Pokazał ręką jak przewodnik oprowadzający po kampusie.

– Ludzki. Albo prawie ludzki. Może Maorysa, miał tatuaż na twarzy. Nie żył od kilku dni. Musiał tu zostać uwięziony: wszedł, a potem fontanny nie chciały go przepuścić dalej. Myślę, że umarł z głodu. Kiedy tu przyszedłem następnym razem, ciało zniknęło.

Penny przyjrzał się im i po raz pierwszy zorientował się w sytuacji: łyzy Alice, gwałtownie rosnący siniak pod okiem Quentina, toksyczna mowa ciała.

– Och... – Jego twarz złagodniała nieco. Poruszył ręką i nagle ich ubrania zrobiły się ciepłe i suche, a nawet wyprasowane. – Słuchajcie, musicie tutaj o tym wszystkim

zapomnieć. To miejsce może być niebezpieczne, jeśli nie będziecie uważać. Dam wam przykład. W którą stronę pójdziecie, żeby wrócić na plac prowadzący do domu?

Alice i Quentin rozejrzeli się wokoło jak posłuszni uczniowie Penny'ego. W zapale kłótni przecięli pod kątem drugi plac i znaleźli się na trzecim. Czy może na czwartym? Mokre ślady ich stóp już wyschły. Z każdego rogu placu odchodziła ulica, a z każdej ulicy można było zobaczyć inne place i fontanny, hen, w nieskończoność. Jak w sztuczce z lustrami. Słońca nie było widać, o ile w ogóle było tu słońce. Penny miał rację. Nie mieli pojęcia, gdzie jest plac prowadzący na Ziemię ani nawet z którego kierunku przyszli.

– Nie martwcie się, zaznaczyłem go. Przeszliście tylko pół kilometra. Jeden plac na wprost i jeden w bok. – Penny wskazał w dokładnie odwrotnym kierunku, niż typował Quentin. – W książce Chatwinowie wędrują tu, jak chcą, i zawsze wszystko kończy się dobrze, my jednak musimy być ostrożniejsi. Znaczę drogę pomarańczową farbą. Muszę to robić za każdym razem, kiedy tu jestem. Farba znika.

Ruszył z powrotem w kierunku, który wskazał. Niepewnie, nie patrząc na siebie, Quentin i Alice poszli za nim. Ich ubrania znów robiły się wilgotne od deszczu.

– Kiedy tu jestem, działam wedle ściśle określonych zasad. Nie ma tu stron świata, więc wymyśliłem nowe. Nazwałem je od budynków na placu Ziemi: pałac, willa, wieża, kościół. To nie może być prawdziwy kościół, chociaż tak wygląda. Idziemy teraz w kierunku kościelnym.

Wrócili do fontanny, którą Penny otoczył wielkim nierównym X z jaskrawopomarańczowej farby. Kawałek dalej znajdowało się prymitywne schronienie: kawałek brezentu, składane łóżko i stolik. Quentin zdziwił się, jakim cudem zdołał je przeoczyć.

– Założyłem tu bazę z zapasem jedzenia, wody i

książkami. – Penny był podniecony jak niepopularny bogaty dzieciak, który po raz pierwszy przyprowdza do domu kolegów, żeby zobaczyli jego drogie zabawki. Nie zwrócił nawet uwagi na to, że Quentin i Alice nic nie mówią. – Zawsze sądziłem, że pierwsza przyjdzie tu Melanie, tyle że nigdy do końca nie opanowała zaklęcia. Próbowałem ją nauczyć, ale ona nie ma dość mocy. Choć niewiele jej brakuje. W pewnym sensie cieszę się, że to wy. Wiecie, że byliście jedynymi przyjaciółmi, jakich miałem w Brakebills?

Penny pokręcił głową, jakby zaskakiwał go fakt, że większość ludzi go nie lubi. Quentin pomyślał, że zaledwie dwanaście godzin temu razem z Alice ledwie by się powstrzymywali od konspiracyjnych chichotów na samą myśl o tym, że kiedykolwiek mogliby się przyjaźnić z Penny'm.

– Och, niemal zapomniałem: żadnych niższych zaklęć. One tu wariują. Kiedy tu przyszedłem po raz pierwszy, spróbowałem podstawowego rozjaśnienia. Potem nic nie widziałem przez dwie godziny. Zupełnie jakby powietrze tutaj zostało nadmiernie nasycone, tylko nie tlenem, a magią. Jedna iskra i bum.

Do fontanny prowadziły dwa kamienne stopnie. Quentin usiadł na górnym i oparł się o obramowanie. Woda wydawała się nienaturalnie czarna, jak atrament. Po co się klócić? Będzie tu siedział i słuchał Penny'ego.

– Nie uwierzycie, jak daleko zaszedłem. Setki kilometrów! Dużo dalej niż Chatwinowie. Raz zobaczyłem fontannę, która się przelewała jak zapchany kibel, a plac pokrywało ze trzydzieści centymetrów wody. I sąsiednie też. Dwa razy widziałem zaszpunktowane fontanny, zapieczętowane brązowymi pokrywami, jak studnie, jakby miały zatrzymać ludzi na zewnątrz. Albo w środku. Raz znalazłem na chodniku kawałki białego marmuru. Chyba z potłuczonej rzeźby. Próbowałem je złożyć razem, żeby

zobaczyć, co to za rzeźba, ale się nie udało.

– Nie można wejść do budynków. Próbowałem na wszystkie możliwe sposoby. No wiecie, wytrychy, młoty... Raz przyniosłem ze sobą palnik acetylenowy. Okna są za ciemne, żeby zobaczyć, co jest w środku. Kiedyś przyniosłem latarkę, taki bardzo jasny szperacz, jakiego używa straż przybrzeżna. I wiecie, co się okazało? Tam jest pełno książek. Bez względu na to, jak te budynki wyglądają z zewnątrz, w środku to po prostu biblioteka.

Quentin nie miał pojęcia, jak długo przebywali w Ni Tu Ni Tam. Na pewno przez jakiś czas. Może kilka godzin. Wędrowali od placu do placu jak zagubieni turyści, całą trójką. Wszystko, co widzieli, wyglądało podobnie i sprawiało takie samo wrażenie zniszczonego i antycznego, choć tak naprawdę nic się nie powtarzało. Quentin i Alice nie patrzyli na siebie, lecz nie mogli się oprzeć pokusom tego wspaniałego melancholijnego miejsca. Przynajmniej deszcz przestał padać.

Minęli mały plac, wielkości jednej czwartej innych, wybrukowany kocimi łbami. Kiedy stanęli na jego środku, mieli wrażenie, że słyszą ocean, uderzenia fal. Na innym Penny pokazał im okno z wypalonymi znakami nad futryną, jakby wybuchł tu pożar. Quentin się zastanawiał, kto zbudował to miejsce i dokąd odszedł. Co tu się stało?

Penny opisał niezwykle szczegółowo swoje skomplikowane, choć całkowicie nieudane wysiłki, by wspiąć się po linie na jeden z budynków i spojrzeć na wszystko z góry. Jeden jedyny raz udało mu się przerzucić linę przez ozdobny wykusz, w połowie drogi ogarnęły go jednak zawroty głowy, a kiedy się ocknął, okazało się, że zawrócił i schodzi w dół tą samą drogą, którą wszedł.

Czasami wszyscy troje widzieli w oddali zielony plac, na którym chyba znajdował się ogród z rzędami drzew

cytrynowych. Nie mogli jednak do niego dotrzeć – kiedy się zbliżali, niknął w skrzywionej perspektywie ulic, które nie całkiem się pokrywały jedna z drugą.

– Powinniśmy wrócić – powiedziała wreszcie Alice. Jej głos był bez wyrazu. Odezwała się po raz pierwszy, odkąd nawrzeszczała na Quentina.

– Dlaczego? – spytał Penny. Przeżywał najpiękniejsze chwile życia. Quentin pomyślał, że musiał się tutaj czuć straszliwie samotny. – Nie ma znaczenia, ile czasu tu spędzimy. Na Ziemi czas teraz nie mija. Dla innych to będzie tak, jakbyśmy zniknęli i natychmiast znów się pojawili, no wiecie, dzyń, dzyń. Nawet nie będą mieli czasu się zdziwić. Kiedyś spędziłem tu cały semestr i nikt nie zauważył.

– My z pewnością nie zauważyliśmy – zauważył Quentin, ponieważ wiedział, że Penny go zignoruje.

– W zasadzie jestem od was starszy o jakiś rok, tak subiektywnie, ze względu na czas, który tu spędziłem. Powinienem dokładniej to obliczać.

– Penny, co my tu robimy?

Penny wyglądał na zaskoczonego.

– Czy to nie oczywiste? Idziemy do Fillory, Quentinie. Musimy. To wszystko zmieni.

– Dobra. Już dobra. – Coś go w tym męczyło, chciał ubrać to w słowa. Musiał zmusić zmęczony umysł do przetwarzania myśli. – Penny, musimy zwolnić. Spójrzeć z szerszej perspektywy. Chatwinowie przybywali do Fillory, ponieważ zostali wybrani. Przez Embera i Umbera, magiczne owce. To jest barany. Przybywali tam czynić dobro, walczyć z Nadzorczynią Czasu czy coś tam.

Alice kiwała głową.

– Udawali się tam, tylko jeśli coś się działo – powiedziała. – Nadzorczym Czasu albo wędrująca wydma, albo tykający zegar w *Latającej puszczy*. Albo żeby

odszukać Martina. O tym właśnie mówiła Helen Chatwin. Nie możemy tam wpaść bez zaproszenia. Przede wszystkim dlatego ukryła guziki, one były błędem. Fillory nie lubi rzeczywistego świata, to doskonały wszechświat, gdzie wszystko zorganizowano w imię dobra. Ember i Umber mieli patrolować granice, tymczasem dzięki guzikom każdy może tam wejść. Przypadkowi ludzie, którzy nie są częścią historii. Źli ludzie. Guziki nie należą do logiki Fillory. Są dziurą w granicy, otworem w murze.

Sam fakt, że Alice mówiła o Fillory tak zimno, bez wahania, zwiększył jeszcze wielkie poczucie winy Quentina, jego rozpaczliwą tęsknotę za nią. Jak mógł być tak zagubiony, by myśleć, że pragnie Janet, a nie jej?

Penny kiwał głową i kołysał się w przód i w tył jak autystyczne dziecko.

– Zapominasz o czymś, Alice. Nie jesteśmy złymi ludźmi. – W jego oczach zapłonęła gorliwość. – Jesteśmy z tych dobrych. Przyszło ci do głowy, że może dlatego w ogóle znaleźliśmy ten guzik? Może o to chodzi, może otrzymaliśmy wezwanie. Może Fillory nas potrzebuje.

Czekał na reakcję.

– Naciągana teoria – powiedział wreszcie Quentin słabo. – Naprawdę naciągana.

– No to co? – Penny wstał. – NO TO CO? Co z tego, jeśli Fillory nie zadziała? Choć oczywiście zadziała? Skończymy w innym miejscu. To inny świat, to miliony innych światów. Ni Tu Ni Tam to miejsce, gdzie spotykają się wszystkie światy! Kto wie, może inne wymyślone światy też mogą się okazać prawdziwe? Cała ludzka literatura może być instrukcją obsługi multiświata! Raz przeszedłem przez sto placów w linii prostej i nie zobaczyłem końca tego miejsca. Możemy je badać przez resztę życia i nigdy nawet nie zacząć go opisywać. O to chodzi, Quentinie! To nowa granica, wyzwanie stojące przed naszym pokoleniem i kolejnymi

pięćdziesięcioma też! Wszystko się tu zaczyna. Od nas. Musisz tylko tego chcieć.

– Co ty gadasz?

Penny wyciągnął rękę, jakby się spodziewał, że Quentin i Alice przybiją piątkę, jak na meczu piłkarskim. Naprzód, drużyno! Choć Quentin miał wielką ochotę go zlekceważyć, w końcu niemrawo zareagował. W oku mu pulsowało.

– Powinniśmy wrócić – powtórzyła Alice. Wyglądała na wyczerpaną. Zapewne nie spała wiele zeszłej nocy.

Wyjęła z kieszeni dziwnie ciężki perłowy guzik. Wyglądał śmiesznie – w książce się taki nie wydawał, no ale to była książka, a Chatwinowie użyli guzików tylko raz. W prawdziwym życiu wyglądało to na zabawę w jakąś dziecięcą grę. Poglądy małych dzieci na czarodziejskie przedmioty. Czego innego można się jednak spodziewać od bandy gadających króliczków?

Kiedy wrócili na plac, z którego wyruszyli, stanęli rzędem przy fontannie, trzymając się za ręce i balansując ryzykownie na jej obramowaniu. Perspektywa ponownego zmożenia się wydała się Quentinowi niewypowiedzianie przygnębiająca. W rogu placu zobaczył młode drzewko, które przebiło się przez jedną z płyt chodnika. Było powykęcane niemal w spiralę, niemniej żyło. To kazało mu się zastanowić, na czym zbudowano Miasto i co się tu pojawi, kiedy popadnie w ruinę. Czy przedtem rósł tu las? Czy potem znowu będzie? Miasto powinno przeminać.

Alice stała po drugiej stronie Penny'ego, żeby nie dotykać Quentina. Zeskoczyli z obramowania fontanny równocześnie, prawą nogą naprzód.

Tym razem przejście okazało się inne. Lecieli przez wodę jak przez powietrze, potem przez ciemność, a potem jakby spadali z nieba w kierunku Manhattanu, w szary piątkowy poranek w zimie – brązowe skwery, szare budynki, żółte taksówki czekające przy pasiastych białych

przejściach dla pieszych, czarne rzeki pełne holowników i barek – przez szary sufit do bawialni, gdzie Janet, Eliot i Richard nadal trwali w spóźnionej reakcji, jakby Alice właśnie chwyciła guzik w kieszeni Penny’ego, jakby trzy ostatnie godziny w ogóle nie istniały.

– Alice! – zawołała Janet wesoło. – Wyjmij rękę ze spodni Penny’ego!

NA PÓLNOCY STANU

Oczywiście potem musieli się tam udać wszyscy. Nikt prawie nie wspomniał o podbitym oku Quentina („Tubylcy nie byli przyjaźni”, wyjaśnił sucho i bez zastanowienia). Zjawił się Josh – spędził jednak noc z Anais – i musieli mu opowiedzieć wszystko od początku; Potem udali się tam trójkami. Josh z Penny’em i Richardem. Później Penny, Janet i Eliot. Następnie Josh zadzwonił do Anais i namówił ją, żeby przyszła, i udali się tam w trójkę z Penny’em.

Z nich wszystkich tylko Janet źle zareagowała na przejście. Podobno ledwie się wynurzyli, dostała torsji i zwróciła śniadanie prosto w zimną, czystą zaczarowaną wodę. Po czym wpadła w panikę. Eliot opowiedział im z detalami, jak z całych sił ścisnęła rękę Penny’ego i powtarzała:

– Guzik! Guzik! Już!

Quentina nie poruszyło jej przejście. To wampir, pomyślał. Żeruje na zdrowej miłości innych ludzi i zmienia ją w coś chorego i ułomnego.

W bawialni panował poważny i zadziwiająco trzeźwy nastrój. Obrzucali się przeciągłymi, pytającymi spojrzeniami pełnymi znaczeń. Nikt nie powiedział tego na głos, niemniej wszyscy się zgadzali, że to coś dużego. DUŻEGO. I należało do nich, przynajmniej chwilowo. Musieli to opanować. Na żądanie Penny’ego usiedli w kręgu na dywanie w bawialni i odnowili barierę wokół mieszkania, z marszu, wspólnie. Autorytarne upodobania Richarda, przez które często jego obecność stawała się nie do zniesienia, teraz okazały się przydatne. Kierował grupą w efektywny, profesjonalny sposób, jak doświadczony dyrygent orkiestrą kameralną grającą trudny kawałek Bartoka.

W dwadzieścia minut zakończyli stawianie bariery, a potem poświęcili jeszcze dziesięć minut na dodatkowe zakłęcia ochronne i ukrywające – rozsądne posunięcie, zważywszy, jak wielką uwagę przyciągał guzik w magicznym ekosystemie. Kiedy skończyli, kiedy wszystko zostało sprawdzone dwa razy, w pokoju zaległa cisza. Siedzieli nieruchomo i czekali, aż waga tego, co się stało, zapadnie głęboko w ich umysły. Josh wstał i w milczeniu poszedł do kuchni przygotować kanapki na lunch. Eliot otworzył okno i zapalił papierosa. Janet przypatrywała się Quentinowi z chłodnym rozbawieniem.

Quentin leżał na plecach na dywanie i patrzył w sufit. Potrzebował snu, ale to nie był odpowiedni moment. Dzikie emocje walczyły ze sobą o władzę nad jego umysłem jak wrogie armie zajmujące na przemian to samo wzgórze: podniecenie, wyrzuty sumienia, oczekiwanie, złe przeczucia, smutek, złość. Próbował się skupić na Fillory, sprawić, by wróciły dobre uczucia. To mogło zmienić wszystko. Tak, jego wszechświat rozszerzył się właśnie z milion razy, lecz kluczem do tego pozostawało Fillory. Narastające zaraźliwe poczucie bezsensu, które rozwijało się w jego umyśle od chwili ukończenia Brakebills, trafiło wreszcie na swą czarodziejską kulę. Alice jeszcze tego nie dostrzegła, ale dostrzeże. Na to właśnie czekali. Tego właśnie jej rodzice nigdy nie znaleźli. Zmęczony uśmiech co chwila wypływał na jego twarz, a lata opadały z niego jak warstwy martwej skóry. Nie były tak do końca stracone, tego nie mógł powiedzieć, jednakże pomimo wszystkich tych zaskakujących darów miał przez cały czas świadomość, że jakoś nie dostaje tego, czego pragnie. Otrzymał oczywiście dość, by dawać sobie radę, lecz dopiero teraz trafił na to coś. Teraźniejszość miała teraz cel i przyszłość miała cel, i nawet przeszłość, ich całe życie z tej perspektywy nabierało znaczenia. Teraz wiedzieli, po co dotąd żyli.

Że też nie zdarzyło się to wcześniej. Że też Penny nie pojawił się dzień wcześniej. Pieprzony Penny. Wszystko legło w ruinie, a potem zostało odkupione tak szybko, że Quentin nie potrafił powiedzieć, co tak naprawdę dominuje: ruina czy odkupienie. Jeśli wszakże spojrzeć na to z pewnego punktu widzenia, to co zaszło między nim a Janet, wcale nie dotyczyło jego i Janet ani nawet jego i Alice. To był objaw tego chorego pustego świata, w którym tkwili. Teraz mieli na to lekarstwo. Chory świat zostanie uleczony.

Inni nadal siedzieli na podłodze wsparci na łokciach, opierając się plecami o kanapę, co chwila patrząc na siebie i wybuchając pełnym niedowierzania chichotem. Zupełnie jakby zostali zaklęci w kamień. Quentin zastanawiał się, czy czują to samo co on. Czy oni też bezwiednie na to czekali? Na rzecz, która ich wyzwoli z nudy i depresji, i z pozbawionych znaczenia zajęć, które ich prześladowały od czasu dyplomu razem z zatechłym, śmierdzącym alkoholem oddechem? Cóż, wreszcie to mieli. Nie mogli już dalej tak żyć, a teraz nie będą musieli.

Kontrolę nad sytuacją przejął wreszcie Eliot. Zachowywał się niemal jak kiedyś. Odwołano spotkania. Nikt nie miał żadnych ważnych planów, przynajmniej w porównaniu z tym, co się stało. Wszystko dawało się odłożyć na potem albo wykreślić, albo po prostu nie dotrzymać. Eliot klaskał w ręce i wydawał polecenia, a wszyscy najwyraźniej dobrze się czuli, będąc dla odmiany poważni i efektywni.

Nikt nie znał zbyt dobrze Anais – tak naprawdę nawet Josh jej nie znał – tymczasem okazała się niezwykle użyteczna. Miała znajomego, który znał kogoś, kto miał dom na północy stanu, wygodny stary wiejski dom stojący na stuakrowej posesji, zapewniający odpowiednią prywatność i bezpieczeństwo, by służyć jako punkt zborny dla tego, co zamierzali zrobić. Ten pierwszy ktoś okazał się

czarodziejem dość wysokiego stopnia, by otworzyć im portal na miejsce. Wpadnie do niej po południu, jak tylko skończy się mecz Netsów.

Musieli to zrobić na dachu, ponieważ bardzo efektywna i starannie położona trzywarstwowa bariera, którą postavili rano (a teraz zamierzali porzucić) uniemożliwiała magiczny transport do mieszkania i z niego. O wpół do szóstej po południu patrzyli z dachu na dolny Manhattan wyglądający jak zatłoczona taca z drapaczami chmur. Na dachu w zimie nie było nikogo prócz nich. Zaśmiecały go poprzewracane przez wiatr plastikowe meble ogrodowe i pokryte sadzą akcesoria do grilla. Samotny dzwonek wietrzny pobrzękiwał pod okapem schowka.

Kulili się z zimna i szurali stopami po żwirze, przyglądając się, jak zażywna siwowłosa belgijska czarodziejka o palcach poplamionych nikotyną i z dość złowieszczym amuletem z wikliny na szyi otwiera portal. Był on pięcioboczny, dno biegło równoległe do ziemi, a wierzchołki rzucały lodowatobiałe iskierki – Quentin podejrzewał, że wyłącznie dla ozdoby, choć dobrze się komponowały z nastrojem całej sceny, równocześnie melancholijnym i radosnym.

Mieli poczucie doniosłości tej chwili. Wyruszyli na spotkanie wielkiej przygody. Czy nie to właśnie oznacza życie? Do diabła!... Kiedy portal się ustabilizował, siwowłosa czarodziejka pocałowała Anais w oba policzki, powiedziała coś po francusku i pospiesznie odeszła. Wcześniej Janet zmusiła ją do zrobienia im wszystkim zdjęcia jednorazowym aparatem fotograficznym, jak stoją razem na tle góry walizek, tobołków i toreb z jedzeniem.

Całą ósemką przeszli przez portal prosto na rozległy, ścięty przymrozkiem frontowy trawnik. Poważny nastrój panujący na dachu natychmiast zniknął, kiedy Janet i

Anais, i Josh rzucili się biegiem do środka, zaczęli pisać i podskakiwać na kanapach, i kłócić się o pokoje. Anais miała w zasadzie rację co do tego domu: okazał się duży i wygodny i przynajmniej niektóre jego części wyglądały na stare. Kiedyś był to zapewne obszerny dom wiejski z czasów kolonialnych, ale dostał go w swoje ręce ktoś o postępowych poglądach na architekturę i poprzetykał stare drewno i kamień szkłem, tytanem i betonem, dodał płaski telewizor, drogi system nagłaśniający i kuchnię marki Aga.

Alice w milczeniu udała się prosto do głównej sypialni, która zajmowała niemal połowę drugiego piętra, i zamknęła za sobą drzwi, odpędzając spojrzeniem płonących zaczerwienionych oczu wszystkich rywali. Quentin, nagle wyczerpany po bezsennej nocy i długim pełnym magii dniem, znalazł sobie sypialenkę gościnną na tyłach domu. Uznał, że jej twarde, antyseptyczne podwójne łóżko jest właśnie tym, na co zasługuje.

Na dworze panowała ciemność, kiedy się obudził. Zimne niebieskie cyfry na budziku z radiem pokazywały 22. 27. W ciemności wyglądały jak fosforyzujące zawijasy na bokach ryby głębinowej. Nie mógł znaleźć włącznika światła, więc domacał się drzwi do maleńkiej łazienki, gdzie zapalił lampkę nad lustrem. Ochlapał twarz wodą i ruszył w czeluście obcego domu.

Zastał innych, wszystkich prócz Alice i Penny'ego, w jadalni, gdzie zdążyli sobie przygotować i pochłonąć iście gargantuiczny posiłek, którego resztki leżały rozrzucone na niezwykłym stole – wyglądał tak, jakby został zrobiony z belek z Prawdziwego Krzyża, starannie polakierowanych i pozbijanych razem Prawdziwymi Gwoździami. Na ścianach wisiały duże okazy sztuki nowoczesnej, w kolorze i o fakturze zaschniętej krwi.

- Quen! – wykrzyknęli na jego widok.
- Gdzie Alice?

– Przyszła i wyszła – wyjaśnił Josh. – Co się dzieje? Pokłóciliście się czy co?

Najwyraźniej nie wiedział, co się stało. Siedząca obok niego Anais wymierzyła mu żartobliwy cios pięścią w nieogolony podbródek. Wszyscy znów byli pijani, tak samo jak wczoraj, tak samo jak co wieczór. Nic się nie zmieniło.

– Poważnie – powiedziała Janet. – To ona podbiła ci oko? Bo to wygląda tak, jakbyś oberwał po gębie.

Zachowywała się równie pogodnie i toksycznie jak zawsze, choć oczy miała zaczerwienione. Quentin się zastanawiał, czy wyszła z wczorajszego holokaustu równie nietknięta, jak sądził.

– To Ember i Umber – odparł. – Czarodziejskie barany. Alice wam nie mówiła? Ukaraly mnie za grzeszny żywot.

– Tak? – zdziwił się Josh. – I co, skopałeś im wełniste dupy?

– Nadstawiłem drugi policzek. – Quentin nie miał ochoty na rozmowę, za to czuł głód. Przyniósł sobie z kuchni talerz i usiadł na końcu stołu. Zaczął przebierać w resztkach.

– Rozmawialiśmy o tym, co zrobimy – powiedział Richard. – Przygotowujemy listę działań.

– Racja. – Josh zabębnił władczo palcami w ciężki blat stołu. – Kto ma dla mnie jakieś działania? Musimy wyliczyć, co jest konieczne.

– Prowiant – rzekł Richard poważnie. – A jeśli naprawdę udajemy się do Fillory, musimy ponownie przeczytać wszystkie książki.

– Złoto – włączyła się wesoło Anais. – Coś na handel. Czego potrzebują Fillorianie? Papierosów?

– To nie jest Rosja z czasów Breżniewa, Anais. Stal?

– Proch?

– O Boże – jęknął Eliot. – Tylko posłuchajcie, co wygadujecie. Nie zamierzam być tym, kto sprowadzi broń

palną do Fillory!

– Musimy zabrać ciepłe ubrania – wyliczał Richard. – Namioty. Sprzęt obozowy. Nie mamy pojęcia, jaka tam będzie pora roku. Możemy trafić w środek zimy.

Wczoraj – to znaczy przed drzemką – Fillory miało sprawić, że wszystko będzie dobrze. Teraz Quentin miał kłopoty ze skupieniem się na nim: znów wydawało się snem. Teraz prawdziwa stała się sprawa z Janet i Alice. Pociągała za sobą wszystko.

Z wysiłkiem zebrał się w sobie.

– Jak długo zamierzamy tam zostać?

– Dwa dni? Słuchajcie, możemy po prostu wrócić, jeśli czegoś zapomnimy – powiedział Eliot. – Z tym guzikiem to będzie moment. Zostaniemy, póki nie zrobi się nudno.

– A co będziemy robić, jak się tam znajdziemy?

– Myślę, że powierzą nam jakieś zadanie – oznajmił Penny. – Tak jak Chatwinom.

Odwrócili głowy. Penny stał w progu, w koszulce i spodniach od dresu, mrugając jak sowa, jakby też dopiero co się obudził.

– Nie wiem, czy możemy na to liczyć. – Z jakichś powodów Quentina denerwował zapal i optymizm Penny ego. – To nie będzie tak, jakby wezwały nas barany. Może wcale nie być jak w książkach. Może nigdy nie było żadnych zadań? Plover zapewne je wymyślił, żeby fabuła miała sens. Może po prostu będziemy się obijać, tak jak tutaj.

– Nie bądź cholernym psujem tylko dlatego, że przyłożyła ci własna dziewczyna – parsknął Josh.

Penny kręcił głową.

– Nie sądzę, żeby Plover sam wymyślił to wszystko. Bądźmy racjonalni. Ten gejowski potentat pralnianny z chemicznym wykształceniem nie miał w sobie ani krztyny kreatywności. W żadnym razie. To brzytwa Ockhama. Dużo bardziej prawdopodobne jest, że opisywał coś, co się

zdarzyło naprawdę.

– Więc sądzisz, że spotkamy damę w niebezpieczeństwie? – spytał Eliot.

– Może. Niekoniecznie damę, może... no wiecie, na przykład nimfę? Albo krasnoluda, albo pegaza. Takiego, który potrzebuje w czymś pomocy. – Wszyscy zaczęli się śmiać, lecz Penny mówił dalej. To było niemal wzruszające. – Poważnie, tak się dzieje w książkach. Za każdym razem.

Josh pchnął w stronę Quentina kieliszek z czymś przejrzystym i niewątpliwie mocnym. Quentin wypił. Okazało się, że to jakaś ostra owocowa *eau-de-vie*. Miała smak niezbędnego składnika odżywczego, którego jego ciało brakowało przez całe życie.

– Jasne, ale prawdziwe życie jest inne – stwierdził. Zastanawiał się nad czymś, co uznał za głębokie przemyślenie. – Nie wyruszasz na wędrowkę w słusznej sprawie i o dobrym zakończeniu. Nie będziesz postacią z książki, nikt niczego dla ciebie nie załatwi. Prawdziwy świat tak nie działa.

– Może twój, ziemski człowieku – powiedział Josh. Puścił do nich oko. – Tylko że my nie będziemy już w naszym świecie.

– Nie chcę tego zmieniać w dyskusję teologiczną, można się jednak w tym punkcie nie zgadzać – dodał Richard z pełną wyższości godnością.

– A nawet jeśli nie wierzycie, że ten świat ma boga – dokończył Penny – to musicie przyznać, że Fillory go ma. A w zasadzie dwóch.

– Co prowadzi nas z powrotem, w raczej pokretny sposób, do dość podstawowego pytania – stwierdził Eliot. – Które brzmi: co zrobimy, jak się tam dostaniemy?

– Powinniśmy poszukać tego czarodziejskiego kwiatu – zaproponował Josh. – No wiecie, tego, który sprawia, że jesteś szczęśliwy, jak go powąchasz. Pamiętacie? Coś

takiego przyniosłoby nam fortunę.

Kiedy nikt nie patrzył, Janet poszukała wzroku Quentina, po czym poruszyła brwiami i zrobiła coś lubieżnego językiem. Quentin odpowiedział jej nieruchomym spojrzeniem. Ona się świetnie bawi, pomyślał. Popsuła mój związek z Alice i jest tym zachwycona.

W głowie pojawiły mu się migawki z zeszłej nocy – niemożliwe, żeby to była zeszła noc – krążące po mózgu ułamki obrazów, które z uporem przetrwały zamroczenie alkoholowe. Wszystko w seksie z Janet okazało się takie inne niż z Alice. Zapach, dotyk skóry, jej widoczna wprawa. Wstyd i strach dopadły go jeszcze przed końcem, nim szczytował, lecz nie przerwał.

I czy Eliot naprawdę nie spał przez cały czas, gdy uprawiali seks? Mózg Quentina przetrząsał nieporządny stos zapamiętanych, nie poukładanych kolejno obrazów: Janet całująca Eliota, jej ręka poruszająca się między jego nogami... Czy naprawdę szlochała? Czy on pocałował Eliota? Żywe wspomnienie cudzego, zaskakująco drapiącego zarostu na policzku i górnej wardze.

Dobry Boże, pomyślał ze znużeniem. Co się dzieje?

Osiągnął zewnętrzną granicę tego, co mogła mu oferować zabawa przez duże Z. Cena okazała się stanowczo za wysoka, a zysk żałośnie mały. Jego mózg powoli się otwierał, tyle że za późno, na inne rzeczy, które były ważne albo nawet więcej niż ważne. Biedna Alice. Potrzebował włosiennicy, popiołu i może bicza – powinien istnieć jakiś rytuał, który mógłby odprawić, żeby jej pokazać, jak straszliwie jest mu przykro. Zrobiłby wszystko, gdyby mu tylko powiedziała co.

Odegnął obrazy tam, skąd przyszły, z powrotem do mentalnej szuflady, przyspieszając ich odejście za pomocą większej ilości tej wybornej *eau-de-vie*. W jego zmęczonym

obitym mózgu zaczął świtać pomysł.

– Moglibyśmy odszukać Martina Chatwina – zaproponował Richard. – Tak jak próbowało jego rodzeństwo.

– Chciałbym przywieźć coś dla Fogga – wyznał Eliot. – Coś dla szkoły. Jakaś pamiątkę czy coś.

– Tylko tyle? – zdziwił się Josh. – Chcesz się udać do Fillory, żeby przynieść jabłko dla nauczyciela? Boże, czasami jesteś niewiarygodnie płytki.

Dziwne, lecz Eliot nie złapał się na tę przynętę. Najwyraźniej na każdego wpływało to inaczej.

– Może odszukamy Ujadającą Bestię – powiedział Quentin cicho.

– Co? – Josh zmarszczył czoło. Najwyraźniej nie był specem od Fillory.

– *Z Dziewczynki, która przepowiadała czas.* Nie pamiętasz? Bestię, której nie można złapać. Helen ją ściga.

– A co z nią zrobisz, jak ją złapiesz? Zjesz ją?

– Nie wiem. Może nas doprowadzi do skarbu? Albo powierzy nam sekretną wiedzę? Albo coś tam? – Nie przemyślał tego do końca. Chatwinowie przywiązywali do tego wielką wagę, choć nie mógł sobie przypomnieć dlaczego.

– Nigdy się nie dowiesz – rzekł Penny. – Nie z książek. Nie złapali jej, a Plover więcej o niej nie wspomina. To dobry pomysł. Tak sobie pomyślałem, wicie, może zrobią nas królami? Królami i królowymi? Tak jak Chatwinów.

Kiedy tylko Penny to powiedział, Quentin zaczął się zastanawiać, dlaczego sam na to nie wpadł. To takie oczywiste. Będą królami i królowymi. Oczywiście, że będą. Skoro Miasto okazało się prawdziwe, dlaczego reszta opowieści nie miałyby być też prawdziwa? Mogliby zamieszkać na Zamku Białoszczytm. Alice będzie jego królową.

Boże, zaczął się zgadzać z Penny'm. To niebezpieczny znak.

– Uch... – Janet się zastanowiła nad słowami Penny ego, jej jak zawsze czynny mózg pracował niemal słyszalnie. Ona też brała to poważnie. – Będziemy się musieli pobrać?

– Niekoniecznie. Chatwinowie się nie pobierali. Zresztą byli rodzeństwem.

– No nie wiem – powiedziała Anais. – To chyba odpowiedzialna praca, być królową. Zapewne jest biurokracja. Administracja.

– Natomiast lukratywna. Pomyśl o dodatkach.

– Jeśli to, co jest napisane w książkach, zgadza się z rzeczywistością – zauważył Eliot. – I jeśli trony są puste. To dwa poważne „jeśli”. Poza tym jest nas ośmioro, a tronów tylko cztery. Czwooro zostanie wyrolowanych.

– Powiem wam, czego potrzebujemy – powiedziała Anais. – Potrzebujemy wojennej magii. Magii z pola bitwy. Ofensywnej. Defensywnej. Musimy być w stanie zrobić krzywdę, jeśli będziemy musieli.

Janet wyglądała na rozbawioną.

– To nielegalne gównno, dziecinko – przypomniała, choć najwyraźniej słowa Anais zrobiły na niej wrażenie. – Dobrze o tym wiesz.

– Wszystko mi jedno. – Anais potrząsnęła blond lokami. – Potrzebujemy takich zaklęć. Nie mamy pojęcia, co tam spotkamy. Musimy być przygotowani. Chyba że któryś z was, panowie, potrafi walczyć mieczem? – Odpowiedziało jej milczenie. – *Alors...* – dodała z uśmiechem.

– Uczyli was tego? – spytał Josh. Sprawiał takie wrażenie, jakby się jej trochę bał.

– My w Europie nie jesteśmy tacy purytańscy jak wy, Amerykanie.

Penny kiwał głową.

– Magia wojenna nie jest nielegalna w Fillory.

– Wykluczone – oświadczył Richard kategorycznie. – Wiecie, w jakie by nas to wpakowało kłopoty? Kto z obecnych, poza mną, miał do czynienia z Magicznym Sądem? No kto?

– My już mamy przesrane, Richardzie – powiedział Eliot. – Uważasz, że Sąd uznałby ten guzik za legalny? Jeśli nie chcesz się w to mieszać, to się nie mieszaj, ale Anais ma rację. Nie zamierzam tam się udać, za całą broń mając w ręku własnego fiuta.

– Możemy dostać dyspensę na broń krótką – rzekł Richard poważnie. – Zdarzały się już precedensy. Znam formularze.

– Pistolety? – Eliot się skrzywił. – Co się z tobą dzieje? Fillory to dziewicze społeczeństwo. Czyś ty kiedykolwiek oglądał *Star Treka*? To podstawa Pierwszej Dyrektywy. Mamy szansę zobaczyć świat, który nie został jeszcze spieprzony przez dupków. Czy wy sobie zdajecie sprawę, jakie to ważne? No, zdajecie sobie?

Quentin prędeż by się spodziewał, że Eliot będzie się wynosił ponad cały ten projekt z Fillory i zacznie robić na ten temat paskudne żarty, tymczasem okazywał niezwykle skupienie i brak ironii. Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem przyjaciel okazał entuzjazm w stosunku do czegośkolwiek. Co za ulga, że nadal jeszcze mu na czymś zależy.

– Nie chcę przebywać w towarzystwie uzbrojonego Penny’ego – powiedziała Janet stanowczo.

– Słuchajcie, Anais ma rację – stwierdził Eliot. – Musimy sobie przygotować jakieś podstawowe zaklęcia ofensywne, tak na wszelki wypadek. Nic szalonego. Żebyśmy mieli w rękawie ze dwa asy. Poza tym mamy te demony na plecach, nie zapominajcie o tym. I guzik.

– I fiuty w rękach – zachichotała Anais.

Następnego dnia Richard, Eliot, Janet i Anais pojechali

do Buffalo po zapasy; Janet, pochodząca z Los Angeles, jako jedyna miała prawo jazdy. Quentin, Josh, Alice i Penny mieli szukać zaklęć wojennych, lecz Alice nie odzywała się do Quentina – zapukał tego ranka do jej drzwi, ale nie chciała wyjść – a sprawy techniczne przekraczały pojmowanie Josha, więc skończyło się na tym, że Alice pracowała z Penny’em.

Wkrótce duży stół w jadalni pokryty był książkami z przyczepki Penny’ego i arkuszami papieru pełnymi wykresów. Zagrzebali się w nie głęboko. Jako para największych kujonów z grupy, całkowicie zajęli się sobą, przerzucając się technicznym żargonem. Penny zapisywał tony papieru archaicznymi inwokacjami, Alice zaś kiwała mu głową przez ramię i wskazywała błędy. Oddawali się procesowi twórczemu, budowali zaklęcia od zera. Takie trudne to znowu nie było, tyle że wszelkich badań na tym polu całkowicie zakazano. Quentina zżerała zazdrość, kiedy widział ich przy pracy. Dzięki Bogu, że to tylko Penny, gdyby chodziło o kogokolwiek innego, zrobiłby się na serio podejrzliwy. Razem z Joshem spędził popołudnie w bawialni, z piwem i chipsami, oglądając kablówkę na superpłaskim telewizorze wielkości tablicy reklamowej. W Brakebills nie mieli telewizji, podobnie jak na Manhattanie, więc teraz wydawała mu się egzotyczną i zabronioną rozrywką.

Około piątej przerwał im Eliot.

– Chodźcie – powiedział. – Straciecie wielki występ Penny’ego.

– Jak było w Buffalo?

– Jak w wizjach apokalipsy. Kupiliśmy parki i noże myśliwskie.

Poszli za Eliotem na podwórze z tyłu domu. Widok radości, podniecenia i niemal trzeźwości przyjaciela przywrócił Quentinowi wiarę w to, że być może są na

właściwej drodze, że wszystko, co zostało zniszczone, da się naprawić. Złapał szalik i dziwaczną rosyjską czapę z nausznikami, którą znalazł w szafie.

Słońce zachodziło za majaczącymi w oddali górami Adirondacks, zimne, czerwone i ponure w lekkiej mgiełce. Wszyscy zebrali się na skraj u trawnika, który schodził w dół ku rzędowi pozbawionych liści ozdobnych lip. Penny wskazywał ręką na jedno z drzew, a Alice odmierzała odległość długimi równymi krokami. Podbiegła do Penny ego i poszeptali chwilę, po czym ponownie zmierzyła odległość. Janet stała u boku Richarda. Wyglądała uroczo w różowej kurtce typu parka i wełnianej czapce.

– Dobra! – zawołał Penny. – Cofnijcie się wszyscy.

– Ile mamy się cofnąć? – spytał Josh. Siedział na połamanej balustradzie z białego marmuru, przypadkowym elemencie architektonicznym rzuconym tu przez architekta krajobrazu, popijając wódkę wprost z butelki. Podał ją Eliotowi.

– Wystarczy, jak będziecie z tyłu. Dobra, ognia.

Alice, niczym asystentka w kostiumie z cekinami, podeszła do małego stolika ustawionego na trawniku i umieściła na nim pustą butelkę po winie, po czym wycofała się.

Penny, zwrócony ku butelce, odetchnął i szybko wyrecytował coś pod nosem, kończąc zakłęcie gwałtownym gestem jednej ręki. Coś – właściwie trzy „cosie”, stalowoszare i lecące blisko siebie – wystrzeliło z jego palców, za szybko, by dało się śledzić je wzrokiem, i przemknęło nad trawnikiem. Dwa chybiły, natomiast trzeci odciął idealnie szyjkę butelki, nie przewracając podstawy na ziemię.

Penny uśmiechnął się szeroko. Rozległy się pojedyncze oklaski.

– Nazwaliśmy to „Magiczny Pocisk” – powiedział.

– Magiczny Pocisk, najdrożsi! – Oddech Josha zmieniał się w parę. Jego twarz promieniała podnieceniem. – Prosto z *Lochów i Smoków!*

Penny kiwnął głową.

– Rzeczywiście, oparliśmy się na starych zaklęciach z *Lochów i Smoków*. W tych podręcznikach jest masa praktycznych informacji.

Quentin się nie uśmiechał. Czy nikt nie zamierzał nic powiedzieć? Przecież to czarna magia. Oczywiście nie był pruderyjny, ale to zaklęcie miało za zadanie zadać fizyczną ranę. Przekroczyli tyle granic, że miał trudności z określeniem, gdzie teraz są. Jeśli kiedykolwiek zostaną zmuszeni do rzucenia tego zaklęcia, będzie już za późno.

– Boże, mam nadzieję, że nie będziemy musieli tego użyć. – Tylko tyle powiedział.

– Och, daj spokój, Quintino. Nie szukamy kłopotów. Chcemy tylko być na nie przygotowani. – Josh ledwie nad sobą panował. – Kurde, *Lochy i Smoki!*

Alice zabrała stolik i Penny stanął samotnie naprzeciwko lip. Pozostali się popodnosili i zebrali za nim pod pustym mroczniejącym niebem. Słońce niemal już zaszło. Kapało im z nosów i mieli czerwone uszy, chłód najwyraźniej nie przeszkadzał jednak Penny’emu, który nadal miał na sobie tylko podkoszulek i spodnie od dresu. Naprawdę się znajdowali w środku głuszy. Quentin przywykł do blasku i szumu Manhattanu. Nawet w Brakebills tyle było wokół ludzi, że ktoś gdzieś zawsze krzyczał albo coś zrzucał, albo wysadzał w powietrze. Tu natomiast nawet wiatr nie szeleścił w gałęziach. Cały świat zamarł w milczeniu.

Zawiązał pod brodą tasiemki nauszników rosyjskiej czapy.

– Jeśli nie zadziała... – zaczął Penny.

– Kurde, zrób to już! – nakazała Janet. – Tu jest zimno.

Penny przykucnął i splunął na szarobrazową trawę. Potem wykonał groteskowy ruch rękami, jakby młócił powietrze, zupełnie nie w jego dotychczasowym opanowanym stylu. Widzieli w ciemności, jak w jego złożonych dłoniach zbiera się fioletowe światło, tak jaskrawe, że przez skórę zaczęły prześwitywać kości palców. Krzyknął coś i zakończył zakłęcie, wykonując miotający ruch.

Mocno zbita pomarańczowa iskra wyskoczyła z jego dłoni i przeleciała przez trawnik zupełnie poziomo. Początkowo wydawała się absurdalnie niegroźna, jak mała kometa wielkości piłki plażowej, pożyłkowana, drażniąca i potrzaskująca cicho. Płynęła przez zimne mroczniejące powietrze niemal majestatycznie, obracając się powoli w przeciwną stronę do kierunku lotu. Nad trawnikiem snuły się cienie, poruszały się szybko wraz z przesuwającym się źródłem światła. Kula emanowała intensywnym ciepłem, Quentin czuł je na twarzy. Kiedy uderzyła w lipę, całe drzewo natychmiast wybuchło, wydając pojedynczy trzask. W niebo wzbił się język ognia, po czym zaraz zniknął.

– Kula Ognia – poinformował ich niepotrzebnie Penny.

Znów pojawił się ogień, drzewo paliło się szybko i wesoło, a iskry strzelały w niebo niemożliwie wysoko. Janet wiwatowała i podskakiwała, i klaskała w dłonie jak cheerleaderka. Penny uśmiechnął się i skłonił teatralnie.

Pozostali w wiejskim domu jeszcze kilka dni, wałęsając się po okolicy, urządzając grille na patio, wypijając całe dobre wino, oglądając filmy na DVD, wylegając się w wannie i nie czyszcząc jej po sobie. Rzecz w tym, jak uświadomił sobie Quentin, że po tej całej mobilizacji, po tych pospiesznych przygotowaniach zaczęli opóźniać moment wyruszenia, improwizować, czekać, aż coś ich popchnie do pociągnięcia za spust. Czuli tak wielkie

podniecenie, że nie rozumieli, jak bardzo się boją. Quentin ze swej strony miał pewność, że nie zasługuje na szczęście czekające na niego w Fillory. Nie był gotowy. Ember i Umber nigdy nie wezwaliby kogoś takiego jak on.

Tymczasem Alice jakoś udało się wymyślić sposób, by nie przebywać w tym samym pokoju co on. Wyksztąpiła sobie w tej kwestii coś w rodzaju szóstego zmysłu – widywał ją przez okno albo jak znika na górze, lecz bardziej nie potrafił się do niej zbliżyć. Zupełnie jakby grali w jakąś grę. Inni też w nią grali. Kiedy widział ją gdzieś – siedzącą w kuchni przy bufecie, rozmawiającą z Joshem lub pochyloną z Penny'm nad stołem w jadalni nad licznymi księgami, jakby wszystko było w porządku – nie śmiał jej przeszkadzać, bo postąpiłby wbrew regułom tej gry. Kiedy ją widział, tak bliską, a równocześnie tak nieskończenie daleką, miał wrażenie, że patrzy z progu w inny wszechświat, w ciepły, słoneczny tropikalny wymiar, który niegdyś zamieszkiwał, ale z którego został wygnany. Co noc zostawiał kwiaty przed jej sypialnią.

Wielka szkoda, że tak się stało. Zapewne mógł nic nie wiedzieć, bez trudu to przeoczyć. Niewykluczone, że gdyby faktycznie przeoczył, zostaliby w tym domu na zawsze. Pewnego wieczoru nie kładł się do późna, grając w karty z Joshem i Eliotem. Gra w karty z czarodziejami zawsze zmieniała się w pojedynek na to, kto jest lepszy w zmienianiu kart, więc praktycznie każdy miał cztery asy albo kolor. Quentin pomału zaczynał się czuć lepiej. Pili grappę. Węzeł wstydu i żalu, który zacisnął się w jego piersi po nocy z Janet, zaczął się stopniowo rozplątywać, a przynajmniej rozluźniać. Zawsze to coś, choć bardzo, bardzo niewiele. Zbudowali z Alice tyle dobrego. Mogli to jakoś przetrwać.

Może już czas, żeby spróbował pomóc jej to dostrzec? Wiedział, że Alice tego chce. Schrząnił, żałował, mogą sobie

z tym poradzić. Co było do udowodnienia. Muszą spojrzeć na to z dystansu. Alice zapewne tylko czeka, żeby jej to powiedział. Przeprosił i ruszył schodami na drugie piętro, gdzie znajdowała się główna sypialnia. Josh i Eliot skandowali żartobliwie:

– Quen! Quen! Quen! Quen!

Kiedy niemal dotarł na szczyt schodów, zatrzymał się. Rozpoznałby wszędzie ten dźwięk, jaki wydawała Alice podczas uprawiania seksu. Jego zamroczony umysł stanął nagle przed zagadką: Alice uprawia teraz seks, lecz nie z nim, Quentinem. Popatrzył na ciemnopomarańczowy splot chodnika na schodach. Nie mógł przecież słyszeć tego dźwięku, choć przewiercał mu uszy i sprawiał, że przed oczami pojawiły się plamy. Krew w nim zawrzała jak podczas doświadczenia naukowego i zmieniła się w kwas. Kwas rozszedł się żyłami po ciele i sprawił, że jego ręce, nogi i umysł zapłonęły. Potem dotarł do serca jak zabójczy skrzep, który oderwał się i dryfuje w naczyniach krwionośnych, niosąc ze sobą śmierć. Serce rozżarzyło się do białości.

Była z Penny'm albo z Richardem, to oczywiste, bo właśnie zostawił na dole Josha i Eliota, a zresztą oni by mu na pewno nigdy czegoś takiego nie zrobili. Na sztywnych nogach zszedł na dół, do pokoju Richarda, i kopniakiem otworzył drzwi, i zapalił światło. Richard leżał w łóżku. Sam. Usiadł gwałtownie wyprostowany, mrugając. Miał na sobie idiotyczną wiktoriańską koszulę nocną. Quentin zgasił światło i zatrzasnął drzwi.

Janet wyszła na korytarz w piżamie. Zmarszczyła brwi.

– Co się dzieje?

Odsunął ją bezceremonialnie na bok.

– Hej! – wrzasnęła za nim. – To bolało!

Bolało? A cóż ona wie o bólu? Zapalił lampę w pokoju Penny'ego. Łóżko było puste. Chwycił lampę i cisnął ją na

podłogę. Rozbłysła i zgasła. Nigdy wcześniej tak się nie czuł. Nie do wiary: gniew dawał mu supermoc. Mógł zrobić wszystko. Absolutnie wszystko. No, prawie. Usiłował zerwać zasłony, nie chciały jednak puścić, nawet kiedy uwiesił się na nich całym ciężarem. Otworzył więc okno, zerwał pościel z łóżka i wyrzucił ją na zewnątrz. Nieźle, lecz to nie dość. Roztrzaskał budzik, potem zaczął zrzucać książki z półek.

Penny miał masę książek. Chwilę potrwa, nim zrzuci je wszystkie. To dobrze, miał na to całą noc i całą energię świata. Nawet nie chciało mu się spać. Tyle że po pewnym czasie zrobiło się trudniej, ponieważ Josh i Richard przytrzymywali mu ręce. Rzucał się dziko jak dwulatek w napadzie złości. Wywlekli go na korytarz.

To było takie głupie, naprawdę. Takie oczywiste. Na pewno nie można nazwać tego mądrym. Pieprzył się z Janet, ona pieprzyła się z Penny'm. Powinni być teraz kwita. Ale on był wtedy pijany! Jakim cudem mogli być kwita? Ledwie wiedział, co robi! Jak mogli być kwita? I w dodatku z Penny'm – Jezu. Żałował, że to nie Josh.

Zamknęli go w bawialni, dali mu butelkę grappy i stos DVD w nadziei, że się zabalsamuje. Josh został z nim dopilnować, by nie uciekł się do magii, lecz zasnął niemal natychmiast, opierając okrągły policzek o twardą poręcz kanapy niczym śpiący apostoł.

Jeśli chodzi o Quentina, sen go w tej chwili nie interesował. Ból przypominał uczucie zapadania się. Trochę jak po ecstazy, takie długie schodzenie w dół. Czuł się jak postać z kreskówki, która spada z budynku. Bum, uderza w płócienną markizę i przebija się przez nią. Bum, uderza w następną. I w następną. Na pewno któraś go utrzyma i będzie leżał na niej rozciągnięty, albo może obejmie go jak kołyska, lecz nic z tego, tylko jedna markiza po drugiej. W dół i w dół, i w dół. Po chwili zaczynasz marzyć, żeby się zatrzymać, nawet jeśli to oznacza uderzenie w chodnik, nie

możesz się jednak zatrzymać, tylko spadasz i spadasz przez kolejne markizy, coraz głębiej i głębiej w ból. Toczysz się na samo dno. Nie zawracał sobie głowy DVD, zaczął po prostu zmieniać kanały w ogromnym telewizorze i pociągać z butelki, aż świt zabarwił na krwawo horyzont, jakby to była zmieniona w kwas krew z jego obolałego, poranionego serca, które sprawiało wrażenie – choć nikogo to nie obchodziło – skorodowanego pojemnika upchniętego na samym dnie wysypiska, pełnego niebezpiecznych odpadów dość zabójczych, by zabić na całym przedmieściu niewinne i niczego nie podejrzewające dzieci.

Nie zasnął nawet na chwilę. Pomysł przyszedł mu do głowy o świcie. Czekał tak długo, jak długo zdołał, jednak myśl wydawała mu się zdecydowanie za dobra, żeby ją zatrzymać dla siebie. Czuł się jak dzieciak, który rankiem w Boże Narodzenie nie może się doczekać, aż dorośli wstaną. Przyszedł Mikołaj i wszystko naprawi. O wpół do ósmej, nadal na wpół pijany, wypadł z bawialni i ruszył korytarzem, waląc w drzwi sypialni. A co tam, wszedł nawet na schody i otworzył kopniakiem drzwi sypialni Alice, i zobaczył nagą białą okrągłą dupę Penny'ego, której naprawdę nie miał ochoty oglądać. Skrzywił się i odwrócił. To mu jednak nie zamknęło ust.

– Dobra! – wrzeszczał. – Ludzie! Wstawajcie, wstawajcie, wstawajcie! Już czas! To dzisiaj! Ludzie, ludzie, ludzie!

Zaśpiewał wers idiotycznej piosenki Jamesa ze szkoły średniej:

*Dawno temu był sobie chłopiec
Młody, odważny i si-ilny...*

Był teraz cheerleaderką, machał pomponami, podskakiwał i robił szpagat, i wrzeszczał na całe gardło:

– Idziemy! Do!

Fi!

Lo!

Ry!

KSIĘGA III

FILLORY

Stanęli w bawialni w kręgu, trzymając się za ręce, z plecakami na ramionach. Wyglądało to na przygotowania do jakiegoś wygłupu z akademika, jakby zamierzali wszyscy zażyć kwas albo zaśpiewać coś a cappella, albo pobić jakiś wariacki uczelniany rekord. Twarz Anais pałała z podniecenia. Dziewczyna podskakiwała w miejscu mimo ciężkiego plecaka. Nie dotarło do niej nic z nocnego dramatu. Była jedyną osobą w pokoju, która sprawiała wrażenie szczęśliwej, że tu jest.

Zabawne, udało się. Quentin nie chciał dać spokoju, nagabywał ich, aż wreszcie się poddali po zaskakująco niewielkim oporze. Dziś będzie ten dzień. Częściowo dlatego, że trochę się obawiali Quentina, tych jego przerażających, połyskujących bólem oczu, a częściowo dlatego, że musieli przyznać mu rację: czas było ruszać, oni zaś czekali tylko, aż ktoś, nawet ktoś tak wyraźnie pijany i oszalały jak Quentin, wstanie i rzuci wezwanie.

Później, kiedy filozoficznie wspominał tę chwilę, pamiętał, że zawsze sądził, że będzie to szczęśliwy dzień, najszczęśliwszy dzień jego życia. Zabawne, jak życie potrafi zaskakiwać. Takimi małymi kaprysami losu.

Choć nie był szczęśliwy, czuł się nadspodziewanie wyzwolony. Przynajmniej nie przytłaczał go już wstyd. Tego czystego uczucia nie skaziły żadne wątpliwości, zastrzeżenia, ograniczenia. Alice przestała być alabastrową świętą. Mógł już bez trudu spojrzeć jej w oczy. I czy rzeczywiście dostrzegł w jej wzroku cień wstydu? Może właśnie uczyła się czegoś o wyrzutach sumienia, o tym, jakie to uczucie je mieć. Teraz oboje tkwili po szyję w gównie.

Cały ranek poświęcili na zbieranie i pakowanie sprzętu

i prowiantu, zresztą już dawno zebranego i zapakowanego, i ustalaniu, kto kiedy zajmuje łazienkę i które buty włożyć, albo na wałęsaniu się po trawniku bez żadnego wyraźnego powodu. W końcu zebrali się razem w bawialni i ustawili w kręgu, przestępując z nogi na nogę, mierząc się wzrokiem i powtarzając:

- W porządku?
- W porządku?
- Wszyscy gotowi?
- No to zaczynajmy.
- No to zaczynajmy!
- W porządku!
- Dobra!
- No to...

I wtedy Penny musiał dotknąć guzika, ponieważ nagle wszyscy się wynurzali z czystej zimnej wody.

Quentin pierwszy wyszedł z fontanny, choć ciążył mu plecak. Podejrzewał, że w zasadzie wytrzeźwiał już zupełnie, tyle że nadal był wściekły, wściekły, wściekły i litował się nad sobą. Niech i tak będzie. Nie chciał nikogo dotykać ani żeby ktoś jego dotykał. Choć odpowiadało mu przebywanie w Ni Tu Ni Tam. Ni Tu Ni Tam wywierało na niego uspokajający wpływ. Tak tu cicho i spokojnie. Gdyby mógł się położyć na chwilę tutaj, na tych starych zwietrzałych kamiennych płytach, tylko na chwilę, może udałoby mu się nawet zasnąć.

Drogi perski dywan z bawialni, na którym stali w chwili przeniesienia, unosił się na powierzchni zbiornika fontanny. Jakimś cudem przeszedł razem z nimi. Czyżby guzik pomylił go z ubraniami? Zabawne, jak to czasem działa.

Quentin zaczekał, aż inni wyjdą kolejno z wody. Podpływali do obramowania i przytrzymując się nawzajem, zdejmowali plecaki i wyrzucali je na zewnątrz, po czym

wyłazili za nimi. Janet wyraźnie cierpiała. Tkwiła między Joshem a Eliotem, którzy utrzymywali ją na powierzchni. Nie mogła przejść przez obramowanie. Nie mogła skupić wzroku, a twarz miała białą jak kreda.

– Nie wiem, po prostu nie... – Cały czas kręciła głową i powtarzała w kółko to samo. – Nie wiem, co się dzieje...

Kiedy razem wyciągnęli ją z wody, okazało się, że nie ma dość siły, żeby ustać. Kolana się pod nią ugięły i opadła na czworaki. Plecak przeważył ją na jedną stronę, więc się przewróciła na bok. Leżała tak, mokra, i tylko mrugała. Quentinowi zdarzało się ją widzieć osłabioną, to jednak było coś innego.

– Nie wiem, czy chce mi się wymiotować czy nie – rzekła powoli.

– Coś jest nie tak – stwierdziła Alice. – Z Miastem. Ona ma jakąś alergię czy coś.

W jej głosie brakowało współczucia.

– Czy ktoś się jeszcze tak czuje? – Eliot rozejrzał się szybko, przejmując dowodzenie. – Nikt poza tym, świetnie. Przechodzimy do fazy drugiej. Ruszamy.

– Nic mi nie jest, pozwólcie mi tylko odpocząć. Ja... Jezu, nie czujecie tego? – Janet popatrzyła bezsilnie na innych, z trudem łapiąc powietrze. – Czy nikt inny tego nie czuje?

Anais uklękła przy niej pełna siostrzanej solidarności. Alice przyglądała się Janet z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nikt poza nią nic nie czuł.

– Interesujące – powiedział Penny. – Dlaczego tylko ona... ?

– Hej, dupku. – Quentin pstryknął palcami przed nosem Penny'ego. Obecnie nie miał problemów z okazywaniem otwartej wrogości. Nagle poczuł się zupełnie pozbawiony zahamowań. – Nie widzisz, że ona cierpi? Faza druga, dupku, idziemy.

Miał nadzieję, że Penny się na niego rzuci, że może powtórzą tę małą bójkę ze szkoły. Ale Penny zmierzył go tylko spojrzeniem i odwrócił się. Wykorzystywał do maksimum okazję, by wznieść się ponad, być lepszym, objąć rolę łaskawego zwycięzcy. Potrząsnął puszką z farbą w sprayu i obrysował fontannę na pomarańczowo, oznaczając teren wokół krzyżami. Następnie ruszył w kierunku, który nazywał pałacowym od wystawnego białego *palazzo* stojącego przy placu. Dla nikogo nie było tajemnicą, dokąd zmierza: Plover opisał tę scenę swą charakterystyczną, jasną, jednoznaczną prozą. Żeby dostać się do fontanny, która prowadziła do Fillory, Chatwinowie przeszli przez trzy place po prostej, a potem przez jeden po lewej stronie. Reszta grupy ruszyła za Penny'm, chlupiąc mokrymi ubraniami. Janet obejmowała za szyję Quentina i Eliota.

Ostatni etap drogi prowadził kamiennym mostkiem nad wąskim kanałem. Wygląd miasta przypominał Quentinowi ogromną szachownicę do weltersów. Może gra była odległym cieniem ledwie czytelnych informacji o Ni Tu Ni Tam, które przeciekły na Ziemię?

Zatrzymali się na placu zdecydowanie mniejszym niż ten, z którego wyruszyli, zdominowanym przez duży, pełen godności kamienny budynek, z powodzeniem mogący być ratuszem w średniowiecznym francuskim miasteczku. Zegar umieszczony na szczycie fasady zatrzymał się w południe albo o północy. Deszcz przybrał na sile. Na środku placu znajdowała się okrągła fontanna z rzeźbą Atlasa niemal zgniecionej pod ciężarem kuli z brązu.

– Dobra! – powiedział Penny niepotrzebnie głośno. Wielki konferansjer, myślałby kto. Quentin widział jego zdenerwowanie. Nie taki z ciebie teraz twardziel, kochasiu. – To jest fontanna, której używali w książce. Przechodzę, żeby sprawdzić warunki pogodowe.

– Na co czekasz? Na werble? – warknęła Janet przez zaciśnięte zęby. – Ruszaj!

Penny wyciągnął z kieszeni biały guzik i ścisnął go w rękę. Odetchnął głęboko, wszedł na obramowanie fontanny i skoczył na wyprostowane nogi, prosto w spokojną taflę. W ostatnim momencie ścisnął sobie palcami nos. Wpadł w ciemną wodę i zniknął. Pochłonęła go.

Zaległa długa cisza. Słyszeć było jedynie chrapliwe dyszenie Janet i plusk fontanny. Minęła minuta, po czym głowa Penny’ego wychyłała nad powierzchnię. Parskał i pluł rozgłośnie.

– Zdziałało! – wrzasnął. – Jest ciepło! Jest lato! Tam jest lato!

– Czy to Fillory? – spytał Josh.

– Nie mam pojęcia! – Penny podpłynął pieskiem do obramowania fontanny, dysząc ciężko. – Jest tam las. Wiejska okolica. Żadnych tubylców.

– Nieźle – powiedział Eliot. – Idziemy.

– Nic mi nie jest – zapewniła Janet.

– Nie, nieprawda. Idziemy. Wszyscy.

Richard już przeglądał bagaże, rzucając zimowe rzeczy, całkiem nowe parki i wełniane czapki, i elektryczne skarpety, na kosztowny kolorowy stos.

– Usiądźcie rzędem na obramowaniu – polecił przez ramię. – Stopy w wodzie, trzymajcie się za ręce.

Quentin chciał powiedzieć coś sarkastycznego, ale jakoś nic nie przychodziło mu do głowy. Na brzegu obramowania tkwiły ciężkie zardzewiałe pierścienie, otoczone rudobrazową obwódką brudnego kamienia. Włożył stopy do czarnej jak atrament wody. Wydawała się nieco mniej gęsta niż zwykła woda, miała konsystencję alkoholu do nacierania. Popatrzył w dół na swoje buty zwisające tuż pod powierzchnią. Ledwie je widział.

Jakaś mała część jego mózgu wiedziała,

że nad sobą nie panuje, tyle że nie ta część znajdowała się teraz u steru. Wszystko co mówili inni, brzmiało w jego uszach jak paskudne aluzje do Alice i Penny'ego. Miał wrażenie, że kamienny Atlas łypie na niego złośliwie. Czuł się ogłupiały z powodu braku snu. Zamknął oczy. Głowa sprawiała wrażenie dziwnie wielkiej, rozdętej i pustej, jakby miał na ramionach zawieszoną chmurę. Chmura zaczęła odpływać. Zastanawiał się, czy straci przytomność. Bardzo by tego chciał. W jego mózgu tkwiła martwa strefa, a on pragnął, żeby zaczęła się rozszerzać na cały umysł, żeby pochłonęła wszystkie bolesne myśli.

– Zbroja? – mówił właśnie Eliot. – Jezu, Anais, czy ty w ogóle czytałaś te książki? Nie idziemy w środek wojny. Zapewne będziemy jedli babeczki z gadającym króliczkiem.

– W porządku? – zawołał Penny. – Gotowi?

Siedzieli wszyscy, cała ósemka, w półkolu na obrzeżu fontanny, pochyleni do przodu, żeby mogli wskoczyć do wody bez pomocy rąk, za które trzymali się z całej siły. Janet oparła głowę na ramieniu Eliota, odsłaniając białą szyję. Wyglądała, jakby zemdląca, wydawała się okropnie krucha. Po prawej stronie Quentina siedział Josh i przyglądał mu się z troską. W wielkiej dłoni ścisnął jego rękę.

– W porządku, stary – szepnął. – No już. Nic ci nie jest. Poradzisz sobie.

Zapewne wszyscy rozejrzeli się wokół po raz ostatni, wymienili spojrzenia, poczuli przyjemny strach. Eliot zacytował *Ulissesa* Tennysona, kawałek o szukaniu nowych światów i wypływaniu poza zachód słońca. Ktoś krzyknął z entuzjazmem – prawdopodobnie Anais, okrzyk miał zdecydowanie francuski akcent. Quentin jednak nie krzyczał i nie rozglądał się. Patrzył na swoje kolana i czekał na każdą kolejną sekundę spadającą na niego niczym nieproszony gość. Na znak Penny'ego skoczyli razem do

fontanny, niezupełnie zsynchronizowani, ale niemal – w stylu sceny reżyserowanej przez Busby’ego Berkeleyya. Janet w zasadzie runęła w wodę na twarz.

Tym razem spadali, nie nurkowali. Wydostanie się z Ni Tu Ni Tam oznaczało opadanie. Zupełnie jakby skakali ze spadochronem, tylko za szybko, więc raczej coś pomiędzy skokiem ze spadochronem a upadkiem, lecz bez świstu powietrza. Przez długą chwilę ciszy widzieli wszystko: morze kwitnących liściastych baldachimów sięgające aż po horyzont, nieskażoną zielenią ustępującą kwadratowym łąkom po stronie, którą Quentin roboczo określił jako północ, na podstawie położenia bladego słońca na białym niebie. Próbował na nie patrzeć, kiedy spadali. Ziemia zbliżała się bardzo szybko.

A potem po prostu znaleźli się na niej. Quentin odruchowo ugiął kolana, nie poczuł jednak ani uderzenia, ani hamowania. Nagle po prostu tam stali.

Tam, czyli gdzie? Nie miał jasności. Wyglądało to jak płytki rów biegnący przez las, z uschniętymi liśćmi na dnie i gliną, i gałązkami. Quentin przytrzymał się ręką zbocza. Słońce sączyło się przez gęste gałęzie nad ich głowami. Ptak zaświergotał i odleciał. Panowała głęboka i ciężka cisza.

Podczas przejścia rozdzielili się jak niedoświadczony oddział spadochroniarzy, pozostali jednak w zasięgu wzroku. Richard i Penny wyplątywali się z wielkiego uschniętego krzaka. Na pniu ogromnego drzewa, które upadło w poprzek rowu, siedziały Alice i Anais, jakby posadziło je tam niczym lalki jakieś olbrzymie dziecko. Janet kuciała na ziemi z rękami na udach, oddychając głęboko, a jej twarz powoli nabierała kolorów.

Cała scena miała w sobie coś nierealnego. Ten las nie został zasadzony ręką człowieka i przez niego użytkowany. To był las pierwotny. Tak żyją drzewa pozostawione samym sobie.

– Penny? – Josh stał na skraju rowu, patrząc na nich z góry z rękami w kieszeniach. Wyglądał niestosownie sztywno w marynarce i koszuli bez krawata, choć wszyscy przemokli do suchej nitki. – Tu jest zimno, Penny. Dlaczego, do kurwy nędzy, tu jest zimno?

Faktycznie. Powietrze było suche i lodowate. Ich ubrania szybko zamarzały. Oddech zmieniał się w parę w nieruchomym powietrzu. Z białego nieba leciały drobne płatki śniegu. Opadłe liście okrywały zmrożoną ziemię. Trafili w sam środek zimy.

– Nie wiem. – Penny rozejrzał się, zmarszczył brwi. – Przedtem było lato – powiedział nadąsany. – Sekundę temu. Panował upał!

– Czy ktoś może pomóc mi zejść? – Anais patrzyła z powątpiewaniem na ziemię z wielkiego pnia, na którym siedziała. Josh z galanterią objął ją w talii i postawił na ziemi. Wydała zadowolony cichy pisk.

– To kwestia szybkości czasu – powiedziała Alice. – Właśnie o tym pomyślałam. W Fillory mogło minąć sześć miesięcy od wizyty Penny’ego. Albo może nawet sześćdziesiąt lat. Tak się działo w książkach. Nie ma sposobu, żeby to przewidzieć.

– Cóż, ja przewiduję, że za pięć minut odmrozę sobie cycki – stwierdziła Janet. – Niech ktoś wróci po kurtki.

Wszyscy uzgodnili, że Penny wróci i przyniesie kurtki, a on już miał dotknąć guzika, kiedy Eliot nagle rzucił się na niego i złapał go za ramię. Wyjaśnił, najspokojniej jak się dało w tych okolicznościach, że jeśli ścieżki czasu w Fillory i Ni Tu Ni Tam istotnie poruszają się z różną prędkością, miną dni albo lata czasu Fillory, nim Penny tu wróci ze sprzętem, a do tego czasu oni już dawno zamarzną na śmierć albo umrą ze starości, albo napotkają niezliczone inne równie poważne problemy. Jeśli chcą odzyskać sprzęt, muszą wrócić razem.

– Mowy nie ma. – Janet pokręciła głową. Jej twarz nadal miała zielonkawy odcień. – Ja tam nie wrócę. Jeszcze nie. Wolę sobie odmrozić cycki, niż wyrzygać flaki.

Nikt się z nią nie spierał. Nikt nie miał ochoty na powrót, skoro wreszcie przybyli do Fillory, czy gdzie tam trafili. Nie zamierzali wracać, nie rozejrzawszy się przynajmniej po okolicy. Penny obszedł ich, rzucając zaklęcie suszące ubrania.

– Chyba wiem, w którą stronę trzeba iść – powiedziała Alice, która nadal siedziała na pniu drzewa. Śnieg osiadał na jej ciemnych włosach. – Na drugą stronę. Tam jest chyba ścieżka przez las. I coś jeszcze. Pewnie chcecie zobaczyć sami.

Kiedy zdjęli plecaki, mogli przejść pod pniem na czworakach, pojedynczo, zapadając się w grubą warstwę zmarzniętych liści. Eliot przeszedł ostatni, przepychając najpierw plecaki. Stanęli po drugiej stronie, otrzepując brud z rąk. Penny wyciągnął ręce, chcąc pomóc Alice zejść z pnia, lecz zignorowała go i zeskoczyła sama, choć wiedziała, że upadnie na czworaki. Najwyraźniej nie bawiła się dobrze podczas swej nocnej przygody, pomyślał Quentin.

Na skraju ścieżki rósł niewielki rozłożysty dąb. Miał ciemnoszarą, niemal czarną korę, a gałęzie powyginane i pozbawione liści. W pniu na wysokości głowy, jakby drzewo po prostu wyrosło wokół niego, tkwił tykający zegar o średnicy może trzydziestu centymetrów.

Pojedynczo, nie mówiąc ani słowa, wspięli się na zbocze rowu, żeby przyjrzeć mu się bliżej. Mieli przed sobą jedno z zegarowych drzew Nadzorczyńi Czasu.

Quentin dotknął miejsca, w którym chropowata twarda kora stykała się z gładką srebrzystą krawędzią zegara. Jego tarcza okazała się twarda w dotyku, zimna i prawdziwa. Quentin zamknął oczy i przesunął palcem po jej obwodzie. Naprawdę tu był. W Fillory. Teraz nie miał co do tego

wątpliwości.

A skoro tu był, wszystko wreszcie będzie dobrze. Nie wiedział jeszcze, jak to się stanie, ale się stanie. Musi się stać. Może spowodował to brak snu, lecz po policzkach popłynęły mu gorące łzy, pozostawiając na skórze lodowate mokre ścieżki. Wbrew wszelkim chęciom i instyktom ukląkł, ukrył twarz w dłoniach i zanurzył w zimnych liściach. Wyrwał mu się szloch. Na chwilę całkiem się zatracił. Ktoś – nigdy nie dowiedział się kto, w każdym razie nie Alice – położył mu rękę na ramieniu. Wreszcie jest we właściwym miejscu. Zostanie wybrany i oczyszczony, będzie bezpieczny i szczęśliwy, i pozbierany. Jakim cudem wszystko się tak skomplikowało? Jak on i Alice mogli być tacy głupi? Prawie nie miało to teraz znaczenia. Tu znajduje się jego nowe życie, życie, na które zawsze czekał. I wreszcie się go doczekał.

Przemknęło mu nagle przez myśl, i to z dziwnym naciskiem, że Richard miał rację. Muszą odszukać Martina Chatwina, jeśli jeszcze żyje. To jest klucz. Skoro już tu jest, nie podda się i nie wróci. Musi poznać tajemnicę, jak zostać tu na zawsze, jak sprawić, by to trwało, jak mieć to na stałe.

Podniósł się zażenowany i otarł łzy rękawem.

– Epch – przerwał wreszcie ciszę Josh. – Myślę, że to załatwia sprawę. Jesteśmy w Fillory.

– Te zegarowe drzewa należały do Nadzorczyńi Czasu – powiedział Quentin, pociągając nosem. – Musi tu gdzieś być.

– Myślałam, że umarła – rzekła Janet.

– Może jesteśmy we wcześniejszym okresie – zasugerowała Alice.

– Może cofnęliśmy się w czasie jak w *Dziewczynce, która przepowiadała czas*.

Ona, Janet i Quentin nie patrzyli na siebie, kiedy

mówili.

– Może. Albo może zostawili sobie kilka na pamiątkę, kiedy się jej pozbyli. Pamiętacie? Chatwinowie widzieli jedno w *Wędrującej wydmie*.

– Nigdy nie mogłem przebrnąć przez tę książkę – stwierdził Josh.

– Ciekawe, czy moglibyśmy je zabrać do Brakebills. – Eliot obrzucił drzewo oceniającym spojrzeniem. – Miałbym wspaniały prezent dla Fogga.

Nikt inny nie wykazał chęci kontynuowania tego tematu. Josh wycelował w Eliota dwa palce i samymi wargami wypowiedział słowo „lizus”.

– Ciekawe, czy to właściwy czas – powiedział Richard.

Quentin mógłby tak stać i patrzeć na zegarowe drzewo przez cały dzień, chłód nie pozwolił im jednak tkwić długo w miejscu. Dziewczęta już ruszyły dalej. Niechętnie poszedł za nimi. Szli wszyscy razem luźną grupą rowem-ścieżką, wchodząc coraz głębiej w Fillory. Dźwięk ich kroków szeleszczących w liściach brzmiał ogłuszająco w tej ciszy.

Nikt nic nie mówił. Podczas starannych praktycznych przygotowań bardzo niewiele dyskutowali o strategii czy celach, a teraz, kiedy się tu znaleźli, wszystko i tak było oczywiste. Po co planować przygodę? Znaleźli się w Fillory i przygoda sama ich znajdzie! Z każdym krokiem spodziewali się napotkać cudowną zjawę albo objawienie. Tyle że nic się nie pojawiło. Czuli rozczarowanie – a może to tylko budujący napięcie wstęp do czegoś naprawdę zaskakującego? Pozostałości kamiennych murków niknęły w gęstwinie. Drzewa wokół stały nieruchome i uparcie martwe, nawet kiedy Penny, ogarnięty duchem eksploracji, oficjalnie przedstawił się kilku z nich. Od czasu do czasu odzywały się ptaki, przelatowały i siadały wysoko na drzewach, lecz żaden nie udzielił im żadnej rady. Wszystkie szczegóły wydawały się tak niezwykle jasne i przepełnione

znaczeniem, jakby świat wokół nich dosłownie składał się ze słów i liter zapisanych jakimś magicznym geograficznym alfabetem.

Richard wyciągnął kompas, ale igła utknęła, przylegała do kartonowego denka, jakby biegun magnetyczny Fillory ukryte było głęboko pod ziemią, prosto pod ich nogami. Richard cisnął kompas w krzaki. Janet podskakiwała, idąc, dłonie schowała pod pachami. Josh rozważał hipotetyczną zawartość magazynu pornograficznego przeznaczonego dla myślących drzew, który nosiłby nazwę „Enthouse”.

Szli przez dwadzieścia minut, najwyżej pół godziny. Quentin na zmianę chuchał w dłonie i wciągał je w rękawy swetra. Czuł się teraz całkowicie rozbudzony i trzeźwy, przynajmniej chwilowo.

– Musimy dorwać jakieś fauny – powiedział Josh w przestrzeń. – Albo wdać się w pojedynek na miecze czy coś.

Ścieżka zrobiła się kręta, a potem znikła. Z coraz większym wysiłkiem przedzierali się przez suche listowie. Rozpoczął się spór o to, czy była to, czy nie była ścieżka, a może tylko przesieka w lesie, czy może po prostu drzewa – to pomysł Penny’ego – zaczęły delikatnie, niepostrzeżenie schodzić im z drogi. Nim doszli do porozumienia w tej sprawie, natrafili na strumień sączący się przez las.

Uroczy zimowy strumyczek, szeroki i płytki, i idealnie czysty, migotał i pluskał, jakby zachwycony tym, że ma takie śliczne kręte koryto. Bez słowa zebrali się na jego brzegu. Na kamieniach przycupnęły okrągłe czapy śniegu, a spokojna woda tuż przy brzegu zamarzła. Gałąź, która utknęła na środku nurtu, była na całej długości obwieszona bajecznymi, niemal gotyckimi soplami. Brakowało w tym choćby cienia czegoś nadnaturalnego, lecz chwilowo zaspokoili ich pragnienie cudowności. Na Ziemi uznaliby strumyk za czarujący, nic więcej, natomiast fakt, że natknęli się na niego w Fillory, w innym świecie, być może

jako pierwsi ludzie, czynił z niego połyskliwy cud.

Patrzyli na strumyk w pełnym zachwyty milczeniu przez dobrą minutę, nim Quentin uświadomił sobie, że tuż przed nimi, z najgłębszej części nurtu wystaje z wody nagie popiersie kobiety.

– O mój Boże. – Cofnął się niezdarnie o krok, pokazując palcem. – Kurwa. Patrzcie!

Widok był zupełnie surrealistyczny. Prawie na pewno kobieta nie żyła. Ciemne gęste włosy miała pokryte lodem. Jej szafirowe oczy – odnosili wrażenie, że na nich patrzy – ani drgnęły. Nie mrugała, a jej naga skóra była perłowoszara. Mogła mieć najwyżej szesnaście lat. Na rzesach osiadł jej szron.

– Czy ona... ? – Alice nie dokończyła pytania.

– Hej! – zawołała Janet. – Wszystko w porządku?

– Powinniśmy jej pomóc. Wyciągnąć ją stamtąd. – Quentin próbował podejść bliżej, poślizgnął się na oblodzonym kamieniu i wpadł jedną nogą do wody po kolano. Wygramolił się z powrotem na brzeg, stopa paliła go z zimna. Kobieta się nie poruszyła. – Potrzebna nam lina. Dajcie linę, jest w którymś plecaku.

Woda nie wyglądała na dość głęboką, żeby kobieta mogła się w niej aż tak zanurzyć. Quentin zastanawiał się z przerażeniem, czy przypadkiem nie patrzą na ciało przecięte na pół na wysokości talii. Lina, o czym on myśli? Jest przecież do cholery czarodziejem! Porzucił plecak, w którym grzebał, i zaczął wykonywać proste zaklęcie kinetyczne, żeby wydobyć ją z wody.

Poczuł w czubkach palców ciepło towarzyszące narastaniu zaklęcia, poczuł w umyśle wagę i opór ciała. Dobrze było znów czarować, wiedzieć, że nadal potrafi się skupić mimo wszystko. Kiedy tylko zaczął, wyczuł, że Okoliczności są tu dziwnie wymieszane – inne gwiazdy, inne morza, inne wszystko. Dzięki Bogu, że nie wybrał czegoś

bardziej skomplikowanego. Gramatyka mu się rozsypała – Alice poprawiła go, kiedy wypowiadał zakłęcie. Powoli kobieta uniosła się z wody. Niczego jej nie brakowało, Bogu niech będą dzięki, jej nagie ciało było smukłe, piersi małe i dziewczęce. Paznokcie i sutki miała jasnofioletowe. Wyglądała na zamarznąętą, choć zadrżała, kiedy ogarnęła ją magia. Nagle skupiła wzrok, jej oczy zrobiły się czujne. Zmarszczyła brwi i uniosła rękę, jakimś sposobem powstrzymując zakłęcie, nim Quentin je skończył. Nadal stała częściowo w lodowatej wodzie.

– Jestem najadą. Nie mogę opuścić strumienia. – Sądząc po głosie, powinna być w szkole średniej. Spojrzała Quentinowi w oczy. – Twoja magia jest niezdarna – dodała.

Doświadczenie było elektryzujące. Teraz widział, że nie jest człowiekiem, jej palce u rąk i nóg łączyła błona. Po swojej lewej stronie usłyszał jakieś szuranie. Penny klękał na ośnieżonym brzegu.

– Pokornie przepraszamy – powiedział ze zwieszoną głową. – Pokornie prosimy o wybaczenie.

– Jezu Chryste! – powiedział Josh scenicznym szeptem. – Co za głupek!

Nimfa wodna przeniosła uwagę na Penny'ego. Jej naga skórę obmywała woda strumienia. Zalotnie przekrzywiła głowę.

– Podziwiasz moją urodę, człowieku? – spytała. – Jest mi zimno. Czy chcesz mnie rozgrzać swą gorącą skórą?

– Proszę – ciągnął Penny, czerwieniąc się gwałtownie. – Jeśli masz jakieś zadanie, które pragniesz nam powierzyć, przyjmiemy je z radością. Z radością...

Na szczęście Janet mu przerwała.

– Przybyliśmy z wizytą z Ziemi – oświadczyła stanowczo. – Czy jest tu jakieś miasto, do którego mogłabyś nas skierować? Może Zamek Białoszczyty?

– ... z radością poddamy się twym rozkazom –

dokończył Penny.

– Czy służysz baranom? – spytała Alice.

– Nie służę fałszywym bogom, ziemską dziewczyno. Ani boginiom. Służę rzece, a rzeka służy mnie.

– Są tu inni ludzie? – chciała wiedzieć Anais. – Tacy jak my?

– Jak wy? – Nimfa uśmiechnęła się impertynencko, między jej ostrymi zębami pojawił się na moment czubek zaskakująco niebieskiego języka. – Och, nie. Tacy jak wy nie. Nie ma tu żadnych istot równie przeklętych!

W tym momencie Quentin poczuł, że jego kinetyczne zaklęcie zniknęło. Usunęła je, choć nie zauważył jak, bez jednego słowa czy gestu. W tej samej chwili zanurkowała głową naprzód, na chwilę pokazując im blade pośladki. Zniknęła w ciemnej wodzie, która wydawała się zbyt płytka, aby ją przykryć.

Chwilę później znów wystawiła głowę nad powierzchnię.

– Obawiam się o was, ludzkie dzieci. To nie wasza wojna.

– Nie jesteśmy dziećmi – zapewniła ją Janet.

– Jaka wojna? – zapytał Quentin.

Najada znów się uśmiechnęła. Za lawendowymi ustami miała spiczaste, zachodzące na siebie zęby. Jak rekin. W zaciśniętej pięści trzymała coś ociekającego wodą.

– Dar od rzeki. Użyjcie go, gdy zniknie wszelka nadzieja.

Cisnęła w nich tym czymś. Quentin złapał to jedną ręką. Poczuł ulgę, nieproporcjonalnie wielką, zważywszy na okoliczności, że tego nie spartaczył, że zachował dawny refleks zonglera. Kiedy podniósł wzrok, nimfy już nie było. Stali sami przy szumiącym strumieniu.

Quentin trzymał w ręku mały róg z kości słoniowej okuty srebrem.

– Bomba! – wykrzyknął Josh. Klasnął w dłonie i zatarł je. – Zdecydowanie nie jesteśmy już w Kansas!

Wszyscy się stłoczyli, żeby obejrzeć róg. Quentin podał go Eliotowi, który obrócił go kilka razy w rękę, zajrzał do środka z jednej strony, potem z drugiej.

– Nic nie wyczuwam – stwierdził. – Wygląda jak pamiątka kupiona w sklepie na lotnisku.

– Nie musisz nic wyczuwać – powiedział Penny władczo. Wziął róg i schował do plecaka.

– Powinniśmy byli ją zapytać, czy to jest Fillory – rzekła Alice cicho.

– Oczywiście, że to Fillory – zapewnił ją Penny.

– Wolalabym mieć pewność. I chciałabym wiedzieć, dlaczego jesteśmy przeklęci.

– I co to za wojna – dodał Richard, marszcząc krzaczaste brwi. – To nasuwa wiele pytań.

– I nie podobały mi się jej zęby – dokończyła Alice.

– Jezu – jęknął Josh. – Je-zu! To przecież najada! Właśnie widzieliśmy pieprzoną nimfę rzeczną! Czy to nie super? Co? Kurwa, to Fillory, mówię wam, ludzie!

Złapał Quentina za ramiona i potrząsnął nim. Podbiegł do Richarda i walnął go pierśią.

– Nie sądzicie, że ostra z niej laska? – spytała Janet.

– Rany! Wyobrażałbym ją zamiast fauna w każdej chwili – stwierdził Josh i Anais pacnęła go w głowę.

– Hej, uważaj. Mówisz o dziewczynie Penny’ego – powiedziała Janet. – Okaż trochę szacunku.

Napięcie opadło. Przez chwilę rozmawiali, dokuczając sobie i wygłupiając się, podnieceni tą zupełnie obcą magią. Czy najada jest cielesna? Czy zmienia się w wodę, kiedy się zanurza? Jak inaczej mogłaby zanurkować w tak płytkim strumieniu? I jakim cudem rozproszyła zaklęcie Quentina? Jaka jest jej funkcja w magicznym ekosystemie? A ten róg? Alice już przeglądała zniszczone egzemplarze książek o

Fillory, szukając jakiejś o nim wzmianki – czy przypadkiem Martin nie znalazł magicznego rogu w pierwszej części?

Po chwili zaczęło do nich docierać, że od jakichś czterdziestu pięciu minut siedzą na mrozie ubrani tylko w dżinsy i swetry. Nawet Janet przyznała, że czas wracać do Miasta. Eliot zapędził rozgadanych maruderów w krąg. Złapali się za ręce na brzegu strumienia.

Stali w kręgu nadal nieco rozbawieni, rzucając na siebie co chwilę wesołe, konspiracyjne spojrzenia. Zdarzyło się wiele nieprzyjemnych rzeczy, jednak nie musieli z tego powodu wszystkiego niszczyć, prawda? Robili tu coś naprawdę ważnego. Coś, na co każde z nich czekało, czego szukało przez całe życie – właśnie to mieli zrobić! Znaleźli czarodziejskie drzwi, ukrytą ścieżkę przez tajemniczy ogród. Mieli w ręku coś nowego, prawdziwą przygodę, która w dodatku dopiero się zaczyna.

Właśnie wtedy usłyszeli po raz pierwszy ten dźwięk – suche rytmiczne tykanie. Ledwie słyszalne z powodu szemrania strumienia, ale coraz głośniejsze i wyraźniejsze. Jedno po drugim milkli i zaczęli nasłuchiwać. Padał coraz gęściejszy śnieg.

Trudno było zidentyfikować ten dźwięk tak bez kontekstu. Alice rozpoznała go pierwsza.

– To zegar – powiedziała. – Tykanie zegara. – Zajrzała im niecierpliwie w twarze. – Zegar – powtórzyła teraz z wyraźną paniką. – Nadzorczyni Czasu. To Nadzorczyni Czasu!

Penny pospiesznie złapał guzik. Tykanie zrobiło się jeszcze głośniejsze, przypominało bicie olbrzymiego serca tuż nad nimi, choć nie potrafili określić, z której strony dochodzi. A potem przestało to mieć znaczenie, ponieważ wypływali przez zimną czystą wodę ku bezpiecznemu schronieniu.

Tym razem wszystko odbyło się profesjonalnie. Kiedy znaleźli się w Mieście, zebrali zimowy sprzęt – wszyscy z wyjątkiem Janet, która leżała bezwładnie na ziemi, ćwicząc oddechy – a potem wrócili do fontanny. Usiedli na obramowaniu i chwycili się za ręce, w czym zaczęli już mieć praktykę. Janet znalazła w sobie dość siły, żeby zażartować na temat Anity Ekberg w fontannie w *Słodkim życiu*. Kiwnęli sobie głowami i równocześnie skoczyli do wody.

Znów znaleźli się w Fillory koło strumienia, znad którego wyruszyli, tylko że cały śnieg zniknął. Teraz panowała wczesna jesień, w powietrzu unosiła się ciepława mgiełka. Było dobrze ponad piętnaście stopni. Zupełnie jak na filmie: gałęzie drzew, pięć minut temu nagie, teraz pokrywały żółknące liście. Jeden taki żółty listek dryfował niemożliwie wysoko na tle szarego nieba, unoszony przez ciepły prąd powietrza. W trawie widzieli pełno szklistych kałuż po ulewnym jesiennym deszczu, który musiał ustać chwilę temu. Stali w łagodnym powietrzu, ściskając pakunki z parkami i wełnianymi rękawicami, i czuli się głupio.

– Znów jesteśmy źle ubrani – stwierdził Eliot. Z niechęcią cisnął swój pakunek. – Kwintesencja mojego życia.

Nikt nie mógł wymyślić żadnego rozsądniejszego wyjścia niż pozostawienie zimowych rzeczy na mokrej trawie. Mogli wrócić do Ni Tu Ni Tam, by wszystko zostawić, ale po powrocie tutaj znów mogła być zima. Było to śmieszne, jak wirus w systemie, lecz w sumie bez znaczenia. Rozpierała ich energia. Napelnili manierki w strumieniu.

Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej natknęli się na mostek, niewielki łuk wykonany z kunsztownie kutej filioriańskiej stali. Quentin głowę by dał, że wcześniej go tu

nie było, tymczasem Richard upierał się, że nie widzieli go po prostu przez ośnieżone gałęzie. Quentin spojrzął na wezbraną szumiącą wodę. Ani śladu nimfy. Ile czasu minęło? – zastanowił się. W Fillory pory roku mogły trwać wiek. A może cofali się w czasie? Czy to jeszcze ta sama przygoda, czy właśnie zaczynali nową?

Po drugiej stronie mostka znajdowała się szeroka równa ścieżka przez las, zasypana liśćmi i sosnowymi szpilkami, ale zdecydowanie ścieżka, i to w dobrym stanie, można powiedzieć, oficjalna. Szli szybko, podniesieni na duchu doskonałą pogodą i ciągłym dopływem adrenaliny. Naprawdę się zaczęło. Koniec falstartów. Wyglądało na to, że Fillory nie zdoła wymazać tego, co się zdarzyło zeszłej nocy – choć może mogło, Quentin po prostu nie wiedział. Wszystko jednak było tu możliwe. Spośród drzew wyszedł nagle brązowy jeleń i przez pewien czas kroczył przodem, oglądając się na nich z prawdziwie imponującą inteligencją w oczach, wszyscy się co do tego zgodzili. Jeśli umiał mówić, nie uznał za stosowne odezwać się do nich. Próbowali za nim iść – może prowadził ich dokądś? Może to wysłannik Embera i Umbera? Lecz w pewnej chwili uskoczył w bok, dokładnie tak, jak zrobiłby każdy normalny jeleń.

Josh rzucił zaklęcie, które rozkręcało loki Anais. Oglądała się przez ramię zirytowana, lecz nie mogła ustalić źródła. Janet wzięła pod rękę Quentina i Eliota i zmusiła ich do odtańczenia piosenki *Ruszamy drogą z żółtej kostki*. Quentin nie miał pewności, choć wydawało mu się, że Eliot nie pił przez cały dzień. Kiedy ostatni raz zdarzyło się coś takiego?

Puszczą zdawała się nie mieć końca. Co jakiś czas pojawiała się słońce, rzucało między drzewa długie zakurzone promienie i zaraz znów zniknęło.

– Jest dobrze – powiedział Penny, rozglądając się wokoło. Oczy miał szkliste. Wprowadził się w stan ekstatycznej pewności siebie. – Mnie się to wydaje w porządku. Mieliśmy się tu znaleźć.

Janet przewróciła oczami.

– Jak myślisz, Quen? – spytał Penny. – Czy tobie też nie wydaje się to w porządku?

Quentin nie miał pojęcia, jak to się stało, że nagle ścisnął w pięści strzępy podartej koszulki Penny’ego. Okazało się, że Penny waży więcej, niż sądził, lecz i tak udało mu się wytrącić go z równowagi i pchnąć tyłem, aż walnął głową w pień sosny.

– Nigdy więcej nie odzywaj się do mnie – rzekł spokojnie. – Rozumiesz? Nigdy więcej nie zwracaj się do mnie bezpośrednio. Nigdy więcej się do mnie nie odzywaj.

– Nie będę się z tobą bił – zapewnił Penny. – Właśnie tego chce Nadzorczyńi Czasu...

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? – Quentin znów walnął głową Penny’ego o drzewo, tym razem mocniej. Ktoś go zawołał po imieniu. – Ty mały, tłusty pojebie? Czyś ty, kurwa, nie słyszał, co ja, kurwa, do ciebie powiedziałem? Nie wyraziłem się jasno?

Odszedł, nie czekając na odpowiedź. Lepiej niech Fillory da mu wkrótce coś, o co mógłby walczyć, inaczej kompletnie mu odbije.

Uczucie niezwykłości związane z rzeczywistym, fizycznym przebywaniem w Fillory zaczęło znikać. Zrobili się opryskliwi, panowała atmosfera jak na nieudanym pikniku. Ilekroć na gałęzi usiadł na dłużej niż kilka sekund jakiś ptak, Josh mówił: „Dobra, tym razem to już to”, albo: „Myślę, że on nam próbuje coś powiedzieć”, albo w końcu: „Hej, dupku, spływaj, dobra? Świetnie, dzięki”.

– Przynajmniej nie wróciła Nadzorczyńi Czasu – powiedział Eliot.

– O ile to w ogóle była Nadzorczyńni Czasu – stwierdził Josh. – Podobno załatwili ją w pierwszej książce, prawda?

– Tak, wiem. – Eliot zgarnął garść żołądzi i rzucał nimi w mijane drzewa. – Coś jest tu trochę nie tak. Nie rozumiem, dlaczego nimfa nie zanudzała nas opowieściami o Emberze i Umberze. Zawsze tyle o nich gadali w książkach.

– Jeśli nadal trwa wojna między baranami a Nadzorczynią Czasu, musimy się skontaktować z Emberem i Umberem, i to *cito* – powiedziała Alice.

– O tak – zgodziła się Janet. Pokazała palcami cudzysłów. – *Cito*.

– Jeśli chcą nas mieć po swojej stronie, sami nas znajdą – zaintonował Penny. – O to nie musimy się martwić.

Nikt mu nie odpowiedział. Stawało się coraz bardziej jasne, że spotkanie z nimfą wprawilo Penny'ego w trwałą zachwyty. Tak radził sobie z Fillory. Odbył rytuał przejścia i wpadł na dobre w nastrój pikniku historycznego.

– Uwaga, UWAGA! – wrzasnął Richard. Dosłownie w ostatniej chwili usłyszeli tętent kopyt na miękkiej ziemi. Minał ich powóz ciągnięty przez dwa galopujące konie, zmuszając do uskoczenia między drzewa po obu stronach drogi. Powóz był zamknięty i ciemny. Na boku widniało coś w rodzaju herbu świeżo zamalowanego na czarno.

Woźnica miał na sobie czarny płaszcz. Dał... dała? – nie dawało się określić – koniom znak, by zwolniły do stępa, a potem zatrzymały się jakieś trzydzieści metrów od nich.

– Suspens rośnie – stwierdził Eliot sucho.

Najwyższy czas, żeby coś się zdarzyło. Quentin, Janet i Anais ruszyli śmiało w stronę powozu, postanowiwszy stać się lekkomyślnymi bohaterami, którzy posuwają akcję do przodu. W swoim obecnym stanie umysłu Quentin był gotów z marszu podejść i zapukać w okno, ale zatrzymał się kilka metrów od pojazdu, podobnie jak reszta. Czarny

powóz wyglądał złowieszczo pogrzebowo.

Z wnętrza dobiegł ich stłumiony głos:

– Czy noszą rogi?

Zwracał się wyraźnie nie do nich, tylko do woźnicy, który zajmował lepszy punkt obserwacyjny. Jeśli woźnica odpowiedział/a, zrobił/a to tak cicho, że nic nie usłyszeli.

– Czy nosicie rogi? – Ten głos był głośny i wyraźny.

Zwiadowcy wymienili się spojrzeniami.

– Jakie rogi? – zawołała Janet. – Nie jesteśmy stąd.

Śmieszne. Jakby gadali z ilustracją z książek doktora Seussa.

– Czy służycie bykowi? – Teraz głos zrobił się przenikliwy, zabrzmiały w nim wysokie, ćwierkające tony.

– Kim jest byk? – spytał Quentin głośno i powoli, jakby zwracał się do kogoś, kto nie mówi po angielsku albo może jest lekko opóźniony w rozwoju. W książkach Plovera nie występował żaden byk, więc... ? – Jesteśmy przybyszami. Nie służymy ani bykowi, ani nikomu innemu.

– Quentin, oni nie są głusi – mruknęła Janet.

Zapadła długa cisza. Jeden z koni – czarnych, podobnie jak uprząż i wszystko inne – zarżał cicho. Pierwszy głos powiedział coś, czego nie dosłyszeli.

– Co? – Quentin postąpił krok naprzód.

Na dachu powozu otworzyły się drzwiczki, z trzaskiem, który zabrzmiał jak wystrzał. Pojawiła się maleńka, pozbawiona wyrazu głowa i długi zielony tułów owada – to mogła być tylko modliszka, groteskowo rozrośnięta do rozmiarów człowieka. Była tak chuda i miała tak wiele długich szmaragdowych odnóży i wdzięcznych czułków, że początkowo Quentin nie zauważył zielonego łuku z założoną strzałą.

– Kurwa – sapnął odruchowo. Głos miał chrapliwy. Stali za blisko, nie miał czasu na ucieczkę. Pochylił się gwałtownie i padł na ziemię.

Konie rzuciły się do biegu w chwili, gdy modliszka wypuściła strzałę. Drzwi w dachu powozu zamknęły się z hukiem. W powietrze za powozem wzbił się kurz i gałazki. Cztery wielkie koła pasowały idealnie do kolein w drodze.

Kiedy Quentin ośmielił się spojrzeć, stał nad nim Penny. Trzymał w ręku strzałę. Musiał użyć zaklęcia, by przyspieszyć swoje ruchy – do diabła z filloriańskimi Okolicznościami – i chwycił ją w locie. Inaczej wylądowałyby elegancko prosto w nerce Quentina.

Inni podeszli ostrożnie, by zobaczyć, jak powóz znika w oddali.

– Zaczekaj – powiedział Josh sarkastycznie. – Zatrzymaj się.

– Jezu, Penny – wysapała Janet. – Dobry chwyt.

I co, będzie się z nim teraz pieprzyć? – pomyślał Quentin. Dysząc ciężko, patrzył na strzałę w ręku Penny'ego, długą chyba na metr i czarno-żółtą jak szerszeń. Grot miał dwa zagięte stalowe kolce. Quentin nie zdążył się nawet wystraszyć.

Odetchnął drżąc.

– Tylko na tyle cię stać? – wrzasnął za znikającym powozem, za późno, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Powoli wstał z ziemi. Kolana miał miękkie i nie mógł przestać się trząść.

Penny odwrócił się i dziwacznym gestem podał mu strzałę. Quentin parsknął gniewnie i odszedł, strząsając z dłoni zbutwiałe liście. Nie chciał, żeby Penny zobaczył, jak się trzęsie. Zapewne strzała i tak nie trafiłaby w cel.

– Wow – powiedziała Janet. – Ależ to był wściekły robal. Dzień dobiegał końca. Światło znikało z nieba, podobnie jak ich popołudniowa radość. Nikt nie chciał przyznać, że się boi, każdy więc przeszedł na drugą możliwą opcję, to znaczy zrobił się drażliwy. Jeśli wkrótce nie wrócą, będą musieli znaleźć miejsce na obóz, co wcale nie wydawało się takim

znowu dobrym pomysłem, zważywszy, że mogli zostać postrzeleni przez gigantyczne owady. Żadne z nich nie znało dość magii medycznej, by poradzić sobie ze strzałą wbity w jelito cienkie. Stali na drodze i spierali się, czy powinni wrócić do Buffalo i może jednak zabrać ze sobą kamizelki kuloodporne z kevlaru. W końcu Penny nie zdoła złapać wszystkich strzał. Tylko czy kevlar je powstrzyma?

Na jaką sytuację polityczną tu trafili? Owady i byki, nimfy i czarownice – kto jest dobry, a kto zły? Wszystko okazało się dużo mniej zabawne i trudniejsze organizacyjnie, niż się spodziewali. Quentin miał nerwy napięte do granic wytrzymałości i ciągle macał to miejsce na brzuchu, w które trafiłaby go strzała. Co to teraz jest, owady kontra ssaki? Więc dlaczego modliszka walczyła dla byka? Nimfa powiedziała, że to nie ich wojna. Może miała trochę racji.

Quentin stwierdził, że niemożliwie bolał go nogi w nowych górskich butach. Nie wysuszył ich po kąpieli w strumieniu i teraz miał wrażenie, że stopy ma gorące, pełne pęcherzy i zapleśniałe. Widział oczami wyobraźni, jak zarodniki grzybów zapuszczają korzenie i rosną w ciepłej wilgoci między jego palcami. Zastanawiał się, jak daleko zaszli. Nie spał już od trzydziestu godzin.

Penny i Anais za nic jednak nie chcieli wracać. – A gdyby Chatwinowie zawrócili? – spytał Penny. Teraz byli częścią tej historii. Czy nikt nie czytał książek? W tej chwili trwa ta zła, trudna część, za którą potem zyskają nagrodę. Trzeba przez to po prostu przebrnąć. No a kto jest tutaj tymi dobrymi? Oni oczywiście. Oni są tymi dobrymi, a dobrym nigdy nie dzieje się nic złego.

– Obudźcie się! – parsknęła Alice. – To nie jest powieść! To jedna popieprzona rzecz po drugiej! Ktoś mógł zginąć! – Najwyraźniej miała na myśli Quentina, choć nie chciała wypowiedzieć jego imienia.

– Może Helen Chatwin miała rację – powiedział Richard. – Może nie powinno nas tu być?

– Nie łapiecie, prawda? – Janet popatrzyła na nich z góry. – To z początku ma być skomplikowane. Sytuacja wyjaśni się w swoim czasie. Musimy iść dalej. Szukać wskazówek. Jeśli teraz odejdziemy i wrócimy potem, tutaj może minąć z pięćset lat i będziemy musieli zaczynać wszystko od początku.

Quentin popatrzył na jedną i na drugą: Alice była mądra i sceptyczna, Janet narwana i pełna entuzjazmu. Odwrócił się do Anais, żeby spytać, jak daleko jej zdaniem zaszli, gdyż niejasno zakładał, że ktoś z Europy będzie miał lepsze wyczucie takich rzeczy niż banda Amerykanów, kiedy uświadomił sobie nagle, że jako jedyny nie patrzy w las po ich prawej stronie. Wśród mroczniejących drzew, równoległe do drogi, mijała ich najdziwniejsza rzecz, jaką w życiu widział na oczy.

Przez las szła brzoza. Jej pień rozgałęział się na dwie części jakiś metr nad ziemią, tworząc nogi. Poruszała się na nich sztywnymi, przemyślanymi krokami. Była tak cienka, że ledwie widoczna w mroku, tylko biała kora odcinała się od innych pni. Uderzała cienkimi gałęziami w drzewa, które mijała. Wyglądała bardziej jak maszyna czy marionetka niż jak osoba. Quentin zastanowiło, jakim cudem utrzymuje równowagę.

– A niech mnie – powiedział Josh.

Nie ustalając tego ze sobą, ruszyli za drzewem. Nie przywitało ich, jedynie na chwilę obróciło gałęzie w ich stronę, jakby obejrzało się przez ramię, którego nie miało. W ciszy lasu słyszeli, jak skrzypi niczym bujany fotel. Quentin miał niejasne wrażenie, że ich ignoruje.

Kiedy minęło pierwsze pięć minut pełnego oczarowania zachwytu, zrobiło się towarzysko dziwacznie – żeby tak otwarcie iść za tym drzewem czy duchem drzewa!... Jednak

brzoza nie chciała zwrócić na nich uwagi, a oni nie chcieli zostawić jej w spokoju. Przykleili się do niej całą grupą. Może to coś wszystko nam wyjaśni?, pomyślał Quentin. O ile nie odwróci się i nie zachłoszcze ich na śmierć gałęziami.

Janet obserwowała uważnie Penny'ego i uciszała go za każdym razem, kiedy próbował coś powiedzieć.

– Niech ona zrobi pierwszy ruch – szepnęła.

– Zwariowane miejsce – stwierdził Josh. – Co to jest?

– To driada, idioto.

– Myślałem, że driady to drzewa-dziewczyny?

– Podobno to seksowne drzewa-dziewczyny – powiedział Josh żałośnie.

– A ja myślałam, że driady to dęby – powiedziała Alice.

– Tymczasem to jest brzoza.

– Dlaczego uważasz, że to nie jest drzewo-dziewczyna?

– Bez względu na to, co to jest, to wielkie odkrycie – mruknął Josh pod nosem. – Kurewskie drzewo. Kurewsko wielkie odkrycie.

Drzewo szło szybko, niemal podskakując na sprężystych, pozbawionych kolan nogach. Tak szybko, że wkrótce musieli biec truchtem, żeby za nim nadążyć. Akurat kiedy wyglądało na to, że albo będą musieli porzucić swój najbardziej jak dotąd obiecujący trop, albo rozpocząć pozbawioną godności pogoń, stało się jasne, dokąd drzewo zmierza.

POKOREK

Dziesięć minut później Quentin siedział w boksie w słabo oświetlonym barze, mając przed sobą kufel piwa, jak dotąd jeszcze nietknięty. Wprawdzie nie tego się spodziewał, uznał jednak, że sprawy przybrały dobry obrót. Bar, boks, piwo. W takiej sytuacji potrafił się zachować w obojętne jakim świecie. Jeśli przygotowywał się do czegoś od czasu opuszczenia Brakebills, to właśnie do czegoś takiego.

Przed pozostałymi stały identyczne kufle z piwem. Było późne popołudnie, w zasadzie wieczór, jakaś szósta trzydzieści, choć z drugiej strony kto to mógł wiedzieć? Czy tutaj doba też ma dwadzieścia cztery godziny? A niby czemu miałyby mieć? Choć Penny się upierał, że drzewo „doprowadziło” ich tutaj, wszyscy zdawali sobie sprawę, że samodzielnie też znaleźliby gospodę. Urządzono ją w ciemnej niskiej chacie z bali ozdobionej szyldem przedstawiającym dwa półksiężyce; kunsztowny, filigranowy mechanizm sprawiał, że półksiężyce krążyły wokół siebie, kiedy zawiął wiatr. Chata opierała się tyłem o niskie wzgórze wynurzające się wprost z lasu – sprawiała wręcz wrażenie, jakby z niego wyrastała.

Weszli ostrożnie do wnętrza przez wahadłowe drzwi i znaleźli się w pomieszczeniu, które z powodzeniem mogłoby się znaleźć na ekspozycji muzealnej przedstawiającej kolonialną Amerykę: w długiej wąskiej sali z barem pod ścianą. Przypominało to Quentinowi Historick Olde Innes, którą zwiedził, kiedy pojechał do rodziców do Chesterton.

Tylko jeden boks był zajęty, przez rodzinę (?) – wysokiego siwego starca, kobietę o wydatnych kościach policzkowych, chyba tuż po trzydziestce, i poważną małą dziewczynkę. Wyraźnie należeli do miejscowych. Siedzieli wyprostowani w całkowitym milczeniu, patrząc złowrogo na

puste filiżanki i talerze. Zamglone oczy dziewczynki wskazywały, że wcześniej się zapoznała z przeciwnościami losu.

Chodząca brzoza zniknęła, zapewne na zapleczu. Barman miał na sobie dziwny staroświecki mundur, czarny z licznymi mosiężnymi guzikami. Coś takiego mógłby nosić policjant z epoki edwardiańskiej. Jego twarz, wąską i znudzoną, pokrywał mocny czarny cień zarostu. Powoli polerował kufle białą ścierką, tak jak barmani czynią to od niepamiętnych czasów. Poza tym w sali nie było nikogo, wyjąwszy dużego brunatnego niedźwiedzia w kamizelce skulonego w solidnym fotelu w kącie. Nie dawało się stwierdzić, czy niedźwiedź jest prawdziwy.

Richard zabrał ze sobą kilka tuzinów złotych walców w nadziei, że posłużą mu za uniwersalną walutę międzywymiarową. Barman przyjął jeden bez komentarza, zważył go z wprawą w dłoni i wydał garść reszty: cztery pogięte krzywe monety, na których wybito rozmaite twarze i zwierzęta. Na dwóch widniało motto wypisane w nieznanym alfabecie, trzecią było zniszczone meksykańskie peso z 1936 roku, a czwarta okazała się plastikowym sztonem z gry planszowej *Sorry*. Potem napełnił dla nich cynowe kufle.

Josh z powątpiewaniem zajrzał w swój i powęszył ostrożnie. Kręcił się jak dzieciak z trzeciego roku.

– Jezu, po prostu wypij – syknął Quentin z irytacją. Boże, ludzie zachowują się czasami jak banda palantów. Podniósł swój kufel. – Zdrowie.

Posmakował piwa. Okazało się gorzkie i musujące, i alkoholowe, i zdecydowanie piwne. Napełniło go pewnością siebie i nowym poczuciem celu. Wystraszył się, owszem, co tylko – do spółki z piwem – wyostrzyło jego umysł. Siedział w boksie z Richardem, Joshem i Anais – udało mu się uniknąć siedzenia z Alice, Janet czy Penny'm. Wymieniali nad pienistymi kuflami skomplikowaną sieć znaczących

spojrzeń. Od rana zaszli zdecydowanie bardzo daleko.

– Nie wydaje mi się, żeby ten niedźwiedź był wypchany – wyszeptał Josh z podnieceniem. – Myślę, że jest prawdziwy.

– Postawmy mu piwo – zaproponował Quentin.

– Myślę, że on śpi. Poza tym nie wygląda przyjacielsko.

– Piwo może to zmienić – zauważył Quentin. Czuł się trochę skołowany. – Być może to kolejna wskazówka. Jeśli to mówiące piwo, to znaczy niedźwiedź, możemy... no wiecie, porozmawiać z nim.

– O czym?

Quentin wzruszył ramionami.

– Spróbujemy się dowiedzieć, co tu się dzieje. No bo co innego mamy do roboty?

Richard i Anais nie tknęli piwa. Quentin pociągnął duży łyk, po prostu im na złość.

– Nie ryzykujemy, oto co robimy – powiedział Richard. – To wyłącznie zwiad. Unikamy wszelkich zbędnych kontaktów.

– Chyba żartujesz. Jesteśmy w Fillory, a ty nie chcesz z nikim gadać?

– Jasne! – Richard sprawiał wrażenie zaszokowanego samym pomysłem. – Nawiazujemy kontakt z innym wymiarem rzeczywistości. To ci nie wystarczy?

– Prawdę powiedziawszy nie. Ogromna modliszka próbowała mnie dziś zabić i chcę wiedzieć dlaczego.

Fillory miało oferować Quentinowi przerwę w nieszczęściu i niech go diabli, jeśli stąd odejdzie, póki nie dostanie tego, czego pragnie. Gdzieś tutaj kryła się ulga, musiał tylko zagłębić się bardziej. Nie zamierzał pozwolić Richardowi, żeby go spowolniał. Musiał wyskoczyć z szyn, wydostać się z tej ziemskiej historii, która wcale nie rozwijała się dobrze, i wskoczyć w historię Fillory, gdzie pozytywy były nieskończenie większe. A ponadto, będąc w

takim humorze, miał ochotę wymieniać dowolne poglądy na dowolny temat z wszystko jedno kim, jeśli to tylko oznaczało walkę.

– Barman! – powiedział głośniejszym głosem, niż to było konieczne. Po namyśle postanowił użyć akcentu z Dzikiego Zachodu. Wskazał palcem niedźwiedzia. – Piwo dla mego przyjaciela niedźwiedzia, tam w kącie.

Niedźwiedź w barze. Sprytne. W drugim boksie Eliot, Alice, Janet i Penny odwrócili się równocześnie, żeby na niego popatrzeć. Mężczyzna w mundurze tylko obojętnie kiwnął głową.

Niedźwiedź, jak się okazało, pijał tylko wódkę z sokiem brzoskwiniowym, a sączył ją z kruchej szklanki do drinków. Zważywszy na jego rozmiary, zapewne mógł jej pochłonąć w zasadzie nieograniczoną ilość. Po dwóch lub trzech drinkach opadł na cztery łapy i podszedł do nich, wlokąc za sobą ciężki fotel, jedyny mebel zdolny utrzymać jego ciężar. Wbił pazury w podartą tapicerkę i ciągnął go za sobą. Wydawał się o wiele za duży jak na tę niewielką przestrzeń.

Nazywał się Pokorek i był, jak wskazywało samo imię, bardzo skromnym niedźwiedziem. Wyjaśnił, basem głębokim jak z subwoofera, że jest niedźwiedziem brunatnym gatunku większego niż baribale, ale dużo, dużo mniejszego niż potężny niedźwiedź grizzly, choć w zasadzie grizzly to podgatunek niedźwiedzia brunatnego. Co jakiś czas powtarzał, że nie jest nawet w połowie takim niedźwiedziem jak grizzly.

– Nie chodzi przecież o to, kto jest największym niedźwiedziem – pocieszył go Quentin. Nawiązywali kontakt. Nie bardzo wiedział, czego chce od tego niedźwiedzia, lecz wydawało mu się, że tak najłatwiej będzie to dostać. Pił piwo Richarda, skończywszy własne. – Są inne sposoby, żeby być dobrym niedźwiedziem.

Pokorek z entuzjazmem pokiwał głową.

– O tak, o tak. Jestem dobrym niedźwiedziem. Nigdy nie zamierzałem dawać do zrozumienia, że jestem złym niedźwiedziem. Jestem dobrym niedźwiedziem. Szanuję cudze terytoria. Jestem niedźwiedziem pełnym szacunku. – Przerazająca wielka łapa Pokorka uderzyła z emfazą w stół, przysunął czarny nos bardzo blisko nosa Quentina. – Jestem pełnym. Szacunku. Niedźwiedziem.

Inni zrobili się wyraźnie milczący albo dyskutowali między sobą, starannie udając, że nie widzą, iż Quentin rozmawia z pijanym zaczarowanym niedźwiedziem. Richard szybko się zabrał od stolika, zamieniając się miejscami z zawsze gotową na zabawę Janet. Josh i Anais tulili się do siebie, jakby ktoś uwięził ich w boksie. Jeśli Pokorek cokolwiek z tego zauważył, najwyraźniej guzik go to obchodziło.

Quentin rozumiał, że wyszedł daleko poza zakres działań odpowiadających grupie. Widział kątem oka, że od drugiego stolika Eliot próbuje mu rzucać ostrzegawcze spojrzenia, ale zręcznie ich unikał. Nic go to nie obchodziło. Musiał pchnąć sprawy naprzód. Obawiał się tkwienia w miejscu. Ta sztuka należała do niego, on w niej grał i zamierzał grać na swój sposób aż do końca. Wszyscy inni mogli albo się dostosować, albo zabrać swoje żalose dupy z powrotem do Miasta.

To co robił, bynajmniej nie było proste. Obszar zainteresowań Pokorka okazał się dusząco wąski, a jego wiedza w tych dziedzinach bezdennie głęboka. Quentin nadał pamiętał niejasno okres, jaki przeżył jako gęś, to, jak się skupiał na prądach powietrznych i słodkowodnej roślinności, i rozumiał, że wszystkie zwierzęta są w głębi duszy nieznośnymi nudziarzami. Jako zwierzę zapadające w sen zimowy Pokorek posiadał dużo większą niż przeciętny człowiek znajomość geologii jaskiń. Jeśli chodziło o miód,

jego wiedza przewyższała tę najsubtelniejszych i najbardziej wyrafinowanych smakoszy Quentin szybko nauczył się kierować rozmowę jak najdalej od takich tematów.

– A więc – powiedział, stanowczo przerywając rozważania na temat skutków użądlenia przez łagodne krainki (*Apis mellifera carnica*) w porównaniu do użądlenia nieco bardziej agresywnych pszczoł miodnych (*Apis mellifera mellifera*). – Tak dla pewności, jesteśmy w Fillory, prawda?

Wykład urwał się w pół słowa. Pokorek zmarszczył grube brwi, naśladując nieświadomie ludzką dezorientację.

– W czym?

– To miejsce, w którym jesteśmy – wyjaśnił Quentin. – Nazywa się Fillory.

Minęła długa chwila. Pokorek zastrzygł uszami. Miał niezwykle słodkie, okrągłe puchate uszy pluszowego misia.

– Fillory – powtórzył powoli, ostrożnie. – Słyszałem kiedyś to słowo. – Mówił jak dzieciak wywołany do tablicy i usiłujący się domyślić, czy zadane mu pytanie jest podchwytliwe czy nie.

– I to jest Fillory? Jesteśmy w Fillory?

– Myślę... że może kiedyś.

– Więc jak się teraz nazywa? – zachęcił go Quentin.

– Nie. Nie. Zaczekaj. – Pokorek wyciągnął łapę, żądając ciszy, a Quentin poczuł lekkie ukłucie współczucia. Ten wielki włochaty idiota naprawdę próbował myśleć. – Tak, to jest Fillory. A może Loria? Czy to jest Loria?

– To musi być Fillory – powiedział Penny, wychylając się z sąsiedniego boksu. – Loria to złe miejsce. Po drugiej stronie wschodnich gór. Jest pewna różnica. Jak możesz nie wiedzieć, gdzie mieszkasz?

Niedźwiedź nadal kręcił wielką głową.

– Myślę, że Fillory jest gdzie indziej – powiedział.

– To na pewno nie jest Loria – upierał się Penny.

– Słuchaj, kto tu jest gadającym niedźwiedziem? – warknął Quentin. – Ty? Jesteś pierdolonym gadającym niedźwiedziem? Nie? To się, kurwa, zamknij.

Za oknem baru zapadł zmierzch i zjawilo się kilka nowych stworzeń. Trzy bobry piły z jednego naczynia przy okrągłym stoliku w towarzystwie grubego zielonego i dziwnie czujnego świerszcza. W kącie samotna biała koza chleptała z płytkiej miski coś, co wyglądało jak białe wino. Przy barze usiadł smukły nieśmiały mężczyzna z rogami sterczącymi z blond włosów. Miał okrągłe okulary, a dolną część ciała porastała mu gęsta szczecina. Cała scena miała w sobie coś ze snu, jakby ożył nagle obraz Chagalla. Quentin przelotnie pomyślał, że to niepokojące widzieć człowieka o nogach kozy. Zginające się do tyłu kolana wyglądały na kalekie albo mocno zniekształcone.

Kiedy gospoda zaczęła się wypełniać, milcząca rodzina wstała równocześnie i wyszła z boksu nadal z ponurym wyrazem twarzy. Dokąd się udają? – zastanowił się Quentin. Nie widział żadnych oznak, że w pobliżu jest jakaś wioska. Robiło się późno, ciekawiło go, czy ci ludzie mają przed sobą długą drogę. Wyobraził sobie, jak wloką się w świetle księżycy ścieżką z wyłobionymi koleinami, mała dziewczynka siedzi na wąskich ramionach ojca, a potem, kiedy jest na to zbyt zmęczona, zasypia mu na rękach. Poczul się zganiony ich powagą. Sprawiali, że czul się jak zarozumiały pijany turysta, który rozbija się po czymś, co jest ich krajem, prawdziwym krajem z prawdziwymi ludźmi, a nie powieścią. A może to jest powieść? Czy powinien pobiec za nimi? Jaka tajemnicę ze sobą zabierają? Zauważył, że ręka, którą kobieta wyciągnęła, żeby otworzyć drzwi, jest ucięta poniżej łokcia.

Po następnej kolejce drinków i następnej turze błyskotliwej wymiany zdań z Pokorkiem srebrzysta brzózka wynurzyła się ze swego schowka i ruszyła w ich kierunku

na stopach ze splątanych korzeni, do których nadal przylegała ziemia.

– Jestem Farvel – oświadczyła radośnie.

Wyglądała jeszcze dziwniej w jasnym świetle baru. Dosłownie jak kij. W książkach o Fillory występowały gadające drzewa, choć Plover nigdy dokładnie nie opisał ich wyglądu. Farvel mówił jakby przez poziome rozcięcie w korze, które przypominało ślad po siekierze. Resztę rysów „twarzy” tworzyły cienkie gałązki pokryte drżącymi zielonymi liśćmi: powstał niejasny zarys oczu i nosa. Farvel wyglądał jak motyw Zielonego Człowieka na fasadzie kościoła, tyle że przez płaskie małe usta miał komicznie kwaśną minę.

– Proszę, wybaczcie mi mój wcześniejszy brak manier, poczułem się zbity z tropu. Tak rzadko spotyka się przybyszów z innych krain. – Przyniósł sobie stółek barowy i mniej więcej usiadł na nim. Sam wyglądał trochę jak krzesło. – Co cię tu sprowadza, ludzki chłopcze?

Wreszcie. Już mamy. Wyższy poziom.

– Och, nie wiem – zaczął Quentin, ostrożnie kładąc rękę na przepierzeniu boksu. Najwyraźniej stawał się rzecznikiem zespołu. Barman również się do nich przyłączył, a na stanowisku zastąpił go poważny, pełen godności szympans o zakłopotanym wyrazie twarzy. – Głównie ciekawość, jak sądzę. Bo znaleźliśmy guzik? Który pozwala nam podróżować między światami? Na Ziemi i tak nie mieliśmy nic konkretnego do roboty, więc po prostu... przybyliśmy tutaj. Zobaczyc, co tu zobaczymy, coś w tym rodzaju.

Choć był na wpół pijany, własna przemowa zabrzmiała w jego uszach dużo bardziej kulawo, niż się spodziewał. Nawet Janet patrzyła na niego z troską. Boże, miał nadzieję, że Alice go nie słucha. Uśmiechnął się słabo, usiłując pozować na luzaka. Żałował, że wypił aż tyle piwa na

zupełnie pusty żołądek.

– Oczywiście, oczywiście – powiedział Farvel przyjacielsko. – I co widzieliście do tej pory?

Barman wpatrywał się w Quentina nieruchomym wzrokiem. Siedział tyłem do przodu na wiklinowym krześle, ręce trzymał na oparciu.

– No cóż, wpadliśmy na nimfę rzeczną, która dała nam róg. Zaczarowany róg, jak sądzę. A potem ten robal... to znaczy owad w powozie, mam wrażenie, że to była modliszka... strzelił do mnie z łuku i prawie trafił.

Wiedział, że nie powinien mówić wszystkiego, jednak z drugiej strony o czym niby nie należałoby wspominać? Na czym opierają się takie kalkulacje? Wysiłki, żeby dogadać się z Po korkiem, sprawiły, że jego inteligencja jakby przyblakła. Farvel jednak nie wydawał się zniechęcony, po prostu pokiwał głową ze współczuciem. Szympanś wyszedł zza baru i postawił na ich stole zapaloną świecę wraz z następną kolejką piwa, tym razem na koszt firmy.

Penny znów się wychylił zza przepierzenia boksu.

– Ale nie pracujecie dla Nadzorczyńi Czasu, prawda? To znaczy w tajemnicy? Znaczy, że nie chcecie, tylko musicie?

– Jezu, Penny... – Josh pokręcił głową. – Co za subtelność.

– Och, mili moi, mili moi – powiedział Farvel. Wymienił znaczące spojrzenie z barmanem. – No cóż, można by powiedzieć... chociaż nie, nie powinno się mówić. Och, mili moi, mili moi.

Wyraźnie straciwszy opanowanie, drzewko, obraz arboralnego niepokoju, opuściło nieco gałęzie, a zielone listki zaszeleściły niespokojnie.

– Lubię, jak miód ma posmak lawendy – poinformował ich Pokorek a propos niczego konkretnego. – Dobrze, jeśli pszczoły mają gniazdo koło dużego pola lawendy. Z wiatrem, jeśli się da. Na tym polega cała sztuczka. Jej

esencja.

Farvel objął kufel cienką gałązką służącą mu za rękę i wlał sobie nieco piwa do ust. Po wyraźnej wewnętrznej walce znów się odezwał.

– Młodzi Ziemianie – powiedział. – To, co podejrzewacie, jest prawdą w pewnym sensie. Nie kochamy jej, ale się jej boimy. Boją się jej wszyscy, którzy wiedzą, co jest dla nich dobre. Jeszcze nie udało jej się spowolnić postępu czasu, jeszcze nie. – Farvel popatrzył na wilgotną zieloną puszcze majaczącą w zmierzchu za otwartymi drzwiami, jakby chciał się upewnić, że nadal tam jest. – Tego właśnie pragnie. Widujemy ją czasami z daleka. Przechodzi przez las. Żyje w koronach drzew. Powiadają, że straciła różdżkę, wkrótce ją jednak odnajdzie albo sprawi sobie nową. I co się wtedy stanie? Możecie to sobie wyobrazić? Wieczny zachód słońca? Wszystko się pomiesza. Kiedy zniknie granica dnia, dzienne i nocne stworzenia zaczną ze sobą walczyć. Puszcza umrze. Czerwone słońce krwawić będzie nad krainą, póki nie stanie się biała jak księżyc.

– Myślałam, że czarownica nie żyje – zaproponowała Alice. – Myślałam, że Chatwinowie ją zabili.

Czyli słuchała. Jak mogła mówić tak spokojnie? Farvel wymienił z barmanem kolejne spojrzenie.

– Może i tak. To zdarzyło się dawno temu, a my tutaj żyjemy z dala od stolicy. Barany nie pokazują się od wielu lat, a tu, na wsi, życie i śmierć nie są takie proste. Szczególnie jeśli wtrąca się w to czarownice. A ją widziano!

– Nadzorczynię Czasu? – Quentin usiłował za nim nadażyć. Nareszcie, wpadali w rytm, zaczynała się przygoda.

– O, tak! Pokorek ją widział. Była chuda i w welonie.

– Słyszeliśmy ją! – wykrzyknął Penny, wpadając mu w słowo. – Słyszeliśmy w lesie tykanie zegara!

Niedźwiedź tylko patrzył w pustą szklanę

załzawionymi oczkami.

– No więc ta Nadzorczyńni Czasu... – drażył Penny z zapalem. – Czy to jest problem, który... no wiecie, moglibyśmy wam pomóc rozwiązać?

Niespodzianie Quentin poczuł się wyczerpany. Alkohol w jego ciele, do tej pory działający jak stymulant, bez ostrzeżenia zmienił się w swój izomer i stał się środkiem nasennym. Choć chwilę wcześniej Quentin płonął jak paliwo raketowe, teraz jakby się zapadał. Gdzieś w środku jego ciała zaczęło się odliczanie do autodestrukcji.

Usiadł wygodniej i pozwolił wzrokowi odpłynąć. Nadeszła wreszcie chwila, która powinna pobudzić go do działania, chwila, do której prowadziły wszystkie lata w Brakebills, on tymczasem poddawał się, popadał w depresję. A niech tam, skoro Penny chce się tym zająć, niech to będzie jego wielka chwila. Miał Alice, więc dlaczego nie miałby dostać i Fillory? Czas na bystre myśli minął. Drzewo ewidentnie złapało przynętę albo to oni złapali jego przynętę, albo jedno i drugie. W każdym razie to już, przygoda się zaczęła.

Swego czasu była to jego najbardziej namiętna nadzieja, jej spełnienie przepełniłoby go szczęściem. To takie dziwne, pomyślał ze smutkiem. Dlaczego teraz, kiedy to się dzieje naprawdę, uroki Fillory wydają się takie prymitywne i niepotrzebne, a jego wyciągnięte ręce takie niezdarne? Sądził, że porzucił to uczucie dawno temu, jeszcze w Brooklynie, a przynajmniej w Brakebills. Jakim cudem dopadło go aż tutaj? Ogarnęła go fala paniki i frustracji. Musiał się go pozbyć, przełamać ten wzorec! A może jest inaczej, może naprawdę coś tu nie gra? Może ta pustka tkwi w Fillory, a nie w nim?

Wysunął się ze znużeniem z boksu, po drodze ocierając się o wielkie szorstkie udo Pokorka, i poszedł do łazienki, śmierdzącego prymitywnego przybytku. Pomyślał przez

chwile, że może się wyrzyga, co chyba nie byłoby takie głupie, ale nic z tego nie wyszło.

Kiedy wrócił, Penny zajął jego miejsce. Usiadł więc na miejscu Penny'ego w drugim boksie i oparł podbródek na rękach, a ręce na stole. Gdyby tylko mieli prochy. Odlot w Fillory, to dopiero coś. Eliot poszedł do baru i wdał się w rozmowę z człowiekiem z rogami.

– Ten kraj potrzebuje królów i królowych – mówił właśnie Farvel, pochylając się konspiracyjnie nad stołem i zachęcając gestem pozostałych, by uczynili to samo. – Trony w Zamku Białoszczytym są puste już zbyt długo, a mogą na nich zasiąść jedynie córki i synowie Ziemi. Wasz gatunek. Nie wolno jednak zapominać – ostrzegł ich, wzdrygając się – że te trony zdobyć może jedynie wytrwałe serce, rozumiecie. Tylko najbardziej wytrwałe serce.

Wyglądał tak, jakby zaraz miał uronić lepkie żywiczne łzy. Jezu, co za przemowa. Quentin mógł mu ją praktycznie wyrecytować.

Pokorek pierdnął ponuro na trzy takty.

– A na czym miałyby to dokładnie polegać? – spytał Josh tonem wystudiowanego sceptycyzmu. – Zdobycie, jak się wyraziłeś, tych tronów?

Polegałoby to, wyjaśnił Farvel, na wizycie w niebezpiecznych ruinach o nazwie Grobowiec Embera. Gdzieś w tym grobowcu znajduje się korona, srebrna korona, którą kiedyś nosił szlachetny król Martin, wiele wieków temu, kiedy rządząli Chatwinowie. Jeśli odzyskają tę koronę i zaniosą ją do Zamku Białoszczytego, będą mogli sami zasiąść na tronach – w każdym razie czworo z nich – i zostać królami i królowymi Fillory, i na zawsze zlikwidować zagrożenie ze strony Nadzorczyńi Czasu. Choć to nie będzie łatwe.

– Czyli ta korona to nieodzowny element? – upewnił się Josh. – Bo inaczej co? Nie zadziała?

– Musicie mieć koronę. Nie ma innego sposobu. Ale dostaniecie pomoc. Przewodników.

– Grobowiec Embera? – Quentin ocknął się z wysiłkiem. – Chwila, chwila. Czy to znaczy, że Ember nie żyje? A co z Umberem?

– Och, nie, nie, nie! – powiedział Farvel pospiesznie. – To tylko taka nazwa. Tradycyjna nazwa, która nic nie znaczy. Po prostu tyle czasu minęło, odkąd ostatni raz widziano Embera w tych stronach.

– Ember jest orłem? – wymruczał Pokorek.

– Baranem – poprawił go umundurowany barman, odzywając się po raz pierwszy. – Jednym z baranów. Szerokoskrzydły był orłem. I fałszywym królem.

– Jak możesz nie wiedzieć, kim jest Ember? – spytał Penny z niesmakiem.

– Och, mili moi – powiedziało drzewo, zwieszając smutno swą młodzieńczą obrośniętą twarz. – Nie sądźcie zbyt surowo. Musicie zrozumieć, żyjemy tu bardzo daleko od stolicy, a wielu władało tymi zielonymi wzgórzami albo próbowało władać, odkąd po raz ostatni chodziliście po nich wy, dzieci Ziemi. Srebrny wiek Chatwinów dawno przeminął, a od tamtej pory wieki wykuwano z ostatnich metali. Nie wyobrażacie sobie chaosu, przez jaki przeszliśmy. Mieliśmy Szerokoskrzydłego Orła, a po nim Blaszanego Człowieka, Liliową Czarownicę, Włócznika i Świętego Anzelma. Była też Zaginiona Owca i bezwzględne grabieże za czasów Najbardziej Najwyższego Drzewa. I wiecie co? – zakończył. – Żyjemy tu tak daleko od stolicy. To bardzo zagmatwane. Wiecie, jestem tylko brzozą, i to nie bardzo dużą.

Na stół spłynął liść, pojedyncza zielona łza.

– Mam pytanie – odezwała się Janet jak zwykle niepokonana. – Skoro ta korona jest tak cholernie ważna, a Ember i Umber, i Amber, i kto tam jeszcze są tacy potężni,

dlaczego nie wezmą jej sami?

– No cóż, istnieje Prawo. – Farvel westchnął. – Nie mogą, rozumiecie? Istnieje Wyższe Prawo, którym związani są nawet tacy jak oni. To wy musicie odzyskać koronę. To możecie być tylko wy.

– Żyjemy za długo – rzekł barman ponuro w przestrzeń. Robił zaskakująco efektywne wtręty.

Quentin podejrzewał, że to wszystko ma swój sens. Embera i Umbera nie było, u szczytów władzy powstała próżnia, buntownicza Nadzorczyńni Czasu ocknęła się z rzekomej śmierci zadanej jej przez Chatwinów. Penny miał rację: otrzymali zadanie. Ich rola stała się jasna. Wszystko miało w sobie coś rodem z gier fabularnych, jakby pojechali na jakiś obóz i odgrywali otrzymane role, lecz miało to swój sens. Nadal mógł mieć nadzieję. Choć oczywiście lepiej się upewnić.

– Nie chcę być niegrzeczny, ale Ember i Umber to tutaj grube ryby, czy nie tak? – spytał na głos. – To znaczy że wszystkich ludzi czy rzeczy, o których wspomniałeś. Oni są najpotężniejsi? I mają moralną słuszność? Powiedzmy to sobie jasno. Chcę być pewien, że stawiamy na właściwego konia. Czy tam na barana. Na cokolwiek.

– Oczywiście! Cóż za szaleństwo myśleć inaczej!

Potem Farvel uciszył go, oglądając się z niepokojem na stół bobrów, które sprawiały wrażenie, jakby się nimi wcale nie interesowały, ostrożności jednak nigdy dość. Następnie wyciągnął skądś papierosa i zapalił go od świecy na stole, uważając, żeby się nie podpalić przy okazji. Papieros sterczał dziarsko ze szpary służącej mu za usta. Farvel ewidentnie miał skłonności samobójcze. Aromatyczny dym przesłonił liściastą koronę jego twarzy.

– Tylko nie osądzajcie nas zbyt surowo. Baranów nie widzieliśmy tu od wielu lat. Musimy sobie radzić bez nich. Iść własną drogą. Puszcza musi żyć.

Eliot i mężczyzna z rogami zniknęli, zapewne wyszli razem. Niepoprawny facet. Quentin poczuł odrobinę ulgi, że przynajmniej ktoś się tu dobrze bawi. Biała koza chłeptała głośno wino w kące. Pokorek patrzył ponuro w kieliszek. Quentin przypomniał sobie, jakby niemal o tym zapomniał, że jest bardzo daleko od domu w sali pełnej zwierząt pijących alkohol.

– Żyjemy zbyt długo – oznajmił ponownie barman. – Wielkie dni należą do przeszłości.

Zanocowali w gospodzie. Pokoje gościnne zostały wykopane we wzgórzu za głównym budynkiem, jak norki hobbitów. Były wygodne, pozbawione okien i ciche. Quentin spał jak zabity.

Rano zasiedli za długim stołem w barze, jedli świeże jajka i tosty, popijając zimną wodę z kamiennych dzbanów. Plecaki zrzucili na kupę w jednym z boksów. Najwyraźniej złote walce Richarda odpowiadały ekonomii filioriańskiej. Quentin czuł się rozbudzony i zaskakująco nieskacowany. Jego odzyskana sprawność umysłowa przetrawiała z chłodnym i świeżym zapachem liczne bolesne aspekty niedawnych przeżyć osobistych, pozwoliła mu również docenić po raz pierwszy rzeczywistość fizycznej obecności w Fillory. Wszystko było tak pełne szczegółów i żywe w porównaniu z jego komiksowymi fantazjami! W pełnym słońcu sala miała zapuszczony skromny wygląd lepkiej knajpy służącej gościom wyposażonym w noże i pazury. Podłogę wyłożono starymi okrągłymi kamieniami młyńskimi, pokrytymi cienką warstwą słomy, a przerwy między nimi wypełniała ziemia. Ani śladu po Farvelu i Pokorku. I barmanie. Obsługiwał ich szorstki, lecz poza tym usłużny krasnolud.

W sali pod oknem siedziała też naprzeciwko siebie para ludzi, mężczyzna i kobieta. W milczeniu popijali kawę,

rzucając od czasu do czasu spojrzenia na stół brakebillczyków. Quentin miał wrażenie, że czekają, aż wszyscy skończą śniadanie. Okazało się, że miał rację.

Kiedy sprzątnięto ze stołu, para się przedstawiła. Mężczyzna nazywał się Dint, a kobieta Fen. Oboje byli po czterdziestce, a ogorzałe twarze świadczyły, że ich profesja wymaga spędzania masy czasu na świeżym powietrzu. Dint wyjaśnił, że są przewodnikami. Zaprowadzą ich do Grobowca Embera na poszukiwanie korony króla Martina. Dint był wysoki i chudy, miał duży nos i krzaczaste czarne brwi – te dwa elementy zajmowały większość jego twarzy. Nosił się na czarno, miał długą pelerynę, która najwyraźniej miała podkreślić niezwykłą powagę, z jaką traktował siebie i swoje umiejętności. Fen była niższa, grubsza i bardziej umięśniona. Miała krótko ścięte blond włosy, a na szyi gwizdek na sznurku, przez co wyglądała jak nauczycielka wychowania fizycznego w prywatnej szkole dla dziewcząt. Jej luźne i praktyczne ubranie nie krępowało ruchów. Okazała się równocześnie twarda i uprzejma i miała wysokie buty zasznurowane w niesłychanie intrygujący sposób. Na ile Quentin potrafił oceniać takie rzeczy, była lesbijką.

Chłodne jesienne słońce zaglądało przez wąskie okna wycięte w belkach ścian Dwóch Księżyców. Na trzeźwo Quentin czuł większą ochotę, by załatwić to wszystko. Popatrzył surowo na swoją piękną sprofanowaną Alice – jego gniew na nią zmienił się w twardą bryłkę, której chyba nigdy nie zdoła przetrwać, w jakby kamień nerkowy. Może kiedy zostaną królami i królowymi, będzie mógł nakazać egzekucję Penny ego. Dokona przewrotu pałacowego, i to na pewno krwawego.

Penny zaproponował, żeby złożyli przysięgę na potwierdzenie wspólnoty celu, ale to już by była przesada, a zresztą i tak nie zdołał ściągnąć na siebie uwagi wszystkich.

Zakładali właśnie plecaki, kiedy Richard oświadczył, że mogą iść, jeśli chcą, on natomiast zamierza zostać w gospodzie.

Nikt nie wiedział, jak zareagować. Janet próbowała zbyć go żartem, a kiedy to nie zadziało, zaczęła nalegać.

– Przecież zaszliśmy razem tak daleko! – mówiła. Była wściekła i starała się tego nie okazać. Z nich wszystkich ona najbardziej nienawidziła takich aktów nielojalności wobec grupy. Każdą rysę na fasadzie jedności odbierała jako personalny atak na siebie. – Zawsze możemy zawrócić, jeśli robi się nieprzyjemnie. Albo w razie niebezpieczeństwa możemy użyć guzika jako koła ratunkowego! Myślę, że przesadzasz.

– Cóż, a ja uważam, że to wy przesadzacie – powiedział Richard. – I możecie być pewni, że władze też przesadzą, kiedy odkryją, jak daleko w to zabrnęliście.

– O ile odkryją – wtrąciła się Anais. – A nie zrobią tego.

– Kiedy to odkryją, dokonają odkrycia wieku, my przejdziemy do historii, a ciebie z nami nie będzie – straszyla Janet. – Jeśli tego nie rozumiesz, to szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, po co tu w ogóle z nami przyłazłeś.

– Żeby powstrzymać was od zrobienia czegoś głupiego. I właśnie to teraz robię.

– Niech ci będzie. – Klepnęła go w policzek, po czym odeszła, krzywiąc się. – Nikomu nie zależy na twojej obecności. I tak są tylko cztery trony.

Quentin się spodziewał, że Alice przyłączy się do Richarda – wyglądała, jakby balansowała na skraju załamania, trzymając się krawędzi samymi końcami palców. Dziwił się, dlaczego dotąd nie zwała. Była zbyt wrażliwa na coś takiego. On sam czuł się dokładnie odwrotnie. Niebezpieczeństwo czaiło się w powrocie, w pozostaniu w miejscu. Jedyne wyjście to iść naprzód. Przeszłość legła w

gruzach, jednak nadal toczyła się gra o teraźniejszość. Musieliby go związać, żeby go powstrzymać od wyprawy do Grobowca Embera.

Richard nie dał się przekonać, więc w końcu wyruszyli luźną grupą bez niego, podążając za Dintem i Fen. Przez chwilę szli wczorajszą drogą, a potem skręcili ostro w las. Pomimo podniosłości ich szlachetnego celu mieli wrażenie, że wybierają się na wakacyjny obóz, rozbić biwak w dziczy albo na wycieczkę szkolną, taką, na której wszyscy się wygłupiają, a dwoje nauczycieli, poważnych, pełnych wyższości i bardzo dorosłych, zagania ich do kupy, jeśli oddalają się za bardzo. Odkąd przybyli do Fillory, po raz pierwszy wszyscy czuli się odprężeni i zachowywali się normalnie, zamiast odgrywać nieustraszonych bohaterских eksploratorów. Puszcę przecinały niskie kamienne murki, przez które przechodzili pojedynczo. Nikt nie wiedział, kto zbudował te murki i po co. Josh mruczał coś o Przytulnym Koniu, którego nigdy nie ma, kiedy jest potrzebny. Wkrótce wyszli z lasu na labirynt rozświetlonych słońcem łąk, a potem na pola.

Quentin nie miałby problemów ze znalezieniem się sam na sam z Alice, ale za każdym razem, kiedy ćwiczył w myślach, co chciałby jej powiedzieć, bez względu na to, jak dobrze zaczął, dochodził do punktu, w którym musiał ją zapytać, co zaszło między nią a Penny'm, i wtedy myśli mu się rwały, jak taśma ze sfilmowanym wybuchem nuklearnym. Zamiast tego więc nawiązywał rozmowę z przewodnikami.

Żadne z nich nie było zbyt rozmowne. Dint okazał odrobinę zainteresowania, kiedy się dowiedział, że goście są również czarodziejami, lecz okazało się, że nie mają ze sobą wiele wspólnego, gdyż wszystkie jego umiejętności koncentrowały się na magii bojowej. Ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że istnieją inne rodzaje.

Quentin odniósł wrażenie, że nie chce zdradzać tajemnic swego fachu. Powiedział jednak coś otwarcie na jeden temat.

– Sam ją uszyłem – oświadczył nieco nieśmiało, odgarniając pelerynę na bok, żeby pokazać Quentinowi pas w stylu bandolierki z masą kieszonek naszytych rzędami. – Trzymam tu zioła, proszek, wszystko, czego mogę potrzebować w terenie. Kiedy rzucam zaklęcie, które ma składnik materialny, mogę zrobić... o tak. – Wykonał sekwencję szybkich ruchów wyjmowania i dodawania, które ewidentnie musiał długo ćwiczyć. – I wszystko gotowe!

Potem przyoblekł znów twarz w maskę powagi i wrócił do swych milczących rozważań. Miał różdżkę w przeciwieństwie do niemal wszystkich brakebillczyków. W Brakebills uważano posługiwanie się różdżkami za nieco żenujące, coś jak dodatkowe kółka do roweru albo pakiet pierwszej pomocy.

Fen okazała się bardziej przyjacielska, a równocześnie trudniejsza do rozgryzienia. Nie była czarodziejką i nie nosiła żadnej broni, jednak rozumiało się samo przez się, że z nich dwojga to ona jest wojownikiem. Na ile Quentin zdołał się zorientować, była czymś w rodzaju mistrza sztuk walki. Nazwała uprawianą przez siebie dyscyplinę *inc aga*; nazwy nie dawało się przetłumaczyć, a pochodziła z języka, o którym Quentin nigdy nie słyszał. Fen przestrzegała surowych zasad: nie nosiła zbroi, nie mogła dotykać srebra ani złota i praktycznie nic nie jadła. Quentin nie potrafił sobie wyobrazić, jak wygląda *inc aga* w praktyce – Fen opowiadała o niej w wymyślnych abstrakcyjnych metaforach.

Oboje z Dintem byli zawodowymi poszukiwaczami przygód.

– Teraz zostało nas niewielu – tłumaczyła, a jej krótkie grube nogi pokonywały teren szybciej niż długie chude

odnóza Quentina. Kiedy mówiła, nigdy nie patrzyła na niego, jej wyłupiaste oczy cały czas szukały na horyzoncie potencjalnych zagrożeń. – To znaczy ludzi. Fillory to dzikie miejsce i staje się coraz dziksze. Puszcza się rozrasta, robi się gęstsza i mroczniejsza. Każdego lata wycinamy drzewa, palimy je czasami, a potem oznaczamy granice lasu. Następnego lata okazuje się, że nasza granica tkwi ze sto metrów w głębi puszczy. Drzewa pożerają farmy, a rolnicy przenoszą się do miast. Gdzie się podziejemy, kiedy całe Fillory zarośnie las? Jak byłam mała, gospoda Dwa Księżyce stała na otwartym terenie. Zwierząt to nie obchodzi – dodała z goryczą. – Podoba im się tak, jak jest.

Zamilkła. Quentin pomyślał, że może to dobry moment, by zmienić temat. Czuł się jak zupełnie zielony szeregowy z Dubuque w Iowa rozmawiający z doświadczonym Wietnamczykiem z południa przydzielonym do jego oddziału.

– Nie chcę być niegrzeczny – powiedział – ale czy my wam za to płacimy? Albo ktoś inny?

– Jeśli nam się uda, to będzie wystarczająca zapłata.

– Dlaczego chcecie, żeby ktoś z naszego świata został tu królem? Ktoś, kogo nawet nie znacie? Dlaczego nie ktoś z Fillory?

– Tylko wasz gatunek może zasiadać na tronach w Zamku Białoszczytym. Takie jest Prawo.

– Przecież to nie ma sensu. A mówię to jako beneficjent tego Prawa.

Fen się skrzywiła. Wyłupiaste oczy i pełne wargi nadawały jej twarzy rybi wyraz.

– Nasi ludzie zabijali się i zdradzali przez wieki, Quentine – powiedziała. – Jak możecie być gorsi? Rządy Chatwinów to ostatni okres pokoju, jaki się tu pamięta. Nie znacie tu nikogo. Nie macie przeszłości, porachunków do załatwienia. Nie należycie do żadnego stronnictwa. – Oczy

miała wbite w drogę przed nimi, kiedy wypluwała te słowa. Bezmiar goryczy w jej głosie zdawał się nie mieć dna. – To ma wielki polityczny sens. Dotarliśmy do punktu, w którym niewiedza i zaniedbanie władzy to najlepsze, na co możemy mieć nadzieję.

Przez resztę dnia z kciukami zatkniętymi pod paski plecaków szli przez niskie wzgórza, czasami kredowymi drogami, czasami na przełaj przez pola, gdzie spod nóg wyskakiwały im świerszcze. Było chłodno i bezchmurnie.

Szło się łatwo, jak szlakiem dla początkujących. Śpiewali. Eliot wskazał zbocze, które jak się wyraził, „aż wyło o winorośl pinot”. Ani razu nie zobaczyli miasta ani innych wędrowców. Czasami mijali drzewo albo słupek, które rzucały na ziemię wyraźny cień, prosty i równy, jakby wryty w podłoże. Quentin zaczął się zastanawiać, jak naprawdę działa Fillory. Brakowało tu wyraźnie centralnego rządu, więc co w takim razie robił król? Cała ekonomia polityczna znajdowała się na poziomie feudalnego średniowiecza, lecz dawało się również zauważyć elementy technologii z epoki wiktoriańskiej. Kto zbudował ten piękny powóz? Jaki rzemieślnik stworzył mechanizmy zegarowe wszechobecne w Fillory? Czy może wszystko to powstało za sprawą magii? Za wszelką cenę i świadomie muszą zachować Fillory w tym przedindustrialnym stanie. Jak amisze swoje sadyby.

W południe zobaczyli jedno ze sławnych filloriańskich zaćmień słońca oraz coś, czego nie opisano w żadnej z książek: księżyc Fillory nie był okrągły, tylko naprawdę miał kształt półksiężyca. Po niebie płynął elegancki srebrny łuk, obracając się wokół swego położonego w próżni punktu ciężkości.

O zachodzie słońca rozbili obóz na nierównej małej łączce. Dint wyjaśnił, że Grobowiec Embera jest w następnej dolinie i że nie zamierzają spędzić nocy bliżej

celu. Podzielił się z Fen wartami. Penny zaproponował, że weźmie jedną, ale odmówili. Zjedli trochę kanapek z pieczoną wołowiną, które przywieźli jeszcze z domu, rozwinęli śpiwory i zasnęli na otwartym terenie, mnąc pod ciałami twardą, ostrą zieloną trawę.

GROBOWIEC EMBERA

Wzgórze było gładkie i zielone. U jego podstawy widniało proste, otoczone kamienną framugą wejście: dwa wielkie głazy, a na nich trzeci w poprzek. Między nimi czaiła się ciemność. Przypominało Quentinowi wejście do metra.

Właśnie świtało. Ponieważ wejście znajdowało się po zachodniej stronie wzgórza, padał na nie cień. Poranna rosa zmieniła się na trawie w szron. Panowała cisza. Wzgórze na tle jaśniejącego nieba tworzyło idealną zieloną sinusoidę. Cokolwiek miało się stać, stanie się tutaj.

Zatrzymali się i zbili w grupę jakieś sto metrów od wejścia, nieszczęśliwi i nieogoleni. Usiłowali zebrać się w sobie. Poranek był zimny, Quentin zacierał dłonie i próbował rzucić rozgrzewające zaklęcie, osiągnął jednak tylko tyle, że czuł się, jakby miał gorączkę, i zrobiło mu się niedobrze. Jakoś nie mógł się dostroić do filloriańskich Okoliczności. W nocy spał głęboko, miał żywe sny, w których zapadał się w ciemne pierwotne królestwo, nawiedzane przez wyjące wiatry i maleńkie futrzaste stworzonka, prymitywne ssaki chowające się trwożliwie w wysokiej trawie. Żałował, że nie może postać tu dłużej, wpatrzony w różowe światło odbijające się w rosie. Wszyscy mieli ciężkie myśliwskie noże, które na Ziemi wydawały się przesadą, lecz tutaj sprawiały wrażenie żałośnie nieadekwatnych do sytuacji.

Kształt wzgórza obudził w nim jakieś wspomnienia. Przypomniał sobie pagórek, który widywali w zaklętym lustrze, w tym zatechłym małym pokoju w Brakebills, gdzie uczyli się w trójkę z Alice i Penny'm tak strasznie dawno temu. Zupełnie jakby to było to samo wzgórze. Choć z drugiej strony wzgórza zwykle wyglądają prawie tak samo. No więc mieli przed sobą po prostu wzgórze.

– Tak dla jasności – zwrócił się Eliot do Dinta i Fen. – To się nazywa Grobowiec Embera, chociaż Ember nie jest tu pochowany. I żyje.

Mówił równie spokojnie i obojętnie jak kiedyś w Brakebills. Po prostu stawiał kropkę nad i, wyjaśniał szczegóły, tak samo jak kiedyś beztrąsko rozmontowywał przygotowane przez Bigby’ego dyskusje pogładowe albo rozszyfrowywał wydrukowaną maczkiem naklejkę na butelce wina. Panował nad wszystkim. Im bardziej zagłębiali się w Fillory, tym bardziej Quentin stawał się roztrzęsiony, natomiast Eliot wręcz przeciwnie: robił się coraz spokojniejszy i coraz bardziej pewny siebie, właśnie taki, jaki w swoim mniemaniu miał tu być Quentin, który tymczasem zupełnie, ale to zupełnie tak się nie zachowywał.

– Każdy wiek znajduje dla tego miejsca własne znaczenie – odparła Fen. – Kopalnia, twierdza, skarbiec, więzienie, grobowiec. Niektórzy kopali głębiej. Inni zamurowali części, których nie potrzebowali albo o których chcieli zapomnieć. To jedna z Głębokich Ruin.

– Więc byliście tu wcześniej ? – spytała Anais. – To znaczy w środku?

Fen pokręciła głową.

– Nie w tej. W setkach podobnych.

– Tyle że korona jest w tej. A jak się tam właściwie dostała?

Quentin zastanawiał się nad tym samym. Jeśli korona naprawdę należała do Martina, może właśnie tu się udał, kiedy zniknął. Może tu umarł.

– Korona tam jest – uciał Dint. – Wejdziemy i odszukamy ją. Dość pytań.

Niecierpliwie poprawił pelerynę.

Alice stała bardzo blisko Quentina. Wydawała się taka mała, nieruchoma i zmarznięta.

– Słuchaj, ja nie chcę tam wchodzić – powiedziała

cicho, nie patrząc na niego.

W ostatnim tygodniu Quentin poświęcił wiele godzin na fantazjowanie o tym, co jej odpowie, jeśli jeszcze kiedyś się do niego odezwie, jednak wszystkie starannie przygotowane przemowy uciekły mu w chwili, gdy usłyszał jej głos. Nie wygłosi przemowy. O ileż łatwiejsza była złość. Dzięki niej czuł się silny, choć – a ta sprzeczność nijak nie umniejszała jego gniewu – był wściekły tylko dlatego, że stał na tak słabej pozycji.

– Więc wracaj do domu – rzekł tylko.

To również nie zabrzmiało jak należy, ale okazało się, że już za późno na poprawki, ponieważ ktoś biegł w ich stronę.

Ciekawe, że wejście do grobowca znajdowało się nie więcej niż sto metrów od nich, widzieli całą prowadzącą do niego drogę, a mimo to Quentin obserwował biegnące stworzenia przez dobrą minutę. Wyglądały, jakby wyszły rano pobiegać. To nie byli ludzie, nie należały też do tego samego gatunku, choć oba sprawiały przesłodkie wrażenie. Jedno wyglądało jak gigantyczny królik, przysadzisty i porośnięty szarobrazowym futerkiem, wysoki może na metr dwadzieścia i mniej więcej równie szeroki. Skakał w ich stronę z determinacją, powiewając długimi uszami. Drugie przypominało fretkę – a może surykatkę? Łasicę? Quentin się zastanawiał, jaki byłby najbliższy ziemski odpowiednik tego zwierzęcia. Stworzenie biegło wyprostowane, a mierzyło co najmniej dwa metry, przy czym większość tej wysokości przypadła na długi jedwabisty tułów. Głowie brakowało podbródka, miała natomiast wydatte przednie zęby.

Ta dziwna para szarżowała na nich przez zieloną trawę w milczeniu. Nie rozległy się żadne okrzyki wojenne, żaden podkład muzyczny nie zaburzył ciszy wczesnego poranka. Początkowo wyglądało to tak, jakby biegły się przywitać,

tylko że Królik trzymał w obu łapach krótkie szerokie miecze, które niósł wyciągnięte przed siebie, Fretka zaś dźwigała drag.

Znajdowały się już pięćdziesiąt metrów od nich. Brakebillczycy cofnęli się mimowolnie, jakby przybysze wzniesli wokół siebie niewidzialne pole siłowe. Czyli to już: dotarli do kresu tego, co możliwe. Ktoś musiał ustąpić. Musiał. Dint i Fen nie ruszyli się z miejsca. Quentin uświadomił sobie, że nie będzie żadnych pertraktacji, żadnej dyskusji. To będzie walka. Sądził, że jest na to gotowy, ale mylił się. Ktoś to musiał powstrzymać. Dziewczęta stały razem, podtrzymując się, jakby szalała wichura, nawet Alice i Janet.

O mój Boże, pomyślał Quentin. To się dzieje naprawdę. NAPRAWDĘ.

Pierwsza dotarła do nich Fretka. Zatrzymała się i zachwiała gwałtownie, dysząc ciężko. Jej wielkie oczy zamrugały, kiedy zaczęła obracać drag w obu łapach. Ze świstem przecinał powietrze.

– Hu! – wrzasnęła Fen.

– Ha! – zawtórował jej Dint.

Stanęli obok siebie, jakby zamierzali podnieść coś ciężkiego. Potem Dint się cofnął, ociekając pierwszą krwią.

– Jezu – usłyszał własny głos Quentin. – JezuJezuJezu. – Nie był na to gotowy. To nie dotyczyło magii, tylko jej przeciwieństwa. Świat pękał.

Fretka zrobiła wypad i wymierzyła paskudne pchnięcie w twarz Fen. Oba końce dragi żarzyły się teraz złowieszczym magicznym pomarańczem, jak końce papierosa. Ktoś krzyknął.

Kiedy koniec dragi ruszył w stronę twarzy Fen, ta obróciła się, zginając w pasie, uniknęła uderzenia, po czym obracając się w zwolnionym tempie, wymierzyła Fretce doskonale wyważonego kopniaka. Sprawiała wrażenie,

jakby poruszała się powoli, ale jej stopa uderzyła w nieistniejący podbródek Fretki dość mocno, żeby tej głowa poleciała do tyłu.

Fretka wyszczerzyła zakrwawione zęby, lecz nie ustąpiła. Fen nie przestawała się obracać, a jej następny kopniak trafił przeciwnika prosto w kolano, które ugięło się w bok, wbrew naturze. Fretka zachwiała się i ponownie wycelowała drągiem w twarz Fen, która chwyciła gołą ręką palający koniec – odgłos uderzenia w jej otwartą dłoń zabrzmiał jak wystrzał z karabinu. Porzuciła elegancję swej sztuki walki i spróbowała wyrwać broń Fretce.

Przez chwilę trwały jakby obrócone w kamień, wibrując tylko z wysiłku. Wreszcie Fretka z komicznie bolesną powolnością wyciągnęła szyję, żeby ugryźć Fen wielkimi siekaczami gryzonia. Zachwiała w ten sposób równowagę starcia i Fen powoli wepchnęła jej drąg pod brodę, dokładnie tam, gdzie powinno się znajdować jabłko Adama. Prawą stopą uderzała raz po raz z całych sił w uszkodzone kolano Fretki. Ta zakrztusiła się i odwróciła.

Właśnie w chwili, gdy Quentin doszedł do wniosku, że nie może dłużej patrzeć, Fretka popełniła swój ostatni błąd. Puściła na chwilę drąg – zupełnie jakby chciała sięgnąć łapą po nóż przyczepiony na biodrze – a wówczas Fen przewróciła ją na ziemię z taką siłą, że Fretka straciła dech w piersiach.

– Ha! – ryknęła Fen i z całych sił skoczyła dwa razy na grubą włochatą szyję przeciwnika. Rozległ się przeciągły gulgoczący stukot.

Fen cofnęła się wyraźnie wzburzona, miała czerwoną twarz i włosy w nieładzie. Sięgnęła po drąg, zebrała się w sobie i przełamała go na kolanie za pierwszą próbą. Rzucając na bok złamane części, pochyliła się i wrzasnęła Fretce prosto w twarz:

– Haaaaaaaaa!

Kawałki drąga rozsypały na trawę kilka pomarańczowych iskier. Minęło nie więcej niż sześćdziesiąt sekund, może nawet mniej.

– Jezujezujezu – powtarzał Quentin, obejmując się ramionami. Ktoś wymiotował na trawę. Ani razu nie przyszło mu do głowy, żeby pomóc. Nie był na to przygotowany. Nie po to tu przybył.

Tymczasem drugi zabójca, przysadzisty silny Królik, nie pojawił się na polu walki. Dint zrobił coś z ziemią pod dużymi stopami zwierzaka, albo może z jego zmysłem równowagi, i Królik najwyraźniej nie mógł ustać na łapach. Czołgał się bezradnie po trawie, jakby to był mokry lód. Nakrecona starciem Fen przeszła przez ciało Fretki i ruszyła ku niemu, ale Dint ją zatrzymał.

Odwrócił się do brakebillczyków.

– Możecie go stąd załatwić? Może z łuku? – Quentin nie potrafił określić, czy jest wkurzony, że nie pomagają, czy po prostu grzeczny, proponując im udział w akcji. – Słucham?

Nikt nie odpowiedział. Patrzyli na niego, jakby bredził bez sensu. Ilekroć muskularny Królik próbował się podnieść, łapy mu się rozjeżdżały. Pojękując i szlochając, wydał gardłowy okrzyk i cisnął w nich jednym mieczem, jednak znowu się poślizgnął i miecz zboczył z toru.

Dint przez chwilę czekał na odpowiedź, a potem odwrócił się z niesmakiem. W milczeniu postukał w różdżkę, jakby strząsał popiół z papierosa, i kość udowa Królika pękła z doskonale słyszalnym trzaskiem. Królik wrzasnął falsetem.

– Zaczekaj – odezwała się Anais. Przepchnęła się do przodu, odsuwając na bok skamieniałą Janet. – Zaczekaj. Ja spróbuję.

Quentin nie pojmował, jakim cudem Anais jest w stanie się ruszać i mówić. Zaczęła rzucać zaklęcie, zająknęła się kilka razy ze zdenerwowania i musiała

zaczynać od początku. Dint czekał z wyraźnym zniecierpliwieniem. Za trzecim razem udało jej się dokończyć usypiające zaklęcie, którego nauczył ich Penny. Królik przestał się rzucać. Padł na bok na trawę. Wyglądał niepokojąco słodko. Fretka nadal dławiała się cicho, wpatrywała się w niebo szeroko otwartymi oczami, z pyska leciała jej krwawa piana. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Była zupełnie bezwładna od szyi w dół.

Anais poszła podnieść krótki miecz, którym rzucił Królik.

– Proszę – powiedziała do Dinta dumnie. – Teraz go zabijemy, żaden problem.

Zważyła wesoło miecz w dłoni.

Jako nastolatek, mieszkając w Brooklynie, Quentin często wyobrażał sobie siebie w bohaterskich zmaganiach, tymczasem po tym, co się tu zdarzyło, miał świadomość zimnego i niezmiennego faktu, że zrobi wszystko co konieczne, poświęci wszystko i wszystkich, kogo będzie trzeba, żeby tylko uniknąć wystawienia się na ryzyko przemocy fizycznej. Nawet się tego nie wstydził. Wstyd nie miał z tym nic wspólnego. Przyjął do wiadomości swoją nową tożsamość tchórza. Pobiegnie w przeciwnym kierunku. Położy się i będzie krzyczał, zasłoni głowę rękami albo będzie udawał martwego. Wszystko jedno, co będzie musiał zrobić – zrobi to, i to z radością.

Ruszyli za Dintem i Fen – co za imiona dla przygłupów, pomyślał obojętnie – do grobowca. Ledwie widział otoczenie. Kwadratowy kamienny korytarz prowadził do komnaty niemal równie wielkiej jak wzgórze, w którym się znajdowała; najwyraźniej było puste w środku. Zielonkawe światło przesączało się przez okrągłą rozetę w suficie komnaty. W powietrzu unosił się skalny pył. Na środku stały szczątki ogromnego mosiężnego tellurium, na cienkich

ramionach brakowało planet. Wyglądało jak połamana, pozbawiona szpilek choinka, rozbite kule leżały u jego podstawy niczym potłuczone bombki.

Nikt nie zauważył wielkiej – na trzy metry wielkiej – zielonej jaszczurki stojącej nieruchomo wśród szczątków połamanych stołów i ław, póki się nagle nie poruszyła i nie umknęła w cień, drapiąc pazurami po kamiennej podłodze. Strach stał się niemal przyjemnym uczuciem: pochłonał Alice i Janet, i wszystko inne z wyjątkiem siebie, jak silny drażniący środek czyszczący.

Wędrowali z jednej pustej sali do drugiej, po pełnych echa korytarzach. Grobowiec rozplanowano zdecydowanie chaotycznie. Co jakieś dwadzieścia minut zmieniał się styl i zdobienia kamiennych ścian, jakby władzę przejmowała nowa grupa kamieniarzy. Brakebillczycy na zmianę rzucali zaklęcia oświetlające na swoje noże, ręce i różne nieodpowiednie części ciała, usiłując złagodzić napięcie.

Zakosztowawszy krwi, Anais łąziła teraz za Dintem i Fen jak gorliwy szczeniak, chłonąc wszelkie uwagi na temat walki wręcz.

– Nie mieli szansy – powiedziała Fen z profesjonalnym brakiem zainteresowania. – Nawet gdyby Dint nie zajął się tym drugim, nawet gdybym była sama, drag to nie jest broń do walki w grupie. Po prostu wymaga za dużo miejsca. Gdyby ten wysoki zaangażował się w walkę, musiałby się skupiać na ruchu końców draga, w górę, w dół, na boki. Nie mógłby sobie pozwolić na zajmowanie się przyjacielem. Mielibyśmy starcie jeden na jednego. Powinni poczekać na nas w tej wielkiej komnacie. Wziąć nas z zaskoczenia.

Anais pokiwała głową wyraźnie zafascynowana.

– Dlaczego tego nie zrobili? – spytała. – Dlaczego ruszyli prosto na nas?

– Nie wiem. – Fen zmarszczyła brwi. – Być może chodziło o honor. Albo blefowali, sądzili, że uciekniemy. A

może działali pod wpływem zaklęcia i nie mogli mu się sprzeciwić.

– Czy musieliśmy ich zabić? – wybuchnął Quentin. – Nie mogliśmy po prostu... no nie wiem...

– Po prostu co? – Anais odwróciła się do niego gwałtownie. – Może powinniśmy wziąć ich jako jeńców? Poddać resocjalizacji?

– Nie wiem! – powtórzył bezradnie. To nie miało być tak. – Może należało ich związać? Słuchaj, ja po prostu nie miałem pojęcia, jak to jest naprawdę. Zabijać ludzi.

To kazało mu pomyśleć o dniu, kiedy pojawił się Potwór – takie samo uczucie bezdennej głębi, koniec zakładów, jakby przerwała się lina i wszyscy spadali.

– To nie są ludzie – powiedziała Anais. – To nie byli ludzie. I pierwsi próbowali nas zabić.

– Włamujemy się do ich domu.

– Chwała ma swoją cenę – oświadczył Penny. – Nie wiedziałeś o tym, nim zaczęłaś jej szukać?

– Mam wrażenie, że to oni za nią zapłacili.

Ku zaskoczeniu Quentina Eliot też zwrócił się przeciwko niemu.

– Co, chcesz się teraz wycofać? Ty? – Eliot zaśmiał się suchym, szczekliwym śmiechem. – Potrzebujesz tego niemal równie mocno jak ja.

– Nie wycofuję się! Tylko mówię!

Quentin zdążył się jeszcze zastanowić, dlaczego Eliot potrzebuje właśnie tego, nim Anais ich uciszyła.

– O Boże, proszę. Czy możemy przestać? – Potrząsnęła z niesmakiem kręconymi włosami. – Czy możemy wszyscy przestać?

Cztery godziny, trzy ciągi schodów i dwa kilometry pustego korytarza później Quentin badał właśnie drzwi, kiedy otworzyły się nagle, z całych sił waląc go w twarz.

Cofnął się i przyłożył rękę do górnej wargi. W swoim na wpół oszalomionym stanie bardziej się niepokoił tym, czy krwawi mu nos, niż tym, kto czy co walnęło go drzwiami. Przycisnął wierzch dłoni do górnej wargi, obejrzał, przycisnął jeszcze raz i znów obejrzał. Tak jest, nie da się ukryć: krwawił.

Zza drzwi wyglądał na niego wściekły chochlik o wąskiej twarzy. Instynktownie Quentin zatrzasnął drzwi kopniakiem.

Zamierzał wskazać je pozostałym, którzy badali właśnie dużą komnatę o niskim suficie z basenem na środku. Jakieś przypominające bluszcz pnące wyrastało z basenu i pokrywało ściany do połowy wysokości, a wyżej zasychało. Światło dzienne stało się wspomnieniem sprzed miesięcy. Quentinowi w oczach migotały iskry, a nos zmienił się w ciepłą topniejącą grudkę czegoś słonego i bolesnego. Z melodramatyczną powolnością drzwi otworzyły się znowu, stopniowo ukazując niewielkiego człowieka o ostrych rysach twarzy, ubranego w zbroję z czarnej skóry. Nie wydawał się szczególnie zaskoczony widokiem Quentina. Człowiek, elf czy co to tam było, wyciągnął błyskawicznie z pochwy rapier i przybrał pozycję bojową. Zrezygnowany Quentin wycofał się, zaciskając zęby ze strachu. Tak po prostu Fillory wyrzygało kolejne ze swych paskudnych stworzeń.

Zapewne zmęczenie złagodziło nieco ostrze strachu, bo niemal bezwiednie Quentin zaczął wypowiadać słowa zaklęcia Magicznego Pocisku. Przecwiczyl je jeszcze w Buffalo, a teraz cofał się, nie przestając recytować, ponieważ Czarny Elf – jak ochrzcił go w myślach – nacierał na niego w klasycznej postawie, wolną rękę z opuszczonym nadgarstkiem trzymając wysoko w górze. Quentin nie pomylił się w zaklęciu, czuł to i kochał siebie za to. Przerazenie i ból fizyczny stały się większe i uprościły jego moralny wszechświat. Posłał czarodziejską strzałę prosto w

pierś elfa.

Czarny Elf zakaszłał i usiadł ciężko na ziemi. Wydawał się zaskoczony. Jego twarz znalazła się na idealnej wysokości na kopniak rodem z kung-fu, więc Quentin, jakby w akcie wielkiej odwagi, kopnął go z całej siły w twarz. Rapier upadł na ziemię.

– Haaaaaaa! – wrzasnął Quentin. Zupełnie jakby walczył z Penny'm, strach go zupełnie opuścił. Czy to wreszcie furia bojowa? Czy stanie się niebezpieczny jak Fen? Tak dobrze było przestać się bać.

Nikt inny w komnacie nie zauważył, że coś się dzieje, póki Quentin nie krzyknął. Potem scena się przechyliła i zsunęła prosto w koszmar. Z otwartych drzwi wyszły kolejne cztery Czarne Elfy uzbrojone w najróżniejszą broń, a za nimi dwaj mężczyźni o nogach kozłów i dwa straszliwe latające trzmiele wielkości piłki do siatkówki. Pojawiło się też coś mięsistego i pozbawionego głowy, co poruszało się na czterech nogach, oraz milcząca delikatna postać z białej mgły.

Obie grupy przeciwników zebrały się po przeciwległych stronach komnaty, mierząc się wzrokiem. Przypominało to Quentinowi mocno początek rozgrywki w dwa ognie. Gotowało się w nim. Chciał znowu rzucić zaklęcie pocisku. Przeszedł od delikatności i bezradności, i tchórzostwa do wojowniczości, podniecenia i walki. Ich przewodnicy szeptali między sobą i pokazywali sobie cele.

Fen podniosła kamień i rzuciła go lekko w jednego z faunów (mieli tu teraz złych faunów?), który odbił go okrągłą skórzaną tarczą przywiązaną do ramienia. Wyglądał na wkurwionego.

– Problemem jest grimling – powiedziała Fen do Dinta.

Dint wyciągnął różdżkę spod peleryny i zaczął nią coś pisać w powietrzu. Powiedział kilka słów do jej czubka, jakby to był mikrofon, a potem wycelował nią w jednego z

faunów niczym dyrygent dający sygnał soliście. Faun stanął w płomieniach.

Zupełnie jakby był pokryty magnezem nasączonym benzyną i tylko czekał na iskrę. Zapaliło się całe jego ciało. Zrobił krok w tył, po czym odwrócił się do drugiego fauna, jakby chciał mu coś powiedzieć. Potem upadł. Quentin nie mógł dłużej patrzeć. Kiedy wybuchło piekło, próbował się trzymać radosnej żądy krwi, którą czuł tak wyraźnie chwilę temu, reanimować ją, ale zniknęła gdzieś w zamieszaniu.

Fen kwitła. Właśnie do czegoś takiego została wyszkolona. Quentin nie złapał tego wcześniej, lecz najwyraźniej używała w walce magii – jej *inc aga* okazała się techniką łączoną, sztuką walki zintegrowaną z wysoko wyspecjalizowanym stylem zaklęć. Poruszała ustami, a uderzeniom jej pięści towarzyszyły białe rozbłyski.

Tymczasem Dint zwrócił się przeciwko zjawie z mgły. Powiedział coś, czego Quentin nie dosłyszał, a co spowodowało, że postać zaczęła się chwiać, a potem rozwiąła się w niewidzialnej milczącej szalonej zawierusze.

Quentin szybko ocenił stan swych dzielnych towarzyszy. Eliot pomagał w walce, rzucił zaklęcie kinetyczne na drugiego satyra i przyszpilił go do sufitu. Anais wyciągnęła krótki miecz – obecnie połyskiwał księżycowo, co wskazywało, że rzuciła na niego samoostrzące zaklęcie – i rozglądała się z zapalem, szukając kogoś, w kogo mogłaby go wbić. Janet przyciskała się do ściany komnaty, twarz miała mokrą i błyszczącą od łez. Jej oczy były puste. Zniknęła.

Zbyt wiele działo się naraz. Quentin poczuł bolesny skurcz żołądka, kiedy uświadomił sobie, że elf wybrał na cel ataku Alice i ruszył ku niej przez wyschnięty basen, oburącz kręcąc młynka długimi prostymi nożami – czy coś takiego nazywa się „sztylet”? Sądząc z wyrazu twarzy, Alice właśnie zapomniała wszystkie zaklęcia, jakich się w życiu

nauczyła. Odwróciła się, opadła na jedno kolano i zakryła głowę rękami. Nikt nigdy w całej historii konfliktów zbrojnych na świecie nie wyglądał równie bezbrinnie jak ona.

Quentin miał tylko czas poczuć, jak na jedną, nieskończenie skoncentrowaną chwilę wzbiera w nim cała czułość, jaką kiedykolwiek czuł dla niej – i zaskoczenie, że wszystko nadal jest na swoim miejscu, wilgotne i nietknięte pod paskudną wypaloną warstwą gniewu – kiedy materiał bluzki na plecach Alice rozdarł się gwałtownie i ze skóry na jej grzbiecie zaczął wyłazić mały skórzasty dwunożny demon. Zupełnie jak sztuczka z przyjęcia, dziewczyna wyskakująca z tortu. Alice wypuściła swojego demona.

A ten bez wątpienia był najszcześliwszą istotą w komnacie. Właśnie na takie przyjęcie chciał trafić. Zwróciwszy się w stronę elfa, zakołysał się na palcach jak zawodowy tenisista przygotowujący się na odbicie serwisu przy przewadze trzech pitek. Skoczył zdecydowanie szybciej, niż spodziewał się jego przeciwnik. W jednej chwili znalazł się za sztyletami i chwycił z całych sił ramiona elfa, po czym zanurzył swą przerażającą twarz w jego miękkim gardle. Elf zakrztusił się i ciał na próżno sztyletami grubą skórę na plecach demona. Quentin przypomniał sobie, zapewne po raz setny, że nigdy nie wolno nie doceniać Alice.

I nagle było po wszystkim. Skończyli im się przeciwnicy. Pokonali elfy i trzmiele. Salę zasnuwał gryzący dym ze spalonego satyra. Fen miała na koncie najwięcej trafień; już zaczynała rytuał studzenia energii po walce, przechodząc nad ciałami, które powaliła w krótkim starciu, szepcząc do siebie ich imiona. Penny w skupieniu rzucał zaklęcie usypiające na satyra, którego Eliot przyszpilił do sufitu, a Anais przyglądała się temu niecierpliwie, czekając na zadanie *coup de grace*. Quentin z wyjątkowo małosłkową irytacją zauważył, że satyr pod sufitem nie ma tarczy, co

oznaczało, że Dint spalił tego z tarczą, co z kolei oznaczało, że on nie będzie mógł sobie tej tarczy przywłaszczyć. Miał pod nosem kruszące się, wyschnięte wasy z krwi.

Mogło być gorzej, pomyślał. Zdarzają się gorsze koszmary. Ośmielił się na drżące westchnienie ulgi. Czy to naprawdę już? Czy pokonali wszystkich?

Janet w końcu wyrwała się z oniemiaenia i zajęła czymś. Bezgłowe mięsiste czworonożne stworzenie nie było ani humanoidem, ani nie wyglądało na spokrewnione z ziemską fauną. Jego ciało odznaczało się symetrią promienistą, jak rozgwiazda, bez wyraźnie zdefiniowanego przodu i tyłu. Stało niezgłębione w ciemnym kącie, czyniąc nagłe, przerażające i niewielkie wypadki w nieoczekiwanych kierunkach. Miało duży wielościenny kryształ na grzbiecie. Ozdoba? A może to jego oko? Albo mózg?

– Hej! – Fen pstryknęła palcami w stronę Janet. – Hej! – Najwyraźniej zapomniała, jak Janet ma na imię. – Zostaw to. Zostaw nam grimlinga.

Janet ją zignorowała. Nadał zbliżała się do niego ostrożnie. Quentin wolałby, żeby tego nie robiła. Jej stan emocjonalny nie pozwalał panować nad magią.

– Janet! – wrzasnął.

– Kurwa – powiedział Dint zdecydowanie.

To była bardzo rzeczowa „kurwa” – kolejny bałagan, który będzie musiał posprzątać. Wyciągnął znów różdżkę spod peleryny.

Nim zdołał coś zrobić, Janet sięgnęła za plecy i wyciągnęła coś małego, lecz ciężkiego. Trzymając to oburącz, poprawiła się nieco, a potem oddała pięć strzałów z małej odległości do stworzenia w kącie. Pistolet podskakiwał po każdym strzale, a ona za każdym razem celowała starannie. W niskiej sali huk był ogłuszający. Jeden strzał wykrzesał iskry z kryształu na grzbiecie grimlinga. Stworzenie padło na ziemię, drżąc i zapadając się

jak przekłuty balon, nadal pozbawione wszelkiego wyrazu. Wydało wysoki gwizd. Po piątym strzale zdecydowanie wyglądało na martwe.

Nikt w sali nawet nie drgnął. Janet się odwróciła. Łzy, które ronila wcześniej, wyschły.

Zmierzyła ich wzrokiem.

– Na co się, kurwa, tak gagicie? – spytała.

Im głębiej szli, tym robiło się zimniej. Sześć pięter pod ziemią Quentin zaczął się trząść w grubym swetrze i myślał z nostalgią o porzuconych przy strumieniu ciepłych puchatych kurtkach. Zatrzymali się na odpoczynek w okrągłej sali z piękną spiralą z lapis-lazuli w podłodze. Skądś emanowało ciemnozielone światło, jak oświetlenie akwarium. Dint usiadł w pozycji lotosu, owinał się peleryną i medytował. Unosił się jakieś piętnaście centymetrów nad podłogą. Fen ćwiczyła. Odpoczynek najwyraźniej miał służyć brakebillczykowi, nie im. Byli jak profesjonalni alpiniści niecierpliwie zaganiający na Mount Everest stado bogatych grubych turystów. Brakebillczyków traktowali jak przesyłkę, którą zobowiązali się dostarczyć na miejsce.

Alice siedziała samotnie na kamiennej ławie oparta plecami o filar, patrząc niewidzącym wzrokiem na mozaikę na ścianie. Przedstawiała ona potwora morskiego przypominającego nieco ośmiornicę, choć dużo większego i z większą liczbą macek. Quentin usiadł okrakiem na drugim końcu ławki, twarzą w jej stronę. Na moment ich oczy się spotkały. W jej wzroku nie było nawet cienia skruchy czy przebaczenia. Dopilnował, żeby jego oczy wyglądały tak samo.

Patrzyli na mozaikę. Małe kwadraty, które składały się na potwora morskiego, poruszały się bardzo powoli, zmieniając położenie na ścianie. Prymitywnie oddane niebieskie fale przesuwały się wolno. Rozpoznał prostą

magię dekoracyjną – w Brakebills mieli łazienkę, w której zastosowano podobne efekty. Quentinowi wydawało się, że Alice jest czarną dziurą, która próbuje go pochłonać, oderwać mu ciało od kości za pomocą czystej toksycznej grawitacji.

Wreszcie wyjęła manierkę i zwilżyła jedną białą skarpetkę.

– Zróbmy coś z twoim nosem – powiedziała.

Wyciągnęła rękę, żeby przemyć mu twarz, jednak w ostatniej chwili Quentin się zorientował, że nie chce, aby go dotykała. Wziął od niej ostrożnie skarpetkę. Zrobiła się różowa, kiedy przetarł górną wargę.

– Więc jak to jest, kiedy wypuszczasz demona? – spytał.

Teraz, kiedy minęło podniecenie związane z walką, kiedy Alice nic już nie groziło, jego gniew powrócił ukradkiem na swoje miejsce. Znieczulenie mijało. Musiał się starać, żeby nie powiedzieć czegoś paskudnego. Alice postawiła stopę na ławce i zaczęła rozwiązywać sznurówkę buta.

– Dobrze – odparła ostrożnie. – Myślałam, że będzie bolało, a tymczasem poczułam ulgę. Coś jak kichnięcie. Miałam wrażenie, jakbym tak naprawdę nie mogła oddychać z tym czymś we mnie.

– Interesujące. Czy uczucie było równie pozytywne jak pieprzenie się z Penny'm?

Zamierzał się zachowywać poprawnie, lecz okazało się to zbyt trudne. Słowa same wypłynęły mu z ust. Zastanawiał się, co innego mógłby powiedzieć. Mam w sobie wiele demonów, pomyślał. Nie tylko tego jednego.

Jeśli zdołał ją zranić, nie okazała tego. Ostrożnie zdjęła skarpetkę. Na podbiciu miała paskudny biały pęcherz. Znow patrzyli na mozaikę. Pojawiła się na niej mała łódka, być może szalupa ratunkowa albo kuter wielorybników.

Siedziało w niej pełno maleńkich ludzi. Wydawało się pewne, że potwór morski zgniecie ją swymi zielonymi mackami.

– To nie... – Urwała i zaczęła jeszcze raz. – To nie było dobre.

– Więc dlaczego to zrobiłaś.

Alice przechyliła głowę w zamyśleniu, twarz miała blada.

– Żeby ci odpłacić. Ponieważ czułam się jak kupa. Ponieważ nie sądziłam, że cię to obejdzie. Ponieważ upiłam się, a on był silny...

– Więc cię zgwałcił.

– Nie, Quentinie, on nie...

– Wszystko jedno. Przestań.

– Nie wiedziałam, że tak bardzo cię to zrani...

– Po prostu przestań. Nie chcę z tobą więcej rozmawiać, nie chcę słuchać tego, co mówisz!

Zaczął swoją przemowę normalnym głosem, lecz zakończył krzykiem. W pewnym sensie przypominało to uprawianie magii. Wypowiadałeś słowa, a one zmieniały wszechświat. Samymi słowami mogłeś szerzyć zniszczenie, zadawać ból, spowodować łzy, odstręczyć ludzi, sprawić, że poczujesz się lepiej, uczynić swe życie gorszym. Quentin pochylił się do przodu, tak bardzo, że oparł czoło o zimny marmur ławki przed sobą. Zamknął oczy. Zastanawiał się, która godzina. Trochę kręciło mu się w głowie. Mógłbym tak zasnąć, pomyślał. Tak po prostu. Chciał rzucić Alice, że jej nie kocha, jednak nie potrafił, ponieważ to nie była prawda, tylko jedyne kłamstwo, którego nie mógł powiedzieć.

– Chciałabym, żeby to się skończyło – rzekła Alice cicho.

– Co?

– Ta misja... przygoda czy jak tam to nazywasz. Chcę wrócić do domu.

– Ja nie.

– To jest złe, Quentinie. Komuś stanie się krzywda.

– Dobrze, mam nadzieję, że naprawdę. Jeśli umrę przy okazji, przynajmniej czegoś dokonam. Może i ty coś zrobisz, zamiast przez cały czas być taką żalowaną myszką.

Powiedziała coś, czego nie dosłyszał.

– Co?

– Powiedziałam, żebyś mi nie mówił o śmierci. Nic o niej nie wiesz.

Bez żadnego powodu i wbrew świadomym życzeniom jakiś bardzo napięty mięsień wokół klatki piersiowej delikatnie zaczął się mu rozluźniać. Quentin wydał śmieszny dźwięk, coś pomiędzy śmiechem a kaszlem.

Wyprostował się i oparł o filar.

– Boże, całkiem dosłownie tracę rozum.

Po drugiej stronie sali Anais siedziała z Dintem, rozprawiała z zapalem i pokazywała coś na mapie ich dotychczasowej drogi, którą wyrysował na papierze podejrzanie podobnym do papieru milimetrowego. Anais zachowywała się teraz jak członek grupy przewodników, a nie brakebillczyków. Widział, jak pochyla się nad mapą, specjalnie ocierając się cyckiem o ramię Dinta. Josh gdzieś zniknął. Penny i Eliot drzemali na podłodze na środku sali, głowy opierali o plecaki. Eliot zrugął Janet za pistolet i wymusił na niej obietnicę, że pozbędzie się go w sposób odpowiedzialny.

– Czy naprawdę jeszcze tego chcesz, Quentinie? – spytała Alice. – To znaczy tego, co tu robimy? Tej całej sprawy z królami i królowymi?

– Oczywiście. – Niemal zapomniał, po co tu przyszedł. Choć nadal w to wierzył. Tron, właśnie tego w tej chwili potrzebował. Kiedy w chwale obejmą władzę na Zamku Białoszczycym otoczeni wszelkimi wygodami, może wtedy poczuje się na tyle silny, by się z tym wszystkim zmierzyć. –

Trzeba być idiotą, żeby tego nie chcieć.

– Wiesz, co jest zabawne? – Usiadła prosto nagle ożywiona. – To znaczy przeraźliwie śmieszne? Wcale tego nie chcesz. Nie chcesz tego. Nawet gdyby się to stało bez żadnych komplikacji, nie będziesz szczęśliwy. Poddałeś się w Brooklynie i w Brakebills i zapewne dokładnie tak samo poddasz się w sprawie Fillory, kiedy nadejdzie właściwy moment. To ci bardzo wszystko upraszcza, prawda? Aha, i zawsze zamierzałeś też poddać się w naszej sprawie. Mieliśmy problemy, ale mogliśmy je rozwiązać. Tyle że to było dla ciebie za proste. Mogło nam się udać i co by się wtedy z tobą stało? Utknąłbyś ze mną na zawsze.

– Problemy? Mieliśmy problemy? – Ludzie podnieśli głowy. Ściszył głos do pełnego wściekłości szeptu. – Ty się, kurwa, pieprzyłaś z Penny'm! Powiedziałbym, że to jest pierdolony problem!

Alice go zignorowała. Gdyby nie miał doświadczenia, mógłby uznać ton jej głosu za niemal czuły.

– Przystanę być myszką, Quentinie. Zaryzykuję. Pod warunkiem, że ty chociaż przez chwilę popatrzysz na swoje życie i dostrzeżesz, jakie jest doskonałe. Przestań szukać kolejnych ukrytych drzwi, które mają cię zaprowadzić do twojego prawdziwego życia. Przestań czekać. To jest to: nie ma niczego innego. To jest tutaj, więc zacznij się tym cieszyć, inaczej wszędzie będziesz nieszczęśliwy, przez resztę życia, zawsze.

– Nie można tak po prostu postanowić, że się będzie szczęśliwym.

– Nie, nie można. Natomiast z całą pewnością można postanowić, że się nie będzie nieszczęśliwym. Czy tego chcesz? Chcesz być dupkiem, który udał się do Fillory, żeby tam też być nieszczęśliwym? Nawet w Fillory? Ponieważ tym właśnie teraz jesteś.

Było coś prawdziwego w słowach Alice, lecz nie potrafił

tego uchwycić; musiało być albo zbyt skomplikowane, albo zbyt proste. Zbyt coś tam. Pomyślał o tym pierwszym tygodniu, który spędził w Brakebills, kiedy razem z Eliotem poszedł wiosłować i przyglądali się, jak inni wiosłarze garbią się i drżą z zimna, choć dla nich był ciepły słoneczny dzień. Tak wyglądał w oczach Alice. Dziwne: myślał, że uprawianie magii to najtrudniejsza rzecz, jaką przyjdzie mu w życiu opanować, a tymczasem cała reszta okazała się dużo trudniejsza. Okazało się, że magia to ta najłatwiejsza część.

– Dlaczego tu jesteś, Alice? – spytał. – Skoro nie chciałaś?

Popatrzyła na niego bez wyrazu.

– A jak sądzisz, Quentinie? Z twojego powodu. Przybyłam tu, ponieważ chciałam się tobą zaopiekować.

Quentin obejrzał się na pozostałych. Zobaczył, że Janet siedzi z zamkniętymi oczami oparta plecami o ścianę, choć nie wydawało mu się, żeby spała. Na kolanach tuliła rewolwer. Miała na sobie czerwoną koszulkę z białą gwiazdą i spodnie khaki. Musi jej być zimno, pomyślał. Nagle westchnęła i nie otwierając oczu, oblizwała usta jak mała dziewczynka.

Nie chciał marznąć. Alice nadal go obserwowała. Za jej plecami mozaika zmieniła się w płataninę zielonych macek i białych grzyw fal, i unoszących się na wodzie szczątków. Pochylił się na kamiennej ławce w stronę Alice i pocałował ją, i ugryzł ją w dolną wargę tak mocno, że aż sapnęła.

W pewnym momencie nie dało się dłużej ignorować faktu, że się zgubili. Korytarze wiły się szatańsko i co chwile rozwidlały. Znajdowali się w labiryncie i bynajmniej nie rozstrzygnęli, jak przez niego przejść. Dint dostał obsesji na punkcie swojej mapy, która teraz składała się już z kilku arkuszy papieru milimetrowego – przeglądał ją i poprawiał uważnie za każdym razem, kiedy skręcili za róg. W

Brakebills nauczyli się zaklęcia, które zostawiałoby za nimi świecące ślady, ale Dint uznał, że to doprowadziłoby do nich napastników. Ściany ozdobiono legionami prymitywnych maszerujących postaci przedstawionych z profilu. Było ich po prostu tysiące, a każda trzymała inny totem: liść palmowy, pochodnię, klucz, miecz, owoc granatu.

Robiło się coraz ciemniej. Nadal rzucali zaklęcia oświetlające na wszystko, co mogło je przyjąć, lecz blask nie sięgał daleko. Szli bardzo szybko, prawie biegiem. Panował nastrój jak na pikniku, gdy zanosi się na oberwanie chmury. Korytarz rozgałęział się i rozgałęział, a co jakiś czas kończył się ślepo, co zmuszało ich do cofania się. Quentina bolały stopy w nowych butach. Coś ostrego uwierało go przy każdym kroku w lewą kostkę.

Zaryzykował spojrzenie za siebie, tam skąd przyszedli. Zobaczył czerwony blask – gdzieś w labiryncie coś rzucało ciemnoszkarłatne światło. Poczul bardzo stanowczy brak zainteresowania tym, co to może być.

Dziesięć minut później zatrzymali się przy kolejnym rozgałęzieniu korytarza. Dint z całych sił popierał wybór prawego odgałęzienia, Josh, opierając się na pewnych nieuchwytnych cechach, przekonywał, że lewe wygląda „dużo bardziej obiecująco” i po prostu „bardziej na to, czego potrzebujemy”. Ściany pomalowano tutaj w dziwnie przekonujące krajobrazy w stylu *trompe l'oeil*, zaludnione małymi tańczącymi postaciami. Gdzieś daleko słyszeli otwieranie i zamykanie drzwi.

Korytarz za nimi stawał się coraz jaśniejszy. Teraz wszyscy to widzieli. Zupełnie jakby pod ziemią wschodziło słońce. Dotychczasowe zdyscyplinowanie zaczęło znikać. Rzucili się naprzód prawie biegiem. Było za ciemno, by Quentin mógł mieć absolutną pewność, że nikt nie został z tyłu, więc skupił się na Alice. Dyszała ciężko. Na plecach

bluzki miała rozdarcie w miejscu, z którego wydostał się demon. Widział pasek jej czarnego stanika, który jakimś cudem przetrwał ten proces. Żałował, że nie ma kurtki, aby ją okryć.

Dogonił Dinta.

– Powinniśmy zwolnić – wydyszał. – Ktoś się zgubi.

Dint pokręcił głową.

– Idą za nami. Jeśli się zatrzymamy, rzucą się na nas.

– Kurwa, człowieku! Nie miałeś planu?

– To jest plan, przybyszu z Ziemi – zawarczał Dint. –

Nie podoba się wam, to wracajcie do domu. Potrzebujemy w Fillory królów i królowych. Czy to nie jest rzecz, za którą warto umrzeć?

Niezupełnie, pomyślał Quentin. Dupek. Ta dziwkowata nimfa miała rację. To nie jest wasza wojna.

Wpadli przez drzwi prosto na arras, który najwyraźniej ukrywał je od drugiej strony. Za arrasem znajdowała się oświetlona świecami sala bankietowa zastawiona jedzeniem, świeżym i gorącym. Byli sami, zupełnie jakby kelnerzy, którzy rozstawili półmiski, chwilę wcześniej zniknęli z pola widzenia. Stół ciągnął się w obie strony, nie widzieli jego końców. Ściany pokrywały arras, bogate i pełne szczegółów, srebrna zastawa stołowa połyskiwała, w kryształowych kielichach przelewało się wino o głęboko złocistym lub krwistoczerwonym kolorze.

Zatrzymali się i rozejrzeli, mrugając gwałtownie. Zupełnie jakby zabłądzili do snu człowieka konającego z głodu.

– Niech nikt nic nie je! – krzyknął Dint. – Nie dotykajcie tego! Nikt nie je, nikt nie pije!

– Tu jest zbyt wiele wejść – stwierdziła Anais, strzelając ślicznymi zielonymi oczami we wszystkich kierunkach. – Mogą nas zaatakować.

Miała rację. W głębi sali otworzyły się drzwi, przez

które weszli dwaj duzi, długonodzy przedstawiciele rodziny małp, choć Quentin nie potrafił określić, jaki to dokładnie gatunek. Ich szkliste oczy wyglądały na znudzone. Z idealną synchronizacją małpy zanurzyły ręce w torbach przerzuconych przez ramiona i wyjęły ołowiane kule wielkości piłek golfowych. Wyćwiczonym ruchem nadmiernie rozwiniętych ramion i długich rąk cisnęły kulami w grupę przybyszów niczym miotacze w finale wielkiej ligi bejsbolu.

Quentin chwycił rękę Alice i skulili się oboje za ciężkim arrasem, w który trafiła jedna z kul. Druga skosiła ze stołu świecznik, a potem spektakularnie roztrzaskała cztery kieliszki pod rząd. W innych okolicznościach, pomyślał Quentin, byłoby to nawet fajne. Eliot dotknął czoła, w które trafiły go odłamki szkła. Na palcach miał krew.

– Czy ktoś mógłby zabić te stworzenia? Proszę! – powiedziała Janet z niesmakiem. Kucała pod stołem.

– Powaga – skarżył się Josh przez zaciśnięte zęby. – To gównem nie jest nawet mitologiczne. Potrzebujemy tu jakichś jednorożców czy czegoś takiego.

– Janet! – zawołał Eliot. – Wypuść swojego demona!

– Już to zrobiłam! – odkrzyknęła. – Następnej nocy po dyplomie! Zrobiło mi się go żal!

Quentin, skulony za szorstką tkaniną arrasu, obserwował parę poruszających się niespiesznie nóg. Kiedy wszyscy pochowali się, gdzie mogli, Penny ruszył pewnie w stronę dwóch miotaczy kul, którzy znów szykowali się do rzutu z twarzami całkowicie pozbawionymi wyrazu. Gestykulował szybko obiema rękami i wyśpiewywał zaklęcie wysokim czystym tenorem. Spokojny i poważny w migotliwym świetle świec, ubrany tylko w podkoszulek i dżinsy, nieco mniej niż zwykle wyglądał na zapasionego punka. Przypominał raczej zaprawionego w bojach maga bitewnego. Czy takim widziała go Alice tej nocy, kiedy się z

nim przespała? – zastanowił się Quentin.

Penny ręką zatrzymał najpierw jedną, a potem drugą ołowianą kulę. Wisiały przez chwilę w powietrzu jak zaskoczone kolibry, po czym odkryły swój ciężar i spadły na podłogę. Drugą ręką Penny cisnął gorejące nasiono, które zaczęło puchnąć i rozszerzać się jak czasza spadochronu. Arrasy po obu stronach sali rozbłysły tam, gdzie musnęła je kula ognia. Objęła obydwie małpy, a kiedy się rozproszyła, po prostu zniknęły – tylko jakieś trzy metry stołu paliły się jak fajerwerki.

– Tak! – wrzasnął Penny, na chwilę zapominając o swojej filloriańskiej manierze. – Gińcie, popaprańcy!

– Amator – mruknął pod nosem Dint.

– Jeśli moja fryzura ucierpiała, ożywię tych drani i zabiję ich jeszcze raz – powiedział Eliot słabo.

Zaczęli się wycofywać salą bankietową w przeciwną stronę, z trudem obchodząc krzesła o prostych oparciach. Sala była po prostu za wąska – przez ten stół rozstawiony na środku po bokach brakowało miejsca, żeby iść normalnie. Cała scena miała w sobie coś z kreskówek o Scoobym Doo. Quentin wskoczył na stół i na wpół biegł, na wpół ślizgał się po nim, rozrzucając zastawę i czując się jak bohater kina akcji zjeżdżający po masce płonącego samochodu.

Dziwaczna menażeria rodem z *Alicji w Krainie Czarów* wpadała do sali z przeciwnej strony. Gatunki najwyraźniej wymieszały się ze sobą, i to zupełnie przypadkowo. Czyżby po odejściu Chatwinów doszło do takiego upadku, że ludzie i zwierzęta zaczęli się ze sobą krzyżować? Mieli tu fretki i króliki, ogromne myszy i skaczące małpy, i paskudne kuny, ale byli też mężczyźni i kobiety z głowami zwierząt: sprawiający wrażenie sprytnego facet z głową lisa, który rzucał zaklęcie; kobieta z osadzoną na grubej szyi głową jaszczurki o wielkich, niezależnie poruszających się oczach;

dziwnie dostojny uzbrojony w dzidę mężczyzna, z którego ramion wystawała cienka wygięta szyja i mała główka flaminga.

Fen chwyciła ze stołu ostry nóż, ujęła ostrze między kciuk a palec wskazujący i cisnęła go, sprawiając w rotację. Czubek trafił mężczyznę z głową lisa prosto w oko.

– Ruszać się – warknęła. – Wszyscy. Cofnąć się. Nie pozwólcie się odciąć. Musimy się teraz trzymać razem.

Generalnie chodziło o to, by zachować spójną linię frontu, niestety ta wciąż się przerywała. Raz po raz ktoś z ich grupy się opóźniał – a to krzesła wchodziły im w drogę, a to mieszkańcy grobowca zbierali się razem i szarżowali w jednym miejscu, a to, co jeszcze gorsze, nowy napastnik wpadał do sali przez ukryte drzwi w sam środek ich grupy. Przez pierwsze dziesięć sekund Quentin i Alice trzymali się za ręce, potem stało się to niemożliwe. Ta potyczka nie przypominała poprzednich. Wszystko zmieniało się w chaos. Sala zdawała się ciągnąć w nieskończoność; niewykluczone, że naprawdę tak było. Świece i lustra, i jedzenie nadawały całej scenie niestosownie świąteczny nastrój. Nawet gdyby postanowili skorzystać z guzika i wrócić do domu, w tym momencie nie mogli się zebrać razem w jednym miejscu, żeby to zrobić.

Quentin biegł z wyciągniętym nożem, choć nie wiedział, czy byłby w stanie go użyć. Czuł się jak na zajęciach wychowania fizycznego, starał się wyglądać jak członek zespołu, choć równocześnie miał desperacką nadzieję, że nikt nie poda mu piłki. Ogromny kot wyskoczył zza arrasów tuż przed jego nosem. Fen niemal na pewno ocaliła Quentinowi życie, rzucając się na zwierzę z taką siłą, że padli oboje na podłogę. Mocowali się i okładali, póki nie znokautowała przeciwnika za pomocą gwałtownego ciosu głową z repertuaru *inc aga*. Quentin podał jej rękę i pomógł wstać, po czym pobiegli dalej.

Dint dał teraz pokaz swoich umiejętności. Wskoczył dziarsko na stół i kroczył po nim, wypowiadając z zaskakującą szybkością i płynnością rytmiczne sylaby zaklęć z różdżką zatknietą za ucho. Jego długie czarne włosy sypały iskrami, a z czubków palców tryskała energia. Quentin zauważył, że czasami uruchamia równocześnie dwa zaklęcia: główny atak przeprowadzał jedną ręką, a drugą rzucał coś pomniejszego. W pewnym momencie sprawił, że ręce spuchły mu okropnie, chwycił w te ogromne dłonie dwa krzesła i trzema profesjonalnymi ruchami – w lewo, w prawo i znów w lewo – powalił z dziesięciu przeciwników.

Penny zdołał przekonać część stołu, by stanął dęba jak jakaś wściekła stonoga i atakował Fillorian, póki nie rozpadł się na drzazgi. Nawet Quentin wyprodukował spoconymi dłońmi dwa Magiczne Pociski. Tunika Fen przesiąkła potem. Zamknęła oczy i złożyła razem dłonie, szepcząc coś do siebie, a kiedy rozsunęła palce, zapłonęły okropnym białym blaskiem. Następnemu przeciwnikowi – muskularnemu i uzbrojonemu w buławę, który albo miał na sobie lamparcią skórę, albo od pasa w górę był lampartem – z wrzaskiem wbiła pięść w pierś prawie po ramię.

Jednakże napastnicy nieubłaganie ich otaczali. Sytuacja pogarszała się z każdą chwilą. Potrzebowali strategii odwrotu. Quentin oddychał ze świstem przez zęby, a w głowie rozbrzmiewała mu psychotyczna nonsensowna piosenka.

Gdzieś dalej wbił nóż w brzuch futrzastego Fillorianina. Nie zobaczył twarzy tego stworzenia – bo to było stworzenie, a nie osoba, nie osoba, nie osoba; później pamiętał to uczucie, to, jak nóż przebijał twarde gumiate mięśnie przepony, po czym wchodził bez trudu w znajdujące się pod nią wnętrzności, to, jak mięśnie zacisnęły się na ostrzu,

kiedy się już przez nie przebiło. Puścił gwałtownie rękojeść, jakby poraziła go prądem.

Zauważył, jak najpierw Josh, a potem Eliot garbią się i wypuszczają swoje demony. Demon Eliota sprawiał szczególnie imponujące wrażenie, od stóp do głów pokrywały go poziome czarno-białe paski. Poleciał ślizgiem po blacie stołu, drapiąc go pazurami jak usiłujący wyhamować kot, a potem z wyraźną radością zaatakował przeciwników, chwytając, rozrywając, skacząc i znów chwytając.

– Do diabła! – wrzeszczała Janet. – Co jeszcze? Co, kurwa, jeszcze?

– Gówno! – krzyknął ochryple Eliot. – Boczne drzwi! Wybierzcie boczne drzwi i zjeżdżajmy stąd.

Nastąpił moment przeraźliwej ciszy, jakby niektóre ze stworzeń wyczuły, co się święci. Potem podłoga podskoczyła i bokiem przez ścianę przeszedł olbrzym z rozżarzonej do czerwoności stali.

Zawalił przy okazji całą ścianę. Jedna z cegieł musnęła głowę Fen, która padła jak podcięta. Z olbrzymia emanowały fale gorąca, mącąc powietrze, a wszystko, czego dotknął, stawało w ogniu. Tkwił przez chwilę pochylony, ręce opierał o podłogę – był co najmniej o jedną trzecią za wysoki, aby się tu wyprostować. Jego oczy przypominały ciekłe złoto, zupełnie nie miały źrenic. Powietrze wypełnił kurz. Olbrzym postawił stopę na rozciągniętym na ziemi ciele Fen, a ona zajęła się ogniem.

Wszyscy zaczęli biec. Kto upadł, został stratowany. Żaru, jakim emanowała gładka czerwona skóra olbrzymia, nie dawało się znieść. Quentin zrobiłby wszystko, by znaleźć się od niego jak najdalej. Przy najbliższych wyjściach kłębił się tłum, więc przepchnął się dalej, głębiej w salę. Rozejrzał się, szukając Alice, i nie zobaczył ani jednego człowieka. Dopiero kiedy zaryzykował spój rzenie

przez ramię, ujrzał Josha stojącego samotnie na środku sali.

Najwyraźniej doświadczał jednego z tych szalonych wybuchów energii, bo stworzył kolejną ze swoich miniaturowych czarnych dziur, tak jak wtedy na szachownicy weltersów. Tamtego dnia dziura omal nie wciągnęła drzewa, a dziś na oczach Quentina wpadł do niej cały rząd arrasów, obrywając się z karniszy z dźwiękiem przypominającym wystrzał z pistoletu. Światło w sali pociemniało i stało się bursztynowe. Czerwony olbrzym na moment zamarł. Przykucnął, wpatrzył się w czarną dziurę, ewidentnie nią zafascynowany. Był łysy, twarz miał pozbawioną wyrazu. Jego wielkie, bezwłose i pałające żarem genitalia kołysały się swobodnie między udami jak serce dzwonu.

I nagle Quentin znalazł się sam, biegł chłodnym, ciemnym, bocznym korytarzem. Zrobiło się cicho – dźwięk został wyłączony, jak w telewizorze. Biegł z całych sił, a po chwili już tylko szedł. Koniec. Nie mógł dalej biec. Powietrze piekło go w płucach. Pochylił się i oparł dłonie na kolanach. Plecy go bolały pod prawą łopatką, a kiedy sięgnął ręką, żeby się podrapać, natrafił na sterczącą z ciała strzałę. Bezmyślnie wyciągnął ją. Po skórze zaczęła mu płynąć krew, choć ból był w sumie niewielki. Strzała wbiła się zaledwie na jakieś dwa centymetry, pewnie nawet płycej. Niemal się cieszył z tego bólu, wreszcie mógł się czegoś przytrzymać. Ścisnął w dłoni drzewce strzały szczęśliwy, że to coś konkretnego. Cisza panowała niewiarygodna.

Znów był bezpieczny. Przez kilka minut pozwolił sobie na luksus czerpania radości z samego faktu oddychania chłodnym powietrzem, z tego, że nie biegnie, że jest sam w półmroku, niezagrożony natychmiastową śmiercią. Wkrótce jednak powaga sytuacji znów zaczęła się przesączać do jego świadomości, aż nie mógł jej dłużej ignorować.

Niewykluczone, że przeżył jako jedyny. Nie miał pojęcia, jak wrócić na powierzchnię. Mógł tu zginąć. Czuł nad sobą ciężar skał i ziemi. Był pochowany żywcem. A jeśli nawet uda mu się stąd wyjść, nie ma przecież guzika. Nie ma jak wrócić na Ziemię.

Kroki w ciemnościach. Ktoś nadchodził, powoli. Ręce tego kogoś pały od lekkiego zakłęcia. Ze znużeniem Quentin rozpoczął tworzenie Magicznego Pocisku, a potem nagle uświadomił sobie, że to Eliot. Opuścił ręce i osunął się na podłogę.

Żaden z nich się nie odezwał, po prostu opierali się razem o ścianę ramie przy ramieniu. Zimny kamień łagodził nieco ból rany po strzale. Koszula wylazła Eliotowi ze spodni. Twarz z jednej strony pokrytą miał sadzą. Wpadłby w furję, gdyby o tym wiedział.

* * *

– W porządku?

Eliot kiwnął głową.

– Fen nie żyje – powiedział Quentin.

Eliot odetchnął głęboko i przesunął jarzącymi się dłońmi po gęstych falujących włosach.

– Wiem. Widziałem. Nie sędzę, żebyśmy mogli coś zrobić. Ten Wielki Czerwony grał nie w naszej lidze, to wszystko – odparł.

Zamilkli. Zupełnie jakby słowa zapadły się w jakąś pustkę, gdzie pozbawione zostały znaczenia. Straciły wszelkie związki ze światem, a może to świat oderwał się od słów. Eliot podał Quentinowi manierkę z czymś mocnym. Quentin napił się i oddał mu ją. W pewnym sensie przywróciło to choć szczątkowy związek między nim a jego ciałem.

Podciągnął kolana i objął je.

– Dostałem strzałę – oznajmił. Pomyślał, że to głupie. –
W plecy.

– Powinniśmy iść – powiedział Eliot.

– Racja.

– Z powrotem. Odszukać pozostałych. Penny ma guzik.

– Zaskakujące, że Eliot nadal był taki praktyczny po wszystkim, co się zdarzyło. Okazał się o tyle silniejszy od Quentina.

– Tylko ten wielki gorejący...

– Tak?

– Może nadal tam jest.

Eliot wzruszył ramionami.

– Musimy się dostać do guzika.

Quentinowi chciało się pić, lecz nie mieli wody. Nie pamiętał, kiedy upuścił plecak.

– Powiem ci coś zabawnego – odezwał się Eliot po chwili. – Mam wrażenie, że Anais gziła się z Dintem.

– Co? – Wbrew sobie Quentin musiał się uśmiechnąć. Poczł, jak pękają mu spierzchnięte wargi. – Kiedy mieli na to czas?

– Przerwa na siku. Po drugiej potyczce.

– Rany. Biedny Josh. Trzeba jednak podziwiać jej inicjatywę.

– Zdecydowanie. Dla Josha to twardy orzech do zgryzienia.

– Zdecydowanie twardy.

Mawiali tak w Brakebills.

– Powiem ci jeszcze coś zabawnego – ciągnął Eliot. – Nie żałuję, że się tu znaleźliśmy. Nawet teraz, kiedy tak się popierniczyło, nadal się z tego cieszę. Nie sądzisz, że to największa głupota, jaką zdarzyło mi się powiedzieć? Ale to prawda. Myślę, że na Ziemi zapiłbym się na śmierć.

To rzeczywiście była prawda. Eliot nie miał innego wyjścia. W jakiś sposób Quentinowi zrobiło się od tego

lepiej.

- Możesz się zapić na śmierć i tutaj.
- Przy tym tempie nie będę miał szansy.

Quentin wstał. Nogi miał sztywne i obolałe. Zrobił przysiad. Ruszyli z powrotem w kierunku, z którego przyszli.

Nie czuł już strachu. Ta faza minęła, teraz martwił się o Alice. Adrenalina już się zużyła. Chciało mu się pić i stopy go bolały, i cały był podrapany nie wiadomo od czego. Krew na plecach zaschła, koszula przylepiła mu się do rany po strzale. Ciągnęła nieprzyjemnie przy każdym kroku.

Dość szybko stało się jasne, że nie musi się o nic martwić, ponieważ nie potrafili nawet odszukać drogi do sali bankietowej. Widocznie gdzieś źle skręcili, może nawet nieraz. Zatrzymali się i spróbowali rzucić proste zaklęcia odszukiwania drogi, tylko że Quentin miał spuchnięty język, więc żaden z nich nie potrafił właściwie wypowiedzieć zaklęcia, a zresztą i tak nie mieli miski z oliwą.

Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Czekał cierpliwie, aż Eliot odleje się na kamienną ścianę. Odnosił wrażenie, że dotarli do kresu, lecz nie mieli innego wyboru, jak iść dalej. Może to jest część tej historii, pomyślał obojętnie. Ta zła część, tuż przed tym, jak wszystko się wyprostuje. Zastanawiał się, która godzina jest na powierzchni. Zdawało mu się, że nie spali całą noc.

Ściany wydawały się teraz starsze, bardziej prymitywne. Na krótkich odcinkach była to tylko zakurzona nieobrobiona naturalna ściana jaskini. Znajdowali się na zewnętrznych krańcach podziemnego wszechświata, wędrując wśród paskudnie zerodowanych planet i ciemnych gasnących słońc. Korytarz przestał się rozgałęziać, teraz zadowalał się lekkimi zakrętami w lewo. Quentin pomyślał, że chyba te zakręty robią się coraz ciaśniejsze, jak w spirali, jak we wnętrzu muszli ślimaka. Uznał, że to ma jakiś sens,

o ile na tym świecie w ogóle pozostał jakiś sens, że istnieją geometryczne granice tego, ile razy można zakrecać wokół własnej osi, zanim się dotrze do końca. Bardzo szybko okazało się, że miał rację.

BARAN

Tak po prostu okazało się, że są tam wszyscy.

Quentin i Eliot stali na skraju wielkiej okrągłej podziemnej sali, mrugając w jaskrawym świetle pochodni. Komnata różniła się od tych, które do tej pory zwiedzili – sprawiała wrażenie dzieła natury. Podłogę pokrywał piasek, sufit był nierówny, ze stalaktytami i innymi skalnymi wypustkami, o które lepiej nie walić głową. W nieruchomym powietrzu czuć było chłód i wilgoć. Quentin słyszał podziemny strumień bulgoczący gdzieś w pobliżu, ale nie widział gdzie. Ten dźwięk nie miał początku ani kierunku.

Inni też tu przyszli, wszyscy z wyjątkiem Fen. Josh i Alice stali w wejściu kawałek dalej. W kolejnym zauważył Janet, wyglądała na zagubioną i przemoczoną. Dint i Anais tkwili w jeszcze kolejnym, a Penny sam w następnym. Stali w tych wejściach jak uczestnicy konkursu w jaskrawo oświetlonych alkowach jakiegoś teleturnieju.

Prawdziwy cud. Wyglądało nawet na to, że wszyscy przybyli tu w tej samej chwili. Quentin odetchnął głęboko. Ulga spłynęła na niego jak transfuzja ogrzanych płynów. Był tak kurewsko szczęśliwy, widząc ich wszystkich. Nawet Dinta – kochany stary Dint! Nawet Penny'ego, i to tylko częściowo dlatego, że nadal miał plecak, zapewne z guzikiem w środku. Czyli ciągle byli w grze. Chociaż tyle rzeczy poszło nie tak, wszystko może się obrócić znów na dobre – owszem, zrobiła się z tego katastrofa, ale z gatunku tych łagodnych. Ciągle istniała możliwość, że za pięć lat, kiedy już prawie wyjdą z szoku pourazowego, będą się podniecać spotkaniami weteranów i wspominkami. Może prawdziwe Fillory nie różni się jednak tak bardzo od Fillory, którego zawsze pragnął.

Królowie i królowe, pomyślał Quentin. Królowie i

królowe. Chwała ma swoją cenę. Wiedziałaś o tym?

Na środku sali stał kamienny blok, a na nim spoczywała duża potargana owca – nie, raczej baran, zważywszy, że miał rogi. Leżał z zamkniętymi oczami i podwiniętymi pod siebie nogami, a głowę opierał na koronie, prostym złotym kółku ułożonym między dwoma owłosionymi kolanami. Quentin nie był pewien, czy baran śpi, czy jest martwy. Niewykluczone też, że patrzył po prostu na niezwykle realistyczną rzeźbę.

Uczył ostrożny próbny krok w stronę środka sali, czując się jak człowiek, który stawia stopę na brzegu po długim ponurym popołudniu spędzonym na rzucanym przez burzę jachcie. Piasek na podłodze wydawał się pocieszająco solidny.

– Nie wiedziałem... – zawołał ochryple do Alice. – Nie miałem pojęcia, czy jeszcze żyjesz!

Josh uznał, że Quentin mówi do niego. Komiczną zwykle twarz miał szarą niczym popiół. Wyglądał jak duch, który zobaczył ducha.

– Wiem. – Zakaszłał paskudnie w zwiniętą pięść.

– Co się do diabła stało? Pokonałeś to coś?

Josh drżąc pokiwał głową.

– Tak jakby. Poczułem, że nadchodzi wielkie zakłęcie, więc mu się poddałem. Myślę, że w końcu poczułem to samo co wy. Stworzyłem taką spiralną czarną dziurę. Gościu popatrzył na nią, a potem na mnie tymi koszmarnymi złotymi oczami, a ona go po prostu wciągnęła. Głową naprzód. Po prostu go pożarła. Widziałem, jak wystają z niej tylko jego czerwone nogi i kopia, więc po prostu ją zniknąłem.

– A sprawdziłeś jego fiuta? Miał co pokazać!

Quentin i Alice objęli się w milczeniu. Inni też weszli do sali. Zaczęli się wymieniać opowieściami. Zupełnie jak na spotkaniu po latach. Jakimś cudem wszystkim udało się

wydostać z sali bankietowej bez obrażeń, a przynajmniej bez większych obrażeń. Anais pokazywała wszystkim spalone podczas ucieczki włosy na karku. Janet jako jedyna nie wydostała się przez boczne drzwi. Pobiegnęła na sam koniec sali, która jak się okazało, miała jednak kres, choć dotarcie tam zajęło jej całą godzinę. („Trzy lata biegów przełajowych”, powiedziała dumnie). Wypiła nawet kieliszek wina bez przykrych efektów ubocznych prócz lekkiego upojenia alkoholowego.

Wszyscy kręcili głowami. Co też przeżyli! Nikt w to nigdy nie uwierzy! Quentin czuł się tak zmęczony, że ledwie mógł myśleć: udało nam się, naprawdę nam się udało! Eliot puścił w obieg manierkę i wszyscy się napili. Początkowo to była gra, potem stała się straszliwie rzeczywista, ale teraz zaczęli się znów czuć jak w grze, w czymś takim, co sobie wyobrażali tamtego straszliwego cudownego poranka na Manhattanie. Dobra zabawa. Prawdziwa przygoda. Po chwili zabrakło im rzeczy do opowiadania, więc stali w kręgu, patrząc na siebie i kręcąc głowami z głupawymi pijackimi uśmiechami na twarzach.

Przerwał im głęboki suchy kaszel.

– Witajcie.

Powiedział to baran. Otworzył oczy.

– Witajcie, ziemskie dzieci. Ty też witaj – dodał, patrząc na Dinta – dzielne dziecię Fillory. Jestem Ember.

Usiadł. Miał dziwne poziome źrenice w kształcie orzeszków ziemnych, jak to bywa u owiec. Pokrywała go gruba wełna koloru bladego złota. Uszy sterczały mu komicznie pod ciężkimi rogami, które wyrastały z czoła i zakręcały się imponująco do tyłu.

Z nich wszystkich tylko Penny wiedział, co robić. Upuścił plecak i stanął przed baranem. Ukląkł na piasku i pochylił głowę.

– Szukaliśmy korony, a znaleźliśmy króla – powiedział

uroczyście. – Mój panie Emberze, to wielki honor i przywilej móc ci złożyć hołd.

– Dziękuję, moje dziecko.

Oczy barana przymknęły się równocześnie z powagą i z rozkoszą. Dzięki Bogu, tylko tyle Quentin zdołał pomyśleć. Dosłownie dzięki Bogu. To był naprawdę On. Tylko takie znajdował wyjaśnienie. Miał wrażenie, że nie dokonali czegoś specjalnie heroicznego, żeby zasłużyć na taką odmianę losu. Ember po prostu musiał ich tu sprowadzić. Ocalił ich. To było to, zamykanie rachunków. Wygrali. Czas na koronację.

Patrzył raz na Penny'ego, raz na barana. Słyszał szuranie butów na piaszczystej podłodze. Ktoś ukląkł koło Penny'ego. Quentin się nie obejrzał, żeby zobaczyć kto. Sam stał nadal. Z jakichś powodów nie czuł się gotowy uklęknąć, jeszcze nie. Zaraz to zrobi, za chwilę, bo ta chwila jakoś nie wydawała mu się właściwa. Choć byłoby miło – tyle czasu chodził. Nie miał pojęcia, gdzie podziąć ręce, więc splótł je nad krocem.

Ember coś mówił, jednak umysł Quentina prześlizgiwał się po powierzchni słów. Brzmiały dziwnie podobnie do frazesów – w książkach zawsze opuszczał przemowy Embera i Umbera. Jeśli się zastanowić, skoro to jest Ember, to gdzie się podziewa Umber? Zwykle nie widywało się ich osobno.

– ... z waszą pomocą. Już czas, byśmy odzyskali należną nam prawem władzę nad krainą. Razem wyruszymy stąd i przywrócimy Fillory chwałę, chwałę dawnych czasów, wielkich dni...

Słowa wpadały mu jednym uchem, wypadały drugim. Alice streści mu to potem. W książkach Ember i Umber zawsze sprawiali nieco złowieszcze wrażenie, tymczasem na żywo baran wcale nie wydawał się taki zły. Był nawet miły. Ciepły. Quentin rozumiał, dlaczego Fillorianie nie obawiali

się go jakoś szczególnie. Sprawiał wrażenie miłego pomarszczonego Mikołaja z supermarketu. Nie bierzesz kogoś takiego zbyt poważnie. Nie różnił się wyglądem od zwykłego barana, tyle że był większy i lepiej utrzymany, i roztaczał wokół siebie aurę czujnej obcej inteligencji, zdecydowanie mocniejszą, niż można by się spodziewać u zwykłej owcy. Efekt okazał się niespodziewanie zabawny.

Quentin miał trudności ze skupieniem się na słowach Embera. Czuł się pijany wyczerpaniem, ulgą i alkoholem z manierki Eliota. Z radością uzna potem prawdziwość wszelkich wielkich przemów, teraz natomiast chciał tylko wiedzieć, skąd dochodzi ten kuszący szemrzący dźwięk, ponieważ konał z pragnienia.

Przed nim, między kopytami Embera, leżała korona. Czy ktoś powinien o nią poprosić? Czy może da ją im, kiedy będzie gotów? To śmieszne, jak kwestia etykiety na prozanej kolacji. Podejrzewał, że baran zaraz da koronę Penny'emu w nagrodę za ten pokaz lizusostwa, a oni wszyscy staną się jego poddanymi. Może tylko tyle trzeba. Quentin niespecjalnie miał ochotę oglądać Penny'ego w roli Najwyższego Króla Fillory. Czy po tym wszystkim to Penny okaże się bohaterem tej małej przygody?

– Mam pytanie.

Jakiś głos przerwał staremu baranowi w połowie zdania. Quentin z zaskoczeniem stwierdził, że to jego głos.

Ember urwał. Był całkiem sporym zwierzęciem, miał z półtora metra w kłębie i czarne wargi. Jego wełna wyglądała na miłą w dotyku, jak chmurka. Quentin miał ochotę zanurzyć w niej twarz, rozplakać się w nią, a potem zasnąć. Penny odwrócił głowę i wybałuszył ostrzegawczo oczy.

– Nie chcę sprawiać wrażenia nadmiernie dociekliwego, ale jeśli jesteś, no wiesz, Emberem, jak to się stało, że leżysz tutaj, w tym lochu, a nie chodzisz po powierzchni, pomagając swemu ludowi?

Wszystko na jedną kartę. Nie chciał tak naprawdę robić z tego sprawy, chciał tylko wiedzieć, dlaczego musieli przejść przez tak wiele. Chciał to ustalić i zakończyć, nim ruszą dalej.

– To znaczy... a naprawdę brzmi to nieco bardziej dramatycznie, niż miałem zamiar... Jesteś bogiem, a tam na górze wszystko naprawdę się rozpada. To znaczy myślę, że masa ludzi się zastanawia, gdzie się podziewasz przez tyle czasu. To wszystko. Dlaczego pozwalasz swemu ludowi cierpieć w ten sposób?

Lepiej by było, gdyby powiedział to z szerokim bezczelnym uśmiechem, tymczasem jego słowa zabrzmiały drżąco i nieco płaczliwe. Za często powtarzał „to znaczy”, lecz stało się. Ember wydał dziwaczne beczenie. Jego zuchwa poruszała się bardziej na boki niż ludzka. Quentin widział jego gruby, sztywny, różowy barani język.

– Okaż trochę szacunku – szepnął Penny. Ember uniósł jedno czarne kopyto.

– Nie powinniśmy czuć się w obowiązku przypominać ci, ziemskie dziecię, że nie jesteśmy twoim sługą. – Ember powiedział to nie tak łagodnie jak dotąd. – Nie służymy twoim potrzebom, tylko swoim. Nie przybywamy i nie odchodzimy na twoje życzenie. To prawda, że znajdujemy się od jakiegoś czasu pod ziemią. Trudno powiedzieć jak długo, tak daleko stąd do słońca i jego podróży, ale co najmniej kilka miesięcy. Zło przybyło do Fillory i zło trzeba zwalczyć, a nie ma walki bez kosztów. Cierpimy, jak widzisz, na komplikację z tylną nogą.

Odwrócił nieco w tył długą złocistą głowę. Quentin dopiero teraz zobaczył, że jedna z jego tylnych nóg jest bezwładna. Ember trzymał ją sztywno, żeby ledwie dotykała kamienia. Nie mogła utrzymać jego ciężaru.

– Ja też czegoś nie rozumiem – odezwała się Janet. – Quentin ma rację. Jesteś bogiem tego świata. Albo jednym z

bogów. Czy to nie sprawia, że jesteś wszechmocny?

– Istnieją Wyższe Prawa, które przekraczają możliwości twojego pojmowania, córko. Moc do tworzenia porządku to jedna rzecz. Moc do niszczenia to co innego. Zawsze są w równowadze. Łatwiej jednak jest zniszczyć, niż stworzyć, a istnieją tacy, w których naturze leży miłość do niszczenia.

– Dlaczego więc stworzyłeś coś na tyle silnego, że mogło ci zrobić krzywdę? Albo Twoim poddanym? Dlaczego nam nie pomogłeś? Masz pojęcie, co przeszliśmy? Jak bardzo cierpieliśmy?

Surowe spojrzenie.

– Wiem wszystko, córko.

– Dobra, więc wiedz i to. – Janet oparła ręce na biodrach. Uderzyła w niespodziewanie pełną goryczy nutę. – My, ludzie, jesteśmy przez cały czas nieszczęśliwi. Nienawidzimy siebie i nienawidzimy się nawzajem, a czasami chcielibyśmy, żebyś ty czy kto tam inny nigdy nie stworzył nas ani tego głównianego świata. Wiedziałaś o tym? Więc następnym razem może pomyśl, nim zrobisz taką głównianą robotę.

Po jej wybuchu zapadła dzwoniąca w uszach cisza. Pochodnie migotały na ścianach. Pozostawiały po sobie kominy z sadzy ciągnące się aż po kopulasty sufit. Janet powiedziała prawdę. To go rozzłościło. I zdenerwowało.

– Jesteś zła, córko. – Oczy Embera przepełniała dobroć.

– Nie jestem twoją córką. – Założyła ramiona na piersi.
– I tak bez jaj, jestem zła.

Stary baran westchnął głęboko. W jego wielkich wilgotnych oczach zakreśliła się łza, przelała się i wsiąkła w złociste runo na policzku. Wbrew sobie Quentin pomyślał o dumnym Indianinie ze starych reklam społecznych. Stojący za nim Josh pochylił się i szepnął mu na ucho:

– Facet, Janet doprowadziła Embera do płaczu!

– Fala zła znajduje się u szczytu – ciągnął baran

niczym polityk trzymający się nieustępliwie swego przesłania. – Jednak teraz, kiedy przybyliście, fala się odwróci.

Ależ nie. Nagle Quentin zyskał pewność. Uświadomił to sobie w jednym krótkim paskudnym przebłysku świadomości.

– Jesteś tutaj wbrew swojej woli – powiedział. – Jesteś tu więźniem. Prawda?

Jednak to jeszcze nie był koniec.

– Człowieku, tylu rzeczy nie rozumiesz. I jesteś ciągle dzieckiem.

Quentin go zignorował.

– O to chodzi, prawda? Dlatego tu jesteś? Ktoś cię tu wsadził i nie możesz wyjść. To nie zadanie, tylko misja ratunkowa.

Stojąca obok Alice zakryła usta obiema rękami.

– Gdzie jest Ember? – spytała. – Gdzie twój brat?

Nikt się nie ruszył. Długi pysk barana i czarne wargi pozostały nieruchome, ich wyraz nieodgadniony.

– Mmm... – Eliot potarł podbródek, oceniając spokojnie sytuację. – To możliwe.

– Ember nie żyje, prawda? – spytała Alice tępo. – A to miejsce nie jest grobowcem, tylko więzieniem.

– Albo pułapką – dodał Eliot.

– Ludzkie dzieci, posłuchajcie mnie – zaintonował Ember. – Są Prawa, które sięgają dużo dalej niż wasze pojmowanie. My...

– Usłyszałam już dość o tym, co potrafię pojąć, a czego nie – warknęła Janet.

– Kto to zrobił? – Eliot wpatrzył się w piasek, zastanawiając się szybko. – Kto miał dość siły, żeby zrobić to Emberowi? I dlaczego? Zapewne to Nadzorczyńni Czasu, niemniej to dziwne.

Quentin poczuł ciarki na plecach. Obejrzał się na

mroczne kąty jaskini. Już niedługo to coś, co złamało Emberowi nogę, zjawi się tutaj i będą musieli znów walczyć. Nie wiedział, czy zniesie kolejną potyczkę. Penny nadal klęczał, lecz kark mu poczerwieniał.

– Może już czas użyć starego dobrego guzika – rzekł Josh. – Wrócić do Ni Tu Ni Tam.

– Mam lepszy pomysł – powiedział Quentin.

Musieli zyskać kontrolę nad sytuacją. Mogli się teraz wycofać, lecz pod samym nosem mieli koronę. Byli tak blisko. Niemal w domu. Nadal mogli wygrać, jeśli tylko wymyślą sposób na przedarcie się do końca historii. Jeśli uda im się przetrwać jeszcze jedną scenę.

Uświadomił sobie, że wie, jak to zrobić.

Penny rzucił swój plecak na piaszczystą podłogę. Quentin pochylił się i pogrzebał w nim. Oczywiście Penny wcisnęła to cholerstwo na samo dno, ale wreszcie wśród batonów energetyzujących, wielofunkcyjnych scyzoryków i zapasowych slipek znalazł to, czego szukał, zawinięte w czerwoną chustkę.

Róg wydał mu się mniejszy, niż zapamiętał.

– Pamiętacie, co powiedziała nimfa? – spytał, pokazując go pozostałym. – Kiedy zniknie wszelka nadzieja? Czy jakoś tak?

– Nie powiedziałbym, że znikła wszelka nadzieja... – zaprotestował Josh.

– Pokaż – polecił władczo Dint. Zrobił się wyraźnie milczący od czasu, kiedy Ember się obudził. Anais trzymała go za ramię.

Quentin go zignorował. Wszyscy zaczęli mówić równocześnie. Penny i baran uwikłali się w jakąś gwałtowną sprzeczkę kochanków.

– Interesujące – rzekł Eliot. Wzruszył ramionami. – Może zadziałać. Wolę spróbować tego, niż wracać do Miasta. Jak sądzicie, co się zjawi?

– Ludzkie dziecię! – zawołał baran głośno. – Ludzkie dziecię!

– Jazda, Quen – powiedziała Janet. Była bledsza niż powinna. – Już czas. Jazda.

Alice tylko z powagą pokiwała głową.

Srebrny ustnik miał metaliczny smak, kiedy Quentin przyłożył go do ust, jak miedziak albo bateria. Nabrał tchu tak mocno, że poczuł ostry ból w ranionych strzałą plecach. Nie bardzo wiedział, co dokładnie należy zrobić – wydać wargi jak trębacz czy po prostu dmuchnąć jak w kazoo? – ale róg z kości słoniowej wydał czysty, równy wysoki dźwięk, tak delikatny i zaokrąglony jak z waltorni w rękach doświadczonego muzyka. Wszyscy zamilkli i obejrzeni się na Quentina. W zasadzie dźwięk nie był głośny, lecz sprawił, że wszystko wokół ucichło, aż nagle stał się jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu, które wibrowało jego czystą prostą mocą. Wydawał się taki naturalny i doskonały, pojedyncza nuta, która brzmiała jak wielki akord. Ciągnęła się i ciągnęła. Quentin dmuchał, póki starczyło mu tchu.

Dźwięk odbił się echem i zniknął, jakby się nigdy nie rozległ. W jaskini zapanował bezruch. Przez chwilę Quentin czuł się śmieszny, jakby zadał w trąbkę zabawkę. Czego się spodziewał? Nie miał pojęcia.

Z podestu, na którym spoczywał Ember, dobiegło ich pociągnięcie nosem.

– O dziecię – rozległ się głęboki głos barana. – Czy masz pojęcie, co zrobiłeś?

– Wydostałem nas z tego klopsu. Oto co zrobiłem.

Baran dźwignął się na nogi.

– Żałuję, że przybyliście – powiedział. – Ziemskie dzieci. Nikt was nie prosił o przybycie. Przykro mi, że nasz świat nie jest rajem, którego szukacie. Nie został stworzony dla waszej zabawy. Fillory – policzki mu zafalowały – to nie park rozrywki, gdzie możecie się bawić z przyjaciółmi

mieczami i koronami.

Wyraźnie próbował opanować jakieś silne uczucie. Quentinowi zabrakło chwili rozpoznania go. To był strach. Stary baran się nim dławiał.

– Nie po to tu przybyliśmy, Emberze – powiedział cicho.

– Czyżby? – spytał Ember *basso profundo*. – Nie, oczywiście, że nie. – Trudno było zajrzeć mu w te dziwne oczy o wilgotnych żółtych białkach i czarnych źrenicach w kształcie leżących poziomo ósemek, symbolu nieskończoności. – Przybyłeś tu, by nas ocalić. Przybyłeś tu, by zostać naszym królem... Powiedz mi coś, Quentinie. Jak mogłeś mieć nadzieję, że nas ocalisz, skoro nie potrafisz nawet ocalić siebie?

Quentinowi darowana została konieczność odpowiedzi, ponieważ właśnie wtedy zaczęła się katastrofa.

W jaskini pojawił się mały człowiek w schludnym szarym garniturze. Jego twarz zakrywała gałąź o gęstych liściach, która wisiała w powietrzu. Wyglądał dokładnie tak, jak Quentin go zapamiętał. Ten sam garnitur, ten sam klubowy krawat. Jego twarz była równie nieczytelna. Różowe wypiełgnowane ręce trzymał złożone dostojnie na brzuchu. Quentin miał takie wrażenie, jakby nigdy nie wyszedł z sali wykładowej, gdzie ten człowiek pojawił się po raz pierwszy. Podejrzewał, że w pewnym sensie naprawdę nigdy jej nie opuścił. Przerazenie okazało się tak absolutne, tak wszechogarniające, że niemal napełniło go spokojem. Poczłł absolutną, niezachwianą pewność, że teraz wszyscy zginą.

Potwór przemówił.

– Jak sądzę, to moje wezwanie. – Ton miał łagodny, akcent jak z angielskich wyższych sfer.

Ember zaryczał. Potężny dźwięk wstrząsnął salą, aż z sufitu odpadł stalaktyt i rozbił się na podłodze. Wnętrze pyska Emebra pokrywały plamy, różowe i czarne. W owej

chwili baran nie wyglądał już śmiesznie. Pod mięciutką wełną kryły się potężne mięśnie jak skały pod mchem, a pozebrowane rogi były grube i twarde jak kamień – zawijały się w pełne okręgi, więc dwa ostre czubki sterczały do przodu. Zaszarżował głową naprzód z kamiennego cokołu prosto na człowieka w szarym garniturze.

Potwór odtrącił go na bok niespiesznym ruchem ręki. Gest sprawiał wrażenie niemal niedbałego, niemniej Ember poleciał w bok jak rakieta i walnął w skałę z paskudnym kłapnięciem, jakby nie miał kości. Fizyka tego upadku wydawała się jakaś dziwna, jakby baran był lekki niczym liść, a Potwór gęsty jak materia czerwonego karła. Ember osunął się bezwładnie na podłogę.

Pozostał tam, gdzie upadł. Potwór strzepnął końcami palców kłaczek wełny ze swego nieskazitelnego szarego rękawa.

– Zabawna sprawa z tymi starymi bogami – powiedział.
– Można by przypuszczać, że tylko dlatego, że są starzy, trudno będzie ich uśmiercić. Tymczasem kiedy zaczyna się walka, padają jak wszyscy inni. Nie są silniejsi, są po prostu starsi.

Za Quentinem rozległo się szuranie na piasku. Zaryzykował spojrzenie przez ramię: Dint odwrócił się na pięcie i wyszedł z sali. Potwór nie próbował go zatrzymać. Quentin podejrzewał, że ich nie wypuściłby tak łatwo.

– Tak, to jeden z moich – powiedział Potwór. – I Farvel też, jeśli chcecie znać całą prawdę. Ta brzoza, pamiętacie ją? Większość z nich jest moja. Czas barana się skończył. Fillory to teraz mój świat.

Nie przechwalał się, po prostu stwierdzał fakty. Pieprzony Dint, pomyślał Quentin. A ja udawałem, że podoba mi się jego głupi pas.

– Wiedziałem, że po mnie przyjdziecie. To żadna niespodzianka. Czekałem na was od lat. Czy jesteście tu

naprawdę wszyscy? To marny dowcip, wiecie. – Wydał pełne niedowierzania prychnięcie. – Nie macie żadnych szans. – Westchnął. – Jak sądzę, już mi to nie będzie potrzebne. Prawie do niej przywykłem.

Niemal obojętnie chwycił gałąź, która wisiała mu przed twarzą, w kciuk i palec wskazujący, jakby to były okulary od słońca, i odrzucił ją na bok.

Quentin się skulił – nie chciał zobaczyć prawdziwej twarzy Potwora. Tymczasem okazało się, że nie miał się czego bać. Twarz okazała się całkiem zwyczajna. Mogła należeć do agenta ubezpieczeniowego: okrągła, łagodna, o miękkim podbródku, chłopięca.

– Nic? Nie poznajecie mnie?

Potwór podszedł do kamiennego postumentu, wziął koronę, która nadal tam leżała, i włożył ją sobie na posiwiałe skronie.

– Mój Boże – jęknął Quentin. – Ty jesteś Martin Chatwin.

– We własnej osobie – stwierdził Potwór wesoło. – A niech mnie. Patrzcie tylko, jak wyrosłem.

– Nie rozumiem – powiedziała Alice drżącym głosem. – Jak możesz być Martinem Chatwinem?

– Przecież wiedzieliście? Czy nie po to przybyliście tutaj? – Przyjrzał się ich twarzom, lecz nie zobaczył w nich odpowiedzi. Zamarli, choć tym razem nie z powodu magii, tylko normalnie sparaliżowani strachem. Zmarszczył brwi. – Cóż, mam wrażenie, że to bez znaczenia. Ale sądziłem, że o to chodzi. To dość obraźliwe, naprawdę.

Wydał demonstracyjnie usta jak smutny klaun. Widok mężczyzny w średnim wieku zachowującego się jak angielski uczeń był dość niepokojący. Naprawdę mieli przed sobą Martina. Wcale nie dorósł. Wydawał się dziwnie mały i aseksualny, jakby przestał rosnąć w chwili, kiedy uciekł do tego lasu.

– Co ci się stało? – spytał Quentin.

– Co się stało? – Potwór rozłożył triumfalnie ramiona. – No cóż, dostałem to, czego chciałem. Udałem się do Fillory i nigdy nie wróciłem!

Wszystko zaczynało się stawać jasne. Martin Chatwin nie został pożarty przez potwory, sam zmienił się w jednego z nich. Znalazł to, czego pragnął, znalazł sposób na pozostanie w Fillory na zawsze, na ucieczkę od prawdziwego świata. Cena za to okazała się jednak wysoka.

– Nie zamierzałem wracać na Ziemię, kiedy zobaczyłem Fillory. No wiecie, nie można pokazać człowiekowi raj, a potem mu go odebrać. Tak robią bogowie. Ja jednak mówię: do diabła z bogami. Nie do wiary, co można osiągnąć, jeśli się przyłożyć. Zawarłem wiele bardzo interesujących znajomości w Mroczniejącym Lesie. Bardzo pomocnych. – Mówił przyjaźnie, z ekspresją, jakby wznosił toast na przyjęciu. – Pomyślcie, co trzeba zrobić, by dokonać takiej magii! No cóż, człowieczeństwo to pierwsza rzecz, którą trzeba poświęcić. Nie można pozostać człowiekiem, kiedy się zrobi takie rzeczy, jakie ja zrobiłem. Kiedy się wie to, co ja wiem. Wcale mi teraz tego nie brakuje.

– Znajomości – powiedział Quentin ponuro. – Masz na myśli Nadzorczynię Czasu.

– Nadzorczynię Czasu! – Martin najwyraźniej uznał to za bardzo śmieszne. – A niech mnie. Zabawne. Czasami zapominam, co jest w tych książkach. Byłem tu bardzo długo, wiecie. Nie czytałem ich od wieków. Nie, nie Nadzorczynię Czasu. O rany, przy tych, z którymi się zadawałem, ona sprawia wrażenie... no cóż, takie jak wy. To amatorka. Ale dość tych pogaduszek. Kto ma guzik?

Guzik znajdował się oczywiście w plecaku Penny'ego, który leżał u stóp Quentina. Ja to zrobiłem, pomyślał Quentin z okropnym dreszczem. Dwa razy. Wezwałem Potwora. Jestem przekleństwem dla wszystkich wokół mnie.

– Guzik, guzik, kto ma guzik? Kto go ma?

Penny zaczął się cofać przed tym czymś w szarym garniturze, równocześnie zaczynając zakłęcie – może kolejną tajną broń. Quentin nie rozpoznawał słów. Martin poruszał się niewiarygodnie szybko, jak atakująca jadowita ryba. Bez wysiłku błyskawicznie chwycił jedną ręką oba nadgarstki Penny’ego. Penny wyrywał się z całych sił, pochylił się i kopnął Martina w brzuch, a potem zaparł się nogami o jego pierś i pchnął, próbując się uwolnić. Stękał przy tym z wysiłku. Potwór ledwie to zauważył.

– Obawiam się, chłopcze, że nic z tego – powiedział.

Otworzył usta szeroko, za szeroko, jakby miał szczęki pozbawione stawów jak waż, i wziął do ust obie ręce Penny’ego. Odgryzł mu je na wysokości nadgarstków.

Nie było to czyste cięcie. Martin Chatwin dysponował tylko tępymi ludzkimi zębami. Brakowało mu klów drapieżnika, więc musiał potrząsać tą swoją dorosłą głową, żeby zmiażdżyć kości i odgryźć dłonie Penny’ego. Potem puścił go, żując energicznie. Penny padł na piasek na plecy, z kikutów jego rąk tryskała krew tętnicza. Po chwili przekręcił się na brzuch i kikuty znalazły się pod nim. Kopał nogami, jakby poddawano go elektrowstrząsom. Nie krzyczał, tylko wydawał gwałtowne, sapiące dźwięki, wciskając twarz w ziemię. Jego buty szurały po piasku.

Potwór przełknął raz, drugi, grdyka podskakiwała mu gwałtownie. Uśmiechnął się niemal zażenowany, unosząc palec, kiedy przeżuwał: dajcie mi chwilę. Zmrużył z rozkoszą oczy.

– Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa... – zawodził ktoś wysokim, zrozpaczonym głosem. Anais.

– A teraz – powiedział Martin Chatwin, kiedy znów mógł mówić – poproszę o guzik.

Zagapili się na niego.

– Dlaczego? – spytał Eliot drętwo. – Czym ty jesteś?

Martin wyjął chusteczkę i otarł krew Penny'ego z kącika ust.

– No cóż, tym, za kogo uważaliście to. – Wskazał na nieruchome ciało Embera. – Jestem bogiem.

Klatkę piersiową Quentin miał tak ściśniętą, że oddychał nieregularnie i z trudem, wdech i wydech.

– Po co ci guzik? – spytał.

Rozmowa była dobra. Lepsza niż zabijanie.

– Och, dokańczam sprawę – odparł Martin. – Myślałem, że to oczywiste. Te guziki to jedyna rzecz, która mogłaby mnie zmusić do powrotu na Ziemię. Zebrałem prawie wszystkie. Prócz tego, który wy macie, został jeszcze jeden. Nie mam pojęcia, skąd króliczki je wzięły. Nadal tego nie rozgryzłem. Czy wiecie, że kiedy uciekłem, ścigali mnie jak zwierzę? Moje własne rodzeństwo! Chcieli mnie sprowadzić do domu. Jak zwierzę! – Na chwilę zniknęły jego doskonałe maniery. – Później Ember i Umber też zaczęli mnie szukać, próbowali mnie deportować, tylko że wtedy było już na to za późno. Dużo za późno. Stałem się za silny nawet dla nich. Ta głupia cipa, Nadzorczyńni Czasu, nadal nad tym pracuje z tymi swoimi przeklętymi zegarowymi drzewami. Babrze się w czasie. Już teraz ich korzenie przerastają połowę tego cholernego świata. Ona jest następna w kolejce, ciągle ma guzik. Ostatni. Kiedy dorwę i ten, naprawdę nie będzie już sposobu, żeby się mnie pozbyć.

Penny przewrócił się na bok. Spojrzał na Quentina, na jego twarzy malował się dziwnie ekstatyczny wyraz, choć była bledsza niż kiedykolwiek i zapiaszczona. Zamknął oczy. Przyciskał mocno kikuty rąk do piersi. Koszulę miał mokną od krwi.

– Czy to bardzo źle wygląda, Quen? – spytał. – Ja nie spojrzę, ty mi powiedz. Jak bardzo jest źle?

– Nic ci nie będzie, stary – wymamrotał Quentin.

Na te słowa Martin nie mógł się powstrzymać od

wesołego chichotu. Mówił dalej:

– Oczywiście wróciłem z własnej woli raz czy dwa. Raz, żeby zabić tego starego pedała Plovera. – Jego gładkie czoło zmarszczyło się w zamyśleniu. – Zasłużył sobie na to. Nawet na więcej. Szkoda, że nie mogę go zabić po raz drugi. No i wpadłem na chwilę, kiedy profesor March pokręcił zaklęcie. Tylko żeby się rozejrzeć, sądziłem, że ktoś w Brakebills coś szykuje. Czasami zdarza mi się przeczuwać przyszłość. Wygląda na to, że miałem rację. Choć chyba zjadłem niewłaściwą studentkę. – Martin klasnął w ręce i zatarł je wyczekująco. – Zresztą to już przeszłość – powiedział z ożywieniem. – Dawajcie guzik.

– Ukryliśmy go – oświadczyła Alice. – Tak jak twoja siostra Helen. Zakopaliśmy ten guzik. Zabij nas, a nigdy go nie znajdziesz;

Moja odważna Alice. Quentin ścisnął jej rękę. Ja to na nas sprowadziłem. Nie mógł zapanować nad drżeniem kolan.

– Och, dobre zagranie, dziewczynko. Czy mam wam zacząć odgryzać po kolei głowy? Myślę, że mi powiesz, nim do tego dojdzie.

– Zaczekaj, dlaczego w ogóle chcesz nas zabić? – spytał Quentin. – Pieprzyć to, po prostu damy ci guzik, a ty nas zostawisz w spokoju.

– Och, bardzo bym chciał, Quentinie, naprawdę. Musisz jednak zrozumieć, że to miejsce cię przemienia. – Martin westchnął i pomachał dodatkowymi palcami, jego ręce wyglądały jak blade pająki. – Dlatego barany nie chciały, żeby ludzie zostawali tu zbyt długo. Wygląda na to, że ja zaszedłem już niemal za daleko. Mam teraz prawdziwe upodobanie do ludzkiego mięsa. Nigdzie się nie wybieraj, Williamie – dodał, trącając wijące się ciało Penny'ego czubkiem buta. – Fauny po prostu nie mają takiego smaku.

William, pomyślał Quentin. To musi być prawdziwe

imię Penny'ego. Nigdy wcześniej go nie słyszał.

– I jak zapewne zdajesz sobie sprawę, nie mogę pozwolić wam tu biegać luzem i próbować mnie obalić. Coś takiego kwalifikuje się jako zdrada. Czy wszyscy zauważyli, że okaleczyłem waszego głównego zaklinacza? Rozumiecie, jakie to ma skutki?

– Ty żaloszny gnojku – powiedział Quentin spokojnie. – Nie było warto, prawda? To właśnie jest zabawne. Przybyłeś tu z tej samej przyczyny co my. I jesteś teraz szczęśliwy? Znalazłeś to, czego szukałeś? Nie ma sposobu na ucieczkę od samego siebie. Nawet w Fillory.

Martin zawarczał i skoczył naprzód, pokonując jednym susem te dziesięć metrów, które dzieliły go od Quentina. W ostatniej chwili Quentin rzucił się do ucieczki, lecz Potwór już skoczył mu na plecy, wbijając zęby w ramię, ramionami obejmując pierś. Szczęki Potwora zacisnęły się niczym wielkie głodne szczypce, zgmiotły mu obojczyk. Który się wygiął i zatrzeszczał paskudnie.

Kiedy szczęki się przesunęły, poprawiając chwyt, Quentin usłyszał własny jęk. Wydał go, gdy powietrze uchodziło mu z płuc. Tak bardzo bał się bólu, ale kiedy nadszedł, tak naprawdę nie był to ból, tylko nacisk, niewiarygodny, niemożliwy do zniesienia nacisk. Nie mógł oddychać. Przez chwilę myślał, że może uda mu się wykonać jakieś zaklęcie, może coś wielkiego i dziwnego, jak to, co zrobił pierwszego dnia w Brakebills, podczas egzaminu, nie mógł jednak nawet mówić, nie wspominając już o intonowaniu zaklęcia. Sięgnął za siebie rękami – może odszuka kciukami oczy Martina albo wyrwie mu uszy – lecz mógł go tylko pociągnąć za rzadkie posiwiałe włosy.

Dyszenie Martina brzmiało w jego uszach jak ryk, jak sapanie podczas uprawiania seksu. Chatwin nadal wyglądał prawie jak człowiek, choć z tak małej odległości bardziej przypominał zwierzę, dyszące i warczące, i

śmierdzące zwierzę. Quentinowi zaczęły lecieć z oczu łzy. Wszystko się teraz kończyło, oto wielki finał. Zostanie zjedzony żywcem przez Chatwina z powodu guzika. Uznał, że to niemal zabawne. Zawsze zakładał, że przeżyje. Przecież każdy tak zakłada, prawda? Pomyślał, że miało być zupełnie inaczej. Musiał być lepszy sposób. Gdzie popełnił pierwszy błąd? Tak wiele ich popełnił.

Nagle nacisk znikł, a Quentinowi zaczęło dzwonić w uszach. Palce obu rąk Alice, obejmujące niebiesko-czarny rewolwer Janet, były blade, podobnie jak twarz, ręce natomiast zupełnie spokojne. Strzeliła jeszcze dwa razy z boku, w żebra Martina, a kiedy odwrócił się do niej, trzeci raz prosto w pierś. Strzępki garnituru i krawata Potwora spadały na ziemię.

Quentin rzucił się do przodu jak prymitywna ryba, wylaząca na piaszczysty brzeg i dysząca, gotowa na wszystko, byle uciec. Teraz nadchodził prawdziwy ból. Prawą rękę miał bezwładną i niezupełnie tak mocno przytwierdzoną do ciała jak do tej pory. W ustach czuł smak krwi. Usłyszał dwa kolejne strzały Alice.

Kiedy uznał, że oddalił się dostatecznie, zaryzykował spojrzenie w tył. Pole widzenia na brzegach robiło się szare. Zmieniało się w niewielkie kółko, jak w ostatnich kadrach kreskówek ze świnką Porky. Widział jednak, że Alice i Martin Chatwin stoją naprzeciwko siebie w odległości dziesięciu kroków na pustej, zapiaszczonej podłodze.

Skończyły jej się kule. Rzuciła rewolwer Janet.

– Dobra – powiedziała cicho. – Zobaczymy, czego nauczyli cię przyjaciele.

Jej głos wydawał się bardzo słaby w cichej jaskini, lecz nie było w nim strachu. Martin przyglądał się jej z pełnym konsternacji zaciekawieniem. Przekrzywił głowę. O czym ona myśli? Czy naprawdę zamierza z nim walczyć? W ciszy upłynęło dziesięć długich sekund.

I wtedy rzucił się na nią. Jednak Alice się tego spodziewała. Jako jedyna. Bez ostrzeżenia rzucił się na nią z miejsca – najpierw trwał nieruchomo, a potem jego sylwetka rozmazała się w ruchu. Quentin nie miał pojęcia, jak zdołała tak szybko zareagować, skoro on ledwie widział ruchy Martina, lecz nim Potwór pokonał połowę dzielącej ich odległości, Alice poderwała go w powietrze, gdzie żałośnie przebierał nogami pochwycony w bezwzględne zaklęcie kinetyczne. Walnęła nim o ziemię tak mocno, że się odbił.

Wstał niemal natychmiast, wygładził garnitur i rzucił się na nią ponownie bez żadnego przygotowania. Tym razem usunęła się w bok, jak matador, i przeleciał obok niej. Teraz Alice poruszała się równie szybko – musiała skrócić swój czas reakcji, jak Penny wtedy ze strzałą. Z wielkim wysiłkiem Quentin dźwignął się z ziemi do pozycji półsiedzącej, ale wtedy coś się zerwało w jego piersi i upadł z powrotem.

– Kumasz? – spytała Alice Martina. W jej głosie pobrzmiwała rosnąca pewnośc siebie, jakby zaczynało jej się podobać ryzyko, które podjęła. – Nie zauważyłeś tego, prawda? A to tylko proste flamandzkie zaklęcie. Nic poza tym. Jeszcze nawet nie doszłam do zaklęć wschodnich.

Z trzaskiem Potwór oderwał stalagmit i cisnął nim w Alice, jednak kamienna strzała wybuchła w powietrzu, nim do niej dotarła. Kawałki rozprysnęły się we wszystkich kierunkach. Quentin nie nadażał za wydarzeniami, miał jednak wrażenie, że nie ona to zrobiła. Inni musieli ją wspierać. Falanga z Alice na czele.

Choć Alice znacznie przewyższała ich wszystkich – może jeden nieszczęsny Penny zdołałby nadażyć za tym, co robiła – Quentin nigdy by nie przypuszczał, że odważy się posunąć tak daleko. On też był czarodziejem, ale daleko mu było do jej mistrzostwa. Nie miał pojęcia, że przewyższa go

aż tak bardzo. Jeszcze nie tak dawno zapewne poczułby zazdrość, lecz teraz przepelniała go duma. Jego Alice. Piasek poderwał się z sykiem z podłogi niczym rój rozwścieczonych pszczoł i owinał się wokół głowy Martina jak całun, próbując wcisnąć mu się do ust, nosa i uszu. Martin jak oszalały zaczął machać rękami.

– Och, Martinie. – Na wargach Alice pojawił się niemal przewrotny uśmiech. – Na tym właśnie polega kłopot z potworami. Żadnej podbudowy teoretycznej. Nikt nigdy nie zmusił cię do opanowania podstaw, prawda? Gdyby tak się stało, z pewnością byś nie uległ...

Oślepiiony Martin wszedł prosto w kulę ognia *a la* Penny, która wybuchła wokół niego. Alice jednak nie czekała na rezultaty. Nie mogła sobie na to pozwolić. Jej usta poruszały się przez cały czas, ręce bez przerwy wykonywały płynne, niespieszne ruchy, jedno zakłęcie przechodziło płynnie w następne. Wszystko sprawiało wrażenie rozgrywki szachowej o wysoką stawkę. Po kuli ognia pojawiło się połyskliwe kuliste więzienie, a potem trujący deszcz Magicznych Pocisków – musiała w jakiś sposób doładować to zakłęcie, ponieważ powstało ich kilka, a nie jeden. Piasek poderwany wcześniej z podłogi ułożył się w pozbawionego twarzy szklanego golema, który zdążył wymierzyć dwa proste i jeden sierpowy, nim Martin rozbił go własnym uderzeniem mocy. Wydawał się zdezorientowany. Jego okrągła angielska twarz była teraz złowieszczo czerwona. Na ramionach osiadł mu wielki, miążdzący ciężar, jakiś rodzaj niewidzialnego jarzma. Zmusił go do przyklęknienia na jedno kolano.

Anais cisnęła w Martina żółtą błyskawicą, która pozostawiła podbiegnięty krwią powidok na siatkówce Quentina, a Eliot i Josh, i Janet chwycili się za ręce i wysyłali grad kamieni, który walił Potwora w plecy. Salę wypełniły zachodzące na siebie zakłęcia. Martin nie zważał

na nie, widział jedynie Alice.

Z półprzysiadu rzucił się na nią przez kurtynę piasku, a wówczas Alice owinęła się jakiegoś rodzaju zbroją. Quentin nigdy takiej nie widział, była srebrna i przezroczysta – co chwila pojawiała się i znikła. Palce Potwora ześlizgiwały się z niej. Wraz ze zbroją Alice stworzyła skrzącą się żerdź, którą zaczęła obracać jedną ręką, a potem wymierzyła nią Martinowi uderzenie w brzuch. Między nimi pojawiły się iskry.

– Spektralna Tarcza Fergususa! – wykrzyknęła. Dyszała ciężko. Martin wbijał w nią zaczerwienione oczy. – Podoba ci się? Prawda? Bardzo podstawowa sprawa. Z drugiego roku! No ale ty nie zawracałeś sobie głowy nauką, prawda, Martinie? Nie przeżyłbyś w Brakebills godziny!

Quentin nie mógł znieść widoku jej samotnych zmaganiań. Oderwał policzek od zapiaszczonej podłogi i spróbował rzucić zaklęcie, jakiegokolwiek, choćby po to, żeby odwrócić uwagę Potwora, lecz jego wargi nie chciały wypowiadać słów. Palce mu zdrętwiały. Sfrustrowany uderzył pięścią w podłogę. Nigdy dotąd nie kochał Alice tak bardzo. Miał wrażenie, że przesyła jej swoją siłę, choć wiedział, że ona tego nie czuje.

Alice i Martin mocowali się zajadle przez dobrą minutę. Zaklęcie tarczy musiało mieć wmontowane podstawy sztuk walki, ponieważ Alice z wprawą wymachiwała swą świetlistą pałką, teraz już oburącz. Dług był zaostrzony z jednego końca. Zadawała nim rany. Choć włosy przylepiły się jej do spoconego czoła, nie pozwoliła sobie nawet na sekundę dekoncentracji. Po kolejnej minucie zbroja znikła – zaklęcie musiało się rozproszyć – a wówczas Alice sprawiła, że wokół Potwora zamarzło powietrze. Wyglądał jak kunsztownie wykonana mumia ze szronu. Nawet ubranie mu zamarzło i połamało się w drzazgi. Stał teraz nagi, z białym rybim brzuchem.

Nagle omal nie pochwycił jej ręki. Alice znów stała się dziewczynką, małą i bezbronną.

Nie na długo jednak. Wypluła przez zęby dziką sekwencję sylab i zmieniła się w płową lwicę z białą krawatką na piersi. Oboje z Martinem padli na ziemię, siłując się, dysząc, próbując się nawzajem pogryźć. Alice ryczała i kopała tylnymi łapami, usiłując rozerwać mu brzuch.

Janet krążyła wokół walczących. Próbowwała załadować rewolwer, lecz wciąż upuszczała naboje na ziemię. Zresztą i tak nie zdołałaby wycelować, zbyt ciasno spleli się ze sobą. W następnej chwili Potwór znalazł się w zabójczych pierścieniach olbrzymiej nakrapianej anakondy, potem Alice zmieniła się w orła, w wielkiego brunatnego niedźwiedzia, aż wreszcie w straszliwego skorpiona wielkości człowieka, ze szczypcami i jadowitym żądłem wielkości dźwigu, i przysiadła na plecach Martina Chatwina. Kiedy walczyli, wokół nich rozbłyskiwało światło i strzelały błyskawice. Ich ciała uniosły się z ziemi. Potwór znajdował się teraz na górze, a Alice rozrosła się bardzo, stając się wielkim, leżącym na grzbiecie białym smokiem. Jej wielkie skrzydła waliły w piach, rozganiając gapiów. Potwór urósł wraz z nią, teraz Alice walczyła z olbrzymem. Wbiła w przeciwnika pazury i prosto w jego twarz wydała wrzask będący rwącym potokiem niebieskiego ognia, jak wydech silnika odrzutowego.

Przez jakąś minutę Martin skręcał się w jej uścisku. Zniknęły jego brwi, miał komicznie poczerniałą twarz. Quentin słyszał, jak Alice-smok dyszy ciężko. Potwór zadrgał i na chwilę znieruchomiał. Potem jakby zebrał się w sobie i raz, bardzo mocno, uderzył Alice prosto w twarz.

Natychmiast znów stała się człowiekiem. Nos jej krwawił. Martin zręcznie przetoczył się na bok i wstał. Choć był nagi, wyciągnął skądś czystą chusteczkę i wytarł sadzę

z twarzy.

– Cholera – jęknął Quentin. – Niech ktoś coś zrobi! Pomóżcie jej!

Janet włożyła ostatni nabój i wystrzeliła, po czym cisnęła rewolwerem. Odbił się od tyłu głowy Martina Chatwina, nie burząc mu nawet fryzury.

– Pierdol się! – wrzasnęła.

Martin ruszył w stronę Alice. Nie. To się musi skończyć.

– Hej, dupku! – udało się zawołać Quentinowi. – Zapomniałeś o czymś.

Splunął krwią i uciekł się do swego najlepszego kubańskiego akcentu. Głos łamał mu się histerycznie.

– Przywitaj się z moim przyjacielem!

Wyszeptał słowa, których nauczył go Fogg w noc rozdania dyplomów. Wcześniej wyobrażał sobie tę chwilę setki razy. Kiedy wypowiedział ostatnią sylabę, coś wielkiego i twardego zaczęło mu się wyrywać spod koszuli, drapiąc skórę na plecach.

Zauważył, że jego demon nosi okrągłe okulary założone za spiczaste uszy. Co jest, kurwa? Dostał mu się demon w okularach? Stał przed Quentinem niepewny, co robić. Sprawiał wrażenie zamyślnego i uczonego. Wyraźnie nie wiedział, z kim ma walczyć.

– Z tym gołym facetem – odpowiedział Quentin ochrypłym szeptem. – Już! Ratuj dziewczynę!

Demon zatrzymał się jakieś trzy metry od swej ofiary. Zamarkował atak z lewej, potem jeszcze raz, spróbował połamać Potworowi kostki u nóg, aż wreszcie zebrał się w sobie i rzucił się prosto na jego twarz. Ze znużeniem, jakby chcąc dać do zrozumienia, że sprawiają mu zbyt wiele kłopotów, Martin wyciągnął rękę i chwycił demona w locie. Ten zaczął się wyrywać i syczeć. Chatwin pakował go sobie powoli do ust, jak gekon zjadający pająka, mimo że demon

ciągnął go za włosy i próbował mu wydłubać oczy.

Quentin dawał Alice gwałtowne znaki, żeby uciekała – może jeśli się rozdziela, to... – lecz nie patrzyła na niego. Oblizwała wargi i założyła obiema rękami włosy za uszy. Wstała.

Coś się w jej twarzy zmieniło. Podjęła decyzję. Zaczęła pracować rękami, to był wstęp do czegoś bardzo zaawansowanego. Obaj, i Martin, i demon, jak na komendę odwrócili się w jej stronę. Martin wykorzystał tę chwilę, by skręcić demonowi kark i wepchnąć go sobie do końca do ust.

– A więc... – powiedziała Alice. – A więc sądzisz, że jesteś w tej sali największym potworem?

– Nie – zaprotestowała Janet, lecz Alice się nie zatrzymała. Próbowwała czegoś. Wszyscy w sali, prócz Quentina, najwyraźniej wiedzieli czego.

– Nie, nie, nie! – krzyknął Eliot ze złością. – Zaczekaj!

– Wcale nie jesteś czarodziejem, prawda, Martinie? – spytała Alice cicho. – Jesteś tylko małym chłopcem. Niczym więcej. I niczym więcej nie będziesz. – Stłumiła szloch. – Cóż, przykro mi.

Zamknęła oczy i zaczęła recytować zaklęcie. Quentin widział wszystko w jej twarzy, wszystko, przez co przeszli, wszystko, co sobie nawzajem zrobili, wszystko, co zostawili za sobą. Pozwoliła temu wypłynąć na wierzch. To było wielkie zaklęcie, renesansowa, bardzo akademicka magia. Wielka energia. Nie mógł sobie wyobrazić, co dobrego może z tego wyniknąć. Po chwili uświadomił sobie, że nie chodzi o zaklęcie. Chodzi o jego skutki uboczne.

Zaczął się czołgać, aby się znaleźć bliżej Alice. Nie obchodziło go, że może zginać.

– Nie! – krzyczał. – Nie!

Niebieski ogień zapłonął na czubkach jej palców, po czym rozszerzył się nieubłaganie na dłonie i nadgarstki.

Objął twarz. Alice znów otworzyła oczy. Przyglądała się temu zafascynowana.

– Palę się – powiedziała niemal normalnym głosem. – Nie sądziłam... Palę się. – A potem jej głos zaczął narastać we wrzask, który mógł być cierpieniem albo ekstazą. – Palę się! O Boże! Quentin, ja się palę! To mnie spala!

Martin zatrzymał się i obserwował, jak Alice zmienia się w niffin. Quentin nie widział wyrazu jego twarzy. Alice cofnęła się o krok i usiadła, nadal patrząc na swoje ręce. Niebieskie płomienie objęły je całe, wyglądały zupełnie jak dwie flary na autostradzie. Ogień nie spalał ciała, tylko dziwacznie zastępował te części, które pochłonał. Przestała krzyczeć, już tylko jęczała, coraz wyższym i wyższym głosem. Wreszcie niebieski ogień ogarnął jej szyję, a ona odrzuciła głowę do tyłu i otworzyła szeroko usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Ogień pozostawił po sobie nową Alice, mniejszą i zbudowaną z czegoś, co przypominało niebieskie żarzące się szkło świeżo wyjęte z pieca. Jaskinia zalana była błękitnym światłem. Jeszcze przed zakończeniem transformacji Alice poderwała się z ziemi. Stała się teraz czystym ogniem, jej twarz przepełniało szaleństwo, należała do istot, które nie są ani żywe, ani martwe. Bez trudu unosiła się nad podłogą, jakby pływała w basenie.

Niffin, który zajął miejsce Alice, popatrzył na nich obojętnie pełnymi furii, szalonymi pustymi oczami w kolorze szafiru. Mimo swej mocy wydawał się kruchy, jakby zrobiony ze szkła z Murano. Ze swego miejsca na podłodze Quentin przyglądał się temu z bezstronnym akademickim zainteresowaniem przez czerwoną mgłę bólu. Zdolność do odczuwania strachu czy miłości, czy żalu, czy cegokolwiek prócz fizycznego bólu zniknęła wraz z kurczącym się polem widzenia.

Alice zniknęła, jej miejsce zajął sprawiedliwy anioł

zemsty. Stała się niebieska i naga, a na jej twarzy malowała się niepokonana wesołość.

Quentin przestał oddychać. Przez chwilę Alice unosiła się przed Potworem, jarząc się wyczekująco. W ostatniej chwili Martin jakby wyczuł, że szanse się odwróciły, i zaczął się cofać, moment później zmienił się w zamazaną smugę ruchu. Mimo to okazał się zbyt powolny. Anioł chwycił go za konserwatywnie ostrzyżone szpakowate włosy. Zaparł się ręką o jego ramię i oderwał mu głowę z chrupiącym suchym trzaskiem.

To już okazało się dla Quentina zbyt wyczerpujące. Miał wrażenie, że to zanikający sygnał radiowy, trudno było utrzymać czysty odbiór. Ocieężale przekreślił się na plecy.

Jego umysł, rozciągnięty teraz jak przezroczysta folia, stał się poplątaną parodią samego siebie. Wydarzyło się coś niewyobrażalnego, lecz nie mógł tego do końca pojąć. Świat, który znał, jakimś sposobem zniknął. Udało mu się znaleźć dość miękki piaszczysty fragment podłogi i przywarł do niego – to naprawdę miło ze strony Martina, że sprowadził ich do sali, gdzie piasek był tak rozkosznie biały i chłodny. Choć wielka szkoda, że niemal całkowicie pokrywała go teraz krew jego i Penny'ego. Zastanawiał się, czy Penny żyje. Zastanawiał się, czy sam mógłby stracić przytomność. Chciał zasnąć i nigdy się nie obudzić.

Usłyszał szuranie skózanego buta. Sufit na chwilę przesłonił mu Eliot, który zaraz zniknął.

Z jakiegoś niejasnego miejsca w czasie i przestrzeni dotarł do niego głos Embera. Czyli nie zginął, pomyślał. Twardy sukinsyn. A może to sobie tylko wyobraził.

– Wygrałeś – odezwał się głos barana gdzieś z cienia. – Przyjmij nagrodę, bohaterze.

Eliot wziął złotą koronę Najwyższego Króla Fillory. Z niewyraźnym okrzykiem cisnął nią jak dyskiem w ciemność.

Ostatnie marzenie legło w gruzach. Quentin albo zemdlał, albo umarł, sam nie wiedział.

KSIĘGA IV

ZACISZE

Quentin obudził się w pięknym białym pokoju. Przez chwilę La. ~ a może przez godzinę? przez tydzień? – myślał, że to jego pokój w Brakebills Południowym, że znów znajduje się na Antarktydzie. Potem stwierdził, że okno jest otwarte, a ciężkie zielone zasłony wydymają się na ciepłym letnim wietrze. Zdecydowanie więc nie była to Antarktyda.

Leżał, patrząc w sufit, pozwalał sobie dryfować i obracać się na przestronnych narkotycznych prądach umysłu. Zupełnie nic go nie obchodziło, gdzie jest ani jak się tu znalazł. Czerpał rozkosz z nieistotnych szczegółów: słońca, zapachu świeżej pościeli, ułamka błękitnego nieba za oknem, sękatych spiral ciemnoczekoladowych belek, które przecinały biały sufit. Żył.

I te śliczne zasłony, zaskakująco w stylu Pottery Barn, w kolorze łodyg kwiatowych. Prymitywnie utkane, żaden znajomy, przygnębiająco sztucznie autentyczny prymityw z drogich sklepów, który tylko naśladował prawdziwą szorstkość materii niegdyś tkanych ręcznie z konieczności. Kiedy Quentin tak leżał, dominowała w nim myśl, że to autentyczne prymitywnie utkane zasłony wykonane przez ludzi, którzy nie umieli inaczej produkować zasłon, którzy nawet nie wiedzieli, że ich sposób produkcji jest wyjątkowy, a zatem nie został on zdeprecjonowany i z góry pozbawiony znaczenia. Poczul się z tego powodu bardzo szczęśliwy. Miał wrażenie, jakby od zawsze szukał takich zasłon, jakby całe życie czekał na chwilę, kiedy obudzi się rano w pokoju, w którym wiszą w oknie takie prymitywnie utkane zielone jak łodyga zasłony.

Od czasu do czasu dobiegał go z korytarza jakby stukot kopyt. Tajemnica się wyjaśniła, kiedy do pokoju wsunęła się krzepka i opalona kobieta o krótkich brązowych włosach i

częściowo końskim ciele. Efekt był zaskakująco niezaskakujący. Jej tułów zdawał się przypadkowo osadzony na podwoziu lśniącej czarnej kobyły.

– Ocknąłeś się? – spytała.

Quentin odchrząknął. Nie mógł jakoś oczyścić gardła. Okazało się okropnie wyschnięte, zbyt wyschnięte, by mógł mówić, więc tylko skinął głową.

– Twoje uzdrowienie prawie dobiegło końca – stwierdziła centaurzyca niczym zajęty starszy rezydent, który robi obchód na oddziale i nie ma czasu się rozwódzić nad cudami medycyny. Zaczęła powoli, ostrożnie, acz zdecydowanie wycofywać się na korytarz.

– Spałeś przez sześć miesięcy i dwa dni – dodała, nim zniknęła.

Quentin słuchał stukotu jej oddalających się kroków. Znowu zapadła cisza. Robił co mógł, by zatrzymać to rozkoszne uczucie. Nie udało się.

Pół roku uzdrawiania tworzyło tylko lukę w pamięci – zostały jakieś ulotne wrażenia błękitnych głębin i złożonych zaklętych snów. Natomiast wspomnienia z tego, co się wydarzyło w Grobowcu Embera, były bardzo wyraźne. Miał chyba prawo oczekiwać, że ten dzień (a może noc?) przepadnie w czeluściach pamięci albo zostanie spowity w litościwą mgłę traumy pourazowej, lecz nie, nic z tych rzeczy. Pamiętał wszystko doskonale, z całym impetem, pod każdym kątem, aż do chwili, kiedy stracił przytomność.

Szok ścisnął mu pierś. Opróżnił jego płuca z powietrza równie gwałtownie jak szczęki Potwora, tyle że nie raz, a raz po raz. Nie potrafił się przed tym bronić. Leżał na łóżku i łkał, aż się zakrztusił. Czuł, jak kurczy się jego słabe ciało. Wydawał dźwięki zupełnie nie przypominające ludzkich. Wciskał twarz w płaską kłującą poduszkę ze słomy, aż zrobiła się mokra od łez i smarków. Umarła za niego, za nich wszystkich i już nigdy nie wróci.

Nie mógł myśleć o tym, co się stało, mógł tylko odtwarzać to bez końca w umyśle, jakby istniała jakaś szansa, że za którymś razem wspomnienie zakończy się inaczej albo może będzie mniej boleć, jednakże ilekroć to sobie przypominał, chciał umrzeć. Jego na wpół uzdrowione ciało bolało jak posiniaczone do kości. Chciał, żeby bolało jeszcze bardziej. Nie wiedział, jak działać w świecie, który dopuszcza do czegoś takiego. To gówniany świat, oszukańczy, nie chce mieć z nim więcej do czynienia. Za każdym razem, kiedy przysypiał, budził się, próbując ostrzec kogoś przed czymś, choć nie wiedział przed czym ani kogo, a zresztą i tak zawsze było za późno.

Wraz ze smutkiem przyszedł gniew. Co oni sobie myśleli? Banda dzieciaków mieszająca się w wojnę domową w obcym świecie? Alice nie żyła (i Fen, i zapewne również Penny), a najgorsze było to, że mógł ich wszystkich ocalić, a nie zrobił tego. To on im powiedział, że już czas udać się do Fillory. To on zadał w róg, który wezwał Potwora. Alice udała się tam z jego powodu, żeby się nim opiekować. A on się nią nie zaopiekował.

Centaury przyglądały się, jak płacze, z całkowitym brakiem zainteresowania, niczym ryby.

Dowiedział się w następnych dniach, że przebywa w klasztorze albo jakimś podobnym miejscu. Przynajmniej tyle wyciągnął z centaurów. To nie jest miejsce kultu, wyjaśniły z nutą rżącej wyższości, tylko społeczność oddana najdobitniejszemu z możliwych wyrazowi czy wcieleniu – choć może lepszym określeniem byłoby „uświadomieniu sobie” – nie do pojęcia skomplikowanych, choć nieskończenie czystych wartości centaurzych, których upadły ludzki umysł Quentina nigdy nie zdoła pojąć. Miał wrażenie, że w tych centaurach tkwi coś zdecydowanie niemieckiego.

Okazały mu niezbyt taktownie, że uważają ludzi za

niższe byty. To nie wina ludzi, po prostu są ułomni, doznali paskudnego uszkodzenia przy porodzie, w którego wyniku utracili swoją końską połowę. Traktowały Quentina z litością lekko łagodzoną prawie zupełnym brakiem zainteresowania, a poza tym sprawiały takie wrażenie, jakby się cały czas bały, że się przewróci.

Żaden z nich nie pamiętał dokładnie, jak Quentin się tu znalazł. Nie poświęciły większej uwagi historii przypadkowego uszkodzonego człowieka, który wylądował wśród nich. Kiedy Quentin naciskał, jego lekarka, przerażająco poważna centaurzyca nazwiskiem Alder Żołędź Agnes Allison Pachnące Drewno, powiedziała, że niejasno przypomina sobie jakichś ludzi, nadzwyczaj brudnych i obdartych osobników, skoro już o tym mowa, którzy przynieśli Quentina na prowizorycznych noszach. Był nieprzytomny i w ciężkim szoku, miał zmiądzoną klatkę piersiową i fatalnie przemieszczoną jedną z górnych kończyn, w zasadzie oderwaną. Takie uszkodzenie anatomiczne wywoływało w centaurach obrzydzenie, niemniej nie pozostały obojętne w obliczu usług, jakie ludzie oddali Fillory, pozbywając się Martina Chatwina, zatem zrobili co w ich mocy, żeby pomóc.

Ludzie kręcili się po okolicy przez miesiąc, może dwa, kiedy centaury przedły głębokie sieci drzewnej magii wokół porozrywanego i posiniaczonego ciała Quentina. Ponieważ Quentin nie dawał żadnych oznak odzyskiwania przytomności, po pewnym czasie niechętnie odeszli.

Podejrzewał, że powinien być zły na nich, że go zostawili w Fillory bez możliwości powrotu do własnego świata, tymczasem czuł jedynie ciepłą tchórzliwą ulgę. Nie musiał stanąć z nimi twarzą w twarz. Na ich widok skóra na pewno spaliłaby mu się ze wstydu. Żałował, że nie umarł, lecz skoro śmierć go oszczędziła, przynajmniej mógł mieć tę drugą najwspanialszą rzecz pod słońcem: całkowitą

izolację, zagubienie się na zawsze w Fillory. Był załamany w sposób, którego magia nigdy by nie uleczyła.

Jego ciało jeszcze nie odzyskało sił, spędzał wiele czasu w łóżku, dając odpoczynek dotkniętym atrofią mięśniom. Stał się pustą skorupą wydrażoną brutalnie jakimś prymitywnym narzędziem, wypatroszona i porzucona tutaj, bezwładną, zdartą, pozbawioną kości skórą. Gdyby się postarał, mógłby przywołać stare wspomnienia. Nie z Fillory ani z Brakebills, tylko te naprawdę stare, te łatwe, bezpieczne. Zapach farb olejnych matki. Krzykliwą zieleń kanału Gowanus. Dziwnie wydęte wargi Julii na ustniku oboju. Huragan, który uderzył, kiedy pojechali całą rodziną na wakacje do Maine; musiał mieć wtedy z osiem lat. Wyszli na trawnik i rzucili swetry w powietrze, i patrzyli, jak odlatują nad płotem sąsiadów, i pokładali się ze śmiechu. Pod jego oknem w ciepłym popołudniowym słońcu stała pięknie kwitnąca na biało wiśnia. Każda jej gałąź poruszała się i kołysała w nieco innym rytmie niż pozostałe. Przyglądał się jej przez bardzo długi czas.

Jeśli czuł się odważny, myślał o czasie, który spędził jako gęś, lecąc na południe, skrzydło w skrzydło z Alice, unoszony przez poduszki powietrzne, patrząc nieustraszenie w dół na rzeki wijące się jak serpentyny. Gdyby miał to zrobić jeszcze raz, pomyślał, pamiętałby, żeby poszukać w Peru rysunków z Nazca. Zastanawiał się, czy mógłby się zwrócić do profesor Van der Weghe z prośbą, by odmieniła go z powrotem, żeby mógł już taki zostać, żyć i umrzeć jako głupia gęś, i zapomnieć, że kiedykolwiek był człowiekiem. Czasami myślał o dniu, który spędził z Alice na dachu Chatki. Postanowili zrobić kawał pozostałym, kiedy wrócą skądś tam, ponieważ jednak nie wrócili, razem z Alice przez całe popołudnie po prostu leżeli na ciepłym gonicie, patrząc w niebo i rozmawiając o niczym.

Po kilku dniach takiego życia poczuł się lepiej. Jego

ciało leczyło się szybko i robiło się niespokojne, a umysł budził się i potrzebował nowych podniet. Nie chciał mu dać spokoju.

Naprzód, w górę. Nie mógł się powstrzymać od zdrowienia. Wkrótce wstał i niczym chodzący szkielet zaczął się rozglądać po okolicy. Oderwany od przeszłości i od wszystkiego, co znał, czuł się równie niematerialny i na wpół tylko istniejący jak duch. Klasztor – centaury nazywały go Zaciszem – składał się z kamiennych kolumnad i wielkich drzew, i szerokich, dobrze utrzymanych ścieżek. Wbrew sobie czuł wilczy głód, centaury zaś, będące zadeklarowanymi wegetarianami, robiły fantastyczne sałatki. Podczas posiłków stawiały na stole wielkie drewniane koryta pełne szpinaku i sałaty, i rukoli, i mniszka lekarskiego wybornie przyprawionych oliwą i ziołami. Odkrył centaurze łaźnie, sześć prostokątnych kamiennych basenów z wodą o różnej temperaturze, każdy na tyle duży, że przepłynięcie go wymagało trzech ruchów pływackich. Przypominały mu łaźnie rzymskie w domu rodziców Alice. Też były głębokie. Jeśli zanurkował dostatecznie energicznie, aż zrobiło się mroczno, a czaszka się skarżyła z powodu zmiany ciśnienia, ledwie muskał dno końcami palców.

Jego umysł przypominał zamarznięty staw, któremu ciągle grozi odwilż. Wchodził na lód ostrożnie – jego powierzchnia była niebezpiecznie śliska i nie wiadomo, jak cienka. Jeśli pęknie, będzie to oznaczało zanurzenie się w zimną ciemną anaerobową wodę, pełną złych zębiastych ryb. Te ryby reprezentowały wspomnienia. Chciał je gdzieś schować i zapomnieć gdzie, ale nie mógł. Lód pękał w najmniej spodziewanych momentach: kiedy spojrzał na niego pytająco puszysty gadający pręgowiec, kiedy pielęgniarka centaurzyca zachowała się nieumyślnie miło, kiedy widział w lustrze swoją twarz. Coś strasznego i

jaszczurkowatego pojawiało się w jego oczach, które wypełniały się łzami, a wtedy kulił się z bólu.

Żałoba po Alice otworzyła przed nim nowe wymiary, o których istnieniu nie miał pojęcia. Miał wrażenie, że widział ją i kochał, naprawdę kochał, całą, tylko przez kilka ostatnich godzin. A teraz odeszła, potłukła się jak zwierzątko ze szkła, które zrobiła tamtego dnia, kiedy ją poznał, i reszta jego życia leżała przed nim jak puste, pozbawione znaczenia postscriptum.

Przez pierwsze kilka tygodni po odzyskaniu przytomności nadal czuł w piersi i ramieniu wielki ból, który jednak znikał w miarę upływu czasu. Quentina najpierw zaszokowało, a potem zafascynowało odkrycie, że skórę i tkankę mięśniową, którą odgryzł mu Potwór, centaury zastąpiły czymś, co wyglądało bardzo podobnie do ciemnego drewna o wyraźnych słojach. Dwie trzecie jego obojczyka i niemal cała prawa łopatka i biceps zostały zrobione z gładkiego wypolerowanego drewna z drzewa owocowego – może z wiśni albo z jabłoni. Nowa tkanka była całkowicie pozbawiona czucia – mógł walić w nią knykciami i nie czuł absolutnie nic – lecz okazała się bardzo giętka i elastyczna tam gdzie trzeba i ładnie, bez widocznych blizn zrosła się z otaczającym ją ciałem. Podobała mu się. Prawe kolano też miał z drewna. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy dokładnie się w nie zranił, choć to i tak bez różnicy. Może coś nieoczekiwanego się zdarzyło, kiedy wychodzili z grobowca.

Zaszła jeszcze jedna zmiana: włosy zrobiły mu się zupełnie białe, nawet brwi, jak u bohatera opowiadania Poego *W bezdni Maelstrómu*. Wyglądał, jakby nosił perukę *a la* Andy Warhol.

Robił wszystko, żeby nie siedzieć bez zajęcia. Ćwiczył strzelanie z łuku na nieużywanej, zarosłej chwastami szerokiej strzelnicy. Kiedy udawało mu się zwrócić na siebie

uwagę młodszych centaurów, namawiał je, by w ramach fizykoterapii uczyły go podstaw jeździectwa i walki na szable. Czasami udawał, że jego partnerem sparringowym jest Martin Chatwin, czasami nie; cokolwiek jednak udawał, nigdy nie zdołał zadać pchnięcia. Obecność Quentina w Zaciszu odkryła niewielka grupka mówiących zwierząt, borsuk i kilka przerośniętych królików. Podekscytowane widokiem i zapachem człowieka, i to takiego prosto z Ziemi, wbiły sobie do głowy, że zostanie następnym Najwyższym Królem Fillory, a kiedy ze złością odmówił i wyjaśnił, że stracił zainteresowanie dla tego stanowiska, przewwały go Opornym Królem i zostawiały mu pod oknem dary z orzechów i kapusty, i produkowały żalosne, domowego przemysłu korony z gałązek ozdobione pozbawionymi wartości kawałkami kwarcu. Niszczył je.

Na łąkach wokół Zacisza żyło swobodnie stadko oswojonych koni. Początkowo sądził, że centaury trzymają je jako zwierzęta domowe, tymczasem prawda okazała się nieco bardziej skomplikowana. Centaury obojga płci często kopulowały z końmi, publicznie i głośno.

Quentin znalazł swoje nieliczne rzeczy upchnięte pod ścianą pokoju. Schował je do komody; zajęły dokładnie połowę jednej z pięciu szuflad. W jego pokoju stało też stare, podniszczone biurko w stylu południowym, pomalowane na biało i jasnozielono. Pewnego dnia przeszukał jego spaczony, blokujący się szuflady, żeby zobaczyć, czy poprzedni właściciel czegoś po sobie nie pozostawił. Wpadło mu do głowy, żeby za pomocą jakiejś prostej wróżby dowiedzieć się, co się stało z pozostałymi. Miał niemal pewność, że nie zadziała w tym wymiarze, choć nigdy nie wiadomo. Ze zbioru oderwanych guzików i wyschniętych orzechów laskowych, i zwłok egzotycznych filloriańskich owadów wyszperał dwie koperty. W biurku znajdowała się również ususzona gałąź z liśćmi.

Koperty były grube, zrobione z szorstkiego bielonego papieru produkowanego przez centaury. Na pierwszej zobaczył swoje imię skreślone eleganckim charakterem pisma Eliota. Zakręciło mu się w głowie. Musiał usiąść.

W środku znajdował się list, a w liście spłaszczone wyschnięte szczątki papierosa merit ultra light. Przeczytał treść:

Kochany Quen,

to było coś wynieść Cię z tego lochu. Richard się wreszcie pojawił, za co, jak sądzę, powinniśmy być wdzięczni, choć Bóg wie, że nam tego nie ułatwia.

Chcieliśmy zostać, Quen, tylko że robiło się coraz trudniej. Centaury mówiły, że magia nie działa, lecz jeśli to czytasz, musiałeś się jednak obudzić. Przykro mi z powodu tego wszystkiego. Wiem, że Tobie też. Mówiłem kiedyś, że nie potrzebuję rodziny, by stać się tym, kim mam być, ale okazało się, że potrzebowałem. I że to byliście Wy.

Jeszcze się spotkamy.

E.

W drugiej kopercie znalazł notatnik. Gruby, wyglądający na stary i z pozaginanymi rogami. Quentin rozpoznał go natychmiast, choć nie widział go od tamtego zimnego listopadowego popołudnia sześć lat temu.

Z zimną, przeraźliwą jasnością umysłu usiadł na łóżku i otworzył *Czarodziejów*.

Książka okazała się rozczarowująco krótka, może pięćdziesiąt ręcznie zapisanych stron, niektóre poplamione i rozmyte wodą. Nie była to prosta szczerza proza Christophera Plovera. Zdania, bardziej surowe, zabawniejsze i łobuzerskie, wyraźnie napisano w pośpiechu, z licznymi błędami i opuszczonymi słowami. To dlatego, że wcale nie napisał tego Christopher Plover. Miał w rękę – jak

wyjaśniał autor w pierwszym akapicie – pierwszą księgę *Fillory i dalej* napisaną przez kogoś, kto naprawdę tam był. Mianowicie przez Jane Chatwin.

Akcja *Czarodziejów* rozgrywała się bezpośrednio po zakończeniu *Wędrującej wydmy*, po tym jak Jane, najmłodsza z rodzeństwa, i jej siostra Helen („ta kochana, zadufana w sobie ciekawska”) pokłóciły się o schowane przez Helen magiczne guziki, które mogły je przenieść do Fillory. Nie zdoławszy odszukać ich samodzielnie, Jane musiała czekać, jednak z Fillory nie przyszło kolejne zaproszenie. Ona i jej rodzeństwo najwyraźniej zostali skazani na spędzenie reszty życia na Ziemi, jak zwyczajne dzieci. Uważała, że to w porządku – w końcu większość dzieci nigdy nie odwiedza Fillory – choć niesprawiedliwe. Wszyscy inni udali się do Fillory przynajmniej dwa razy, a ona tylko raz.

No i pozostawała sprawa Martina: nadal nie udało się go odnaleźć. Rodzice porzucili już nadzieję, dzieci natomiast nie. W nocy Jane i pozostali Chatwinowie zakradali się do łóżek rodzeństwa i szeptali o nim, zastanawiając się, jakie przygody przeżywa w Fillory i kiedy wreszcie wróci do domu, byli bowiem pewni, że pewnego dnia wróci.

Czas mijał. Jane skończyła trzynaście lat, przestała być dzieckiem, była w tym samym wieku co Martin, kiedy zniknął, gdy wreszcie nadeszło wezwanie. Odwiedził ją kooperatywny, pracowity jeź o imieniu Grubokolec, który pomógł jej wyciągnąć z wyschniętej studni stare pudełko po cygarach z ukrytymi w nim guzikami. Helen je tam wrzuciła. Jane mogła zabrać ze sobą jedno z rodzeństwa, tymczasem wróciła do Fillory sama, przez Miasto. Tylko ona jedna z Chatwinów przeszła do innego świata w pojedynkę, bez brata czy siostry.

Okazało się, że Fillory nękanie jest przez silny wichur. Wiał i wiał, i nie chciał przestać. Początkowo wszyscy

dobrze się bawili, puszczali latawce i kupowali luźne ubrania, które łopotały na wietrze wiejącym na dziedzińcu Zamku Białoszczytego. Ale w miarę upływu czasu wiatr robił się męczący. Ptaki ledwie mogły latać, wszyscy mieli na głowach kołtuny. W lesie wiatr pozrywał liście, na co uskarżały się drzewa. Nawet w domu, kiedy zamknęło się drzwi, słyszało się jego zawodzenie, a poza tym godzinami czuło się go na twarzy. Napędzanemu wiatrem mechanicznemu sercu Zamku Białoszczytego groziło rozregulowanie; trzeba je było odłączyć od wiatraków i zatrzymać po raz pierwszy od niepamiętnych czasów.

Grupa orłów i gryfów, i pegazów pozwoliła się porwać w przekonaniu, że wiatr je zanieśie do fantastycznej krainy, jeszcze bardziej magicznej niż Fillory. Wróciły tydzień później z innego kierunku, głodne i rozczochrane, i poparzone wiatrem. Nie chciały rozmawiać o tym, co widziały.

Jane przypasała rapier, związała włosy w ciasny kok i ruszyła do Mroczniejącego Lasu zdeterminowana, zgięta w pół, pod wiatr. Postanowiła odnaleźć jego źródło. Wkrótce natrafiła na Embera. Stał sam na polanie, był ranny i wzburzony. Powiedział jej o przemianie Martina i o próbach wygnania go, co skończyło się śmiercią Umbera. Zorganizowali naradę wojenną.

Ember zamęczał i wezwał Przytulnego Konia. Razem wsiedli na jego szeroki aksamitny grzbiet i ruszyli odwiedzić krasnoludy. Na współpracę krasnoludów nigdy nie można było liczyć, tymczasem nawet one doszły do wniosku, że Martin jest niebezpieczny, a poza tym wiatr zwiewał glebę z ich ukochanych podziemnych nor. Przygotowali dla Jane srebrny zegarek kieszonkowy, dzieło wytrawnej sztuki zegarmistrzowskiej, tak napchany maleńkimi kółkami i przekładniami, i sprężynkami, że jego wnętrze wyglądało jak jedna zbita masa połyskliwej maszynerii. Dzięki niemu,

wyjaśniły krasnoludy, Jane będzie mogła kontrolować sam przepływ czasu – przewijać go do przodu i do tyłu, przyspieszać, zwalniać – co tylko zechce.

Jane i Ember wzięli zegarek i odeszli, kręcąc głowami. Szczerze mówiąc, nikt nigdy nie wiedział, do czego są zdolne krasnoludy. Skoro mogły zbudować maszynę czasu, dziwne, że nie władały całym królestwem. Jane podejrzewała, że po prostu nie chcą sobie zawracać tym głowy.

Quentin przewrócił kartkę. Książka na tym się kończyła. Na dole strony znajdował się podpis Jane.

– Co za rozczarowanie – powiedział Quentin na głos.

– Prawda nie zawsze układa się w dobrą historię, nie sądzisz? Mam nadzieję, że udało mi się wyjaśnić większość spraw. Jestem pewna, że potrafisz dopowiedzieć resztę. Jeśli się zastanowisz.

Quentin praktycznie wyskoczył z tego, co zostało z jego skóry. Na jego biurku po drugiej stronie pokoju siedziała nieruchomo, po turecku, niewysoka ładna kobieta o ciemnych włosach i bladej cerze.

– Przynajmniej mam dobre wejście.

Najwyraźniej przystosowała się do Fillory: miała na sobie jasnobrazy płaszcz, a pod spodem praktyczną szarą sukienkę podróżną, rozciętą na bokach na tyle wysoko, by pokazać trochę nóg. Ale to była na pewno ona, ratowniczką, kobietą, która odwiedziła go w ambulatorium. A równocześnie ktoś zupełnie inny.

– Jesteś Jane Chatwin, prawda?

Uśmiechnęła się radośnie i kiwnęła głową.

– Podpisałam go. – Wskazała na rękopis. – Wyobraź sobie, ile byłby wart. Czasami się zastanawiam, czy się nie zjawić na zjeździe miłośników Fillory, żeby zobaczyć, co się stanie.

– Zapewne uznają cię za naśladowczynię – stwierdził Quentin. – Jesteś już na to trochę za stara.

Odłożył rękopis na łóżko. Kiedy spotkał ją po raz pierwszy, był bardzo młody, ale to już przeszłość. Jak by powiedział jej brat, Martin: a niech mnie, ależ wyrósł. Jej uśmiech nie wydawał mu się już tak zniewalający jak kiedyś.

– Nadzorczyńi Czasu to ty, prawda?

– Tak. Jestem nią nadal – wciąż siedząc, skłoniła się nisko. – Myślę, że będę się mogła wycofać teraz, kiedy nie ma już Martina. Choć tak naprawdę dopiero zaczynałam się dobrze bawić.

Spodziewał się, że odpowie jej uśmiechem, tymczasem uśmiech się nie pojawił. Nie czuł się usposobiony do uśmiechów. Nie bardzo wiedział, jak się czuje.

Jane siedziała zupełnie nieruchomo, przyglądając mu się jak podczas pierwszego spotkania. Jej obecność była tak naładowana magią i znaczeniem, i narracją, że niemal nią pałała. Pomyśleć, że rozmawiała z samym Ploverem i opowiedziała mu historie, na których Quentin się wychował. To błędne koło trochę go oszołomiło. Słońce zachodziło, plamiąc pościel na mroczny pomarańcz. Wszystkie kanty zrobiły się w półmroku miękkie.

– To nie ma żadnego sensu – powiedział. Nigdy wcześniej nie czuł się równie obojętny na wdzięki ładnej kobiety. – Skoro Nadzorczym Czasu to ty, dlaczego to wszystko zrobiłaś? Dlaczego zatrzymałaś czas i tak dalej?

Uśmiechnęła się sucho.

– Nie dostałam tego – tu wyjęła z kieszeni srebrny zegarek kieszonkowy tak gruby i okrągły jak granat – razem z instrukcją obsługi. Musiałam trochę poeksperymentować, nim nad tym zapanowałam, a niektóre eksperymenty się nie powiodły. Mieliśmy takie jedno długie popołudnie... – Skrzywiła się. Akcent miała identyczny jak Martin. – Ludzie myślą w niewłaściwy sposób. A zresztą Plover ubarwił to wszystko. Ależ ten człowiek miał wyobraźnię.

Pokręciła głową, jakby fantazja Plovera była tu najbardziej zadziwiająca rzeczą.

– A poza tym pamiętaj, że miałam tylko trzynaście lat, kiedy zaczynałam. Nie miałam żadnego wykształcenia w magii, musiałam wszystko odkrywać sama. Mam wrażenie, że jestem dość ograniczoną czarodziejką.

– Więc to wszystko, co zrobiła Nadzorczyńni Czasu...

– Wiele wydarzyło się naprawdę. Staralam się uważać, Nadzorczyńni Czasu nigdy nikogo nie zabiła. Szłam na skróty, czasami czyimś kosztem, ale miałam na głowie co innego. Musiałam powstrzymać Martina, więc robiłam to, co konieczne. Nawet te zegarowe drzewa. – Parsknęła ze skruchą. – Wspaniały pomysł. Nigdy nic nie zrobiły. A najśmieszniejsze jest to, że Martin strasznie się ich bał! Nie mógł ich rozgryźć.

Na chwilę z jej twarzy zniknął wyraz opanowania. Jej oczy napełniły się łzami, zamrugowała szybko.

– Powtarzam sobie, że straciliśmy go od razu tamtej nocy, kiedy odszedł do lasu. Potem to już nigdy nie był on, nie tak naprawdę. Umarł dawno temu. Jestem teraz ostatnim żyjącym Chatwinem. Ten potwór był całą rodziną, jaka mi została.

– A my go zabiliśmy – powiedział Quentin zimno. Serce waliło mu szybko. Uczucie, którego nie mógł wcześniej zidentyfikować, teraz stawało się oczywiste: czuł wściekłość. Ta kobieta go wykorzystała, wykorzystała ich wszystkich jak zabawki. A jeśli któraś zabawka się popsuła... och, no wiecie. Taki od początku był cel całej historii. Manipulowała nim, wysłała jego i pozostałych do Fillory, żeby odzyskali Martina. Dopilnowała, żeby się tu dostał. Zapewne sama podrzuciła guzik Lovelady'emu. Teraz nie miało to znaczenia. Wszystko się skończyło, a Alice nie żyła.

Wstał. Chłodny trawiasty wieczorny wietrzyk poruszył zasłonami.

– Tak – rzekła Jane Chatwin ostrożnie. – Zabiliście go. Wygraliśmy.

– Wygraliśmy? – powtórzył z niedowierzaniem. Nie mógł się już powstrzymywać. Cała rozpacz i poczucie winy, które tak starannie od siebie odsuwał, wracały do niego jako gniew. Lód trzeszczał, pod spodem wrzał staw. – Wygraliśmy? Masz w kieszeni pierdoloną maszynę czasu i tylko na tyle cię stać? Wrobiłaś nas, Jane, czy kim tam do kurwy nędzy, jesteś. Myśleliśmy, że ruszamy na przygodę, a ty nas posłałaś na misję samobójczą i teraz moi przyjaciele nie żyją. Alice nie żyje. – Musiał przełknąć z trudem, nim udało mu się mówić dalej. – Czy naprawdę nie stać cię na nic więcej?

Spuściła wzrok.

– Przykro mi.

– Przykro ci. – Ta kobieta była niemożliwa. – Świetnie. Pokaż, jak bardzo ci przykro. Zabierz mnie z powrotem. Użyj zegarka, cofniemy się w czasie. Zrobimy to jeszcze raz. Wróćmy i wszystko naprawmy.

– Nie, Quentinie – odparła poważnie. – Nie możemy wrócić.

– Jak to nie? Możemy. Możemy i wrócimy!

Mówił coraz głośniej, wpatrując się w nią, jakby za pomocą mówienia i patrzenia mógł ją skłonić, by zrobiła to, czego on chce. Musiała to zrobić! A jeśli słowa nie wystarczą, zastosuje siłę. Mógł się założyć, że wyjąwszy ten zegarek, jest dwa razy lepszym czarodziejem niż ona, a poza tym nie była duża.

Ze smutkiem kręciła głową.

– Musisz zrozumieć. – Nie ugięła się. Mówiła łagodnie, jakby chciała go uspokoić, sprawić, żeby zapomniał, co mu zrobiła. – Jestem czarodziejką, a nie bogiem. Próbowałam tego na tyle różnych sposobów. Przeszłam tyle różnych ścieżek czasu. Wysłałam tak wielu ludzi do walki z

Martinem. Nie każ mi tu wygłaszać wykładu na temat szczegółów manipulacji chronologicznej. Zmienisz jedną składową, zmieniasz wszystkie. Myślisz, że byliście pierwszymi, którzy stawili czoło Martinowi w tamtej sali? Tę bitwę toczono raz po raz. Rozegrałam tyle różnych wariantów. Zawsze wszyscy ginęli, a ja zawsze cofałam zegar. Więc choć teraz jest źle, to jak dotąd najlepszy wynik, jaki osiągnęłam. Nikt go nigdy nie powstrzymał, dopiero ty i twoi przyjaciele. Byliście jedyni. I na tym poprzestanę. Nie mogę ryzykować utraty wszystkiego, co osiągnęliśmy.

Quentin założył ręce na piersi. Czuł, jak drgają mu mięśnie pleców. Praktycznie wibrował z wściekłości.

– To inaczej. Cofniemy się do początku. Do czasów sprzed *Świata w ścianach*. Zatrzymaj go, nim to wszystko się zacznie. Znajdź ścieżkę czasu, w której Martin nigdy nie udaje się do Fillory.

– Próbowałam, Quentinie. Próbowałam! – powtórzyła błagalnie. – Martin zawsze tam wyrusza! Próbowałam tysiące razy. Nie ma takiego świata, w którym on tego nie robi. Jestem zmęczona. Wiem, że straciłeś Alice. Ja straciłam brata. Jestem zmęczona walką z tym czymś, co kiedyś było Martinem.

Nagle rzeczywiście zaczęła wyglądać na bardzo zmęczoną, a jej wzrok przestał być skupiony, jakby patrzyła teraz na inny świat, ten, do którego nigdy się nie dostanie. To sprawiło, że miał trudności z utrzymaniem się w stanie furii. Zaczęła opadać, choć ją podsyczał.

Nie, to nie koniec. Rzucił się ku niej, ale ona to przewidziała. Okazała się szybsza od niego. Może już kiedyś odgrywali tę scenę, w innej ścieżce czasu, a może to było takie oczywiste. Nim pokonał połowę odległości, obróciła się i z całych sił cisnęła srebrnym zegarkiem o ścianę.

Kamienna ściana okazała się dostatecznie twarda. Zegarek pękł jak przejrzały owoc, wydając taki dźwięk jak

worek miedziaków. Delikatne kryształowe szkiełko rozbiło się na kawałki, a kólecza i trybiki rozsypały po podłodze niczym perły z zerwanego naszyjnika.

Jane odwróciła się do niego wyzywająco, dyszała ciężko. Zagapił się na rozbity zegarek.

– Koniec – powiedziała. – To koniec. Czas żyć z tym, co mamy, i opłakiwać to, co straciliśmy. Żałuję, że nie mogłam ci wyjaśnić więcej, nim było za późno, ale za bardzo cię potrzebowałam, żeby powiedzieć prawdę.

Dziwnym gestem przyłożyła Quentinowi ręce do policzków, przyciągnęła jego twarz do swojej i pocałowała go w czoło. W pokoju zrobiło się niemal ciemno. Drzwi zaskrzypiały w ciszy wiosennego wieczoru, kiedy je otworzyła.

– Spróbuj nie osądzać Martina zbyt surowo – rzekła w progu. – Plover go molestował, kiedy tylko dorwał go samego. Myślę, że właśnie dlatego udał się do Fillory. Inaczej po co chowałby się w stojącym zegarze? Szukał jakiejś kryjówki.

Powiedziawszy to, wyszła.

Quentin nie poszedł za nią, po prostu patrzył długo w drzwi. Potem podszedł je zamknąć. Pod nogami chrzęściły mu fragmenty rozbitego zegarka.

Ciągle tylko w dół i w dół. Czy kiedykolwiek dotrze do dna? W resztkach światła zachodu spojrzął na notatnik na twardym centaurzym łóżku. Między kartkami znalazł wiadomość, tę samą, którą porwał mu wiatr, nim zdążył ją przeczytać. Widniało na niej tylko:

Niespodzianka!

Usiadł. Ostatecznie on i Alice byli tylko statystami, którzy mieli nieszczęście zawędrować na pole bitwy. Brat i siostra w stanie wojny w swej koszarnej fantastycznej

krainie. Nikogo nie obchodziło, że Alice nie żyje, nikogo nie obchodziło, że on nie umarł.

Teraz miał odpowiedzi, jednak takie, które nie spełniały swej podstawowej funkcji: nie sprawiły, że cokolwiek stało się prostsze czy łatwiejsze. Nie pomagały. Siedząc na łóżku, pomyślał o Alice. I o biednym głupim Penny'm, i o nieszczęsnym Eliocie. I o tym smutnym palancie Martinie Chatwinie. Pojął to wreszcie, oczywiście. Choć wszystko dotąd pojmował źle. Nigdy nie powinien był tu przybyć. Nigdy nie powinien był zakochać się w Alice. Nigdy nie powinien był iść do Brakebills. Powinien był zostać w Brooklynie, w prawdziwym świecie. Powinien był niańczyć swoją depresję i urazę do świata z relatywnie bezpiecznej, zwyczajnej rzeczywistości. Nie powinien był spotkać Alice, a wtedy ona przynajmniej by gdzieś żyła. Radziłby sobie jakoś w swym smutnym pustym życiu za pomocą filmów i książek, i masturbacji, i alkoholu, jak wszyscy inni. Nigdy nie poznałby horroru, jakim jest dostanie tego, co człowiek w swoim mniemaniu sobie wymarzył. Mógłby oszczędzić sobie i wszystkim innym konieczności zapłacenia takiej ceny. Jeśli historia Martina Chatwina miała jakiś morał, to właśnie ten. Jasne, można marzyć, ale to tylko zmieni cię w potwora. Lepiej zostać w domu i ćwiczyć sztuczki z kartami.

Częściowo oczywiście wina leżała po stronie Jane. Wabiła go bezustannie. No cóż, nie da się więcej ogłupić. Nie da nikomu na to szansy. Poczuł, jak znów ogarnia go uczucie oddalenia od wszystkiego. Jego gorący gniew i smutek stygły, pojawiała się na nich błyszcząca warstewka, twardy przezroczysty lakier obojętności. Skoro nie może wrócić, będzie musiał się zachowywać w przyszłości inaczej. Czuł, jak nieskończenie bezpieczniejsze i lepsze jest takie podejście. Sztuka polega na tym, żeby niczego nie pragnąć. W tym tkwi siła. To jest odwaga: odwaga, żeby nie kochać nikogo i nie mieć na nic nadziei.

Zabawne, jakie łatwe się wszystko staje, kiedy nic nie ma znaczenia. W ciągu następnych kilku tygodni nowy Quentin z białą czupryną *a la* Warhol i drewnianym ramieniem Pinokia podjął swoje magiczne studia. Teraz pragnął jedynie kontroli. Chciał być nietykalny.

W swojej małej celi ćwiczył rzeczy, których nigdy nie miał czasu dobrze się nauczyć albo nawet nie próbował. Wrócił do najbardziej zaawansowanych ćwiczeń z podręcznika Popper – makabrycznie trudnych, tylko teoretycznie wykonalnych etiud, które jedynie markował za czasów Brakebills. Teraz powtarzał je raz po raz, usuwając niedociągnięcia. Wymyślał nowe, jeszcze bardziej okrutne wersje, i ich również się uczył. Rozkoszował się bólem rąk, karmił się nim. Jego zaklęcia nabrały mocy i precyzji, i biegłości, jakiej wcześniej nie miały. Czubki jego palców pozostawiały w powietrzu ślady ognia, iskry neonowego indygo, powietrze brzęczało i pojękiwało, a na ślady nie dawało się patrzeć, tak były jaskrawe. Jego umysł emanował zimnym suchym triumfem. Tego właśnie szukał Penny, kiedy udał się do Maine, tymczasem tak naprawdę osiągnął to Quentin. Dopiero teraz, pomyślał, teraz, kiedy zabił w sobie ludzkie uczucia, dopiero teraz, kiedy mu już nie zależało, potrafił naprawdę osiągnąć nadludzką moc.

Słodkie wiosenne powietrze wpadające do jego pokoju wkrótce zmieniło się w letni upał wyciskający na jego twarzy pot. Centaury wędrowały, stukając kopytami po korytarzu za drzwiami, wyniosłe i obojętne. Wreszcie zaczął rozumieć, jak Majakowski wykonywał zaklęcia, które tak go zdumiewały. Na pustej łące ostrożnie odwrócił zaklęcie Penny'ego tworzące Kulę Ognia. Odszukał i naprawił błędy, które popełnił w swojej pracy dyplomowej – podróży na Księżyc. Dokończył też projekt Alice, ku jej pamięci, izolując i więząc pojedynczy foton. Nawet go zaobserwował i do diabła z Heisenbergiem: nieskończenie wściekła, cenna

rozżarzona mała fala-iskra.

Siedząc w pozycji lotosu na blacie wyblakłego biurka, pozwolił umysłowi rozszerzać się, aż opanował jedną, potem jeszcze trzy, a w sumie sześć polnych myszy, które spieszyły w swoich maleńkich pilnych sprawach w trawie pod oknem. Wezwał je, żeby usiadły przed nim, i za pomocą myśli delikatnie wygasił elektryczność płynącą w każdej. Ich puchate ciała zrobiły się nieruchome i zimne. Następnie z równą łatwością trącił każdą z nich magią, natychmiast ponownie ożywiając ich maleńkie dusze, jakby przytykał zapałkę do podpałki w piecu.

W panice rozbiegły się we wszystkich kierunkach. Pozwolił im na to. Siedząc samotnie w pokoju, uśmiechnął się na myśl o swej potajemnej wielkości. Czuł się łaskawy i hojny. Igrał z przerażającą tajemnicą życia i śmierci. Co jeszcze na świecie mogłoby przyciągnąć jego uwagę? W jakimkolwiek świecie?

Czerwiec dojrzał w lipiec, potem wybuchł, wysechł i stał się sierpniem. Pewnego ranka Quentin obudził się wcześniej i zobaczył chłodną mgiełkę nad trawnikiem za swym oknem na parterze. A tam na widoku stał biały rogowiec, wielki i eteryczny. Pochylił ku trawie głowę o maleńkim pysku, kołysząc wielkimi ciężkimi rogami. Quentin widział mięśnie napinające się na jego szyi. Miał uszy większe i bardziej wiotkie, niż się spodziewał. Podniósł znów głowę, kiedy Quentin stanął w oknie, świadom, że jest obserwowany, a potem ruszył powoli trawnikiem i zniknął niespiesznie. Ze zmarszczonymi brwiami Quentin przyglądał się jego odejściu. Wrócił do łóżka, ale nie mógł zasnąć.

Później tego dnia odszukał Adler Żołędź Agnes Allison Pachnące Drewno. Pracowała na kunsztownych krosnach wielkości pokoju, zbudowanych w taki sposób, by wykorzystywać siłę jej końskich odnóży i precyzję ludzkich

rak.

– Ujadająca Bestia – powiedziała, dysząc ciężko, pompując, nie przestając prażyć. – To rzadki widok. Bez wątpienia przyciągnęła ją tutaj pozytywna energia, jaką emanują nasze wyższe wartości. Masz szczęście, że zaprezentowała się oczom centaurów, akurat kiedy patrzyłeś.

Ujadająca Bestia. *Z Dziewczynki, która przepowiadała czas.* A więc tak wyglądała. Jakoś spodziewał się czegoś bardziej dzikiego. Poklepał Agnes po błyszczącym zadzie i wyszedł. Wiedział, co musi zrobić.

Tej nocy wziął zaszuszoną gałąź, którą znalazł w biurku, tę samą, która wisiała przed twarzą Potwora, tę, którą Martin odrzucił tuż przed bitwą. Była sucha, ale liście pozostały oliwkowe i gumiate w dotyku. Wetknął jej twardą łodygę w wilgotną ziemię, którą ubił, żeby gałąź stała wyprostowana.

Następnego ranka obudził się i zobaczył wielkie drzewo, które wyrosło przed jego oknem. W jego pniu znajdowała się tarcza cicho tykającego zegara.

Przyłożył dłoń do twardego szarego pnia, czując pod palcami zimną zakurzoną korę. Potem opuścił rękę. Jego czas tutaj dobiegł końca. Spakował swe nieliczne rzeczy, część zostawił, ukradł łuk i kołczan strzał z szopy koło strzelnicy, uwolnił konie z wykorzystywanego seksualnie dzikiego stada i opuścił Zacisze.

BIAŁY JELEŃ

Polowanie na Ujadającą Bestię zawiodło go na skraj wielkiego Północnego Bagna, potem na południe, skrajem Wielkich Jeżyn, potem znów na północ i nieco na zachód przez Mroczniejący Las aż po rozległą, lekko bulgoczącą przestrzeń Dolnych Chlupotów. Zupełnie jakby zwiedzał miejsca, które widywał w snach. Pił z potoków i spał na ziemi, i jadł pieczoną nad ogniskiem upolowaną zwierzynę – stał się całkiem znośnym łucznikiem, a kiedy nie potrafił niczego upolować samodzielnie, oszukiwał za pomocą magii.

Eksploatował mocno swego konia, łagodną gniadą klacz, która nie wydawała się specjalnie zmartwiona faktem, że porzuca centaury. Umysł Quentina był pozbawiony myśli, tak jak lasy i pola pozbawione były ludzi. Staw w jego głowie ponownie zamarzał, tym razem na grubość jakichś trzydziestu centymetrów. W lepsze dni potrafił całymi godzinami nie myśleć o Alice.

Jeśli w ogóle o czymś myślał, to o białym jeleniu. Wypełniał zadanie, ale tym razem wybrane przez siebie, a nie powierzone mu przez kogoś. Przeszukiwał horyzont, wypatrując jego rogów, i krzaki, wypatrując jego jasnego grzbietu. Wiedział, co robi. O tym marzył dawno temu w Brooklynie. To była podstawa jego fantazji. Kiedy ją zrealizuje, zamknie tę książkę na dobre.

Ujadająca Bestia prowadziła go coraz dalej na zachód, przez wzgórza Kawkowego Pustkowia, przez przełęcz w paskudnie stromych górach, poza wszystko, co rozpoznawał czy choćby znał ze wzmianek w książkach o Fillory. Znajdował się teraz na dziewiczym terytorium, nie zatrzymał się jednak, by je zbadać czy nadać nazwy gór. Zjechał po oślepiająco białym kredowym zboczach na pas czarnego wulkanicznego piasku u brzegu wielkiego, nie

odkrytego jeszcze zachodniego morza. Kiedy jeleń zobaczył, że Quentin nadal go ściga, skoczył w fale, jakby to był suchy ląd. Skakał z jednej na drugą, jak z grani na grań, z uniesionymi rogami, kręcąc głową i parszając z nozdrzy morską pianą.

Quentin westchnął. Następnego dnia sprzedał łagodną klacz i poszukał transportu na drugą stronę morza.

Udało mu się wynająć szybki sloop o raczej żenującej nazwie „Skywalker”, którego załogę stanowili trzech kompetentni i małomówni bracia oraz ich tęga opalona siostra. Bez słowa roili się po dziko idiosynkratycznym takielunku „Skywalkera”, który składał się z dwóch tuzinów małych łacińskich żagli wymagających ciągłych poprawek reflowania. Drewniane protezy Quentina wprowadziły ich w zdumienie. Dwa tygodnie później przybili do wesołego tropikalnego archipelagu – palonych słońcem bagien namorzynowych i pastwisk – żeby uzupełnić zapasy wody, po czym popłynęli dalej.

Minęli wyspę zamieszkaną przez złe krwiożercze żyrafy oraz dryfujące stworzenie, które zaproponowało im dodatkowy rok życia w zamian za palec (siostra skorzystała z oferty, trzykrotnie). Minęli ozdobną kręconą klatkę schodową z drewna, która schodziła w głębiny oceanu, i młodą kobietę dryfującą na otwartej księżce wielkości sporej wyspy, w której bezustannie pisała. Żadna z tych przygód nie wzbudziła w Quentinie czegoś, co choćby przypominałoby zdumienie czy ciekawość. To wszystko już się dla niego skończyło.

Po pięciu tygodniach na morzu wylądowali na spalonej słońcem czarnej skale i załoga zagroziła buntem, jeśli nie zawrócą. Quentin popatrzył na nich przeciągle, potem zablefował na temat swych możliwości magicznych, aż wreszcie podniósł im pięciokrotnie wynagrodzenie. Popłynęli dalej.

Łatwo być odważnym, kiedy woli się śmierć niż poddanie się. Zmęczenie nic nie znaczy, kiedy tak naprawdę chce się cierpieć. Quentin nigdy wcześniej nie był na statku, ale wkrótce stał się równie smukły i opalony, i pokryty solą jak jego załoga. Słońce zrobiło się ogromne, a woda morska opływająca burty „Skywalkera” gorąca. Wszystko sprawiało wrażenie naładowanego elektrycznością. Zwykle przedmioty tworzyły dziwaczne efekty optyczne, migotały, otaczały się aureolą, dostawały plam. Gwiazdy zmieniły się w wiszące nisko płonące kule brzemienne tajemniczym znaczeniem. Silne złociste światło przenikało wszystko, jakby świat był jedynie cienkim płótnem, przez które prześwieca słońce. Jeleń ciągle skakał po falach przed nimi.

Wreszcie horyzont wypełnił nieznany ląd, spowity w magicznej zimie i gęsto zadrzewiony jodłami, które wyrastały prosto z brzegu, tak że słone fale waliły w ich poskręcane korzenie. Quentin rzucił kotwicę i powiedział załodze, drżącej w cienkich tropikalnych ubraniach, by zaczekała na niego tydzień, a potem odpłynęła, jeśli nie wróci. Dał im resztę złota, jakie miał ze sobą, pocałował na pożegnanie siedmiopalczystą siostrę, opuścił jolkę i powiosłował na brzeg. Zarzucił na ramię łuk i ruszył przez przyduszoną śniegiem puszcę. Dobrze było znowu być samemu.

Ujadająca Bestia pokazała się trzeciej nocy. Quentin rozbił obóz na niskim urwisku z widokiem na czyste, zasilane przez strumień jeziorko. Tuż przed świtem obudził się i zobaczył ją stojącą na skraju wody. Poczekał minutę, klęcząc na jednym kolanie. Nareszcie. Napiął łuk i wyjął strzałę z kołczanu. Stąd, z urwiska, kiedy poranna mgielka prawie się rozviała, to nie był nawet trudny strzał. W chwili gdy wypuszczał strzałę, pomyślał: robię coś, co nie udało się nawet Chatwinom. Helen i Rupertowi. Nie znalazł w tym

przyjemności, jakiej się spodziewał. Jego strzała przebiła twarde mięśnie na prawym udzie jelenia.

Skrzywił się. Dzięki Bogu, nie trafił w tętnicę. Jeleń nie próbował uciekać, po prostu przysiadł sztywno na tylnych nogach jak ranny kot. Sądząc ze zrezygnowanego wyrazu pyska, Quentin odniósł wrażenie, że Ujadająca Bestia musiała przechodzić przez coś takiego raz na sto lat czy jakoś tak. Koszty własne. Krew jelenia wydawała się czarna w mroku przed świtem.

Jeleń nie okazał strachu, kiedy Quentin podszedł bliżej. Odwrócił głowę i mocno chwycił strzałę w kwadratowe białe zęby. Szarpnął gwałtownie i wyrwał ją z ciała, po czym wypluł pod nogi Quentina.

– To boli – powiedział rzeczowo.

Minęły trzy dni, odkąd Quentin ostatni raz z kimś rozmawiał.

– Co teraz? – zapytał ochrypłym głosem.

– Życzenia oczywiście. Masz trzy.

– Mój przyjaciel Penny stracił dłonie. Napraw to.

Oczy jelenia zmętniały w zamyśleniu.

– Nie mogę. Przykro mi. Albo nie żyje, albo nie ma go na tym świecie.

Słońce zaczęło wschodzić nad ciemną, gęstą jodłową puszcza. Quentin odetchnął głęboko.

– Alice. Zmieniła się w jakiegoś ducha. W niffina. Sprowadź ją z powrotem.

– Również nie mogę.

– Jak to: nie możesz? To moje życzenie.

– Nie ja ustalam reguły – powiedziała Ujadająca Bestia. Zlizwała krew nadal ciekącą po udzie. – Nie podoba ci się, to znajdź sobie innego magicznego jelenia i go postrzel.

– Chcę, żeby reguły były inne.

Jeleń przewrócił oczami.

– Nie. I liczę te trzy życzenia jako twoje pierwsze

życzenie. Jakie jest drugie?

Quentin westchnął. Tak naprawdę nie pozwolił sobie na nadzieję.

– Spłać moją załogę. Daj im dwa razy tyle, ile obiecałem.

– Zrobione – odparła Ujadająca Bestia.

– To dziesięciokrotność ich podstawowego wynagrodzenia, ponieważ już podniosłem je pięciokrotnie.

– Powiedziałem, że zrobione, prawda? Jakie jest trzecie życzenie?

Wiele lat temu Quentin wiedział dokładnie, czego będzie sobie życzył, jeśli ktoś da mu taką szansę. Będzie sobie życzył udać się do Fillory i zostać tam na zawsze. Ale to było dawno temu.

– Odeślij mnie do domu – rzekł.

Ujadająca Bestia przymknęła z powagą okrągłe brązowe oczy, potem je otworzyła. Skierowała rogi w jego stronę.

– Zrobione – powiedziała.

Quentin pomyślał, że należało wyrazić się bardziej precyzyjnie w tym życzeniu. Równie dobrze Ujadająca Bestia mogła go odesłać do Brooklynu albo do domu rodziców w Chesterton, albo do Brakebills, albo nawet do domu, z którego wyruszyli do Fillory. Tymczasem jelen potraktował jego prośbę dosłownie i Quentin znalazł się przed drzwiami swojego prawie stałego mieszkania w Tribeca, które dzielił z Alice. Nikt nie zauważył, jak zjawił się nagle na środku chodnika, przed południem, chyba w lecie. Szybko odszedł stamtąd. Nie mógł nawet spojrzeć na wejście do budynku. Cisnął łuk i strzały do kosza na śmieci.

To był szok, nagle znaleźć się wśród tylu ludzi. Nie potrafił zignorować ich plamiastej skóry i pełnych wad

fizjonomii, i szykownej próżności. Może nasiąkł nieco snobizmem centaurów? Nozdrza wypełniała mu paskudna mieszanka zapachów, organicznych i nieorganicznych. Pierwsza strona gazety kupionej w sklepie na rogu poinformowała go, że nie było go na Ziemi przez nieco ponad dwa lata.

Będzie musiał zadzwonić do rodziców. Fogg zapewne zapobiegł ich nadmiernemu niepokojowi, mimo to... Niemal uśmiechnął się na myśl, że ich zobaczy. Ciekawe, co powiedzą o jego włosach. Wkrótce to zrobi, ale jeszcze nie teraz. Szedł, starając się zaaklimatyzować. Zakłęcia pozwalające wyjąć gotówkę z bankomatu wydawały się teraz dziecinną igraszką. Ostrzygł się i ogolił, i kupił sobie ubrania, które nie zostały uszyte przez centaury, i przestał wyglądać jak statysta biorący udział w inscenizacji historycznej. Folgował sobie. Zjadł lunch w modnej restauracji i omal nie umarł z rozkoszy. O trzeciej pił Wściekłego Psa w długim, ciemnym i pustym barze w Chinatown, gdzie przychodził kiedyś z Fizycznymi Gośćmi.

Od bardzo dawna nie pił alkoholu. Okazało się, że wywiera on niebezpiecznie ciepły wpływ na jego zamarznięty umysł. Lód, który skuł jego smutek i poczucie winy, zaczął trzeszczeć i pojękiwać. Pił jednak dalej i wkrótce ogarnął go głęboki, czysty wykwintny smutek, tak uderzający do głowy i dekadentcki jak narkotyk. O piątej lokal zaczął się wypełniać. O szóstej popychali go przy barze ludzie wracający z pracy. Widział, że na dworze robi się ciemno. Już miał wychodzić, kiedy zauważył w narożnym boksie smukłą ładną dziewczynę o blond lokach, tulącą się do faceta, który wyglądał jak model reklamujący bieliznę. Quentin nie przypominał sobie, żeby znał tego gościa od bielizny, lecz dziewczyną była na pewno Anais.

Nie miał ochoty na to spotkanie, a poza tym akurat nie z nią chciałby się spotkać. Chociaż może to i lepiej załatwić

rzecz w ten sposób, z kimś, na kim mu niespecjalnie zależało. I vice versa. No i te Wściekłe Psy zdjęły mu sporo ciężaru z pleców. Metoda małych kroków. Usiedli na zewnątrz na schodach. Położyła mu rękę na ramieniu i wpatrywała się w jego białe włosy.

– Nie uwierzyłbyś w tio – powiedziała. Zadziwiająca, ale jej śpiewny europejski akcent jeszcze się pogłębił, a angielska gramatyka zdecydowanie rozsypała od czasu, kiedy widzieli się po raz ostatni. Może to się bardziej sprawdzało w scenerii baru? – Kiedy wychodziliśmy, było cicho przez chwilę, a potem oni się na nas znowu rzuciwszy. Josh jest bardzo dobry, no wiesz. Bardzo dobry. Myślałam, nigdy go nie zobaczę takiego robiącego magię. Coś tam pływało pod podłogą, jakby rekin, ale w kamieniu. Łapnie nas za nogi.

– Może to jest wyjaśnienie – odparł. Pokazał jej swoje drewniane kolano, a ona zagapiła się na nie ze zdumieniem. Alkohol sprawiał, że wszystko okazało się dużo łatwiejsze, niż się spodziewał. Oczekiwał rwącego strumienia uczuć, kawaleryjskiej szarży smutku na swój bezbronny umysł, lecz jeśli nawet nadciągała, to nie w tej chwili.

– No i była tam rzecz... myślę, że z zaklęciu w skałach... że chodziliśmy w kółko. Znów trafiliśmy do sali Amera.

– Embera.

– A jak powiedziałam? W każdym razie musieliśmy przerwować zaklęcie. – Urwała, żeby pomachać przez okno swojemu chłopakowi przy barze. Mówiła, jakby opowiadała tę historię już wiele razy, tak wiele, że już zaczęła ją nudzić. Dla niej to się zdarzyło dwa lata temu ludziom, których i tak ledwie znała. – I niosiliśmy cię przez cały czas. Mój Boże, nie udałoby się nami, gdyby nie Richard, co nas znalazł. Wiesz? Prawie go zaczęłam za to lubić. Udawało mu się zrobić, żebyśmy byli niewidzialnych dla potworów. Praktycznie wyniósł nas stamtąd. Nadal mam bliznę.

Odwinęła rąbek spódnicy, która i tak nie należała do najdłuższych. Przez jej gładkie opalone udo biegła gruba, nierówna blizna. Miała z piętnaście centymetrów długości.

Co zaskakujące, okazało się, że Penny przeżył, przynajmniej do pewnego stopnia. Centaury nie potrafiły zrekonstruować jego rąk, a bez nich nie mógł rzucać zaklęć. Kiedy znaleźli się w Ni Tu Ni Tam, Penny oddalił się od nich, jakby czegoś szukał. Kiedy podszedł do wysokiego, wąskiego kamiennego *palazzo*, niezwykle starego i zniszczonego, stanął przed nim i rozłożył błagalnie pozbawione dłoni ręce. Po chwili drzwi pałacu się otworzyły. Zdażyli zauważyć półki z książkami – ciepłe, tajemne papierowe serce Miasta. Penny wszedł do środka i drzwi zamknęły się za nim.

– Możesz wierzyć to się zdarzyło? – pytała Anais co chwilę. – To jak *cauchemar*. Ale już po wszystkim.

Dziwne. Anais najwyraźniej nie winiła za to ani jego, ani siebie. Znalazła jakiś sposób, by pogodzić się z tym, co się stało. Albo może w ogóle jej to nie zraniło. Trudno było zgadnąć, co się dzieje pod tymi blond lokami.

Przez całą opowieść oglądała się przez ramię na modela od bielizny, więc po chwili Quentin zlitował się nad nią i pozwolił jej odejść. Pożegnali się – buzi, buzi. Żadne nie obiecało, że pozostaną w kontakcie. Jaki sens miałyby kłamstwo teraz, w tej fazie gry? Jak powiedziała, było już po wszystkim. Siedział dalej na schodach w ciepłym zmierzchu, póki nie przyszło mu do głowy, że będzie musiał znowu spotkać się z Anais, kiedy dziewczyna wyjdzie z baru.

Robiło się ciemno, a musiał jeszcze znaleźć jakiś nocleg. Mógł iść do hotelu, tylko po co zawracać sobie głowę? I po co czekać? Niemal wszystko, co posiadał, porzucił w Fillory, oprócz żelaznego klucza, który Fogg dał mu na rozdaniu dyplomów. Nie działał w Fillory –

spróbował – lecz teraz, stojąc na zaśmieconej ulicy w Tribecce, oddychając gęstym rozgrzanym miejskim powietrzem, wyjął go z kieszeni nowiutkich džinsów. Klucz sprawiał krzepiąco masywne wrażenie. Pod wpływem impulsu Quentin przysunął go do ucha. Wydawał wysokie nieprzerwane brzęczenie, jak kamerton. Nie zauważył tego wcześniej.

Czując się wspaniale samotny i tylko troszeczkę przerażony, ścisnął klucz w obu rękach, zamknął oczy, odprężył się i pozwolił się pociągnąć. Zupełnie jakby jechał na nartach na kuligu, trzymając się liny. Klucz rozdzielił w powietrzu niewidoczny szew i pociągnął go do przodu z oszalamiająco wspaniałym przyspieszeniem, przez jakiś bardzo wygodny podwymiar z powrotem na kamienny taras na tyłach głównego budynku Brakebills. Choć ból powrotu był ogromny, przeważała nad nim konieczność. Quentin musiał się zająć jeszcze jedną sprawą, a potem wszystko skończy się na zawsze.

KRÓLOWIE I KRÓLOWE

Jako młodszy członek zespołu do spraw kluczowych klientów PlaxCo i zastępca konsultanta operacyjnego, Quentin Coldwater miał niewiele obowiązków poza udziałem w organizowanych od czasu do czasu zebraniach i okazywaniem uprzejmości kolegom, których spotykał przypadkiem w windzie. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy dokumenty zdołały się przedrzeć służbową drogą aż na jego biurko, stawiał na nich bez czytania pieczęć („Moim zdaniem wygląda nieźle!!! – QC”) i odsyłał w dalszą drogę.

Biuro Quentina było niezwykle duże jak na nowego pracownika tego szczebla, szczególnie tak młodego, jak się wydawał (choć zaskakująco siwe włosy przydawały mu powagi), którego wykształcenie i dotychczasowy przebieg pracy pozostawały w dodatku nie do końca jasne. Po prostu pojawił się pewnego dnia, zajął narożne biuro niedawno opuszczone przez wiceprezesa trzykrotnie starszego od niego i zaczął pobierać pensję, i gromadzić środki na rachunku emerytalnym, i korzystać z darmowych usług stomatologicznych, i cieszyć się sześcioma tygodniami urlopu rocznie. W zamian za to ograniczał się do grania w gry komputerowe na superpłaskim panoramicznym monitorze, który zostawił po sobie odchodzący wiceprezes.

Quentin nie wywoływał w kolegach niechęci ani też szczególnego zainteresowania. Wszyscy sądzili, że ktoś inny wie, o co w tym wszystkim chodzi, a gdyby się okazało, że nie, ktoś w kadrach z pewnością trzyma rękę na pulsie. Na pewno był supergwiazdą w jakiejś bajeranckiej angielskiej szkole i mówił biegle wszelkimi możliwymi językami, a jego oceny z matematyki wyskakiwały ze skali. Firma miała szczęście, że go zatrudniła. Prawdziwe szczęście.

No i okazał się dość sympatyczny, choć nieco

przygnębiony. Sprawiał wrażenie bystrego. Przynajmniej wyglądał na bystrego. A poza tym należał do zespołu do spraw kluczowych klientów PlaxCo, a tu, w firmie konsultingowej Grunnings Hunsucker Swann, wszyscy grali w jednej drużynie.

Dziekan Fogg odradzał to Quentinowi. Powinien dać sobie więcej czasu, przemyśleć wszystko, może skorzystać z terapii. Ale Quentin dał już sobie dość czasu. Widział tyle magicznego świata, że starczy mu do końca życia, i wznosił między nim a sobą barierę, której żadna magia nie mogła przeniknąć. Zamierzał się od niej odciąć i zabić ją w sobie. Okazało się, że Fogg miał rację, choć nie starczyło mu jaj, by udowodnić własne twierdzenie: ludziom jest lepiej bez magii, w prawdziwym świecie, gdzie muszą sobie radzić z tym, co przynosi im życie. Może są ludzie potrafiący okiełznać moc posiadaną przez czarodziejów, którzy na nią zasłużyli, lecz Quentin do nich nie należał. Czas, żeby dorósł i spojrzął prawdzie w oczy.

Fogg załatwił mu więc pracę za biurkiem w firmie, w którą zainwestowano masę magicznych pieniędzy, a Quentin jeździł metrem, wjeżdżał windą na swoje piętro i zamawiał lunch jak reszta ludzkości, w każdym razie jak najbardziej uprzywilejowane zero jeden procent ludzkości. Jego ciekawość w kwestii niewidzialnych królestw została więcej niż zaspokojona, bardzo, ale to bardzo dziękuje. Przynajmniej jego rodzice byli zadowoleni. Co za ulga móc im powiedzieć, jak zarabia na życie, i nie musieć kłamać.

Grunnings Hunsucker Swann spełniał absolutnie wszystkie nadzieje Quentina, których miał dokładnie tak niewiele, jak tylko można mieć i przeżyć. W biurze miał ciszę, spokój, klimatyzację i przyciemniane okna od podłogi do sufitu. Biurowe dostawy przychodziły licznie i odznaczały się doskonałą jakością. Otrzymywał do wglądu wszelkie bilanse i schematy organizacyjne, i biznesplany,

jakich tylko sobie zażyczył. Prawdę powiedziawszy, czuł się lepszy od wszystkich, którzy nadal zajmowali się czarami. Mogą się oszukiwać, skoro chcą, ci pobłażający sobie mandaryni magii, ale on już z tego wyrósł. Nie był już czarodziejem, był mężczyzną, a mężczyzna bierze odpowiedzialność za swoje czyny. Pracował teraz nad twardą kamienną fasadą tego wszystkiego. Fillory? Cóż, udał się tam, zrobił coś tam i nie przyniosło to nic dobrego ani jemu, ani nikomu innemu. Miał cholerne szczęście, że przeżył.

Co rano wkładał garnitur i stał w Brooklynie na starym peronie stacji metra wyniesionym nad ulicę, surowy beton z wylażącą na powierzchnię rdzą ze zbrojeń. Z końca peronu, od strony centrum, widział na zatoce maleńką zamgloną grynszpanową postać Statuy Wolności. Latem grube drewniane podkłady kolejowe pociły się aromatycznymi kroplami ciekłej czarnej smoły. Niewidoczne znaki przesuwwały tory i kierowały pociągi w lewo lub w prawo, jakby (ale tylko jakby, a nie rzeczywiście) rządziły nimi niewidzialne ręce. W pobliżu krążyły niezidentyfikowane ptaki w niekończących się cyklonicznych kręgach nad niewywiezionymi górami śmieci.

Co rano w pociągu pełno było młodych Rosjanek jadących z Brighton Beach, przysypiających, kołyszących się zgodnie z ruchem wagonu. Miały lśniące czarne włosy ufarbowane na ohydny nieprzekonywający blond. W marmurowym holu budynku, gdzie pracował Quentin, windy pochłaniały stada pracowników, a potem wypluwały ich na kolejnych piętrach.

Kiedy wychodził z pracy, codziennie o piątej, cała sekwencja powtarzała się w odwrotnym kierunku.

Jeśli chodzi o weekendy, prawdziwy świat dostarczał Quentinowi wręcz nieskończonej ilości różnorodnych i pozbawionych znaczenia zajęć i rozrywek. Gry wideo. Porno

w Internecie. Ludzie rozmawiający w winiarniach przez komórki o stanie zdrowia swoich macoch. Nieważkie plastikowe torby sklepowe porozwieszane na bezlistnych drzewach. Starcy siedzący bez koszul na werandach. Ogromne wycieraczki niebiesko-białych miejskich autobusów biegające w jedną i drugą stronę, zagarniające wielkie hausty deszczówki, tu i tam, tu i tam.

Tylko tyle mu zostało i musiało wystarczyć. Jako czarodziej żył wśród milczącej arystokracji świata, ale zrezygnował z tronu. Zdjął koronę i zostawił ją dla jakiegoś innego frajera. *Le roi est mort*. Było zaklęciem samo w sobie to jego nowe życie, ostatecznym zaklęciem, zaklęciem, które na zawsze likwidowało wszystkie zaklęcia.

Pewnego dnia, przeszedłszy na wyższy poziom trzema różnymi postaciami w trzech różnych grach komputerowych i przejrawszy w sieci wszystkie strony, jakie miał ochotę odwiedzić, a nawet i takie, których odwiedzić wcale nie miał ochoty, Quentin zauważył, że w jego kalendarzu w Outlooku zanotowane jest spotkanie, na którym powinien się pojawić. Zaczęło się pół godziny temu, a odbywało się na jakimś odległym piętrze korporacyjnego molocha, jakim było GHS, co wymagało użycia innej windy niż zwykle. Niemniej, nie zważając na ryzyko, postanowił wziąć w nim udział.

Celem tego konkretnego spotkania, jak się zorientował na podstawie rzucanych na nim uwag, okazała się zbiorowa wiosekcja restrukturyzacji PlaxCo, która najwyraźniej dobiegła końca kilka tygodni wcześniej, choć Quentin jakoś do tej pory przeoczył kluczowe jej elementy. W programie spotkania był również powiązany z tą restrukturyzacją nowy projekt, który dopiero się zaczynał i miał być prowadzony przez zespół złożony z ludzi, których Quentin widział na oczy po raz pierwszy w życiu. Przyłapał się na

rzucaniu ukradkowych spojrzeń na jedną z tych osób.

Trudno powiedzieć, co ją wyróżniało, wyjąwszy fakt, że prócz Quentina ona jedna ani razu nie odezwała się przez całe zebranie. Wyglądała na kilka lat starszą od niego i ani nie była specjalnie atrakcyjna, ani nieatrakcyjna. Ostry nos, wąskie usta, długie do szczęki myszowate brązowe włosy, wrażenie wielkiej inteligencji maskowanej nudą. Nie wiedział, skąd wie, może to kwestia charakterystycznie umięśnionych, nadmiernie rozwiniętych palców, a może rysów twarzy, które układały się w maskę, ale nie miał wątpliwości, kim ona jest. Ktoś taki jak on: eksstudentka z Brakebills żyjąca pod przykrywką w rzeczywistym świecie.

Suspens rośnie.

Quentin przesłuchał potem jednego z kolegów – Dana, Dona czy Deana, w każdym razie jednego z nich – i poznał jej personalia. Emily Greenstreet. Ta niesławna we własnej osobie. Dziewczyna, przez którą zginął brat Alice.

Ręce mu się trzęsły, kiedy naciskał guzik windy. Poinformował swojego asystenta, że bierze sobie wolne popołudnie. Może nawet wolne do końca tygodnia.

Ale było już za późno. Emily Greenstreet musiała też go zauważyć – może to naprawdę kwestia palców? – ponieważ nim dzień się skończył, dostał od niej e-mail. Następnego ranka zostawiła mu wiadomość w poczcie głosowej i próbowała zdalnie umówić się na lunch przez jego kalendarz spotkań w Outlooku. Kiedy wchodził do sieci, zaczepiała go bez końca przez komunikator IMed, aż wreszcie – odszukawszy numer jego komórki w firmowym spisie numerów alarmowych – wysłała mu SMS:

Czemuż odwlekać nieuniknione?

A czemuż nie? pomyślał. Wiedział jednak, że ma rację. Tak naprawdę nie miał wyboru. Jeśli chciała go znaleźć, prędzej czy później jej się uda. Z poczuciem klęski kliknął

ikonę „potwierdzam” przy zaproszeniu na lunch. Spotkali się w następnym tygodniu w niezwykle drogiej klasycznej francuskiej restauracji, ulubionym lokalu kierownictwa GHS od niepamiętnych czasów.

Wyszło lepiej, niż się spodziewał. Mówiła szybko, była tak chuda i trzymała się tak prosto, że sprawiała wrażenie, że zaraz się złamie. Siedzieli naprzeciwko siebie, niemal sami w zacisznym kręgu kremowego obrusa, kryształowych kieliszków i ciężkich pobrzękujących sztuców, i plotkowali o pracy. Nie znał aż tylu nazwisk, żeby nadażać za jej słowami, na szczęście mówiła za nich oboje. Opowiedziała mu o swoim życiu – miłe mieszkanie w Upper East Side, taras, koty. Odkryli, że oboje mają podobnie czarne poczucie humoru. W różny sposób doszli do tej samej prawdy: że przeżywanie fantazji z dzieciństwa w wieku dorosłym jest katastrofą w kwestiach uczuciowych i łóżkowych. Kto mógłby wiedzieć to lepiej od nich – mężczyzny, który widział śmierć Alice, i kobiety, która praktycznie zabiła jej brata? Kiedy Quentin na nią spojrzał, zobaczył siebie za osiem lat. Wcale nie wyglądało to tak źle.

Lubiła też drinki, kolejna wspólna rzecz. Kieliszki do martini, butelki wina i szklaneczki whiskey piętrzyły się między nimi, miniaturowa metropolia kolorowego szkła, a ich komórki i pagery żałośnie i daremnie próbowały zwrócić na siebie uwagę.

– Powiedz mi – poprosiła Emily Greenstreet, kiedy oboje wypili dość, żeby stworzyć iluzję miłej zadawnionej poufałości. – Tęsknisz za tym? Za magią?

– Mogę uczciwie powiedzieć, że nigdy o tym nie myślę – odparł. – Dlaczego? A ty?

– Tęsknię czy myślę? – Nawinęła na dwa palce pukiel myszowatych włosów. – Oczywiście. Jedno i drugie.

– Żałujesz, że opuściłaś Brakebills?

Gwałtownie pokręciła głową.

– Jedyna rzecz, jakiej żałuję, to że nie opuściłam go wcześniej.

– Pochyliła się ku niemu nagle ożywiona. – Sama myśl o tym miejscu sprawia, że mam ochotę wyć. To dzieciaki, Quentin! Dzieciaki z mocą! To, co przydarzyło się Charliemu i mnie, może się zdarzyć każdemu z nich w każdej chwili. Albo coś gorszego. Dużo gorszego. Dziwne, że to miejsce nadal istnieje. – Zauważył, że Emily nigdy nie mówi „Brakebills”, zawsze mówi „to miejsce”. – Nie czuję się pewnie, nawet mieszkając na tym samym wybrzeżu. Tam praktycznie nie ma żadnych zabezpieczeń. Każde z tych dzieciaków to bomba atomowa, która może wybuchnąć w każdej chwili. Ktoś musi kontrolować to miejsce. Czasami myślę, że powinnam ich zdemaskować, wysłać tam prawdziwy rząd, sprawić, by uregulowano sprawy. Nauczyciele tego nie zrobią. Ani Magiczny Sąd.

Gadała na ten temat bez końca. Byli jak dwoje alkoholików na odwyku stosujących metodę dwunastu kroków ku trzeźwości, którzy zapewniają się nawzajem, jak bardzo się cieszą, że są trzeźwi, a potem rozmawiają wyłącznie o picciu.

Choć w przeciwieństwie do wychodzących z nałogu alkoholików pili mnóstwo alkoholu. Chwilowo ożywiony ciekłym *affogato* Quentin zajął się szkocką single malt, która smakowała, jakby została przefiltrowana przez pień dębu spopielony przez piorun.

– Nigdy nie czułam się bezpieczna w tym miejscu. Nigdy, nawet przez chwilę. Nie czujesz się tutaj bezpieczniejszy? W prawdziwym świecie?

– Jeśli chcesz znać prawdę, niewiele ostatnio czuję.
Zmarszczyła brwi.

– Czyżby. Więc dlaczego to wszystko rzuciłeś, Quentin? Musiałeś mieć powód.

– Powiedziałbym, że moje motywy były nienagane.

– Aż tak źle? – Uniosła zalotnie cienkie brwi. – Opowiedz mi.

Usiadła wygodnie i pozwoliła się ogarnąć bajeranckiemu krzesłu. Eksnałogowiec niczego nie kocha bardziej niż opowieści o tym, jak to kiedyś było strasznie i jak nisko upadli inni nałogowcy. Niech się zacznie samoponížanie.

Opowiedział jej więc, jak głęboko się stoczył. Opowiedział jej o Alice, o ich wspólnym życiu i o tym, co zrobili, i jak umarła. Kiedy opowiadał o jej końcu, uśmiech Emily zniknął, sięgnęła drżącą ręką po kieliszek martini. Jasne, Charlie też stał się niffinem. Ironia tego faktu była wszechogarniająco okropna. Emily nie poprosiła jednak, żeby przestał.

Kiedy skończył, spodziewał się, że go znienawidzi równie mocno, jak sam się nienawidził. Być może tak bardzo, jak podejrzewał, że nienawidzi siebie. Ale zamiast tego jej oczy przepełniło współczucie.

– Och, Quentinie – powiedziała i naprawdę wzięła go za rękę. – Nie możesz za to winić siebie, naprawdę. – Na jej sztywnej wąskiej twarzy malowała się litość. – Musisz dostrzec, że całe to zło, cały ten smutek, to wszystko ma swoje źródło w magii. Tam się zaczyna problem. Nikt nie może się otrzeć o taką moc i nie zostać zniszczonym. Ja zostałam zniszczona, nim z tego zrezygnowałam. To najtrudniejsza rzecz, jaką zrobiłam w życiu.

Jej głos złagodniał.

– To zabiło Charliego – powiedziała cicho. – I twoją biedną Alice też. Wcześniej czy później magia zawsze prowadzi do zła. Kiedy to dostrzeżesz, nauczysz się sobie wybaczać. Będzie łatwiej. Słowo honoru.

Jej współczucie podziałało jak balsam na jego zranione, obdarte ze skóry serce. Chciał je przyjąć. Dawała mu je, była tuż, po drugiej stronie stołu. Musiał tylko wyciągnąć

do niej rękę.

Przyniesiono rachunek i Quentin obciążył jego astronomiczną kwotą swoją służbową kartę kredytową. Oboje upili się tak bardzo, że w holu restauracji musieli sobie nawzajem pomagać włożyć płaszcze. Quentin nie miał po co wracać do biura. Nie był w odpowiedniej kondycji, a poza tym robiło się już ciemno. To był bardzo długi lunch.

Na zewnątrz, pod markizą, zawahali się. Na chwilę zabawne płaskie usta Emily Greenstreet znalazły się nieoczekiwanie blisko jego warg.

– Zjedz ze mną dziś kolację. – Spojrzała na niego rozbijając szczerze. – Chodź do mnie. Przygotuję coś.

– Dziś nie mogę – wyrzucił z siebie. – Przepraszam. Może innym razem.

Położyła rękę na jego ramieniu.

– Posłuchaj, Quentinie. Wiem, że nie czujesz się na to gotowy...

– Nie jestem gotowy.

– ... ale nigdy nie będziesz tak naprawdę gotowy. Póki się na to nie zdecydujesz. – Ścisnęła jego przedramię. – Przestań dramatyzować. Pozwól sobie pomóc. To nie jest najgorsza rzecz na świecie, przyznać, że potrzebuje się pomocy. Prawda?

Jej uprzejmość była najbardziej wzruszającą rzeczą, jakiej doświadczył, odkąd opuścił Brakebills. I nie uprawiał seksu, dobry Boże, od tej nocy, kiedy przespał się z Janet. Tak łatwo byłoby z nią pójść.

Nie poszedł jednak. Kiedy tak stali, poczuł mrowienie w palcach, pod paznokciami, jakąś pozostałość tysięcy zaklęć, które spływały z nich przez lata. Czuł je tam, gorące białe iskry, które kiedyś z taką łatwością tryskały z jego rąk. Emily się myliła: obwinianie magii za śmierć Alice wcale mu nie pomoże. To zbyt proste, a on miał dość prostych rzeczy. Bardzo miło ze strony Emily Greenstreet, że mu

przebaczyła, lecz za śmierć Alice odpowiadają ludzie. Jane Chatwin i Quentin, i sama Alice. I ludzie muszą za to odpokutować.

W owej chwili spojrzął na Emily Greenstreet i zobaczył zagubioną duszę, samotną na pustkowiu, dziwnie podobną do jej byłego kochanka, profesora Majakowskiego, kiedy stał tak samotnie na biegunie południowym. Quentin nie był gotowy, by się do niej przyłączyć. Ale gdzie indziej mógłby się udać? Co by zrobiła Alice?

Minał kolejny miesiąc i zrobił się listopad, a Quentin siedział w swoim narożnym biurze i wyglądał przez okno. Budynek po drugiej stronie ulicy był znacznie niższy niż biurowiec Grunnings Hunsucker Swann, więc miał dobry widok na jego dach, wysypany starannie zagrabionym beżowym żwirem wokół szarej siatki wielkich skomplikowanych urządzeń klimatyzacyjnych i grzewczych. Z nadejściem chłodnej jesiennej aury klimatyzacja zamilkła, a grzejniki obudziły się do życia, emitując wielkie chmury pary wodnej. Przybierała ona abstrakcyjne kształty: hipnotyczne, milczące, obracające się powoli. Nigdy się nie zatrzymywały i nigdy się nie powtarzały. Sygnały dymne wysyłane przez nikogo do nikogo, nie znaczące nic. Ostatnio Quentin poświęcał masę czasu na ich obserwację. Jego asystent po cichu zrezygnował z prób umawiania dla niego jakichkolwiek spotkań.

Nagle i bez ostrzeżenia sięgające od sufitu do podłogi przyciemnione okno, tworzące całą jedną ścianę gabinetu Quentina, pękło i wpadło do środka. Ultranowoczesne wąskie żaluzje zawisły pod dziwnym kątem. Zimne powietrze i nagie nieprzefiltrowane słońce zalały gabinet. Coś małego, okrągłego i bardzo ciężkiego potoczyło się po dywanie i uderzyło go w but.

Popatrzył na to. Niebieskawa marmurowa kula:

kamienna kula, jakiej używali podczas rozgrywek w weltersy.

Za oknem, w powietrzu, trzydzieści pięter nad ziemią, unosiła się trójka ludzi.

Janet sprawiała wrażenie starszej. Oczywiście była starsza, ale coś się w niej zmieniło. Jej oczy, tęczęwki, promieniowały gniewną fioletową energią mistyczną. Quentin nigdy nie widział czegoś takiego. Miała na sobie czarne body ze skóry tak obcisłe, że wyglądało, jakby miało zaraz pęknąć. Wokół niej opadały na ziemię srebrne gwiazdy.

Eliot miał parę niezwykle białych pierzastych skrzydeł, którymi machał na wietrze. Na głowie nosił złotą koronę Fillory, którą Quentin po raz ostatni widział w grobowcu Embera. Między Janet a Eliotem wisiała w powietrzu ubrana w czarny jedwab boleśnie chuda kobieta o długich czarnych włosach, które unosiły się w powietrzu jak na powierzchni wody.

– Cześć, Quentin – rzekł Eliot.

– Cześć – powiedziała Janet.

Druga kobieta nic nie powiedziała. Quentin również.

– Wracamy do Fillory i potrzebny nam drugi król – oznajmiła Janet. – Dwóch królów, dwie królowe.

– Nie możesz się ukrywać do końca życia, Quentinie. Chodź z nami.

Kiedy zabrakło przyciemnionego okna, na monitorze nic nie było widać. Klimatyzacja wyła, usiłując pokonać napływ zimnego powietrza. Gdzieś w budynku włączył się alarm.

– Tym razem się uda – powiedział Eliot. – Martina już nie ma. A poza tym nigdy nie ustaliliśmy, jaka jest twoja specjalizacja. Czy to cię nie ciekawi?

Quentin mierzył ich wzrokiem. Minęło kilka chwil, nim zdołał się odezwać.

– A Josh? – wychrypiał. – Jego poproście.

– On ma nowy projekt. – Janet przewróciła oczami. – Uważa, że można wykorzystać Ni Tu Ni Tam do przejścia do Śródziemia. Szczerze wierzy, że złapie elfa.

– Myślałem, żeby może zostać królową – dodał Eliot. – Okazuje się, że w Fillory są bardzo otwarci, jeśli chodzi o takie sprawy. No ale w końcu zasady to zasady.

Quentin odstawił kawę. Już od bardzo dawna nie doświadczał emocji innych niż smutek, wstyd i obojętność. Prawdę powiedziawszy od tak dawna, że przez chwilę nie rozumiał, co się w nim dzieje. Wbrew sobie poczuł, jak powraca do niego uczucie, takie, które powinno być martwe na zawsze. Ból. Chciał doświadczyć go więcej.

– Dlaczego to robicie? – zapytał powoli, ostrożnie. Musiał mieć jasność. – Po tym, co się stało z Alice? Dlaczego tam wracacie? I dlaczego chcecie, żebym wrócił z wami? Tylko pogorszycie sprawy.

– Bardziej niż teraz? – spytał Eliot. Wskazał wysuniętym podbródkiem biuro Quentina.

– Wszyscy wiedzieliśmy, co robimy – stwierdziła Janet. – Ty to wiedziałeś i my też. Alice na pewno. Dokonaliśmy wyboru, Quen. Zresztą co się może stać? I tak już jesteś siwy. Nie możesz wyglądać dziwniej, niż już wyglądasz.

Quentin obrócił się do nich na ergonomicznym fotelu obrotowym. Miał wrażenie, że serce mu płonie ulgą i żalem, uczucia topiły się i zlewały, i zmieniały w jaskrawe gorące białe światło.

– Rzecz w tym, że nie chcę odchodzić przed podziałem premii rocznych – powiedział.

– Daj spokój, to już koniec. Odsiedziałeś swoje. – Uśmiech Janet miał w sobie ciepło, jakiego nie widział u niej nigdy wcześniej, a może po prostu dopiero teraz je zauważył. – Wszyscy ci przebaczyli z wyjątkiem ciebie samego. Zostałeś tak bardzo w tyle za nami.

– Tu może cię spotkać niespodzianka.

Podniósł niebieską kamienną kulę i przyjrzał się jej.

– No tak – powiedział. – Znikam na pięć minut, a wy już musicie sprowadzać domorosłą wiedźmę?

Eliot wzruszył ramionami.

– Ma potencjał.

– Pierdol się – powiedziała Julia.

Quentin westchnął. Poruszał szyją, żeby rozluźnić mięśnie, i wstał.

– Naprawdę musieliście mi tłuc okno?

– Nie – odparł Eliot. – Nie naprawdę.

Quentin podszedł na skraj podłogi. Pod modnymi skórzanymi butami chrzęściło mu rozsypane po dywanie szkło. Zanurkował pod przekrzywionymi żaluzjami. Było cholernie wysoko. Od dawna tego nie robił.

Poluźnił ręką krawat i zrobił krok w zimne przejrzyste zimowe powietrze. I poleciał.